

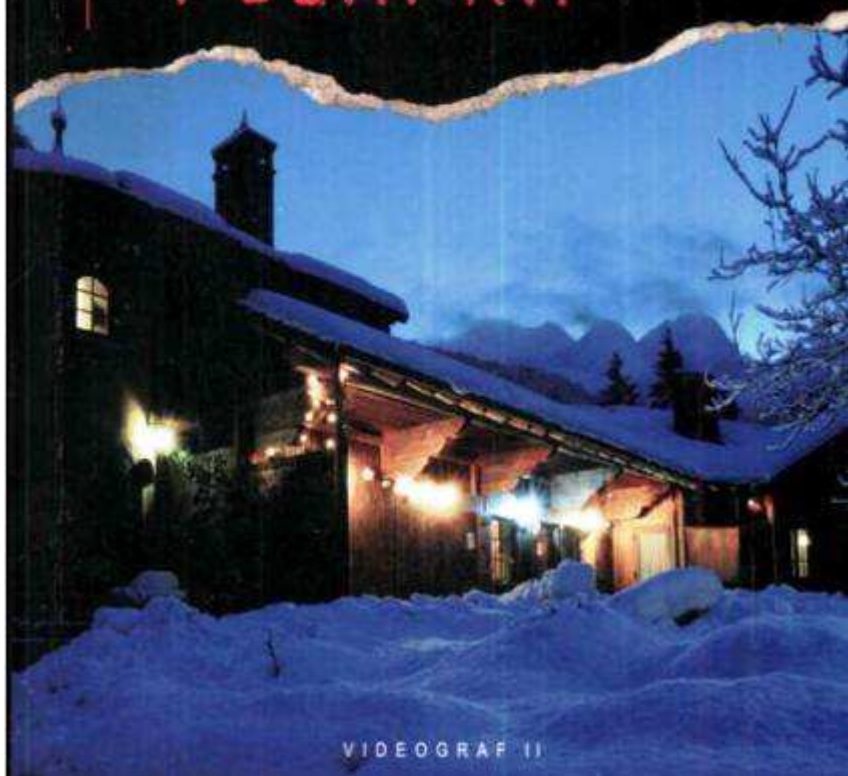


Kolejna powieść autorki głośnego
„Rytuału ostatniej nocy”

SERIA I ROBYA

Wiktoria Płatowa <

KRYSTAŁOWA PUŁAPKA



VIDEOGRAF II



SERIA I KOREA



Wiktoria Płatowa <
**KRYSTAŁOWA
PUŁAPKA**

Kolejna książka rosyjskiej autorki, która cieszy się w Europie ogromną popularnością. Ma w dorobku kilkanaście powieści, z których kilka zostało sfilmowanych; sprzedały się one w łącznym nakładzie 15 mln egz.

Bohaterką powieści jest Olga, która wraz z mężem i swoją najlepszą przyjaciółką, a zarazem macochą, spędza wczasy zimowe w eleganckim kurorcie na Kaukazie. Za kilka dni ma do nich dołączyć jej ojciec, wpływowy oligarcha i pracodawca jej męża. W trakcie zjazdu mało uczęszczaną trasą Olga wpada do jaskini, gdzie znajduje siedem lodowych rzeźb wykonanych z ludzkich zwłok. Nikt nie wierzy w jej relację, zwłaszcza że poszukiwania tego makabrycznego miejsca nie dają rezultatów. Wkrótce w pokoju hotelowym zostaje znalezione ciało jej ojca i to właśnie Olga staje się główną podejrzaną. Są świadkowie jej dziwnego zachowania w ostatnich dniach i głośnej awantury z ojcem. Próbując wyjaśnić, co naprawdę się stało, Olga wpada w niebezpieczną pułapkę...

„Uwaga: czytając Płatową, na pewno przegapicie swoją stację metra!”

Russian Web Girls

„Milońcy literatury sensacyjnej rodem z nowej Rosji pokochają Płatową”

Salzburger Zeitung

„Wiktoria Płatowa należy do tych autorek kryminalów, które łączą mistrzowskie napięcie z inteligentną fabułą”

Smenu

„...pisze z nasyconą satyrą przenikliwością i pozostawia silne literackie wrażenie”

Die Zeit

„Powieści Płatowej są dla tych, którzy po Maryninie nie chcą już właściwie czytać żadnych kryminalów”

Fakultativ



ISBN 978-83-7183-820-0



9 788371 838200 >

Cena 32,90 zł

Wiktoria Płatowa

Kryształowa pułapka

Z języka rosyjskiego przełożyła
Danuta Blank

VIDEOGRAF II
Katowice

Tytuł oryginału *Kristalnaja łowuszka*

Redakcja

Teresa Darmoń

Projekt okładki

Marek J. Piwko (mjp]

Zdjęcie na okładce

© *Anna Khomulo*

Redakcja techniczna

Damian Walasek

Skład i łamanie

Ewa Mierzwa

Korekta

Urszula Bańcerk

Wydanie I, lipiec 2010

Wydawca:

Videograf II Sp, z o.o.

41-500 Chorzów,

Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33,32-348-31-35

fax 32-348-31-25

office@videograf.pl

tuium videograf.pl

Dystrybucja:

DICTUM Sp, z o.o.

01-942 Warszawa,

ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Copyright by Videograf II Sp, z o.o.,

Chorzów 2010

ISBN 978-83-7183-820-0

*Autor pragnie wyrazić szczerą wdzięczność
za pomoc w napisaniu powieści współpracownikom
ośrodka górskiego „Złota Dolina” (Sankt Petersburg).*

To będzie najlepsze trofeum w mojej kolekcji.

Ten zakochany w sobie, niezaspokojony ogier, zapakowany od stóp do głów w sprzęt firmy Salomon, którego oprócz nart interesują tylko trzy rzeczy: siłowanie na rękę, świeże piwo z beczki i naturalne blondynki. Aktualnie mamy ich tu pięć - dwie mężatki, jedna rozwódka, a ta czwarta najwyraźniej próbuje walczyć w stylu wolnym ze swoją daleko posuniętą krótkowzrocznością i przedwczesnym klimakterium. I ostatnia - wykładowca filozofii w jakimś instytucie moskiewskim, która już po dwóch minutach odesłała go gdzie pieprz rośnie razem z tym jego piwem. Trzeba jednak przyznać, że próbował swoich sił u każdej z nich, a jest tu dopiero od tygodnia. I nawet dwa razy odniósł sukces: u rozwódki i tej ze słabym wzrokiem - ale trudno tu mówić o jakimś wielkim osiągnięciu, bo same mu pchały się do łóżka.

Ma się rozumieć, że teraz te dwie baby się nienawidzą.

A on nie żyje.

Tego, w jaki sposób umarł, nikt się nigdy nie dowie.

Jego ciała też nikt nie znajdzie. Dwie lawiny, które zeszły jedna po drugiej, pogrzebały wszelkie szanse. W krótkim odstępie czasu między jedną a drugą lawiną zdążyłem go uratować. Uratować, aby zabić. Nie spodziewał się tego. Nie spodziewał się, że mój kijek narciarski, przerobiony na nóż, okaże się taki ostry. I że zagłębi się w jego ciało tuż pod lopatką, nie napotkawszy najmniejszego oporu.

Zanim zadałem cios, dowiedziałem się, jak ma na imię. Kirył. Okularnica nazywała go Kira. Rozwódka - Łarik. Ja też mu się przedstawiłem. Obiecał postawić mi piwo i spróbować się na rękę, jak tylko dotrzemy do „Róży Wiatrów”. Zaczęliśmy zjeżdżać po stoku: przodem on na swoim snowboardzie, ja za nim. Wziąłem kurs na lewo, chociaż „Róża Wiatrów” znajduje się bardziej na prawo. Jednak nie zwrócił na to uwagi. Nowicjusze mają słabą orientację w terenie, a on był nowicjuszem, to pewne. „Koniecznie muszę przyjechać tu w następnym roku” - to były jego ostatnie słowa. Ostatnie wypowiedziane słowa, zanim mój kijek narciarski zagłębił

się w jego ciało tuż pod łopatką, nie napotkawszy najmniejszego oporu.

Długo na takiego polowałem. Będzie najlepszym trofeum w całej kolekcji, chociaż trzeba się będzie przy nim trochę namęczyć.

Doskonale osadzona głowa, rozstaw kości obojczyka, klatka piersiowa, wspaniałe pośladki - wszystko godne najwyższej pochwały. Jedyne, co mnie w nim irytuje, to zdziwienie, zastygłe na jego wymuskanej twarzy. Zdziwienie - i nic poza tym. Dlaczego wszyscy tak bardzo się dziwią, kiedy zmienacka dopada ich śmierć? Dlaczego z taką ekspresją reagują ich zmarszczki dookoła ust i nosa, i gałki oczne? Tylko z jednym z moich modeli miałem pod tym względem szczęście. Był typowym alpinistą amatorem, który odłączył się od grupy podczas wspinaczki po południowym stoku. Zasypała go lawina. Umierał przez kilka godzin, mimo że śmierci wystarczy i piętnaście minut, żeby zwyciężyć. Kilka godzin w męczarniach tylko dlatego, że udało mu się utworzyć worek powietrzny - metodycznie uderzał kaskiem w sprasowany śnieg. Jednak to tylko przedłużyło agonię. I nadało jego twarzy wyraz, który bezskutecznie usiłuję nadać twarzom wszystkich swoich modeli - wyraz wszechogarniającego, zwierzęcego, nieprzewyciężonego przerażenia.

Przerażenie.

Przerażenie - wizytówka mojej kolekcji.

Przerażenie, uwięzione w lodowej skorupie. Przerażenie jako wspólny czynnik łączący całą kompozycję rzeźb. Sześć figur, jeśli nie liczyć tego amatora freestyli - Kiryła. Z nim będzie siedem, a to liczba nieodpowiednia dla Sądu Ostatecznego. Potrzebny jest ktoś jeszcze. Najlepiej kobieta, jeszcze jedna, prócz tej, którą już mam w swojej kolekcji. Ale ani okularnicy, ani rozwódki nie chcą widzieć. I żadnych innych naturalnych blondynek. Ich włosy nie pasują do lodu. A tu żadnej odpowiedniej kandydatki przez cały sezon! Można się załamać.

Jednak nie będę rozpaczał. Jestem cierpliwy. Jestem o wiele bardziej cierpliwy niż te cholerne góry.

Będę czekać na odpowiednią kobietę. Będę czekać na ten jeden jedyny element, który pozwoli mi zakończyć dzieło. Ostatnie pociągnięcie. Akord końcowy.

Zajmie swoje miejsce na lodowym piedestale. Godne miejsce. Szkoda, że nikt nigdy tego należycie nie oceni.

Nikt, oprócz sklepienia jaskini, która chroni moją tajemnicę, moje małe muzeum figur lodowych. A przecież mogłoby stać się atrakcją „Róży Wiatrów”! Uczniowie przyjeżdżaliby tu na wycieczki podczas ferii zimowych... Nie, uczniowie sprawiają zbyt wiele kłopotu. Papierki od cukierków, gumy przyklejane do ścian, puszki po coca-coli, zużyte prezerwatywy - uczniowie zawsze byli i będą rozwydrzeni, nie potrafią się zachować, brak im szacunku dla sztuki wysokich lotów.

A to właśnie jest sztuka wysokich lotów!

Cztery z siedmiu moich trofeów, moich fascynujących modeli, zabiły góry. Trzy - ja sam.

Sztuka wysokich lotów!

Nieobecność tego kochliwego drania, Kiryła, zauważą dopiero wieczorem. Muszę zdążyć wrócić do „Róży Wiatrów”, żeby wziąć udział w jego poszukiwaniach. Zgłoszę się na ochotnika.

Ratownicy zawsze mają nadzieję na lepsze, chociaż są doskonale oswojeni z tym, co najgorsze...

Poza tym muszę jeszcze nakarmić psy. Jak mogłem zapomnieć o psach?

CZEŚĆ I

Byla sobie dziewczyna, która nie znosiła samolotów... Nienawidziła ich bardziej niż tranu i podkolanówek z pomponami. Bardziej nawet niż stroju Śnieżynki, który musiała nosić na imprezie noworocznej. Z niewiadomych przyczyn zawsze przebierano ją za Śnieżynkę, choć dużo bardziej wołała być Dominem. Czarne kostki - białe kostki. Wielki stojący kołnierz wokół szyi... Może dziś nie byłaby taka delikatna, gdyby przywykła do samolotów.

A potem dziewczyna dorosła, ukończyła Państwowy Uniwersytet Moskiewski (wydział filologiczny - ulubione schronienie idiotek z zamożnych rodzin) i jej abstrakcyjna nienawiść do samolotów stała się bardziej konkretna. Nie znosiła wszystkiego, co wiąże się z lotnictwem - od niewinnej awionetki braci Wright, aż po ostatni model boeinga. Do pakietu znienawidzonych rzeczy należały również: napisy „Nie palić!”, „Zapiąć pasy!”, linie lotnicze SAS i Lufthansa, woda mineralna w plastikowych kubeczkach, landrynki i...

I dziury powietrzne!

Dziury powietrzne - zasadzka na każdą rozsądną osobę. Naszej bohaterce za każdym razem robi się niedobrze i zawsze zadaje sobie pytanie, czy ktoś wreszcie domyśli się i przyniesie papierową torbę, zanim dojdzie do nieszczęścia?

- Ciekawe, czy jakiś kretyń domyśli się i przyniesie papierową torbę? - zapytała słabym głosem Olga.

- Chyba nawet wiem, jak się nazywa ten kretyn, cara* - Mark nawet teraz nie przepuścił okazji, by ją pocałować.

Cara - kochanie (wł.).

Po dwóch i pół roku po ślubie. Kochany, kochany, bezgranicznie kochany Mark! Jakie szczęście, że go ma!

Bo któż jeszcze nazwałby ją „cara”, chyba jedynie jakiś drobny sycylijski mafioso, kiepski wariant ojca chrzestnego dla ubogich... „Cara” - wspomnienie miesiąca miodowego w Wenecji, do której również polecili samolotem.

Wenecja! Ta podróż była prezentem ślubnym od Marka, za który zapłacił zresztą pieniędzmi jej ojca. Dopiero po jakimś czasie dowiedziała się, że Mark przez następne pół roku musiał odpracować ten dług. Pół roku harówki bez żadnego wolnego weekendu, gdy tymczasem gondole na Canale Grande stały się jedynie wspomnieniem. Mało który mężczyzna jest zdolny do takiego poświęcenia, nawet ten szalenie zakochany.

Kochany Mark. Święty Mark.

„San Marco” - tak właśnie zwracaliby się do niego bliscy, gdyby jego rodzina pochodziła z Włoch. Ale nie pochodzi. Miasto, w którym się urodził, nazywa się Kyzyl-Arwat. Trudna do wymówienia nazwa. Nic tylko zbiór obcych ludzi, odległy dźwięk, zagubiony gdzieś w piaskach turkmeńskiego stepu. Niemal biblijnych, jak żartuje sam Mark. To pewnie biblią kierowała się matka Marka, nadając imiona swoim dzieciom: Mark - najstarszy, jego młodszy brat - Jonasz i siostry - Maria i Magdalena. Gdyby wcześniej nie umarła, matka oskubałaby pewnie cały Nowy Testament.

Mdłości powoli ustawały. Olga odchyliła się na oparciu fotela i przymknęła oczy.

Mark był najstarszą latoroślą z tego całego kyzyl-arwatskiego biblijnego potomstwa. Był jej poślubionym wobec Boga i ludzi małżonkiem, jak zwykle się mówić. Poza tym był prawą ręką jej ojca, utalentowanym menedżerem, który w wieku trzydziestu lat objął stanowisko dyrektora handlowego poważnego koncernu naftowego. Bez żadnych protekcji z jej strony. To była decyzja ojca, wyłącznie jego. Miał pod tym względem żelazne zasady. Nigdy nie powierzyłby tego stanowiska Markowi, tylko dlatego, że jest jego zięciem. O nie, Mark był naprawdę dobry i ojciec szybko się na nim poznał.

Mark nie lubi wspominać swojego dzieciństwa i wczesnej młodości spędzonej w Kyzyl-Arwacie. Nie było zresztą niczego, co warto wspominać: przytłaczająca bieda, kilka źródeł solnych, węże, piasek i gekony, wążące po ścianach do domu. Wyrwał się stamtąd tak, jak ucieła się z piekła. Matka umarła, siostra Magdalena, pozostając w zgodzie ze swym imieniem, przeniosła się do jednego z amsterdamskich klubów striptizu (Mark rzadko o niej mówi, nienawidzi jej podobnie jak Olga samolotów). Maria została w Kyzyl-Arwacie i wyszła za mąż za turkmeńskiego cieślę, spełniając tym samym przeznaczenie zawarte w jej imieniu. Pracuje w miejscowej fabryce dywanów i trudno się dziwić, że w prezencie ślubnym podarowała im dywan, który teraz leży w ich sypialni.

Jak dotąd, Olga nie poznała nikogo z rodziny Marka. Nawet dywan został przesłany okazją z Aszchabadu. Dzisiaj wreszcie pozna młodszego brata - Jonasza.

„Jonasz w paszczy wieloryba” - taki tytuł nosił chyba jeden z wątków bliźniwych.

Pewnie dlatego, że Jonaszowi nie trafił się odpowiedni wieloryb, znalazł dla siebie inne rozwiązanie: góry, w których mógł się ukryć, jak w głębokich czeluściach. Zatrudnił się jako ratownik w jednym z ośrodków narciarskich w okolicach góry Elbrus. Za godzinę ma ich odebrać na lotnisku. Jeśli wierzyć Markowi, przed nimi dziesięć wspaniałych dni w bajecznym krajobrazie górskim. Dziesięć dni albo dwa tygodnie, jeśli bardzo im się tam spodoba.

Olga wolałaby jechać nad morze. Piaszczyste plaże lubi bardziej niż śnieżne połacie. Ale Mark uwielbia zimno. I wodę pod każdą postacią. To skutek dzieciństwa spędzonego na pustyni.

Po ślubie wyjechali do Wenecji - jesiennej Wenecji. Woda pod każdą postacią i obłoczek pary wypływający z ust każdego ranka, po kochaniu się i przed poranną kawą. Mark był szczęśliwy. Był szczęśliwy w obcym mieście, gdzie na każdym kroku wszystko przypominało mu jego samego: Plac Świętego Marka, Biblioteka Świętego Marka, Katedra Świętego Marka... Wtedy, w Wenecji, w życiu nie przypuszczałyby, że Mark oszaleje na punkcie nart. W ich domu nigdy przedtem nie było żadnego sprzętu narciarskiego. Kupił go dopiero dwa tygodnie przed wyjazdem. Oczywiście, najdroższy jaki był - dla siebie i dla niej.

W kasku narciarskim jest mu naprawdę do twarzy. Podobnie jak w szpanerskich okularach za 134 dolary.

- No i jak się czujesz, cara? - przyniósł od razu kilka torebek na wypadek przykrych nawrotów choroby powietrznej. Miał przy tym tak nieszczęśliwą minę, że Olga mimo woli się uśmiechnęła.

- Już mi lepiej, najdroższy. Może jakoś przejdzie.

I znów nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pocałować. *Jego usta wciąż mnie podniecają* - pomyślała. - *Podniecają tak, jak dwa i pół roku temu, kiedy kochaliśmy się, gdzie tylko się dało.* „*Gdzie tylko się dało*” - *niezłe powiedziane, ale jakoś to stwierdzenie klóci się z posadą dyrektora handlowego, który z założenia powinien być pracoholikiem-impotentem. Tak, jego usta wciąż mnie podniecają. I ten jego zwyczaj podkradania się do moich ust ostrożnie, powoli, podążając w górę od doleczka na brodzie. Mark nazywa to wspinaczką, zdobywaniem szczytu...*

Ciekawe, dlaczego wybrał jazdę na nartach, a nie alpinizm?

Zabawne, uwielbiam całować się ze swoim własnym mężem...

- Uważaj, teraz to ona już na pewno zwymiotuje!

Olga momentalnie odsunęła się od niego i przygryzła wargi.

Inessa, no tak, jak mogła o niej zapomnieć?! Była przecież nieproszonym świadkiem wszystkich ich pocałunków. Nie umknął jej też żaden najmniejszy przejaw ich uczuć.

Mark z irytacją opadł na fotel. - Trzeba przyznać, że Twoja macocha, a moja najdroższa teściowa, to skończona suka.

- Dziękuję, Mark. Jak zawsze jesteś bardzo uprzejmy, moje serduszko - siedząca obok Inessa położyła rękę na jego kolanie.

Mężczyzna skrzywił się, ale nie zareagował. Zrobiła to za niego Olga.

- Świetny manicure, Inko - powiedziała łagodnie, zdejmując jej rękę z kolana Marka.

- Mogę ci polecić swoją manikiurzystkę. I kosmetyczkę przy okazji - uwolniła rękę z mocnego uścisku Olgi, której palce zdawały się ostrzeżać: nie dotykaj mojego męża, skończona suko!

- Na kosmetyczkę jestem jeszcze za młoda.

Inessa się roześmiała. Olga zawsze lubiła jej śmiech. Był dźwięczny i delikatny jak dzwonki na wietrze. *Nie, ona nie jest skończoną suką. Jest moją najlepszą przyjaciółką. I żoną mojego ojca.*

„Twoja macocha, a moja najdroższa teściowa” - kolejny dowcip, wymyślony przez Marka. Temat do żartów w rodzinnym kręgu.

Inessa. Inka. Najlepsza przyjaciółka Olgi, najpierw ze szkoły, później z instytutu. Inka. Ładna brunetka ze zmysłowymi wargami. Pokłócili się tylko raz w życiu, w siódmej klasie, z powodu piegowatego chłopaka, który przeniósł się do innej szkoły dwa tygodnie po ich kłótni. A Inka i Olga nie rozmawiały ze sobą przez pół roku. Aż do dnia, w którym umarła matki Olgi.

Popełniła samobójstwo - *nie, lepiej o tym nie myśleć. Nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć...*

Olga zawsze kochała ojca. Tylko jego. W ich niewielkiej rodzinie zawsze istniał trójkąt: ona - ojciec - matka. Stało się tak właściwie od tej imprezy noworocznej w przedszkolu, kiedy to przebrali ją w strój Śnieżynki. Trzeba przyznać, że ze swoimi kruczoczarnymi włosami odziedziczonymi po matce, nie wyglądała w nim zbyt dobrze.

Jej matka była Gruzinką z porządnej tbiliskiej rodziny. Wiolonczelistką z wykształceniem muzycznym. Rodzice poznali się w filharmonii na koncercie Debussy'ego. Nie ma już chyba gorszego miejsca na romantyczne spotkanie. Olga przyszła na świat półtora roku po zagranium preludium do „Popołudnia Fausta”.

Kiedy skończyła pięć lat, matka po raz pierwszy zabrała ją do Tbilisi. Wcześniej starzejące się kobiety w czerni, przenikliwy chłód pokojów i masywne rodzinne klejnoty. Przed snem bawiła się pierścieniem, który według rodzinnej legendy należał do Dawida IV Budowniczego... Tbilisi stało się koszmarem dla pięcioletniego moskiewskiego dziecka. Olga tęskniła za tatusiem, który został w bajkowej krainie z piernika - w znanej, bliskiej, kochanej Moskwie. Wypłakiwała sobie za nim oczy. Wróciły z matką po czterech dniach.

Obecnie ma dwadzieścia siedem lat, ale do tej pory jej wstyd z powodu tamtej ucieczki z Tbilisi. Nigdy więcej tam nie była, nie pojechała nawet na pogrzeb matki. Wcześniej starzejące się kobiety w czerni zabrały z Moskwy ciało Manany, a Olgę ścięła wtedy z nóg gorączka. Przeleżała u Inki dwa tygodnie, aż do powrotu ojca.

Wybacz mi, mamusiu. Za życia rzadko nazywałam cię mamą. Wolałam „Mananę”, jak ojciec. Nawet w ten sposób starałam się być do niego podobna: Manana, znowu zrobiłaś to okropne lobio, przecież wiesz, że nie lubię twojej gruzińskiej kuchni... Manana, jesteś wzywana do szkoły.

Manana, nie założę tego idiotycznego stroju... A Manana na wszystko się zgadzała. Była zbyt łagodna jak na Gruzinkę. Jedynie w jej oczach płonął nieznośny, obracający wszystko w popiół ogień.

Olga bała się tego ognia. Czasami nawet myślała przed snem: jak dobrze byłoby, gdyby Manana wyjechała i raz na zawsze pozostała w tym swoim czerwono-czarnym Tbilisi.

I w końcu rzeczywiście ich opuściła. Wyjechała raz na zawsze do swojego czerwono-czarnego Tbilisi. W ocynkowanej trumnie. A razem z nią zniknął zapach kinzy, przypraw korzennych i mocnej kawy. Potem zapadły w zapomnienie metalowe naczynia i gliniane dzbany. Nikt ich specjalnie nie wyrzucał. Wydawało się, jakby rzeczy same ukradkiem opuszczały dom. Została tylko jej wiolonczela. Ojciec nadal ją ma, chociaż nie mieszka już w starym domu. Wybudował sobie willę za miastem, a Oldze kupił mieszkanie na Prospeckie Lenina, w prestiżowym bloku z portierką i systemem kamer.

Przez długie lata po śmierci matki męczyły ją wyrzuty sumienia. Sądziła, że gdyby była lepsza dla mamy, ta nie popełniłaby samobójstwa. Dopiero na pierwszym roku studiów ojciec po pijanemu wyznał jej całą prawdę: Manana była chora.

Zawsze wydawała mu się nieco dziwna, nawet wtedy, gdy zaczęli się spotykać i robili długie spacerunki po Sokolnikach. Zbyt często wpadała we wściekłość, szalała z chorobliwej zazdrości, a jej humor mógł się kardynalnie zmienić w ciągu pięciu minut bez żadnej poważnej przyczyny. Wraz z narodzinami Olgi to wszystko się nasiliło. Manana zaczęła wpadać w depresję jak w śpiączkę. Stany depresyjne kończyły się wybuchem niepohamowanej złości - ojciec musiał chować przed nią wszystkie ostre przedmioty, włącznie z pilniczkiem do paznokci i nożyczkami do manikiuru. Kilkakrotnie przebywała w różnych klinikach psychiatrycznych. Fakt ten zawsze był ukrywany przed córką. Rodzice chcieli jej w ten sposób oszczędzić przykrych wspomnień z dzieciństwa i nie spowodować urazu psychicznego. Manana była zbyt dumna, żeby pozwolić córce być świadkiem jej choroby. Gruzińska piękność, z domu Bagrationi, nie wzięła plebejskiego nazwiska po mężu - Szmarinow. Po raz ostatni wyszła ze szpitala na trzy dni przed samobójstwem.

Ojciec kochał Mananę. Po jej śmierci przez długi czas nie myślał o kolejnym małżeństwie. I żeby jakoś przetrwać te trudne chwile, rzucił się w wir

pracy. Potęgę swojego naftowego imperium zawdzięcza więc zwyczajnie samotności...

Pierwszy rok studiów na wydziale filologicznym był dla Olgi bardzo ciężki. Jak miecz Damoklesa ciążyła nad nią rodzinna tajemnica. Nieustannie bała się, że oznaki choroby wystąpią także u niej. Z tego stanu wyciągnęła ją Inka, która poszła na ten sam wydział, żeby dotrzymać przyjaciółce towarzysztwa. Stany lękowe Olgi nazywała „manią Manany”.

Tylko Inka nazywała Olę Oluszą. Brzmiało to nieco ironicznie, ale jednocześnie ją uspokajało. Sama Inka również działała na nią uspokajająco. Aż do czasu, kiedy wybrała się razem z Olgą i jej ojcem do Złotych Piasków w Bułgarii.

Na ostatnie dwie noce Inka nie wróciła do pokoju hotelowego. Olga pomyślała, że gorąca ślicznotka poderwała jakiegoś przystojnego, owłosionego Bułgara. Zbyt wielu się ich kręciło dookoła, żeby Inka nie skorzystała z takiej okazji. Jednak rzeczywistość okazała się absurdalna. W samolocie (w jednym z tych pieprzonych samolotów, których Olga tak nienawidziła) ojciec oświadczył, że ma zamiar ożenić się z jej przyjaciółką.

Uczynił to w najmniej odpowiednim momencie, kiedy samolot wpadał właśnie w turbulencje w kolejnej dziurze powietrznej.

Olga zwymiotowała.

- Mam nadzieję, że to nie jest reakcja na wieść o naszych zaręczynach - zauważyła z sarkazmem Inka.

- Nie kłóćcie się, dziewczyny, bardzo was proszę. Kocham was obie - powiedział ugodowo ojciec.

„Was obie” - tylko tego brakowało! Inka, jej najlepsza przyjaciółka od pierwszej klasy podstawówki; Inka, z którą szeptały sobie po kątach i chichotały pod jedną kołdrą, kiedy Olga zostawała u niej na noc; Inka sypia teraz z jej - JEJ! - ojcem i zwraca się do niego po imieniu - Igor.

- Jak do niego mówisz? - zapytała, kiedy wylądowali i ojciec poszedł po bagaże.

- Do kogo? - Inka nie zrozumiała pytania.

- Do ojca.

- Ale w jakim sensie?

Inka nadawała zabawne przydomki wszystkim mężczyznom, z którymi sypiała, nawet tym, z którymi łączyły ją długotrwałe stosunki. Zawsze cechował ją zdrowy cynizm.

- Dobrze wiesz, w jakim.
- Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółkami, Olusza... - rzuciła, patrząc w przestrzeń.

Olga przemilczała tę uwagę.

Tak trudno pogodzić się z tym, że najlepsza przyjaciółka, o której miłosnych podbojach wie się wszystko, zostanie żoną swojego ojca. On będzie ją obejmować tak, jak każdy mężczyzna obejmuje ukochaną kobietę. Będą uprawiać seks jak wszystkie pary - z tą tylko różnicą, że ojciec nie jest „jakimś tam mężczyzną”... Inka wprost uwielbiała opowiadać o swoich miłosnych podbojach. W trakcie wykładów przysyłała jej sprośne liściki, w których aż roilo się od pikantnych sformułowań. Swoich byłych partnerów nazywała „martwymi workami”, a listę swoich podbojów - „moją martyrologią”.

I właśnie ta jadowita żmija została teraz żoną jej ojca.

Po ślubie przez długi czas nie utrzymywały ze sobą kontaktu. Olga musiała przyzwyczać się do nowej roli, jaką odgrywała obecnie jej koleżanka.

A potem w jej życiu pojawił się Mark i wszystko zeszło na plan dalszy: i Inka, i ojciec, i ich małżeństwo. Mark i Inka od samego początku nie przypadli sobie do gustu. Mark uważał Inkę za wyrafinowaną dziwkę, co było z jego strony niesprawiedliwe, gdyż na pewno nie zdradzała ojca. A ta odpłacała mu tą samą monetą: „turkmeński parweniusz, nic więcej”. Ale równocześnie nie mogli się powstrzymać, by nie przebierając w środkach, prowadzić między sobą zimną wojnę i wzajemnie atakować się ostrymi przycinakami. W gruncie rzeczy, Oldze podobały się nawet te improwizowane starcia, podobnie jak ojcu.

W końcu dlaczego nie miałyby to stać się ich rodzinną dyscypliną sportu?

Ale teraz czeka ich zupełnie inny rodzaj sportu. Narty.

To był pomysł Marka, by odwiedzić brata mieszkającego w górach Elbrus. Gdy tylko dowiedziała się o tym Inka, zaraz chciała jechać razem z nimi. Wystarczyło, że Olga napomknęła o możliwości wyjazdu. Dlaczego wybrała właśnie narty? Mogła przecież wybrać coś mniej egzotycznego: na przykład grę w lotki w irlandzkim pubie, z obowiązkową wycieczką do rodzinnej miejscowości aktora - Seana Connery? Albo brydż i ostrygi gdzieś na Lazurowym Wybrzeżu? O, nie! Ona musiała wybrać właśnie narciarstwo alpejskie! A potem i ojciec obiecał, że przyjedzie na jakiś weekend. A poza tym,

Inka nie wytrzymałaby bez tych intelektualnych potyczek z Markiem. Jej manifestacyjna niechęć do męża Olgi musi dostawać zastrzyk przynajmniej trzy razy dziennie.

Dlatego lecą całą trójką.

Zapowiada się niezły urlop!

„...Samolot podchodzi do lądowania. Za dziesięć minut znajdziemy się na lotnisku. Prosimy zapiąć pasy...”.

Dzięki Bogu, za dziesięć minut wydostaniemy się z tej wstrętnej skrzyni i jazda w góry! Całe dwa tygodnie z dala od Moskwy, nawet jeśli w tej samej trupie cyrkowej.

Mark ujął Olgę za rękę i delikatnie ścisnął jej palce. Odpowiedziała tym samym. Jak pięknie prezentuje się obrączka na jego palcu! Na jej, zresztą, też. Trzeba przyznać, że tworzą piękną parę.

- Jak się nazywa to schronienie dla Eskimosów, do którego nas ciągniesz? - zapytała Inka.

- Chyba „Róża Wiatrów” - Mark nadal nie puszczał dłoni Olgi.

- Nazwa brzmi równie świeżo, jak sztuczne kwiaty w stołówce zakładowej.

- Nikt tu cię nie ciągnął na siłę - Mark jak zwykle był niezmiernie taktowny. - Sama się wprosiłaś.

- Licz się ze słowami, zięciulku, bo inaczej szybko pożegnasz się ze stanowiskiem.

- Na razie jeszcze nie stoisz na czele koncernu, kochaniutka.

- Ale szefowa w łóżku ma prawie taką samą władzę, jak zapewne wiesz, moje serduszko.

Olga skrzywiła się. Inka faktycznie jest skończoną suką. Mark ma rację. Ale ojciec jest z nią szczęśliwy, nie da się ukryć. Jest szczęśliwy jak nigdy dotąd. Nie był szczęśliwy ani z Mananą, ani z żadną inną kobietą. Już samo to wystarczy, żeby przymknąć oko na jej kretyńskie wybryki.

Samolotem zatrzęsło - koła podwozia dotknęły ziemi. Ostatnia fala mdłości ogarnęła jej ciało i od razu minęła. Są znowu na twardej ziemi, chwala Ci, Panie!

- Obiecuję, że będą to niezapomniane dwa tygodnie, cara - wyszeptła czule męż.

- Kocham cię, Mark.

- Ja ciebie też, cara...

* * *

Jonasz był zupełnie niepodobny do Marka.

Czekał na nich w sali przylotów. Jego twarz wyróżniała się z tłumu. Jakie dziwne imię, Jonasz! To nierosyjskie imię odcisnęło swoje piętno na jego wyglądzie zewnętrznym. Takie twarze spotyka się jedynie u pustelników albo świętych, którzy są narażeni na zmasowane ataki najróżniejszych pokus: śniada cera, prawie całkowicie zrosnięte ciemne brwi, zaciśnięte usta i czarne niczym węgielki oczy, tak ciemne, jakby żaden promień słońca nie był w stanie w nie wnikać. W porównaniu z jasnowłosym, jasnookim Markiem Jonasz wyglądał jak szatan kusiciel, zwiastun ognia piekielnego.

Bracia najpierw uściśniły sobie dłonie, a dopiero potem niezgrabnie się objęli.

Niezbyt jesteście sobie bliscy, jak widać - pomyślała Olga.

- Pozwól, że przedstawię. To są moje dziewczyny: żona i teściowa. Przywiozłem całą kochaną rodzinę.

Jonasz ze zdziwieniem uniósł brwi: żadna z nich nie wyglądała mu na teściową.

- Mam na imię Inessa - Inka zdążyła w ciągu kilku chwil rozebrać Jonaszę wzrokiem. Profesjonalne spojrzenie, które w rozwiązłych latach studenckich opanowała do perfekcji.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteście braćmi.

- Dlaczego? - Oldze wydawało się, że Mark poczuł się z lekka obrażony.

- Jesteście zupełnie do siebie niepodobni. Chyba że wasza matka trochę zgrzeszyła?

- Nie bardziej niż twoja... Nie zwracaj na nią uwagi, Jonasz.

- Ależ nie! Zwracaj, zwracaj. Będzie mi przyjemnie.

- To jest właśnie moja teściowa - Mark dociął Ince.

Jonasz podał kobietom rękę.

- I jak ci się tu żyje? - zadał spóźnione pytanie Mark.

- Dziękuję, nieźle - Jonasz nie spuszczał wzroku z jego towarzyszek. Zero emocji w antracytowych oczach. Jedynie powściągliwe uznanie: masz łaski, jak się patrzy, braciszku!

- A jak z pogodą?

- Pod psem - przyznał uczciwie Jonasz.
- Rzeczywiście jest tak źle? - zapytała zmartwiona Inka.
- Wiosna za pasem. Lawiny - wyjaśnił. - Akurat przedwczoraj dwie zeszyły. Nie najlepszy moment wybraliście sobie na urlop.
- A uda nam się zobaczyć te lawiny? - Osobliwości miejscowego klimatu najwyraźniej Inkę fascynowały.
- Możecie być tego pewni! - uspokoił wszystkich Jonasz.
- A to nie jest niebezpieczne?
- Jak by wam to powiedzieć... Pięć dni temu jeden chłopak wyszedł i nie wrócił.

Nieźle, i to ma być może wizytówka ekskluzywnego ośrodka wypoczynkowego! Ale Mark przejął już inicjatywę, nie pozwalając swojemu bratu na dalsze straszenie kobiet. Objął swoją ukochaną żonę, Olgę, oraz swojego wroga klasowego, Inesę, i powiedział:

- Moje panie, proszę się nie obawiać, jesteście pod opieką floty Jego Cesarskiej Mości!

Inka chrząknęła.

- Ależ nikt się nie boi. Ekstremalne sytuacje nadają życiu smaczek. Nie sądzisz, Olusza?

- Zależy jak dla kogo. - Olga wzruszyła ramionami. - W każdym razie, to nie jest najbardziej wesoła zapowiedź urlopu

Mężczyźni poszli po bagaż, a kobiety zostały same.

- No i jak ci się podoba ten cudowny brat? Nie wiem, jak u niego z głową - pewnie ma mózg mniejszy niż faszzerowany szczupak... Ale ciało ma wprost idealne! Po tych słowach uznania Inka dyskretnie otaksowała wzrokiem pozostałych przedstawicieli gatunku, jakie miało do zaoferowana najbliższe otoczenie. Cały zastęp ułanów sportów zimowych, stojących w pełnym rynsztunku, rzucał lubieżne spojrzenia w ich stronę. Co zrobić, Inka jest skazana na to, by przez całe życie być otoczoną mężczyznami.

Jeden z chłopaków postanowił spróbować szczęścia. Trzeba przyznać, M był bardzo przystojny.

„Czy panie nie jadą przypadkiem do „Róży Wiatrów”?

- Nie potrzebujemy instruktorów. Mamy już swoich - odpaliła Inka, Po czym zwróciła się do Olgi: - No to jak ci się podoba krewniak?

- Zobaczymy - Olga raptem zaczęła się czuć nieswojo na małym lotnisku. Tak było zawsze, kiedy opuszczał ją Mark.

- A zatem bardzo, jeśli cię dobrze zrozumiałam? Trudno się dziwić, to przecież rodzinne.

- Właśnie.

- Zobacz, ile towaru się nazjeżdżało! Nie damy rady się od nich opędzić. Chyba że twój oblubieniec wyzwie ich wszystkich na pojedynek narciarski.

- Niepotrzebnie tu przyjechaliśmy - stwierdziła Olga nieoczekiwanie.

- A moim zdaniem nieźle się zaczyna. Boże, tylko tego brakowało!

Ostatnia uwaga Inki rzucona była pod adresem kolorowego taboru Cyganów, którzy ulokowali się w pobliskim kącie sali, tuż pod nędzną palmą i równie nędznym plakatem z czasów radzieckich: „LATAJCIE Z AEROFLO-TEM!”. Drobne cygańskie dziecko już od dłuższego czasu bezkarnie kręciło się dookoła nich, a nawet próbowało wsadzić rękę do torby podróżnej Inki. Natychmiast zostało złapane za rękę, a raczej za ucho. Inka z rozkoszą wykręcała umorusane cygańskie ucho, a jego właściciel darł się wniebogłosy.

- Puść mnie, puść, ty świniou!

- Oberwiesz za tę świnię, gnojku!

- Puść go, Inka - powiedziała Olga, ale wcale nie z sympatii do Cyganów. Nie. Nie znosiła ich.

- W życiu! Ani mi się śni! - odparła Inka, ale mimo wszystko puściła ucho nieszczęśnika. - Teraz będę musiała znaleźć jakiś środek odkażający.

W ich stronę zbliżała się już Cyganka, której liczne warstwy spódnic rozwiewały się jak skrzydła. Jednak jej atak okazał się nad podziw łagodny.

- Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego bijesz dziecko? - zapytała Inkę, patrząc nie wiedzieć czemu na Olgę.

- Dlatego, że to złodziej - odparła z pogardą w głosie Inka.

- A złapałaś go za rękę? Nieładnie tak wszystkich dookoła podejrzewać. Źle postępujesz...

- Nie twoja sprawa.

- A i owszem, nie moja - zgodziła się Cyganka i przysunęła się jeszcze bliżej Olgi. - Chodź, powrócę ci, piękna kobieto.

Twarz Olgi wykrzywił grymas, jakby ją rozboleł ząb. Włożyła rękę do kieszeni kurtki i niepostrzeżenie zsunęła z palca złoty pierścionek z drobnymi

szmaragdami - prezent od Marka na walentynki. Poszli wtedy do jakiegoś nocnego klubu, zabawili się i byli bardzo szczęśliwi.

Ostrożności nigdy za wiele, pomyślała Olga. Najwyraźniej posiadała wprost fenomenalną zdolność do przyciągania Cyganów i już raz za to zapłaciła innym pierścionkiem. Prawdziwym szafirem lekko zmatowiałym z biegiem czasu, rodzinną pamiątką, jedyną, jaka jej pozostała po Mananie.

Do dziś nie mogła przeboleć tej straty.

- Każ jej spływać - poradziła cicho Inka.

Jednak wzrok Cyganki zahipnotyzował Olgę. Zręczne, spierzchnięte od zimna, palce chwyciły ją za rękę.

- Dlaczego zdjąłeś pierścionek? - zapytała z taką delikatną pretensją w głosie, że Olga aż się zawstydziła. - Boisz się, że ukradnę twoje szmaragdy?

- Oczywiście, że ukradniesz! - wtrąciła Inka, z zaciekawieniem obserwując poczynania Cyganki.

Ta odwróciła dłoń Olgi, spojrzała w nią, jakby zaglądała w otchłań, i momentalnie odskoczyła jak oparzona.

- Niedobra ręka, moja droga, oj, niedobra... Napiętnowana. Wyjedź stąd. Wyjedź, póki nie jest za późno. Jak najszybciej. W przeciwnym razie czeka cię śmierć. Umrzesz i pociągniesz wszystkich za sobą...

Po tych słowach puściła jej dłoń tak szybko, jak gdyby niewinnie wyglądające linie papilarne parzyły jej palce. Zawołała do siebie małego złodziejaska i zaczęła pośpiesznie podążać w stronę swojego taboru, co chwila oglądając się na Olgę.

- Co za bzdury nawciskała ci ta durna baba? - zapytała zaniepokojona Inka. Nigdy przedtem nie martwiła się o los swojej przyjaciółki. - Brednie! A ty też jesteś niezła, słuchałaś jak zaczarowana. Dziwię ci się! Zawsze ci powtarzam, że tych brudasów trzeba omijać z daleka.

Ale do Olgi nie docierały już jej słowa. Cholerna Cyganka, żeby tak zepsuć jej nastrój w przeddzień dwutygodniowego urlopu z ukochanym. Jedynego urlopu w roku! Nie, nie bała się tych głupich przepowiedni, nic sobie z nich nie robiła - niemniej jednak...

Aż żal było na nią patrzeć. Łzy cisnęły jej się do oczu. Wyglądała, jakby lada moment miała się rozpląkać. Nawet Inka nie była w stanie jej pocieszyć.

- A niech to! - zawołała oburzona. - Co za hołota! Żeby tak nam spaskudzić początek urlopu! No dobra już, nie bierz tego do siebie, a obcych ciał do buzi, jak lubiła żartować moja znajoma prostytutka z Twerskiej. A gdzie ci faceci się zawieruszyli? Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni!

Rzeczywiście, gdzie się podział Mark? Olga była już nawet z lekka poirytowana, ale starała się zdusić w sobie to uczucie.

- Nic się nie stało. Wszystko w porządku - ujęła twarz w dłonie i natchmiast je cofnęła. Co się kryje w tych liniach papilarnych, co tak wystraszyło Cyganek? Należy jak najszybciej zapomnieć o wszystkim, co powiedziała, bo inaczej można zwariować. Pewnie chciała się zemścić za chłopaka. Nie warto się tym przejmować. Ale było coś, co naprawdę ją zaniepokoiło. Cyganka zachowała się, jakby spojrzała w lustro i zobaczyła w nim coś przerażającego. *Cholera jasna, trzeba zapomnieć o tym wcześniej, zanim...*

Wcześniej, zanim co? Nie mogła wyrzucić z pamięci słów Cyganki.

Gdzie się podział Mark, do diabła?! Kiedy przyjdzie i mnie obejmie, wszystko będzie jak dawniej...

Mark z Jonaszem, obładowani bagażami, wrócili dopiero po upływie pół godziny. Nie ma się czemu dziwić. Przecież bracia, którzy nie widzieli się przez wiele lat, muszą pogadać na osobności. Mark z miejsca zorientował się, że coś jest nie tak. W stosunku do żony odznaczał się fantastyczną intuicją.

- Cara, co się stało? Dlaczego jesteś taka roztrzęsiona?

- Wszystko w porządku - westchnęła z ulgą i ścisnęła go za łokieć. No bo faktycznie wszystko było w porządku. O jakiej śmierci może być mowa, skoro zamierzają żyć ze sobą długo i szczęśliwie?

- Jesteś bardzo blada.

- Jeszcze zdąży się opalić - Inka zapanowała już nad emocjami.

Wraz z pojawieniem się Marka jej irytacja i niepokój znikły jakby ręką odjął. Pozostała tylko zwykła maska - cynizm.

Ale Mark wciąż był zaniepokojony.

- Jakaś stara kretyńka w paciorkach i koralach przepowiedziała jej zagładę świata - Inka znów ją uprzedziła. I dzięki Bogu - w jej interpretacji brzmiało to zabawnie, a już na pewno mniej tragicznie.

- Naprawdę?! - Mark uważnie popatrzył na Olę.

- Nie martw się, kochanie, zawsze miałam problemy z Cyganami.

- Wobec tego chodźmy. Musimy dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Postanowił nie wdawać się w szczegóły. Zawsze sceptycznie odnosił się do wszelkiego rodzaju przepowiedni.

Całą ekipą ruszyli w stronę wyjścia.

Tuż przy drzwiach Olga nie wytrzymała i odwróciła się.

Cyganka bacznie ją obserwowała ze swojego kąta pod nędzną palmą. Stała w niewielkiej odległości od swojego taboru. Jej płonące wściekłym blaskiem oczy wydawały się takie znajome... Olga o mało co nie zemdląła.

Przypominały oczy jej matki!

Manany.

„Wyjedź” - mówiły. - „Wyjedź, uciekaj stąd, bo inaczej umrzesz... Uciekaj!”.

* * *

Droga do „Róży Wiatrów” zajęła im bite cztery godziny. Jonasz nieźle radził sobie z prowadzeniem niwy, podobnej raczej do łązika niż do zwykłej osobówki. Inka zajęła miejsce obok kierowcy, Mark i Olga ulokowali się na tylnym siedzeniu. Olga oparła się o jego ramię i co chwilę przysypiała. *Dziwne, że mu ręka jeszcze nie zdrętwiała*, pomyślała w półśnie. Zresztą to dla niego normalne. Zawsze był cierpliwy. Cierpliwy jak turkmeńskie węże, wśród których się wychował.

Kiedy zapadł zmierzch, Inka, która dotąd podziwiała przez okno górskie widoki, zaczęła się nudzić i skierowała swoją uwagę na zniechęconego zięcia i jego dobroniuszowego brata. Jednak Jonasz był twardym przeciwnikiem i Ince nie udało się wciągnąć go w rozmowę. Tym samym zmusił ją do pierwszej przegranej w jej długiej karierze uwodzicielki.

- No niech pan coś opowie o tym waszym rycerskim zamku, tam w górze - nie dawała mu spokoju.

- Jestem ratownikiem górskim, a nie przewodnikiem.

- Ale przecież... zależy panu na klientach...

- Mnie osobiście nie zależy. To tylko dodatkowy kłopot. Wiecznie są z wami jakieś problemy.

- Ma pan na myśli tego zaginionego chłopaka? Do tej pory go nie odnaleziono?

- Nie.
- A to ciekawe - zawsze wzruszały ją tragiczne historie.

Olga miała poważne podejrzenia co do jej przyszłości. Była przekonana, że na starość przyjaciółka sprawi sobie muzeum anatomii, w którym za eksponaty służyć będą ofiary nieszczęśliwych wypadków.

- Nie nazwałbym tego „ciekawe”. Całe schronisko zostało postawione w stan pogotowia.

- Schronisko? - Inka spojrzała pytająco na Marka. - Przecież, gołąbeczku, obiecałeś nam ośrodek górski wysokiej klasy.

- Ależ ono jest wysokiej klasy - ujął się za bratem Jonasz. - Nie będziecie rozczarowani.

Spojrzał we wsteczne lustro i Olga zobaczyła tuż przed sobą jego oczy. Było w nich coś takiego... Coś takiego, co wywołało w niej falę strachu. Przytuliła się mocniej do Marka.

- Masz małą żonę - zauważył Jonasz, który sam nie był zbyt rozmowny.

- Za to teściowa nadaje za dwie. - Mark nie wytrzymał, nachylił się do przodu i potarł jej krótko ostrzyżone włosy. - No nie, najdroższa?

- Święta prawda - przytaknęła. - A dancing macie?

- Co? - zdziwił się Jonasz.

- Marik, gołąbeczku, twój brat cię kompromituje. Dancing. Coś w rodzaju potańcówki, gdzie przygrywają na bałajce.

- A tego to mamy, ile dusza zapagnie. - Oczy Jonasza ciągle jeszcze przeszywały Olgę. - Jest restauracja i dwa bary. W restauracji dodatkowo jest kwartet smyczkowy dla bardziej wymagających.

- Świetnie - zachichotała. - Panie Jonaszu, dziś wieczorem poproszę pana do tańca. Do białego walca.

- Dzisiaj nie da rady. Będziemy kontynuować poszukiwania, dopóki go nie znajdziemy.

- Nieszczęśliwą ofiarę lawiny? - spytała Inka zalotnie.

- Na pani miejscu ugryzłbym się w język, zanim bym coś chlapnął - uznał wreszcie, że należy powiedzieć jej do słuchu. - Góry mają uszy. Takie wypowiedzi można przyplacić życiem.

- No dobrze już, dobrze. Niech się pan tak nie obraża... - Na znak zgody dotknęła jego ramienia. - Lepiej niech pan opowie, co też fajnego nas u was czeka?

- Nie sądzę, żeby poza barami, restauracjami i tym pani dancinżem coś panią zainteresowało.

- Zapomniał pan jeszcze o kwartecie smyczkowym.

- Proszę mi wybaczyć.

- Nic więcej nie macie do zaoferowania?

- Trzy wyciągi. Kolejka linowa. Pięć tras zjazdowych. Jedna świetna trasa dla amatorów. Bo jesteście amatorami, jak rozumiem? Więc o ekstremalnych rozrywkach, typu snowboard, nie będę wspominać.

- A powinieneś - Mark mógł nareszcie ujawnić swoją tajemną pasję. - Ja planuję pojeździć na nartach carvingowych.

- Wow! - Jonasz aż gwizdnął z podziwu. - Widzę, że poważnie podchodzisz do tematu... Ale nie sądzę, żeby twoje panie dotrzymały ci towarzystwa.

- Dlaczego nie? - uśmiechnęła się Inka. - Myślę, że jeśli taki podatny materiał trafi w ręce porządnego instruktora...

- Nie jestem instruktorem.

- Ale ja nie pana miałam na myśli.

Jonasz odwrócił się do brata.

- Twój teść ma nieźle przechłapano z taką żoną.

- No co też pan, panie Jonaszu, jestem jak żona Cezara: poza podejrzeniami. Nie musi się pan obawiać o swoją cnotę.

- Postaram się.

Zza ostrego zakrętu wyłoniły się światła - małe miasteczko w samym sercu gór i lodowców wyglądało urokliwie. Wprost magicznie. Cały kompleks budynków, oszklony dwupiętrowy hotel i mnóstwo bungalowów wokół niego. Wszystko utrzymane w stylu alpejskim. Nawet niebo nad nimi wyglądało tak, jakby ktoś je jasno oświetlił. Nie spodziewali się takiego piękna.

- O, Boże! Gdzie myśmy trafili? - przerwała ciszę Inessa.

- Na pewno nie do Austrii - Jonasz był zadowolony z wrażenia, jakie udało mu się wywołać na gościach.

- Cara - Mark znów znalazł pretekst, żeby pocałować Olę - rzucamy Moskwę w diabły i zamieszkamy tu na zawsze.

- Jestem za - odpowiedziała.

- No to co, witajcie w „Róży Wiatrów” - Jonasz nacisnął klakson i samochód wydał z siebie radosny dźwięk. - Życzę przyjemnego odpoczynku.

A jego oczy w lustrze rozbłysły niespodziewaną czułością.

* * *

Jeszcze w Moskwie tuż przed wyjazdem Mark zarezerwował na swoje nazwisko dwupokojowy domek, stojący na samym skraju, dzięki czemu z okien mieli najlepszy widok na góry. Można było oczywiście wynająć apartament w budynku głównym, jak to zrobiła Inessa, ale Mark z miejsca odrzucił taki wariant.

- Wszystkie hotele są do siebie podobne, cara - powiedział.
- Nawet pięciogwiazdkowe?
- Zwłaszcza one. Kominek i podłoga z drewna - to zupełnie inna bajka. Olga oniemiała. Jak dotąd nie ujawniał skłonności do romantyzmu.

Od miłego, aczkolwiek nieco melancholijnego, portiera otrzymali klucze do swojej chatki. Chłopak okazał się bardzo uprzejmy. Ze wszystkich sił starał się sprostać światowym standardom.

- Witamy w „Róży Wiatrów” - uśmiechnął się profesjonalnie, ukazując różowe dziąsła. - Życzymy przyjemnego odpoczynku.
- Wygląda na to, że zwroty: „Serdecznie witamy” i „Życzymy przyjemnego pobytu” są tu w ciągłym użyciu - zauważyła Inessa.
- Nazywam się Szmarinowa, poproszę o luksusowy apartament.

Olga drgnęła. Nie mogła się jakoś przyzwycząić, że Inka nosi jej panieńskie nazwisko. Sama po ślubie przyjęła nazwisko męża. „Olga Krasieńska” - brzmi całkiem niezłe i jeszcze bardziej zbliżają do Marka. Odwieczne głupie marzenie: być tuż obok. Zbliżyć się do męża jak najbardziej się da.

- Tak, tak - portier podał klucz. - Numer dwanaście. Zaraz ktoś panią zaprowadzi.
 - Nie ma potrzeby, sama sobie poradzę - z powątpiewaniem spojrzała na pałętającego się obok spasionego chłopaka hotelowego. Na twarzy miał wypisane chorobliwe wręcz upodobanie do wysokich napiwków.
 - Jak sobie pani życzy - portier w jednej chwili zmarnotniał.
 - No bo chyba mi pomożesz, Mark, gołębiczku?
 - A mam inne wyjście...
- Olga wraz z obładowanym walizkami Markiem podążyła w ślad za Inką.

Jej pokoje znajdowały się na drugim piętrze: wytworny apartament, jakby stworzony na miesiąc miodowy dla pary urodzonych alpinistów, na których plecach ciąży nieudana próba wdrapania się na szczyt komunizmu.

- Nieźle, nieźle - zdawkowo pochwaliła swój nowy azyl Inka. - Nawet te frotowe szlafroki są całkiem do twarzy. Myślę, że Igor będzie zadowolony.

Olga sceptycznie pokiwała głową. Ojciec obiecał wprawdzie wpaść na kilka dni, jeśli mu się uda, jednak Olga nie bardzo w to wierzyła. Praca zawsze była u niego na pierwszym miejscu. Chociaż trzeba przyznać, że ostatnio zaczął się zmieniać. Nie da rady wytrzymać cały tydzień bez żony.

- Możecie już iść, moje dzieci - pozwoliła łaskawie Inka, rzucając się w butach na łóżko, przykryte jedwabną tkaniną. - Spotykamy się za półtorej godziny w barze.

- Lepiej za dwie - odezwał się ostrożnie Mark.

- Ależ z ciebie maniak seksualny, gołąbeczku. Mam nadzieję, że dwie godziny z nawiązką wystarczą wam na wszystkie igraszki?

- Inka! - Olga była zdegustowana. - Chociaż raz się powstrzymaj.

- A to dlaczego? Góry pobudzają seksualnie. Nie wybaczylabym sobie, gdybym miała wam przeszkodzić w miłosnych igraszkach.

- A co z moim napiwkim? - Mark nie miał zamiaru odchodzić.

- Co to znaczy - „napiwkim”? - Inka była szczerze zdziwiona.

- Przydźwigałem wszystkie twoje graty!

Gratów rzeczywiście było bez liku. Wyglądało, jakby do tego górskiego grajdołu Inka przywiozła całą swoją garderobę, włącznie z wieczorowymi kreacjami na bankiety dla wyższych sfer. Samych kostiumów narciarskich były trzy pary, nie mówiąc już o mnóstwie wszelakich dodatków.

- Bóg ci wynagrodzi, zięciu. Nie doprowadzaj swoją chciwością biednej starej kobiety do ruiny. Czekam na was za dwie godziny. Obowiązuje strój wieczorowy.

Po piętnastu minutach byli już u siebie.

Mark natychmiast zajął się ich bagażami: dwie torby podróżne, dwie walizki na kółkach, przywiezione przez niego z Kilonii, dokąd poleciał z polecenia ojca, do tego imponujących rozmiarów „dyplomata” z dokumentami, którą zawsze zamykał na kłódkę z szyfrem. Przyzwyczajenie nabyte w ciągu

wielu lat pracy w koncernie. Jego zdaniem, wszystkie dokumenty powinny być dobrze zabezpieczone. Olgę rozczulał ten niemal paranoiczny strach przed szpiegostwem przemysłowym.

Stała przy szerokim na całą ścianę oknie i nie mogła oderwać wzroku od zniewalającego pejzażu: bajkowego piękna błękitnego śniegu i niemal czarnego nieba w oprawie wysokich sosen. Zupełnie zapomniała już o idiotycznej scenie na lotnisku. Czula przyspieszone bicie serca - jakby ptak wyrwał jej się z klatki piersiowej. Mark, który przed chwilą rozpałił ogień w kominu, zaszedł ją cichutko od tyłu i delikatnie objął w pól.

- Podoba ci się? - szepnęła i ukrył twarz w jej włosach.
- Po prostu, bajka, kochany! Coś piękniejszego trudno sobie wyobrazić.
- Kocham cię.

Roześmiała się i odwróciła do niego.

- Wiesz, ile razy mi to już mówiłeś?
- Nie wiem - przybrał czujną postawę. - A co, liczyłaś?
- Z początku - tak.
- No i?
- Pomyliłam się w obliczeniach już przy drugim tysiącu.
- Jestem aż taką gadułą? Muszę poważnie nad sobą popracować. Osoby na moim stanowisku powinny być bardziej powściągliwe.

- Jestem taka szczęśliwa, Mark!

- Mam nadzieję, że nawet ta kanalia - Inka - nie zdoła nam popsuć urlopu.

- Nie mów tak, Mark. Jak by nie było, to moja najlepsza przyjaciółka.
- Zapomniałaś jeszcze dodać: żona twojego ojca.
- To temat tabu... Ale przynasz chyba, że ojciec młodnieje w oczach.
- Zawsze mówiłem, że twój ojciec jest zdumiewającą osobą. Utrzymać taką latawicę w cuglach jest znacznie trudniej niż kierować koncernem.
- Ale ty masz zdanie o kobietach! - Potargała jego jasne miękkie włosy.
- Nie o wszystkich... Chodźmy...

Wiedziała, co zaraz nastąpi. Odblaski płomieni z kominka będą się zapewne świetnie prezentować na jego ciele: opalonym (solarium co poniedziałek: od ósmej do wpół do dziewiątej wieczorem) i wspaniale umięśnionym (siłownia dwa razy w tygodniu: we wtorki i piątki, od siódmej do ósmej rano). Zawsze podobał jej się zapach jego włosów. W chwilach namiętności

ten zapach nabierał nuty suchej wanilii. Tak, suchej, gdyż Mark nigdy nie pocił się podczas uprawiania seksu. Pewnego razu, po butelce koniaku, wypitej na spółkę z Inką, Olga postąpiła lekkomyślnie, dzieląc się z nią tym niewinnym spostrzeżeniem.

- Zawsze wiedziałam, że twój Mark jest zwykłą prowincjonalną dziwką - podsumowała.

- Co masz na myśli? - zaniepokoiła się Olga.

- Tylko dziwki się nie poca, kiedy się pieprzą.

- Tak myślisz?

- Tak twierdzi moja dawna przyjaciółka, prostytutka z Twerskiej. Dziwki zawsze pozostają suche, bo mają gdzieś klienta. Podczas aktu zajęte są przeliczaniem kasy...

- I co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że prawdziwa miłość nie istnieje bez, pardon, wydzielania potu. Na twoim miejscu, Olusza, poważnie bym się zastanowiła nad jego prawdziwymi intencjami...

Od tamtej pory więcej nie poruszały tego tematu. Jednak kretyńska uwaga Inki na dobre utkwiała jej w pamięci. Kiedyś nawet jakby mimochodem zapytała o to Marka. Zmieszał się tylko na chwilę. A potem roześmiał się i złożył na jej piersi najdłuższy i najbardziej czuły pocałunek ze wszystkich, jakie dotąd składał.

- Wychowałem się w południowym klimacie, cara. Wody było tam jak na lekarstwo. Suchy klimat wypaczył mój organizm, wybacz.

A teraz stał tuż przy niej i kusił blaskiem kominka, oczyma, w których odbijała się jakże bliska jej namiętność, i niespokojnie oplatającymi ją rękami.

- Chodźmy, cara - szepnął ponownie.

Często odwlekała moment zbliżenia - odwlekała na tyle, na ile to w ogóle było możliwe.

Czasami opierała się tylko kilka chwil. Czasami małżeńskie igraszki przeciągały się, ale to, co po nich następowało, było zawsze jednakowe: gwałtowna, chociaż i nieco pragmatyczna namiętność, która zawsze pozostawia uczucie niedosytu. Olga zawsze starała dostosować do tej namiętności i na tym polegał jej pragmatyzm. Była święcie przekonana, że studni miłości nie da się wyczerpać do dna. Nawet po upływie dwóch i pół roku małżeństwa.

- Wiesz, czego się boję najbardziej, cara?

Dopiero co oderwali się od siebie i Mark głośno ją płasko brzdącał, patrząc w zamyśleniu w ogień.

- Że kiedy urodzę ci syna, będę miała obwisłe piersi...

- No coś ty! - roześmiał się cicho. - Wiecznie będę cię kochać, niezależnie od wyglądu... Nie to chciałem powiedzieć. Najbardziej boję się, że kiedyś mnie rzucisz... Że pewnego dnia uznasz, że nie jestem ci już potrzebny... że nie masz ze mną o czym rozmawiać... że jestem nudny...

Położyła mu palce na ustach.

- Zamilcz, proszę... Nigdy nie przestanę cię kochać.

- To nie jest zależne od ciebie, cara... W miłości w ogóle nic nie jest zależne od nas samych.

Przyciągnął ją mocniej do siebie. Dotyk jego suchego umięśnionego ciała zawsze doprowadzał ją do szaleństwa, a tym razem oprócz pożądania ogarnęła ją czułość. Było to zupełnie nowe uczucie. Przez kilka chwil leżała, wsłuchując się w swoje emocje. A potem Mark wstał, poszedł do drugiego pokoju i wrócił stamtąd z dwoma kieliszkami szampana.

- Za nas. I za nasze góry - powiedział, podając jej lampkę.

Wypili, po czym Olga delikatnie się skrzywiła.

- Ma jakiś dziwny posmak.

- Tak? - zdziwił się Mark. - A według mnie, jest zupełnie normalny... Po prostu dawno nie piłaś szampana, cara...

- Być może - rzekła w zamyśleniu i odstawiła kieliszek. - Opowiedz mi, proszę, o swoim bracie.

- A co, aż tak cię zainteresował?

- Osoba o tak niezwykłym imieniu musi wzbudzać ciekawość.

- Wiedziałem! - Zrobił posępną minę.

- To nie tak, jak myślisz.

- W ogóle, to ja powinienem nosić to imię. Zawsze mu zazdrościłem. Raz nawet urządziłem matce awanturę: dlaczego Jonaszem nazwano tego smarkacza, tego gówniarza, a nie mnie?

- I co ci na to odpowiedziała?

- Nie uwierzysz! Jeśli chcecie, to możecie się zamienić. Jeśli oczywiście Jonasz się zgodzi.

- A on się nie zgodził.

-

- Kazał mi się wynosić razem z moimi pretensjami. Już wtedy zdawał sobie sprawę, że to imię przyciąga dziewczyny jak lep muchy. Nawet w naszym opuszczonym przez Boga turkmeńskim stepie.

- I się nie mylił.

- No jasne. Z takim imieniem kojarzą się tylko szlachetne uczucia. Żadne tam tanie prezerwatywy z państwowej apteki, tylko romantyczna miłość i płatki róż na poduszce w pierwszą noc poślubną.

- Rzeczywiście bardzo romantyczne.

- Równie romantyczne, co i niewiarygodne.

- Czyżby był kobieciarzem? Kupuje tanie prezerwatywy z automatów?

- Nie mam pojęcia...

- Ale teraz chyba już nie żałujesz, że nie nosisz tego imienia?

- Nie, w ogóle. Gdybym nazywał się Jonasz, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Pracowałbym jako ratownik w tym idyllicznym zadupiu i nigdy bym cię nie spotkał...

Zegarek na jego ręce zaczął nagle wygrywać jakiś egzotyczny hymn. Oboje drgnęli. Chwyciła go za rękę i spojrzała na świecący cyferblat.

- O Chryste, dwie godziny już minęły!

- Naprawdę?

- Inka da nam popalić, kochanie. Lepiej nie dawać jej powodu.

- Do diabła z nią!

- Czyżby? To po co nastawiłeś budzik?

Jakaś nieprzyjemna, a nawet bolesna struna drgnęła w jej duszy. „Cara, czyżbyś była zazdrosna?” - powinien był powiedzieć. Ale nie powiedział. Siadł na łóżku i roześmiał się.

- Poddaję się. Nastawiłem. Po prostu nie chcę zostawiać tej jędry samej pośród napalonych przygłupów, gotowych brać się za wszystko, co się rusza. Nawet za mocowania do nart...

- Dopuszczasz taką możliwość?

- Oczywiście. Urlop i wojna wszystko usprawiedliwiają.

- I o czym to świadczy?

- O niczym. Ale... Gdyby jej mężem był ktoś inny, miałbym to głęboko gdzieś. Ale jest żoną mojego bossa. Muszę dbać o jego reputację.

- Ciekawe, w jaki sposób? Będziesz ją śledzić?

- Śledzić - nie, tylko mieć na oku.

Uśmiechnęła się mimo woli. Rozbawiła ją perspektywa pilnowania nieziemsko pięknej Inki. Ale Mark chyba naprawdę mówił poważnie. Wygląda na to, że zawsze będzie stał na straży ich rodzinnych interesów. Będzie ich bronił nawet w tak dziwny sposób. Zdumiewająca średniowieczna niezłomność, wzmocniona muzułmańskim kodeksem honorowym. Jak te wszystkie cechy może pogodzić w sobie wykształcony menedżer koncernu naftowego?

- *À propos* pilnowania... Zaraz zerkniemy na doniesienia z frontu - otworzył notebook, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną.

Notebook był pierwszą rzeczą, którą wyciągnął z walizki, kiedy zaczęli się rozpakowywać. Nie rozstawał się z nim ani na krok. Olga nawet sobie z tego żartowała:

- Jeśli nadal będziesz przy nim spędzać tak dużo czasu, to będziemy musieli go zaadoptować i zameldować u nas w mieszkaniu.

- Cara, postaraj się zrozumieć. To jest moja praca. Moje oczy i uszy...

Teraz również podłączył się do sieci i sprawdził pocztę.

- No i jak? - zapytała.

- Jak u Remarque'a. Na Zachodzie bez zmian - spochmurniał.

- Czekasz na jakąś wiadomość?

- Właściwie tak. Chodzi o umowy z... Ale nie będę cię obarczać swoimi problemami.

- Mark! Obiecałeś, że jedziemy odpocząć. Żadnej pracy...

- Przecież nie pracuję... Ale jako jeden z kierujących firmą muszę zawsze trzymać rękę na pulsie. Od tego zależy nasza przyszłość, cara. Chyba nie chcesz, byśmy wylądowali na ulicy? Albo żeby nasze przyszłe dzieci uczyły się w prowincjonalnej szkole?

- O matko! Przecież sama uczyłam się w takiej szkole... I wyrosłam na ludzi. Nie sądzisz?

- Sądzę. Jesteś bardzo mądra.

* * *

Ratownicy zajmowali mały domek na obrzeżach „Róży Wiatrów”.

Oprócz Jonasza było ich jeszcze czterech: nieustannie pogrążony w zadumie przystojny Czerkies - Ahmed, Jurik Sierianow, Wasia Sikaczyński i Wład.

Wład był jedynym spośród nich, który został ratownikiem z powodów ideowych. Miał hople na punkcie swojej pracy. W najlepszych latach miał na swoim koncie kilkanaście uratowanych ofiar lawin. A kto spośród tych wszystkich, pożał się Boże, alpinistów był na tyle bezczelny, by tragicznie zakończyć swoje życie, tego dosłownie nienawidził. Jak mogli ci kretyni nie czekać na jego ratunek, tylko wykorkować bez pozwolenia? Tym niemniej to właśnie ich szukał ze szczególnym zacięciem. Jednak góry, tak jak i morze, nie zawsze oddawały swoją zdobycz. W takich chwilach Wład wpadał w szal. Nie dopuszczał do siebie myśli, że ktoś może go przechytrzyć.

Wasia Sikaczyński i Jurik Sierianow uciekli w góry, by leczyć rany po nieszczęśliwej miłości. Wybranka Wasi rzuciła go w Kijowie. Podobnie postąpiła ukochana Jurika, która wyjechała do Buturlinowki w obwodzie wroneskim, nie zważając na jego uczucia. Swego czasu perypetie miłosne popchnęły Wasię i Jurika do nieudanych prób samobójczych. Jurik chciał się powiesić, a Wasia próbował podciąć sobie żyły. A kiedy nie powiodło im się rozstanie z życiem, wyjechali w góry, słusznie sądząc, że najlepszym sposobem na uratowanie samego siebie jest ratowanie innych.

Poznali się w „Róży Wiatrów” i od razu się zaprzyjaźnili. Bardziej towarzyski Wasia pracował na stanowisku instruktora, a ponury odludek Jurik dostał pracę przy ratraku. Oprócz tego był odpowiedzialny za psy: dwa bernardyny, jednego szwajcara i mieszańca słynącego ze znakomitego węchu.

Zalety psów - ratowników słaawił w swych utworach Wasia, który cały swój wolny czas poświęcał pisaniu kiepskich powieści kryminalnych. Był święcie przekonany, że wystarczy tylko, aby jego dzieła trafiły w ręce przyzwoitego wydawnictwa, a z miejsca staną się bestsellerami. Jego grafomania nie znała granic. Maltretował swojego starego underwooda we dnie i w nocy i niemal całą wyplatę przeznaczał na papier i taśmę do maszyny do pisania. Raz w miesiącu któryś z wyjeżdżających gości zabierał do miasta kolejny ważny rękopis. Czasami (jeśli Wasi udało się oczarować kogoś z turystów) powieści, omijając pocztę rejonową, jechały prosto do Moskwy albo Sankt Petersburga, w zależności od miejsca zamieszkania kuriera. Ale obłudne wydawnictwa milczały. Jednak Wasia niestrudzenie doskonalił swoje ociekające krwią historie, w których wszyscy nawzajem się podejrzewali,

mimo że sprawcę można było wykryć od razu, gdy tylko pojawiał się na kartach książki. Wszyscy jego mordercy palili tanie kubańskie cygara firmy Partagas, nosili spinki do krawatów i mankietów (autor zwracał na to szczególną uwagę), kolekcjonowali owady (zbiory składały się głównie z odrażających pajaków), czytali Baudelaire'a w oryginale i uwielbiali muzykę klasyczną. Wasia uważał, że to dodaje jego kryminałom intelektualnego uroku. I że na pewno ktoś kiedyś doceni jego talent.

Czerkies Ahmed prawie cały czas spędzał na szlakach i przy wyciągach. Uwielbiał strachliwe północne dziewczyny. Czarował je i obypywał prezentami. Błękitny śnieg i śniada cera Czerkiesa stanowiły klasyczny przykład teorii o jedności i walce przeciwieństw, i niezawodnie działały na słabą pleć. Pożytku było z niego tyle, co mleka od kozła. Nie jeździł nawet na szkolenia dla ratowników, które odbywały się dwa razy do roku. Raz tylko zaszczylił kolegów swoją obecnością, kiedy przymusowo wypadł z seksualnego obiegu po tym, jak gdzieś w rozpadlinie pomiędzy skałami złapał rzeźączkę.

Wasia Sikaczyński nazywał Ahmeda „rozrywkowym trenerem”.

Teraz jednak i on musiał chwilowo porzucić swoje dziewczyny. Przez ostatnie pięć dni ratownicy przeczesywali okolice w poszukiwaniu zaginionego gościa „Róży Wiatrów”.

Miał na imię Kirył. Przybył do ośrodka przed tygodniem i szybko zdobył sławę podrywacza. Wszystkie wieczory przesiadywał w kręgielni i w pocie czoła poszerzał listę swoich podbojów. O jedną z nich pobił się nawet z Ahmedem. Kirył zwyciężył, odbił mu dziewczynę i od tej pory Ahmed stał się jego zaciekłym wrogiem. Jeśli chodzi o swoją męską ambicję, Ahmed był nieprzejednany.

Na pomoc pięciu ratownikom i ich psom zostały wysłane wszystkie dostępne posiłki: ratownicy z innych baz, ochotnicy - miłośnicy mocnych wrażeń, a nawet helikopter. Jednak poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Nie pomógł nawet specjalistyczny sprzęt do wykrywania obecności ciał na głębokości do dziesięciu metrów. Psy jakby ogłosiły strajk. Wracały na bazę z podkulonymi ogonami - żadnej nadziei.

Po raz ostatni widziano Kiryła na kilka minut przed zejściem pierwszej lawiny: na rzadko używanej trasie do freestylu, na zachód od „Róży Wiatrów”. Krótco potem trasa została doszczętnie zniszczona przez dwie kolejne

lawiny. Któraś z wiernych wielbicielek Kiryła, uważnie obserwująca z oddali jego ryzykowne wyczyny na snowboardzie, twierdziła, że zauważyła obok niego jakiegoś narciarza: „Nie mogę się mylić. Wszystko doskonale pamiętam. Padał wtedy śnieg i chmury wisiały nisko nad ziemią... Ten drugi stał obok i o czymś rozmawiali. Kirył był w swoim niebieskim kasku z napisem „Freeride”... A ten drugi nie miał niczego na głowie, nawet czapki. Jakże to wszystko jest okropne, mój Boże...”. Nikt jednak nie dał wiary słowom tej nieco egzaltowanej kobiety. Przesłuchanie wszystkich gości i personelu „Róży Wiatrów” nie przyniosło nic nowego. Oprócz Kiryła, nikogo nie brakowało. A przypuszczenie, że lawina, porywając jedną osobę, oszczędzi drugą stojącą obok, było niedorzeczne. Wielbicielka Kiryła wraz ze swoimi zeznaniami została więc potraktowana z przymrużeniem oka. Tym bardziej że cierpiała na krótkowzroczność.

- Jest ślepa jak kret i nic pewnie nie widziała. Niepotrzebnie robi zamieszanie - podsumował pechowego świadka Wasia Sikaczyński. Był przyjacielem i dobrowolnym pomocnikiem emerytowanego majora FSB - Zwiagincewa, pełniącego w „Róży Wiatrów” obowiązki ochroniarza. Dlatego pozwolono mu być obecnym podczas przesłuchania ewentualnych świadków. Poza tym Zwiagincew był jedyną osobą, która odnosiła się do jego beletrystycznych wysiłków z odpowiednią dozą szacunku.

Niepoprawny pedant Zwiagincew nazwał przesłuchanie jedyne go świadka „zbieraniem informacji operacyjnych”. Jednak owo zbieranie przyniosło taki sam skutek jak szukanie grzybów w grudniu.

Krytycznego dnia Kirył po raz ostatni był widziany w czasie obiadu, kiedy to otrzymano pierwsze sygnały alarmowe o możliwym zejściu lawiny. Urlopowicze przeczekali ten czas w kręgielni, w restauracji lub innych miejscach rozrywki. Wszyscy wszystkich widzieli i mogli potwierdzić swoją obecność w tym czy innym miejscu. To stwarzało wspólne alibi dla wszystkich, gdyby trzeba było je sobie zapewnić.

Do uzyskania informacji operacyjnych oraz przesłuchania świadków doszło dopiero trzeciego dnia poszukiwań, kiedy przeczesano centymetr po centymetrze to, co jeszcze przed zejściem lawin nazywało się trasą do freestylu. Obszar poszukiwań został wyznaczony na podstawie zeznań krótkowzrocznej przyjaciółki zaginionego. Dopiero gdy uznano, że jej zeznania nie są warte złamanego grosza, postanowiono go rozszerzyć i włączyć do akcji ratowników z innych baz.

Pięciodniowe poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów.

Na domiar złego piątego dnia wyszedł na jaw jeszcze jeden dziwny fakt. Pokojówka, która sprzątała pokój Kiryła, zgłosiła Zwiagincewowi, że zniknęła jego walizeczka na kosmetyki. Wasia Sikaczyński, który już na dobre wszedł w rolę prywatnego detektywa, stwierdził zaraz, że ten „sukinsyn Kirył” zdążył pewnie i ją poderwać. Jak inaczej bowiem tłumaczyć jej wyraźne zainteresowanie osobistymi rzeczami zaginionego? Zwłaszcza że potrafiła dokładnie opisać zawartość jego bagażu: jakiej wody po goleniu używał, jakiego kremu czy żelu po prysznicu. Jednakże Zwiagincew, który przez cały tydzień uskarżał się na bóle reumatyczne w okolicach krzyża (podczas wizyty pokojówki były one szczególnie dokuczliwe!), cierpliwie ją wysłuchał, po czym grzecznie wyprosił. Kierował się swoją logiką: zmarły (po upływie pięciu dni nikt nie miał już najmniejszych wątpliwości, że Kirył Pozniakow nie żyje) ma w nosie, czy w pokoju leży jego nesesor, czy nie. Zwłaszcza że ta niedorzeczna kradzież rzuca cień na gości „Róży Wiatrów”, a tego Zwiagincew chciał uniknąć. Kradzież była tym bardziej pozbawiona sensu, że nic innego nie zginęło, mimo że cały pokój był naszpikowany sprzętem narciarskim. Były tam nawet dwie odjazdowe deski do snowboardu i ostatni krzyk mody - carwingowe narty Fisher Radare. Każdy znawca dałby za te cudenka setki dolarów. A zniknęła jedynie mało wartościowa rzecz.

Nieszczęsny nesesor postanowiono wymazać z pamięci i ratownicy skupili się na poszukiwaniu jej właściciela.

Motywacja ratowników zmalała niemal do zera. Wiedzieli przecież, że jeśli zaginiona osoba albo przynajmniej jej ciało nie zostało odnalezione od razu, to potem zwłoki można odkryć jedynie przypadkiem.

Być może za rok któryś z narciarzy w najmniej oczekiwanym miejscu natknie się na zamrożone, dobrze zachowane ciało. Niezbyt przyjemna perspektywa, ale najbardziej prawdopodobna.

Helikopter, włączony od samego początku do akcji, w końcu opuścił „Różę Wiatrów”. Nie miało sensu jego dalsze zatrzymywanie. Poza tym było to zbyt kosztowne. Ratownicy z sąsiednich schronisk wrócili do siebie, mieli dość własnych spraw do załatwienia, gdyż we wszystkich przełęczach Wielkiego Kaukazu obrywały się masy śniegu. Tylko Wład nie zamierzał się poddawać. Po powrocie do ośrodka Jonasz zastał go na przygotowaniach do kolejnej wyprawy poszukiwawczej.

Wasia Sikaczyński, który jak zwykle siedział przy swoim starym jak świat underwoodzie, z politowaniem obserwował jego poczynania.

- Może zaczekałbyś do rana? - odezwał się w końcu.

Wład nawet na niego nie spojrział, podał rękę wchodzącemu Jonaszowi i skierował się do wyjścia.

- Jemu i tak już nie pomożesz, po co nadstawiać karku i narażać się na niebezpieczeństwo?

Wład odwrócił się w progę i wycedził przez zęby:

- Nie zostawię górom czegoś, co do nich nie należy. Zasada numer jeden, kapujesz?

- A znasz zasadę numer dwa? Wyżej głowy nie przeskoczysz! Jeśli oczywiście nie robi się akrobacji na desce. Nieźle, co?

Wład nie miał czasu zajmować się snowboardem, więc nie ocenił należyście błyskotliwego dowcipu Wasi. Bez słowa odwrócił się i zatrzasnął za sobą drzwi. Po chwili rozległo się nawoływanie psów.

- Przynajmniej zlitowałby się nad tymi biednymi zwierzętami, dupek - westchnął Wasia. - Ledwie powłóczę łapami.

- Masz subtelny zmysł obserwacji. - Jonasz zrzucił buty, zdjął sweter, wziął ręcznik i poszedł pod prysznic.

Wasia pojawił się w łazience w momencie, kiedy Jonasz mył włosy. Oparł się o ścianę, wyciągnął z kieszeni zgniecionego papierosa i spojrział na koleżkę.

- Masz ogień? - zapytał po chwili.

- Zostaw te swoje tanie żarty na grupowe schadzki z dziewczynami. - Jonasz wyprowadzał z równowagi idiotyczny zwyczaj Sikaczyńskiego pojawiania się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie i działania ludziom na nerwy. - Zabieraj się stąd! Nawet pod prysznicem człowiek nie może mieć chwili spokoju.

- Jeszcze zdążysz należeć się spokojnie w trumnie - Wasia zdobył się na kolejny kiepski dowcip. - Człowiek to zwierzę stadne.

- Daj mi chociaż włosy umyć, ty stadne zwierzę!

- I co, przyjechali twoi krewniacy?

- A co?

- A nie, nic. Tylko tak sobie myślę... Nie podoba mi się ta cała historia z zaginięciem tego chłopaka...

- Pokaż mi kogokolwiek, kto byłby z tego faktu zadowolony...
- Ale okoliczności, w których zaginął... Dziwne, ogłoszono przecież ostrzeżenie przed lawinami...

- Znowu odezwała się w tobie żyłka detektywistyczna, panie Wasylu? Tylko weź pod uwagę to, że zawsze znajdzie się jakiś idiota, który jest gotowy wystawić los na próbę. Wobec takich przygłupów jesteśmy bezradni.

Wyszedł spod prysznica i skierował się do szatni.

- To akurat prawda, ale chcę ci coś pokazać... Natknąłem się na to zupełnie przypadkowo i już pół dnia główkuję, co to może być?

- Niezidentyfikowany obiekt latający? Czy fabuła do nowej powieści? - Jonasz popatrzył na niego z politowaniem: oto skutki zadawania się ze Zwiagincewem.

- No. Coś w tym rodzaju. Być może o niczym to nie świadczy, ale rzecz sama w sobie jest bardzo interesująca. W każdym razie, ja nigdy wcześniej z czymś takim się nie zetknąłem.

- No dobra, to pokaż to swoje cudo - Jonasz przestał wycierać włosy i spojrzał badawczo na kolegę.

- Nie mam tego przy sobie. Zostawiłem tam, gdzie znalazłem.

- A to sprawa niecierpiąca zwłoki?

- Sam nie wiem...

- Gdzie jest zakopany ten twój skarb?

- W „Kamiennej Sakwie”.

„Kamienną Sakwą” personel „Róży Wiatrów” nazywał pozostały jeszcze z czasów radzieckich obrzydliwie wyglądający magazyn ze sprzętem, wypełniony po brzegi przedpotopowymi butami i wiązaniami.

- Ki diabeł podkusił cię, żeby tam pójść, Wasyl!?

- To wszystko przez Ahmeda...

- A co ma do tego Ahmed?

- Przyjechał do niego siostrzeniec na trzy dni... o równie bandycko brzmiącym imieniu. Coś w stylu Said-Girei czy też Kazbek. Chłopak ma trzynaście lat i jest żądny przygód i rozrywek, sam rozumiesz... Sprzęt Ahmeda jest dla niego za duży. Nie dałby sobie rady. No i ten czerkieski diabeł poprosił, żebym dobrał coś odpowiedniego dla jego dżygita.

- W „Kamiennej Sakwie”?

- Yhm. Tam można skompletować dość przyzwoity ekwipunek, jeśli się poszpera.

- A dlaczego sam się nie pofatygował?
- Jak zwykle ma jakąś nimfomankę w potrzebie, a wiesz, że on nie przepuści takiej okazji. Przejąłem więc opiekę nad nieletnim gałganem. Wybrałem mu sprzęt i przy okazji dokonałem odkrycia. Chodź, sam zobaczysz.

- Przecież widzisz, że mam mokre włosy - powiedział powoli Jonasz.
- No to możemy pójść później.
- Nie, chodźmy teraz.
- Twoja wola, wodzu.

Już po dziesięciu minutach stanęli przed drzwiami magazynu. Włosy Jonasza, z zasady nienoszącego żadnego nakrycia głowy, pokryły się warstwą lodu.

Po kilku chwilach manipulacji przy zamku Wasia otworzył drzwi.

- Proszę.

Ich oczom ukazał się żaloszny widok. Właśnie tu rozpoczynała się historia „Róży Wiatrów”, która za dawnych błogosławionych lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych była oblegana przez otwartą na świat inteligencję obu stolic. A także przez samozwańczych przewodników duchowych, płodnych pieśniarzy, dziennikarzy i towarzyszące im długonogie początkujące poetki.

Wasia przeszedł przez wąskie, słabo oświetlone pomieszczenie i przejechał dłonią po zakurzonych nartach, które spoczęły tu na wieczne zapomnienie. Następnie pewnym krokiem skierował się w przeciwną stronę magazynu. Jonasz cierpliwie podążył za nim. Ukucnął przy stercie kijów narciarskich i wyciągnął to, po co przyszli.

Na pierwszy rzut oka był to najzwyklejszy w świecie kijek narciarski.

- Spójrz tylko - podał go Jonaszowi. - Jak ci się podoba takie niekonwencjonalne rozwiązanie?

Kijek rzeczywiście krył w sobie niespodziankę. Jego końcówka była specjalnie przerobiona. Była płaska, a jednocześnie szeroka, i miała zaostroszony brzeg. Jonasz przejechał po nim dłonią, po czym natychmiast ją cofnął. Na palcach pojawiły się kropelki krwi.

- Ostrożnie - rychło w czas uprzedził go Wasia. - Można stracić palec.
- Właśnie widzę.
- I co powiesz, wodzu?

- Wygląda na sztylet własnej roboty.

- Mało powiedziane! To jest profesjonalnie wykonany sztylet własnej roboty. A raczej powiedziałbym - finka... Nowiutka finka. Ani śladu rdzy.

Zakończenie kijka istotnie było nożem. Oстрыm jak brzytwa. Miał nawet rowek, jaki zwykle miewają noże myśliwskie. Przez chwilę ratownicy oglądali ze wszystkich stron nieoczekiwane znalezisko.

- To jeszcze nie wszystko, wodzu - powiedział z triumfem w głosie Wasia. - Jest jeszcze coś, co zasługuje na uwagę... Spójrz wyżej, nad kółkiem...

Jonasz uważnie obejrzał kijek.

- Niczego nie widzę.

- Cholera, strasznie tu ciemno. Dobrze, że zabrałem ze sobą latarkę... - Wyjął ją z kieszeni i oświetlił powierzchnię kijka. Ostrze noża było dziewiczo czyste, jednak powyżej widać było rdzawe zacieki. Ich pochodzenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

- Wygląda jak krew - odezwał się wreszcie Jonasz.

- Nie wygląda jak krew. To jest krew. Podcinałem sobie żyły i wiem, jak wygląda krew po zetknięciu z metalem. Na dodatek jest ona stosunkowo świeża.

- Tak sądzisz?

- A ty nie? Z pewnością nie zarzynali tym owiec w siedemdziesiątym ósmym na zlocie kadry alpinistów...

- Jesteś prawdziwym ekspertem. Jak to możliwe, że z takimi zdolnościami nie wzięli cię jeszcze do pracy w prokuraturze?

- Też się dziwię.

Jonasz raz jeszcze uważnie obejrzał przedmiot.

- To jest kijek firmy Fischer. Jeden z ostatnich modeli. Prawie nówka. Ma co najwyżej rok. Nie to, co cała reszta tych rupieci - z pogardą omiół pomieszczenie spojrzeniem. - Typowo sowieckie bajery narciarskie. I co na to powiesz, Wasyl?

- A co tu można powiedzieć? Trzeba to zgłosić odpowiednim organom. Nie podobają mi się te plamy.

- Kiedy to znalazłeś?

- Dzisiaj rano.

- Mówiłeś o tym komukolwiek?

- Nie, tobie pierwszemu.
- A Zwiagincewowi?
- A po co, w mordę jeża! - Wasia się skrzywił. - On ma, mój drogi, zapalenie korzonków. I, rzekomo, nie wstaje z łóżka. Posłał mnie do diabła wraz z przekłętymi górami! Chociaż tak naprawdę, to go rozumiem. Sam mam już po dziurki w nosie tej zimy. Jestem stworzony by żyć na jakiejś karaibskiej wyspie, a nie w krainie lodu.
- A kto oprócz ciebie miał dostęp do klucza?
- Wszyscy. Wisi na portierni. Najciekawsze jest jednak to, że nikt go nie brał. Przynajmniej w ostatnim czasie. Byłem pierwszy.
- Jesteś pewien?
- Jasne! Dzisiaj dyżur ma Siergiej, a wczoraj miał Iwan. Jest ich tylko dwóch. Powiedzieli mi, że nikt dotąd nie interesował się kluczem od „Kamiennej Sakwy”.
- Już i do nich zdążyłeś dotrzeć?
- Zgadza się. Wiesz, co o tym wszystkim myślę? Ta obłąkana baba... przyjaciółka Kiryła... może faktycznie widziała kogoś razem z nim na szlaku.
- Wierzysz jej? - Jonasz uśmiechnął się sceptycznie. - Przecież sam mówiłeś, że jest ślepa jak kret.
- No i co z tego, że mówiłem? A jeśli tam rzeczywiście był ktoś jeszcze?
- Nikogo tam być nie mogło. Nikt oprócz Kiryła nie zaginął. A gdyby stali obok siebie i rozmawiali na minutę przed zejściem lawiny, to teraz szukalibyśmy niejednego, lecz dwóch. Obu by nakryło. Nikt nie zdoła ująć z życiem spod lawiny. Zwłaszcza żółtodziób, ledwie od paru dni trzymający się na nartach.
- Jeśli od paru dni na nartach, to być może... A co, jeśli nie od paru?
- Jonasz uśmiechnął się i przyglądał włosy. Z ich końców spływały krople wody. Wylał rękę o kurtkę i podrapał się w nos.
- Nie od paru? Masz na myśli takich jak ty albo ja?
- Wasia z łękiem spojrział na kolegę. W jego oczach mignęło podejrzenie. Mignęło i momentalnie umknęło z podkulonym ze strachu ogonem.
- Ależ skąd - skrzywił się. - Dlaczego miałbym tak sądzić?
- No właśnie nie wiem dlaczego. Tym bardziej że do tej pory nie odnaleźliśmy chłopaka. Zrobimy tak, Wasyl: spokojnie zamkniemy ten zmurszały kram ze starociami.

- A co z kijkiem?
- Zamkniemy razem z kijkiem. Niech sobie leży tam, gdzie leżał.
- Chcesz to tak po prostu zostawić?
- Tak, tak właśnie chcę postąpić. Szczególnie, że wszystkie twoje przypuszczenia odnośnie do krwi są... Mógłby je potwierdzić jedynie biegły po przeprowadzeniu dokładnej ekspertyzy.

- No to jaki problem? Należy wezwać eksperta.
- *À propos*, co ta paniusia mówiła o rzekomym towarzyszu Kiryła? Że nie miał żadnego nakrycia głowy? Ani kasku, ani czapki?

- Podobno.
- Też nie cierpię tych wszystkich zbędnych konstrukcji w okolicach ciemienia. Pasuję do opisu jak ułał.

Ujął w ręce kijek i w zadumie podniósł go na wysokość oczu. Nóż na jego końcu groźnie zaiskrzył. Wasia instynktownie zrobił krok do tyłu.

- Ten Kirył to był chłop jak dąb. Prawie dwa metry wzrostu, no nie?

- Mniej więcej tyle - wymamrotał Wasia pergaminowymi wargami.

Matowa stal go hipnotyzowała.

- A ty jaki masz wzrost?

- Co?

- Wzrost, panie Wasylu, wzrost!

- Metr siedemdziesiąt sześć, a co?

- A ja - metr siedemdziesiąt osiem, więc praktycznie jesteśmy jednego wzrostu. A Kirył był o wiele wyższy. Żeby powalić takiego kolosa, trzeba być bardzo szybkim i uderzyć bardzo precyzyjnie. A ty jak sądzisz?

Ton rozmowy coraz mniej podobał się Wasi. Cofnął się o kilka kroków.

- W ogóle nic nie myślę.

- A szkoda. Jeśli się dobrze zastanowić... Dwa metry wzrostu - to nie zdarza się często. Zwykły knypek, taki jak ty czy ja, zadałby uderzenie z dołu do góry, dlatego zacieki krwi są tak wysoko. Musiała spłynąć po kijku jak po rowku. Czy to brzmi logicznie?

Wasia zrobił kolejny krok w tył, potknął się o stertę kijków, stracił równowagę i runął na nie jak długi. Jonasz niespiesznie zbliżył się do niego i uniósł nóż na wysokość jego klatki piersiowej.

- Co ty, wodzu? - wydusił przez ściśnięte gardło Wasia.

- A teraz krew poleci w odwrotnym kierunku, z góry na dół, i nie będzie żadnego śladu. Trzeba tylko wetknąć kijek w śnieg. Przejechać się po trasie. Jedna rundka wystarczy.

- Żartujesz, tak?

Pauza, która zapadła, wydała się Wasi trwać wiecznie. Dopiero po dłuższej chwili Jonasz odsunął sztylet od nieszczęśnika i roześmiał się.

- Oczywiście, że żartuję. Coś się tak przestraszył, co?!

Wasia odetchnął z ulgą i zachichotał nerwowo.

- A ty byś się nie przestraszył?

- W dobrym kryminale musi być trochę strachu. No to co, weźmiesz mnie do pomocy przy pisaniu?

- Jeszcze pomyślę...

- Co tak siedzisz? Dawaj rękę.

Pomógł mu wstać i odstawił kijek na pierwotne miejsce.

- Urządziłeś pokazową egzekucję, wodzu? Rzeź niewiniątek przy pomocy kija? - Wasia doszedł już do siebie. Wróciło mu typowe, nieco histeryczne poczucie humoru.

- To miało cię przekonać, stary, że nie trzeba się za bardzo wychylać, wtykać nosa w nie swoje sprawy i bawić w prywatnego detektywa. Od tego są zawodowcy, dużo mądrzejsi od ciebie. I ode mnie. Na przykład, Zwiagin-cew, któremu za to płacą...

- Co wobec tego proponujesz?

- Zostawić wszystko tak, jak jest. A wiadomo, co to za kijek? Ja osobiście nie mam ochoty, by się ze mnie naśmiewali. Szepniemy dyskretnie o tym Zwiagin-cewowi i po sprawie.

- Jeśli w ogóle wylezie wreszcie z tego łóżka!

- Kiedyś tam wylezie. A teraz zamkniemy porządnie drzwi i przestaniemy się tym martwić. A przede wszystkim nie ma co kłapać dziobem na lewo i prawo. Łatwo można trafić na niewłaściwą osobę. Ze mną ci się poszczęściło, ale kto wie co będzie dalej?

- Bo to nie ty byłeś osobą, która użyła tego noża.

- Kto się nim posłużył, zostanie ujawnione na ostatnich stronach twojej powieści - uśmiechnął się Jonasz. - W myślach pewnie zacząłeś to już opisywać w nowej książce, co?! Przyznaj się!

- No pewnie, wodzu - na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. - Nim się obejrzyysz, będzie gotowa.

* * *

Bar nosił nazwę „Richard Bach”.

Podczas tego pierwszego wyjścia między ludzi można było poprzestać na skromnej restauracji, gdzie grał polecony przez Jonasza kwartet smyczkowy, ale Inka wybrała coś bardziej rozrywkowego. Tuż przy barze była salka do kręgli. To był jedyny rodzaj sportu, jaki uznawał jej mąż, Igor Anatoliewicz Szmarinow. Z założenia nie grał w tenisa i jeśli wymagały tego interesy zawodowe, na korcie wraz z jego potencjalnymi partnerami w biznesie stawał Mark.

W barze było mnóstwo osób. W odróżnieniu od eleganckiej restauracji z markowymi winami, tu królowało zwykłe plebejskie piwo, tequila i słone orzeszki.

Zanim na horyzoncie pojawił się Mark z Olgą, Inka zdążyła dać już kosza rojowi opalonych samców. Na widok przyjaciółki pomachała ręką.

- Spóźniliście się, moi drodzy - delikatnie zwróciła im uwagę, kiedy zajęli miejsca przy stoliku. - Zostawiliście bez opieki piękną kobietę. Mogłam już dwa razy wyjść za mąż i co najmniej cztery zostać ofiarą gwałtu.

- Całkiem nieźle wyglądasz jak na ofiarę - Mark uważnie jej się przyjrzał.

Rzeczywiście wyglądała pięknie: krótki obcisły sweter (od Armaniego), wąskie dzinsy (od Hugo Bossa), skromny makijaż i kolia z małutkimi szmaragdami (od Tiffany'ego).

Kolię podarował jej Igor Anatoliewicz w pierwszą rocznicę ślubu. Prawie nigdy jej nie zdejmowała, twierdząc cynicznie, że takie obroże najlepiej trzymają kobietę w cuglach.

- Czego się napijecie, dziewczyny? - zapytał z kurtuazją Mark.

- Dla mnie tequila - zareagowała natychmiast Inka. - A dla twojej cnotliwej żony myślę, że wystarczy piwo bezalkoholowe.

- Nie słuchaj jej, Mark. Nie zaszkodzi mi sto gram koniaku.

Mark udał się do baru. Kobiety zostały same.

- Masz pozdrowienia od ojca - odezwała się Inka. - Dzwoniłam i zdałam mu relację.

Ołga poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Przez ostatnich kilka godzin ani razu nie pomyślała o ojcu, a przecież prosił, żeby go informować na bieżąco.

- Nie wybiera się do nas? - zapytała zmieszana.
- Wybiera. Najprawdopodobniej za tydzień. Pojeździmy na nartach i wszyscy razem wrócimy do Moskwy. Jak ci się podoba taki plan?
- Cudowny! Cała rodzina w komplecie. Sielankowy obraz.
- Który nieco psuje twój ukochany mężulek...
- Inka! Proszę cię...
- Dobrze. Niech ci będzie. Robi z kiczowatego portretu rodzinnego obraz satyryczny. Teraz ci odpowiada?

- Jesteś niepoprawna.

Mark wrócił z ustawionymi na tacy szklankami, kieliszkami, kubkami i miseczkami z lekką przekąską: pistacjami, cytryną i słonymi sucharkami.

- No, dziewczyny, wypijmy za aktywny wypoczynek! Na moje oko całkiem nieźle się zaczyna!

Upił łyk piwa i natychmiast podniósł rękę, machając do Jonasza, który właśnie pojawił się w drzwiach baru. Jego oczy momentalnie wychwyciły pośród kłębow dymu z papierosów stolik, przy którym siedzieli krewni. Po chwili był już obok Olgi.

- No i jak wam się tu podoba? - zapytał obojętnym tonem.

- Świetnie - odpowiedział Mark za całą trójkę.

- Jutro pokażę wam trasę.

- A jak poszukiwania zaginionego pod lawiną cierpiętника? - Inka w bezceremonialny sposób gapiła się na Jonasza.

- Szukamy - odpowiedział lakonicznie. - Szukamy, ale na razie bez rezultatu.

Inka obrzuciła spojrzeniem bawiący się na sali tłum.

- Oto ona, proza życia. Cała naga prawda o ludziach. Większość ma w nosie fakt, że ktoś został pogrzebany pod lawiną.

- Nie ma w nosie, nie ma... - rozległ się cichy głos.

Wszyscy równocześnie obrócili głowy w stronę sąsiedniego stolika, przy którym pogrążona w smutku siedziała czterdziestoletnia kobieta. Cały stolik zapełniony był butelkami po whisky i pustymi kufkami po piwie. Wyglądało na to, że kobieta ma zamiar upić się do nieprzytomności. Inka spojrzała na nią z litością. Nie można było określić, czy jest ładna, czy nie, ponieważ połowę twarzy zasłaniały wielkie okulary w rogowej oprawie. Linia oczu dziwnie załamywała się za grubymi szklami. Jakby jednocześnie odpychała i przyciągała.

- Panie Jonaszu! - wypowiedziała z żalością w głosie, wpiwszy się wzrokiem w obojętną twarz ratownika.

- Na razie nie mam żadnych pocieszających wiadomości, pani Natalio. Przykro mi. - Wyciągnął rękę po pistacje i z trzaskiem rozłupał jedną z nich.

Jednak kobieta go już nie słuchała. Nie potrzebowała odpowiedzi. Z góry wiedziała, jaka będzie. Wstała i skierowała się do baru. Miała idealną figurę. Do tego stopnia idealną, że Mark i Jonasz odprowadzili ją zaciekawionym wzrokiem.

- Pogrążona w żałobie wdowa? - zapytała z zazdrością Inka, która nie znosiła konkurencji.

- Przyjaciółka - Jonasz oderwał wzrok od Natalii i odwrócił się w stronę Olgi. Na Inkę nawet nie spojrzął.

- Nie martw się, skarbie. Po powrocie kupię ci lustro, które zawsze będzie ci mówiło, że to ty jesteś najpiękniejsza na świecie - rzucił Mark do Inki. - Może wtedy wreszcie się uspokoisz.

- Nie, dziękuję, lustro już mam.

Siedzący na podwyższeniu w głębi sali didżej nastawił jakąś starą płytę. Olga od razu rozpoznała melodię, płynącą z głośników. Bez wątpienia był to motyw przewodni filmu „Kobieta i mężczyzna”, z mrocznym i namiętnym refrenem.

Inessa jakby na to czekała.

- Można pana poprosić do tańca, panie Jonaszu? - zapytała melancholijnym głosem. - To mój ulubiony kawałek.

- Nie tańczę - nieugięty ratownik pokrzyżował jej plany.

To był niewybaczalny błąd z jego strony.

Przy stoliku zapanowało krępujące milczenie. Chwilę trwało, zanim Inka odzyskała refleks.

- Wy tłumacz swojemu braciszкови, że odmawianie pięknym kobietom nie należy do dobrego tonu. Jest wręcz niewybaczalne. Można się kiedyś doigrać: np. zostać znalezionym we własnym łóżku z poderżniętym gardłem - powiedziała do Marka.

- Miej się na bacności - zaśmiał się Mark. - Po tej kobiecie można się wszystkiego spodziewać.

- Będę miał to na uwadze. - Jonasz odchylił się na krześle i spił pianę z piwa.

- Więc co, pana zdaniem, ma w takim wypadku uczynić uwiedziona, a następnie porzucona kobieta? - Inka dała mu jeszcze jedną szansę.

Jonasz wzruszył tylko ramionami i nie odpowiedział nic.

Upór szwagra (Chryste Panie! Jakie to beznadziejne określenie dla brata ukochanej osoby!) nie spodobał się nawet Oldze, która do tej pory traktowała rozwój wydarzeń przy stoliku z przymrużeniem oka. Spojrzała na męża z wyrzutem. Jej wzrok mówił sam za siebie: postaw do pionu swojego nieokrzesanego Aborygena! - A potem spojrzała wymownie na Jonasza.

Mark natychmiast spróbował ratować sytuację. Wstał i z gracją skłonił się przed obrażoną Inką.

- Pani pozwoli?

- Wiesz, że nie jesteś szczytem moich marzeń. Wolałabym kogoś innego...

- Weź pod uwagę to, że nie jestem tu jedynie skromnym wczasowiczem, występuję również jako przedstawiciel firmy twojego męża.

- No i co z tego?

- Powiniennem sprawować nad tobą opiekę.

- To jego polecenie?

- Nie, ale...

- Wszystko jasne - posłała mu rozbrajający uśmiech. - „Wieczna czujność jest ceną wolności”.

- Wolę impresjonistów.

- No, dobrze - zlitowała się. - Nie powiem, żebym była zachwycona, ale na bezrybiu...

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to jako podwładny twojego wpływowego męża wolałabym odpowiedzieć: „Z braku laku i kit dobry”.

- Tylko pamiętaj, będę ci naumyślnie deptać po nogach - uśmiechnęła się złośliwie.

- Ja tobie też.

Mark i Inka poszli w stronę niewielkiej estrady. Olga nagle złapała się na myśli, że całkiem nieźle do siebie pasują: brunetka i blondyn, biel i czerń. Tylko po co tak demonstrują wzajemną niechęć do siebie. Inka naprawdę depte mu po palcach, żmija! Z pełną gracją, w takt muzyki, trafiając akurat w synkopy.

Ciekawe, o czym rozmawiają? Bo na pewno o czymś rozmawiają. Widać jak poruszają wargami. A przy tym Inka ma taką minę, jakby dotykała żaby.

- Nie słucha mnie pani? - dopiero teraz dotarł do niej przytłumiony głos Jonasza.

- Słucham. Dlaczego miałabym nie słuchać? - wzruszyła obojętnie ramionami.

- Podoba się pani domek?

- Jest wspaniały.

- Nigdy wcześniej nie była pani w górach?

- Nigdy.

To nie była prawda. Była w górach. Jej wspomnienia o Tbilisi zdobyła góra Mtacminda. Bardzo podobała jej się ta tbiliska nazwa: Mtacminda, Mta-cminda - coś jak słówko z wyliczanki... Tak czy inaczej to nie była prawda. Zresztą jak wszystko, co miało jakiś związek z Mananą, włącznie z jej chorobą psychiczną.

- Jeśli pani zechce, pokażę pani góry.

Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzy? - pomyślała. Węgliki jego oczu przeszywały ją na wskroś. Paliły niczym żywy ogień. Ale przecież węgiel powinien się palić... Równym, czystym płomieniem.

- Bardzo chętnie. Będziemy panu wdzięczni. Może jutro rano?

- Nie miałem na myśli Marka - o Inessie nawet nie wspomniał - tylko panią. Wyłącznie panią.

- No, nie wiem... - Boże, dlaczego to powiedziała? Powinna była ograniczyć się do uprzejmego, ale stanowczego „nie” i obrócić wszystko w żart. A na zakończenie jako legalna szwagierka mogłaby pobłażliwie dotknąć jego ramienia. Sformułowanie „no, nie wiem” wygląda raczej na akceptację podrywku, na początek sentymentalnego platonicznego romansu z daleko idącymi konsekwencjami. Tylko tego brakowało!

Zasłoniła się kieliszkiem z koniakiem. Wypiła łyk i pomyślała ze smutkiem: kiedy wreszcie się skończy ten ciągnący się w nieskończoność kawałek z „Kobiety i mężczyzny”?

Wypity koniak dodał jej pewności siebie.

- Jak długo nie widzieliście się z bratem? - zapytała jakby mimochodem.

- Siedemnaście lat. Od czasu, kiedy wyjechał z Kyzyl-Arwatu i porzucił obłożnie chorą matkę. Pochowaliśmy ją pół roku po jego wyjeździe. Miał wtedy osiemnaście lat, a ja - jedenaście. Nienawidziłem go.

Drgnęła, a zaraz potem przypomniała sobie: no tak, Mark opowiadał jej o zatargach z powodu imienia „Jonasz”.

- Mark opowiadał mi... Podobało mu się pana imię.
- Imię! - prychnął. - Chciał mi je zabrać. Zawsze zabiera to, co mu się podoba. Jeśli ktoś mu się nie przeciwstawi, zagarnie dla siebie wszystko i wszystkich.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Opinia Jonasza była bardzo niesprawiedliwa. Znała przecież Marka nie od dziś. Był zupełnie inny: gotowy do poświęceń i zawsze oddany sprawie. Widziała go w różnych sytuacjach życiowych. Jego zachowanie było nienaganne.

- Jest pan do niego uprzedzony - powiedziała z rezerwą w głosie.
- Przykro mi, ale taka jest prawda.
- Zazdrości mu pan - była już lekko podchmielona, a to zawsze dodawało jej śmiałości. - To po prostu zazdrość i tyle.

- Zazdrość? - Był szczerze zdziwiony. - A czego miałbym mu zazdrościć?
- A chociażby tego, co udało mu się osiągnąć w tak młodym wieku. Ma zaledwie trzydzieści pięć lat.

- A co takiego nadzwyczajnego osiągnął?
- Jest w zarządzie ogromnego koncernu naftowego. I zawdzięcza to wyłącznie sobie. Sam osiągnął sukces. A zrobienie kariery w Moskwie to nie było co. Trzeba być kimś. I on jest kimś, panie Jonaszu...

- Pani jest kimś.

Położył rękę na jej dłoni. Jego dłoń była chłodna i szorstka. To już nie przypominało nic nieznaczącego wakacyjnego flirtu.

- Co pan robi? - zapytała głupio. - Dlaczego?

Uśmiechnął się i zabrał rękę.

- Nie wiem - powiedział powoli.
- To niestosowne - skrzywiła się. Wciąż czuła dotyk ratownika. Piekły ją palce.

- Dlaczego?

- Mark jest pańskim bratem. Stawia mnie pan w niezręcznym położeniu.

- Naprawdę? Nie miałem złych intencji. Ma pani rację. Mark jest moim bratem. A pani jest żoną brata, ot, i wszystko. Tak zwane więzy rodzinne. Bo przecież jesteście rodziną, prawda?

Teraz poczuła się jak idiotka. Co też nie przyjdzie do głowy młodej żonie, gdy się nudzi! Ale ona była przecież wierną żoną. I miała wiernego męża.

Tylko ten cholerny Jonasz wodzi ja na pokuszenie. Jej związek z Markiem był zbyt święty i czysty, by coś go mogło zniszczyć.

Ten dotyk był przypadkowy? Niewinny? A może jednak zamierzony? Z podtekstem. Tak czy inaczej musi przyznać, że był przyjemny. Mimo iż podświadomie czuła, że czai się w nim pewne niebezpieczeństwo. Nie! Nigdy, przenigdy nie wstąpi na drogę zdrady, słabości i cudzołóstwa. Inka w tej sytuacji wybuchłaby śmiechem i powiedziała: „Panie Jonaszu, proszę powiedzieć prawdę, czy mógłby pan przelecieć żonę własnego brata? Ot, tak, żeby zemścić się za urazy z dzieciństwa”. Ale Olga była zanadto przyzwoita, żeby tak postąpić. Nie przyszłoby jej do głowy, żeby zajrzeć w głąb siebie i ujawnić swoje prawdziwe pragnienia.

- Czym się pani zajmuje, pani Olu? - zapytał jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Dobre pytanie.

Córka ojca, żona męża, obsługa komputera, angielski - biegle, hiszpański i francuski - przy pomocy słownika. Dwa razy w miesiącu teatr Satirikon, raz w miesiącu Lenkom (ulubiony teatr Marka). Nic bardziej banalnego. Poza tym jest jeszcze César Vallejo.

- Wie pan, kto to jest César Vallejo?

- Nie mam pojęcia - spojrzał na nią z uwagą.

- To peruwiański poeta. Właśnie go tłumaczę.

- Aha, to pani jest tłumaczką - popatrzył na nią z rosnącym zainteresowaniem.

- W pewnym sensie.

W pewnym sensie - dobrze powiedziane. Biorąc pod uwagę fakt, że już dawno minął termin, a jeszcze nie złożyła tłumaczenia w redakcji „Literatury Obcej”. I wciąż nie wiadomo, ile będzie nad tym ślęczeć. Vallejo kompletnie do niej nie pasuje. Ani do Marka. Wtem w jej głowie zaświtała myśl: *Ależ tak! On jest podobny do Jonasza! Identyczna lodowata zaciekłość w spojrzeniu. Identyczna lodowata zaciekłość w słowach.*

- Tak? - zapytał, chcąc ją ośmielić.

Zaraz wyrecytuję mu kilka przetłumaczonych wierszy - pomyślała. - *Skrzyję się za szerokimi ramionami Peruwiańczyka. W tym czasie taniec się skończy, przyjdzie Mark i wszystko wróci do normy.*

- Chce pan, zacytuję panu fragment z Vallejo? - zapytała z nadzieją.

- Może innym razem.

- Jonasz! - rozległo się tuż przy ich stoliku.

Drgnęła. Obok stał młody mężczyzna w rozpiętej kurtce. Miał ogorzałą twarz, szeroki nos, czarne brwi i nosił brodę.

- Poznajcie się, proszę. Pani Olgo, to Wład, mój kolega z pracy, ratownik...

Gdyby była tu teraz Inka, z pewnością palnęłaby jakiś pikantny dowcip.

Wład obrzucił Olgę szybkim spojrzeniem i skinął jej głową.

- Słuchaj, Jonasz, gdzie jest ten dupek - Waśka?

- Nie mam zielonego pojęcia. Nie zamęczył psów?

- Właśnie o to mi chodzi! Jack zranił się w łapę, a Waśka miał maść...

Nie mogę jej znaleźć, a on jakby się pod ziemię zapadł...

Olga westchnęła z ulgą. Świetny pretekst, żeby się spokojnie ulotnić i zostawić kolegów z pracy na osobności. Wstała.

- Wychodzi pani? - zapytał obojętnie Jonasz, odrywając na chwilę wzrok od poirytowanego Włada. - A co mam powiedzieć Markowi?

Mark i Inka nadał polerowali parkiet. Wygląda na to, że ta słodka parka postanowiła wystąpić w konkursie tanecznym...

- Niech pan powie, że zaraz wrócę.

Z damskiej toalety dochodziły bardzo charakterystyczne dźwięki: jakąś amatorkę napojów wysokowych wywracało na lewą stronę. Olga skrzywiła się. Nie lubiła smutnych zakończeń. W swoim życiu upiła się tylko kilka razy i towarzyszył temu taki potworny kac i takie wyrzuty sumienia, że postanowiła po prostu zrezygnować z alkoholu. I tak właśnie zrobiła, od czasu do czasu racząc się jedynie koniakiem. Na dodatek skromną dawką: sto pięćdziesiąt gram i z obowiązkowym plasterkiem cytryny.

Inka była pod tym względem znacznie bardziej rozwiązła. Piła wszystko, co popadnie. Jednak to dodawało jej uroku. W duchu Olga jej zazdrościła i rozumiała ojca - właśnie takiej ognistej kobiety zawsze mu brakowało.

Umyła ręce i obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoje odbicie w lustrze. Z wiekiem coraz bardziej zaczęły się ujawniać rysy jej matki Gruzinki: cienki nos z ledwie dostrzegalnym garbkiem, delikatnie kręcone włosy na skrońkach... Jedyne usta nie pasowały do całokształtu. Były zbyt blade. Anemicznie blade. Ale przecież, właśnie to podoba się u niej mężczyznom.

Otóż to.

Kolejny siwy włos na skroni.

Rozejrzawszy się, czy nikt nie patrzy, wyrwała go. Niestety, wszystkie kobiety Wschodu wcześniej siwieją, nawet jeśli są tylko w połowie wschodnie... Markowi może się to nie spodobać.

Za plecami rozległ się szmer - amatorka napojów wysokokowych wygramoliła się w końcu z kabiny, stanęła obok i odkręciła do oporu kurki. Dopiero teraz dotarło do Olgi, że to kobieta z sąsiedniego stolika w restauracji, która wierciła Jonaszowi dziurę w brzuchu o tego zaginionego mężczyznę.

Zadaje się, że ma na imię Natasza.

Albo Natalia.

Natalia zdjęła swoje obrzydliwe okulary ze szklami grubymi jak denka od butelek. Była piękna. Albo, powiedzmy inaczej: kiedyś była piękna. Jej twarz przypominała jesienny park, w którym zaczynają opadać liście, a wszystko dookoła więdnie.

- Ma pani chusteczkę? - zapytała.

Olga poszperała w torebce i wyciągnęła odświeżającą chusteczkę, którą dostała w samolocie.

Zdała sobie sprawę, że tej zmarnowanej kobiecie nie była potrzebna żadna chusteczka. Ona potrzebowała rozmowy.

- Jak się pani czuje? - zapytała Olga.

- Okropnie.

Temat wyczerpany. Można zamknąć torebkę i ruszyć w stronę przepelnionej sali.

- Sądzi pani, że on nie żyje? - zapytała niespodziewanie Natalia.

- Kto?

- Kirył... Kira.

Zrozumiała wreszcie, o kim mowa. O mężczyźnie, który zaginął pięć dni temu.

- Przykro mi - spojrzała współczująco na Natalię. - Nic nie wiem... Dopiero dzisiaj przyjechaliśmy.

- Czy ci ratownicy są pani przyjaciółmi?

- Ależ nie!

- Ale ich pani zna, rozmawia pani z nimi. Proszę im powiedzieć, że nie powinni zaprzestawać poszukiwań. Muszą odnaleźć Kirę. To ich obowiązek...

Żywego albo... - przełknęła ślinę, a potem ze smutkiem dokończyła: -...albo martwego.

- Robią wszystko, co w ich mocy - wstawiła się za ratownikami Olga.

- Wszystko, co w ich mocy! - Przez twarz Natalii przemknął ironiczny uśmiech. - Już widzę, jak robią wszystko, co w ich mocy! Zabawiają się z dziewczuchami w barze, zamiast... przepraszam... Nie chciałam pani urazić.

- Nic się nie stało. Naprawdę szczerze pani współczuję.

Natalia spojrzała na Olę.

- Współczuje mi, smarkula! Dobrze sobie! - roześmiała się nienaturalnie.

- Wcale go pani nie znała i nie wie, jaki był. I niech pani nie wierzy w to, co o mnie mówią.

- Nic mi o pani nie mówiono...

- Jeszcze zdążą powiedzieć. Wiem, co opowiadają za moimi plecami. Zakręcona niedowidząca kochanka postradała zmysły. Widzę przecież, jak bezczelnie się na mnie gapią. Nie potrzebuję współczucia. Tylko niech go znajdują.

- Szukają - powtórzyła bezmyślnie Olga, ta rozmowa zaczęła ją powoli drażnić.

- Dlaczego nikt nie chce mnie słuchać? Dlaczego nikt nie chce uwierzyć w to, co widziałam?

Olga westchnęła ze zniecierpliwieniem. Cholera jasna, cynizm jest chyba zaraźliwy - Inka zareagowałaby podobnie. Ciekawe, czy ona w ogóle cokolwiek widzi przez te grube szkła?

- Dokładnie pamiętam miejsce, w którym stali!

- Kto stał? - zapytała obojętnie.

- Kira i ta osoba, z którą rozmawiał. Krótco przed tym, jak... - Natalia zaczerpnęła powietrza -...jak zasypał ich śnieg.

- Widziała pani, jak to się stało?

- Nie, zjechałam. Po zboczu. Ale to nieważne.

- A ten drugi człowiek... Skoro pani twierdzi, że go widziała, to co się z nim stało?

- Nie wiem, kobieto! Chcą zrobić ze mnie wariatkę. Wmawiają mi, że nikt nie rozmawiał z Kirą! Że wszystkich już przesłuchali.

- A czy to takie ważne, czy był ktoś obok, czy nie?

- Mnie tam wszystko jedno. Ale oni powinni go odnaleźć.

- Rozumiem panią - kolejne kłamstwo. Nie miała zamiaru wczuwać się w to, co odczuwa ta biedna kobieta.

- Niczego pani nie rozumie! - wściekła się Natalia. - A gdyby to przytrafiło się komuś z pani bliskich?!

Nie wytrzymała. Rozkleiła się na dobre.

Olę przeszył dreszcz. Wyobrazila sobie, jak szalałaby z rozpacz, gdyby zaginął Mark. Gdyby go zabrakło. Na zawsze. Uczucie bólu było tak realne, że aż się skuliła. I zapragnęła co sił w nogach pobiec na salę i przekonać się, że nic mu nie jest. Nie przeżyłaby tego. Są rzeczy, których nie jest się w stanie przeżyć.

- Czy mogę coś dla pani zrobić? - zapytała łagodnie.

- Niech się pani ze mną napije. Nawet się sobie nie przedstawiłyśmy... Jestem Natalia.

- Bardzo mi miło. Olga.

Tak naprawdę to nie ma nic miłego w sterczeniu w toalecie z nieznaną kobietą, która jest na krawędzi załamania nerwowego. Szczególnie, gdy nie ma się pojęcia, jak ją pocieszyć. Natalia wyciągnęła z kieszeni spodni płaską buteleczkę whisky.

- Napijemy się?

- W zasadzie to nie piję - Olga zerknęła z wahaniem na proponowany trunek.

- Ja też nie.

Fakt. Widać.

- Myśli pani, że jestem alkoholiką? - Kobieta dostrzegła jej sceptyczne spojrzenie.

- Wcale nie.

- To Kira... Kira nauczył mnie pić whisky. Od tego czasu nie piję nic innego.

Nie licząc piwa - dodała w duchu Olga, przypominając sobie rząd pustych kufli.

- Zgoda. Proszę dać mi tę whisky - uległa. Nie była w stanie odmówić nieszczęsnej okularnicy.

Natalia ochotczo podała jej buteleczkę. Olga grzecznie łyknęła i zakasłała. Whisky okazała się nadzwyczaj mocna.

- Teraz ja! - Natalia wypila wszystko do ostatniej kropli.

Rzuciła Oldze zaczepne spojrzenie, a następnie zaczęła się na nią bezwstydnie gapić. Olga nie wiedziała, co sądzić o takim niegrzecznym, a jednocześnie niezrozumiałym zachowaniu.

- Mogę go pani pokazać! Chce pani?
- Kogo?
- Kirę!

Doszczętnie zwariowała - pomyślała ze współczuciem Olga.

- Ale jak pokazać? - palnęła i z miejsca zbesztła się w duchu za gafę, którą popełniła.

Kobieta skrzywiła się.

- Mam zdjęcie... To jedyne, co mi po nim pozostało.

I, nie czekając na odpowiedź, wyjęła z tylnej kieszeni džinsów pogniecioną fotografię.

Przedstawiała ją w towarzystwie uśmiechniętego młodego mężczyzny z wypiełgnowaną twarzą. Typowym męskim draniem. Poszukiwaczem mocnych wrażeń, wielbicielem ekstremalnego pieprzenia i idealnych kobiecych wymiarów 90-60-90. Natalia spełniała te wymagania i pewnie dlatego tak szeroko się uśmiechał.

- Piękny, prawda? - zapytała smętnie.

- Bardzo - Olga pomyślała z żalem, że mogła dodać parę epitetów, które ogrzałyby serce pogrążonej w smutku kobiety: „wspaniały”, „boski”, „cudowny”...

Oddała fotografię Natalii, a ta natychmiast wsunęła ją z powrotem do kieszeni.

- niesprawiedliwość... mój Boże, cóż za niesprawiedliwość na tym świecie... żeby taki młody, taki przystojny... już lepiej, żebym to ja...

Olga ani trochę nie wątpiła w szczerłość jej słów. Kobieta w istocie była gotowa oddać życie za tego Kiryła.

- No i jak, już pani lepiej? - poczuła, że ta diabelna darmowa whisky podeszła jej do gardła. Chyba jej zaszkodziła.

- Nie, ale mimo wszystko dziękuję. Napiję się jeszcze i pójdę spać. Nic innego w tej głuszy nam nie pozostaje, pani Olgo, jak tylko się napić. *toszcz mi wierzyć.

- A mnie się tu podoba.

- Nie ma dnia, bym nie chciała stąd wyjechać. Od czasu, kiedy... zaginął Kira.

- Przyjechaliście razem?

- Nie... - jej spojrzenie było pełne skruchy. - Ale pomyślałam sobie... Miałam nadzieję, że razem stąd wyjedziemy.

I wszystko jasne. Olga miała rację - najbanalniejszy przelotny romans, w który ta biedna Natalia uwikłała się po same uszy.

- Przepadał za snowboardem i ekstremalnymi rozrywkami - w Natalii coś się odblokowało: była gotowa dzielić się wspomnieniami z kimkolwiek. - Uwielbiał ryzyko... Boże, dlaczego mówię o nim w czasie przeszłym? Ponieważ zaginął pięć dni temu. Ponieważ porwała go lawina. To wystarczający powód, żeby tak mówić.

- Przecież nikt nie widział jego ciała... Rozumie pani? Człowiek żyje, dopóki nie znajdzie się jego zwłok.

Świetnie. Doskonale pocieszenie.

- Przepraszam, ale na mnie już czas. Czekają na mnie.

- Tak, tak, oczywiście. Rozumiem. Niech się pani idzie bawić - powiedziała z zalem w głosie.

Nie trzeba było pić tej przesiąkniętej rozpaczą whisky - Olga uświadomiła to sobie, jak tylko wyszła z łazienki. Poczula mdłości i kręciło jej się w głowie. Brakowało tylko, żeby w takim stanie zobaczył ją Mark. Inka będzie miała z niej ubaw. „Dobrze ci tak, Olusza! Trzeba było ze mną trenować” - już słyszała w wyobraźni jej szyderstwa.

Pchnęła więc ciężkie drzwi i wyszła z baru. Trochę świeżego powietrza na pewno uratuje sytuację. Przeszła kawałek po wydeptanej ścieżce, a następnie poślizgnęła się i upadła w śnieg. Tego właśnie jej było trzeba!

Pod wpływem mroźnego powietrza mdłości powoli ustępowały. Wzięła odrobinę śniegu i potarła nim rozpaloną twarz. Przez kilka minut leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w kryształową kopułę nieba.

Wtem usłyszała czyjś ciężki oddech. Zdrętwiała ze strachu. Usiadła na śniegu, z trudem stłumiwszy wrywający się z piersi krzyk. Ogromny kosmaty bernardyn ostrożnie ją obwąchiwał. Olga instynktownie przycisnęła rękę do piersi.

- Proszę się nie bać! - tuż obok rozległ się męski głos. - On nie gryzie. Jack, nie ruszaj!

Tuż przy niej zatrzymał się młody mężczyzna w watowanych spodniach narciarskich i swetrze w norweskie wzory. Na jego ponurej twarzy fantazyjnie migotały światła barowego szyldu. Pod zadziwiająco delikatnymi, niemal kobiecymi ustami, które kontrastowały z masywną kwadratową szczęką, zastygł czerwony neonowy pasek. Mężczyzna podszedł bliżej, pasek z podbródka przemieścił się w stronę oczu.

- Źle się pani czuje? - zapytał z troską w głosie.

- Nie. Po prostu oddycham świeżym powietrzem.

- Nie powinna pani leżeć na śniegu w samym swetrze. Może się pani przeziębic.

- Tak, tak... Wiem. Zamierzałam już wstać.

- Chętnie pani pomogę - wyciągnął w jej stronę ogromną dłoń. Nie przyjęła jednak pomocy i ręka bezradnie zawisła w powietrzu.

- Przywiózł panią Jonasz - powiedział.

Ale wieś! Wszyscy o wszystkich wiedzą. Do jutra rana oboje z Markiem będą tutejszą atrakcją, zanim nie wypróbują przywiezionego sprzętu i nie wtopią się w tłum narciarzy.

- Tak w ogóle, to już pani szukają.

- Dziękuję - odpowiedziała chłodno.

Chciała pogłaskać wałęsającego się obok psa, ale się nie odważyła. Obawiała się reakcji jego właściciela.

- Jurik! - rozległ się w oddali czyjś oburzony głos. - Jurik! Ile można czekać! Ciebie to po śmierć posyłać!

- Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę nie powinna pani leżeć na śniegu.

Mężczyzna zawołał psa i po chwili zniknęli w ciemnościach. Odczekawszy parę minut, Olga podniosła się i poczłapała do baru. W holu ponownie natknęła się na Natalię, ale nie zamieniła z nią już ani słowa, tylko lekko skinęła jej głową.

* * *

Rzeczywiście byli już mocno zaniepokojeni. Powitał ją drwiący uśmiech Inki i posepna twarz Marka. Jonasz siedział przy stoliku z obojętną miną. Na Olgę nawet nie spojrział.

- Gdzie się podziewałaś!? - naskoczył na nią mąż. - Już od zmysłów odchodziliśmy...

- Jonasz wam nic nie mówił? - zapytała zdziwiona.

- Nie. A powinien był nam coś powiedzieć?

No pewnie, że nic nie powiedział. Można się było tego po nim spodziewać. Drobna zemsta wymierzona w brata i jego wrażliwą żonę - przyzwolitą jak prezerwatywy na szafce nocnej.

- A nie, nic takiego.

- Na moje oko, to za dużo wypilaś, cara - Mark obrzucił żonę badawczym spojrzeniem. Zbyt dobrze ją znał.

- No i dzięki Bogu - pochwaliła Inka. - Tak trzymać, Olusza! Pij do upadłego! Mężuś będzie mył twoje zwłoki w wannie, zanieś cię na łóżko owiniętą we frotowe prześcieradło i jeszcze bardziej cię pokocha. Mężczyznom podobają się pijane kobiety. Podniecają ich. To taki rodzaj zboczenia, za który nie przewidziano odpowiedzialności karnej...

- Widać, że znasz to z własnego doświadczenia - Mark nie mógł się powstrzymać od wbicia Ince szpilki.

- Jak się tańczyło? - zapytała Olga, żeby przerwać zapowiedź pikantnej wymiany zdań.

- Znakomicie. Ta twoja urocza przyjaciółka podeptała mi całe nogi.

- Staralam się jak mogłam - stwierdziła skromnie Inka.

Między nimi nadal nic się nie zmieniło, pomyślała Olga. Można ile wlezie tarzać się w śniegu i pić z nieznajomymi w ubikacji, a relacje między nimi nigdy się nie zmieniają.

- No dobrze, na mnie już czas - powiedział niespodziewanie Jonasz.

Zabrzmiało to tak, jakby czekał z tym stwierdzeniem do powrotu Olgi. Poczuła, jak zamiera jej serce. Tak jak wtedy, gdy Mark dotyka jej sutków. Ale żeby taka reakcja nastąpiła z powodu nic nieznaczących słów nic nieznaczącego faceta? Chyba naprawdę przeholowała z alkoholem...

- Jutro z rana przyjdę po was. Bądźcie gotowi.

- A po mnie? - zapytała przekornie Inka.

- Niech pani przyjdzie do ich domku. Sprawdzimy sprzęt i w drogę. Czyli punkt dziewiąta jestem u was, Mark.

Wstał zza stolika i ruszył w stronę wyjścia.

- Może my też już pójdziemy? - zapytała ostrożnie Olga.

- Tak będzie najlepiej. Dzisiaj był długi, męczący dzień, cara - Mark objął ją i przyciągnął do siebie.

Odprowadzili Inkę do hotelu, a sami postanowili się przespacerować. To była spontaniczna decyzja. Nawet nie wiadomo czyja: czy Marka, czy Olgi, czy też czających się pod osłoną nocy gór.

- Jak tam twój Vallejo? - zapytał ni stąd, ni zowąd Mark. Zawsze miał życzliwy stosunek do lekko intelektualnego zajęcia żony.

- Nie wiem... To znaczy, wiem, ale czegoś mi brakuje... Pełni życia, chyba... Pełni spojrzenia na świat. Takiego, jaki on ma - odpowiedziała i z miejsca pożałowała swoich słów. Mark zatrzymał się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Brak ci pełni życia, cara?

- Nie, źle się wyraziłam... Vallejo odzwierciedla męski stosunek do świata. Namiętny stosunek. I tego mi właśnie brakuje.

- Ależ to oczywiste. Przecież jesteś kobietą. Kochaną kobietą. Moją kochaną kobietą.

Pocałował ją. Pocałował ją pod wysokim, gwiazdzystym niebem, u podnóża uśpionych gór, w królestwie przyczajonych lawin. I był to bardzo cierpki, a zarazem bardzo słodki pocałunek.

Wenecki pocałunek.

Tak. Cała ich poślubna Wenecja była przepelniona takimi pocałunkami: tuż przy ciemnych wodach kanałów, przy przegniłych palach i pociemniałych z biegiem czasu fasadach. Czyżby wszystko to powróciło?

- Podobnie jak w Wenecji, prawda? - zauważył niespodziewanie Mark, jak gdyby słyszał jej myśli.

Drgnęła i jeszcze mocniej się do niego przytuliła. - O tym samym pomyślałam.

- Naprawdę? A o czym jeszcze?

- O tym, że nasza wyprawa przypomina miesiąc miodowy.

Boże, skłamała! Pierwszy raz w życiu skłamała Markowi, swojemu mężowi, którego kochała ponad życie. W danej chwili myślała zupełnie o czymś innym: jaka szkoda, że Jonasz nie zechciał posłuchać Vallejo... Wiedziałyby, co mu zacytować...

Zupełnie przypadkowo znaleźli się na małym placyku. Jaskrawe światło reflektorów tworzyło niesamowite obrazy, padając pod odpowiednim kątem na figury, zamki i fontanny z lodu, które na zawsze zatrzymały swój bieg. Odcienie światła były najróżniejsze, jednak przeważał niebieski i czerwony, i to właśnie w nich lodowe powierzchnie rzeźb najlepiej się prezentowały.

Lśniły i tętniło w nich życie. Postaci z bajek i filmów animowanych było znacznie mniej niż innych figur. Główną ekspozycję miasteczka stanowiły starannie wykonane kopie znanych rzeźb - w większości starogreckich i starorzymskich. Znalazło się tu kilka dzieł Michelongela, a nawet „Wieczna wiosna” Rodina.

Olga oniemiała z zachwytu. Zatrzymała się i przycisnęła ręce do piersi.

- Wiedziałeś o tej ekspozycji, Mark? - spytała męża.

- Nie miałem pojęcia. Wygląda jak filia Ermitażu albo Muzeum Puszkina...

- Chryste, jak tu pięknie! W życiu bym nie podejrzewała, że lód może być taki piękny...

Przez jakiś czas, niczym zagubione dzieci, błąkali się pośród całej tej wspaniałości, za każdym razem rozchodząc się przy jednej rzeźbie i schodząc przy kolejnej. Aż wreszcie się nie zeszli. Marka nie było w miejscu, w którym mieli się spotkać.

Obeszła całe miasteczko. Przepadł jak kamień w wodę. Kilkakrotnie go wołała, gubiąc się w labiryncie zakrętów i przechodząc przez pałacowe łuki triumfalne.

Żadnej odpowiedzi.

Tylko jej własny głos, odbijający się od martwego przezroczystego lodu. Załamywał się i wracał do niej w zmienionej postaci. Był pełen trwogi, jakby chciał ją o czymś uprzedzić. W pewnej chwili bardzo się wystraszyła, widząc, a raczej czując za sobą niewyraźny cień.

- Mark! - zawołała niepewnie. - Mark!

Nadal żadnej odpowiedzi.

- Mark! Mark, nie strasz mnie!

Bezkształtny cień przesunął się za jej plecami. Teraz był z boku. Ani się nie zbliżał, ani nie oddalał. Wciąż znajdował się w niebezpiecznie bliskiej odległości. Przewyciężając strach, obejrzała się za siebie.

- Kto tu jest?

Cień natychmiast zniknął. Jakieś nieczyste siły.

Jedyne, czego w danej chwili pragnęła, to wyrwać się z tego lodowego miasteczka. Z tej kryształowej pułapki. Ale, jak się okazało, to wcale nie było takie proste. Zabłądziła w mroźnym labiryncie.

Gdzieś niedaleko, w miejscu, do którego usiłowała dotrzeć, jarzyły się światła „Róży Wiatrów”, a tu było ciemno. Jedyne słabe cienie odbijały się

od tafli lodu. Poczula ogarniające ją uczucie wściekłości, połączone z rozpaczą. Zaczęło jej brakować tchu. To wyprowadziło ją z równowagi. Rzuciła się na najbliższą rzeźbę, Bogu ducha winną malutką myszkę Mickey, i uderzyła w nią pięścią.

Nagły ból w ręce przywrócił ją do rzeczywistości.

O Boże, co ja wyprawiam...

Potarła pokaleczoną dłoń. „Niech u pieska boli, niech u kotka boli, a u Oli się zagoi...”. Tak właśnie mówiła Manana zawsze, kiedy mała Ola zdierała sobie kolana do krwi, przewracając się na rowerze. Smarowała je maścią, a Olga nie mogła się doczekać, kiedy się wreszcie zagoją, żeby móc zedrzyć brązowe strupki, pod którymi była zdrowa skóra.

Manana.

Dlaczego akurat teraz przypomniała sobie o matce?

Ta chwilowa wściekłość, ta rozpacz, ta swego rodzaju klaustrofobia w lodowym labiryncie... Mój Boże, być może coś takiego przeżywała jej matka. Olga zastygła w bezruchu i poczuła przeszywający ją wewnętrzny chłód. Na moment upodobniła się do rzeźb, które ją otaczały.

Tylko nie to!

Tylko nie to, tylko nie to... Wszystko, tylko nie to... Nie mogę... nie mogę... Błagam...

- Mark! - wrzasnęła na całe gardło.

Pojawił się przed nią znienacka, jak gdyby przez cały ten czas czaił się w pobliżu. Widząc siedzącą na śniegu żonę, błyskawicznie przypadł jej do nóg.

- Co się stało, cara?

- Gdzie byłeś? - wyszeptala zdenerwowana. - Tutaj. Cały czas. Szukam cię od piętnastu minut.

- Nie. To ja ciebie szukam. Krzyczę, wrzeszczę, a ty nawet nie raczysz się odezwać!

- Ależ skąd! To jakaś bzdura!

Uczepiła się jego kurtki. Wargi drżały jej ze złości. - Uważasz mnie za idiotkę?! Za skończoną kretynkę?! - Zwariowałaś?!

Dlaczego nagle wspomniało obłądzenie? Dlaczego?!

- Nie śmiej tak do mnie mówić! - jeszcze chwila i zamachnie się na niego.

- Co się z tobą dzieje?

- Nie waż się nigdy więcej mówić, że jestem wariatką!
- Dobrze, już dobrze. Postaraj się uspokoić.
- Już jestem spokojna - uśmiechnęła się nagle Olga i całym ciałem przywarła do Marka.

Dopiero teraz zauważył otartą do krwi dłoń. Chwycił ją i podniósł na wysokość ust.

- Zraniłaś się, cara?
- Głupstwo - naraz zrobiło jej się głupio z powodu sceny, którą mu urządziła.

Zachowuję się jak małe dziecko. Mark nie jest niczemu winny...

- Co się stało?
- Nie wiem... Szukałam cię. A potem zdawało mi się, że ktoś mnie obserwuje.
- Jak to, cara?! Kto cię tu może obserwować?
- Nie wiem... Po prostu bardzo się przestraszyłam. Nie odpowiadałeś.
- No, uspokój się - objął jej drżące ramiona. Jestem z tobą i nikomu nie dam cię skrzywdzić.
- Wiem.
- Zapomnij o wszystkim. Trochę za dużo wypijaś, a poza tym dzień był pełen wrażeń... Każdemu mogło się to zdarzyć.
- Wracajmy do siebie. Nie chcę tu przebywać ani minuty dłużej.

Co do tego Mark nie miał najmniejszych wątpliwości: całe jej ciało przeżywały dreszcze.

- Nigdy więcej tu nie przyjdę.
- Dobrze - uznał, że teraz lepiej we wszystkim się z nią zgadzać.
- Ani ty. Dobrze?
- Dobrze.
- To jest bardzo dziwne miejsce... Te rzeźby jakby były żywe od wewnątrz. Jakby obserwowały nasze ruchy.
- Poniosła cię wyobraźnia.
- Oby!
- Chociaż, to może i dobrze - uśmiechnął się i ostrożnie dotknął wargami jej skaleczonej dłoni. - Nie sądzisz, że tłumacze języka hiszpańskiego powinni mieć bujną wyobraźnię?

Chyba udało mu się rozładować napięcie. Delikatny uśmiech zagościł na jej twarzy. Taki właśnie uśmiech lubił najbardziej.

- Jesteś niezmiernie śliczna - wyszeptał. - Chodźmy do domu. Zamówimy sobie coś do picia. Kawę, co?

- I odrobinę koniaku. - Olga całkowicie już się uspokoiła. Niedawne lęki wydawały jej się teraz śmieszne. Jednak mimo wszystko nie miała ochoty dłużej pozostawać w tym miejscu.

- Zgoda. Odrobina koniaku i odrobina miłości. Jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu.

- Jakbym mogła mieć, kochanie?

* * *

Ależ ona jest piękna!

Kobieta, na którą czekałem. Czekałem właśnie na nią i w końcu przyjechała.

Teraz moja kolekcja będzie kompletna.

Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę przerażenie na jej buzi. Młodym kobietom dobrze jest w masce przerażenia. Sprawia, że ich usta stają się tak niesamowicie urzekające - gotowe do złożenia ostatniego pocałunku. Zmusza oczy do dzikiego blasku. Zakuta w lód będzie jeszcze piękniejsza niż za życia. Należy tylko wybrać odpowiedni moment, aby odłączyła się od swoich towarzyszy. Wszystko musi wyglądać naturalnie. Nie powinna się mnie bać. Nikt nie powinien bać się artysty, chociażby dlatego, że tylko on jest w stanie podarować ludziom nieśmiertelność.

A chyba właśnie o tym wszyscy marzą?

Ona z pewnością też o tym marzy.

Przeklęta okularnica nie daje mi spokoju. Nie może pogodzić się ze stratą ukochanego Kiryła. Czasami aż mnie korci, żeby jej powiedzieć, w co się zamienił. Może by się jej to spodobało... Może zechciałaby połączyć się z nim i jedno... Nie mam tego w planach, ale jeśli...

Powinna stąd wyjechać. Ludzie o słabym wzroku widzą to, czego nie może dostrzec cała reszta. To mnie niepokoi. Jest bezużytecznym świadkiem, ale mimo wszystko jest świadkiem. Niedobrze. Na domiar złego dumny Wasia odkrył to, czego nie powinien był znaleźć.

Kolejna wpadka. Dwie z rzędu - trzeba być ostrożniejszym. Do tej pory udawało mi się wybrnąć z opresji. Wystarczyło napisać parę zdań na jego

starej maszynie. Jego Underwood sam stworzył nowy finał życia Waśki. A prawdziwego zakończenia nikt nigdy nie pozna. Kiedy zaczęłam z nim rozmowę, nie spodziewał się, jak się ona zakończy. Przeczytać taką ilość kryminałów i nie nauczyć się, czym zwykle kończy się rozmowa z mordercą - to niewybaczalny błąd z jego strony.

A za błędy zawsze trzeba płacić.

Był kiepskim pisarzem, ale nikt już się o tym nie dowie. Przeczytałem wszystkie jego rękopisy. Nawet ja byłbym lepszy.

Tak, był marnym pisarzem, za to ja jestem znakomitym rzeźbiarzem. Nie muszę nawet nikogo pytać. Sam to wiem. Poza tym ci, którzy mogliby potwierdzić moje słowa, dawno już zamilkli na wieki. Gdybym tak mógł się dowiedzieć, co czują pod tą warstwą lodu. Gdybym tak mógł się dowiedzieć, co czuł Kirył, kiedy ostrożnie golilem jego zastygłe policzki maszynką gilette i skrapiałem jego skronie luksusową wodą kolońską kenzo, którą znalazłem w jego neseserku z kosmetykami. Wiem, że pomysł zabrania neseserka nie był zbyt mądry, ale trudno jest walczyć z pokusą. Uświadomiłem to sobie wiele lat temu i teraz żyję w pełnej harmonii z samym sobą. O zniknięciu neseserka nikt specjalnie nie rozmawia. Co do tego miałem rację. Zbyt dobrze znam tutejszych pracowników. Ufają mi. Pewnie nawet uważają mnie za porządnego człowieka i swojego przyjaciela. I tak powinno być. Jeszcze nikt się na mnie nie zawiódł. Nie lubię dawać powodów do rozczarowania.

Wolę jednak teraz myśleć o kobiecie, która przyjechała.

O mojej kobiecie. Natychmiast zrozumiałem, że to ona: delikatny profil i niemal idealna linia podbródka. Czegóż więcej potrzeba artyście? Oswoić swoją modelkę. To wszystko. I we właściwym momencie pozbyć się zbędnego balastu - jej znajomych. Będą tak samo rozpaczać z powodu jej zaginięcia, jak ta przeklęta okularnica po swoim Kiryłku. Ale to już nic nie da.

Nigdy jeszcze nie byłem tak bliski sukcesu.

Nigdy...

* * *

Nareszcie zelżał nieco ten piekielny ból w krzyżu, który dręczył go od dwóch dni.

Jak zawsze dopadł go na krótko przed wschodem słońca. Skrył się głęboko wewnątrz wycieńzonego marnym życiem organizmu. Tam miał swoje

legowisko. I tam będzie cierpliwie czekał na odpowiednią chwilę, aby ponowić atak.

Pał Pałycz Zwiagincew, stękając podniósł się z łóżka i podszedł do stołu, na którym stały puste butelki po wódce i puszki po piwie. Sprawdził je jedna po drugiej i zlał do brudnej szklanki wszystkie resztki. Niewiele tego było. Niespełna ćwierć szklanki. Ale to w zupełności wystarczy, żeby wspomnieć niedobrym słowem zapalenie korzonków i powitać nowy dzień.

Zwiagincew podszedł do szary na ubrania, otworzył ją i z lękiem spojrział w otchłań przybitego do drzwiczek lustra.

Nieogolona, opuchnięta gęba z podwójnym trzęsącym się podbródkiem, policzki jak u buldoga, szczecina jak u dzika, świńskie oczka, w których na wieki zagnieździły się popękane żyłki. Co tu dużo mówić - folwark zwierzęcy!

Z trudem powstrzymując się od splunięcia sobie w twarz, przeniósł wzrok na wiszące na wieszakach ciuchy. W żaden z nich już się nie mieścił, ale nie potrafił się z nimi rozstać. Przypominały mu o dawnym życiu, kiedy nie dźwigał jeszcze na swoim garbie nadprogramowych pięćdziesięciu kilo. Kiedy nie było gór i olśniewająco białego śniegu, a wyłącznie ciągle ta sama brunatna breja pod nogami.

Całe życie spędził w Sankt Petersburgu, na zatłoczonej wyspie Wasiliewskiej, którą podzielili między siebie nowobogacy i menele. Dzień w dzień sumiennie chodził do pracy do swojego kochanego komisariatu (na rogu Małego Prospektu i Ósmej Linii), regularnie co sobota odwiedzał łaźnię, regularnie pił tam wódkę i szczęśliwie powracał do domu.

Tam czekała na niego żona z wałkiem w rękę i za każdym razem porządkowała go nim okładając. Po czym grzecznie kładł się spać. Przed pięćdziesiątką dosłużył się zaledwie stopnia kapitana. W korzystniejszym przebiegu jego kariery przeszkodziło mu pijaństwo i pewna ociężałość w logicznym rozumowaniu. Z tego też wynikał charakter spraw, które mu powierzano: rozróby rodzinne z ciężkim pobiciem, zatargi między lokatorami, drobne kradzieże i wybryki chuligańskie.

Swoją drogą odpowiadała mu jego monotonna praca, niewymagająca wielkiego trudu ani poświęcenia. W ten sposób można było spokojnie, bez żadnego uszczerbku na zdrowiu, dotrwać do emerytury, a potem...

Jednak sielanka skończyła się w jednej chwili.

Zginął Wołodia.

Wołodia - jego jedyny syn. Nadzieja na przyszłość. Ojcowska duma. Student uniwersytetu, piszący w tajemnicy zabawne bajki dla dzieci. Zainteresowało się nimi jedno z petersburskich wydawnictw i wydało je w formie cieniutkiej książeczki z pięknymi obrazkami - *Kołyśanka dla języka*.

Wołodia zginął bezsensowną śmiercią. Spadł z dachu ich własnego domu. Wszedł tam, żeby przymocować obłuzowaną blachę, która stukiała na wietrze i wszystkim działała na nerwy. Matka kilkakrotnie dzwoniła do Spółdzielni Mieszkaniowej, ale robotnicy nie kwapili się z przyjściem. Wołodia stracił w końcu cierpliwość i postanowił sam to załatwić.

Pośliznął się na wilgotnym od deszczu dachu i runął w dół z szóstego piętra, prosto na zalane świeżym asfaltem podwórze. Upadek był makabryczny. Pod wpływem uderzenia o ziemię niemalże wszystkie kości zostały zmiażdżone. Jedynie twarz pozostała cała. Zastygł na niej uśmiech satysfakcji. Zanim bowiem spadł, zdążył przytwierdzić na swoje miejsce nieszczęsną blachę. Po śmierci syna Zwiagincew przez dwa miesiące pił na umór. Jedynie w ten sposób mógł uśmierzyć ból rozdzierający jego serce. Oszukiwał samego siebie, że Wołodia żyje.

Omali nie zapili się na śmierć. Przestał pić dopiero kiedy skończyły się wszystkie pieniądze. I wtedy spostrzegł, że odeszła od niego żona. Wyprowadziła się do swoich krewnych do Tosno, żeby więcej go nie widzieć. Już od dawna nic ich nie łączyło, oprócz syna. Wraz z jego śmiercią pękło jedyne wspólne ogniwo.

W pracy potraktowano go z wyrozumiałością. Zaproponowano mu nawet bezpłatny urlop. Jednak z niego nie skorzystał. Zwolnił się i po miesiącu wyjechał z miasta. Nie potrafił mieszkać w domu, który stał się grobowcem jego syna. Zabrał ze sobą jedynie książkę - *Kołyśankę dla języka*.

Do „Róży Wiatrów” trafił przez czysty przypadek. Jego dawny kolega z wojska werbował akurat personel do nowo otwartego kurortu w górach. Zaproponował mu posadę szefa ochrony.

Pracy nie było zbyt wiele. Goście „Róży Wiatrów” byli inteligentnymi i dobrze sytuowanymi osobami. Burdy pijackie oraz inne zachowania typowe dla marginesu nie miały tu racji bytu. Owszem zdarzały się smutne wypadki, jak na przykład zejścia lawin. Kilka osób zostało nawet żywcem pochowanych pod śniegiem. Jeśli udawało się je odkopać, Zwiagincew wkraczał do akcji. Bardzo umiejętnie sporządzał protokoły i przesłuchiwał świadków

- przydawało mu się dawne doświadczenie pracy w milicji. Szczytem jego kariery w „Róży Wiatrów” była sprawa kradzieży kolczyków z ametystem. Nawet on, z obrośniętym tłuszczem i przesiąkniętym wódką mózgiem, zdołał w ciągu dwóch dni rozwikłać tę zagadkę. To pokojówka miała lepkie ręce. Natychmiast wydalono ją w niesławie z „Róży Wiatrów”. Kolczyki zaś zwrócono właścicielce. Dzięki Zwiagincewowi udało się uniknąć skandalu. Kurort musi mieć bowiem nienaganną reputację.

Od tego czasu Pał Pałycz przestał tak dużo pić. Chciał zachować ciepłą posadkę ochroniarza, a to wymagało przestrzegania pewnych reguł. Teraz upijał się tylko w nocy z soboty na niedzielę. I jedynym świadkiem tego potajemnego pijaństwa była *Kołyśanka dla języka*, z którą nigdy się nie rozstawał. Oczywiście, zdarzały się sytuacje wyjątkowe, jak ta dzisiejsza, kiedy dopadło go ostre zapalenie korzonków - dawał o sobie znać wilgotny petersburski klimat. W takie dni, aby uśmierzyć ból, potrzebował więcej wódki niż zwykle. Ale i z tym nauczył się sobie radzić. Zamierzał do końca swoich dni pozostać w „Róży Wiatrów”, zwłaszcza że w jego życiu niespodziewanie pojawił się przyjaciel - Wasia Sikaczyński.

Nigdy by nie podejrzewał, że mogą się zaprzyjaźnić. No, bo cóż może łączyć młodego, pełnego sił i energii chłopaka i grubego, starego faceta z zadyszka, bólem korzonków i nadmiernym pociąganiem do taniego alkoholu? Dopiero po czasie zrozumiał, dlaczego tak się stało. Wasia był ogromnie podobny do jego zmarłego syna - Wołodii.

Nie z wyglądu, lecz z racji twórczej natury. On również pisał książki.

I nieważne, że nie były to bajki, tylko historie kryminalne. Najważniejsze, że robił to, o czym marzył jego syn. Zwiagincew stał się najwdzięczniejszym czytelnikiem jego detektywistycznych opowieści. Uważał, że są doskonałe.

Wasię również bardzo cieszyło towarzystwo Zwiagincewa. Chciwie słuchał prawdziwych historii z życia kryminalistów. Podczas jednego z ich pierwszych spotkań Pał Pałycz podkusiło jakieś lichy i powiedział, że służył w KGB (niespełnione marzenie lat młodości) i dosłużył się stopnia majora (niespełnione marzenie lat dojrzałości). Nic więc dziwnego, że chłopak był pod wrażeniem i od razu roztrząbił o tym wśród personelu. Zwiagincew zyskał dzięki temu większy autorytet. Nie starał się więc nawet demontować plotek.

Wczoraj dzielny Waśka usiłował mu coś powiedzieć przez drzwi. Jak twierdził, coś bardzo ważnego. Ale osłabiony Zwiagincew kazał mu odejść i teraz męczyły go wyrzuty sumienia. Musi pójść do niego i zapytać, czego chciał. Przy okazji dowie się, jakie są postępy w sprawie zaginięcia Pozniakowa, urodzonego w 1967 roku w Apatytach, w okręgu Murmańskim. W ciągu pięciu dni poszukiwań zdążył nauczyć się na pamięć całego życiorysu narciarza. Obecnie Pozniakow mieszkał w Karelii i zajmował się biznesem drzewnym.

Jeszcze aktywniej zajmował się kobietami. Przynajmniej w „Róży Wiatrów”. Tej ostatniej informacji nie było w papierach, ale Zwiagincew był tego naocznym świadkiem. Nawet pokojówka Maja, która odkryła brak neseserka, zdążyła się z nim przespać.

A za zbyt bliskie spoufalanie się z klientem można łatwo wylecieć z pracy.

Ale najwięcej kłopotów sprawiała mu Natalia Władilenowna Zapiesocka, czterdziestotrzyletnia okularnica z Moskwy, która straciła głowę dla tego Pozniakowa. Uczepiła się go jak rzep psiego ogona i zamęczała nikomu niepotrzebnymi zeznaniami w sprawie. Żądała, aby zintensyfikował poszukiwania i ściągnął jak najwięcej ludzi do pomocy. Przez pierwszych kilka dni latała za ratownikami, którzy szybko sprowadzili ją na ziemię: „My go nie znajdziemy. Takimi sprawami powinni się zajmować zawodowcy”.

Pał Pałycz zmęczony jej natręctwem sporządził już kilka protokołów, a teraz unikał jej jak ognia. Zapalenie korzonków, które go dopadło, było w pewnym stopniu wybawieniem od namolnej baby. Zwiagincew gotów był zapłacić każdą cenę za chwilę spokoju.

Teraz jednak musiał w końcu wyjść ze swojego zacisznego kąta i stawić czoło tej furii. Miał jeszcze cień nadziei, że odnaleziono Pozniakowa i babsko wreszcie się od niego odczepi - całkowicie skupi się na oplakiwaniu skostniałego ciała. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że żywego Pozniakowa już nie odnajdą. W ciągu dwóch lat nieustannego przebywania pośród gór zdążył je dobrze poznać i wiedział, że nigdy nie oddają łupu, który im się trafił. Wiedział również o czymś innym. Poszukiwania nie zostaną przerwane, dopóki nie odnajdą ciała. Nawet jeśli nie mają wielu ludzi.

Jednakże w tym konkretnym przypadku było coś zastanawiającego. Ciało nie potrafiły odnaleźć ani specjalistyczne przyrządy, ani psy, mimo że

obszar poszukiwań był dość znacznie zawężony. Pał Pałycz uznał to za coś w rodzaju obrzędu rytualnego Przyelbrusia. Powinno się złożyć górcom kogoś w ofierze, aby pozostałych zostawiły w spokoju.

Okrutna pogańska tradycja, ale co robić...

Według zapewnień Zapiesockiej, która rzekomo jako ostatnia widziała Pozniakowa, kręcił się on po trasie dla freestylu, pomimo ostrzeżeń meteorologów. Była to nieuczęszczana trasa na zachód od „Róży Wiatrów”, wysoko na stoku. Już od ponad roku nikt z niej nie korzystał. Cieszyła się złą sławą. W zeszłym roku zginęło tu pod lawiną małżeństwo narciarzy. Doskonale ich pamiętał. Bardzo mili ludzie. Oboje byli profesorami. Chemii organicznej, czy też nieorganicznej? Jeden czort! Zostawili w domu psa - pudła królewskiego. A teraz kolejny - Kirył Pozniakow, urodzony w Apatytach. Zwiagincew nie znał tego miasta. Był w nim tylko raz, w dodatku przejazdem, ale i to wystarczyło, żeby wyrobił sobie o nim nie najlepsze zdanie.

Zapiesocka musiało więc ciągnąć w tamtą stronę jedynie ze względu na swego lekkomyślnego kochanka. Na zawsze pozostanie jednak zagadką, dlaczego Kirył znalazł się na zamkniętej trasie. Kobieta obserwowała go z daleka, żeby go nie denerwować swoim widokiem, a kiedy ruszyła lawina, instynktownie rzuciła się do ucieczki. Bzykanie bzykaniem, ale od czasu do czasu nie zawadzi pomyśleć o życiu. Kiedy się już obejrzała, zamiast trasy zobaczyła równą warstwę śniegu. Stwierdziła, że uratować Kiryła może tylko natychmiastowa akcja ratunkowa. Jednak wkrótce zeszła kolejna lawina i szanse Kiryła spadły do zera. Namawiani przez Natalię ratownicy przeczesali trasę centymetr po centymetrze. Bezskutecznie.

Ta diabliska w okularach przysięgała, że widziała obok Kiryła jakiegoś narciarza, ale jego ciała również do tej pory nie odnaleziono.

Przegrana sprawa - powiedział do siebie Pał Pałycz. - Już po ptakach. Trzeba spakować bagaż Pozniakowa i wysłać do Karelii.

Głośno smarkając i klnąc pod nosem, założył wygnieciony garnitur, zawiązał pod podwójnym podbródkiem znoszony krawat i po raz kolejny stwierdził, że roztył się jak świnia: koszula nie dopinała się przy szyi, a w spodnie ledwie się mieścił.

Co się ze mnie zrobiło, do diabła - który to już raz pomyślał ze wstrętem, patrząc w lustro. - Waśka ma rację, trzeba zacząć jeździć na tych cholerych nartach. Kto wie, może schudnę... Ale to było jedynie jego pobożne

życzenie. W ciągu dwóch lat spędzonych w ośrodku górskim ani razu się do nich nie zbliżył. A swój wspaniały zjazd trasą slalomową wzdłuż przełęczy widział jedynie w koszmarach nocnych. W koszmarach podbarwionych bólem korzonków...

Zamiast kombinezonu narciarskiego założył jak zwykle swój stary pikowany płaszcz i kapelusz z zagiętymi bokami (Wasia był nim zachwycony, uważał go za nieodłączny atrybut prywatnego detektywa), po czym opuścił pokój.

* * *

Zwiagincew poszedł do domku ratowników. Długo nikt mu nie otwierał. Ale milicyjny nos podpowiadał mu, że ktoś się czai za drzwiami. Domyślał się nawet kto. I to doprowadzało go do szału. Walił ogromną pięścią w drzwi, które pod wpływem uderzeń łomotały tak mocno, jakby miały za chwilę wypaść z zawiasów.

- Otwieraj, dupku! - wrzasnął.

Drzwi powoli się uchyliły, jakby przestraszyły się jego krzyku, i po chwili ukazała się w nich zbójcka gęba Ahmeda.

Zwiagincew sprytnie wsunął stopę w powstałą szczelinę.

- A... To ty! - Ahmed bezskutecznie usiłował przybrać zadowoloną minę.

- Nie, nie ja, tylko twoja panienka z restauracji - w czasie wolnym od uganiania się za wczasowiczkami Ahmed laził do jednej z kelnerek, pewnej nieco wyblakłej piękności, która nie miała biustu ani nie była zazdrosna. - Ale masz mordę, Ahmedku! A niech cię! Jeszcze tylko nóż w zęby wsadzić i będziesz wyglądał jak na liście gończym.

- Zazdrościsz mi, stary diable! - dobrotliwie wyszczerzył zęby czerkieski przystojniak.

- Zazdrościsz - przyznał. Miał na myśli jego figurę - ratownik był smukły jak topola.

- Jestem chory - nie wiadomo po co dodał Ahmed. - No wiesz, angina.

- Widzę właśnie - burknął Zwiagincew, odsunął ratownika i wszedł do środka. Chłopak zaczął się ostrożnie cofać, udając, że ustępuje miejsca, a jednocześnie niepostrzeżenie podsuwając mu pod nogi niską ławkę.

Ten, nie zauważywszy manewru, gdyż podłogę zasłaniał mu jego własny gruby brzuch, potknął się i o mały włos skręciłby sobie kark.

Ahmed roześmiał się i uciekł za drzwi prowadzące do dużego pokoju, pełniącego funkcję salonu.

Zwiagincew poszedł za nim.

Ratownik ubierał się w pośpiechu. Zdążył już wciągnąć spodnie i teraz męczył się z koszulą. Jego tors pokrywała niezliczona ilość czarnych, sprężystych włosów, które robiły na kobietach wprost fenomenalne wrażenie.

Jedna z nich leżała właśnie na szerokim, niskim tapczanie, podciągawszy prześcieradło pod samą brodę. Jej ubranie było porozrzucane po podłodze. Zwiagincew z politowaniem zmierzył ją wzrokiem. Jeszcze jedna kura domowa, która zasmakowała wolności i złapała się na haczyk Ahmeda.

A raczej na potężny hak.

- Czyli jesteś chory, powiadasz? - zapytał.

- A co, nie wolno?

- Wolno, oczywiście. A to, jak sądzę, jest lekarstwo? - kiwnął głową w stronę skulonej kobiety.

- No.

- Ciepłe okłady? - dodał cicho i lekko szturchnął Ahmeda pięścią w brzuch.

- No.

- Nie marnujesz czasu - szydził dalej.

- Słuchaj no! - niewzruszony Czerkies w końcu stracił cierpliwość i syknął: - Nie waż się tak mówić o kobietach!

- Niech ci będzie.

- Skarbie, ubierz się i idź w stronę kolejki... zaraz tam przyjdę.

Dziewczyna kiwnęła głową, nie spuszczać wzroku ze Zwiagincewa.

- Odwróć się, ojczulku - polecił Ahmed. Ochroniarz odwrócił się do dziewczyny plecami i ruszył w stronę znajdującego się w rogu biurka.

Stała na nim Wasi maszyna do pisania. Pokażnych rozmiarów Underwood, podobny do bogato zdobionej trumny.

Maszyna była w pokrowcu, co go niezmiernie zdziwiło. Waśka nigdy We nakładał pokrowca, gdyż później musiałby go zdejmować, a na to był zbyt leniwy.

- A to co takiego? - wymamrotał pod nosem i niemal natychmiast otrzymał odpowiedź. Na stole obok maszyny leżała kartka papieru z notatką, napisaną rozstrzelonym drukiem: „P o j e c h a ł e m d o m i a s t a

zawieźć rękopis. Będę jutro pod wieczór. Pozdrowienia dla staruszka. Wasyl”.

Był coraz bardziej zaskoczony. Z jednej strony, ucieszył się, że Waśka o nim nie zapomniał (pозdrowienia na pewno były adresowane do niego; Wasyl od dawna nazywał go „staruszką” i wszyscy o tym wiedzieli), ale z drugiej strony...

Co za rękopis miałby zawozić do miasta? Ostatnia książka pojechała do Moskwy dwa tygodnie temu wraz z rodziną hodowców psów, którym Wasyl tak się naprzykrzał, że zgodzili się zabrać rękopis, byleby się od nich wreszcie odczepił.

Rękopis nosił tytuł „Tango Śmierci” (Waśka uwielbiał groźnie brzmiące nazwy).

Natychmiast po ich wyjeździe zasiadł do pisania nowego dzieła o tytule roboczym „Krwawa Niedziela”. Napisał zaledwie pięćdziesiąt stron, a poważnie jego mrozące krew w żyłach historie liczyły co najmniej czterysta. Zwiagincew jako jedyny orientował się w tej grafomańskiej statystyce. Waśka przeczytał mu nawet kilka rozdziałów nowej książki. Wprawdzie nie widzieli się dwa dni, ale fizycznie nie jest możliwe napisanie trzystu pięćdziesięciu stron w tak krótkim czasie. Nawet, gdy to robi tak gorliwy pisarz jak Waśka.

Ciekawe, jaki rękopis zawiózł do miasta?

Podczas gdy się nad tym usilnie zastanawiał, dziewczyna Ahmeda opuściła gościnne progi ratownika, a sam Ahmed zdążył już się ubrać.

- To gdzie jest Wasyl? - zapytał Zwiagincew.
- Przecież widzisz, wyjechał.
- Kiedy?

Wyraźnie nie spodziewał się tego pytania.

- Wczoraj, chyba.
- Widziałeś, jak wyjeżdżał?

- Nie. Nie było mnie. Od rana był z Kazbekiem. A potem to już nie wiem...

- Chciał mi coś powiedzieć. Kilka razy dobijał się do drzwi. Nie wiesz, czego mógł chcieć?

- Nie.

Może właśnie chciał go zawiadomić o swoim wyjeździe. Że musi zawieźć rękopis. Że...

Ciekawe, co za rękopis zawiózł do miasta? To pytanie nie dawało mu spokoju. Przez cały czas ich znajomości Waśka opuścił „Różę Wiatrów” tylko jeden jedyny raz, roztrąbiwszy o tym na całą okolicę. A teraz tak po cichu? Po kryjomu? „Pozdrowienia dla staruszka”? Nawet nie zapytał, czy Zwiagincew potrzebuje tytoniu do swojej starej fajki. Każdy, kto schodził na dół do wioski, obowiązkowo przywoził ochroniarzowi tytoń. To po pierwsze. A po drugie, niedawno Pał Pałycz skarżył się Waśce, że kończą mu się zapasy.

Kucnął przed biurkiem i zaczął wysuwać szuflady.

- Ej! - oburzył się Ahmed. - A gdzie nakaz rewizji?
- Gdzie - gdzie... W Pentagonie!

Waśka zawsze drukował swoje powieści w dwóch egzemplarzach. Pierwszy zostawiał sobie (żeby, broń Boże, nikt nie połaszczył się na jego prawa autorskie!), a drugi wysyłał pod określony adres. To był swego rodzaju rytuał. Rękopisy zajmowały dwie szuflady. Od początku swojej twórczej pracy Wasyl Sikaczyński skleił osiem kryminałów. „Krwawa Niedziela” powinna więc być dziewiąta.

Zwiagincew dokładnie przeszukał wszystkie szuflady. Naliczył osiem egzemplarzy, włącznie z „Tangiem Śmierci”.

Po „Krwawej Niedzieli” nie było śladu. Nie znalazł ani jednego egzemplarza. Ani jednej strony.

Strasznie mu się to nie spodobało.

Niepozberany na co dzień Waśka był pedantem w stosunku do wszystkiego, co dotyczyło rękopisów. Pierwszy egzemplarz powinien leżeć tam, gdzie jego miejsce. W szufladzie. Koniec i kropka.

Jednak „Krwawej Niedzieli” tam nie było.

Nagle Zwiagincew pomyślał, że przecież wczoraj była niedziela.

Dlaczego właśnie teraz o tym pomyślał? Co to ma do rzeczy?

Wyprawa Waśki wyglądała coraz bardziej podejrzanie. Przeczyły jej wszystkie fakty. I jeszcze ta ważna sprawa, którą chciał się z nim wczoraj podzielić. Trzeba było otworzyć. Teraz miał do siebie żal, że tego nie zrobił. Żeby odpędzić od siebie mroczne myśli, przeniósł swoją uwagę na Ahmeda. Autorem kryminałów zajmie się później.

- No dobra, o Waśce już wiem. Wyjechał i tak dalej - wypowiadając to na głos, nabrał dziwnej pewności, że Waśka nie mógł nigdzie wyjechać. - A pozostali?

- Wład, to sam powinieneś wiedzieć. Jurik zresztą też.

Westchnął ciężko. Czyli Pozniakowa nie odnaleziono. W sumie mógł się tego domyślić. Gdyby poszukiwania zakończyły się sukcesem, już dawno bez skrupułów wyciągnęliby go z łóżka.

- A Jonasz?

- Ma gości.

- Jasne. Kiedy po raz ostatni widziałeś Waškę?

Ahmed zamyślił się, marszcząc przy tym czoło.

- Wczoraj rano. Obiecał, że wybierze dla Kazbeka sprzęt.

- A co to za jeden?

- Mój siostrzeniec. Jest tu na wakacjach.

- No i co? Dobrał mu ten sprzęt?

- Pewnie!

- A potem gdzie się podział?

- Słuchaj, Pałycz! Coś ty się mnie tak uczepił? Wróciłem dopiero nad ranem. Widziałem tylko tę kartkę.

Myśl o Wasi Sikaczyńskim z niewiadomych przyczyn nie dawała Pałowi spokoju. Niepokój dręczył jego chore otłuszczone serce.

- Czyli Wład i Jurik wciąż kopią... A gdzie znajdę twojego siostrzeńca?

- Nie wiem... Pewnie jeździ.

- No to idę. Wracaj do zdrowia, Ahmed!

Przez następne dwie godziny bezskutecznie usiłował rozwikłać zagadkę nagłego zniknięcia Waški. Wyglądało to na ucieczkę. I taką wersję mógłby przyjąć, gdyby nie dwie rzeczy, które wzbudzały w nim niepokój. Po pierwsze, brak obu egzemplarzy rękopisu. A po drugie, natarczywe pukanie do drzwi, rozpaczliwe próby skontaktowania się z nim w dniu wczorajszym.

Wypytał o niego wszystkich, kogo się dało. Starał się robić to bardzo delikatnie i ostrożnie, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Większość była zgodna co do tego, że chłopak przewijał się w najróżniejszych miejscach prawie do szóstej wieczorem. Portier Siergiej, który miał wczoraj dyżur, przypomniał sobie, że rano Waška wziął od niego klucz od „Kamiennej Salkwy” („I mu go do tej pory nie oddał, drań, a to już pachnie przestępstwem służbowym”). Był z jakimś chłopcem, chyba siostrzeńcem Ahmeda. O północy wartę przejął Iwan...

Zwiagincew poszedł następnie do hotelu. Właściwie mógł już darować sobie rozmowę z Iwanem po tym, co niespodziewanie tam zobaczył. Tym czymś był klucz od „Kamiennej Sakwy”, najspokojniej w świecie wiszący na swoim miejscu. Znał ten klucz doskonale, gdyż Waśka kilkakrotnie zaciągał go do „Kamiennej Sakwy”, żeby chociaż spróbował dobrać sobie odpowiedni sprzęt narciarski. Jednak wysiłki Wasi poszły na marne.

Myślał intensywnie, nie spuszczać oczu z klucza. Sierioża powiedział, że chłopak go nie zwrócił, mimo że portier dyżurował do północy. Z „Róży Wiatrów” wyjechały wczoraj tylko dwa samochody: mała furgonetka i jeep któregoś z gości. Oba opuściły ośrodek przed godziną dwudziestą. Można oczywiście założyć, że Waśka postanowił zejść do „Kryjówki Orła” - ogromnej stacji narciarskiej, położonej nieco poniżej „Róży Wiatrów”. Stamtąd jeździł do miasta autobus. Ale to byłoby czyste samobójstwo: nocą, na nartach, w całkowitych ciemnościach... Żaden z samochodów jeszcze nie wrócił. Nawet gdyby przyjąć, że odjechał któryś z nich, to kto wobec tego oddał klucz do „Kamiennej Sakwy”?

Starość nie radość - pomyślał. - Najprawdziwsza w świecie starość. Żeby wszędzie doszukiwać się dziury w całym? Chorobliwa podejrzliwość. Jakieś dziwaczne fobie. Może to podświadomość dochodzi do głosu? Znieważona i wypaczona przez wieloletnią pracę w milicji. Może teraz te wszystkie drobne sprawy, które prowadziłeś, mszczą się na tobie, wgryzając się w podświadomość bezzębnymi ustami? Co jest, u diabła?! Nigdy przecież nie lubiłeś niczego analizować. To należy do obowiązków tych wszystkich mądrali z wydziałów śledczych. Trzeba się przebadać u psychiatry.

Ale żeby się przebadać, należałoby zejść na dół. Wrócić do życia, które na zawsze zabrało mu jedynego syna. A tego Zwiagincew kategorycznie nie chciał.

Trzeba tymczasem znaleźć Kazbeka, siostrzeńca kochliwego Czerkiesa - z tą myślą podążył w stronę krótkiego orczyka dla początkujących, przy którym w bujanym fotelu, w słomianym kapeluszu siedział Arik Stilller.

Arik Schriller był osobliwością „Róży Wiatrów”. W zeszłym roku, w przerwie między sezonami skończył osiemdziesiąt lat. Skromny jubileusz obchodzono w wąskim gronie przyjaciół. Arika razem z jego fotelem przeniesiono do sali restauracyjnej, gdzie wręczono mu drogie gogle narciarskie i tort, wiernie imitujący zabudowania „Róży Wiatrów”. Bitą śmietana imitowała śnieg, a budynki zrobione były z miodowych pierniczków. O spokojnym

Niemcu krążyły legendy. Podobno podczas wojny był strzelcem w słynnej dywizji „Edelweiss”, wybornym narciarzem i snajperem. Zlikwidował kilkadziesiąt rosyjskich żołnierzy. Goering osobiście nagroził go żelaznym krzyżem za odwagę. Jednak z jakiegoś powodu nie opuścił Kaukazu ze swoją dywizją. Został tu i długie lata żył samotnie na lodowcach. A potem wkręcił się do jednego ze schronisk turystycznych. Dopiero na samym końcu jego długiej drogi życiowej znalazła się „Róża Wiatrów”, gdzie zamierzał doczekać spokojnej starości i śmierci. Wybrał już sobie nawet miejsce - w dolinie nieopodal hotelu.

Nie potwierdzał strasznych historii o „Edelweiss”, ani im nie zaprzeczał. W spokoju dożywał starości, siedząc przy wyciągu i przyjmując od „żółtozłobów” bilety na wjazd.

- Cześć, Arik! - Pał Pałycz krzyknął mu prosto w ucho. - Jak tam życie, młodzieńcze?

Mężczyzna poruszył wargami, co miało oznaczać: „Cześć, życie młodzieńcze, toczy się swoim trybem, żadnych zawirowań”.

- Znasz siostrzeńca Ahmeda? - to było pytanie retoryczne. Staruszek Schriller miał fenomenalną pamięć do imion i twarzy, nawet widzianych tylko przelotnie.

- Kazbek? - Arik cedził słowa tak, jak matka karmiąca piersią - mleko. - Wjeżdżał niedawno.

- Pokażesz mi go, kiedy znów podejdzie?

- Pokażę.

Nie musiał długo czekać. Zjazd dla nowicjuszy był najkrótszy. Wynosił około pięciuset metrów. Po upływie dwudziestu minut Arik wskazał pomarszczonym palcem małą postać, kuśtykającą w ich stronę.

Siostrzeniec Ahmeda był dokładną, tylko pomniejszoną, kopią swojego wuja. Włókł się za dwiema młodziutkimi narciarkami, które również kierowały się w stronę wyciągu. Na twarzy trzynastoletniego Kazbeka wyraźnie malowało się zainteresowanie tymi barwnymi motylami w czerwonych kombinezonach. Tuż przy bramce Zwiagincew zaczął chłopaka.

- Ty jesteś Kazbek?

- A co?

- Jesteś mi potrzebny. Odejdźmy na chwilę na bok.

Chłopak rzucił kolorowym nimfom tęskne spojrzenie i Zwiagincewowi zrobiło się go żal.

- Nie martw się, jeszcze zdążysz się najeździć. Opowiadaj.
- O czym?
- O Wasi.
- Ale co, o Wasi?
- Pomagał ci skompletować sprzęt?
- A co?
- Ja tu zadaję pytania! - ryknął Zwiagincew.
- Nic złego nie zrobiłem...
- Gadaj po kolei. Wujek poprosił Wasię, żeby załatwił ci narty, zgadza się?
- No.
- I poszliście je wybrać. Zgadza się?
- No.
- I wybraliście - ochroniarz powoli zaczął tracić cierpliwość.
- No.
- I co było dalej?
- Nic.

Porażka. Aż się spocił. Wyjął z kieszeni płaszcza chustkę do nosa, która z wyglądu przypominała upačkany obrus, i wytarł nią czoło. *Kiepsko u niego z abstrakcyjnym myśleniem. Spróbujmy więc przejść do konkretów.*

- A kiedy poszliście po narty? Rano, tak?
- O wpół do dziesiątej - Kazbek wykazał się niespodziewanym przebiegiem intelektu. - Zaraz po śniadaniu.
- Tak dokładnie pamiętasz? - podekscytowany nieoczekiwanym sukcesem przesunął kapelusz na czubek głowy.
- Śniadanie jest o dziewiątej.
- Aha. I od razu potem poszliście?
- Tak.
- Wybierać sprzęt - ciągnął swoje Zwiagincew. - Długo wam zeszło?
- Nie wiem. Nie. To znaczy średnio. Najpierw wyszukał mi buty. Później narty. Zostały jeszcze mocowania i kijki... Ale nagle powiedział, żebym na niego zaczekał... że zaraz wróci... że musi coś komuś powiedzieć...

W tym momencie Zwiagincew przypomniał sobie wczorajszy ranek.

No tak, za pierwszym razem Waśka przyszedł do niego coś koło dziesiątej i łomotał w drzwi. Obudził Pała Pałycza, który całą poprzednią noc

ofiarnie, ale bezskutecznie walczył z bólem korzonków. Nic więc dziwnego, że był rozdrażniony. Zerknął na zegarek i kazał się Waśce wynosić.

Była dziewiąta pięćdziesiąt dwie, jeśli wierzyć jego staremu zegarkowi. Plus piętnaście minut (o tyle spóźnia się jego zegarek), co daje łącznie dziesięciątą zero siedem.

A więc Waśka musiał przypomnieć sobie coś ważnego, skoro zostawił chłopaka w „Kamiennej Sakwie” z butami, ale bez mocowań. Z nartami, ale bez kijków. Coś, czego nie można było odłożyć na później. No bo przecież nie przyszedł do niego po pomysł na fabułę do swojej nowej książki. To co mu mogło przyjść do głowy? O czym mógł sobie przypomnieć?

A może coś zobaczył?

Widząc, że stary tłuszcioch się zamyślił, Kazbek spróbował mu się wymknąć. Ruszył do wyciągu, ale Zwiagincew zręcznie chwycił go za połą kurtki.

- Skończyliśmy na tym, że Wasia wybrał ci narty i zaczął dobierać kijki. Dobrze pamiętam?

- No.

- A nie powiedział ci, dlaczego tak nagle musiał wyjść?

- Nie. Szperał, szukał, coś oglądał, a potem powiedział, że musi pilnie dokądś pójść i że szybko wróci...

- I to wszystko?

- Wszystko.

- A jak wyglądał?

- Normalnie, to znaczy zwyczajnie.

- Niczym nie był... - pstryknął palcami, starając się dobrać odpowiednie słowo -...niczym nie był podekscytowany? Albo zaniepokojony? A może sobie coś przypomniał... Wiesz, co robią ludzie, jak sobie coś przypominają?

- Klepią się po czole, tak? - zapytał niepewnie Kazbek.

- Coś w tym stylu.

- To nie. Nie klepał się po czole. Po prostu wyszedł i tyle. Powiedział, żebym na niego poczekał.

- No i poczekałeś?

- Tak. Szybko wrócił.

- I co?

- Był zły jak osa. Powiedział: „To stary cap, nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny”.

Tak. Stary cap, którego nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny, to ja - Pał Pałycz Zwiagincew. Chociaż w sumie określenie „stary cap” nie jest aż tak złe. Mógł mnie nazwać tłustym wieprzem. No, ale po co mu byłem potrzebny?

Intuicja podpowiadała mu, że ta pechowa poranna wizyta, do której ostatecznie nie doszło, ma jakiś związek z niespodziewanym zniknięciem Wasi. Poza tym później w ciągu dnia chłopak ponownie usiłował się z nim skontaktować.

Boże, dlaczego mu nie otworzyłem? - robił sobie wyrzuty.

Trudno. Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, jak lubił mawiać sam Wasia. Niemniej jednak nie zawadzi zajrzeć do „Kamiennej Sakwy”.

Zwiagincew pozwolił chłopakowi odejść, pożegnał się ze starym grzybem Schrillerem i poszedł do portiera Iwana po klucz. Pół godziny później przekręcał go już w zamku „Kamiennej Sakwy”, nie wiedząc nawet, czego ma szukać.

Zarówno powierzchowne, jak i dokładne przeszukanie pomieszczenia nie przyniosło żadnego rezultatu. Nie trafił na nic, co przykułoby jego uwagę. Stały tam jedynie narty i pozostały ekwipunek narciarski, który już dawno przeszedł na zasłużoną emeryturę. Pamiętając o tym, co powiedział mu chłopak, a mianowicie, że Wasia na krótko przed wyjściem dobierał mu kijki i mocowania, obejrzał je w pierwszej kolejności. Chuchał przy tym w dłonie, gdyż w magazynie było zimniej niż na dworze. Nie znalazł jednak nic podejrzanego. Ani w stosie kijków, ani mocowań.

Jeszcze raz omiótł spojrzeniem pomieszczenie i stwierdził, że niepotrzebnie się fatygował. Zamierzał już wyjść, gdy nagle zauważył na podłodze łańcuszek z malutkim medalionem. To był medalion Wasi. Doskonale go pamiętał. Dziewica Maryja ze złożonymi w modlitewnym geście rękami. Waśka był niepraktykującym katolikiem, więc medalion służył mu raczej jako amulet. Stękając i pojękując, Zwiagincew schylił się i podniósł srebrny przedmiot. Łańcuszek nie był zerwany, jak można się było spodziewać, po prostu się odpiął.

Pałycz wsunął go do kieszeni. *Ale się chłopak ucieszy, kiedy się dowie, że znalazłem jego skarb - pomyślał, po czym opuścił „Kamiennej Sakwę”.*

Oddał klucz portierowi i poszedł do swojego pokoju.

Historia z Wašką zaczęła wydawać mu się coraz bardziej absurdalna. Tak samo, jak wszystkie podejrzania, które rodziły mu się w głowie. Na pewno chłopaczysko wkrótce wróci i wszystko wyjaśni. Swoją nadmierną nerwość i podejrzliwość zrzucił na karb powracającej choroby, która negatywnie wpłynęła na jego zdolności intelektualne i prawidłowe postrzeganie rzeczywistości. Już mu się to przedtem przytrafiało. Po atakach bólu stawał się wrażliwy i sentymentalny jak panienka.

Żeby całkowicie dojść do formy, postanowił wypić pięćdziesiąt gram spirytusu z kanistra, schowanego w szafie, i spokojnie poczekać na główną ekipę ratunkową. Z pewnością wszystko mu wyjaśnią. A tymczasem powróży sobie z ukochanej książki - *Kołysanki dla jeżyka*.

Książka zmarłego syna stała się dla niego swoistą wyrocznią. Znajdował w niej odpowiedzi na wszystkie pytania. Teraz również umościł się wygodnie w fotelu i chlapnąwszy sobie spirytusu, wymyślił wróżbę na najbliższą przyszłość i tajemnicze zniknięcie Wasi Sikaczyńskiego.

Strona trzynasta, piąta linijka od góry.

Po upływie kilku chwil, po przeczytaniu wyznaczonego tekstu pogrążył się w głębokiej zadumie. Piąta linijka od góry i kawałek szóstej na trzynastej stronie jego magicznej książki głosiły: „Pamiętaj, jeżyku, nigdy nie ufaj komuś, kto przybywa z południowych stron lasu i tam powraca. Strzeż się go. Może wyrządzić ci zło. Przybiera różne postaci i co rusz podaje się za kogoś innego”.

* * *

Inka jak zwykle się spóźniała.

Jonasz i Mark zdążyli wypalić po trzy papierosy. Nawet zazwyczaj cierpliwa Olga zaczęła się już denerwować. Wreszcie Inka pojawiła się na horyzoncie. Właściwie to już nie była Inka, a chodzący katalog ostatnich modeli ekwipunku dla narciarzy. Poruszała się tak dostojnie, jak gdyby przywieszki z cenami z wieloma zerami wciąż kołysały się przy nowiuteńkim stroju. „Ojciec rzeczywiście się wykosztował” - pomyślała Olga. W dzieciństwie jej nie rozpieszczał, ponieważ nie było go na to stać. Teraz natomiast mógł pozwolić sobie na wystawne życie i Inka sprytnie z tego korzystała. Trzeba przyznać, że macocha, niedościgniony ideał pięknej kobiety i jej najlepsza przyjaciółka, wyglądała bardzo efektownie.

- Nie spóźniłam się? - zapytała z melancholią w głosie, podnosząc gogle na czoło.

- Spóźniłaś, ale jakie to ma znaczenie? - odpowiedział Mark za wszystkich. - Moje panie, góry podano!

- Czy nie za bardzo elegancko? - Jonasz również umiał prawieć komplementy.

- W sam raz - nie dała się sprowokować.

Cała czwórka - Mark, Olga, Inka i Jonasz - stanowiła dość malowniczą grupkę. Jonasz oczywiście pełnił rolę przewodnika. Wszyscy pozostali podejrzanie przypominali zblazowanych nowobogackich, którzy zdecydowali, że wydadzą swoje kieszonkowe na coś tak dziwnego, jak zjazd ze stoku. Buty firmy Lange, narty od Fischera, kombinezony, w których śmiało można udać się na bankiet do ambasady. Tylko Mark miał kask. Kobiety ograniczyły się do fikuśnych czapek, a Jonasz nie miał żadnego nakrycia głowy.

Mark i Inka wyglądali, jakby się specjalnie umówili. Oboje wzięli krótkie narty carwingowe, jakby nastawiali się na bardziej sportowe przeżycia. Olga, która nigdy przedtem nie jeździła na nartach, poprzestała na najzwyklejszym klasycznym wariantcie wyposażenia. Prosto i ze smakiem. Żadnych zbędnych udziwnień, jak prawdziwy żółtodziób.

- To co, ruszamy? - zapytał Jonasz.

- Już dawno powinniśmy - spóźniona Inka chciała nadrobić stracony czas.

- Wzieliście karnety?

Karnety uprawniające do wjazdu Mark odebrał wczoraj w recepcji.

Po chwili całą ekipą ruszyli w stronę wyciągu, który miał ich zawieźć na początek trasy. Ledwie się tam znaleźli, a już pojawiła się problematyczna kwestia: co zrobić z Olgą? Jak się sama przyznała, ostatni raz stała na nartach w ósmej klasie, podczas grupowego biegu po polach i ugorach w pobliżu Moskwy. Teraz zaś czekał ją zjazd z góry, a o tym nie miała zielonego pojęcia. Należałoby więc wysłać ją na „ośłą łączkę”, ale Mark kategorycznie się temu przeciwstawił. Nie chciał się z nią rozstawać ani na moment.

- Nie musisz się martwić - przekonywał go Jonasz. - Zajmę się nią.

- Tego się właśnie obawiam najbardziej - Mark był szczery do bólu. Wyraźnie nie podobały mu się oznaki zainteresowania, które Jonasz okazywał Oldze.

- Mark, gołąbeczku, moim zdaniem to chorobliwa zazdrość - Inka jak zwykle chciała zablęsnać. - Jest taki specjalny termin w psychiatrii. Nie chcesz się przebadać pod tym kątem?

- Nie chcę - uciał.

Na jakiś czas zamilkli, oczarowani otwierającymi się przed nimi widokami. Góry były tak piękne, tak doskonałe, tak dziewiczo czyste, że Olga poczuła szybsze bicie serca. W dole sunęły powoli wierzchołki sosen, slalomowe tyczki, pośród których widać było małe sylwetki narciarzy. „Róża Wiatrów” została daleko w tyle. Budynki wyglądały teraz jak kolorowe klocki. Nagle przypomniał jej się facet, który zaginął kilka dni temu.

...Też z pewnością wjeżdżał tym wyciągiem. Może nawet siedział na tym samym miejscu... Góry się z nim jednak nie patyczkowały. Zaciągnęły go w ustronne miejsce... W górach jest pewnie mnóstwo ustronnych miejsc, podobnie jak w duszy każdego człowieka. I w każdym z nich leżą pod śniegiem martwi narciarze, a wraz z nimi ich zdrady, skryte pragnienia, tłumione namiętności, niezaspokojone ambicje... Oby nie natknąć się na nie przypadkiem i nie wyciągnąć ich na światło dzienne.

Nie ma się co przejmować, przecież zawsze była wzorem opanowania i spokoju. W życiu nie przyszłoby jej do głowy zdradzić męża, poprosić ojca o pieniądze na samochód, spóźnić się z tłumaczeniem dla wydawcy więcej niż osiem dni. Nawet narty wybrała klasyczne, bez wydziwiania...

Po kilku minutach znaleźli się na niewielkiej polanie z dobrze ubitym śniegiem. Od linii startowej dzieliło ich niecałe sto metrów.

- Nie wydaje się wam, że jest tu zbyt wielu amatorów narciarstwa? - zapytała niespodziewanie Inka.

- Jak mamy to rozumieć? - zdziwił się Mark.

- Dosłownie. Tu jest więcej narodu niż w Jalcie w szczycie sezonu.

- A co, chciałaś, żeby było ich tyłu, co w podrzędnym teatrze na premierze sztuki eksperymentalnej?

- A żebyś wiedział!

Inka przesadziła z pretensjami. Liczba narciarzy w zasięgu wzroku zamknęłyby się na pewno w dwóch dziesiątkach.

- Co za różnica?

- Bo widzisz Marik, gołąbeczku, narciarstwo zjazdowe to sprawa intymna. Jak depilacja włosów na nogach. Wołałoby się mieć jak najmniej świadków.

- Świadców czego? Golenia nóg czy twoich wyczynów narciarskich?

- Tego i tego.

- Nic ci na to nie poradzę.
- Pomoże mi pan umocować narty, panie Jonaszu? - Ince sprzykrzyło się przekomarzanie z Markiem. Przerzuciła się na jego brata.

- Oczywiście - uśmiechnął się. - Uwielbiam „nowych ruskich”...

- Wszystkich bez wyjątku czy tylko niektórych? - Olga sama nie spodziewała się po sobie podobnego pytania. Złapała się na tym, że w jej głosie zabrzmiała typowa dla Inki swawolna kokieteria. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiała nosić krótką fryzurę i nazywać swojego męża: „Marik, gołąbeczku”.

- Wszystkich bez wyjątku.

- Czemu zawdzięczamy taki zaszczyt? - Inka mrugnęła do niej porozumiewawczo. Co jak co, ale pozycja „nowej ruskiej” w pełni ją satysfakcjonowała. Większą część swojego życia klepała biedę, której na imię było „wypląta matki”, wychowawczyni w internacie dla dzieci opóźnionych w rozwoju.

- Jesteście wdzięcznym obiektem obserwacji - odpowiedział z zapalem. Najwidoczniej miał już wyrobione zdanie na ten temat i gotowe wypowiedzi, których dotychczas nie miał okazji nikomu przedstawić. - Nakupujecie sobie sprzętu wartego tysiące dolarów, dwa razy zjedzicie z wypiętym tyłkiem i pokrzywionymi nogami - i do widzenia... Na tym kończy się wasza przygoda z nartami.

- Dlaczego - „do widzenia”?

- Idziecie do baru, zamawiacie wódkę albo jakieś koktajle, a potem zachciewa się wam Cyganów z tańczącymi niedźwiedziami i karabinków sportowych.

- A po co te karabinki? - zapytał Mark.

- Niech ci będzie, nie karabinków - posłał bratu zaczepne spojrzenie - tylko paru dziwek do fińskiej sauny, z obowiązkową umiejętnością skoków z trampoliny.

- A mnie się wydaje, że pan im zazdrości! - roześmiała się Inka. - Tym fantastycznym facetom, „nowym Ruskim”...

Mark nie czekał na koniec dyskusji. Wybrał najdogodniejsze miejsce na rozpoczęcie zjazdu. Zamiast wjechać na wyrównaną, zadbaną trasę, z której mieli korzystać, wziął ją z lewej i teraz wszyscy z zapartym tchem obserwowali, jak ślizga się po grubej warstwie śniegu, spod której gdzieś błyskały połacie lodu.

To był zjazd pokazowy. Olga czuła, że Markowi bardzo zależy, aby zwycięsko przejść tę próbę. To było w jego stylu. Już po chwili wszystkie myśli wyleciały jej z głowy. Jak urzeczona wpatrywała się w jego manewry. Pędził po puszystym, świeżym śniegu, rzucając wyzwanie sile grawitacji. Czasami niemal kładł się na stoku, wchodząc w zakręt. Za każdym razem była pewna, że zaraz się wywróci. Dopiero w ostatniej chwili zauważyła skałę, przyprószoną zdradziecką warstwą śniegu. Mark nieuchronnie się do niej zbliżał. Nie wytrzymała nerwowo. Odwróciła się w stronę Inki, żeby tylko nie widzieć ewentualnego upadku. Zacisnęła pięści. Miała już nawet zamiar zamknąć oczy, jednak powstrzymała ją mina koleżanki: zwężone z przejęcia źrenice, zacisnięte usta... Kto by przypuszczał, że Inka, organicznie nieznosząca Marka, może się tak o niego bać?!

- Jak tam? - zapytała przyjaciółkę urywanym szeptem. Ale i bez jej odpowiedzi wiedziała, że wszystko się udało, gdyż twarz Inki w jednej chwili się rozpozodziła, a w oczach pojawił się błysk zachwytu.

- Patrz, Olusza! - zawołała.

„Nic mu nie grozi” - mówiły jej rozdęte nozdrza. Olga odwróciła się i zobaczyła Marka w chwili, kiedy odbił się od skały i poszybował w górę. Wyraźnie zarysowana sylwetka na tle osłepiająco jasnego nieba...

- I co pan na to powie, panie Jonaszu? - zapytała Inka, kiedy Mark szczęśliwie wylądował i zniknął w dole.

- Tylko tyle, że zna się na nartach - odpowiedział wyniośle i to była jedyna pochwała, której doczekał się Mark. - Wybrał najlepsze. Same wszystko za niego robią, i tyle.

I tyle?!

Cóż za niesprawiedliwa opinia z jego strony! Do oczu napłynęły jej łzy. Zdawała sobie sprawę, że Mark istotnie wybrał najlepsze narty. Sam jej to wczoraj powiedział, kiedy wrócili z baru. A mówił to tylko po to, żeby przestała zadrezczać się myślami o lodowym miasteczku z rzeźbami. „To są nadzwyczajne narty. Robią niesamowite rzeczy... Jazda na nich przypomina wyścigi motocyklowe, tak samo zapiera dech w piersi...” - „Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z motocyklami? Przecież nigdy nie ciągnęło cię do sportów ekstremalnych. Nawet swojego volkswagena prowadzisz z przesadną ostrożnością. Zawsze zgodnie z przepisami. Żadnego punktu karnego...” - „To dlatego, że daję łapówki milicjantom, cara. Ale jestem urodzonym ryzykantem...”.

Mark jak mało o tobie wiem, jak się okazuje! I jak bardzo mi się to podoba, czego się o tobie dowiaduję po czasie... Motocykle, narty - a teraz jeszcze ten fantastyczny lot nad oblodzoną skalą...

Hm... dodatkowy powód, żeby po raz kolejny zakochać się po uszy we własnym mężu...

Była tak zajęta rozmyślaniami, że nie zwróciła uwagi, iż potyczka słowna pomiędzy Inką a Jonaszem mocno się zaostrzyła. Wygląda na to, że Inka znalazła sobie w braciach Krasieńskich przysłowiowych chłopców do bicia.

- Uważam, że to był dość profesjonalny zjazd, panie Jonaszu. A pan jak sądzi?

- Jak na początek całkiem nieźle.

- Całkiem nieźle?! - nawet Inka przy całej swojej niechęci do Marka nie mogła zgodzić się z jego opinią. - A może podejmie pan wyzwanie i powtórzy jego wyczyn? Może pokaże pan kobietom prawdziwą klasę?

- Może.

- Po tym samym torze. Mam na myśli tę skalną skocznnię.

- Może.

- No to do dzieła, a ja zaopiekuję się naszą nowicjuską.

Jonasz rzucił szybkie spojrzenie na Olgę i zakłopotany podrapał się po nosie.

- Kiedy będziecie zjeżdżać, najlepiej skorzystać z wytyczonej trasy. Trzeba pojechać trochę bardziej na prawo. To nie jest zbyt skomplikowane. Wszyscy tamtędy jeżdżą. Chociaż pewnie lepiej, żebyście na nas poczekały.

- Tylko ile można czekać! - Inka z powątpiewaniem spojrzała w dół. Zjazd był stosunkowo długi.

- A pani w ogóle bym nie radził próbować - zwrócił się do Olgi. - To jest zjazd slalomowy. Niewprawiona osoba raczej nie da sobie rady. Można nadzieć się na tyczkę.

- Nie nadzieje się - ucięła Inka. - Wcale nie musi zjeżdżać. Poczeka na was. Przez ten czas się poopala. Co ty na to, Olusza?

Pozostawiła pytanie bez odpowiedzi. Bo co tu można było powiedzieć...

- No, w drogę, panie Jonaszu!

- To nie jest konieczne - powiedziała raptem Olga.

- Jak to - nie jest konieczne? - Inka popatrzyła na nią ze zdziwieniem.
- Niech pan tu zostanie i nauczyc mnie podstaw.
- Przestań! Niech zjedzie. Przecież jest wojownikiem... Zna świetnie góry, powinien nam służyć dobrym przykładem.

Olga przestraszyła się, że Jonasz nie będzie w stanie powtórzyć wyczynu Marka. Nie знаła się najeździe na nartach, ale mąż zdążył udzielić jej kilku teoretycznych lekcji. Mark jej przecież mówił, jak wiele zależy od sprzętu.

Z całej oferty Mark rzeczywiście wybrał najbardziej optymalny wariant: krótkie, zwężone na środku narty dawały mu niezbędną przewagę. Jonasz miał zwykły sprzęt, mimo że nieustannie przebywał w górach. A co, jeśli nie da rady powtórzyć tego, czego dokonał jej mąż? Jeśli źle wejdzie w zakręt...

Co wtedy?

Potrząsnęła głową i naraz ogarnęła ją złość na samą siebie. Skąd u niej ten strach o człowieka, którego dopiero co poznała? O Marka również się bała, ale był to instynktowny, chwilowy strach. Strach o Jonasa z kolei pojawił się potajemnie i teraz ukrywał się w zakamarkach duszy...

Jonasz bez słowa odepchnął się kijkami i podjechał do punktu, w którym rozpoczął jazdę Mark. Na powierzchni śniegu widniał ledwie dostrzegalny ślad jego nart.

Jeszcze chwila i wyznaczy własny tor, który przetnie się z torem brata dopiero obok skały.

Sunął równie pewnie jak Mark, tylko brał szersze łuki podczas skrętów. Szczęśliwie dotarł do trampoliny skalnej i na moment zawisł w powietrzu. Olga znów zamknęła oczy. Po chwili Inka szturchnęła ją łokciem.

- Wszystko w porządku, Olusza. Jak widzę, jesteś kłębkim nerwów. Trzeba było wziąć ze sobą sole trzeźwiące.
- Nie, nie, nic mi nie jest...
- Czyżby? - spojrzała na przyjaciółkę z powątpiewaniem. - A moim zdaniem, coś jest nie tak.
- Co masz na myśli?
- Powiedziałabym, że u podnóża tych gór możemy spodziewać się czyjegoś rozbitego serca. Możliwe, że niejednego.

Olga zaczerwieniła się. Cała Inka. Nigdy nie wyróżniała się szczególnym intelektem. Najbardziej ambitnym pisarzem, po którego sięgała, był Arthur Conan Doyle. Niedobrze jej się robiło od ulubionego kompozytora Olgi - Strawińskiego, a na sam widok nieszkodliwej wiolonczeli Manany, stojącej w ich domku za miastem, ogarniały ją fale mdłości. Ale w sprawach stosunków damsko-męskich Inka wykazywała nieprzeciętną spostrzegawczość. Jej wyrafinowany umysł, traktujący życie jak niekończący się flirt, był w stanie rozgryźć dowolną miłosną kombinację. Jej kobieca intuicja działała bezbłędnie.

- Co masz na myśli? - powtórzyła pytanie.
- Za kilka dni te koguty się o ciebie podziobią.
- Nie rozumiem...
- Daruj sobie te wykręty. Nie ma kobiety, która by tego nie rozumiała.

Wiesz co, Olusza? Lepiej wyleż wreszcie z tej skorupy hiszpańskich rymów i otwórz oczy na świat.

- Kocham Marka - rzekła niespodziewanie dla samej siebie Olga.

O Boże, przecież to zrozumiałe samo przez się, że kocham swojego męża. Po co to powiedziałam?! Naraz dotarło do niej, że wcale nie chciała przekonać o swojej miłości Inesy, lecz siebie. Tak, jak uczy się tekstu na pamięć. Rozbija się go na kategorie znaczeniowe i zapamiętuje się kluczowe słowa. Tego właśnie uczyła ją za życia Manana. Sens zawiera się w słowie - kluczu.

Kocham Marka.

Sens - „Kocham”.

Słowo - klucz - „Mark”.

Czyżby „Mark” nie był już kluczowym słowem? To właśnie pytanie ujrzała w zuchwałych oczach Jonasza.

- Możesz sobie kochać kogo chcesz - powiedziała stanowczo Inka. - Nie chodzi o ciebie.

- A to dlaczego? - ta uwaga ugodziła jej kobiecą ambicję.

- Tu chodzi o nich samych. W żaden sposób nie mogą się dogadać. Gółym okiem widać, że za sobą nie przepadają. Młodszy unosi się honorem. Rozumiem, że góry to bardzo romantyczne miejsce. Ale... żeby siedzieć tu cały rok za marne grosze, od czasu do czasu wygrzebując z zasp resztki po turystach... U każdego odezwałaby się wreszcie ambicja. A tu jeszcze przyjechał bogaty braciszek z żoną. Byłoby grzechem jej nie uwieść. A wiesz doskonale, za pomocą czego uwodzą mężczyźni...

- Czego?
- Pieniędzy, jeśli mają. Albo członka, jeśli mają.
- Chryste Panie, co ty za głupoty wygadujesz?!
- Mówię o anatomii, Olusza. Tylko o anatomii. Budowa organu namiętności jest równie prymitywna, jak anatomiczny atlas człowieka: kości goleńiowe, biodrowe, śródstopie i dwanaście par żeber.

- Brzmi przerażająco.
- Tylko tak brzmi... W rzeczywistości to nic straszego. Słuchaj, czyżbyś nigdy nie zdradziła męża?

- A ty?

To było prowokacyjne pytanie. Ani Olga, ani tym bardziej Inka nawet na krótką chwilę nie zapomniały, że Igor Anatoliewicz jest jej ojcem. To wywoływało pewien dyskomfort w ich relacjach. Za czasów studenckich Inka uwielbiała opowiadać o swoich seksualnych ekscesach w najdrobniejszych detalach. Teraz ze względów moralnych te tematy stały się tabu.

- Wiesz, o czym myślę? - Inka zmieniła temat rozmowy.
- Pewnie o jakimś świństwie.
- No, co ty! Poważnie zastanawiamy się z Igorem nad podarowaniem ci braciszka albo siostrzyczki. Co ty na to?
- Jestem zachwycona.
- Igor chciałby chłopca.

Pewnie, że chłopca. Następce tronu. Spadkobiercę majątku. Teraz będzie w stanie zapewnić dziecku wszystko, czego zapragnie, włącznie ze studiami na ponurej starej uczelni w Cambridge.

Albo w Oxfordzie. Chociaż... Dziwne, że Inka w ogóle dopuszcza taką ewentualność. Kilka lat temu rozmawiały przecież o dzieciach i wtedy stwierdziła z obrzydzeniem: „Gile, pieluchy, rozstępy, hemoroidy, obwisłe piersi, opuchnięta gęba... Nie, Olusza, to nie dla mnie...”.

- No to co, przejdziemy się, póki nie jestem jeszcze w ciąży? Póki mogę myśleć o wszystkim, a nie tylko o jajczkowaniu.

Olga uśmiechnęła się. Zrozumiała teraz, co tak przyciąga mężczyzn do Inki. Cyniczny humor, który od biedy może uchodzić za intelektualny flirt, a wraz z uroczą buźką i chłopięcą fryzurą tworzy mieszankę wybuchową. Olga jest całkowicie inna. Jest ładna, o wiele ładniejsza od Inki, ale jest to zwyczajna, nudna uroda. Od czasów wczesnej młodości ciąży nad nią

przetłumaczone naprędce zdanie z „Kobiety i mężczyzny”, jej ulubionego filmu: „Śpiewanie samby bez smutku w głosie, to to samo, co kochanie kobiety tylko za to, że jest piękna”.

Piękna i tyle. Żadnej pikanterii.

Ciekawe, dlaczego Mark - mądry, wytrawny cynik - wybrał akurat ją, Olę. Biorąc pod uwagę wszystkie obiektywne kryteria, Inka znacznie bardziej do niego pasuje. Ciekawe, kiedy pojawią się chłopcy? I który z nich będzie pierwszy?

Ruszyła w ślad za Inką, która zjeżdżała wolno w stronę startu na wytyczoną trasę.

- No, to śmigam! - powiedziała Inka, wierząc się na ubitym śniegu. - Co mam powiedzieć chłopakom, jak ich spotkam?

- Przekaż im ode mnie gorące pozdrowienia.

- Załatwione! A może jednak dasz się namówić? Raz kozie śmierć!

Jak zwykle była bezlitosna. Doskonale wiedziała, że Olga po raz pierwszy w życiu stoi na prawdziwych nartach zjazdowych i tyle wie o narciarstwie, co o produkcji szkła, a mimo tego zachęcała ją do zjazdu.

- Nie - Olga pokręciła głową. - Lepiej popatrzę na was z góry.

- To naprawdę żadna filozofia - pod nieobecność dwóch doświadczonych narciarzy Inka poczuła się ważna i nie potrafiła odmówić sobie przyjemności popisywania się przed koleżanką. - Tak na marginesie, ja zjechałam za pierwszym razem. I to całkiem nieźle.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- Naprawdę.

- Poczekam na Marka.

- Na Marka czy na Jonasza?

- Będę czekać tu na męża.

- Olusza, czy ty kiedykolwiek przestaniesz wisieć u jego spodni? Przecież jesteś już dużą dziewczynką...

I, nie czekając na odpowiedź, mocno odepchnęła się kijkami i zjechała w dół po zboczu usianym tyczkami. Początkowo sunęła niepewnie, ale potem nabrała wprawy i całkiem nieźle pokonała dystans. Udało jej się nawet nie przewrócić. Przynajmniej dopóki znajdowała się w polu widzenia.

Odprowadziwszy ją wzrokiem, Olga obróciła się i wystawiła twarz do słońca. Zamknęła oczy. Stała tak parę minut, gdy obok siebie usłyszała czyjś głos:

- Na pani miejscu, pani Olgo, nie ryzykowałabym tak pierwszego dnia!
Drgnęła, po czym się odwróciła.

To była Natalia. Ta sama kobieta, która wczoraj poczęstowała ją whisky w damskiej toalecie. Teraz stała tuż obok. Była już lekko wstawiona. Olga skrzywiła się na jej widok. Mark mówił, że podpite osoby nie są wpuszczane na wyciąg... Ale pewnie za pieniądze można załatwić wszystko. Natalia była bez kijków. Na głowie miała opaskę z kilkakrotnie złożonej chustki. Jakie to jednak dziwne, że przy takim dużym wyborze tras spotkały się akurat na tej. Biedna okularnica ewidentnie ją prześladuje. Zeszłego wieczoru w barze było zupełnie inne oświetlenie i kobieta wydała się Oldze znacznie starsza niż teraz w promieniach słońca, które wyraźnie ją odmładzały. Poza tym dzisiaj, a przynajmniej w tym momencie, była bez okularów. Ciężkie, grube oprawki bez wątpienia ją szpecą. Czy naprawdę nie zdaje sobie z tego sprawy?

- Ale ja nie mam zamiaru ryzykować - zauważyła rozsądnie. - Raczej w ogóle dzisiaj nie zjadę. W każdym razie na nartach.

- A więc jest pani pierwszy raz w górach? - Natalia pozwoliła sobie na pobłażliwy uśmiech. - Moje gratulacje... Ale wcale nie miałam na myśli zjazdu. Nie powinna pani wystawiać tak twarzy na działanie ultrafioletu. To bardzo niezdrowe. Zacznie pani skóra schodzić płatami. Słońce jest bezlitosne. Tu wszystko jest bezlitosne.

Przełknęła głośno ślinę.

No tak, ciągle jeszcze nie może się pozbierać po zaginięciu chłopaka. Olga zaczęła się o nią nawet martwić. Żeby wjechać na górę w takim stanie, trzeba mieć ku temu naprawdę poważne powody.

- A może zjedziemy razem? - zaproponowała niespodziewanie. - Pomogę mi pani. Udzieli wskazówek.

- A gdzie reszta waszej ekipy?

- Tam - wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Zostawili panią? - w jej słowach słyhać było dziwną, bolesną satysfakcję. Wkładała w swą wypowiedź kilka sensów naraz. - Mnie też zostawiono. Ale się nie poddaję. Przyzwyczałam się. A pani radziłabym udać się na „ośłą łączkę”.

- Dobrze.

- Chce pani popatrzeć, jak to się stanie?

- Ale co?

- Cokolwiek - zachichotała. - Zawsze coś się dzieje.
- Proszę posłuchać... - Olga zawahała się przez chwilę -...dlaczego nie nosi pani szkieł kontaktowych? Na pewno dobrze by się pani w nich czuła.
- A co? - zaniepokoiła się Natalia.
- Okulary panią postarzają... A przecież jest pani młoda i świetnie wygląda bez okularów.
- A może ja chcę brzydko wyglądać? - odpowiedziała napastliwym tonem, po czym łagodnie dodała: - A w ogóle to dziękuję. Rzadko spotyka się kobietę, która prawi drugiej komplementy.
- Nie ma za co dziękować - uśmiechnęła się Olga. - Ale, słowo honoru, w okularach jest pani zupełnie inną osobą.
- To chyba lepiej zjadę na dół.

I zanim Olga zdążyła cokolwiek powiedzieć, Natalia opuściła ją bez słowa pożegnania.

No, nieźle - pomyślała Olga, patrząc w ślad za oddalającą się kobietą najwyraźniej otaczają mnie sami snobistyczni profesjonalisci. Coś podobnego! Bez kijeków wygląda nawet bardziej efektownie. Nic sobie nie robi, niepotrzebnie się bałam.

- Znowu naprzykrza się pani ta wariatka? - Jonasz, a któż by inny! Wrócił jej najbardziej odpowiedzialny opiekun.
- A gdzie Mark? - zapytała.
- A gdzie pani przyjaciółka?
- Zjechała. A Mark?
- Nie wiem - zauważył jej pełne obawy spojrzenie i posłał jej pokrzepiający uśmiech. - Proszę się nie martwić. Widziałem go na dole. Zjechał szczęśliwie.
- A dlaczego tu do mnie nie wjechał?
- Nie wiem.

Nie miała nawet czasu, żeby się obrazić na męża, gdy Jonasz zwinnie do niej podjechał. Zrobił to tak szybko, że śnieg spod nart rozbryzgiwał się na wszystkie strony. A kiedy znalazł się w niebezpiecznie bliskiej odległości, położył dłoń na jej dłoni.

- To co, przystąpimy do nauki?
- Zaciągnie mnie pan na „ośłą łączkę”? Wszyscy mi ją polecają. Od samego rana.

- Nie. Chcę pani zaproponować zupełnie inny wariant.
- To daleko stąd?
- Bliżej niż pani myśli.

Jeszcze raz uważnie rozejrzała się po okolicy. W oddali dojrzała niewyraźny zarys wyciągu. Ani śladu po ukochanym mężu. *Do diabła z tobą, Mark! Skoro tak mnie traktujesz, to pojedę z twoim bratem i będę go kokietować na całego!*

- Zgoda. Tylko uprzedzam - nie jestem zbyt pojętą uczennicą.
- A ja nie jestem najlepszym nauczycielem, więc jesteście kwita.
- Może się pan jeszcze zastanowi? Bierze pan na siebie ciężar nie do udźwignięcia.

- Do udźwignięcia. Zapewniam panią.

Tak szczerze i niedwuznacznie spojrział jej w oczy, że zmieszana nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Inka w takiej sytuacji z pewnością wymyśliłaby coś zabawnego, pikantnego, z lekka nieprzyzwoitego. Jej natomiast przyszło jedynie do głowy, by delikatnie go skarcić. Zwrócić mu uwagę.

- To, co pan robi, nazwałabym chwytem niedozwolonym.
- Niedozwolonym dla mnie czy dla pani?
- Dla pana. W końcu to pański brat.
- W niektórych kwestiach to nie ma żadnego znaczenia. Każdy pilnuje własnych interesów. A poza tym ma pani wybór.
- Dobrze, już dobrze. Nie chcę nic więcej słyszeć. Skoro zamierza mnie pan uczyć, to proszę uczyć.

Olga celowo poruszała się bardzo wolno, aby go zdenerwować. Ale okazał się nad wyraz cierpliwy, mimo że odległość, którą pokonali w ciągu pół godziny, zwykle zajmuje pięć minut.

- Jesteśmy na miejscu. Jak się pani podoba ta ośła łączka?
- Całkiem, całkiem.

Miejsce rzeczywiście było nadzwyczajne. Z trzech stron otaczały je skały, z czwartej rozpościerało się dość łagodne zbocze z kilkoma uskokami, kończące się niewielkim, gładkim jak stół, płaskowyżem. Mężczyzna kilkakrotnie zjechał w dół. Z najróżniejszą prędkością. Po tej krótkiej rozgrzewce wrócił do Olgi.

- Śnieg jest wyśmienity. Łatwo pani pójdzie.
- Ale nie... - rozpoczęła niepewnie.

- Proszę się nie bać. Polana jest tak szeroka, że nie spadnie pani w przepaść, nawet gdyby rozwinęła pani zawrotną prędkość. Zaczniemy od paru prostych ćwiczeń. To jak, jest pani gotowa?

- Oczywiście.

W ciągu kolejnej godziny pokazywał jej podstawowe manewry zjazdu i podjazdu, korygował postawę, nacisk na narty i kąt skrętów.

- Nogi powinna pani trzymać szerzej. Ma pani przecież narty carwingowe... Proszę zapomnieć o wąskim rozstawie. Rozumie pani? Jeśli trafi się lód, całą siłą naciska pani na narty i wykonuje kombinację: w lewo, w prawo, długi skręt, krótki skręt, lekki ślizg...

O dziwo, zupełnie zapomniała i o Marku, i o Inessie. Wszystko jej się tu podobało: pobliskie skały, które niemal łączyły się tuż nad ich głowami, twarda, gruba warstwa śniegu pod nogami, ślizganie się na dobrze nasmarowanych nartach... Nawet udało jej się zjechać z pierwszej pochyłości. Powoli i ostrożnie. Z natury była bowiem bardzo ostrożna.

- No i jak? - zapytała, gdy znowu dotarła na górę.

- Nieźle - powiedział, jednak bez szczególnego entuzjazmu. - Całkiem nieźle. Tylko...

- Tylko? Robię coś nie tak?

- Nie, wszystko dobrze, ale za bardzo się pani stara.

- Nie sądziłam, że to akurat minus - zapiekły ją policzki. Tylko dlaczego? Czyżby aż tak zależało jej, aby się mu spodobać? Spodobać i sprostać jego oczekiwaniom...

- To nie minus, ale żeby dobrze jeździć, nie wystarczy samo staranie się.

- A co jest jeszcze potrzebne? - dopytywała, myśląc w duchu: pewnie Wczesne wstawanie i regularne treningi. Cierpliwość i praca zawsze popłaca.

- Natchnienie. Tak właśnie - natchnienie. I duch walki.

Mark, w którego słowniku nie było takich przestarzałych słów jak natchnienie, nazwałby to werwą. Albo po bankiecie z zagranicznymi inwestorami użyłby kalki z angielskiego - power.

Power - coś, czego zawsze jej brakowało. Z natchnieniem sprawy miały się o wiele prościej. Wystarczyło otworzyć Cesara Vallejo i zatopić się w jego poezji. Ale najwyraźniej Jonasz miał zupełnie inne wyobrażenie o natchnieniu...

- Kochała się pani kiedyś?
- Jak pan śmie... - zaczerwieniła się.
- Źle mnie pani zrozumiała. Nie chciałem pani urazić. Chciałem tylko powiedzieć... że do kochania się potrzebne jest natchnienie... Inaczej to czysta gimnastyka, nic ponadto...

- Do kochania się potrzeba miłości. Tylko i wyłącznie miłości - powiedziała ze złością i, nieoczekiwanie dla Jonasza, pomknęła w dół.

Do diabła z uskokami! Do diabła z płaskowyżem! Wystarczy odpowiednio się teraz pochylić i przenieść ciężar na zewnętrzną nartę. Tak mnie chyba uczył Jonasz... Do diabła z tym Jonaszem i z jego bzdurnymi tekstami! Zasmarkany mówniarz! Nie ma pojęcia o miłości! Jak mógł... jak śmiał... że niby wie, co to jest... Przypadkowe laski w przypadkowo założonych butach narciarskich; niezobowiązujące pocałunki, które na kilometr pachną piwem; kręgle, prezerwatywy, niedbale wetknięte do tylnej kieszeni dżinsów; do tego kawałki chipsów na prześcieradle, w wąskiej przerwie pomiędzy dwoma ciałami - oto cała jego miłość. Oto całe jego natchnienie w miłości...

Nie wytrzymała tempa, nie wyrobiła na zakręcie i przekoziółkowała po zboczu, zaplątując się w narty i kijki... zaplątując się w pogardliwe słowa, które zamierzała powiedzieć Jonaszowi, ale się na to nie zdobyła...

Smarkacz! Zarozumiały młokos, który łakomie zerka na coś, co do niego nie należy! Jaki bezczelny... Chyba nic mi nie jest. Jedynie uderzyłam się w kolano, ale nie jest tak źle...

Leżała bez ruchu.

Tak, jej pierwszy zjazd zakończył się sukcesem, nie ma co! Ściągnęła rękawiczkę, nabrała garść śniegu i natarła nim twarz.

Okazał się słodkawy w smaku. Jak wata cukrowa, którą ojciec kupował jej w dzieciństwie. W tajemnicy przed Mananą, która zawsze twierdziła, że dziewczynki powinny jeść czosnek niedźwiedzi, a nie watę cukrową. Od niedźwiedziego czosnku wzmacniają się włosy, a od waty cukrowej psują się zęby...

Jonasz podjechał po minucie (spóźnia się pan, panie adiutancie jego wysokości!) i usiadł na śniegu tuż obok niej. Zobaczyła jego przejętą minę.

- Nic się pani nie stało?
- Przykro mi, że pana rozczaruję, ale jestem cała.
- Pani się na mnie obraziła?

- Skąd panu to przyszło do głowy? Dlaczego miałabym się obrażać?
- Niech mi pani wybaczy... Nie chciałem. Nie chciałem, żeby poczuła się pani urażona.

- Musi się pan jeszcze bardzo postarać, żeby poczuła się urażona.
- To brzmi jak wyzwanie.
- Nie, dlaczego? Zwyczajne stwierdzenie faktu.

Nie zamierzał szybko wstawać. Wprost przeciwnie, ułożył się wygodnie obok niej i podłożył sobie rękę pod głowę.

Olga długo wpatrywała się w niebo. Żeby zobaczyć jego twarz, przed czym się broniła, musiała przymrużyć oczy. I dopiero po upływie kilku sekund była w stanie dostrzec zarysy jego twarzy: czoło, policzki, broda...

Usłyszała jego przerywany oddech.

- Chyba jestem już teraz gotowy.
- No co?
- Na pani Cesara Vallejo... Dobrze wymówiłem jego imię i nazwisko?
- Dobrze.
- To jak? Obiecała mi go pani zacytować... Jakieś fragmenty tłumaczenia.

Miał głęboko gdzieś Vallejo i tłumaczenia z hiszpańskiego. Interesowało go zupełnie coś innego.

- No i co mam wyrecytować? - zapytała ironicznie.
- Nie wiem. Coś z liryki miłosnej.
- On nie tworzy liryki miłosnej. Za bardzo zajmuje się tematem śmierci, żeby tracić czas na miłość.
- Nieźle powiedziane. Jest pani dobrym tłumaczem?
- Nie wiem. Myślę, że nie za bardzo.

Przysunął się jeszcze bliżej. *Muszę wstać* - pomyślała. - *Sytuacja wygląda dwuznacznie. A co, jeśli pojawi się Mark?* Postanowiła się podnieść, ale nie zrobiła żadnego ruchu. Nieustępliwość Jonasza trocheja drażniła, ale, o dziwo, nie była nieprzyjemna. Westchnęła. Najwyższy czas uchylić przyłbicy i zacząć działać tak, jak w takiej sytuacji postąpiłaby Inka.

- Postanowił pan poflirtować z żoną brata? - starała się włożyć w tę wypowiedź całą ironię, na jaką było ją stać.

Ale atak ciężkiej artylerii nie przyniósł oczekiwanego zwycięstwa. Jonasz nie dał się tak łatwo zbić z tropu. Czas przyjąć to do wiadomości i dać sobie z nim spokój.

- Nie - odparł. - Nie zamierzam z panią flirtować. Mam wobec pani inne plany.

- A dlaczego nie? - udała obrażoną. Nauki Inki nie poszły w las. Zwłaszcza te podparte doświadczeniem. Zaraz tego zuchwałego typka powali lekkim ruchem biodra. Pokaże mu, gdzie jego miejsce.

- Ponieważ zamierzam zrobić coś zupełnie innego...

- Wie pan, że tak nie wolno, panie Jonaszu...

Leżeli zbyt blisko, żeby się nie rozumieć.

- Wiem, że nie wolno - powiedział. - A jednak...

Przybrał surowy wyraz twarzy i zawisł nad nią jak sklepienie grobowca, w którym zostanie pochowana czysta, niczym nie zmacona miłość do Marka. Miłość: cienie drzew na ścianie ich sypialni, kawa i tosty każdego ranka, rodzinne kolacje u ojca, Wenecja, wspólne kupowanie krawatów i skarpetek, obowiązkowy pocałunek w ramię przed snem - „Dobranoc, cara!”.

Nie wolno dopuścić, żeby ten podstępny smarkacz, bezczelny młodszy brat, którego usta... żeby jego ciemne, spierzchnięte usta zrobiły zaraz coś, o czym ona przez cały czas marzy...

Zmrużyła oczy, wykrzesła z siebie resztkę sił i powiedziała:

- Nie.

Powiedziała „nie” i nic się nie wydarzyło. Przez na wpróżymknięte powieki przenikało delikatne światło - jego twarz nie zasłaniała już nieba.

Otworzyła oczy. Stał obok niej, opierając się o kijki.

- Proszę podać mi rękę - powiedział, jak gdyby nigdy nic.

Boże, jak głupio teraz wyglądam. Leżę w śniegu i wymyślam idiotyczną historię miłości z pejzażem górskim w tle... Roześmiała się. Sprytnie ją podszedł ten instruktor narciarski... ten ratownik górski...

Gotowa była zdradzić własnego męża, chociaż nikt nie żądał od niej takiej ofiary.

Idiotka, idiotka, po trzykroć idiotka!

- Proszę podać mi rękę! - powtórzył.

- Nie trzeba. Sama wstanę...

Niezgrabnie podniosła się z ziemi i popatrzyła na niego niemal z nienawiścią.

- Dziękuję za udzieloną lekcję. Postaram się jej nie zapomnieć.

Zabrzmiało to cokolwiek dwuznacznie. Jak groźba. Ale miała w nosie, jak to zabrzmiało.

- Mam nadzieję - odparł.

I tyle. Jesteś skończoną idiotką, Olga! Skąd wiesz, czy Mark nie zrobił tego specjalnie? Specjalnie nie ujechał na górę z bratem. To się nazywa próba wierności. Naiwny film z 1954 roku, w którym wyznaczono dla ciebie główną rolę.

Powoli zdjęła rękawiczkę i z całej siły wymierzyła mu policzek. Najdziwniejsze było jednak to, że nie był tym zaskoczony. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Za co? - zapytał. - Co takiego zrobiłem?

- To nie za to, co pan zrobił...Tylko za to, czego pan nie zrobił - Boże, co ona wygaduje! - Myślę, że sama sobie poradzę.

- Z czym?

- Z tymi przekłętymi górami. Mój mąż, Mark, mi pomoże.

- Nie wątpię.

Rozmowa zakończona. Nagle promienie słońca wydały się Oldze nie do zniesienia. Najlepiej będzie, jeśli wróci teraz do siebie. Ma dość tych narciarskich spacerów na świeżym powietrzu. Przykucnęła i spróbowała rozpiąć wiązania. Nic z tego. Nie miała pojęcia, jak obchodzić się z tym prostym mechanizmem. A może była zbyt podniecona...

- Niech mi pan pomoże - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Nie będzie już pani zjeżdżać?

No proszę, z jaką prostotą to powiedział!

- Myślę, że na dzisiaj mi wystarczy.

Z łatwością odpiął jej narty. Jego twarz znów znalazła się w niebezpiecznej bliskiej odległości od jej twarzy. Nie odrywała od niego wzroku. To był pojedynek godnych siebie przeciwników, z których każdy sam Wybierał broń. A potem... Potem coś takiego pojawiło się w wyrazie jego twarzy... Coś podobnego do kapitulacji. Błagania o łaskę. Zlitowała się nad nim i spuściła wzrok.

- Pomogę pani - wyraźnie się ożywił. - Pomogę pani donieść narty do wyciągu.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

- Jak pani chce.

Nie, nie chciała. Nie chciała usłyszeć tych słów.

Zarzuciła narty na ramię i wolnym krokiem ruszyła w stronę kolejki. *Na pewno jeśli się teraz odwrócę - myślała w roztargnieniu - będzie tam stał i patrzył na mnie. Dam sobie minutę czasu, a potem się odwrócę. Nie, pół minuty... Może Inka ma rację i to po prostu odwieczna, zadawniona niewawiść między braćmi?* Ale było w nim coś dziwnego... W bracie Marka, który niespodziewanie zwałił jej się na głowę... W sposobie, w jaki na nią patrzył. W jego oczach nie było Marka. Wyłącznie ona. Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Koniec. Pół minuty minęło. Można już się odwrócić. Sto do jednego, że stoi i patrzy...

Odwróciła się.

Jednak w miejscu, w którym się rozstali, nie było już Jonasza.

* * *

Zwiagincew rozpoznał Jurika z daleka.

W ciągu dwóch lat dobrze poznał zwyczaje personelu „Róży Wiatrów”. Wiedział - kto z kim, kiedy i jak spędza wolny czas po wypełnieniu męczących obowiązków, związanych z prowadzeniem ośrodka. Chłopcy z ochrony, którzy mieli już dość śniegu, nieważne w jakiej postaci, włącznie z narciszami i ich sprzętem, całymi godzinami przesiadywali w saunie i różnili w karty. Preferans był ulubioną przez ochroniarzy dyscypliną sportu. Drapiąc się po jajach albo po naprężonych tyłkach, grali na wszystko, co tylko możliwe: pieniądze, dyżury, fanty, rozkazy. Na pokojówki, z którymi co jakiś czas sypiali, robili przetasowania i przekazywali je sobie z rąk do rąk jak karty w talii. Te pokojówki były zresztą też najwyższej klasy - wszystkie bez wyjątku wyglądały jakby wybrane z katalogu, pierwszorzędne laski, jak to w takim ekskluzywnym hotelu górskim. I doskonale wiedziały, czego się od nich oczekuje. Można je było zobaczyć na trasach w najdroższym ekwipunku - ot, prezenty od bogatych „nowych Ruskich” w podzięcie za mile spędzone chwile. Bogate snoby wracały do swoich żon i kochanek, a ekwipunek zostawał i pomagał dziewczynom poderwać nowych gości. W ten oto sposób krwiobieg życia nigdy nie przechodził w stan spoczynku.

Odkąd Zwiagincew sięgał pamięcią, tylko dwie pokojówki osiągnęły prawdziwe szczęście. Jedną z nich wywiózł do Mediolanu jakiś Włoch,

który nie wiadomo skąd się wziął w „Róży Wiatrów”. Drugą wypatrzył trener freestyłu z Elisty. Mamił ją fantastyczną wizją kariery w płaskiej jak deska Kałmucji, absolutnie pozbawionej gór.

Kelnerki uwielbiały zbiorowe oglądanie latynoamerykańskich seriali, a barmani, kucharze i portierzy zbiorowe oglądanie wyścigów Formuły 1. Instruktorzy narciarscy z kolei, aby odpocząć od niezdarnych uczniów, grali po nocach w kręgle, a obsługa wyciągów uwielbiała wyścigi na nartach. Najchętniej po nocach.

W ogólnej masie jedynie ratownicy uchodzili za indywidualistów. Nie mieli wspólnych rozrywek. Chyba że do rozrywki można zaliczyć poszukiwanie zaginionych turystów.

Jurik spędzał każdą wolną chwilę przy swoich śnieżnych armatkach, stojących wzdłuż ostatniej, jeszcze nieprzygotowanej trasy. Śnieżne armatki przyjechały w zeszłym roku ze Szwecji. W poprzednim sezonie spadło mało śniegu i ośrodek zamiast zysków przyniósł straty. Aby jakoś poprawić sytuację i uniezależnić się od pogody, postanowiono zakupić sprzęt wytwarzający sztuczną pokrywę śnieżną.

Ale, jak to zwykle bywa, pogoda w tym roku splątała im kolejnego psikus - śniegu było co niemiara. Wszyscy zapomnieli o armatkach. Wszyscy oprócz Jurika, który gorliwie przekonywał wszystkich o konieczności posiadania takiego sprzętu. Z własnej inicjatywy poprawiał wciąż oddane już do użytku stoki i trzeba przyznać, że robił to profesjonalnie. Miał fenomenalne wyczucie śniegu. Zwiagincew potrafił sobie nawet wyobrazić ich rozmowę: „Widzi pani, to jest mechanizm prosty jak budowa cepa. Rurki aluminiowe (kładzie jej rękę na ramieniu), w środku powietrze pod ciśnieniem o temperaturze minus pięćdziesięciu stopni (ręka schodzi w dół wzdłuż kręgosłupa, na moment zatrzymując się pomiędzy łopatkami). I woda. Następuje połączenie składników (my też możemy się połączyć najbliższej nocy - daje do zrozumienia ręką, docierając z jednoznaczny zamiarem do jej pośladków). Armatka wypływa na zewnątrz sztuczny śnieg i po kłopotcie”. Następnie madame powinna zdzielić go po pysku w nagrodę za molestowanie seksualne, bądź pieszczotliwie potargać mu czuprynę, co będzie oznaczało początek kolejnego przelotnego romansu.

Ochroniarz zwolnił kroku, aby pozwolić Jurikowi doprowadzić akcję do końca. Tylko z daleka pomachał mu ręką.

Wyfiokowana dama odwróciła się plecami, co mogło oznaczać tylko jedno: pierwsza runda zakończyła się remisem. Będzie potrzebna seria koleżeńskich meczów. Zwiagincew podrapał się po brzuchu i westchnął. Swego czasu tak samo zdobywał kobiety. Kiedyś był takim samym psem na baby jak Jurik. I nawet strzygł się podobnie - z tyłu na zero, a po bokach baki do połowy policzków. Ale od tamtych lat wiele zmieniło się w jego życiu.

Żeby dotrzeć do Jurika, musiał przebrnąć przez zaspy śniegu. Był potwornie zmachany po pokonaniu kilkudziesięciometrowej odległości.

- Czolem, zbereźniku! - powiedział, ciężko dysząc.

- Czolem - odpowiedział Jurik i ostrożnie uściśnął podaną dłoń.

- No i jak, są jakieś szanse? - Zwiagincew odwrócił się i odprowadził wzrokiem szybko oddalającą się kobietę.

- Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- Tak właśnie myślałem. Chcę cię o coś zapytać, Jurik - stwierdził, że lepiej nie zwlekać z pytaniem. - Widziałeś gdzieś Waškę?

- A coś się stało?

- Nie, nic. Po prostu jest mi potrzebny. Szukam go od rana.

- Przecież wyjechał. Wczoraj.

- Dokąd?

- A dokąd można stąd wyjechać... Do miasta jedynie. Zawieźć rękopis. Pisarz za dychę.

- Dziwne, że nic mi nie powiedział. I nawet się nie pożegnał.

- A kto ty jesteś dla niego, mamka czy co? A może matka chrzestna? Skoro się nie pożegnał, to znaczy, że nie wyjechał na długo. Trzeba trochę myśleć.

- No niby tak - ochroniarz udął głupiego. - Tylko że obiecał załatwić mi tytoń, kiedy pojedzie do miasta... A tu sobie pojechał bez uprzedzenia.

- Nikogo nie uprzedził. Zostawił kartkę i tyle.

- Czyli nie widziałeś, jak wyjeżdżał?

- Nie.

- Mówi się trudno.

- A o tytoń się nie martw. Prawdopodobnie ja też niedługo wybiorę się do miasta. Przywiozę ci jakiś zapachowy.

- Świetnie. A co z tym zaginionym Pozniakowem?

- Marna sprawa - Jurik splunął. - Żadnych śladów.
- No to kicha na całego.
- Fakt, nie jest dobrze. O patrz, Wład idzie! Zaraz złoży ci szczegółowy raport.

Zwiagincew przyłożył dłoń do czoła, osłaniając oczy przed słońcem. W oddali ujrzał malutką postać. - Ale masz wzrok, Jurik! Sokoli!

- A co tu ma do rzeczy wzrok?

Dopiero teraz zrozumiał, po czym ratownik poznał, że nadchodzi Wład. Po psach, które pędziły im naprzeciw. Zignorowały Pała Pałycza, okrążyły Jurika ze wszystkich stron i zaczęły merdać ogonami. Najbardziej ożywiony był Jack. Stał na tylnych łapach, a przednie oparł Jurikowi na klatce piersiowej.

- Jak widzę, nie tylko baby potrafisz sobie urobić - zauważył Zwiagincew, przyglądając się przejawom psiej euforii.

- Z babami prostsza sprawa - odpowiedział z melancholią w głosie. - A te to jeszcze karmić trzeba.

Wład zbliżał się do nich dziarskim krokiem. Kiedy zobaczył Zwiagincewa, jego twarz się nachmurzyła. Zawsze miał z nim napięte stosunki. W zasadzie nie było w tym nic dziwnego. W napiętych stosunkach pozostawał ze wszystkimi, którzy nie brali udziału w akcjach specjalnych i nie zajmowali się niczym nadzwyczajnym. Jedynie wobec ofiar gór Wład odczuwał pokrewieństwo dusz.

- Kiedy po raz ostatni widziałeś Waškę? - przywitał go pytaniem Jurik.

- Wczoraj wieczorem, a co?

- Nico. Służba bezpieczeństwa się nim interesuje.

- Stało się coś? - ożywił się Wład. Na jego białych, pergaminowych policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

- Jeszcze nie - odparł ze spokojem Zwiagincew.

- W każdym razie wczoraj miał się całkiem dobrze.

Z rozmowy z wiecznie ponurym Władem wynikało, że nie było go w pokoju, gdy Waška pisał tę kartkę. Wieczorem jednak widział Waškę. W tym samym miejscu, które odwiedził niedawno sam Zwiagincew, a mianowicie w „Kamiennej Sakwie”. W dodatku Waška nie był sam. Był z nim Jonasz.

Po raz kolejny pojawia się „Kamienna Sakwa”! To już coś. Jakiś punkt zaczepienia.

Ochroniarz nabrał otuchy.

- Ciekawe, co tam robili? - zapytał niespodziewanie Jurik.
- A skąd mam wiedzieć? Widziałem ich tylko z daleka.
- Wchodzili czy wychodzili? - Zwiagincew spojrział na niego badawczo.
- Nic z tych rzeczy. Po prostu szli w tamtą stronę i tyle.
- Czyli Jonasz wyjechał razem z Wašką? - zapytał obojętnie grubas.

Wład i Jurik wymienili spojrzenia.

- Wcale nie - odpowiedział ostrożnie Jurik. - A skąd w ogóle ta panika?

Stary cap - Zwiagincew czytał w ich młodych, bezczelnych oczach. - *Po co zwracasz „wszystkim głowę wyssanym z palca problemem? Nie masz się czym zająć, stary capie?.*

- Nikt nie panikuje. Po prostu chciałbym wiedzieć. To wszystko.
- Jasne - wycedził Wład.

Wyglądało to na zмовę. Przyszła mu do głowy zupełnie niedorzeczna myśl: a może ten zwariowany Waška tak ich już wykurzył swoim grafomaństwem i codziennym waleniem w klawiaturę, że specjalnie go wygnali, żeby nie przeszkadzał im w spaniu.

Zdając sobie sprawę, że więcej nic od nich nie wyciągnie, szybko się pożegnał i ruszył na poszukiwanie Jonasza.

Znalazł go w barze. Siedział w samotności nad lampką koniaku. Sto gram koniaku dla Jonasza to było coś niezwykłego. Zawsze był abstynentem, co budziło w Zwiagincewie nieufność. Regularnie tankujący Pał Pałycz był zwolennikiem teorii, że „jeśli człowiek nie pije, to znaczy, że jest albo chory, albo jest skończoną świnią”.

Na chorego Jonasz nie wyglądał. Siedział za barem absolutnie zdrowy, pogrążony w myślach. Pał Pałycz, stękając i klnąc na czym świat stoi, wdrapał się na wysokie krzesło, które złowrogo pod nim zaskrzypiało.

- Ryzykuje pan, szefie - odezwał się ratownik, nie odwracając głowy.
- Stolek jest niepewny. Może nie wytrzymać.
- Nic mu nie będzie. Damy radę - wymamrotał, nienawidząc się w duchu za swój przepraszający ton.

Zamówił sobie wódkę, firmową sałatkę „Elbrus” i krewetki. Do krewetek, ugotowanych w wodzie z koprem, odnosił się ze szczególnym sentymentem i uznaniem. Znacznie większym niż do seksownych pokojówek i chłopaków z ochrony. Nie wspominając już o spasionych urlopowiczach, którzy dostarczali samych kłopotów. Tylko towarzystwo jednej osoby cenił bardziej niż krewetki. Towarzystwo Wasi Sikaczyńskiego.

Jednak Wasi nigdzie nie było. Przepadł jak kamień w wodę. Zwiagincew zatopił tłuste palce w ciepłych ciałkach bezkręgowych skorupiaków i z chrzęstem oderwał pierwszą, Bogu ducha winną, główkę.

- Napijesz się ze mną? - zapytał Jonasza.
- Już piłem.

Tego się można było spodziewać. Ten hardy szczeniak zawsze miał go za nic.

- Jak sobie chcesz.
- Widzę, że przeszedł panu ból pleców - powiedział z żalem w głosie.

Jako jedyny ratownik zwracał się do niego per „pan”. Ale jego uprzejmość była udawana. Jego słowa brzmiały tak obraźliwie, że Zwiagincew z trudem powstrzymał się, by nie walnąć go w szczękę.

- A skąd wiesz, że mnie złapał?
- Wasyl mi powiedział.

Aha, Wasyl mi powiedział. Świetnie. Szczeniak sam poruszył odpowiedni temat. Trzeba to wykorzystać.

- *À propos, nie wiesz przypadkiem, po co mnie szukał?* - uniósł kieli-szek i spojrzął przez niego na Jonasza.

- Nie mam pojęcia.

Nie oczekiwał innej odpowiedzi. Wypił wódkę, mruknął z zadowoleniem i poprosił barmana o powtórkę.

- Dużo pan pije - zwrócił mu uwagę ratownik. - Wódka w ciągu dnia i do tego samotnie... To zły objaw.

Nie twoja sprawa, smarkaczu - pomyślał Zwiagincew, pocierając nos.

- Czyli Wasyl wyjechał...
- Nie wiem - Jonasz wciąż patrzył przed siebie. - Przecież zostawił wam kartkę!

- Nie czytałem.
- Słyszałem, że byliście wczoraj z Waską w pobliżu „Kamiennej Sakwy”.

- Skoro pan słyszał, to znaczy, że to prawda - odparł po chwili milczenia.
- A co was tam przywiało?
- A co to - przesłuchanie?
- Nie, przyjacielska rozmowa - Zwiagincew znów chrupnął krewetką.
- Wobec tego nie muszę odpowiadać. Jak będzie pan miał oficjalny nakaz przesłuchania, to zapraszam... A teraz, niech pan wybaczy, ale na mnie już czas. Powodzenia - ześliznął się z krzesła i z dumnie uniesioną głową opuścił bar.

Nawet jeśli coś wie, to i tak nigdy mu nie powie. Nawet w jego ruchach było coś lekceważącego. Zwiagincew posłał mu w duchu parę ostrych słów.

* * *

Dzisiaj omal jej nie pocałowałem.

Nikt się nigdy nie dowie, ile mnie to kosztowało. Ile kosztowało mnie powstrzymanie się od pocałunku.

Chciała tego. Bardzo. To było widać. Jeśli do tej pory nie zdradziła męża, to teraz w pełni była na to gotowa. Dziwne, że taka piękna kobieta nigdy nie zdradziła męża.

Ledwie się znamy, ale to nie ma większego znaczenia. Ani dla niej, ani dla mnie.

Nigdy dotąd żadna kobieta mnie tak nie podniecała. Niedobry objaw. Wszystkie, które dotychczas spotykałem, były zwykłymi samicami, szukającymi rozrywek. Przyjeżdżały tu tylko po to, żeby przynajmniej kilka dni pokazać prawdziwą twarz. Zrzucić maski kobiet interesu, porządnych matek, gospodyń domowych, dziennikarek, miłośniczek muzyki klasycznej, „mydlanych oper” i fanek aktora Roberta de Niro. I ujawnić swe prawdziwe oblicze - oblicze samicy.

Ona nie jest taka.

Chociaż bardzo stara się tak wyglądać.

Jest całkiem inna. Mam teraz dylemat. Co zrobić z ciałem tego przygłupa - Wasi? Nie ma sensu zaciągać go do jaskini. Nie obchodzi mnie jako model Nie pasuje do ogólnej koncepcji. Wprowadza dysonans. Jest przypadkową ofiarą. A w przemyślanej koncepcji nie może być niczego przypadkowego. Zostawiłem jego ciało w najbardziej widocznym, najbardziej uczęszczanym miejscu. Tylko w ten sposób można mieć pewność, że nikt

go nigdy nie znajdzie. Chociaż wątpię, żeby ktoś zaczął go w ogóle szukać. Chyba że ten wiecznie chory i wiecznie pijany ochroniarz. Żaloszny typ. Za gruby i za stary, żeby coś odkryć. Już widzę, jak rusza tym swoim obrosniętym tłuszczem mózgiem.

Jaki idiota wpadł na pomysł, by zatrudnić go jako ochroniarza?!

Rozmawiałem z nim. Zapytał mnie o Wasię. W sumie nic w tym dziwnego, przecież się przyjaźnią. Jego podejrzliwe pytania trochę mnie jednak zaniepokoiły. Ale i tak do niczego go nie zaprowadzi to wypytywanie. Uwielbia wódkę. I bardzo dobrze. Kto kocha wódkę, nie może kochać niczego innego.

Znowu widziałem tę okularnicę. Rozmawiała z kobietą, której tak potrzebuję. Widzę, że ma na nią zły wpływ. Nie chcę, żeby była smutna.

Chcę, żeby było jej dobrze, aż do samego końca.

Muszę zachowywać się bardzo taktownie i postarać się, by nabrała do mnie zaufania.

Bez względu na to, ile wysiłku będzie mnie to kosztować. Nie mogę wzbudzić jej podejrzeń.

CZEŚĆ II

Olga obudziła się w środku nocy zlaną zimnym potem. Gdzieś daleko, na skraju wszechświata, spał Mark. Jak przez mgłę widziała jego spokojną twarz. Jak zwykle wyglądał pięknie, jak gdyby nawet we śnie nie przestawał o siebie dbać. Jakby cały czas się kontrolował: żadnego chrapania z otwartymi ustami, żadnych splątanych włosów... Wszystko idealne jak plan posiedzenia zarządu.

Olga stanowiła jego przeciwieństwo. Zero kontroli: skopana kołdra, mokra od potu poduszka, zsunięte prześcieradło... Zakryła ręką usta, żeby nie krzyknąć. Koszmar, który jej się przyśnił, był tak wyrazisty i tak realny... Wciąż nie chciał jej opuścić...

- Mark - szepnęła. - Mark...

Jednak jej głos zagubił się w zimnej powierzchni łóżka, w pofałdowanej kołdrze... i nie dotarł do śpiącego Marka... Nie miała siły wyciągnąć ręki i dotknąć jego twarzy.

Wydawało się, jakby koszmarny sen miał trwać wiecznie. Powoli ją zabijał. Wysysał z niej życie. Kropla po kropli. Zostawiał po sobie jedynie pustkę. Pustkę i lód... lód... lód... Mnóstwo lodu. Otaczał ją ze wszystkich stron. Została w nim zakuta. Była jego niewolnicą. Przez przezroczystą taflę przenikały zarysy twarzy. Nigdy przedtem ich nie widziała. Nakładały się, zniekształcały, przez co niemożliwe było stwierdzenie, czy należą do mężczyzn, kobiet czy dzieci. Ogarnięte zgrozą oczy w głębokich oczodołach, zapadnięte usta, obcięte brody - widok nie do zniesienia. Tylko przez moment wydawało jej się, że dostrzegła w nich coś znajomego - delikatny uśmiech... delikatną linię ust...

Manana.

Manana, co tu robisz? Zabierz mnie stąd, Manana! Będę już grzeczną dziewczynką, tylko mnie stąd zabierz!

Ale jej niemy krzyk nawet we śnie przeraził łagodną Mananę - uśmiech zmienił się w grymas, blada cera pociemniała i pokryła się plamami. Nie, to nie Manana. To ta Cyganka z lotniska. Próbowwała jej coś powiedzieć, ale słowa rozbiły się o tafelę lodu.

Nic nie słyszę, nie słyszę, nie słyszę...

Cyganka chyba zrozumiała.

Jej usta oddzieliły się od twarzy i zbliżyły do Olgi. Dokładnie widziała na nich każde najmniejsze pęknięcie, każdy najmniejszy wrzód. Pozostawione same sobie wargi dotknęły powierzchni lodowej skorupy, w której była uwięziona - i z miejsca wypaliły w niej dziurę. Wiły się jak robaki. Miały przerażającą wymowę:

„Wyjędź stąd. Wyjędź, póki nie jest za późno. Jak najszybciej”.

Z ust powiało takim smrodem, że Olga aż krzyknęła.

I obudziła się.

Przez chwilę leżała osłabiona, wpijając się paznokciami w prześcieradło. Usiłowała przepędzić diabelskie siły. Ale to było takie trudne... takie trudne... takie trudne... Znów ogarnęła ją panika - jak wtedy, w lodowym miasteczku, kiedy nie mogła odnaleźć wyjścia. Nie może zostawać sama, inaczej zwariuje...

A może już zwariowała? Zmierza do piekła po wydrążonych w lodzie schodach? Była tak przerażona, że resztkami sił wydobyła z siebie głos:

- Mark!

Nareszcie się obudził i na nią spojrzął. Musiała wyglądać żałośnie: skurczona, z poprzylepianymi do czoła wilgotnymi włosami...

- Co ci jest, cara! - przypadł do niej i wziął ją w ramiona.

Ale nawet jego opanowane chłodne ciało nie przyniosło ukojenia. Wtuliła się w niego i zaczęła płakać.

- Uspokój się, uspokój... Jestem przy tobie. Jestem tu, cara, słyszysz?!

- Miałam straszny sen! - szlochając, co chwilę zacinając się i myśląc fakty, opowiedziała mu o nocnym koszmarze.

I, co dziwne, wypowiedziany na głos, raptem się zmaterializował. Jak gdyby Olga, nie zdając sobie z tego sprawy, wypuściła dżinnę z butelki.

Odłamki lodu iskrzyły się w ciemnych zakamarkach pokoju. Paliły się w kominku. Paliły się, ale nie mogły się spalić. Języki ognia lizały je, ale były wobec nich równie bezradne, jak ona.

Nie powinna była nic mówić Markowi. Przynajmniej do rana.

A dokładniej do południa. Nie powinno się nikomu opowiadać swoich snów przed południem, w przeciwnym razie mogą okazać się prorocze. Ale w jaki sposób mógłby się spełnić ten koszmar?

Przed czym chciała ją przestrzec Cyganka?

Olga opowiedziała Markowi o dziwnej scenie na lotnisku. Był naprawdę poruszony. Nie przestraszył się ani nie zareagował ironicznym uśmiechem, jak przystało na zdrowo myślącą osobę. Nie. Był wyraźnie zaniepokojony. Dopiero po upływie kilku minut uświadomiła sobie prawdziwy powód jego niepokoju.

- Powinnaś odpocząć - odezwał się.

- Ale nie tu. Wyjedźmy stąd. Nie chcę tu dłużej zostać... Pocałował ją w czoło. Zawsze był praktyczny i zrównoważony.

- Ale to byłoby głupie, cara... Dopiero co przyjechaliśmy i już wyjeżdżać? Tu jest rzeczywiście pięknie. Przecież ci się podobało. Sama mi mówiłaś. Mówiłaś?

- Tak, ale... Boję się.

- Wyjechać stąd tylko dlatego, że przyśnił ci się jakiś koszmar? Nie bądź dzieckiem.

- Nic nie rozumiesz. Nigdy, przenigdy nie śniły mi się kosmary.

Rzeczywiście nigdy nie śniły jej się kosmary. Wszystkie jej sny o łagodnych, stonowanych barwach, pełne były rozwagi i spokoju. W swoich snach nigdy nie latała ani nie uciekała przed pościgiem. Sny stanowiły kontynuację jej własnego życia, pozbawionego rozterek i wewnętrznego rozdarcia.

- Nigdy nie śniły mi się kosmary, rozumiesz?

- Zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz - w jego głosie dało się słyszeć irytację. Zaciśnął mocno usta.

- Co? Co powiedziałeś?

- Nic - zaciął się, ramiona bezsilnie mu opadły. - Po prostu... Każdemu przynajmniej raz w życiu śniły się kosmary. Ale to jeszcze nie powód do paniki, cara.

- Chcę wyjechać. Czuję, że wydarzy się coś złego.

Nagle zamarła. Przypomniała sobie, jak rozpoczynały się depresje Manany. Matka zaszywała się w kącie sypialni, pomiędzy łóżkiem a stojącą na podłodze japońską lampą, i powtarzała te właśnie słowa: „Czuję, że wydarzy się coś złego”. Ogarnął ją dziwny lęk - podobny do tego z lodowego koszmaru.

- Nic złego się nie wydarzy, cara. Przecież jestem z tobą.

- Obejmij mnie - poprosiła smutnym głosem.

Nie musiała prosić dwa razy. Przytulił ją mocno do siebie. Bezpieczna w jego ramionach zaczęła powoli odzyskiwać równowagę. Oczywiście, że dopóki jest z nią Mark, nic nie może się stać. Jak mogła nawet w myślach dopuszczać flirt z jego bratem? To jej mąż, nigdy jej nie zdradzi ani nie zostawi...

- Nie zostawisz mnie?

- Jak mogłaś tak pomyśleć? Jestem z tobą. Zawsze będę przy tobie. Musisz się po prostu uspokoić, odpocząć, przespać... Zawsze mówiłem, że te tłumaczenia nie wyjdą ci na dobre.

- A co tu mają do rzeczy moje tłumaczenia?

- Tracisz na nie zbyt wiele siły. No i w ogóle...

- Co - w ogóle?

- Nie podoba mi się ten twój César Vallejo. To moim zdaniem mroczna postać. Kto z nim za długo obcuje, może sfiksować, a co dopiero mówić o...

Każdy może sfiksować, a co dopiero mówić o tobie! To chciał powiedzieć. Kiedyś, na samym początku ich znajomości, opowiedziała mu o Mananie. Nie chciała, żeby dowiedział się o tej owianej tajemnicą historii od kogoś innego. Od kogoś, kto rzuci mimochodem, przy partyjce tenisa, stukając po pięcie rakietą: „A wiesz, Mark, że twoja teściowa była obłąkana i popełniła samobójstwo?”.

Zachował się wtedy na poziomie. Przyjął wszystko ze stoickim spokojem. Nigdy więcej nie wracali do tej rozmowy. Ale, jak się okazuje, nie zapomniał o niej. Przez całe dwa i pół roku rodzinnej sielanki kontrolował się, aby przez przypadek nie wyrwało mu się takie zdanie jak teraz.

Nie dawała mu ku temu żadnych powodów. Nigdy nie wpadała w depresję. Była wyjątkowo spokojną i zrównoważoną osobą. Ale teraz, kiedy na moment straciła nad sobą panowanie, od razu w nią zwątpił. Ogarnęła ją

czarna rozpacz. Nie, nie może się jej poddać! Nie może poddać się rozpaczy! Trzeba się uspokoić, a przede wszystkim uspokoić Marka.

- Niesprawiedliwie go oceniasz, Mark. To bardzo dobry poeta - powiedziała cicho.

- A proszę bardzo, niech sobie będzie nawet najlepszym poetą pod słońcem... Ale jeśli to w jakiś sposób ma wpływ na moją żonę... jeśli wpływa na jej równowagę psychiczną...

- Jestem całkowicie zrównoważona.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Oczywiście - kłamały jego usta, widziała to, ale nic nie mogła zrobić. - Oczywiście, że tak jest. Tyle tylko, że jesteś przemęczona...

Wstał z łóżka - goły, dobrze zbudowany, pewny siebie - i poczłapał boso do drugiego pokoju. Po chwili wrócił ze szklanką wody mineralnej i fiolką jakichś tabletek.

- Weź to, kochanie - poprosił.

- Co to jest? - zaniepokoiła się.

- Środek nasenny... Na pewno ci nie zaszkodzi...

- Środek nasenny? A skąd ty masz środek nasenny? - to było zupełnie naturalne pytanie i Mark wcale się nie zdziwił. Był na nie przygotowany. Za bardzo przygotowany. Podejrzanie przygotowany.

Przysiadł na brzegu łóżka i uniósł jej podbródek.

- Kocham cię, cara...

- Skąd masz środek nasenny? - powtórzyła z uporem. - Wziąłeś go dla mnie?

- Nie. Dla siebie... Bo widzisz... Nic ci nie mówiłem, ale ostatnio mieliśmy w pracy pewne problemy... Ale nie musisz się martwić. I żeby cię w to nie wciągać, wziąłem wszystko na siebie... Sama dobrze wiesz, jaki ten rok był ciężki. Nieustanne aukcje, łączenie korporacji, wchłanianie małych firm przez duże... Na razie udało nam się utrzymać na rynku. Ale nawet nie wiesz, ile nas to kosztowało. W takich warunkach każdemu puszcza nerwy...

Spojrzał na nią błagalnie.

Istotnie miniony rok był naprawdę ciężki. Koncern przeżywał problemy. W lutym sytuacja nieznacznie się unormowała, dlatego dopiero w marcu Mark mógł pozwolić sobie na krótki odpoczynek. Musiałaby nie mieć serca,

żeby pozbawiać go tych dziesięciu dni w górach. Poczula wyrzuty sumienia, mimo że gdzieś głęboko w duszy czuła do niego żal. Jakoś nie chciało jej się wierzyć, że cierpi na bezsenność. Przecież jeszcze pół godziny temu tak słodko spał. Jak niemowlę.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto ma problemy ze snem - stwierdziła.

- To dzięki górcom. Cały dzień na świeżym powietrzu, a to dobrze wpływa na sen - uśmiechnął się. - Dawno tak nie odpoczywałem. Jedyne Wenecja potrafiła mnie wyciszyć. Nie muszę o niczym myśleć i mam cię przy sobie...

Wenecja - niedozwolone zagranie. Jedyne miejsce na ziemi, w którym stanowili jedność. Byli ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie rozstawali się ani na moment. Mark chodził z nią nawet do małych sklepików z antykami, które tak uwielbiała, a on ich nie znosił. „Signora nie mówi po włosku? Signora ma wyśmienity gust. To bardzo stara porcelana. Ta filiżanka należała do Napoleona”.

Do Napoleona! Akurat! Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie. W najlepszym wypadku do Benito Mussoliniego. Zresztą, co za różnica? Wenecja jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie byli naprawdę szczęśliwi... Naturalnie Mark chce, żeby byli naprawdę szczęśliwi. Stara się uchronić ją od wszelkiego niebezpieczeństwa. Podniosła rękę i dotknęła jego włosów.

- Powinieneś pójść do fryzjera - stwierdziła ni stąd, ni zowąd.

- Teraz? Zaraz? - roześmiał się.

- Możesz zaczekać do rana.

- Jeśli pójde do fryzjera, będziesz mnie bardziej kochać?

- Nie mogę już bardziej cię kochać.

- Weź te proszki, cara. Nie chcę, żeby coś cię dręczyło. Jutro będziesz jak nowo narodzona.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Daj te swoje tabletki.

- Nie tabletki, tylko tabletkę. Jedna w zupełności wystarczy.

Połknęła białoróżową, owalną tabletkę i wyciągnęła się na łóżku.

- Zamknij oczka, cara! - pocałował ją. Najpierw w jedno oko, potem w drugie...

- Nie gniewaj się na mnie, proszę...

- Ty mój głuptasku!

- Nigdzie nie pójdziesz?

- A dokąd miałbym pójść? Będę tutaj - wstał i podszedł do stolika z komputerem.

- Mark! - powiedziała z wyrzutem.
- Troszkę popracuję, cara.
- Nie, proszę... Posiedź przy mnie, aż zasnę.
- Dobrze.

Położył się obok niej i mocno ją przytulił. Poczua się bezpiecznie w jego objęciach i od razu się uspokoiła. A nocny koszmar skulił się ze strachu i powoli ją się wycofywał. Nie miał już do niej prawa. Wszystko będzie dobrze, cara... wszystko będzie dobrze...

* * *

Kiedy znów otworzyła oczy, Marka nie było w pokoju.

Sosny za oknem rzucały niewyraźne cienie na drewniane ściany. Słońce świeciło wysoko na niebie. Musiało być co najmniej południe.

Usiadła na łóżku.

Na poduszce, na której zachowało się jeszcze wgniecenie od głowy Marka, leżała notatka: *„Cara, dzień dobry! Mam nadzieję, że miałaś dobre sny. Jeśli obudzisz się przed dwunastą, czekam na Ciebie w barze... Jeśli później - idź na wczorajszą trasę. Mam czerwono-biały strój. Na pewno mnie rozpoznasz. Całuję. Twój Mark”*.

Wyciągnęła rękę w stronę zegarka, leżącego na szafce.

No tak. Po pierwszej. Jej beztrioski sen trwał zbyt długo.

Dziwnie zaschło jej w gardle i czuła, jakby ktoś wbijał jej w głowę igły.

W sumie nie mogła powiedzieć, że źle się czuje. Raczej dziwnie i nieprzyjemnie. Niespodziewanie poczuła żal do Marka za to, że wyszedł i zostawił ją samą. Chociaż, z drugiej strony, wcale nie ma obowiązku marnować takiego pięknego, słonecznego dnia, czuwając przy śpiącej, wyczerpanej żonie.

Przeszła się po pokoju i naraz poczuła dziwną słabość w kolanach. Pewnie to jeszcze działanie środka nasennego. Nigdy przedtem go nie zażywała.

Wzięła prysznic, ale ani słabość, ani uczucie suchości w ustach nie minęły. *Nigdy więcej nie ulegnę namowom Marka* - obiecała sobie w duchu, przyglądając się w zaparowanym lustrze swemu odbiciu - odbiciu pięknej

kobiety z burzą kruczoczarnych włosów. Wygląda całkiem nieźle. Jest tylko trochę bardziej blada niż zazwyczaj. Z wiekiem stała się jeszcze bardziej podobna do matki.

Westchnęła, po czym dotknęła zimnej tafli lustra. Ostatnimi czasy coś za często myśli o Mananie. To dziwne.

Na wąskiej półce pod lustrem obok szczoteczki do zębów, pasty i maszyny do golenia dostrzegła fiołkę z proszkami na sen. Wzięła ją do ręki, obróciła w palcach i podniosła na wysokość oczu: *nitrazepam*. Nic jej ta nazwa nie mówiła. Ciekawe, czy Manana też zażywała takie świństwa, żeby poskromić nocne koszmary? Na krótko przed śmiercią zaczęła cierpieć na bezsenność... Tak przynajmniej twierdził ojciec.

*Manana, Manana.
Mamo, teraz... dzisiaj, kiedy
Twoje niewinne kości w proch
się obróciły,
z którego nie powstanie żadna broń,
nawet broń Miłości!*

No tak, oto wielkimi krokami nadchodzi César Vallejo. Najwyższy czas, żeby się pojawił. Najwyższy czas zająć się tłumaczeniem, skoro tak czy tak ma zepsuty dzień. Zwłaszcza że terminy naglą. W wydawnictwie i tak już krzywo na nią patrzą. Bogata żona bogatego męża, zajmująca się tłumaczeniami wyłącznie z nudów.

W kręgach cyganerii, w których - za namową Inki - obracała się w czasach studenckich, nazywało się to „miłością do sztuki”. Specjalnie wcisnęła jej tego Vallejo - najbiedniejszego i najbardziej rozjuszonego poetę. I on zrobił z nią to, co zwykle robił z sentymentalnymi kobietami, które nie potrafią znaleźć swojego miejsca na ziemi - wciągnął ją razem ze sobą w filozoficzne odmęty bagna.

Włączyła notebook. Mark był taki dobry, że pozwolił jej umieścić na swojej ukochanej maszynie plik o nazwie „*passion*”. Plik zawierał wstępne przekłady Vallejo.

O, okazuje się, że Mark otrzymał znowu kilka wiadomości!
Ciekawe, czy zdążył je przeczytać?

Otworzyła swój plik i przez parę minut w milczeniu wpatrywała się w ekran, na którym widniały przetłumaczone jeszcze w Moskwie fragmenty.

„...Wierz trupowi - nie żywemu, nikczemności - nie łotrowi...”, „...niech nikt mi nic nie wmawia, jeśli ktoś pięknie zabija...”, „...i jeśli kiedykolwiek w pobliżu mordercy pojawi się ze wszech miar potężny i dobry...”, „Umrę w Paryżu, w mrocznej poświacie dnia, którą jestem...”

Boże, mój Boże...

„ W rewolwerze moim umarła moja matka, w pięściach moich - siostra moja, brat mój - w krwawych mych wnętrznościach - napiętnowana trójka, złączona więzami krwi... w sierpniu następujących po sobie lat...”

Mój Boże, dlaczego wcześniej nie dostrzegła, jaka mroczna jest twórczość Vallejo. Jakie jadowite myśli tłoczą się w jego martwej głowie. Tak, tak, tak. Mark ma rację. Znajdowanie rymów do słów: „morderstwo” i „śmierć” jest ponad jej siły...

Nie. Nie dzisiaj. Nie.

Ostatecznie może przecież całkowicie zrezygnować z tego zajęcia i rozpocząć pracę w firmie ojca. Już od dawna namawiają ją z Markiem, aby podjęła pracę w dziale kontaktów z klientami. Czemu nie? Ze swoim wyglądem może na jakichś międzynarodowych targach zdobyć dla firmy parę medali. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

Tak, kilka medali za piękny wygląd - to brzmi całkiem nieźle. Wyłączyła komputer, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Inki.

Nikt nie odbierał.

Jasne. Tego się można było spodziewać. Koleżanka z pewnością śmiga po śniegu i powala swoim wdziękiem wszystkich narciarzy. A może najlepiej by zrobiła, gdyby przyłączyła się do niej? Tak, tak właśnie robi.

Nocny koszmar w świetle dziennym pobladał, skurczył się i wydał ostatnie tchnienie. Zrobiło jej się wstyd za tę historyczną scenę, która urządziła w nocy. Biedny Mark, po same uszy zawalony pracą, musi wysłuchiwać jej historii. Postanowione! Zaraz się ogarnie i ruszy na poszukiwanie czerwono-białego kombinezону męża. Zgodnie z wiadomością, którą jej zostawił.

Ubrała się i już zamierzała opuścić domek, kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Ciekawe, kto to może być? Mark ma swój klucz, a Inka z racji tego, że jest bardzo niecierpliwa, kopnęłyby w drzwi i weszła do

środku. Może to pokojówka? Na pewno mają tu pokojówki, jak przystało na wysokiej klasy ośrodek górski. Na progu stał Jonasz.

- Dzień dobry, pani Olgo - powiedział bez uśmiechu. Przywitał ją surowy wyraz twarzy nauczyciela wuefu, który nakrył swoich uczniów onanizujących się pod oknami damskiej szatni...

- Dzień dobry, panie Jonaszu. Przysłał pana Mark?

- Nie.

- To skąd pan wiedział, że mnie tutaj zastanie?

- Nie wiedziałem. Mogę wejść?

I, nie czekając na odpowiedź, wszedł do domku.

- Właśnie zamierzałam wyjść.

Puścił jej uwagę mimo uszu. Stał pośrodku pokoju, przechylił na bok głowę i bacznie się jej przyglądał.

- Widział pan Marka?

- Nie. Nie byłem dzisiaj na stoku.

- A dlaczego pan sądzi, że jest akurat tam?

- Skoro go tutaj nie ma... Nie sądzę, żeby przyjechał i od rana do wieczora siedział w barze...

Postąpił krok do przodu. Przestraszyła się nie na żarty. Ale nie Jonasza, mimo że czuła emanujące od niego silne fluidy. Nie, nie jego. Przestraszyła się siebie i swoich emocji.

Uświadomiła sobie bowiem, że podświadomie na niego czekała. Wczorajsza urwana w połowie scena zostawiła po sobie niedosyt. Musi się opanować, bo inaczej owo niedomówienie zbyt daleko ją zaprowadzi...

- Zaraz powinien zjawić się Mark... Mieliśmy zamiar trochę razem pojeździć.

- Tak? I co w związku z tym?

Rzeczywiście, co w związku z tym? Nie ma chyba nic złego w tym, że brat wstąpił do brata, spotkał jego żonę i zaczęli miłą konwersację na temat zalet tutejszego klimatu.

- Napije się pan czegoś?

Tak, wybrała właściwą formę zachowania: żona starszego brata powinna traktować swojego szwagra z uprzejmą delikatnością. Wysłuchiwać jego historii o podbojach miłosnych. Pożyczać pieniądze na piwo...

- Napije się pan czegoś? - powtórzyła pytanie.
- Nie, dziękuję.
- Mam świetny koniak. I martini. Mark wziął ze sobą dwie butelki martini.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z idiotyczności całej sytuacji. Dlaczego Mark wybrał akurat „Różę Wiatrów”? Czym się kierował? Równie dobrze mogli spędzić te dziesięć dni gdzieś w szwajcarskich albo francuskich Alpach, bez ponurych krewnych w roli instruktorów i ratowników. Bracia wyraźnie nie kwapili się do odnowienia stosunków po siedemnastoletniej rozłące. Nie mieli zamiaru uczcić spotkania po latach nawet skromną kolacją w gronie rodzinnym...

- Nie, naprawdę dziękuję.
- To może... kawy?
- Nie.

Powoli zaczynały wyczerpywać jej się pomysły. Ale nie zamierzała się tak łatwo poddawać.

- Woda mineralna?
- Nie.
- Tequila?
- Nie.
- Baccardi?
- Nie.
- Szampan?
- Nie.
- Wermut z lodem?
- Nie.
- Rum kapitański?
- Nie.
- Whisky White Horse?
- Nie.
- Absynt?
- Nie.

Przygryzła wargę, usiłując przypomnieć sobie spis treści albumu „Napoje alkoholowe”, który Mark otrzymał w ubiegłe święta od swoich podwładnych. Album był gruby i zawierał mnóstwo ilustracji. Był o wiele barwniejszy niż zwiędłe, jednowyrazowe odpowiedzi Jonasza.

- Wino reńskie... mozelskie? - sięgnęła po ostatni atut. I Jonasz się poddał, tym samym psując całą zabawę.

- To niech pani przyniesie to swoje wino mozelskie.

Roześmiała się i bezradnie rozłożyła ręce.

- Przykro mi, ale nie mam.

- Wielka szkoda. A już się nastawiłem... Dlaczego nie poszła pani z Markiem? Wychodził wcześniej rano.

- Skąd pan wie? Śledził go pan?

- Tak - odparł spokojnie.

- Po co? - zadała najgłupsze z możliwych pytań.

- Ot, tak sobie. Chciałem zobaczyć, co robi - jakie pytanie, taka odpowiedź.

- I co, zobaczył pan?

- Tak.

- I co dalej?

- Dalej? - zamyślił się. - Nie wiem, co będzie dalej.

Pod Olgą ugięły się kolana. Przysiadła na skraju łóżka i momentalnie skoczyła na równe nogi. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby potraktował to jako zaproszenie! Odsunęła się na bezpieczną odległość od łóżka, które teraz wydawało jej się potrzaskiem, otwierającym potężną paszczę. Osunęła się na fotel i zaczęła zakładać buty.

- Odprowadzi mnie pan, panie Jonaszu? - jej głos musi brzmieć całkiem naturalnie, żadnego lęku, tylko uprzejma delikatność w stosunku do szwagra. Uprzejma delikatność - nic więcej.

- Tak, oczywiście.

Cholera, była zdenerwowana. Była tak zdenerwowana, że nie mogła sobie poradzić z zapięciem butów. A może po prostu nie przywykła jeszcze do tego kretyńskiego obuwia?

- Nigdy nie nauczę się ich zapinać! - powiedziała gniewnie.

- To nie jest takie trudne. Kwestia wprawy i treningu. Jak ze wszystkim innym - Jonasz jakby na to czekał. Upadł przed nią na kolana i z zapalem zaczął zapinać jej buty.

Tuż obok zobaczyła czubek jego głowy... sterczącą chłopięcą kępkę włosów... Tak niesforną i bezbronną, że nie wytrzymała i... dotknęła.

Zamarł w bezruchu. Pod narciarską kurtką napięły mu się mięśnie. Nie widziała tego, lecz poczuła. Jego dłonie przesunęły się w górę - od butów do kolan. Znieruchomiała.

- Widzisz, jakie to proste - odezwał się i podniósł głowę.
- Tak - wyszeptwała - proste. To my już przeszliśmy na „ty”?
- No pewnie. Aż śmiesznie jest mówić sobie na „pan” - „pani”. W końcu jesteśmy rodziną.

Zmrużył oczy jak zwierzę przed skokiem. Na samym ich dnie zapłonął ogień. Drżały mu nozdrza. Po ustach przebiegł skurcz... rozchylił wargi, ukazując lśniące zęby.

Położyła koniuszki palców na nasadzie jego nosa {*Chryste, co ja robię?!*}. Przesunęła je w stronę warg {*Chryste, co ja robię?!*}. Jego usta parzyły jak żarzące się, przykryte cienką warstwą popiołu węgle. Nie zdążyła cofnąć palców. Zawładnął nimi. Były jego zdobyczą. Musiał ją teraz tylko oprawić. Operował pocałunkami jak myśliwskim nożem, oddzielając mięso od kości i pozbawiając ofiarę ostatniej szansy na ratunek.

A jednak.

A jednak nie da się tego cofnąć. Nie można wiecznie walczyć ze sobą.

Nie próbowała walczyć. Zdała się na łaskę i niełaskę zdobywcy. To, co działo się teraz między nią a Jonaszem, było zupełnie niepodobne do miłości Marka - namiętnej, lecz przewidywalnej i nieco ironicznej miłości intelektualisty. W Jonaszu zaś... w Jonaszu było coś nieokiełzanego, dzikiego, niebezpiecznego, coś z pierwotnych ludzi stepu, tak jak walka bez żadnych reguł. Podjęła ją, wiedząc, że z góry skazana jest na porażkę.

Może właśnie tego pragnęła najbardziej?

Przestała myśleć. Całkowicie się zatraciła. Pragnęła jedynie połączyć się z nim, stać się jego częścią, podnieść się z upadku, niesiona na skrzydłach miłości. Poczuć się władczynią całego królestwa. Powrócić do życia jak po ciężkiej chorobie.

Kiedy rozpiął guziki jej bluzki, rozległ się dźwięk telefonu.

A może telefon dzwonił już całą wieczność, tylko go nie słyszała? Dokuczliwy, piskliwy dźwięk sprowadził ją na ziemię. Odepchnęła od siebie Jonasza i chwyciła słuchawkę.

- Halo!

Odpowiedziała jej cisza. Widocznie ktoś na drugim końcu kabła stracił cierpliwość i rozłączył się. To było w stylu Inki. Nigdy nie starczało jej cierpliwości. Zabierając się za czytanie nowej książki, zawsze zaglądała na jej koniec. Nawet Conan Doyle nie stanowił wyjątku. Na żadnym przedstawieniu nie wytrzymała dłużej niż do pierwszej przerwy. Ojciec uwielbiał operę, ale po kilku wypadach Inka definitywnie odmówiła tak szalenie interesującej formy spędzania czasu. Żeby mu to jakoś wynagrodzić, kupiła libretto operowe i przestudiowała je od początku do końca. Miało bowiem przystępną dla niej objętość i nie zdążyła się znudzić. Zaś przez ten czas, kiedy dzwonił telefon, można byłoby pewnie przeczytać i *Aidę* i *Trubadura*, i nawet okazałych rozmiarów *Księcia Igora*. Nic więc dziwnego, że odłożyła słuchawkę.

A jeśli to Mark?

Pomyślała o nim po raz pierwszy w ciągu ostatnich piętnastu minut i struchlała ze strachu. Co za podłość, żeby dopuścić się zdrady z bratem męża w domku wynajętym przez niego samego! Dobrze chociaż, że nie wylądowali w łóżku, w którym wcześniej się z nim kochała. Skończona idiotka! W każdej chwili może się tu zjawić Mark. I co wtedy?! Zobaczysz jej obnażone piersi w dłoniach Jonasza...

Jęknęła.

- Idź już! - powiedziała stanowczo.
- Nie - powiedział z taką samą intonacją, jak wtedy, gdy dziękował za proponowane gatunki alkoholu.
- To nieuczciwe.
- Chcesz być uczciwa? To powiedz o wszystkim Markowi.
- Co mam mu powiedzieć?
- Że go nie kochasz.
- To nieprawda - ukryła twarz w dłoniach, jakby chciała się obronić przed niewidzialnym wrogiem.
- To prawda.
- Wyjdź.
- Nie.
- Dobrze, skoro tak, to ja wyjdę.

Zatrzymała ją tuż przy drzwiach. Jego usta dosięgły jej ust i tak rozpaczliwie ją dręczyły, że niemal straciła świadomość. Za chwilę zanieś ją do łóżka i już żaden telefon im nie przeszkodzi.

Resztkami sił wyrwała się z jego objęć. Po chwili biegła już Wąską ścieżką. Biegła tak szybko, jakby uciekała przed przeznaczeniem, doskonale zdając sobie sprawę, że czeka na nią tuż za rogiem... Gdyby się teraz odwróciła... Gdyby tylko spojrzała za siebie, zobaczyłaby Jonasza, stojącego w drzwiach ich domku ze skrzyżowanymi na piersi rękami. I dostrzegłaby jego uśmiech - łagodny, a zarazem triumfujący.

Gdyby się tylko odwróciła...

* * *

Zdrajczyni.

Tak, to odpowiednie słowo: zdrajczyni.

Zdradziła wszystko i wszystkich. Marka, siebie, dwa i pół roku życia, Wenecję, własnego ojca, który nieustannie powtarzał: Jestem szczęśliwy, że moja dziewczynka jest szczęśliwa...". Zdradziła jego ciało. Zdradziła swoje ciało. Zdradziła nawet Inkę. To ona chciała uchodzić za dyżurną grzesznicę. To ona prowadziła wieczną wojnę z Markiem.

Zdrajczyni.

Musi opowiedzieć o wszystkim Markowi. Jeszcze dzisiaj. Niech wie, jakim draniem okazał się jego braciszek. Z jaką przebiegłością postanowił ją uwieść! Z wściekłością zagryzła wargi. Ale wtedy trzeba będzie przyznać się do wszystkiego. Jeśli powie „a”, będzie musiała powiedzieć i „b”. Wyznać całą prawdę. Opowiedzieć, jak kręciło jej się w głowie od zapachu jego ciała, jak drżała z podniecenia, jak coś ją chwyciło za gardło, jak poczuła motyle w brzuchu... I jak bardzo pragnęła Jonasza. Nie będzie w stanie oszukać Marka. Tak jak nie będzie miała siły oprzeć się Jonaszowi. Tak jak nie będzie w stanie walczyć ze sobą. Jedyne wyjście - natychmiast stąd wyjechać. Jutro. A jeszcze lepiej dzisiaj. Powinna mu powiedzieć: musimy stąd uciekać, bo inaczej możemy się stracić! Do diabła z tym wszystkim! Do diabła z Jonaszem, który uwodzi samym swoim imieniem.

Kiedy się pobierali, Mark miał trzydzieści dwa lata, a ona zaledwie dwadzieścia cztery. Miała przed nim kilku chłopaków. Jedna znajomość zakończyła się nawet aborcją - po wypadku na Krym z kolegą z roku, wielbicielem Sartre'a i amfetaminy. Oprócz niego był jeden Litwin - Ramunas, z którym wyznaczyli już nawet datę ślubu. Ramunas rozbił się na motocyklu na tydzień przed weselem. Niezbyt długo przeżywała jego śmierć. Cyniczna Inka, która

od samego początku nie przepadała za chłopakiem, stwierdziła, że on chce się ożenić nie z Olgą, lecz z jej gruzińską połową, po to by wzmocnić genetycznie flegmatyczną litewską rasę, która ucierpiała na skutek represji władz radzieckich. Później firma ojca zaczęła się prężnie rozwijać i koło Olgi zaczęły się kręcić różne pasożyty i oszuści matrymonialni. W momencie znalazło się wielu amatorów szybkiego wzbogacenia się. Jednak wszyscy po kolei odchodzili z niczym, bo Inka błyskawicznie ich rozszyfrowywała. Miała na to tylko jeden, ale za to niezawodny sposób. Wstawiała potencjalnym kandydatom zawczasu przygotowaną gadkę: „Wiesz co, Dima (Wali, Misza, Sławik, Rezo), przeciwko ojcu Olgi toczy się śledztwo i cały majątek zostanie pewnie wkrótce skonfiskowany przez państwo”. Jakoś nie znalazł się chętny do noszenia paczek do więzienia przyszłemu teściowi.

Mark to zupełnie inna sprawa.

Kiedy się poznali, pracował już w spółce ojca. Olga wraz z Inką przyjechały na bankiet, wydany z okazji piątej rocznicy istnienia koncernu: drogie trunki, kawior i ogólne bratanie się starszego i młodszego pokolenia pracowników. Wszystko zaczęło się od przypadkowego oblania go szampanem. Od tego momentu w szarmancki sposób zabiegał o jej względy. Jak przystało na człowieka starej daty, powstrzymywał swoje żądze i pocałował ją dopiero gdy poprosił ojca o jej rękę.

I otrzymał zgodę.

Ślub był bardzo skromny. Stolik dla czworga w restauracji „Metropol”: Mark, Olga, Inka i ojciec. Przyjaciółka nawet tutaj musiała pokazać swój charakterek: w elegancki bukiet róż zatknęła nieprzyzwoitą tanią pocztówkę z ułożonym przez siebie nieprzyzwoitym wierszykiem. Olga gniewała się na Inkę dosłownie pięć minut, do momentu, kiedy Mark wygłosił toast za rodzinę, zakończony takimi słowami:

- Bo przecież jesteśmy teraz rodziną, czyż nie?

- Ale w każdej trzodzie znajdzie się parszywa owca - powiedziała Olga, patrząc na przyjaciółkę.

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić - powiedziała Inka, patrząc na Marka. Ale Olgi tak naprawdę nie obchodziło, co Inessa myśli o jej mężu.

Miała to w nosie, ponieważ go kochała.

Nie, nie tak. Kocha go. Kocha Marka. Tylko z nim chce się kochać. Tylko z nim chce mieć dzieci. Jego pieszczoty nadal doprowadzają ją do

szaleństwa. Dwa i pół roku po ślubie. *Tak. Chce się kochać tylko i wyłącznie z nim!*

To nieprawda. Chciałabyś się przespać z kimś innym. Nieprawda, nieprawda, nieprawda - skrzypiał śnieg pod jej nartami.

Żeby uwolnić się od natrętnie powracających buntowniczych myśli, nieporadnie walczyła ze śniegiem, jeżdżąc i co chwilę zmieniając trasy. Bała się spotkania z Markiem i Jonaszem.

Inka.

Inka była kimś, kto był jej teraz najbardziej potrzebny. Powierniczka, mamka, domowy psychiatra i opiekunka. Tylko jej może o wszystkim powiedzieć. A zresztą nic nie musi mówić. Przyjaciółka już wcześniej przewidziała to, co się stanie. Wystarczyło jej jedno krótkie spojrzenie na ten niezdrowy układ: dwaj bracia i obłąkana półkrwi Gruzinka pomiędzy nimi...

Ale Inka jakby się pod ziemię zapadła. Nigdzie jej nie było. Tylko raz Oldze wydawało się, że ją widzi. Jej prześliczny kombinezon przesuwiał się w oddali pod eskortą jakiegoś młodego chłopaka o nieporównywalnie gorszej prezencji. Pewnie to instruktor narciarski. O proszę, jak zręcznie ominęły tyczkę!

Pogrążona w rozmyślaniach nie zauważyła, że znacznie oddaliła się od wytyczonych tras i dotarła do uroczego stoku, który wczoraj pokazał jej Jonasz: skały z trzech stron i kilka uskoków, kończących się płaską polaną. Tu się wszystko zaczęło. Nienawidziła siebie za to, że w ogóle dopuszczała możliwość zdradzenia męża. Chcąc ukarać samą siebie, postanowiła przejechać przez ten skalny próg.

Słońce zachodziło już za skały i śnieg nabierał liliowego odcienia. Łagodne promyki oświetlały polanę.

Jeśli zjedzie teraz na dół i ani razu nie upadnie, wszystko skończy się dobrze. Wróć do Moskwy, a imię Jonasz" wymaże z pamięci tak samo, jak ten nocny koszmar. Następnym razem pojedą gdzieś do Laponii. Do jakiejś zapadłej miejsciny - Saariselki - na zawody psich zaprzęgów, do Świętego Mikołaja... Byle jak najdalej stąd.

Albo do Wenecji.

O, tak! Do szeleszczącej pościelą Wenecji. Do najpiękniejszego symbolu ich miłości. A teraz musi się skupić i pamiętać, że środek ciężkości przenosi się na wewnętrzną nartę. Co jeszcze? A do diabła z tym! Niech narty same

ją niosą! Podobno są rewelacyjne. Tak przynajmniej zapewniali sprzedawcy, pryszczaci chłopacy z plikiem katalogów. Mark nazwał je „smart ski”. Niech więc za nią teraz myślą. Jeśli uda jej się szczęśliwie zjechać, wszystko będzie dobrze. To jej ostateczna decyzja.

Nasunęła okulary i odepchnęła się kijkami.

Naprzód, staranujemy ich! - jak lubi mawiać ojciec.

W twarz uderzyło ją ostre, górskie powietrze. Szczypały ją policzki. Narty sunęły po puszystym śniegu. Przepelniało ją uczucie triumfu: *potrafię, potrafię, potrafię...* Pomyślnie pokonała pierwszy uskok, z którego zręcznie przeskoczyła na drugi.

Jak mówił Jonasz - natchnienie, tylko i wyłącznie natchnienie! I jak mówił Mark - power! Trzeba bezgranicznie zaufać nartom, zbroczu, a przede wszystkim samej sobie, wtedy wszystko się uda. Nie zastanawiać się, jak ułożyć się do skrętu - trzeba po prostu skrócić.

Właśnie ścinała zakręt, zmniejszyła promień i... udało się! Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Udało się! Drugi uskok pokonany! Tym razem próg był nieco wyższy niż poprzedni. Maksymalnie przechyliła się na bok i niemal położyła się na nartach. I chyba zbyt mocno odepchnęła się kijkami od zbrocza. O wiele mocniej niż powinna. Nadało to jej jeszcze większej prędkości. Pędziła w stronę polany.

Udało się!

Poradziła sobie. Przeszła tę próbę zwycięsko. Wypowiedziała życzenie, wymyśliła wróżbę i wygrała! Jonasz - ten żalosny obłudnik i bratobójca - na zawsze zostanie wypędzony z jej świątyni! Zostanie wygnany! Odniosła zwycięstwo! Gdy tylko to pomyślała, płaska polana została w tyle. Olga wystrzeżliła do przodu jak z procy i pomknęła dalej w dół po zbroczu, po świeżym, nieubitym śniegu. Tego nie miała w swoich planach. Zapewne prędkość była już zbyt duża. Starczyło jej sił, żeby gnać dalej, ale nie wystarczyło umiejętności, aby się zatrzymać. Stok robił się coraz bardziej stromy, ale, o dziwo, przestała się go bać.

Niech się dzieje, co chce! Raz kozie śmierć! Tego jej właśnie brakowało - zdrowej adrenaliny i mocnych wrażeń.

A jednak się wywróciła.

Wywróciła się, w nieudolny sposób usiłując ominąć samotnie stojącą sosnę. Na szczęście upadek nie był bolesny. W ostatnim bowiem momencie udało jej się instynktownie przyjąć odpowiednią postawę i to złagodziło

upadek. Zahaczyła jednak o sosnę i zgubiła kijek. Znakomity kijek. Z początku, siedząc na śniegu, myślała tylko o nim. Dopiero chwilę później obmaciała się, sprawdzając, czy nic się jej nie stało. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Żadnych obrażeń. Kiedy przestała dygotać i w miarę się uspokoiła, uniosła głowę i rozejrzała się dokoła. Trudno było coś dostrzec w zapadającym zmroku. Widziała jedynie pokrzywioną sosnę i skały - po lewej i po prawej stronie.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Zdawało jej się, że zjazd trwał nie dłużej niż pół godziny. Jednak czas ma to do siebie, że potrafi się kurczyć i rozciągać. Nie mogła więc całkowicie zaufać swoim odczuciom.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa „Róża Wiatrów” powinna być gdzieś z prawej strony. Gdyby tak spróbować wejść na górę...

Niepewnie rozejrzała się po ciągnącym się daleko zboczu.

Nie, takiego wzniesienia, na dodatek osłoniętego ze wszystkich stron skałami, nie zdoła pokonać. Gdyby jednak udało jej się obejść je bokiem i ruszyć w prawo...

Najpierw musi znaleźć kijek.

Obszukała całą przestrzeń w promieniu kilku metrów. Przekłety kijek zniknął jak kamfora. Nie ma co tu dłużej zostawać. Musi wziąć się w garść, wstać i iść. Niedawna radość zwycięstwa i poczucie prawdziwej wolności zniknęło i Olga zaczęła odczuwać lekką panikę. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby się teraz załamała. Diabeł ją podkusił do urządzania sobie tuż przed nocą ryzykownych wypadów. Wsparła się na jednym kijku i w zapadającym zmroku ruszyła wzdłuż skał. Początkowo szło jej się całkiem nieźle, ale po jakimś czasie uświadomiła sobie, że bez nart będzie jej łatwiej. Zaczęły utrudniać jej poruszanie się, ponieważ w pobliżu skał było mało śniegu. Tu bardziej przydałyby się buty do wspinaczki. Odpięła narty i zarzuciła je na ramię. Od razu lepiej - ucieszyła się. Jednak wciąż nie była pewna, czy aby na pewno obrała właściwy kierunek.

Nadciągała noc, a wraz z nią coraz zimniejsze górskie powietrze. Zaczęła się już poważnie niepokoić. Brakowało tylko, żeby zamarzyła w tym ekskluzywnym ośrodku, po tym jak wydali zawrotną sumę na wyjazd i zakup sprzętu. Aż się uśmiechnęła na tę myśl. No cóż, trudno. Najwyżej zamarzy nie, ale przynajmniej Jonasz nie nacieszy się jej ciałem.

Grunt to nie ulec panice. Ojciec nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że tak marnie skończyła: zablądziła i zamarzła, nie znajdując wyjścia z trudnej sytuacji.

Szła tak długo, aż całkiem opadła z sił. Pasma gór nadal ciągnęło się w nieskończoność.

Stop.

Musi gdzieś odsapnąć i spokojnie ocenić sytuację. Zbliżyła, się do skał i już po kilku chwilach znalazła to, czego szukała: niewielką niszę, która mogła posłużyć jej jako tymczasowe schronienie. Oparła narty o skałę i kucnęła. Najwyższa pora pójść po rozum do głowy. Obmacała kieszenie. Dzięki Bogu, papierosy i zapalniczka były na swoim miejscu.

W Moskwie rzadko paliła. Na palcach jednej ręki można też było policzyć papierosy wypalone podczas dotychczasowego pobytu w „Róży Wiatrów”. Teraz jednak sytuacja ją przerosła. Musi choć kilka razy się zaciągnąć. Wyjęła napoczętą paczkę marlboro, wyciągnęła papierosa, zapaliła i łapczywie się zaciągnęła. Żarzący się papieros działał na nią uspokajająco. Wreszcie mogła spokojnie zastanowić się, co robić dalej.

...Za czterdzieści minut zrobi się zupełnie ciemno. Czyli do nadejścia nocy masz jeszcze trochę czasu. Myśl realnie, Olga. Droga w dół zajęła ci nie więcej niż dwadzieścia minut. Cały czas zjeżdżałaś prosto, nigdzie nie zbaczając z trasy. Na samym początku miałaś „Różę Wiatrów” po prawej stronie. Wjazd kolejką trwał dziesięć minut...

Wzięła kijek i narysowała na śniegu coś w rodzaju mapki terenu. W jej centrum znalazł się kwadrat. W prawym dolnym rogu oznaczyła punkt, w którym znajdowała się dolna stacja wyciągu. W prawym górnym - początek trasy. W lewym górnym - miejsce, w którym rozpoczęła swój szaleńczy zjazd. W lewym dolnym - aktualne położenie. Dobrze, że wybrała kwadrat. To bardzo uspokajająca figura. O równych bokach. Wygląda na to, że znajduje się obecnie w jednej linii z „Różą Wiatrów”.

Nabrała otuchy. Uśmiechnęła się sama do siebie. Czasami i humanista potrafi coś wymyślić. Odchyliła się do tyłu i oparła o skałę. Usłyszała jakiś cichy brzęk.

No jasne! Klucz od ich pokoju.

Klucz od pokoju, którego nie oddała portierowi, lecz zabrała ze sobą, kiedy wróciła po narty. Minęło wtedy dwadzieścia minut od jej ucieczki od Jonasza. Miała cichą nadzieję, że wciąż tam na nią czeka... Ale nie czekał.

A teraz klucz wysunął jej się z kieszeni. Tylko nie to! Nie może go zgubić. Po omacku zaczęła szukać go w śniegu. Nic. Nigdzie go nie ma. Ale przecież nie mógł upaść zbyt daleko. Zapaliła zapalniczkę i na czworakach zaczęła oświetlać przestrzeń wokół siebie. Na szczęście nie musiała długo szukać. Klucz połyskiwał tuż przy samej skale. Gdy wsuwała go do kieszeni, zauważyła, że płomień zapalniczki odchylił się dziwnie do skały. Wyglądało to tak, jakby coś ciągnęło go w tamtą stronę. Przy bezwietrznej pogodzie? Dziwne. Po krótkiej chwili tajemnicze zachowanie płomienia się wyjaśniło. Otóż u samego podnóża góry zobaczyła wąską szczelinę, ledwie widoczną w śniegu. Trafila na nią zupełnie przypadkowo, tylko dzięki temu, że szukała klucza. Odruchowo zgarnęła rękawiczką górną warstwę śniegu i szczelina się poszerzyła.

To ci dopiero! Zupełnie jak jaskinia Ali-Baby!

Zaintrygowana zaczęła odgarniać śnieg i po chwili ze szczeliny zrobił się sporych rozmiarów otwór. Spokojnie mógł się przez niego przecisnąć człowiek.

Po krótkim wahaniu wśliznęła się do środka. Nie zastanawiała się, co będzie dalej. Wyglądało na to, że długi wieczorny lot po śnieżnych przestworzach poruszył w niej nieodkrytą dotąd awanturniczą żyłkę. A nuż tam wewnątrz rzeczywiście znajduje się jaskinia Ali-Baby? Nieprzebrane skarby, złoto Scytów, złoto Rzeszy, złoto partii...

Wejście do środka zajęło jej dosłownie kilka sekund. Zeszła po stromej ścieżce i znalazła się wewnątrz skały. Zapaliła zapalniczkę.

Co za widok!

Tuż obok z prawej strony dostrzegła stos pochodni i kilka dużych pudełek zapalek myśliwskich zapakowanych w folię.

Była ogromnie podekscytowana. Wyciągnęła z folii jedno pudełko i sięgnęła po pochodnię. W jasnym płomieniu ognia, oświetlającym wszystko wokół, ujrzała przed sobą wąski, podobny do sztolni, korytarz. Biegł on w głąb skały. Ruszyła w tamtą stronę. Korytarz stopniowo się rozszerzał. Po krótkim czasie dotarła do dość dużej sali o niskim sklepieniu. Kontury pomieszczenia tonęły w ciemnościach i nie potrafiła nawet w przybliżeniu oszacować jego rzeczywistej wielkości.

Z prawej strony, patrząc od wejścia, zauważyła jakieś dziwne urządzenie: połączone ze sobą aluminiowe rurki z pozoru przypominające zwykły, prymitywny rozpryskiwacz. Jednak to, co ujrzała po chwili...

Pod wpływem światła pochodni sala uległa nagłemu przeobrażeniu. Nie spodziewanie ożyła. Rozbłysła oślepiającym blaskiem. Dopiero teraz dotarło do niej, skąd bije to światło.

W centralnej części sali żył swoim własnym życiem koszmarny obraz, który przyśnił jej się minionej nocy.

Nie do końca jeszcze zdawała sobie sprawę z tego, co widzi. Zdrętwiała ze strachu. Nogi miała jak z waty. Powoli zaczęła zbliżać się do swego nocnego koszmaru. Pochodnia w jej rękach silnie drżała.

To było najbardziej przerażające muzeum, jakie można sobie tylko wyobrazić. Galeria jednej jedynej, ale za to doskonałej rzeźby.

Początkowo uznała to właśnie za rzeźbę. Za kolejny fragment lodowego miasteczka, które tak bardzo ją przeraziło. Jednak tam nie było nic poza lodem. Nieszkodliwym lodem. Lodem, z którego można było zrobić kostki do martini. Najzwyczajniejszym w świecie lodem. Pod tym zaś czaiła się śmierć. Uświadomiła to sobie, gdy tylko podeszła bliżej.

Przed nią stało siedem ludzkich postaci, zastygłych w najróżniejszych pozach. I nie były to jedynie po mistrzowsku wykonane figury. Każda z tych postaci była kiedyś żywa.

Tak. To byli ludzie!

Zbliżyła pochodnię do pierwszej postaci. Przez grubą warstwę lodu przebijały zarysy twarzy. Twarzy wykrzywionej w grymasie cierpienia. Odblaski ognia igrały na gładkiej powierzchni i ożywiały figurę: szeroko otwarte, szklane oczy, ciemny kosmyk włosów, opadający na czoło... Osoba była całkiem naga.

Młody chłopak. Wspaniale rozwinięta klatka piersiowa, ciemne obwódki sutków, płaski brzuch, kręcone włosy łonowe - wyglądał jak grecki posąg. Przypominał Hanimeda roznoszącego wino bogom...

Krzyknęła.

Jej krzyk odbił się od ścian i okrutnego lodu, i wrócił do niej ze zdwojoną siłą. Jednak okrzyk rozpacz nie był w stanie zakłócić przerażającego spokoju ofiary.

Tuż obok ujrzała kobietę. Patrzyła prosto na nią. Światło pochodni sprawiło, że jej oczy wydawały się żywe. Podobnie jak nagie ciało, któremu nie przeszkadzało już zimno. Obląkany rzeźbiarz, który stworzył to muzeum, doskonale orientował się w budowie ciała. Idealnie zachował jego linie i pieczołowicie odwzorował wszystkie najdrobniejsze szczegóły, mimo że

skorupa lodu była bardzo gruba. Perfekcyjne wykonanie. Absolutnie gładka powierzchnia. Kobieta siedziała u stóp mężczyzny. Ciekawe, ile czasu tu przebywa po tym, jak umarła?

A może ktoś jej w tym pomógł? Może ktoś ją zabił? Ktoś, kto stworzył ten Panteon... Ktoś, kto zdjął z tych ludzi ubranie. Bo przecież za życia musieli je mieć na sobie... Oczywiście, że musieli. Całkiem możliwe, że stoją tu już od kilku wieków. Pewnie to jakiś ołtarz ofiarny pradawnego plemienia, które zamieniło się później w ptaki... Nie, to nie mogą być ludzie z zamierzchłych czasów. Na szyi kobiety wyraźnie zobaczyła cienki złoty łańcuszek, a w uszach - błyszczące kolczyki. Takie same małe listki podarował jej ojciec na szesnaste urodziny.

Ręka jej drgnęła i płomień oświetlił kolejnego mężczyznę.

Gdzieś go już widziała. Tylko gdzie?

No tak! Fotografia! Widziała tę twarz na fotografii, którą pokazywała jej podpita Natalia. To ten chłopak - Kirił - który zaginął na pięć dni przed ich przyjazdem do „Róży Wiatrów”. Wszyscy są przekonani, że przysypała go lawina...

Usilnie starała się zachować resztki przytomności. Jeśli teraz zemdleje, to może już nigdy się nie ocknąć. I będzie spoglądać martwymi oczami na kolejną osobę, która tu przyjdzie.

Zbyt wysoko podniosła pochodnię. Za bardzo zbliżyła ją do twarzy Kiriła. Łód zaczął topnieć. Harmonia i doskonałość rzeźby została zakłócona. Uwolniona z lodowych okowów twarz wyglądała jak żywa. Olga widziała każdy jej centymetr. Twarz zastępną w zdziwionym uśmiechu.

Co mogło spowodować, że Kirił uśmiechnął się na chwilę przed śmiercią? Olga nie potrafiła już dłużej zapanować nad emocjami. Przebywanie pośród martwych ciał, złożonych w braterskiej lodowej mogile, było czystym szaleństwem.

Szaleństwo. Oblęd.

Oczywiście, że tak! Po prostu oszalała, a wraz z nią oszalały jej sny. I to jest tylko sen, z którego musi się szybko obudzić... Trzeba zdobyć się na wysiłek i wynurzyć się do realnego świata, wrócić do pomiętej pościeli, pod którą śpi sobie spokojnie Mark.

Lecz sen nie chciał się skończyć. Wciąż widziała przed sobą twarz Kiriła, tak jak kiedyś widziała usta Cyganki.

No dalej, obudź się, obudź!

Zdesperowana przyłożyła dłoń do ognia. Z miejsca poczuła piekący ból. Jednak nic się nie zmieniło. Nadal stała przed skamieniałym Panteonem. W oczy rzucały jej się teraz najdrobniejsze szczegóły: niewielkie zadrapanie na policzku Kiryła, łańcuszek i kolczyki kobiety, włosy łonowe młodego Hanimeda. Jakby miały być dowodem na to, że tu była. Za pierwszą trójką stały jeszcze cztery postacie, lecz nie była w stanie do nich podejść. Nie pamiętała, jak i kiedy upuściła pochodnię, a sama rzuciła się do ucieczki. Rozpaczliwie wbijając się paznokciami w śnieg, wydostała się z tego przeklętego grobowca na wolność.

Biegła, po kolana zapadając się w śnieg. Biegła na oślep. Do utraty sił. Aż w końcu wyczerpana upadła w jakiejś dolince i straciła przytomność.

* * *

Ciepło.

Chwała Bogu, ciepło.

Jak w głębokiej wodzie, gdzie nic już nie dociera. Tylko jeden jedyny głos jest w stanie tam przeniknąć...

- Cara! Słyszysz mnie, cara?!

Stopniowo odzyskiwała przytomność. Przez jej powieki przebijało się światło. Dopiero gdy uświadomiła sobie, że nie jest to płomień pochodni, odbijający się od lodu, zdobyła się na otwarcie oczu.

Leżała na swoim łóżku, w swoim domku, a obok niej siedział blady, wymizerowany Mark. Zaczęła szlochać. Przypadł do niej, ujął głowę i wtulił się ustami w jej włosy.

- Aleś nas wystraszyła, cara!

- Mark...

- Omal nie umarłem ze strachu... Jak mogłaś?! Jak mogłaś nam to zrobić?! Jak mogłaś mi to zrobić?! Wyjść sama, po nocy... Nigdzie cię już nie puszcze... To wszystko moja wina...

- Nie, to nie twoja wina...

- Szukaliśmy cię całą noc. Znaleźliśmy dopiero nad ranem. Całe szczęście, że twoje spodnie narciarskie i kurtka posiadają specjalne funkcje i utrzymują ciepło, w przeciwnym wypadku zamarzłabyś na śmierć...

Westchnął ciężko, aż zadrżało mu jabłko Adama.

- Nigdy więcej nie zostawię cię samej!

Bez ładu i składu zaczął opowiadać jej o tym, jak zaniepokojeni jej długą nieobecnością wyruszyli na poszukiwania: on, Jonasz, ratownicy, a nawet Inka. *{Kochana Inka - pomyślała - moja jedyna przyjaciółka}*. Nad ranem znalazł ją Wład z Jonaszem. Leżała w jakiejś kotlinie, zasypana śniegiem (nocą, jak się okazało, padał śnieg). Nie miała przy sobie ani nart, ani kijków. Jedynie zgniecioną paczkę papierosów, zapalniczkę i klucz od domku. Jej lewa dłoń była silnie poparzona. Najwyraźniej próbowała przypalić sobie papierosa albo rozpalic ognisko...

Olga odruchowo podniosła zabandażowaną rękę.

Sparzyła się pochodnią w potwornej jaskini. A więc to nie był sen! Wszystko to wydarzyło się naprawdę! Nieruchoma twarz Kiriła stanęła jej ponownie przed oczami. Czowała, jakby na krótką chwilę straciła wzrok. Nie widziała Marka. Zadrżała na całym ciele.

- Co ci jest, cara? - nawet jego dłonie nie były w stanie uchronić jej przed zalewającymi ją wspomnieniami.

W końcu zdołała z siebie wykrztusić:

- Pamiętasz mój koszmar, Mark?

Uniósł ze zdziwieniem brwi, co miało oznaczać: „To nie najlepszy moment na zadręczanie się jakimiś snami. Dopiero co miałaś ogromne szczęście, że udało nam się ciebie odnaleźć!”.

- Pamiętasz?

- O czym ty mówisz, cara?

- O wczorajszym koszmarze. Opowiadałam ci o nim. Pamiętasz ludzi z mojego snu? Byli zakuci w lód. Pamiętasz?

- Nie mówmy teraz o tym.

- Musimy. Ponieważ to nie sen. To prawda.

- Prawda? Ale jak to - prawda?

- Widziałam we śnie coś, co istnieje naprawdę... Nie wiem, dlaczego to się stało, dlaczego właśnie to mi się przyśniło... Właśnie ta jaskinia, w której stali ludzie... Ludzie w lodzie... Rozumiesz?

Po jego twarzy przebiegł delikatny uśmiech.

- Rozumiem, że jesteś podenerwowana. Wystraszyłaś się. Wszyscy potwornie się wystraszyliśmy.

- Nic nie rozumiesz, Mark! Naprawdę widziałam nieżywych ludzi. Jednego z nich nawet rozpoznałam. To był Kirił - facet, który zaginął!

- Co za Kirił? O kim ty mówisz?

- Mówi o mężczyźnie zaginionym pod lawiną - tuż obok rozległ się głos, którego miała nadzieję prędko nie usłyszeć.

Odwróciła głowę: w fotelu, niedaleko łóżka siedział Jonasz. Był równie blady i wyczerpany jak jej mąż.

- Nic mi o tym nie wiadomo... - Mark miał gdzieś wszystkie lawiny i wszystkich Kiryłów razem wziętych. Najważniejsze, że jego ukochana była cała i zdrowa.

- Chłopak, którego ciągle szukamy - Jonasz pobladł jeszcze bardziej. - Zaginał przed waszym przyjazdem.

- Co za nonsens! Skoro zaginał jakiś czas temu, to skąd ona może wiedzieć, jak wyglądał? - Mark ponownie zwrócił się do Olgi: - Skąd wiesz, że to akurat on, cara?

- Ze zdjęcia! Ktoś pokazał mi jego fotografię.

- Kto?

- Kobieta, z którą... Która z nim była.

- Natalia - wtrącił się znów Jonasz.

- Z jakiego powodu pokazywała ci tę fotografię?

- Mark! - Jej oczy napełniły się łzami. - Dlaczego rozmawiasz ze mną w ten sposób? Przecież nie jesteś prokuratorem...

Opamiętał się i znów się do niej przytulił.

- Wybacz mi... Wybacz, proszę, po prostu okropnie się bałem. Bałem się, że mogę cię stracić...

- Jeszcze jak się bał! - Jonasz wyszczerzył zęby w uśmiechu. Po raz pierwszy jego uśmiech wydał jej się nieprzyjazny.

- Zamknij się! - uciszył go Mark. - A teraz opowiedz nam wszystko od początku, cara!

Nie było to dla niej takie proste. Wzięła kilka głębokich wdechów, po czym poprosiła Marka, żeby przyniósł wodę.

Dopiero po jego wyjściu odważyła się spojrzeć na Jonasza.

Przeżyty wstrząs przeciął to jej dziwne uzależnienie od młodego ratownika.

- Wyjdź stąd - wyszeptwała.

- Nie - zacisnął zęby, na jego policzkach zadrgały nabrzmiałe mięśnie.

- Wyjdź.

- Uratowałem ci życie. Mogłabyś okazać mi trochę wdzięczności.

Ukryła twarz w dłoniach. Dlaczego Mark tak długo nie wraca? Jonasz, korzystając z okazji, usiadł obok niej, na skraju łóżka. Zajął miejsce jej męża. Czy to przypadkiem nie jest jego główny cel? Zająć miejsce Marka... Jej rozmyślenia przerwał jego niecierpliwy dotyk. Mocno ścisnął jej palce w swojej dłoni. Była gorąca, zupełnie inna niż spokojne, zimne ręce jej męża. Paliła ją tak samo, jak kiedyś jego pocałunki.

Wreszcie wrócił Mark.

- Wypij to, cara.

Jonasz wstał. Starając się unikać go wzrokiem, wzięła szklanke i zaczęła pić małymi łykami.

- Lepiej się czujesz? - zapytał z troską w głosie Mark.

- Tak. Wszystko w porządku.

- Możesz mi powiedzieć, co się tam wydarzyło?

- Tak.

Nadal nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Nagle drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich Inka. Tak samo hałaśliwa, jak zwykle. Odsunęła na bok obu braci, podeszła do Olgi i obsypała jej pobladłą twarz niedbałymi pocałunkami. Pachniała śniegiem, wilgotnymi włosami i radością życia - bez smutku i zmartwień.

- Witaj wśród żywych, Olusza! Chyba oszalałaś! O mało nas do grobu nie wpędziłaś! Co ja bym powiedziała Igorowi?! - trzymając Olgę za rękę, odwróciła się w stronę Marka i Jonasza i pogardliwie wydeła usta. - Faceci! Gnojki przebrzydłe! Opiekunowie od siedmiu boleści! Niezłego masz mężulka, nie ma co!

- Przestań paplać - Mark skrzywił się. - Chociaż raz się przymknij!

- Lepiej byś się zajął swoją żoną, a nie mną! - wybuchła, obmacując twarz Olgi. - Żadnych obrażeń. Moje gratulacje, Olusza! W każdym razie w trumnie będziesz się świetnie prezentować.

- Inka!

- Dobrze już, nic nie mówię. Opowiadaj, co ci się przydarzyło?!

Olgi nie obchodziło, czy słucha jej Inka i Jonasz. Zwraçała się wyłącznie do Marka. Tylko on o wszystkim wiedział: o jej nocnym koszmarze, o Cygance na lotnisku i o jej przepowiedni. Teraz te wszystkie wydarzenia zdawały się łączyć w jeden logiczny ciąg.

- Po prostu chciałam... Chciałam sobie pojeźdźać... W końcu właśnie po to tu przyjechaliśmy, żeby pojeździć na nartach, prawda? - rozpoczęła

beznamiętnym głosem. Świadomie pominęła powód, z jakiego zdecydowała się na ten ryzykowny krok. Wszystko, co dotyczyło Jonasza, nie miało teraz najmniejszego znaczenia.

- Szukałam was.

Mark mocno ją objął.

- Początkowo wszystko było dobrze... Ale później... Później zablądziłam. Zboczyłam z trasy. Było już prawie ciemno. Zgubiłam kijek. Uznałam, że lepiej zdejmę narty, bo tam było skalne podłoże... mnóstwo kamieni. A potem całkowicie przypadkowo odkryłam to miejsce.

Zacząła chaotycznie opowiadać o przerażającej jaskini, o martwych ludziach, których tam widziała, w tym także Kiryła. Tak bardzo chciała, żeby jej uwierzyli. Opisała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Powiedziała o zapalkach zawiniętych w folię, o zadrapaniach na policzku Kiryła, o swojej oparzonej dłoni, o łańcuszku zwisającym z szyi kobiety... Im dłużej mówiła, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Mark i Inka jej nie uwierzą. Ba, sama by sobie nie uwierzyła, gdyby tego nie przeżyła. Jej opowiadanie było zbyt niewiarygodne. „Zbyt barwne, żeby mogło być prawdziwe. Zbyt dużo w nim zbędnych szczegółów” - jak powiedziałby jej ojciec, znany z racjonalnego podejścia do życia.

Kiedy skończyła, zrozumiała, że podpisała na siebie wyrok. Teraz będą ją uważać za wariatkę.

- No i co było dalej? - Inka nie kryła zainteresowania. Uwielbiała horro-ry.

- Nie pamiętam - przyznała uczciwie Olga. - Uciekłam stamtąd co sił w nogach.

- I zostawiłaś narty?

Olga uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd odzyskała przytomność. *Ależ oczywiście! Narty! Jaka ty jesteś mądra, Inka!* Zostawiła swoje narty oparte o skałę obok wejścia do jaskini. Pewnie stoją tam do tej pory. Ich znalezienie nie powinno więc sprawić problemu.

- Zostawiłam je tam, przy jaskini - z trudem udało jej się ukryć triumf w głosie. - Jeśli je znajdziemy, to znajdziemy również wejście.

Mark popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie wierzysz mi? - Nikt inny jej nie obchodził. Dla niej liczyło się tylko jego zdanie. Żeby stanął po jej stronie.

- Nie, dlaczego... - był tak przesadnie ostrożny, tak dobierał słowa, że nagle ogarnęła ją ochota, żeby go uderzyć. - Oczywiście, że ci wierzę, cara... Tylko... hmm... Może to kwestia niefortunnego upadku...

- Chcesz przez to powiedzieć... - wyraźnie się zdenerwowała. - Chcesz powiedzieć, że się przewróciłam i uderzyłam w głowę? I zupełnie postradałam zmysły?!

- Nie... Nie... Ale to wszystko tak dziwnie wygląda... To kompletny absurd...

- Według ciebie sama to sobie wymyśliłam?!

- Stop, stop! - Ince podobała się ta cała sytuacja, puściła nawet oko do Olgi, jakby chciała powiedzieć: „widzisz, Olusza, że nie masz lekko z tym twardo stąpającym po ziemi dupkiem”. - Uspokójcie się, chłopaki! Sprawa jest oczywista. Należy sprawdzić to, o czym opowiedziała nam Olusza.

- Ciekawe, w jaki sposób?

- Mark, gołąbeczku, z takim ptasim mózdzkiem zajmujesz tak poważne stanowisko?! Jak ci się to udało?! Twoja inteligentna żona podsunęła nam pod nos rozwiązanie. Musimy poszukać jej nart. A przy okazji znajdziemy to miejsce. Co ty na to?

- Sam nie wiem... Jeśli to wszystko prawda - wyraźnie zaakcentował ostatnie słowo - to potrzebny jest tu ktoś poważniejszy. Ktoś, kto tu odpowiada za bezpieczeństwo.

- Eee - skrzywił się Jonasz - tego ci u nas pod dostatkiem. Sto czterdzieści kilo żywej wagi.

- Świetnie! - ożywił się Mark. - Trzeba go do nas zaprosić i niech Olga wszystko opowie... To, co nam. Oczywiście, jeśli to wszystko prawda...

Zrobiło jej się smutno. Mark, jej mąż, jedyna osoba, której tak naprawdę ufała, nie wierzy jej słowom. Nikt jej nie wierzy. Nawet Inka. Dla niej ta historia to kolejna okazja do przeżycia ciekawej przygody. Nic poza tym. Ckliwa historia z dreszczykiem i odrobiną pikanterii... okrągłe ziarenka pieprzu na niewinnym białym śniegu... A Jonasz... I on będzie ją teraz uważał za obłąkaną. W końcu zrozumie, co znaczy „kochać wariatkę”. Ale skąd jej w ogóle przyszło do głowy, że się w niej zakochał? A może po prostu tego chce?

- To jedna osoba. Pójdę po nią - powiedział Jonasz.

Wyszedł pospiesznie, jakby chciał przed czymś uciec. Jednak nikt oprócz niej nie zwrócił na to uwagi. Chyba jest już przewrażliwiona na jego

punkcie. Nie ma się mu co dziwić. Kto by chciał wysłuchiwać bredni wygadanych przez rozhisteryzowaną kobietę, która ledwie co doszła do siebie po nocy spędzonej na śniegu?

Podczas nieobecności Jonasza ani Mark, ani Inka nie poruszali tematu nocnych wydarzeń. Marka wyraźnie dręczyła ta sprawa, a dla Inki wszystko było jasne: po załatwieniu formalności czeka ich rozrywkowe popołudnie - wycieczka po narty. A potem niech się dzieje, co chce!

- Która godzina? - Olga przerwała w końcu ciszę.

- Wpół do czwartej, cara.

Wpół do czwartej. Jeśli znaleziono ją rano, to znaczy, że była nieprzytomna około dwunastu godzin - to za długo, nawet jak na stan głębokiej utraty przytomności.

- Tak długo nie mogłam dojść do siebie?

- Nie, nie, odzyskiwałaś przytomność... Kilka razy. Ale na krótko. A później zbadał cię lekarz.

- Lekarz?

- Ależ naturalnie, cara... Przecież tyle czasu leżałaś na śniegu. A tu, ma się rozumieć, są lekarze.

- No i co powiedział? - zapytała zduszonym głosem.

- Że wszystko w porządku. Parę siniaków i otarć, oparzenie... - usiadł obok niej i pocałował obandażowaną dłoń. - No i guz na głowie. Jednak się w nią uderzyłaś.

Pomacała głowę i wyczuła niewielki guz tuż nad skronią.

- Nic mi nie jest - powiedziała z naciskiem.

- I chwała Bogu!

Wziął telefon i zamówił coś do jedzenia. Dopiero teraz poczuła, że porządnie zgłodniała. Normalny objaw - przecież od wczoraj nic nie jadła. Kiedy jednak postawiono przed nią posiłek, nie była w stanie niczego przełknąć. Strach ścisnął jej gardło. Przykre wspomnienia z jaskini odżyły w pamięci i zaczęły wbijać w jej duszę bezlitosne pazury.

Ponownie się rozplakała i Mark znów musiał ją pocieszać. Inka przyglądała się im z lekkim uśmiechem. Przeszła po pokoju, sięgnęła po walizkę i wyjęła z niej nienapoczętą jeszcze butelkę martini.

- No to co, rodzinko, wypijemy za szczęśliwe ocalenie? - i nie czekając na odpowiedź, wprawnym ruchem nalala jasnego płynu do kieliszków.

Mark obserwował jej ruchy z dezaprobatą, jednak mimo wszystko skusił się na alkohol.

- Ja dziękuję - powiedziała smutnym głosem Olga. - Głowa mnie boli.

Rzeczywiście rozbolala ją głowa. Początkowo ból nie był zbyt silny, ale z czasem stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Mark poważnie się zaniepokoił.

- Zadzwońię po lekarza - powiedział.

- Nie, nie trzeba! - Oglądanie kolejnych twarzy i cierpliwe opowiadanie o swoich dolegliwościach było ponad jej siły.

- No dobrze. Skoro tak, to chociaż coś zjedz.

- Nie teraz... Może później.

Żeby jakoś rozładować napiętą atmosferę, Inka przejęła inicjatywę. Pobudzona działaniem martini, opowiedziała im kilka zabawnych historii z życia „Róży Wiatrów”. W ciągu dwóch dni zdążyła poznać masę ludzi, wziąć aktywny udział w pocieszaniu zrozpaczonej Natalii, zapoznać się z zakresem i charakterem pracy ratowników, a nawet otrzymać zaproszenie do udziału w konkursie „Miss Róży Wiatrów”.

- A to co znowu za pomysł? - zdziwiła się Olga.

- Konkurs piękności, Olusza! Konkurs piękności, w którym przypadnie mi główna nagroda. Jeśli chcesz, też możesz wziąć w nim udział.

- Ciekawe, w co się zamierzasz wystroić? - uśmiechnął się drwiąco Mark.

- Niech cię o to głowa nie boli. Strój kąpielowy mam, więc zwycięstwo murowane. Jestem ciekawa, gdzie się podział nasz wesoły towarzysz? Najwyższy czas, żeby się zjawił z tym przedstawicielem prawa - ta uwaga skierowana była pod adresem Jonasza.

Nie zdążyła dokończyć, kiedy rozległo się natarczywe pukanie.

- Zdaje się, że mamy gości - odezwał się Mark, po czym otworzył drzwi.

Momentalnie powstało wrażenie, jakby pokój się skurczył. Wielki jak słoń facet, z trudem mieszczący się w płaszczu, z wciśniętym na głowę kapełuszem, zajął w nim centralne miejsce. Przyszedł sam. Widocznie Jonasz nie uznał za konieczne, aby do nich wrócić.

Góra mięsa przyniosła ze sobą cały zestaw ostrych, drażniących zapachów: wydalana przez skórę koszmarna mieszanka przeróżnych alkoholi, delikatny zapach potu i duszącej wody kolońskiej.

Inka aż gwizdnęła ze zdumienia, po czym w bezceremonialny sposób zaczęła się na niego gapić. Mark zachował znacznie więcej taktu. Odważył się nawet podać rękę tłściochowi.

- Krasiński - przedstawił się.

Mężczyzna odkaslnął, po czym powiedział:

- Pał Pałycz Zwiagincew.

Przybysz omiółł pokój szybkim spojrzeniem. Jego wzrok zatrzymał się na fotelu. Po chwili wygodnie się w nim sadowił. Biedny mebel zaskrzypiał żałośnie.

- No i? - Zwiagincew spojrzał pytająco na Marka. - Co się stało? Proszę mówić.

- Właściwie to przydarzyło się nie mnie, tylko mojej żonie - Mark nie krył swojego rozczarowania. - A pan, przepraszam bardzo, naprawdę jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo w tym ośrodku?

- Mam pokazać legitymację? - odburknął.

- Myślę, że obejdziemy się bez zbędnych formalności - Mark szybko się wycofał.

- W taki razie proszę opowiedzieć, co się takiego stało?

Olga przedstawiła po kolei wszystkie wydarzenia zeszłej nocy. Nalana twarz Zwiagincewa nie zdradzała żadnych emocji. Nie mogła więc stwierdzić, czy poważnie potraktował jej opowiadanie. Za jedno była mu jednak wdzięczna: na jego kamiennej twarzy ani razu nie pojawił się kpiący uśmiech. W którymś momencie odniosła wrażenie, że przestał jej słuchać. Jakby coś odwróciło jego uwagę. Po krótkiej obserwacji odkryła przedmiot jego zainteresowania.

Taca, stojąca na stoliku obok fotela.

A na niej nietknięty przez nią posiłek: kawa, maślane bułeczki w plecionym koszyku i dzbanek z mlekiem.

Wygląda na to, że grubas ma niepokromiony apetyt - pomyślała z irytacją. Zwiagincew natychmiast potwierdził jej przypuszczenia.

- Można? - zapytał dobronudszym tonem, wyciągając tłustą łapę w stronę filiżanki z kawą.

- Ależ proszę - odpowiedział Mark. - Proszę wybaczyć, że od razu nie zaproponowaliśmy.

- Nic nie szkodzi.

- A może martini?

- Martini... - rozpoczął niepewnie - ...w zasadzie to nie piję na służbie. To jest zabronione...

Widać właśnie, jak nie pijesz!

- ...ale kieliszeczek mi chyba nie zaszkodzi...

Zwiagincew wypił, po czym rzucił się łapczywie na maślane bułeczki. Pochlaniał je w błyskawicznym tempie.

- Czyli mówi pani, że widziała siedem trupów? - zapytał obojętnym tonem.

Wzdrygnęła się.

- Tak...

- I wszystkie były wtopione w lód, o ile dobrze zrozumiałem?

- Tak.

- W jednym z nich rozpoznała pani zaginionego Kiryła Pozniakowa?

- Nie rozpoznałam... Rzecz w tym, że nigdy nie widziałam go osobiście. Jak panu zapewne wiadomo, przyjechaliśmy do „Róży Wiatrów” już po jego zaginięciu. Ja tylko... widziałam go na zdjęciu.

- Gdzie widziała pani to zdjęcie?

- Pokazywała mi je jego znajoma. Zwykła fotografia zrobiona polaroidem...

- Jaka znajoma?

- Nie znam jej dobrze. Wiem tylko, że ma na imię Natalia.

- No tak - pociągnął nosem. Na jego twarzy odmalował się wyraz zakłopotania. - Obywatelka Natalia Władilenowna Zapiesocka. A dlaczego pokazywała pani tę fotografię?

- Trudno powiedzieć. Po prostu pokazywała i tyle - nie będzie przecież tłumaczyć temu śmierzdzącemu skunksowi, że kobieta o imieniu Natalia umierała z miłości do Kiryła tak, jak tylko może umierać z miłości podstarzała kobieta.

- A zatem pokazała zdjęcie, a pani zapamiętała twarz.

- To nie było trudne. Jest bardzo przystojny...To znaczy był - poprawiła się natychmiast.

- I twierdzi pani, że na podstawie zdjęcia udało się pani rozpoznać trupa, który znajdował się w jakiejś jaskini?

Trudno chyba wyrazić się w bardziej idiotyczny sposób! Zniecierpliwiona machnęła ręką.

- Tak. Można to tak ująć.

- A kim byli pozostali?
- Nie wiem. Widziałam jeszcze jakąś kobietę i młodego chłopaka. Pozostałym się nie przyglądałam. Nie wystarczyło mi siły i odwagi...

- Czyli znalazła pani ciała i co dalej? - spojrzał na nią pytająco.

- A co by pan zrobił na moim miejscu?

Nic byś nie zrobił, stary ośle. Nie, nie stary ośle! Stary tchórze, stary zboreźniku w kapeluszu z filcu, zdziczały mamucie, kaszalocie na zasłużonym odpoczynku! Nie precisnąłbyś swojego cielska przez taką wąską szczelinę!

- Ja tu jestem od zadawania pytań.

- Proszę wybaczyć, ale żona... - Mark uznał za konieczne stanąć w jej obronie - przeżyła wstrząs nerwowy... Prosiłbym o większą wyrozumiałość i uprzejme traktowanie.

Zwiagincew nie zareagował na jego słowa. Strzepnął z płaszcza okruszki do jednej dłoni i zręcznym ruchem umieścił je w ustach. Po czym stracił całe zainteresowanie Olgą i jej historią. Taca bowiem opustoszała i nie było już nic do jedzenia.

- No cóż, na początek powinniśmy obejrzyć to miejsce.

Wow! Co za odkrywczą myśl!

- Zdoła je pani wskazać?

- Nie wiem... Było dosyć ciemno. W ogóle nie znam tych terenów... Ale obok jaskini zostawiłam narty. Można ich poszukać. Poza tym pozostały ślady na śniegu...

- Wątpliwa sprawa. W nocy intensywnie padało, więc pani ślady raczej się nie zachowały.

No pewnie, że wątpliwa sprawa! Zwłaszcza że musiałbyś ruszyć swoje grube dupsko.

- Ale możemy znaleźć narty - nie dawała za wygraną.

Kątem oka zauważyła, że Mark się skrzywił. Cały ten pomysł od początku mu się nie podobał.

- A chociaż dobre te narty? - zapytał nagle Zwiagincew.

- Bardzo dobre - odpowiedział za nią Mark. - Fischer Radare, jeśli to coś panu mówi.

- Coś mi to mówi... Ale jestem pewien, że może już pani o nich zapomnieć.

- To znaczy?

- To znaczy, że takie narty już dawno ktoś ukradł. Na sto procent!

- A co, wcześniej zdarzały się podobne incydenty?
- Wszystko już bywało. Ale żeby siedem trupów za jednym zamachem...
To już, za przeproszeniem, lekka przesada.
- Czyli nie zamierza się pan tym zająć? - podniosła głos.
- Nie, dlaczego... - powiedział bez najmniejszego entuzjazmu. - Mamy w obowiązku sprawdzanie wszelkich niepokojących sygnałów, które do nas docierają.
- Kiedy?
Podrapał się po niedogolonej brodzie.
- A jak się pani czuje?
- Świetnie.
- Cieszy mnie to - obrócił się całym cielskiem w stronę stolika, na którym stała butelka martini i bez pardonu nalał do swojej brudnej filiżanki po kawie kolejną porcję alkoholu.
- Mogę z panem iść choćby zaraz.
- Nikt nie wymaga od ciebie takiej ofiary, cara - stwierdził łagodnie Mark.
- Ofiary już są... w ludziach! Czy to do ciebie nie dociera, Mark?! - spojrzała na niego z rozpaczą.
- Dobrze już, dobrze, uspokój się!
- Chryste Panie, o jakim spokoju może być tu mowa?!
- Przepraszam panią... Pani ma na imię Olga, o ile się nie mylę?
- ochroniarz dopił martini i westchnął z zadowoleniem. - Pani mąż ma rację. Nie ma co się tak gorączkować i martwić na zapas. Będziemy działać rozważnie. Zbiorę teraz chłopaków. Tych, którzy nie są zajęci. Przeczeszymy okolicę, w miarę możliwości. Wszystko sprawdzimy i jakby co, później złożę pani pisemne oświadczenie. Jakieś uwagi?
- Nie.
- No to świetnie. W takim razie za jakąś godzinę proszę się zjawić przy wyciągu, jeśli czuje się pani na siłach.
- Już panu mówiłam...
- Pamiętam, pamiętam. Przynajmniej znajdziemy pani narty - dobre i tyle. Może są państwo bogaci, ale mimo wszystko nie powinno się tak tego zostawiać. Szkoda, żeby przepadł taki dobry sprzęt, no nie?
- Ale co tu mają do rzeczy narty? Naprawdę nie zrozumiał pan, o czym mówiłam?!
-

- Na razie niech pani nabiera sił - puścił jej uwagę mimo uszu, rzucił tęskne spojrzenie na niedopite martini, ociężale podniósł się z fotela i ruszył w kierunku wyjścia.

Mark błyskawicznie znalazł się przy drzwiach, otworzył je, przepuścił ochroniarza i zaraz za nim wyszedł. Dziewczyny zostały same.

- Co za typ! - syknęła Inka, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.
- Kawał drania - wycedziła przez zęby Olga. - Stary, arogancki palant!
- Nie mogę się z tobą nie zgodzić, Olusza. Głowa jeszcze boli?
- Trochę.
- Chodź, napijemy się.
- Nie, nie chcę.
- Jesteś pewna?
- Czego? Że nie chcę pić tego perfumowanego obrzydlistwa? Absolutnie.
- Nie... że to wszystko widziałaś.
- Inka!
- Sorry, sorry... Ja bym po prostu zwariowała! Mówisz, że byli bez ubrań?! Kompletnie nadzy?! - w jej głosie słychać było jedynie zwykłą dziecięcą ciekawość.

Olga doskonale pamiętała to podekscytowanie, kiedy w piątej klasie pokazywały sobie rosnące piersi. Wtedy Inkę też zżerała ciekawość, która z nich ma większe.

- Przestań! - powiedziała z wyrzutem.
- Dobrze już, dobrze.
- Ciekawe, gdzie się podziewa Mark? - Olga wstała. Momentalnie zakręciło jej się w głowie. Podłoga zaczęła kołysać się pod jej nogami, jakby była na pokładzie dryfującego statku, opuszczonego przez załogę - chyba rzeczywiście uderzyła się w głowę.

Podeszła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała na zewnątrz. Mark ze Zwiagin-cewem stali na ganku. Grubas trzymał w ustach oślinionego taniego papierosa i uważnie, słuchał jej męża. A on... mówił okropne, zatrważające rzeczy...

- Nie przywiązywałbym większej wagi do jej słów... Proszę mi wierzyć, dobrze znam swoją żonę. Jest hmm... że tak się wyrażę, obciążona genetycznie. Jej matka była umyślowo chora. Nigdy przedtem nie było żadnych

objawów, ale szczerze mówiąc, spodziewałem się czegoś podobnego.

Olga stała w bezruchu, trzymając się zbielepalymi palcami futryny. Czy naprawdę jest zdolny do takiego świństwa i ot, tak sobie zdradza ich rodzinną tajemnicę temu tłustemu flejtuchowi, którego widzi po raz pierwszy w życiu?!

Na szczęście Mark nie posunął się aż tak daleko, żeby opowiadać historię nieszczęsnej Manany.

- Przyśnił jej się koszmar - ciągnął dalej, patrząc Zwiagincewowi prosto w oczy. - Wczoraj... Chyba... Tak, wczoraj. I ten koszmar całkowicie pokrywa się z tym, co opowiada. Ci sami ludzie zakuci w lód, te same chwile grozy, które przeżyła... Rozumie pan, o czym mówię? Ten jej upadek... Uderzyła się w głowę... Niestety, nie wiem, na ile silne było to uderzenie. Być może to właśnie ono wywołało jakieś halucynacje...

- A wcześniej nic takiego się nie zdarzało?

- Nie - przynajmniej nie kłamał. - Nigdy... Ale ostatnio... Tak się jakoś dziwnie składa, że... przypadkowo spotyka tajemnicze osoby... a te raczą ją dziwnymi przepowiedniami... Ma bardzo słabą psychikę. Jest podatna na sugestię. Może po prostu przeprojektowała swój koszmar...

- Słucham? - Grubas miał idiotyczny wyraz twarzy.

- Dokonała projekcji psychicznej. No, jak by to powiedzieć, przeniosła swój koszmar senny do realnego świata. I teraz usiłuje nas przekonać, że to prawda...

- No, dobrze, a Kirył Pozniakow? - zapytał w zamyśleniu Zwiagincew. - Przecież utrzymuje, że go widziała.

- To jest łatwe do wytłumaczenia. Ktoś faktycznie pokazał jej fotografię. Podświadomie zapamiętała twarz... Przecież nie zawsze wiemy, co się dzieje w naszej podświadomości, prawda?

- No i?

- Może wydaje jej się, że w ten sposób rzeczywistość będzie wyglądać bardziej przekonująco... To bardzo delikatna natura. Rozumiem wszystko, ale żeby ganiać ludzi po górach tylko dlatego, że wzięła swój sen za rzeczywistość... Naprawdę bardzo się o nią martwię...

- A narty? - tłusciuch zapytał zniecierpliwiony.

- A co tu mają do rzeczy narty?

- Ile kosztują?

-

- A co za różnica? No... około siedmiuset dolarów.

- No właśnie, czyli musimy je znaleźć. To sprawa honorowa. Nie możemy dopuścić do tego, żeby państwo opuszczali „Różę Wiatrów” z poczuciem, że goście nie są tu traktowani w należyty sposób. Zawsze dbamy o dobro i interesy swoich klientów, rozumie pan?

- E tam, do czorta z nartami! Nie rozumie pan, że dla mnie najbardziej liczy się zdrowie żony?!

- Żona żoną, a strata stratą.

- Nie chciałbym utwierdzać jej w tych chorobliwych fantazjach. Nie chciałbym, żeby przeżyła traumę...

- Zapomniałeś dodać „panie doktorze” - Olga pchnęła drzwi.

Wypielegnowana twarz Marka skrzywiła się w grymasie zaskoczenia. Wyglądał jak drobny złodziejasek przyłapany na gorącym uczynku.

- Przed kim ty się tak wywnętrzasz, Mark? Przecież on nie jest psychiatrą! Lepiej byś porozmawiał na ten temat z tutejszym lekarzem! Może jemu udałoby się wstawić mi piątą klepkę! I podpowiedziałby ci, w jakim kaftanie bezpieczeństwa będzie mi najlepiej!

- Cara!

- Jak śmiesz?! Jak śmiesz traktować mnie jak wariatkę?!

- To nie tak... Po prostu się martwię... Nie mogę się pozbierać po tym, co się z tobą działo! Chciałbym tylko, żebyś odzyskała spokój...

- Będę spokojna, kiedy jeszcze raz to wszystko zobaczę... I kiedy mi uwierzycie. Dlaczego mi nie wierzycie?!

- No, to... - Zwiagincew przerwał ich rozpaczliwą kłótnię - ja już chyba pójdę. Nie lubię scen małżeńskich. Przejadły mi się... A na panią, jeśli nie zmieniła pani zdania, czekam za godzinę przy wyciągu. Poszukamy...

Ten grubas nie jest wcale taki zły, cokolwiek miał na myśli, mówiąc „poszukamy”. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Przyjdę, na pewno.

- To świetnie.

Ocieżałym krokiem, kołyszac się z boku na bok, zszedł ze schodów. Olga zmierzyła męża pogardliwym spojrzeniem i wróciła do domku. A Mark, jak zbity pies, ruszył za nią.

* * *

Godzinę później Olga stała już przy wyciągu. Wybrała się na poszukiwania w nowym kombinezonie narciarskim, który mąż kupił jej na krótko przed przyjazdem do „Róży Wiatrów”: jasnoniebieski z białymi wstawkami. Mark cieszył się z tego zakupu jak dziecko, gdyż po pierwsze, był bardzo lekki i dawał się zwinąć w niewielką paczuszkę. A po drugie...

- Cholernie ci w nim do twarzy, cara! Jesteś nieprzyzwoicie piękna... - powiedział, kiedy mu się w nim zaprezentowała. - Nikt nie będzie mi mógł zarzucić braku gustu...

Zdecydowała się go założyć tylko dlatego, że nie miała siły ani ochoty patrzeć na stary kostium, który był świadkiem nocnych wydarzeń.

Przez cały czas nie odezwała się do Marka ani słowem. On również nie próbował do niej zagadywać. O Boże, to ich pierwsza sprzeczka w ciągu dwóch i pół roku małżeństwa!

I to nie z powodu wyboru koloru krawata czy też kroju marynarki. Nie poszło nawet o to, że jej podoba się arystokratyczny pechowiec - César Vallejo, a jemu - Steven King na kasetach z licencją.

Uważają za wariatkę. Za schizofreniczkę, za nieszczęśliwą następczynię biednej Manany. Jego sprawa! Niech myśli, co chce! Jeszcze tego kiedyś gorzko pożałuje!

Wrócili do domku z ponurymi minami. Inkę w jednej chwili wymiotło z pokoju. Nie uśmiechało jej się dalsze przebywanie w ich towarzystwie. Okazało się, że spędzenie całej godziny w jednym pomieszczeniu z osobą, którą się kocha, a jednocześnie jest się na nią wściekłym - to wcale nie taka prosta sprawa. Ale Olga poradziła sobie z tym trudnym zadaniem. Złość dodawała jej sił.

Mark, żeby nie siedzieć beczynnie, włączył komputer.

Ona zaś leżała na łóżku, zwinęta w kłębek z podciągniętymi pod brodę kolanami. Nie odezwie się do niego pierwsza. Za nic w świecie!

Ledwo udało jej się dotrzeć do wyznaczonego spotkania.

Ubrała się, ciskając mężowi ogniste spojrzenia. Miała nawet czelność wziąć jego narty, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że są dla niej za duże.

Zwiagincew dreptał już w pobliżu wyciągu. Po kilku minutach dołączyli do nich Jonasz z Władem. Inka, jak można się było tego spodziewać,

pojawiła się dosłownie w ostatniej chwili. Wszyscy z wyjątkiem Zwiagincewa mieli ze sobą narty. Speszony grubas ścisnął w rękach wielką okrągłą deskę z rączką - potocznie nazywaną „dupolotem” lub „ślizgaczem” - prymitywny wynalazek do zjeżdżania po śniegu na tyłku.

- Ma pan imponujący sprzęt! - nie omieszkała zadrwić Inka.

- Nie przepadam za nartami - uśmiechnął się nieśmiało. - Zakładam je tylko w ostateczności. Tak więc wybaczcie starcowi.

- Nie ma sprawy - czasami i ona potrafiła się odpowiednio zachować. - Najważniejsze, żeby panu było wygodnie.

- No to co, ruszamy? - zapytał, stojąc na czele ich małej zaimprovizowanej ekipy poszukiwawczej.

Kiedy już wsiadali do kolejki, dogonił ich zziębnięty Mark. Był bardzo poważny. Bez słowa, nie patrząc nawet w stronę żony, usiadł obok swojego zatwardziałego wroga - Inki - i przez całą drogę milczał.

Olga usiadła obok Zwiagincewa, a Jonasz i Wład stanęli tuż przy wejściu.

Inka przyczepiła się do Włada. Zapewne zwiędziała świeżą męską krew.

- Ma pan pewnie trudną pracę?

- Praca jak praca - ratownik nie był zbyt rozmowny.

- A dlaczego jesteście tylko we dwóch? O ile się nie mylę, wasza grupa liczy pięć osób?

- Reszta nie mogła.

- Szkoda - po jej twarzy przemknął cień smutku, bo jak zawsze chciała by mieć przy sobie jak największą ilość mężczyzn. - Nie mogli, czy nie chcieli?

- Nie mogli.

Poniósłszy porażkę na tym polu, zmieniła temat rozmowy.

- Czy ktoś już panu mówił, że ma pan bardzo męską twarz?

- Nie.

- A że ma pan profil wikinga?

- Nie.

- Takich mężczyzn, jak pan, powinno się klonować. To byłaby wielka szansa dla ludzkości.

Wobec uporczywego milczenia Włada, Inka straciła wszelkie zainteresowanie jego osobą.

Chwilę później Olga wychyciła to spojrzenie.

Spojrzenie pełne tłumionej czułości. Wciągało ją niczym otchłań. Nie miała siły mu się oprzeć. Jonasz! Oczywiście, że to Jonasz! A któż by inny?! Wciąż o nią walczy. „Czy naprawdę nie widzisz, co się między nami dzieje?” - pytały błagalnie jego czarne oczy. Z trudem oderwała się od tego przesywającego wzroku, by już w następnej chwili spotkać inne spojrzenie - tym razem pełne skruchy.

Mark.

Widać, że jest mu wstyd za tę ohydłą scenę ze Zwiagincewem. Tym bardziej że Olga była świadkiem ich rozmowy. Spuściła wzrok. Poczula dziwny smutek. Była rozbita wewnętrznie. Ale się narobiło! Niezły trójkąt! Co za fatalny łańcuch zdrad: ona zdradza Marka, Mark zdradza ją, a Jonasz - ich oboje.

Rozmowa się nie kleiła i wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy wreszcie dotarli na szczyt. Zwiagincew przeprowadził krótką naradę.

- Działamy w następujący sposób. Pokaże nam pani teraz miejsce, z którego rozpoczęła pani zjazd. Pamięta pani to miejsce, pani Olgo?

- Tak - jakże mogłabym zapomnieć!

- Zjedziemy tam i przeszukamy teren.

- A czego mamy szukać? - zapytał Wład.

- Na dobry początek - nart. Mamy duże szanse na ich odnalezienie, bo w tych rejonach mało kto się kręci, z powodu ostrych skał - ochroniarz wyraźnie orientował się w topografii terenu.

Wład miał taką minę, jakby zjadł cytrynę.

- Czegoś tu nie rozumiem... Całe to zamieszanie z powodu jakichś pierdzielonych nart?!

- Wład, tu są kobiety! - zbeształ go Zwiagincew. - Prosiłbym bez takich.

- Nie będę brał w tym udziału.

W tym momencie stała się rzecz niesłychana. Ochroniarz z niespotykaną dla siebie zwinnością przyskoczył do niego i chwycił go za brodę.

- Może trochę szacunku dla starszego, co, Wład?

Ratownik momentalnie zrobił się czerwony na twarzy.

- Puszczaj! - wysyczał. - Puszczaj, do jasnej cholery!

- Prosiłem przecież, żebyś się odpowiednio wyrażał! - krzyknął Zwiagincew, ale mimo wszystko rozluźnił uścisk.

- Dobrze - pocierając brodę, Wład odszedł na bezpieczną odległość i rzucił na głos: - Dupek!

Nie zwracając na niego uwagi, ochroniarz podszedł do Olgi.

- Gdzie zaczęła pani zjazd?

- Obok trzech skał.

- Aha, „Północna Rotunda”. Wiem, gdzie to jest. Ruszajmy!

I, nie czekając na resztę, poszedł we wskazanym kierunku.

- Barwna osobowość - wyraziła swoje uznanie Inka. - Trochę podretuszować i można pokazywać w cyrku. Za pieniądze. Mark, gołąbeczku! Nie chciałbyś zatrudnić w firmie tego miłego pana w charakterze szefa ochrony? Przepłoszyłby wszystkich szpiegów.

- Spóźniłaś się, Inka. Zatrudnił go już jako rodzinnego psychiatrę - rzuciła kąśliwą uwagę Olga.

- Przestań! - Mark nie wytrzymał, poprawił okulary i ruszył za Zwiagincewem.

Po kilku minutach wszyscy oprócz ochroniarza znaleźli się przy skałach.

Jeszcze przez jakiś czas musieli na niego czekać, ponieważ w odróżnieniu od nich pokonywał drogę pieszo. Jonasz zatrzymał się przy Oldze i cicho zapytał:

- Zjeżdżałaś stąd?

- Tak.

- Spadłaś ze skalnego tarasu?

- Tak. Ponieważ nikt mnie nie nauczył, jak się należy zatrzymać.

- Mogłaś się zabić - w jego głosie dała się słyszeć spóźniona troska.

- Mogłam się zabić, mogłam zamarznąć na śmierć... Jakie to ma teraz znaczenie, skoro nic się nie stało? Przynajmniej mnie.

- Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

- Nikt ci nie mówił, że się zbytnio narzucasz?

- Nie.

- No to będę pierwsza.

W końcu na horyzoncie pojawił się Zwiagincew. Nieodłączny element garderoby - kapelusz - miał zsunięty na tył głowy, a spod niego spływały strużki potu. Twarz miał czerwoną z wysiłku. A może od regularnego zagładania do kieliszka...? Olga popatrzyła na niego z niespodziewaną litością. Z pewnością nie tak łatwo jest taszczyć sto czterdzieści kilo pod górę. Na

takie nagle akcje powinien zakładać specjalistyczne buty do chodzenia po śniegu.

Nocne opady śniegu znacznie utrudniały im zadanie, jednak ochroniarz był pełen optymizmu.

- To co, zorientujemy się w terenie? - zwrócił się do Olgi.

- Przeleciałam przez skalny próg - powiedziała, z obawą spoglądając w dół. *Naprawdę zdecydowałam się na to z własnej nieprzymuszonej woli?!*

- I pędziłam dalej po zboczu. A później zobaczyłam sosnę i przy niej się przewróciłam. Pewnie właśnie tam zgubiłam kijek.

- Świetnie. Sosna będzie naszym punktem orientacyjnym. Od niego zaczniemy - podrapał się po zarośniętym policzku. Jakoś nigdy nie miał czasu na dokładne golenie, a stara, dobra maszynka marki Berdsk zostawiała po obu stronach meszek - żalną imitację bokobrodów.

- Ruszajcie w dół i poczekajcie tam na mnie.

- A pan, szefie? - Wład miał wreszcie okazję się odegrać. Pomścić urażony honor swojej brody. - Może byśmy tak razem, co?

- E, nie... Wam, młodym, wydaje się, że wszystko wam wolno. Nie musicie się przejmować starymi...

- Mogę panu pomóc.

- Powiedziałem - nie ma takiej potrzeby.

Wład roześmiał się szyderczo i jako pierwszy zniknął im z oczu. Za nim ruszyli pozostali. Mark już po chwili znalazł się obok Olgi.

- Będę cię ubezpieczał, cara! - powiedział pojednawczym tonem.

- Szkoda, że wczoraj tego nie zrobiłeś.

- Wybacz mi - jego twarz wyrażała skruchę. - Wybacz, proszę... Ja... Sam nie wiem, jak tak mogłem. Martwię się o ciebie...

- Już w porządku - pocałowała go i o mały włos nie zaplątały im się narty. Jego usta były zimne i beznamiętne. Czy już zawsze będzie ją dręczyło wspomnienie pocałunków Jonasza? Zadrżała na samą myśl o nim.

- Chciałbym, żeby między nami wszystko było jak dawniej.

- Też bym chciała, żeby wszystko było jak dawniej. Nawet nie wyobrazasz sobie, jak bardzo - nigdy dotąd nie wkładała w słowa tyle wiary i nadziei.

Zdążyli już przeszukać cały teren wokół sosny, kiedy wreszcie na horyzoncie pojawił się ciemny punkt. W szybkim tempie zbliżał się w ich stronę.

Po chwili wyjaśniło się, kto się kryje za owym punktem. Pał Pałycz we własnej osobie! Niesamowity obrazek! Ochroniarz pędził przez zasy py jak burza. Jego potężne dupsko ledwie mieściło się na biednym ślizgaczu.

- Niczego ci to nie przypomina, Olusza? - zachichotała Inka.

- A co miałyby mi niby przypominać?

- Ambitny film *Hotel pod poległym alpinistą*. Tak mniej więcej poruszali się w nim kosmici.

- Kosmici poruszali się na robotach, a nie na własnych tyłkach - poprawił Inkę dbający zawsze o szczegóły Mark. - Ale ogólnie masz rację. To wygląda bardzo podobnie.

Zwiagincew dziarsko podjechał do sosny i nawet udało mu się na nią nie wpaść. Zatrzymał się, ale nie próbował wstać. Pierwsze co zrobił, to wyciągnął z kieszeni piersiówkę i opróżnił ją do dna.

- I jak? - zapytał wreszcie.

- Wszyscy w komplecie. Czekaliśmy tylko na pana, szefie - powiedział Wład. - Może pomóc?

- Nie, nie trzeba.

Podniósł się z trudem i natychmiast zabrał się za prowadzenie działań śledczych.

- Czyli twierdzi pani, że w tym miejscu zboczyła pani z trasy? Na lewo?

- Tak.

- I dotarła pani aż pod tamte skały?

- Tak. Tam zdjęłam narty i niosłam je dalej w rękach.

- A wy gdzie znaleźliście poszkodowaną? - zwrócił się do Jonasza, ignorując całkowicie Włada.

- Szliśmy od drugiej strony. Od „Róży Wiatrów”.

- Aha. No to ze zlokalizowaniem tego miejsca nie powinno być większego problemu. Chodźmy zatem.

Narty znalazły się po pół godzinie. Właściwie nie musieli ich nawet zbyt szukać. Wystarczyło zbliżyć się do skał. Stały w tym samym miejscu, w którym je zostawiła. Były tylko lekko przyprószone śniegiem.

- Niech nikt się nie zbliża! - rozkazał donośnym głosem Zwiagincew, po czym podszedł do skały, masując po drodze obity tyłek. - Tylko poszkodowana.

Dlaczego uporczywie nazywa ją poszkodowaną? - pomyślała z irytacją. Teksty: „zidentyfikować poszkodowaną”, „ustalić tożsamość poszkodowanej” z daleka zalatywały formaliną, sekcją zwłok i bezimienną mogiłą na zapuszczonym miejskim cmentarzu.

Teraz, kiedy była tak blisko potwornej jaskini, ugięły się pod nią kolana. Na szczęście Mark ją podtrzymał.

- Wesprzyj się na moim ramieniu, cara - szepnął jej do ucha. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Pomogę ci.

- Tylko poszkodowana! - zdecydowany głos Zwiagincewa zatrzymał Marka na miejscu.

- *Nie martw się* - posłała mu pokrzepiający uśmiech. Ochroniarz czekał na nią przy skale.

- No i? - zapytał zniecierpliwiony. - To tutaj?

- Tak. Tutaj siedziałam... Tylko z jakiegoś powodu nie zostały żadne ślady.

- Śnieg. Siła wyższa. Długo tu pani siedziała?

- Nie wiem... Nie miałam zegarka.

- I tak po prostu bezczynnie pani siedziała?

- Nie. Palłam papierosa.

Zwiagincew, wpatrujący się dotąd w biały śnieg, z trudem nachylił się do przodu, przez chwilę grzebał w powstałej przez noc zaspie, po czym podniósł mokry niedopałek. Następnie z przepastnej kieszeni płaszcza wyjął okulary ze zwisającym sznurkiem. Nasadził je na mięsisty nos i zaczął oglądać znalezisko.

- Taaak... Papieros marlboro. To pani?

- Tak. Palłam marlboro.

- Znakomicie. Poznaje pani to miejsce? I narty?

- Tak.

- A niedopałek?

- O co panu chodzi? Do czego pan zmierza? Zdjął okulary i wepchnął je z powrotem do kieszeni.

- Wobec tego przystąpmy do drugiej części akcji - powiedział surowym tonem. - Czyli utrzymuje pani, że zupełnie przypadkowo odkryła przejście, które zaprowadziło panią do jaskini pełnej zwłok?

Jego oschły, beznamiętny głos czynił całą sytuację jeszcze bardziej nierealną. Olga czuła się jak drobna złodziejka, która ukradła słoiczek musztardy w supermarkecie.

- W takim razie proszę pokazać mi to swoje wejście.

Nie musiał jej dwa razy powtarzać. Ukucnęła i zaczęła obmacywać ziemię u podstawy skały. Po pięciu minutach zapytał ze współczuciem.

- No i co? Znalazła pani?

- Nie.

- Ach, tak. Za dnia nie może pani znaleźć, a po ciemku je pani znalazła? - w jego głosie słychać było drwinę.

- Proszę mi pomóc! - powiedziała, zaciskając zęby. - Dobrze pamiętam, że wejście było właśnie tutaj.

- Wygląda na to, że bardzo się od tamtej pory zmniejszyło. Albo coś się pani pomyliło.

Zdenerwował ją jej ton.

- Pomylić to się można przy naliczaniu rachunku za energię elektryczną! Albo ustalaniu ojcostwa przyszłego dziecka!

- Niekoniecznie - spojrzał na nią nieufnie.

- Dobrze pamiętam to miejsce! - wrzasnęła zrozpaczona.

- Proszę się uspokoić! Rozumiem pani zdenerwowanie. Zaskoczyła panią noc w górach, a to niezbyt przyjemne. Zwłaszcza dla kobiety. Musiało kosztować to panią sporo nerwów... Przeżyła pani coś w rodzaju wstrząsu psychicznego. To zupełnie naturalne i zrozumiałe. Ale mamy tu wspaniały klimat. Wypocznie pani. Dobrze, że ma pani takiego fantastycznego męża. Tak się o panią martwi...

- Bierze mnie pan za wariatkę?

- Broń Boże! - zakasłał. - Jak mogła pani tak pomyśleć?

- Normalnie! - popatrzyła na niego z nienawiścią. - Niech się pan nie kępuje i powie mi to prosto w twarz!

- Nie mam prawa. Jest pani naszym gościem, a klientów „Róży Wiatrów” nie mamy zwyczaju krytykować. To pierwsza zasada, której trzyma się nasz personel.

Trzeba się było ugryźć w język. Jego słowa były dla niej kolejnym ciosem. Oczywiście, że jej opowiadanie o jaskini w połączeniu z odpowiednim komentarzem Marka nie mogło być inaczej odebrane. Teraz ten dziad roztrąbi wszystkim, że niezrównoważonej paniusi przywidziały się koszmary.

Usiadła na śniegu i znów zaczęła kopać u podnóża skały.

- To niemożliwe! Przecież doskonale pamiętam... Było tutaj... było...

Niech mi pan pomoże, do diabła!

- Czy wtedy się pani uspokoi?

- Tak.

Ostrożnie osunął się obok niej na ziemię. Uderzył ją mocny zapach alkoholu.

- A picie alkoholu w pracy jest dozwolone? To pewnie drugi punkt regulaminu dla personelu „Róży Wiatrów”?!
Przemilczał jej kąśliwą uwagę.

Centymetr po centymetrze, rozrzucając na boki śnieg, obszukali cały teren wokół tej i sąsiednich skał. Po dziesięciu minutach bezskutecznych poszukiwań usiedli, aby odpocząć. Z propozycją zrobienia przerwy wystąpił Zwiaginiec. Usadowił się wygodnie na śniegu, jak w imperatorskiej łoży w operze. Wyjął paczkę bielomorów, wyciągnął z niej dwa papierosy i jednego podał Oldze.

- Przerwa na papierosa?

- Nie palę takich - odpowiedziała wyniośle.

- Też nie palę. Od jakiegoś czasu. Przerzuciłem się na fajkę - tańsze i mniej szkodliwe dla środowiska. Ale skończył mi się tytoń, a po nowy trzeba jechać aż do miasta. Póki co, nie było okazji... więc trzeba się zadowolić tym, co jest pod ręką.

Odwróciła się. Nie miała siły wysłuchiwać jego gadaniny. Jednak nie zamierzał się poddawać. Zanurzył rękę w kieszeni płaszcza i wyciągnął stamtąd lepki cukierek, cały w tytoniowych paprochach, z przyklepionym z boku biletem tramwajowym. Udało mu się oderwać spory kawałek, jednak niewielka jego część na amen przyczepiła się do pomiętego czerwonego papierka.

- To niech pani weźmie chociaż cukierka.

- Dziękuję, nie chcę.

- Niech pani weźmie i nie gniewa się na staruszka - powiedział błagalnym tonem.

Zerknęła na niego kątem oka. Stary, biedny, zaniedbany grubas. W końcu zgodził się tu z nią przyjść i w dodatku zebrał ekipę. A mógłby przecież od początku potraktować ją jak wariatkę...

- Dziękuję - przyjęła nieszczęsny karmelek, ale zamiast zjeść, wsunęła go do górnej, zewnętrznej kieszeni kombinezonu. - Potem zjem... Na pewno.

- To co? - odezwał się po chwili. - Może wystarczy na dzisiaj?

Oparła się o kamień i zwiesiła głowę na kolana. *Niczego tu nie znajdą - to pewne. Ale przecież wszystko to działo się naprawdę!*

A może jednak nie?

A może oni wszyscy mają racje? Mark, pasibrzuch, Jonasz, Inka...

Może dało o sobie znać szaleństwo odziedziczone po matce? Może za bardzo uchyliła drzwi do swojej duszy i centralne miejsce zajął w niej Pantheon martwych lodowatych bożków? Miasto śmierci, jakże niepodobne do Wenecji. Zatrudni się tam jako przewodnik w biurze turystycznym. Będzie otrzymywać skromną pensję i talon na bezpłatne obiady. Miasto duszy, nękanie chorobą - brzmi całkiem nieźle. Zupełnie w stylu Cesara Vallejo...

- Chodźmy - powiedział łagodnie Zwiagincew. - Nie powinna pani siedzieć na śniegu, jeszcze się pani, nie daj Boże, przeziębi.

- Nie wierzy mi pan?

Dyplomatycznie przemilczał to pytanie.

- Chciałabym wiedzieć, czy ktokolwiek mi wierzy? Nie mogłam sobie tego przecież wymyślić, na Boga! Nie mam tak bogatej wyobraźni...- zająknęła się.

A jej sen?

Ludzie w jaskini byli podobni do ludzi z jej snu. Nie z wyglądu, lecz... tak samo wiało od nich przejmującym chłodem i zgrozą... I przerażeniem...

Wszystko było czytelne i jasne jak stara sprawdzona teoria doświadczonych psychiatrów: ludzie są nieobliczalni w swoich snach, bezkarnie dokonują wszelkich czynów i łatwo godzą się z ich irrealnym charakterem. Szaleństwo zawarte w snach jest ekscytujące. Traktuje się je jak niewinny żart, tym bardziej że równo o ósmej czeka nas ocalenie - odgłos budzika.

A jeśli nie zadzwoni? Co wtedy?

Jeśli się nie obudzi? Czyżby naprawdę była skazana na wieczne błądzenie w pogrążonym w mroku labiryncie i za każdym razem trafiać będzie na odłamki lodu? Odłamki, które były niegdyś ludźmi...

Ogarnął ją strach.

- Gdzie pani odpłynęła? Nie słucha mnie pani - ciągnął ją za rękaw.
- Przepraszam.
- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej zapomni pani o tym przykrym incydencie. Każdemu mogło się to przydarzyć. Jest pani po prostu przemęczona.

- No, nie wiem... Być może.
- W każdym razie, minimum programowe zostało zrealizowane: znaleźliśmy narty. Chodźmy, powiemy o tym pozostałym. Na pewno się ucieszą.

Przyjrzała mu się uważnie. Stary pijaczek okazał się nad wyraz taktowny. Nie chcąc ranić jej uczuć, położył szczególny nacisk na znalezienie drogich nart. Sprawna akcja...

- Ma pan książkę skarg i zażaleń? - zapytała niespodziewanie.
- Słucham?
- Chciałabym wyrazić wdzięczność w związku z pomyślnie zakończoną akcją o kryptonimie „Narty Radare”. Nie ma pan nic przeciwko temu?
- Lepiej kiedyś przy okazji postawi mi pani piwo. Czasem zaglądam do „Richarda Bacha”.

Mogę się złożyć, że przesiadujesz tam każdego wieczoru!

- Zgoda. Postawię panu piwo. Przy okazji. Jeszcze raz przepraszam, że pana fatygowałam. I proszę zapomnieć o tym wszystkim, co wygadywałam o jaskini. Chyba naprawdę jestem przemęczona.

- Już zapomniałem - zapewnił gorliwie.

Wstała i wolnym krokiem podążyła w stronę poszukiwaczy przygód, którzy czekali na nich przy sośnie.

- No i jak? - zapytał ze zniecierpliwieniem Mark.
- Wszystko w porządku - odpowiedziała markotnym głosem. - Znaleźliśmy twoje siedemset dolarów. Nie martw się.

- A to, o czym opowiadałaś? Jaskinia, pochodnie...
- Obawiam się, że jednak miałaś rację. Byłam w stanie chwilowej niedyspozycji. Przepraszam za swoje głupie zachowanie.

- Zachowywałaś się nienagannie, cara. Zapomnijmy o tym, jak o strasznym śnie.

- Pytanie tylko, czy można zapomnieć o strasznym śnie? Wracajmy, Mark. Mam serdecznie dosyć tego głupiego śniegu i tych głupich gór.

- Zrobimy, jak zechcesz, cara.

Do domku wrócili we dwoje. Inka poszła jeździć na nartach, bo żał jej było marnować taki piękny słoneczny dzień i taki puszysty śnieg. A Zwiagin-cew, Wład i Jonasz, jak przystało na kulturalny personel, dyskretnie zniknęli.

Resztę dnia Olga spędziła w łóżku, zwinięta w kłębek. Na zadawane przez Marka pytania odpowiadała bardzo krótko i lakonicznie. Szaleńcze nocne wojaże nie uszły jej na sucho. Jakby mało jej było problemów, dopadła ją jeszcze choroba. Przeziębła się i mówienie przychodziło jej z wielkim trudem. Lekarz zalecił jej kilkudniowe leżenie w łóżku, płukanie gardła i inne tego typu lekarstwa z domowej apteczki: miód, mleko, kit pszczeli. Mark rzetelnie zastosował się do wszystkich jego zaleceń. Załatwił miód i mleko, a nawet wmusił w Olgę jakiś rozreklamowany środek przeciwko anginie. W przeciwieństwie do niefrasobliwej żony zawsze zabierał ze sobą podręczną apteczkę. Olga posłusznie wypila mleko, którego nienawidziła od dzieciństwa. Zgodziła się na wszystko. Zaprotestowała jedynie przeciwko plastrum z gorzycy. Ale i w tym wypadku Mark zdołał złamać jej opór.

- Powinnaś bardziej o siebie dbać, cara. Musisz poważniej podchodzić do zdrowia.

Kiwnęła tylko głową. Miała trudności z mówieniem i przełykaniem. Pod wieczór wpadła Inka, zostawiając za drzwiami orszak wysportowanych młodych mężczyzn.

- Idę się rozerwać - zakomunikowała radośnie. - Będziemy toczyć kule na pieniądze. Wchodźcie w to?

- Olga się rozchorowała - rzucił krótko Mark, a Olga wskazała ręką owinięte gardło: „nie mogę mówić”.

- No co ty, Olusza... - Inka szczerze się zasmuciła. - Też sobie znalazłaś czas na chorobę! W Moskwie się pobyczysz w łóżku, a nie tutaj! Czyli świadomie zostawiacie mnie samą na pastwę gwałcicieli, ekshibicjonistów i amatorów cudzych żon?!

- Skąd wzięłaś taką załogę, kochaną? - zapytał Mark złośliwie.

- Jak to, skąd? Wszyscy faceci są tacy. Jeżeli oczywiście nie są impotentami albo duchownymi.

- Co ty powiesz?

- Z wyjątkiem mojego męża, ma się rozumieć.

- I dobrze by było, żebyś o tym pamiętała, kiedy będziesz dokazywać w kregielni.

- Nigdy o tym nie zapominam, gołąbeczku.

Udzieliła przyjaciółce kilku pseudolekarskich porad, docinając przy okazji zięciowi: „Widzisz, do czego doprowadziłeś?! Twoja piękna żona gotowa jest nocować pod gołym niebem, byleby nie spać z tobą w jednym łóżku!”. Obiecała zajrzeć trochę później, po czym pobiegła do swoich adoratorów.

Olga bez sprzeciwu przyjęła od Marka środek nasenny.

- Bołą mnie oczy, kochanie...

- To od słońca i śniegu. Trzeba nosić okulary. Profilaktycznie będziesz teraz zakładać okulary przeciwsłoneczne i od razu wszystko minie. Zgoda?

- Zgoda. Aha, jeszcze coś... Nie oddawaj mnie do zakładu psychiatrycznego, Mark! - poprosiła smutnym, zachrypniętym głosem, a po chwili dodała z jeszcze większą rozpaczą głosem: - Wszystko, tylko nie... tylko nie zakład psychiatryczny...

- O czym ty mówisz? - objął ją. Odniosła dziwne wrażenie, jakby jego ramiona kłamały. Z takim samym zapałem można przytulać grzechotnika i czekać, aż na końcu jego ogona zabrzęczy grzechotka...

- Boisz się mnie, Mark, co? - zapytała, a jej głos zabrzmiał bardzo smutno.

- No coś ty, cara! Boję się o ciebie.

- Nie, boisz się mnie, przecież widzę. Boisz się, bo sądzisz, że zaczęło się ze mną dzieć to, co działo się z moją matką...

- Co za głupoty opowiadasz, cara!

- Nie, to nie są żadne głupoty... Możesz mnie uważać za kogo tylko chcesz: za wariatkę, idiotkę, schizofreniczkę ze skłonnościami maniakalno-depresyjnymi. Tak samo obłąkaną jak matka. Ale to niczego nie zmieni. Ta jaskinia naprawdę istnieje. Widziałam ją. Byłam w środku. I to nie był ani koszmar, ani halucynacje.

Zachmurzył się.

- Przecież umawialiśmy się, że zapominamy o całej tej historii, cara.

- Nie mogę o tym zapomnieć... Jak można zapomnieć ofiary, które tam były? Gdybyś mógł zobaczyć przerażenie w ich oczach...

- Wiesz co - przybrał poważny wyraz twarzy, jego ściągnięte brwi nie wróżyły nic dobrego - zabraniam ci o tym myśleć. W przeciwnym razie rzeczywiście postradasz zmysły.

Jaki on jest odrażający!

Dlaczego wcześniej tego nie zauważała? Wezbrała w niej nieprzewzyczajona fala złości. Zawładnęła nią do reszty. Nie potrafiła z nią walczyć. Ścisnęła pięść, żeby mu przyłożyć w tę jego wypielegnowaną, ogoloną gębę. Jednak fala cofnęła się równie szybko, jak się pojawiła.

Olga przygryzła wargę. Co się z nią, u licha, dzieje?!

* * *

A Wasi jak nie było, tak nie ma.

Zwiagincew przypomniał sobie o nim dopiero wieczorem, kiedy wrócił do domu ze zgrzewką ciemnego piwa. W płaszczu i kapeluszu położył się na niepościelonym od rana łóżku.

Ciężki dzień, jak Boga kocham, ciężki dzień.

Przez jakiś czas bezmyślnie gapił się na karalucha, który łąził po stole pomiędzy pustymi butelkami, puszkami i brudnymi naczyniami z baru. *Na nic się nie załapiesz, przyjacielu* - pomyślał ze złośliwą satysfakcją o karaluchu. - *W tej celi szanuje się jedzenie i nie zostawia się najmniejszego okruszka.*

Gdyby któraś z tych przewrażliwionych pokojówek zobaczyła, tego cholernego karalucha, wybuchłby wielki skandal. W ekskluzywnej „Róży Wiatrów” panował kult czystości. Ale tu- tu było jego terytorium. Terytorium Pała Pałycza Zwiagincewa, którego bronił jak lew. Na tym terenie zakwaterowała się kompania karaluchów, pluton nieszkodliwych pająków, a nawet oddział myszy. Chociaż, prawdę mówiąc, tych ostatnich na własne oczy nie widział. Miał jedynie niejasne podejrzenia co do ich istnienia.

I z całym tym zwierzyńcem zawarł niepisany pakt o nieagresji. Teraz również spokojnie odprowadził intruza wzrokiem, nie próbując nawet potraktować go butem.

Ciężki dzień, jak Boga kocham, ciężki dzień.

Na domiar złego spieprzony przez jakąś zmanierowaną paniusią, która zapewnia, że widziała siedem oblodzonych trupów.

Musi jednak przyznać, że zrobiła na nim nie najgorsze wrażenie, mimo iż jej mąż wyraźnie sugerował, że może być umyślowo chora. Przy takich

objawach powinna siedzieć w domu bez klamek, a nie poniewierać się po górskich kurortach. Zresztą wszyscy ci „nowi ruscy” mają nierówno pod sufitem! A innych traktują z wyższością. Jak prostaków.

Dziewczyna na ich tle nie wydaje się wcale taka zła.

Co za historię opowiedziała! Istny horror: jakieś tajemne wejście, jakaś jaskinia, jacyś ludzie skuci lodem... Ma dziewczyna wyobraźnię! Z taką fantazją powinna pisać książki! A propos książek, gdzie się podziewa Waśka, do czorta?!

Kobieta ma na imię Olga. Ładnie. Ciekawe, czy spodobałaby się jego synowi? Wcale by mu nie przeszkadzało, gdyby Wołodia zwrócił na nią uwagę. Na jej długie, czarne włosy, ciemne brwi i dziwną nieśmiałość w spojrzeniu. Na pewno ma domieszkę południowej krwi. Świadczy o tym jej karnacja i zarys oczu.

Przewrócił się na bok i pomasaował pośladki, które do tej pory pobolewały go po tym dzisiejszym heroicznym zjeździe. Wpakował swoje biedne, stare cztery litery na tego piekielnego ślizgacza! I po co? Po to tylko, żeby zweryfikować opowieść tej kobiety.

A te słowa nie były warte złamanego grosza.

Do jednej wariatki, Natalii Władilenowny Zapiesockiej, dołączyła kolejna - trochę ich już za dużo jak na jeden turnus.

Westchnął. Żał mu było Olgi. Ale nie ma się co martwić. Mąż z nią sobie poradzi. Od razu widać, że to rozsądny człowiek.

A teraz wypijemy po puszczech piwa z kolegami karaluchami i można iść - spać!

Nie mógł jednak usnąć.

Jakaś bliżej nieokreślona myśl nie dawała mu spokoju. Kiedyś już mu się to zdarzało. Kiedyś, kiedy był jeszcze milicjantem na wyspie Wasilewskiej. Kiedy miał wrażenie, że jego uwagi umknęła jakaś ważna poszlaka, związana z kradzieżą bielizny albo bójką na noże w mieszkaniu komunalnym. W głębokim wnętrzu jego organizmu, w cichym zakątku tuż koło jego zrujnowanej wątroby krył się jeszcze jeden Zwiagincew - znacznie mądrzejszy niż on sam i starszy stopniem: pułkownik, a nawet generał-major. I teraz właśnie ów generał-major, potocznie zwany intuicją, zaczął go nękać jak sęp padlinę.

To gorsze nawet od zapalenia korzonków! A wszystkiemu winna ta dziewczyna.

W jej opowiadaniu było coś takiego... Coś, co przez cały czas nie dawało mu spokoju. Pogodził się z faktem, że i tak nie uda mu się zasnąć, wsunął papierosa do ust i zaczął rozmyślać.

Najpierw mówiła o Kiryle, który przepadł bez wieści. Nigdy go nie widziała. Jak więc można wytłumaczyć to, że go rozpoznała? Bardzo łatwo. Jej mąż wszystko dokładnie uzasadnił. Punkt po punkcie. Uporządkował fakty, jak lekarstwa w aptece, każde na swoją półkę. Stara maruda - Zapiesocka, pokazała Oldze fotografię Kiryła. Twarz Casanovy utkwiała jej w pamięci, a potem nagle wynurzyła się z podświadomości na światło dzienne. Jej gorliwy mąż opowiedział mu o nocnym koszmarze.

Na samo wspomnienie o tej rozmowie Zwiagincewowi zrobiło się niedobrze. Nigdy w życiu nie zdradziłby swojej żony wobec obcego człowieka. I to na dodatek z taką dziką rozkoszą jak tamten...

Dotarli do starej sosny i udało im się znaleźć narty, pozostawione przez Olgę. Wszystko się niby zgadza. Wszystko oprócz czasu. Dziewczyna twierdzi, że szła dość długo, zanim doszła do skał. Co najmniej pół godziny. Im zaś droga do celu zajęła najwyżej dziesięć minut. Ale, po pierwsze, ma słabą orientację w terenie. A po drugie - kiedy szła, zapadał już zmierzch i było ciemno. Niewykluczone, że w którymś momencie zaczęła po prostu krążyć wokół skał. Tak, to jest jedyne logiczne wytłumaczenie.

Odnalezione narty stały równiusieńko, jak gdyby na nich czekały. I samotny niedopalek, przyprószony śniegiem, też na nich czekał. Od razu go zauważył. Leżał dokładnie w miejscu, w którym najłatwiej go było znaleźć. Nie mógł go przeoczyć.

- Podrzucenie dowodu rzeczowego, tak to się nazywa - wypowiedział na głos i natychmiast rozgniewał się na samego siebie. Przekłeta dziewczyna z niewinnymi oczami niepostrzeżenie przeciągnęła go na swoją stronę i zmusiła, by uwierzył w jej lodowe brednie.

Zalóżmy rzecz niemożliwą. Ale tylko założmy... że dziewczyna powiedziała prawdę. I rzeczywiście widziała to wszystko na własne oczy: pochodnie, zapalki i ranę na policzku Kiryła (rana dodaje opowiadaniu wiarygodności, trzeba zapytać o nią Zapiesocką). A potem zrobiła to, co zrobiłaby na jej miejscu każda słaba kobieta z niewinnymi oczami: wyskoczyła z jaskini i pobiegła prosto przed siebie. A potem po jakimś czasie, być może po upływie dwudziestu minut, albo i dwóch godzin, pojawił się właściciel

lodowego arcydzieła. Ten sam, który zawlókł do jaskini Kiryła, rozebrał go i zakuł w łód. Obok wejścia zauważył narty. Zaniepokojony wszedł do środka, zobaczył nadpaloną pochodnię i zrozumiał, że to już nie przelewki. Ktoś odnalazł jego myśliwskie trofea. Nie zastał intruza w jaskini i tym samym zyskał na czasie.

Jak bym postąpił na jego miejscu? Przecież doskonale wiadomo, że takie wąskie, tak dobrze zamaskowane wejście można znaleźć jedynie przypadkiem...

Tak, postąpiłbym tak samo, jak on - pomyślał posepnie i otworzył piwo. - Uwzględniłbym teren przed jaskinią. Znalazłbym niedopalek. Wsunąłbym go do kieszeni. A potem wziąłbym narty i przestawił je na inne miejsce. Jak najdalej od miejsca przestępstwa, żeby nie kusić losu. Niedopalek wkomponowałbym w nową przestrzeń - dla pełni obrazu. Żeby gruby wieprz - Pał Pałycz Zwiagincew - od razu go znalazł i zrobił pośmiewisko z osoby, która wygaduje straszliwe brednie o jakimś lochu z martwymi ludźmi.

Przecież nikt normalny w to nie uwierzy. Jedne przypadkowo odkryte włoki można jeszcze zrozumieć. Ale siedem nagich ciał, które ktoś specjalnie zamienił w lodowe lalki?

Z wrażenia usiadł na łóżku. Generał-major zamaszystym krokiem wyszedł spod chorej wątroby i stuknął go po głowie.

Otóż to! Już wie, co przez cały czas tak go dręczyło! Co nie pozwoliło mu uwolnić się od tej nieprawdopodobnej historii!

Siedem.

Święta liczba, tak jak siedem grzechów głównych. Z zadziwiającą zwinnością zeskoczył z łóżka i podszedł do szafy, w której pomiędzy pogryzionymi przez mole filcowymi i wędkarskimi butami, przywiezionymi z Sankt Petersburga (prezent pożegnalny od Zatoki Fińskiej), stała wielka, drewniana skrzynka, po brzegi wypełniona papierzyskami.

Trzymał w niej swoje archiwum i kartotekę. Zebrał je w ciągu dwóch lat, spędzonych w „Róży Wiatrów”. Były tu protokoły identyfikacji włok, wydobytych spod śniegu. Wszystkich, których nakryły lawiny. Były tu materiały zebrane o każdej z ofiar - praca na komisariacie wyrobiła w nim uciążliwe nawet dla niego samego nawyki prawdziwego sztabowego kancelisty: skrupulatność i przesadne zamiłowanie do szczegółów. Miał również spis alpinistów, włóczących się po górach jak po Broadwayu, i spis wszelkiej maści uczonych badających lodowce. Wszystkich tych ludzi osobiście wysłałby

na Księżyc. Tak samo, jak poszukiwaczy przygód i nielegalnych tropicieli, którym do tej pory nie daje spokoju esesmańska dywizja Edelweiss...

Zwiagincew usiadł na podłodze i zaczął sortować papiery.

Po godzinie wszystkie oddzielne informacje zwały się w jedną całość. Usystematyzowane i dokładnie przeanalizowane dały ogólny zarys sytuacji. Teraz wiedział już, czego szukać. Wiedział, że bezlitosne góry mają współnika. A przynajmniej taka wersja nie wydawała mu się już nieprawdopodobna.

W przeciągu ostatnich dwóch lat (a tyle właśnie przepracował do tej pory w „Róży Wiatrów”, i tyle czasu istniał ten kurort w obecnej, zmienionej postaci) na obszarze przylegającym do ośrodka zaginęło bez wieści sześć osób.

Kirył był siódmym i Zwiagincew zostawił go sobie na deser.

Skrętnie wypisał wszystkie nazwiska w alfabetycznym porządku. Itak:

1. Astachnowicz Jurij Karłowicz, 39 lat.
2. Kniażyński Nikita Andriejewicz, 19 lat.
3. Malarenko Nikita Andriejewicz, 41 lat.
4. Malarenko Oksana Stanisławowna, 35 lat.
5. Sulejmienow Timur Bołotbiekowicz, 28 lat.
6. Wołoszeniuk Dmitrij Leonidowicz, 33 lata.

Trzy osoby z listy, nie licząc Kiryła Pozniakowa, były w różnym okresie gośćmi „Róży Wiatrów”: małżeństwo Malarenko z Kijowa i moskwinin - Astachnowicz. Podobnie, jak Pozniakowa, zasypała ich lawina. Zwiagincew nie znał Astachnowicza, doskonale natomiast pamiętał pocziwych Ukraińców. Wiecznie uśmiechnięta Oksana była aktorką w jakimś teatrze narodowym. Była dokładnie w jego typie. Zawsze podobała mu się u kobiet taka naturalna, nieco surowa uroda. Parę razy sfotografował się z nią nawet na pamiątkę.

Pozostała trójka nie miała nic wspólnego z „Różą Wiatrów”. Byli to alpiści - amatorzy, którzy również zaginęli w niewyjaśnionych, ale zawsze podobnych okolicznościach. Odłączyli się od grupy i nie wrócili w umówione miejsce na zbiórkę. Ich poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu.

Poza tym wszyscy w momencie zaginięcia znajdowali się na obszarze bezpośrednio przylegającym do „Róży Wiatrów”.

Odłożył listę i zapalił.

Siedem osób.

Siedem łącznie z Kiryłem. Siedem odjąć - siedem dodać. Siedem przybyło - siedem ubyło. Pozostaje zestawić koszty z przychodem i podliczyć kasę.

Składając papiery, natknął się na zdjęcie z Oksaną Malarenko i po raz kolejny uśmiechnął się do jej podobizny. Zawsze rozczulała go jej pogodna twarz, smukła szyja, na której wisiał cieniutki złoty łańcuszek...

Poczuł silnego kuksańca w bok. To generał-major, jego wewnętrzna intuicja, znów wkroczył do akcji.

No tak, łańcuszek!

Złoty łańcuszek pojawił się w opowiadaniu Olgi. Złoty łańcuszek i kolczyki w kształcie listków. No jasne! Teraz dokładnie to sobie przypomina. Według jej zapewnień widziała taką właśnie biżuterię na ciele kobiety w jaskini.

Załóżył okulary i zaczął uważnie studiować fotografię. Tak, Oksana Malarenko miała na sobie takie kolczyki. Teraz część historii obłąkanej dziewczyny ma swój odpowiednik w rzeczywistości. W przypadku Kiryła wszystko było jasne. Zobaczyła jego podobiznę, a potem przeniosła ją do swojego sennego koszmaru. Ale Oksana? Przecież Olga nie miała pojęcia o Oksanie. Nigdy w życiu jej nie widziała. Małżeństwo Malarenków zaginęło rok temu.

Wszystko wskazuje więc na to, że mówi prawdę. Wniosek nasuwa się sam. Łyknął piwa i powrócił do swoich rozmyślań.

No dobrze, załóżmy, że wszystko idealnie do siebie pasuje.

W takim razie pozostaje tylko jedno pytanie. Co powinien zrobić dalej z tą wiedzą?

Idealnym wyjściem byłoby podsuniecie tej historii Wasi Sikaczyńskiemu jako pomysłu na nową powieść (*coraz bardziej nie podoba mi się to jego nagle zniknięcie*).

Zmarszczył czoło.

Tak, to była fabuła dla Waśki. Nic dodać, nic ująć. Morze trupów z maniakiem w tle. Bo komuż innemu przyszłoby do głowy rozebrać zwłoki i oblać je wodą, żeby zamieniły się w posąg z lodu?

Kiedy dotarł do kwestii wody, nagle go olśniło. Przecież nie dźwigał jej w wiadrach na plecach! I z tego, co mu wiadomo, nie ma tam w pobliżu

żadnego kranu. Jak wobec tego udało mu się skuć lodem tyle osób? Należałoby popytać wśród artystów, którzy tworzyli miasteczko z rzeźbami. Muszą istnieć jakieś specjalne techniki...

Popytać wśród artystów - kolejna świetna myśl.

Waśka ujawniłby ją na samym końcu pierwszej części i poświęciłby jej cały oddzielny rozdział. Ale zapewne dla zbudowania odpowiedniego napięcia dodałby do fabuły jeden istotny wątek: bohater, rozszyfrowując zagadkę morderstw, dzieli się swoimi przypuszczeniami ze sprawcą, nie podejrzewając, że ten jest mordercą.

Nie podejrzewając, że ten jest mordercą - nieźle powiedziane.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju, zawzięcie drapiąc się po brzuchu. *Nie podejrzewając, że ten może być mordercą... nie podejrzewając, że ten może być mordercą...*

A co, jeśli opowiadanie Olgi Krasieńskiej i zniknięcie Waśki są ze sobą jakiś sposób powiązane? Jeśli Waśka coś odkrył i z tym czymś przyszedł do niego, kiedy on walczył z zapaleniem korzonków? A następnie odprawiony z kwitkiem zwrócił się do kogoś innego.

Do tego maniaka. A maniak...

Zwiagincew nie dokończył myśli. Zaczął nerwowo skubać ucho. *To wszystko moja wina! Ale ze mnie stary palant! Gdybym wtedy otworzył Waśce drzwi... Wystarczyło podnieść swoje dupsko z łóżka i przekręcić klucz w zamku...*

Chyba zbyt daleko zapędził się już w swoich rozważaniach.

Musi wrócić do punktu wyjścia. Do faktu, że wszystkie tajemnicze zniknięcia miały miejsce w pobliżu „Róży Wiatrów”. Czyli osoba - bądź osoby - która ma z tym coś wspólnego, musi mieć również jakiś związek z kurortem. Zna się na rzeźbie (jeśli dać wiarę słowom dziewczyny), jej towarzystwo nie wzbudza niepokoju, wręcz przeciwnie - ludzie chętnie z nią rozmawiają (jeśli dać wiarę zeznaniom Zapiesockiej, że na kilka minut przed zejściem lawiny Kirył rozmawiał z kimś na zboczu). Poza tym doskonale orientuje się w terenie.

Ponownie rzucił się na łóżko i zaczął gapić się w sufit. *No to co, kolego generale-majorze, robimy naradę i ogólne podsumowanie?*

Wziął pomietą kartkę, na której widniało menu z restauracji, odwrócił ją i zaczął powoli nanosić na nią swoje wnioski. Po półgodzinie raport dla

kolegi generała-majora był gotowy, a rezultat wyteżonej pracy umysłowej wyglądał następująco:

1. W ciągu dwóch lat w pobliżu „Róży Wiatrów” w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęło siedem osób (patrz załącznik). Istnieje przypuszczenie, że ich ciała zostały odkryte przez obywatelkę O.I. Krasieńską. Na podstawie wstępnych danych jest ona w stanie rozpoznać troje z nich: obywatela Pozniakowa, obywatelkę Malarenko oraz obywatela Kniażyńskiego.

Młodego alpinistę, Edika Kniażyńskiego z Togliatti dopisał tak trochę na wycucie. Olga mówiła o młodym chłopcu, którego zobaczyła jako pierwszego. Z siódemki zaginionych jedynie on był przed dwudziestką, więc tylko do niego pasowało określenie „młody chłopiec”.

2. Wszystkie ofiary znajdują się w jednym miejscu, chociaż ginęły w różnych miejscach i w różnym czasie, z czego można wnioskować o istnieniu osoby (bądź grupy osób) kierującej się złymi intencjami, która ukryła ciała.

3. Przypuszczalnie ofiary nie ginęły na skutek tej czy innej klęski żywiołowej, lecz były pozbawiane życia, a co za tym idzie, potencjalny podejrzany (bądź grupa podejrzanych) dokonywał umyślnych morderstw.

4. Obywatelka Zapiesocka utrzymuje, iż na kilka minut przed zejściem lawiny widziała zaginionego K. Pozniakowa w towarzystwie innego narciarza. Niestety, nie udało jej się go rozpoznać. Wszyscy przesłuchani twierdzą, że nikt z nich w tym czasie nie rozmawiał z Pozniakowem.

Z tego Zwiagincew wysnuł następujący wniosek: albo przeoczył kogoś podczas przesłuchań, albo któraś z przesłuchiwanym osób świadomie kłamała, ponieważ jest powiązana ze sprawą jaskini.

5. W związku z powyższym, a także w związku z okolicznościami tajemniczych zaginięć w pobliżu „Róży Wiatrów”, można przyjąć założenie, że osoba (bądź osoby) zamieszana w sprawę, znajduje się na terenie ośrodka po dziś dzień.

Po zakończeniu tytanicznej pracy i wylaniu resztki piwa na kartkę Zwiagincew znów się zamyślił. Powinien był uwzględnić Waśkę w którymś z punktów, jednak świadomie tego nie zrobił. Dowolna wzmianka o chłopaku stawiałaby go bowiem na równi z nieszczęsną „martwą siódemką”, a tego Zwiagincew chciał uniknąć.

Stary dziadygo - pomyślał ze smutkiem. - Chowasz głowę w piasek.

Po postrzępionym kawalku menu przyszedł czas na wykaz napojów z baru. Na odwrotnej stronie zapisał:

CZYNNOŚCI DOCHODZENIOWO-ŚLEDTCZE

1. Ponownie przesłuchać obywatelkę N.W. Zapiesocką. Uściślić informacje na temat fotografii ob. K. Pozniakowa oraz kontaktów ob. N.W. Zapiesockiej z ob. O.I. Krasińską.
2. Ustalić, kto jeszcze, oprócz ob. N.W. Zapiesockiej, widział ob. K. Pozniakowa z nieznanym narciarzem na trasie do freestyłu.
3. Zasięgnąć informacji o lodowym miasteczku przy „Róży Wiatrów”. Kto brał udział w jego budowie?
4. Ustalić grono osób spośród personelu, które kontaktowały się z zaginionymi.
5. Wysłać zapytanie odnośnie do aktualnego miejsca pobytu Wasyla Andriejewicza Sikaczyńskiego.

A jednak nie wytrzymał i wpisał Waškę.

W świetle nowo ujawnionych faktów jego nieobecność coraz bardziej go niepokoiła. Jedyne, co go jeszcze pocieszało to to, że Olga widziała siedem ciał. Siedem, a nie osiem.

Postanowił, że jutro z samego rana przystąpi do pracy i wszystko wyjaśni. Punkt po punkcie. A tymczasem może spokojnie dopić piwo i poczytać przed snem.

Do dyspozycji miał tylko jedną książkę - *Kołysankę dla języka*. Po raz kolejny przesądny Pał Pałycz postanowił sprawdzić, co go czeka w przyszłości.

- Strona dwudziesta trzecia, siódma linijka od góry - powiedział sam do siebie i odważnie otworzył książkę. Przeczytany fragment jeszcze bardziej go przygnębił.

„Przez całą noc zwierzęta szukały liska, ale go nie znalazły. Nie przyszło im bowiem do głowy, że chytry lisek nie miał zamiaru się chować, ponieważ znał starą lisią zasadę: jeśli nie chcesz zostać znaleziony, po prostu się nie chowaj...”

* * *

Wie wszystko o jaskini.

Sama mi o tym powiedziała. I dodała, że to jest podobne do obrazu z koszmarne go snu. Przytaknąłem i więcej nie wracaliśmy już do tej rozmowy.

Ma wspaniałe piersi. Trzymałem je w dłoniach jak bezbronne ptaki. Nigdy przedtem nie trzymałem w dłoniach ptaków. Widzę, że bardzo jej się to podoba i nawet nie wspomina o mężu.

Uważam, że postąpiłem słusznie. Przede wszystkim nie wpadłem w panikę, gdy się zorientowałem, że przypadkowo został zakłócony spokój w moim atelier (nie ma innej możliwości, to musiał być przypadek). Spokojnie zacząłem działać. Przeniosłem narty w inne miejsce. Zabrałem niedopalek i położyłem go obok nart. Mam nadzieję, że pozwoli to uniknąć niepotrzebnych komplikacji.

Najbardziej boję się, że moja praca zostanie przerwana przed jej ukończeniem. A dzisiaj zaistniało realne zagrożenie. Na szczęście udało mi się zażegnać niebezpieczeństwo.

Pomógł mi w tym śnieg - czuły i delikatny młodszy brat lodu. Zatarł wszystkie ślady. Moje również.

Wybrała się na poszukiwanie nart. Wraz z innymi. Wraz z tym grubym, ohydny m ochroniarzem. Nigdy nie wyszedłby z niego dobry model. Jego ciało może wzbudzić jedynie obrzydzenie. Obrzydzenie i nienawiść.

Poszła z nimi na poszukiwanie nart. Nie mogła nie iść. Poszła i przekonała się, że to rzeczywiście był koszmarne sen. Tylko sen.

Nie wydawała się tym szczególnie rozczarowana. Nie była rozczarowana, nawet kiedy mówiła o jaskini. W przeciwieństwie do mnie. Ja jestem bardzo zawiedziony, bo jedna z głównych postaci mojej kompozycji została uszkodzona. Dobrze chociaż, że szybko udało mi się ją naprawić. Ponownie pokryłem twarz biednego Kiryla lodem.

Wyszło nawet lepiej niż wcześniej.

Wyszło na tyle dobrze, że pomyślałem sobie: dlaczego by nie pokryć wszystkich figur jeszcze jedną warstwą lodu? Czasami może to przynieść dobry skutek. Materiał jeszcze bardziej ożywa, a to podkreśla osobliwy charakter śmierci.

Śmierć ma wiele twarzy. To jest temat, który muszę jeszcze przemyśleć. Powinienem pomyśleć nad urozmaiceniem jej oblicza.

Chyba dojrzałem do tego, by zmienić koncepcję. To Ona skłoniła mnie do tej decyzji. Ona - kobieta, której przypadnie główna rola. Kobieta, którą będę wielbił. Moja własna kobieta. Trzymałem Jej piersi jak bezbronne ptaki.

Śmierć może przynosić przerażenie. Może przynosić spokój. I wreszcie, może przynosić miłość. Wcześniej czy później wszyscy będziemy czekać na swoich ukochanych w głębi jej oceanu. Tu właśnie wyznaczane są wszystkie najważniejsze spotkania w życiu...

Ostatnio dużo się nad tym zastanawiam. Moja ukochana będzie na mnie czekać. A ja na Nią. I już nigdy się nie rozstaniemy.

Nigdy.

* * *

Zimno. Dlaczego jest tak zimno.

Przecież powinno się jeszcze palić w kominku. Mark podrzucił do ognia, zanim zasnęła. Dlaczego jest tak zimno? I dlaczego tak bardzo boli ją głowa? I piecze poparzona od pochodni ręka... Tak, od pochodni w jaskini, chociaż Mark usiłuje jej wmówić coś innego. Powiedział, że oparzyła się zapalniczką, kiedy chciała przypalić papierosa przy skałach... I że po prostu o tym zapomniała...

Jakże mogłaby o tym zapomnieć?

I dlaczego jest tak zimno?

Tak zimno, że nawet nie chce się otwierać oczu. A co, jeśli je otworzy i okaże się, że leży w tej przeklętej jaskini zakuta w lód?

Wciąż boli ją gardło. Nie pomagają nawet okłady. I znowu czuje suchość w ustach - dlaczego? Przecież nic nie piła. Nawet za martini podziękowała. W ogóle powinna zrezygnować z alkoholu, tak będzie lepiej dla wszystkich. Dzięki temu będzie w stanie zachować jasny umysł...

A jednak otworzyła oczy. To, co zobaczyła, wstrząsnęło nią do głębi. Nawet bardziej niż wydarzenia zeszłej nocy. Tam była jedynie przypadkowym świadkiem. Nie знаła ludzi uwięzionych w jaskini. Teraz natomiast sytuacja dotyczyła jej bezpośrednio.

Zwinięta w kłębek leżała na śniegu niedaleko domku. Miała na sobie tylko spodnie od kombinezону i buty. Była bez kurtki. Podniosła do twarzy obandażowaną rękę i dotknęła włosów, wystających spod wełnianej czapki.

W skronie uciskały ją okulary narciarskie. Po co jej w nocy okulary? I co tu w ogóle robi?

Zasnęła przecież w swoim łóżku. Mark siedział przed komputerem. A potem podrzucił drewna do kominka. I wtedy poczuła do niego dziwną, niewytłumaczalną nienawiść. Przestraszyła się, ale fala nienawiści szybko minęła. Minęła, zanim... Zanim co?

Nie pamięta, jak zasnęła.

Uniosła się na łokciu i spróbowała wstać. Ale to nie było takie proste... Nie było takie proste... Jeszcze tego brakowało, żeby została tu do rana i zamarzyła na śmierć.

Wiedziała, że zbawienny domek jest tuż obok, ale w żaden sposób nie mogła się podnieść. Jakby jej własne ciało sprzysięgło się przeciwko niej.

Była naprawdę przerażona. Nawet w górach pośród skał, w zupełnej samotności, nie ogarnęła jej taka panika.

Co tutaj robię?! Jak tu trafiłam?!

Tylko Manana byłaby w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Tylko Manana, jej obłąkana matka. Na krótko przed śmiercią kilkakrotnie wychodziła z domu. W końcu ojciec zmuszony był na jakiś czas zrezygnować z pracy, żeby jej pilnować. Dlaczego wszystkie te dawno zapomniane, wcisnięte w zakamarki duszy wspomnienia z nieszczęśliwego dzieciństwa wypływają akurat teraz? W dodatku w chronologicznej kolejności...

Dlatego, że ona - Olga - przechodzi dokładnie przez te same kręgi piekła, co Manana.

Zajęczała cichutko i objęła głowę rękami.

Okulary... Dlaczego ma na sobie okulary? Dlaczego nie pamięta, jak się tu znalazła? Okulary bardzo jej przeszkadzały. Ścisnęły niczym rozżarzona obręcz. Zdjęła je w nadziei, że w ten sposób pozbędzie się obręczy. Ale ból w skroniach nie ustawał.

- Mark - wyszeptała słabym głosem. - Mark, jestem tutaj... Proszę cię, przyjdź... Zabierz mnie stąd...

Drzwi domku otworzyły się i na progu, w poświęceni domowego ciepła, ukazała się jego postać. Jakby telepatycznie wyczuł jej szept. Przez chwilę stał, wpatrując się w ciemność. Potem zbiegł po schodkach i ruszył szybko wydeptaną ścieżką.

W przeciwną stronę.

Zaraz zniknie jej z oczu, a ona zostanie tu sam na sam z ciemnością i lękiem przed własną przeszłością, teraźniejszością i przyszłością...

- Mark! - włożyła w swój osłabiony, zduszony głos całą rozpacz, cały ogrom cierpienia, które ją ogarnęło.

Usłyszał.

Usłyszał i odwrócił się.

- Mark! - musi go przekonać, że się nie przesłyszał, że to nie był nocny szept sosen ani podstępne zawrodozenie diablów-kusicieli.

Udało jej się podnieść na kolana i uklęknąć na sprasowanym przez jej własne ciało śniegu.

- Mark! Błagam cię, Mark...

W końcu dojrzał bezradną, skuloną postać i rzucił się w jej kierunku.

- Cara!

- Mark! Kochany! - rozplakała się i oplotła jego szyję rękami. - Zabierz mnie stąd... Zabierz, bo inaczej umrę...

- Co tutaj robisz, cara? - nie słuchając jej chaotycznych słów, zerwał z siebie kurtkę i otulił ją.

- Nie wiem... Nie pamiętam... Proszę cię...

Zacisnął zęby, wziął ją na ręce i zaniósł do domku. Jednak nawet w jego silnych, zawsze pewnych siebie ramionach, nie czuła się teraz bezpiecznie.

Po chwili siedziała już na łóżku i cicho płakała. W dłoniach ścisnęła kubek z gorącym mlekiem. Nie czuła nawet, jak parzy ją w palce.

- Wy tłumacz mi, proszę, co się stało, cara? - zapytał po raz kolejny, zakładając jej nowy kompres.

Co miała mu odpowiedzieć?

- Dlaczego wyszłaś z domku? Skąd u ciebie taka żądza przygód? Nie wystarczyły ci ekscesy zeszłej nocy? Przecież jesteś chora. Lekarz powiedział, że powinnaś poleżeć co najmniej kilka dni.

Ale co miała mu odpowiedzieć?

Zaczął zdejmować z niej mokre, oblodzone ubranie, rozpinać zatrzaski i szelki przy spodniach od kombinezonu.

- Co ci się stało w ręce, cara? - zapytał niespodziewanie.

- A co?

- Spójrz tylko!

Posłusznie popatrzyła w dół: zwykle zadbane paznokcie były połamane, a opaska na oparzonej dłoni - czymś usmarowana. Mark wyjął z kieszeni jej

spodni skórzane rękawiczki, które odtajały pod wpływem ciepła i były teraz całkowicie mokre. Mokre, brudne i z rozprutym szwem.

- Dźwigałaś kamienie, cara? Czy rozgarniałaś śnieg? Nie trzeba było tego robić. Na pewno mają tu swojego dozorcę - nawet zwykłe poczucie humoru go zawiodło i kiepski żart zabrzmiał jak obelga.

- Nie wiem... Nie brałam rękawiczek... - zanosła się suchym kaszlem.

- Nic nie mów. Oszczędzaj gardło.

- Mark - spojrzała na niego ze strachem - nie pamiętam, jak wyszłam z domku.

- Jak to - nie pamiętasz? Położyłem się o pierwszej, a ty smacznie spałaś.

- Nie pamiętam. Pamiętam tylko, jak... - była niemal skłonna opowiedzieć mu o niekontrolowanym ataku wściekłości, którą do niego poczuła, ale w porę urwała i dokończyła: - siedziałaś przy komputerze, a później podrzuciłaś drewno do kominka...

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Boję się, Mark... Boję się samej siebie... Mariana...

Pogłaskał ją po głowie.

- Umawialiśmy się przecież, że nie będziemy do tego wracać. Że zapominamy o tym raz na zawsze...

- A jeśli... Jeśli dzieje się ze mną to samo, co z nią?

- Bzdura - odpowiedział stanowczym głosem i była mu za to wdzięczna.

- Wiesz co, cara... zostawmy to teraz... do czasu, aż wydobrzejesz. A wydobrzejesz, ponieważ będę przy tobie. Dobrze?

Kiwnęła głową.

Zabrał od niej kubek z niedopitym mlekiem. Mimo wszystko nie wytrzymał i zadał dziecinne pytanie:

- No, ale gdzie ty w końcu byłaś, cara? - w jego głosie wyczuwało się nutkę zazdrości.

- Nie pamiętam! - swoim pytaniem doprowadził ją do łez.

- No już dobrze, uspokój się.

Położył się obok i mocno ją przytulił.

* * *

Zwiagincewa obudziło natarczywe pukanie do drzwi.

Długie, nerwowe i gniewne - typowe dla rozhisteryzowanych kobiet. Mężczyźni nigdy nie stukają w ten sposób. Taki gwałtowny przejaw uczuć jest dla nich upokarzający. Tak właśnie dobijała się do łazienki jego żona, kiedy po wielkiej libacji zasypiał w stygnącej wodzie.

Przez kilka chwil wsłuchiwał się w ten odgłos, jednocześnie przyglądając się dziurce w skarpetce, z której wystawał duży palec. *Trzeba obciąć paznokcie* - pomyślał i zerknął na zegarek.

Wpół do trzeciej.

To znaczy, że naprawdę jest za piętnaście. Już od wielu lat jego zegarek - Komandirski, prezent od syna, kupiony za pierwsze stypendium - spóźnia się równo o piętnaście minut. Ani minuty więcej, ani minuty mniej. Dawno się już z tym pogodził. Co więcej, zaczął dostrzegać w tym piętnastominutowym spóźnieniu się ukryty sens filozoficzny. Skoro wszystkie wydarzenia w jego życiu zachodzą z opóźnieniem, to i śmierć nadejdzie kwadrans później...

Stukanie przybrało na sile.

Nie ma wyjścia, musi otworzyć, zanim jakiś babsztyl rozdrapie długimi pazurami i tak podniszczono drzwi.

Kiedy otworzył, aż gwizdnął ze zdumienia. Na progu stała bowiem Natalia Władilenowna Zapiesocka. Była wyraźnie wzburzona. Pomyślał naiwnie, że może ciało Kiryła zostało odnalezione. Albo że zginęło jej tamto cenne zdjęcie.

- Tu się dzieją niesłychane rzeczy! - wrzasnęła.

Przez grzeczność nie zaprzeczę - pomyślał, powstrzymując się od ziewnięcia.

- Pan sobie śpi w najlepsze...

Tobie też bym radził, do licha ciężkiego!

- A u pana pod nosem takie rzeczy się wyprawiają! Jest pan w końcu odpowiedzialny za bezpieczeństwo czy nie?!

- Ma pani rację, w danej chwili rzeczywiście śpię - rozpoczął ostrożnie - dlatego nie mogę odpowiadać za niczyje bezpieczeństwo. Nawet za swoje własne.

- Proszę zobaczyć! - pisnęła i podała mu coś, co jeszcze do niedawna było okularami.

Przyciśnięty do muru posłusznie wziął okulary i zaczął je oglądać ze wszystkich stron. Ktoś nieźle je załatwił. Jedno szkło było wybite, drugie - pęknięte. Poza tym urwane było jedno ucho.

- Nie jestem optykiem - przyznał się uczciwie - więc nie potrafię pani pomóc.

- I to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?!

- Tak... chyba że bardziej szczegółowo wyjaśni mi pani, co się stało.

- Mogę wejść?

- Tak, proszę bardzo.

Wpuścił ją do środka.

- Proszę włączyć światło! - zażądała krzykliwym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Co za tupet! Wdziera się w środku nocy i jeszcze domaga się dobrego oświetlenia!

Pomyślał ze smutkiem, że jeśli włączy teraz światło, to całkowicie skompromituje się w jej oczach jako ochroniarz: puste puszkę po piwie pod łóżkiem, bateria butelek po wódce pod stołem, płaszcz i kapelusz rzucone na podłogę... A jeśli dołożyć jeszcze nocne wycieczki karaluchów...

- Nie mogę włączyć światła - pozwolił sobie na drobne kłamstwo. - Żarówka się przepaliła.

- A zresztą nieważne - poddała się niespodziewanie łatwo - i tak nic nie widzę... No to przynajmniej usiądźmy.

Przysunął jej krzesło, a sam rozsiadł się wygodnie na łóżku.

- A zatem słucham panią.

- Ktoś zniszczył mi okulary... Mam poważny problem ze wzrokiem i zamówienie takich szkieł to dość trudna sprawa.

- Ile pani ma?

- Czego?

- Ja mam minus trzy... Moje nie będą pasować? - potrafił być wspaniałomyślny. - Co prawda nie są zbyt ładne, ale na początek może by się nadały.

- Ale nie chodzi nawet o okulary. Tylko o to, że bogaci goście za dużo sobie pozwalają! To po prostu niesłychane! A pan jako przedstawiciel prawa nie powinien tego tolerować.

- Niech mi pani wszystko opowie. Od samego początku.
- No dobrze... Byłam dzisiaj w „Richardzie Bachu”.

Żadna nowość. Codziennie się tam szwendasz. Tankujesz jak się patrzy i użalasz się nad swoim nieudanym życiem. A propos alkoholu...

- Chce pani piwa, pani Natalio? Pokrzepi się pani i od razu zrobi się lepiej. Z tego, co widzę, bardzo się pani zdenerwowała.

- Daj pan to pańskie piwo.

Zręcznym ruchem otworzył dwie puszkę. Jedną z nich podał Zapiesockiej, drugą zostawił dla siebie.

- A zatem była pani dzisiaj w „Richardzie Bachu”? - zachęcił ją do dalszego opowiadania.

- Tak, ale to nie jest ważne... Wróciłam do pokoju coś koło wpół do drugiej... Mniej więcej. Nie patrzyłam na zegarek. Zresztą, Matko Boska, to też nie ma żadnego związku ze sprawą. Jak pan wie, mieszkam na pierwszym piętrze, ale nie obok głównych schodów, tylko w lewym skrzydle, w ostatnim z brzegu pokoju, obok bocznych schodów i wyjścia awaryjnego... które zawsze jest otwarte. Już szykowałam się do snu, kiedy nagle zobaczyłam ten akt wandalizmu...

- Słucham?
- Wandalizmu - powtórzyła z naciskiem i duszkiem wypiła piwo.
- Jeszcze jedno? - trzymał już w pogotowiu kolejną puszkę.
- Nie trzeba. Wystarczy.
- Jak pani sobie życzy.

- Tak więc... jak już powiedziałam, mieszkam na pierwszym piętrze i moje okna wychodzą na śliczne miasteczko rzeźb lodowych. Wie pan, które?

- Oczywiście.

- Zawsze mi się podobało. Specjalnie poprosiłam pokój z tym widokiem. No i dzisiaj, zanim się położyłam, podeszłam do okna... Jak co dnia. Tam jest taka urocza rzeźba. Kopia *Wiecznej Wiosny* Rodina...

Westchnął. Wszystkie egzaltowane damulki uwielbiają tę rzeźbę. Zwłaszcza te w okresie przekwitania. Nie miał za wiele w życiu do czynienia z intelektualistkami. Właściwie zdarzyło się to tylko raz, gdy w związku z obrabowaniem mieszkania na jego komisariat trafiła dyplomowana historyk sztuki. Popalając papierosy marki „Astra”, opowiedziała Zwiagincewowi o magicznej więzi erotycznej, jaka istnieje pomiędzy kobietami a rzeźbami.

Sama biegła dwa razy w tygodniu do Ermitażu, aby przeżywać ekstazę w sali Rodina. *Wieczna Wiosna* znajdowała się na czele listy jej ulubionych podniet.

- Tak, wiem. *Wieczna Wiosna*. I co dalej?
- Podeszłam do okna i zobaczyłam, że ktoś naumyślnie niszczy rzeźby.
- Ktoś?
- Wiem, kto to był...To ta osoba...Ta kobieta. Rozbijała rzeźby. Z taką nienawiścią! Z taką wściekłością!
- Ale po co? - zadał idiotyczne pytanie.
- A skąd mam to wiedzieć? Byłam zszokowana. Na moich oczach rozpadało się takie чудо...
- I nikt nie próbował jej powstrzymać?
- Ale kto? Po pierwsze, była prawie druga w nocy. A po drugie, na tę stronę wychodzą tylko moje okna... i jesz...

Urwała w pół słowa. Wiedział, co chciała powiedzieć.

„Różę Wiatrów” zbudowano według bardzo modnego fińskiego projektu, który zakładał asymetrię i maksymalne wtopienie się w otaczający krajobraz. Okna niemal wszystkich pokoiów zbudowanego w kształcie podkowy hotelu były zwrócone ku górom. Na wewnętrzne podwórko z lodowymi rzeźbami wychodziły okna tylko dwóch pokoiów - Zapiesockiej na pierwszym piętrze i zaginionego Kiryła Pozniakowa - na drugim.

- I co pani zrobiła? - zapytał łagodnie, starając się jak najdelikatniej wprowadzić ją ze szponów sentymentalnych wspomnień.

- Co? - ocknęła się. - Spróbowałam otworzyć okno, ale nie miałam siły. Mam bardzo słabe ręce. Zadzwoiłam więc do portiera. Ale telefon był zajęty.

Ciekawe, dlaczego telefon u Iwana był zajęty o drugiej w nocy? - pomyślał. - Rozwydrzyli się na całego! - I wtedy pani...

- Wtedy postanowiłam zejść na dół i przerwać to barbarzyństwo. Zbiegłam tylnymi schodami prosto na podwórko w momencie, gdy zabierała się za *Wieczną Wiosnę*. Krzyczałam, przywoływałam ją do rozsądku, nawet usiłowałam ją zawstydzić...

- A ona?

- Nie uspokoiła się, zanim nie zrównała rzeźby z ziemią. I dopiero wtedy zwróciła na mnie uwagę - Zapiesocka zadrzała.

- No i?

- To było straszne. Uderzyła mnie w twarz i... to jakiś bezsens... Uderzyła i powiedziała: „Wynoś się, stara suko!”.

- Tak właśnie powiedziała? - *W sumie nie jesteś taka stara, w każdym razie bez okularów niczego z ciebie babeczka, nie dalbym ci więcej niż trzydzieści pięć...*

- Tak, tak właśnie powiedziała - powtórzyła dobitnie: - „Wynoś się, stara suko!”. A ja, między nami mówiąc, mam dopiero czterdzieści trzy lata...

No tak, mój drogi panie, musisz być naprawdę stary i gruby, skoro kobiety nie wstydzą się przy tobie mówić o swoim wieku. Jesteś nikim, niepotrzebnym meblem, starym rupieciem, powietrzem...

- Byłam w okularach. Jak zwykle. Prawie nigdy się z nimi nie rozstaję. Mam silną wadę wzroku. Nie zdążyłam ich zasłonić. Spadły na ziemię, a ona... stanęła na nich! Widzi pan, w jakim są oplakany stanie?!

- Tak... I co było dalej?

- Co było dalej? Powiedziała, że nikt jej nie powstrzyma... Że musi zniszczyć zło.

- Zniszczyć zło? To ciekawe. Ale co to była za kobieta, to pani naturalnie nie wie?

- Dlaczego miałabym nie wiedzieć? Bez trudu ją rozpoznałam.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Na nią i jej okulary.

- Ma na imię Olga. Przyjechała tu niedawno z mężem i przyjaciółką. Zdążyliśmy się już nawet poznać. Wydali mi się niezwykle sympatyczni. Zwłaszcza Olga - Natalia zatrzęsała się z oburzenia, jak gdyby na nowo przeżywała całą historię.

Nie można powiedzieć, żeby ta wiadomość jakoś szczególnie go poruszyła. Nie. Doznał raczej uczucia zawodu. Cały wczorajszy ciężki wysiłek umysłowy, wszystkie przemyślenia i odkrycia poszły na marne. On, stary wyjadacz, były gliniarz dał się tak podejść, że stworzył nawet kilka przypuszczalnych wersji wydarzeń w oparciu o zeznania jakiejś wariatki! Jak mógł być tak łatwowierny?! Cholerna baba owinęła go wokół palca! Splunął z niezadowolaniem na podłogę i roztarł ślinę piętą.

- Musi pan podjąć odpowiednie kroki.

- Nie omieszkałam - nawet jej nie słuchałam.

Jak mógł się od razu nie zorientować, że całą tę historię Olgi Krasińskiej można włożyć między bajki?! Że wszystko powstało w jej chorej wyobraźni?! A przecież jej mąż, ten sympatyczny Mark Krasiński, opowiedział mu o jej dziedzicznej chorobie. Zamiast „Róży Wiatrów” powinna była odwiedzić klinikę.

- Ona musi zostać ukarana!

- Niech pani wraca do siebie, pani Natalio. Zajmę się tym jutro z samego rana.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Dzisiaj. Teraz. Zaraz.

- Teraz? O trzeciej w nocy?

- Tak, właśnie teraz. Takie rzeczy nie mogą uchodzić płazem! Myśli pan, że dzięki swoim pieniądzązom pozostanie bezkarna?

Nie tylko dzięki pieniądzązom, ale również zachwianej psychice.

- Nie bardzo wypada - rozpoczął niepewnie - zakłócać ludziom spokój w środku nocy i wdzierać się do ich pokoju bez nakazu...

- A urządzać demolkę, rozkwasać komuś nos - to jest na porządku dziennym, tak?! Jestem gotowa wnieść skargę na piśmie.

- To nie będzie konieczne. Postaramy się załatwić to polubownie.

- Polubownie? - Ze wzburzenia aż ją zatkało. - Nic z tego!

- No, dobrze - poddał się. - Podejmiemy decyzję na miejscu.

Wobec takich zaborczych kobiet był po prostu bezsilny, tym bardziej że w danym przypadku nie mógł niczemu zaprzeczyć. Akt chuligaństwa, którego dopuściła się Olga, miał znamiona poważnego wykroczenia.

- Czekam na pana na korytarzu - powiedziała wyniośle. - To skandal! Porządny ośrodek, a zero ochrony. Jak w buszu, słowo daję!

- W górach, pani Natalio, w górach - poprawił ją odruchowo.

Wyszła, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

Począł, aż zamknął się za nią drzwi, po czym włączył lampkę i zaczął się ubierać. Już samo założenie butów zajęło mu sporo czasu. Po raz kolejny stwierdził, że przydałoby się zrzucić kilka zbędnych kilogramów albo przetrzucić się na buty na rzepy. Przez ten potężny mięsień piwny sznurowanie butów stawało się heroicznym wyczynem. Założył płaszcz, naciągnął kapełusz po same oczy i wyszedł na korytarz.

Najpierw obejrżeli lodowe miasteczko.

Niemal wszystkie figury zostały podziurawione czymś ostrym i były do-
szcześnie zniszczone. Zapiesocka mówiła prawdę. Najbardziej oberwało się
Wiecznej Wiośnie. Ścięte głowy obojga zakochanych leżały tuż obok. Zwia-
gincew był zaszokowany tym przygnębiającym widokiem.

- Teraz pan widzi? - zapytała z triumfem w głosie.
- Tak, teraz widzę.

Najbardziej zaszokowała go siła, czy wręcz opętanie wandala, z jaką za-
dawał ciosy figurom. Rozejrzał się dookoła i prawie natychmiast zauważył
to, czego szukał - kijek narciarski, który posłużył do dziurawienia lodowych
rzeźb.

- Tym? - zadał krótkie pytanie, wskazując go ruchem głowy.
- Tak... Właśnie czymś takim się posługiwała. Chociaż nie jestem pewna
na sto procent... Mam słaby wzrok... a jak mi jeszcze zbiła okulary...
- Niech się pani cieszy, że nie przekłuła pani na wylot.
- A mogła? - zapytała ze strachem.
- Nie wiem - przyznał uczciwie.

Po osobach z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, u których nastę-
pują jedynie krótkie okresy remisji choroby, wszystkiego można się spo-
dziewać. W swojej milicyjnej praktyce spotykał ludzi z przeróżnymi odchy-
leniami od normy. Na ogół były to ataki furii towarzyszące sąsiedzkim roz-
róbom i awanturom domowym. Ale z takim wyszukany przejawem obłądu
zetknął się po raz pierwszy.

Podniósł kijek i wraz z poszkodowaną udał się do Krasińskich. Drogę
powrotną pokonali w milczeniu. Nie miał ochoty ani potrzeby z nią rozma-
wiać. Wszystkie jej zeznania o tajemniczym narciarzu z gołą głową nie miały
już żadnego znaczenia. A jego wewnętrzny generał-major powinien zostać
zdegradowany do stopnia starszego sierżanta i objąć posadę dzielnicowego.
Kobieta kilka razy potykała się na równej drodze, ale stanowczo odmówiła
przyjęcia pomocy. Dopiero gdy byli już prawie na miejscu, ni stąd, ni zowąd
zapytała:

- Ile pan dostaje?
- Mam pani pokazać zaświadczenie o dochodach?
- Nie trzeba. Po prostu... Skoro zajmuje pan tak poważne stanowisko, to
mógłby się pan porządniej ubierać. Taki, za przeproszeniem, idiotyczny
kapelusz nie wzbudza zaufania.

Obrażony zadarł nos do góry. Nic na to nie odpowiedział. Nie chciał wdawać się w dyskusję z kobietą, która przed chwilą była ofiarą ataku. Można było zrozumieć jej stan.

Weszli po oblodzonych schodkach i zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami domku.

- No, na co pan czeka? Niech pan zapuka - rozkazała. - Chcę spojrzeć w oczy tej łajdacze. O ile w ogóle będę w stanie coś dojrzeć.

W domku, pomimo tak późnej pory, było włączone światło. To dodało mu pewności siebie. Kilkakrotnie grzmotnął pięścią w drzwi. Prawie natychmiast rozległ się zaniepokojony głos Marka:

- Kto tam?

- To ja, Zwiagincew - odchrząknął, po czym dodał: - Proszę otworzyć.

- Czy coś się stało?

- Jak to panu powiedzieć? Raczej tak.

Mark otworzył drzwi i wyszedł na ganek. Miał na sobie sweter i buty i nie wyglądał na zasnętego. Pał Pałycz nabrał otuchy. O ile trudniej byłoby mu teraz rozpocząć rozmowę, gdyby mężczyzna był w jedwabnej piżamie.

- Potrzebna mi pańska żona.

- Wie pan, która jest godzina?

- Domyślam się, ale mimo wszystko nalegam. Czy mógłby ją pan zawołać?

- Ale ona śpi.

- Mark, stało się coś? Z kim rozmawiasz? - rozległo się zza drzwi.

- Czyli twierdzi pan, że śpi? - zapytał z przekąsem Zwiagincew. Mark milczał ponuro.

- Wpuści nas pan, czy nie? - wtrąciła się Zapiesocka.

- A co się właściwie stało?

- Czy to jest pański kijek? - ochroniarz postanowił podejść go z innej strony.

- Nie rozumiem... - Mark rzucił przelotne spojrzenie na kijek. - Chyba... Tak. Znalazł go pan? Dziękuję bardzo, ale nie można było z tym zaczekać do rana?

- Czyli to pański kijek?

- Kto przyszedł, Mark? - zapytała ponownie Olga.

- Wszystko w porządku, cara! Pał Pałycz był na tyle miły, że się pofatygował i przyniósł nam kijek, który zgubiłaś zeszłej nocy w górach.

- Obawiam się, że nie zeszłej nocy, tylko dzisiejszej. I nie w górach, a w pobliżu hotelu. W miasteczku rzeźb z lodu - powiedział z naciskiem.

- Nie bardzo rozumiem...

- Ja też na razie nie bardzo to wszystko rozumiem. Ale mam nadzieję, że pańska żona nam to jakoś wyjaśni - i, nie czekając na odpowiedź, popchnął brzuchem Marka i wszedł do środka. Za nim, kołysząc biodrami, weszła Zapiesocka.

Olga, skulona i nieszczęśliwa, siedziała na łóżku i patrzyła na nich przerażonymi oczami. Przez chwilę Zwiagincewowi zrobiło jej się żal. Bardziej nawet niż Natalii. Nie wyglądała na awanturnicę, zdolną do dokonania totalnego spustoszenia w lodowym miasteczku. Poza tym wyraźnie była w kiepskim stanie. Do czoła lepiły jej się mokre kosmyki włosów. Miała podkrążone oczy.

Zapiesocka chyba też doznała podobnego odczucia, gdyż jej bojowe nastawienie zdawało się tracić na sile.

- Dobry wieczór, pani Olgo - odezwał się ochroniarz, starając się nadać swojemu tubalnemu głosowi łagodne brzmienie.

- Co się dzieje? - zwróciła się do męża, ignorując nocnych gości.

- Pani Olgo... Przyszedłem... Przyszliśmy do państwa, że tak powiem, w niewesołej sprawie. Właściwie mam tylko jedno pytanie: po co to pani zrobiła?

- Ale co? - na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Jak to - co? Po co zburzyła pani rzeźby z lodu?

- Ja? - w jej głosie słychać było tak bezgraniczne zdumienie, że Zwiagincew przez krótką chwilę zwątpił, czy naprawdę na własne oczy widział ślady zniszczenia.

- O czym pan mówi? Jakże znowu rzeźby?

- Jak to, pani nie wie? - widząc, że ten żaloszny przedstawiciel prawa ociąża się z zadaniem kolejnego pytania, Zapiesocka przejęła inicjatywę. - Roztrzaskała pani rzeźby, a potem, kiedy próbowałam panią powstrzymać, uderzyła mnie pani i zniszczyła mi okulary.

- Co?! - Olga spojrzała na nich przerażona, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Jak pani może coś takiego mówić?!

- Ale z pana oferma! Niech pan pokaże okulary - Natalia syknęła Zwiagincewowi do ucha, a głośno dodała: - Mamy dowody rzeczowe.

Ochroniarz posłusznie wyjął z kieszeni okulary i podał je Markowi. Ten przez chwilę bezmyślnie się w nie wpatrywał, po czym spojrzał pytająco na żonę.

- Cara, to prawda?

- Mark!

- Najwyraźniej doszło do nieporozumienia. Jesteście pewni, że to... że to zrobiła moja żona?

- Ma pan mnie za idiotkę?! Znam pańską żonę i nie mogłam się pomylić!

- Rzecz w tym, że przez cały czas byliśmy razem, więc pani oskarżenia są bezpodstawne.

- Zarzuca mi pan kłamstwo? - przygryzła nerwowo wargę. - Może i niezbyt dobrze widzę...

- No, właśnie - wtrącił uszczypliwie.

- Może i niezbyt dobrze widzę, ale nie aż tak, żeby nie rozpoznać kogoś z odległości dwóch metrów... A była wystarczająco blisko, żeby mnie uderzyć.

- Pozostawię to bez komentarza - Mark uniósł ręce i wykonał ruch, jakby poprawiał niewidzialny krawat. Jednak nie udało mu się zakończyć na tym tej wymuszonej konferencji prasowej, bowiem ktoś właśnie zapukał do drzwi.

Wygląda na to, że w godzinach nocnych ten domek dla sierot cieszy się ogromnym powodzeniem - pomyślał Zwiagincew. - Zupełnie jak za starych radzieckich czasów, gdy pędzono bimber.

Po raz kolejny tej nocy Mark poszedł otworzyć.

- Marik, gołąbeczku, co się dzieje z Oluszą? - dobiegł ich głos przyjaciółki Krasińskiej.

Ach, to ta wystrzyżona kocica, ta egzaltowana, pożałuj, Boże, modelka - pomyślał Zwiagincew, który nie lubił kobiet jej pokroju. Wychudzone łąchudry, obwieszane kolczykami, z łańcuszkami na kostce. Właśnie taka złamała serce jego synowi. Na trzy miesiące przed śmiercią.

- Proszę cię, ciszej - odparł Mark. Cały czas stali w drzwiach i Inessa nie widziała, kto jest w pokoju.

- Śpi?

- Śpi - odpowiedział wzdychając.
 - Chciałabym umieć tak spać... Z poczuciem spełnionego obowiązku.
 - Przyjdź jutro, Inka.
 - Ale ja chciałam ją tylko spytać, czemu czterdzieści minut temu miała ochotę wysłać mnie na Księżyc?
 - Idź już, proszę.
 - Zawsze wiedziałam, że z tą swoją komiczną moralnością i nudnym rozsądkiem doprowadzisz kiedyś swoją żonę do obłądu, serduszko! Prawie oberwałam od niej po pysku. A cała moja wina polegała na tym, że zesłam do baru na szklaneczkę czegoś mocniejszego. A potem, kiedy poszłam po-oddychać świeżym górskim powietrzem, nadeszła z naprzeciwka. Była ogromnie wzburzona, przeleciała obok mnie jak szatan, jakby spieszyła się na zlot czarownic. Tylko miotły jej brakowało. Dotarła w ogóle do domu?
 - Tak. Idź już.
 - Co się z wami dzieje, u licha?!
 - My też usiłujemy to wyjaśnić - oświadczył wesoło Zwiagincew, wychylając się zza drzwi.
 - O! Widzę, że macie miłych gości - Inka wcale nie zdziwiła się na jego widok.
 - Niech pani śmiało wchodzi, i tak nikt nie śpi - ochroniarz wszedł w rolę gościnnego gospodarza.
 - No, skoro pan nalega...
 - Nalegam.
- Weszła do środka, przywitała się z Natalią i zajęła miejsce w jednym z foteli. Zapiesocka usiadła w drugim, Mark ułokował się na łóżku obok żony, która natychmiast przytuliła się do niego. Dla Zwiagincewa zabrakło miejsca siedzącego, tak więc był zmuszony wesprzeć się na butelce martini, która stała na półce przy kominku.
- A więc - rozpoczął, bez najmniejszego skrępowania przełykając trunek - przystąpmy do przesłuchania świadków.
 - Ale co się właściwie wydarzyło? - Inka uniosła brwi.
 - Dużo się wydarzyło. Otóż pani przyjaciółka dzisiejszej nocy dokonała karygodnego czynu. Zachowała się jak prawdziwy chuligan...
 - Jeszcze gorzej niż chuligan - poprawiła go Zapiesocka i machinalnie dotknęła twarzy.
 -

- Jak zwał, tak zwał. Otóż Natalia Władilenowna twierdzi, że przyłapała pani przyjaciółkę na rozbijaniu rzeźb z lodu. Sam to widziałem. - Widział pan, jak je rozbijała? - dociekała Inka.

- Nie. Ale widziałem skutki jej czynu.

- A dlaczego pan stwierdził, że to ona?

- Ponieważ są świadkowie. Pani Natalia Władilenowna była tak miła i przyszła tu ze mną.

- To prawda? - Inka zwróciła się do Zapiesockiej.

- Niestety, tak.

- Ale dlaczego? - pytanie przyjaciółki zaskoczyło Olę.

Załamana zaczęła tak gorzko i rozpaczliwie płakać, że nawet Natalia poczuła się zakłopotana. Zwiagincewowi zaś ścisnęło się serce. Nie podobała mu się ta nocna historia. Nie musiał być psychologiem, by zauważyć, że ta młoda kobieta znajduje się w stanie najwyższego wzburzenia.

- Powiedział pan, panie Marku, że pańska żona nigdzie tej nocy nie wychodziła.

- Tak. I nadal to podtrzymuję - mocno zaciśnięte usta wyraźnie dawały do zrozumienia, że będzie trzymał się tej wersji..

Twardziel z sukinsyna - pochwalił go w duchu Zwiagincew. - *Stać na wysokości zadania i wyciągnij z tego szamba ukochaną kobietę! Jeśli o mnie chodzi, trzeba te sprawę zamknąć jak najszybciej...*

- To bez sensu, Mark - odezwała się niespodziewanie Olga i gwałtownie odsunęła od siebie jego ręce. - To bez sensu. Powiedz im całą prawdę.

- Nie ma żadnej prawdy - spojrzał na nią wzburzony.

- Powiedz. Powiedz, że kiedy się obudziłeś, nie było mnie w pokoju... Bo przecież naprawdę mnie tu nie było. No dalej, Mark - z trudem tłumila histeryczny śmiech - tu są sami moi...

- Proszę cię, cara - rozpoczął błagalnym tonem, ale już go nie słuchała.

Wyskoczyła z łóżka i rzuciła się w stronę łazienki.

- Przepraszam państwa - powiedział matowym głosem i pobiegł za nią. Przed drzwiami zatrzymał ją, a ona odwróciła się i zawołała:

- Ty przepraszasz, Mark?! Za co?! Ach tak, za swoją obłąkaną żonę... Która niczego nie pamięta! Którą znalazłeś godzinę temu na dworze w koszmarnym stanie! Która miała na sobie to - wyrzuciła na środek pokoju

-

mokry kombinezon, buty i podarte, brudne rękawiczki. - No dalej, opowiedz im o wszystkim!

Bezsilnie opadła na ciuchy i zanosła się płaczem.

Zapiesocka nie miała siły być dłużej świadkiem tej dramatycznej sceny. Na jej twarzy pojawiły się wypieki, a oczy napelniły się łzami. Wstała gwałtownie z fotela.

- Chodźmy stąd, panie Zwiagincew.

Ochrońnik posłusznie wraz z nią opuścił pomieszczenie. Zatrzymała się w niewielkiej odległości od domku, nabrała w dłoń śniegu i potarła nim twarz.

- Istny koszmar... Kto by przypuszczał? To przecież taka miła kobieta... Nie chcę mieć z tym nic wspólnego...

- Tak czy inaczej trzeba będzie sporządzić notatkę służbową - odparł. - Bądź co bądź rzeźby zostały zniszczone. I musi to pani poświadczyć.

- Nie ma mowy.

- W każdym razie będzie to trzeba jakoś wyjaśnić kierownictwu hotelu.

- To niech pan sobie wyjaśnia.

Nachmurzył się. Pomimo nocnych wybryków czuł do Olgi sympatię. Zapiesocka jednak prześcignęła go w miłości do bliźniego.

- Proszę zaczekać! - rozległo się za ich plecami.

Dogonił ich zziębnięty, zaczerwieniony od szybkiego biegu Mark.

- Proszę zaczekać, muszę z państwem porozmawiać!

- Powinien pan być zostać z żoną, proszę pana - zauważyła Natalia. - Jest pan jej teraz potrzebny.

- Tak, wiem... Ale... Przepraszam, że państwa okłamałem. Że ona... Że przez cały czas byliśmy razem. Chciałem ją ochronić.

- Przede wszystkim musi ją pan teraz chronić przed samą sobą.

A to baba! - Zwiagincew był mile zaskoczony. - *Ma rację. Świetnie to ujęła! Nawet Wołodia, urodzony pisarz, nie wyraziłby tego lepiej.*

- Często jej się to zdarza? - Zapiesocka przejęła inicjatywę.

- Nie, przysięgam, że nie! - odpowiedział wystraszonego głosem. - To był pierwszy raz...

- Napady niekontrolowanej złości na ogół nie wróżą nic dobrego i mogą doprowadzić do poważniejszej choroby. Powinien zobaczyć ją specjalista. Najlepiej psychiatra. Państwo są z Moskwy, prawda?

- Tak, zgadza się.
- Mam tam znajomego w prywatnym szpitalu psychiatrycznym. Zostawię panu adres.
- Ale nigdy przedtem się to nie zdarzało.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz - popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Czy mogłaby mi pani opowiedzieć, jak do tego doszło?

Po raz kolejny zaczęła opowiadać przykrą historię o zdewastowanych rzeźbach w lodowym miasteczku. W miarę zbliżania się opowiadania do końca, twarz Marka stawała się coraz bardziej posepna.

- Diabli wiedzą, co jej jest! Prawdę mówiąc, dogoniłem państwa, żeby... żeby jakoś zrekompensować pani poniesione straty... i moralne, i materialne... - wyciągnął z kieszeni wypchany portfel. - Tysiąc dolarów wystarczy?

Zwiagincew przełknął ślinę. Za taką sumę Zapiesocka mogłaby wykupić pół sklepu z okularami.

- To niepotrzebne, młody człowieku - odpowiedziała wyniośle.
- Mam na imię Mark i mam trzydzieści pięć lat.
- Niech pan to schowa, panie Marku. I niech pan wraca do żony. Nie wolno jej teraz zostawiać samej w takim stanie.
- Jest z nią Inessa...

- Jej jest potrzebny mąż, a nie przyjaciółka - w głosie Zapiesockiej zabrzmiała taka pewność, że nawet Zwiagincew nie miał już żadnych wątpliwości, że Oldze potrzebny jest mąż, a nie przyjaciółka. „Mąż, a nie przyjaciółka” - to życiowe credo wszystkich samotnych kobiet, które pragną tylko jednego: przestać być samotne.

- Dobrze, zrozumiałem. Już idę. Aha, jeszcze jedno... Chciałbym, żeby nikt się nie dowiedział o tym nocnym incydencie... Jeśli to jest oczywiście możliwe - posłał jej błagalne spojrzenie. - Mogę liczyć na pani dyskrecję?

- Tak. Obiecuję zachować to dla siebie. Dobranoc.

I, zapomniawszy pożegnać się z ochroniarzem, ruszyła ścieżką prowadzącą do hotelu. Pał Pałycz odprowadzał ją spojrzeniem pełnym niemego zachwytu. *Niezła sztuka! Zero tłuszczu! Popatrzyłoby się na nią w saunie! Odmówiła przyjęcia pieniędzy. Ja na pewno bym nie odmówił, ale kto zaproponuje cokolwiek staremu dziadowi? A na dodatek, kiedy było trzeba, okazała się wspaniałomyślna. Potrafiła zachować się jak człowiek.*

- Chciałbym z panem porozmawiać - Mark przerwał jego rozmyślenia, kiedy kobieta znikła już z zasięgu wzroku.
- To nie jest chyba odpowiednie miejsce na rozmowę.
- Ma pan rację. A bar jest jeszcze czynny?
- Jest otwarty do szóstej rano - odpowiedział z ożywieniem Zwiagincew.
- Może tam pójdziemy? Ja stawiam.

* * *

Bar był prawie pusty.

Tylko kilku najbardziej wytrwałych zapaleńców zgromadziło się przy kręglach. Zwiagincew rozpoznał wśród nich Włada i Jurika. Skinął im głową, ale nie raczyli odpowiedzieć na jego powitanie.

Mark zamówił dla niego piwo, a sobie wziął koniak.

Ale rozmowa nie kleiła się, mimo alkoholu. Jej temat był zbyt delikatny.

- Jak rozumiem, nie uda się zachować w tajemnicy tego, co się stało? - Mark zadał naiwne pytanie.

- Za bardzo się postarała - odpowiedział wymijająco ochroniarz. - Nie pójdzie, rzecz jasna, za to do więzienia, ale i tak sprawa jest nieprzyjemna. Sam pan rozumie, „Róża Wiatrów” to poważna instytucja.

- Tak, rozumiem.

- Nie rozumiem, po co to zrobiła? Nawet, jeśli nic nie pamięta, jak pan twierdzi...

- Nic - potwierdził z zapalem - i to mnie właśnie najbardziej przeraża.

- Mimo wszystko powinno być jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Jakie logiczne wytłumaczenie? Jest wytrącona z równowagi. To wszystko.

- Panie Marku, logika jest wszechobecna. Wszystko jej podlega - nawet niedorzeczne czyny. Trzeba tylko wybrać właściwy system współrzędnych.

- Sen - powiedział w zamyśleniu Mark. - Jej sen. Wszystko zaczęło się od snu. Śnili jej się ludzie, którzy byli wtopieni w lód. Ten sen ją przeraził. A później te dziwaczne wizje... ta jaskinia...

- A mnie się wydaje, że to wszystko nie jest takie proste. Pamięta pan, jak mówiła, że widziała tam zaginionego chłopaka... Kiryła Pozniakowa?

-

- Już to przerabialiśmy. Zobaczyła fotografię i jego twarz zakodowała się w jej podświadomości. I w którymś momencie powróciła w halucynacjach - spojrzął na ochroniarza z pobłażaniem.

Chyba nie bardzo się tym wszystkim martwisz, stary - pomyślał z niespodziewaną złością Zwiagincew. - *Siedzisz z jakimś starym dziadem i kroisz na kawałki własną żonę, jakbyś preparował zabę. Zupełnie jak w kryminałach Waśki. I piwo wziąłeś najtańsze...*

- No dobrze, załóżmy taką wersję - nie wytrzymał i beknął, kątem oka obserwując, jak po twarzy Krasińskiego przebiega cień pogardy. - Załóżmy, że tak było. Ale nie chodzi tylko o Pozniakowa. Przyniosłem tu pewne materiały. Pańska żona, jeśli mnie pamięć nie myli, wspominała coś o kobiecie. Mówiła, że zauważyła na jej ciele złoty łańcuszek i kolczyki w kształcie listków.

- Nawet to pan zapamiętał? Jestem pod wrażeniem.

- Tak więc rok temu w „Róży Wiatrów” zaginęło małżeństwo. Podobnie jak Pozniakowa, porwała ich lawina.

- Ale tu u was niebezpiecznie! To naprawdę ośrodek sportów ekstremalnych! Nie wspominało o tym w prospektach.

- Prospekty rozprowadzane są w celach reklamowych. A góry to góry. Nikt się nie uchroni przed nieszczęśliwymi wypadkami.

- I w tych nieszczęśliwych wypadkach też tkwi jakaś logika?

- Jak najbardziej. Kobieta, która zaginęła w zeszłym roku, miała takie właśnie złote kolczyki w kształcie listków. Przypomniałem to sobie, ponieważ znałem ją osobiście. I jak pan to wytłumaczy?

- Takich kolczyków jest całe mnóstwo. A poza tym, czy warto dawać wiarę podobnym zeznaniom?

- Powinno się ich przynajmniej wysłuchać.

- Naprawdę wierzy pan w istnienie jakiejś jaskini śmierci, w dodatku w pobliżu kurortu górskiego z niezłą reputacją? Nawet jak na nasze niespokojne czasy to już lekka przesada.

Ochroniarz zdmuchnął pianę, mruknął coś niewyraźnie, ale uchylił się od odpowiedzi. Rzeczywiście, jak się to głośno wypowie, cała historia brzmi jak scenariusz marnego filmu. To, co Zwiagincew potraktował tak poważnie, wyglądało jak kiepska parodia horroru, z głupią fabułą, z górą sztucznych trupów, ketchupem zamiast krwi i piłą elektryczną do éwiartowania zwłok w roli głównej.

- Jaki ma pan stopień? - zadał nieoczekiwane pytanie Mark.

Tego już za wiele! Miałbym teraz temu obmierzłemu typkowi wyciągać pod nos swoje skromne cztery kapitańskie gwiazdki!

- Aktualnie jestem w stanie spoczynku - odpowiedział skromnym głosem.

- Czyli od dawna nie ma pan praktyki. Widać, że tu u was cicho i spokojnie.

- No, nie mogę powiedzieć, że jestem zavalony pracą po uszy. Dzisiejszy wypadek z pana żoną należy raczej do wyjątków.

Nie miał zamiaru czepiać się znów tej nieszczęsnej Olgi, ale czuł się w obowiązku utrzyć nosa Markowi, który zbyt daleko się zagalopował.

- Niech mnie pan posłucha - oczy Marka błyszczały od wypitego koniak. - Spróbuję przedstawić panu swoją wersję wydarzeń. Nie będzie to dla mnie łatwe, gdyż wszystko to dotyczy mojej żony, ale...

- Jeśli to dla pana takie trudne, to proszę nie mówić. Doskonale rozumiem sytuację. Proszę się nie męczyć.

- A jednak chciałbym... Cały sęk w tym, że matka mojej żony odebrała sobie życie. Wiele lat temu. Nie powinno się już do tego wracać i na pewno bym tego nie robił, gdyby nie... gdyby matka Olgi nie cierpiała na poważną chorobę psychiczną. Olga była zbyt mała, żeby do końca zrozumieć jej śmierć. Teraz wygląda na to, że się z nią nie pogodziła i zaczynają to dręczyć.

- A wcześniej nic takiego nie przytrafiało się pańskiej żonie?

- Absolutnie nic. Olga jest bardzo zrównoważoną osobą. Pokusiłbym się nawet o stwierdzenie - za bardzo. Jest poniekąd introwertyczką. Rozumie pan, co mam na myśli?

Zwiagincew rozchylił wargi i wydał z siebie coś pomiędzy „yhm” a „mmm”. Coś mu świtało w głowie. Jak przez mgłę przypomniał sobie dwa terminy psychologiczne: „ekstrawertyk” i „introwertyk”, jednak nie pamiętał, co dokładnie oznaczają...

- Wszystko trzyma w sobie. Jest bardzo opanowana. W naszym małżeństwie bywały i ciężkie chwile, ale jej zachowanie zawsze było nienaganne. Kiedy tu przylecieliśmy, na lotnisku przyczepiła się do Olgi jakaś wróżka i nagadała jej, Bóg wie czego.

- A czego konkretnie?

- Skąd mam to wiedzieć?! Chyba coś o życiu i śmierci. Zwykle cygańskie brednie. I moja żona uwierzyła w tę bezsensowną przepowiednię. Sądzę, że

-

w tym właśnie należy upatrywać przyczyny jej obecnego zachowania. To jest źródło zła. Jej psychika okazała się za słaba... bezbronna... Za takie rzeczy deportowałbym z kraju całe to cygańskie tałatajstwo. Ale... Co się stało, to się nie odstanie. Najpierw ten jej nocny koszmar, który później powtórzył się na jawie. A dzisiaj znalazłem ją na śniegu niedaleko domku. Kompletnie nie pamięta, gdzie była i co robiła. A jak się okazuje, nieźle narozrabiała...

- To prawda - powiedział z żalem Zwiagincew.

- Wspominał pan o logicznym rozumowaniu. Z mojego punktu widzenia zachowanie Olgi jest w pełni logicznie. Te lodowe rzeźby dziwnie na nią działają. Jakby widziała w nich czyhające niebezpieczeństwo. Nie mówiłem tego panu... ale pierwszego dnia pobytu w „Róży Wiatrów” poszliśmy do tego miasteczka. Zrobiło na niej piorunujące wrażenie. Omal w nim nie zablądziła, a później wydawało jej się, że ktoś ją śledzi. Można zrozumieć, że usiłowała zniszczyć źródło zagrożenia. Uwolnić się od paraliżującego strachu. To objawy typowe dla psychozy maniakalno-depresyjnej.

- Zna się pan na psychiatrii?

- Wcale się na niej nie znam - Mark popatrzył na niego nieufnie. - Ale to są podstawowe zagadnienia. Na poziomie artykułów w czasopismach popularnonaukowych.

- Muszę przyznać, że pańska wersja jest dosyć przekonująca - poglądził się po wydełym od piwa brzuchu. - Ma pan wspomniała żonę. Jest bardzo piękna.

- Dziękuję. Wiem o tym.

- A kijek? - zapytał naraz Zwiagincew. - Kijek, którym... którym to zrobiła? Przecież twierdził pan, że się zgubił.

- Nie ja tak twierdziłem, tylko Olga. Ma pan kolejny dowód na to, że nie można wierzyć jej słowom.

- Tak. Mam...

- Mam nadzieję... - Mark przybliżył się do ochroniarza i zajrzał mu prosto w oczy - że pan też okaże wspomniałomyślność.

- Może pan na mnie polegać - Zwiagincew ze smutkiem pomyślał o tysiącu dolarów, leżących w portfelu Marka.

Tylko raz w życiu proponowano mu łapówkę: sto pięćdziesiąt dolarów i kupon flauszu na płaszcz. Za to, żeby zatuszował sprawę kradzieży czapki

z królika w mieszkaniu komunalnym. Wtedy odmówił przyjęcia „prezentu”.

- Wiedziałem, że mogę na pana liczyć. Dziękuję.

- Rozumiem pana sytuację.

- Nie, nie rozumie pan... Kocham swoją żonę. Nie mogę patrzeć, jak cierpi... jak się miota...

- O ile dobrze zrozumiałem, to jej dziwne zachowanie zaczęło się dopiero tutaj?

- Tak.

- W takim razie najlepiej pan zrobi, wyjeżdżając stąd. Żeby nie skazywać się na cierpienie i nie narażać żony na niepotrzebny stres.

- Już się o to zatroszczyłem. Wyjeżdżamy pojutrze. Wcześniej nie ma wolnych rejsów. Już zarezerwowałem bilety. Wczoraj wieczorem.

- Słuszna decyzja. Nie chciałbym utrudniać... Natalia Władilenowna też postąpiła szlachetnie, ale przecież nie da się cofnąć czasu ani zaprzeczyć faktom. Pańska żona ją uderzyła.

- Bardzo pana proszę...

- Nie twierdzę, że jest niebezpieczna, ale...

- Rozumiem pana. A teraz pozwoli pan, że się pożegnám. Powinienem do niej wrócić. Cieszę się, że pana poznałem. A jeśli chodzi o te zniszczone rzeźby... jutro pójdę do kierownika i pokryję wszystkie koszty.

Po wyjściu Marka Zwiagincew posiedział w barze jeszcze pół godziny. Rozmowa z Krasińskim przynębiła go.

Coraz bardziej szkoda mu było Olgi, a jednocześnie miał do niej dziwny żal. Jakby ta kobieta z czającym się w żyłach obłędem w jakiś sposób go zawiodła. Miał nadzieję, że po raz pierwszy w swoim długim, nudnym życiu rozwikła jakąś zagadkę. Ale okazało się, że ona wcale nie istnieje.

Wszystkie jego starania i wysiłki okazały się niepotrzebne i śmieszne. Ten bogaty Rockefeller w odpowiedni sposób zinterpretował wszystkie fakty i znalazł dla nich sensowne wytłumaczenie. Nie pozostaje mu nic innego, jak zamknąć śledztwo.

I raz na zawsze zapomnieć o tej całej historii.

A także o roli, którą w niej odegrał.

Siedział tak pogrążony w smutnych rozmyśleniach, gdy nagle w barze pojawiła się kolejna postać tej historii: wystrzyżona kocica. Od razu podążyła w stronę kręgli i włączyła się do gry. Nie było po niej widać ani przynębięnia ani nawet najmniejszej troski o losy przyjaciółki. Po prostu świetnie się

bawiła, tocząc kule. I nieźle jej to szło. Ograła nawet największych cwaniaków: Włada i Jurika Sierianowa, którzy musieli jej za to postawić kilka piw.

Kręgle - kapitalistyczny wymysł - wywoływały w nim irytację. Przypomniały mu się dawne czasy, okres stagnacji i czasopismo kulturalne „Nowości Dnia”. Uwielbiał je. Siedząc w swoim ulubionym trzecim rządzie w istniejącym jeszcze wtedy kinie „Bałtyk” i pochłaniając w ciemności drożdżowe paszteciki po trzynaście kopiejek za sztukę, z niesmakiem oglądał zamieszki rasowe w murzyńskich dzielnicach. Z nie mniejszą pogardą odnosił się do tego czarno-białego wynalazku - przedmiotu zbytku, na który nie było stać przeciętnego obywatela. Grę w kręgle również zaliczał do zbędnych luksusów. Dlatego ich nie tolerował. Podobnie jak i młodych ludzi z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, którzy potrafią się zdobyć jedynie na postawienie taniego piwa.

W ten oto sposób jego myśli wróciły do Marka Krasieńskiego. Widać, że kocha swoją żonę i że naprawdę się o nią martwi. Ale... Ale... Jego gotowość do podzielenia się z obcym człowiekiem skrzętnie ukrywaną rodzinną tajemnicą była co najmniej dziwna. I ta całkiem chłodna analiza zachowania żony - również. Jak gdyby znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Nawet te, które nie zostały zadane.

Przyjaciółka to skończona suka, mąż - szczywana bestia, a Olga - biedna kobieta.

Oto cały układ.

Po dokonaniu tak wyczerpującej charakterystyki całej trójki Pał Pałycz postanowił udać się wreszcie na spoczynek. Kiedy tylko znalazł się w swoim barłogu, wziął do ręki zapisane kartki i porwał je na strzępy. Z obrzydzeniem odegnał generała-majora, który znów wypełził z za wątroby. Intuicja go zawiodła i zostanie za to surowo ukarana.

Tylko ta książka Wołodii...

Kołysanka dla języka stanęła po stronie generała-majora, jakby sam Wołodia próbował mu coś powiedzieć, wychyliwszy z nieba kosmatą głowę.

Nie, to pewnie tylko jego chora wyobraźnia.

Tak samo chora, jak Olgi. Na pierwszy rzut oka wydaje się to wszystko irracjonalne. Jednak już na drugi...

A co, jeśli ta jej choroba pozwala jej widzieć zjawiska niedostępne rozumowi zwykłego śmiertelnika? Może ona ma na przykład rozwinięte

zdolności paranormalne? Zwiagincew nie był w stanie tak całkiem odrzucić czającego się w duszy podejrzenia. Podarte kartki nie dawały mu spokoju. Wyrzucał je drzwiami, a one wracały oknem. Jest bowiem jeszcze jeden szczegół, o którym dowiedział się od Natalii, a którego nie ujawnił Markowi.

Olga widziała fotografię, która mogła jej utknąć w podświadomości, a później w którymś momencie się zmaterializować. Jednak zmaterializowana podobizna Kiryła różniła się od tej ze zdjęcia jednym ważnym detalem.

Zadrapaniem na policzku.

Twarz na fotografii była gładka jak pupa niemowlaka. Zadrapanie pojawiło się dopiero na dzień przed zaginięciem. Albo śmiercią. Natalia twierdzi, że Kirył podrapał sobie policzek o warstwę lodu. Olga nie mogła mieć więc pojęcia o tej ranie, gdyż jej wcześniej nie widziała.

Skądś ją jednak pamiętała. Mówiła o niej. Nie wolno tego zlekceważyć.

Ale tak naprawdę niewiele mu to daje. Ma związane ręce. To niespodziewane rozdwojenie jaźni biednej Olgi pozbawiło go swobody działania. Z całego tego pokrętnego rozumowania wypływał tylko jeden wniosek: należałoby wysłać oddział ratowników i paru ochotników na poszukiwanie wjazdu do jaskini (pod warunkiem, że wjazd i jaskinia nie istnieją jedynie w wyobraźni Krasińskiej). Sprawni młodzi mężczyźni są w stanie przeszukać skały w przeciągu kilku dni. Jednak wprowadzenie w czyn tego planu jest praktycznie niemożliwe. Zabiją go śmiechem, kiedy się dowiedzą, jaki jest cel ich poszukiwań. I to, że działa na prośbę niezrównoważonej kobiety, nie pozostanie długo tajemnicą. Już pewnie nią nie jest. Teraz, po zniszczeniu lodowego miasteczka, kiedy nieszczęśliwy mąż, trzęsąc sakwą, pójdzie dogadywać się z administracją hotelu, cała ta historia wypłynie na wierzch.

To po pierwsze. A po drugie, nawet jeśli ktoś zgodzi się mu pomóc, nie ma żadnej gwarancji, że do niewielkiego oddziału wolontariuszy nie przeniknie „opiekun” jaskini (pod warunkiem, że jaskinia i jej „opiekun” naprawdę istnieją). Zwiagincew nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że musiałby on mieć jakiś związek z „Różą Wiatrów”. Do swoich podartych *Czynności Dochodzeniowo-Śledczych* zapomniał dopisać jeszcze jeden - szósty punkt: zebrać informacje o ratownikach.

Ta oczywista myśl przyszła mu do głowy dzisiaj w nocy, w barze, kiedy przyglądał się, jak Wład i Jurik grają w kręgle. To właśnie ratownicy górscy mają odpowiednie przygotowanie i doskonałą orientację w terenie. Tylko oni mają w małym palcu wiedzę o lawinach i potrafią szukać ofiar. Tylko oni są przez cały czas mobilni i mają nieograniczoną swobodę ruchów. No, bo przecież żadna pokojówka nie bawiłaby się po pracy w przeciąganie trupów po śniegu. Albo jakiś tępawy facet z obsługi wyciągów, który za najbardziej atrakcyjną uważa saunę z preferansem. Ratownicy zaś to zupełnie inna bajka.

Zwiagincew poczuł, że świerzbą go ręce. Wiedział, co się święci. Włączył światło, wyciągnął kolejną kartkę i napisał:

Ratownicy:

Jonasz - czarny koń. Bezczelny cham.

Wład - ratownik z powołania, amator poszukiwań w pojedynkę i długich samotnych spacerów. Skryty cham.

Ahmed - babiarnik, zasłużony sportowiec, mistrz łózkowej akrobatyki. Cham z obcym akcentem.

Jurik Sierianow - spec od spraw technicznych. Cham okazjonalny.

Wasia Sikaczyński - jedyna przyzwoita osoba. Pisarz.

Gdy to napisał, uświadomił sobie, że zwięzłość danych opisów wynika z jego subiektywnych odczuć. Nigdy wcześniej nie podejrzewał, że niemal wszyscy ratownicy wywołują w nim aż tak negatywne emocje. Jednak nic w tym dziwnego. Odpłacają mu tym samym. Uważają go za starego bezużytecznego ramola, obżerającego się za cudze pieniądze. I na dobrą sprawę mają rację. Jest zupełnie niepotrzebny w tym ośrodku - najbardziej spokojnym miejscu pod słońcem, w którym kłopot sprawić mogą jedynie góry i lawiny. A przecież górcom nie można założyć kajdanek ani skazać je na krzesło elektryczne, nawet jeśli dopuszczają się morderstwa. Umyślnego bądź nie...

Westchnął ciężko.

Przy całej swojej zdecydowanej antypatii do ratowników musiał przyznać, że żaden z nich nie jest typem maniaka. Chociaż w sumie... przecież maniak nie ma wyrzytego na czole napisu: „Hej, jestem maniakiem!”. Wprost

przeciwnie, wszyscy maniacy są bardzo mili i nie wzbudzają niczyich podejrzeń. Za czasów swojej pracy na komisariacie zetknął się z jedynym przypadkiem schwywania seryjnego mordercy - niejakiego obywatela Ipatiewa, starszego wykładowcy w instytucie filozofii. Był przesympatyczną osobą, na poczekaniu cytował wybrane tezy z filozofii Nietzschego, Junga, Schopenhauera i kilku innych mądrali, których nazwiska wywoływały u wszystkich dreszcze. Zwiagincew darzył go ogromnym szacunkiem i gdyby wiedział o istnieniu studenckiego hymnu „Gaudeamus igitur”, z pewnością nauczyłyby się go, by zaśpiewać na cześć Ipatiewa. Starszy wykładowca był ze wszystkimi zaprzyjaźniony i bez problemu przechodził z jednego języka na drugi. Jednakże ani jego uczoność, ani nieposzlakowana opinia w miejscu pracy nie przeszkodziły mu w mordowaniu młodziutkich dziewczyn.

Ochroniarz pomimo niezbitych dowodów nie uwierzył do końca w winę filozofa Ipatiewa...

I nie uwierzy w winę żadnego z ratowników.

Fajne chłopaki. Ulubieńcy dziewczyn, kobiet i dzieci.

Dzieciaki chodzą za nimi całą chmarą i błagają, żeby nauczyli je szybkiej jazdy na nartach. Tarmoszą za uszy ich psy, w nadziei, że się z nimi zaprzyjaźnią. Z niecierpliwością czekają na kolejne lawiny, żeby zobaczyć ich w akcji. Czasami pomiędzy nimi nawiązuje się prawdziwa przyjaźń. Zwiagincew przypominał sobie jedną taką historię z udziałem Włada i młodego chłopaka o imieniu Losza. Wraz z matką zajmował pokój, w którym później mieszkał zaginiony Kirył.

Matka Loszy przyjechała w góry jedynie po to, żeby się opalić. Najwyraźniej podobała jej się góraska opalenizna. Nie miała nawet porządných nart, tylko tanie biegówki. Losza miał wprawdzie deskę snowboardową, ale też kiepską. I oto, podczas gdy matka pobierała kąpiele słoneczne, chłopak zjeżdżał na desce i złamał sobie nogę. Potem całymi dniami musiał siedzieć w pokoju z nogą w gipsie. Nudził się jak mops, aż do czasu, kiedy Wład, który bardzo się do niego przywiązał, wpadł na genialny pomysł zbudowania rzeźby-śnieżnej. Aby urozmaicić mu widok z okna.

Do akcji przyłączyli się Jonasz, Waśka i Jurik Sierianow. Ahmed, który każdą noc spędzał na kolejnych miłosnych uciechach, odmówił udziału w tych pracach. Ale wszystko udało się i bez niego. Jurik z części zapasowych

do armatki śnieżnej zmontował coś w rodzaju przenośnej pompy ręcznej do oblewania rzeźb z lodu. Później, po wyjeździe Loszy lodowe miasteczko zostało uzupełnione o kopie wspaniałych rzeźb. Jednak już na zawsze pierwszą postacią lodowego miasteczka pozostał Kubuś Puchatek - całkiem nieźle go odwzorowali. Waśka jakoś przy okazji zdradził Zwiagincewowi (skąd on sam o tym wiedział, do tej pory pozostaje tajemnicą), że Wład studiował kiedyś rzeźbiarstwo w Instytucie im. Surikowa. Zdarzyła się tam jakaś podejrzana historia i Wład po trzecim roku został wyrzucony ze studiów.

Ta historia nieoczekiwanie mu się przypomniała i to zmusiło go to do dalszych refleksji.

Podrapał się w kroku, co u niego zawsze oznaczało najwyższy stopień wysiłku intelektualnego. Krasieńka przy opisie cholernej jaskini przez cały czas używała terminu „rzeźby”. I chyba nie była daleka od prawdy.

Każdy z ratowników - z wyjątkiem dzikiego Ahmeda, który ma dwie lewe ręce i operować potrafi jedynie swoim członkiem - umiałby wyrzeźbić dowolną rzecz. Jeden lepiej, drugi gorzej - to już inna kwestia. Jednak kiedy ma się do dyspozycji wspaniałe nieruchome modele, nie potrzeba raczej wielkich umiejętności ani dużego wysiłku.

Ale... Kimkolwiek nie byłby ten nietypowy kolekcjoner, na pewno już wie, że jego pieczolowicie ukrywana tajemnica została odkryta. I podejmie wszelkie niezbędne środki ostrożności. Waśka Sikaczyński znalazłby tysiąc sposobów na popełnienie przestępstwa i zatuszowanie śladów. Ludzie zakuci w lód - to fabuła w jego stylu. Tylko on mógłby wpaść na pomysł lodowej jaskini, po brzegi wypełnionej zwłokami. W swoich czterech ostatnich powieściach upodobał sobie właśnie maniaków: maniak-pedofil, maniak-entomolog z kolekcją motyli pod pachą, maniak-prawiczek i maniak-wykładowca mechaniki kwantowej. W ostatniej powieści występował nawet maniak-konduktor, który załatwiał swoje ciemne interesy w pociągach międzynarodowych. Obawiając się zdemaskowania, zainscenizował morderstwo i podrzucił kilka dowodów rzeczowych, świadczących przeciwko całkowicie niewinnym osobom.

Ale gdzie się podział Waśka? W pozostawionej przez niego wiadomości - jeśli to rzeczywiście była wiadomość od niego - podany jest dokładny czas powrotu: „będę jutro pod wieczór”. Jutrzejszy wieczór zmienił się już we wczorajszy, a jego ani widu, ani słyhu. A może...

Zwiagincew potrząsnął głową, odpędzając od siebie absurdalną myśl o winie Wałki.

Nie doszedł do żadnego konstruktywnego wniosku i w końcu zasnął.

Tej nocy nie śniły mu się koszmary, jeśli nie liczyć oczywiście prześladowającego go pliku banknotów - tysiąca dolarów, który we śnie urósł do kolosalnych rozmiarów.

Zaraz po przebudzeniu przypomniał sobie o Oldze i o wszystkich nieprzyjemnych wydarzeniach minionej nocy.

Samo lodowe miasteczko mało go obchodziło. Był obojętny na wszelkie rodzaje sztuki. Nie ruszała go ani jej różnorodność, ani jej piękno. Niemal całe życie mieszkał w Sankt Petersburgu, ale w Ermitażu był tylko jeden jedyny raz. I to nie sam. Zaprowadził tam dwóch siostrzeńców, którzy przyjechali do niego z Bijska na wakacje. „Tato, jak ci nie wstyd?” - mówił Wołodia. Zwiagincew wzdychał, ale nic nie mógł na to poradzić. Tak naprawdę podobał mu się tylko obraz „Znowu dwójka” i to wyłącznie dlatego, że przedstawiony na nim chłopiec przypominał mu siebie z dzieciństwa - ostrzyżonego na lysa urwisa.

Ale cała reszta...

A, do diabła z tym miasteczkiem! Tylko co, jeśli Zapiesocka zmieni zdanie i jednak nie daruje Oldze? Tak go zdenerwowała ta ostatnia myśl, że nawet nie opłukał zapuchniętej twarzy, tylko czym prędzej poszedł do Natalii.

Kobieta zajmowała pokój numer dwadzieścia trzy na pierwszym piętrze (w hotelu był dość dziwny sposób numeracji, która rozpoczynała się od góry, od drugiego piętra). Znalazłszy się przed drzwiami, delikatnie zapukał. Żadnej reakcji. Podreptał chwilę w miejscu i już miał zamiar odejść, kiedy nagle zauważył, że drzwi są lekko uchylone. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu, delikatnie je pchnął i wszedł do środka. Niemal natychmiast z sąsiedniego pokoju dobiegły go przytłumione głosy. Na leżały do kobiety i mężczyzny. Nieco go to zaskoczyło. Zapiesocka była taka załamana po zaginięciu Kiryła... a teraz, proszę, jest z jakimś facetem... I wierz tu człowieku w wieczną miłość!

Zrobiło mu się głupio. Ruszył w kierunku drzwi wejściowych w momencie, kiedy głosy znacznie się już zbliżyły. Na tyle blisko, że można było usłyszeć finał rozmowy:

- ...mam nadzieję, że nikt się o tym nie dowie - powiedział mężczyzna, po czym drzwi do pokoju się otworzyły.

Stała w nich Zapiesocka i... Mark.

Ochroniarz poczuł się bardzo niezręcznie.

- Dzień dobry - powiedział ochryplym, skruszonym głosem - było otwarte...

- Co... Co pan tutaj robi?! - zapytała Natalia podniesionym głosem.

- No... Przyszedłem... wyrazić swój głęboki szacunek - powiedział z miłą świętoszka.

Kobieta była w szlafroku z frotty i miała mokre włosy. Mark, ubrany tak samo, jak wczorajszej nocy w barze, był nieco zmieszany.

- Szacunek! - roześmiała się nerwowo. - O dziewiątej rano?! Pan ma nie po kolei w głowie?!

Przeniosła spojrzenie na Marka i wolno, cedząc każde słowo, powiedziała:

- Najpierw jeden, potem drugi... Przecież już mówiłam, że nie będę rozdmuchiwać tej sprawy... Obiecałam. Czy to wam nie wystarczy?

- Proszę o wybaczenie! - teraz przyszła kolej na przeprosiny Marka. Opanował już mieszanie i przyjął swoją zwykłą dumną postawę.

- Bóg panu wybaczy! I proszę się zaopiekować swoją żoną.

- Ja, właściwie, przyszedłem z tego samego powodu - wtrącił Zwiagincew, żeby zachować chociaż resztki honoru.

- Sprawa załatwiona. Do widzenia!

Natalia prawie wypchnęła ich za drzwi. Przez chwilę stali w milczeniu na korytarzu, po czym jako pierwszy odezwał się ochroniarz:

- Znowu proponował jej pan pieniądze w ramach zadośćuczynienia?

- A jakże.

- I znowu odmówiła?

- Tak.

- Na jej miejscu bym nie odmawiał - wyrwało mu się.

Mark puścił tę uwagę mimo uszu i zapytał:

- A pan, co z tym zrobi?

- Ja tak samo... nie chcę nadawać rozgłosu tej sprawie.

- Dziękuję.

Po tych słowach uściśniły sobie dłonie i rozeszli się w różne strony.

* * *

Wszystko skończone.

Pozostaje jej jedynie powolne dogorywanie w swojej klatce, chodzenie z kąta w kąt i gapienie się na życie normalnych ludzi. A psychicznie zdrowe matki będą pokazywać swoim psychicznie zdrowym dzieciom tabliczkę z napisem „wariatka”.

Dzisiejszej nocy po raz pierwszy zobaczyła w oczach Inki błysk niezdrowej ciekawości, kiedy jej najlepsza przyjaciółka natrętnie dopytywała się o to, czego Olga zupełnie nie pamiętała.

- Jakie to wszystko dziwne, Olusza, wyglądasz całkiem normalnie - w ustach Inki zabrzmiało to jak wyrok.

Zgadza się, póki co wygląda całkiem normalnie. Tylko podkrążone oczy zdradzają jej wewnętrzne rozbitcie. Ale jak długo potrwa jeszcze ta normalność?

Boże, jak oni na nią patrzyli! Nawet ta niedowidząca Natalia miała w swoim spojrzeniu wyraz wyrozumiałości i szlachetności. A temu grubemu detektywowi - czy jak go tam zwać - też było jej żal: „Masz pecha, dziewczyno, wypijmy za twoje cudowne wyzdrowienie. I za leczenie w zamkniętej klinice z gumowymi ścianami. W takiej cię właśnie umieszczą, ponieważ jesteś niebezpieczna dla otoczenia. Uderzyłaś niewinną kobietę”.

Zacisnęła zabandażowaną dłoń. Dziwna sprawa, kompletnie nie pamięta ciosu zadanego Zapiesockiej. Po co to zrobiła?

Inkę zmienił Mark. *No oczywiście, trzeba mnie teraz pilnować jak wściekłego psa.* Widziała, jak wcale się z tym nie kryjąc, chowa przed nią wszystkie ostre przedmioty: nożyczki do manicure, pilniczek do paznokci, swój szwajcarski scyzoryk i niewinną brzytwę firmy Gillette z podwójnym ostrzem. Tak samo, jak robił to kiedyś jej ojciec. Przerażające podobieństwo. Trzeba przyznać, że Markowi idzie to całkiem sprawnie. Widać, że potrafi obchodzić się z wariatami...

- Mark! - zawołała męża w momencie, kiedy upychał po kątach potencjalne narzędzia zbrodni. - Zapomniałeś o kijku narciarskim. Całkiem nieźle nadaje się do tego, by komuś wykłuć oczy.

- Nie wiem, o czym ty mówisz, cara! - zmieszał się i schował ręce za plecy.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Tak, oczywiście...

Usiadł w fotelu. Nawet nie pomyślał, żeby usiąść tuż koło niej. Jej umysł skrupulatnie odnotowywał wszystkie te szczegóły.

- Boisz się mnie, Mark? Mnie, swojej żony?
- Ależ o czym ty mówisz! Jak możesz tak myśleć, cara?
- Wobec tego wytłumacz mi, co się ze mną dzieje?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
- Po raz pierwszy w życiu nie pamiętam, co się ze mną stało. Wierzysz mi?

- Oczywiście.

- Ale teraz jestem sobą. Mogę opowiedzieć ci o naszej Wenecji. O tym, jak w zeszłym roku przechodziłeś grypę i nie poszedłeś na zwolnienie lekarskie. O tym, jak strasznie bałam się powikłań. I jak karmiłam cię miodem z orzechami, a dopiero potem dowiedziałam się, że to raczej wpływa na potencję, a nie leczy grypę. Jestem sobą... Wierzysz mi?

- Oczywiście - powtórzył ostrożnie.

- Chodź do mnie... Chciałabym być teraz z tobą bardzo blisko... Chciałabym się z tobą kochać - *Boże, po co to mówię? Moje słowa przerażają Marka. Widać to gołym okiem. Jego twarz wyraża silne napięcie... Po co mu to wszystko mówię?*

- Chcę się z tobą kochać...

- Myślę, że to nie jest odpowiednia pora, cara - nigdy jeszcze nie był wobec niej taki obojętny.

Zacisnęła pięści.

- Odpowiedniej pory już nie będzie, Mark.

- O czym ty mówisz?

- Oddasz mnie do wariatkowa i będą mnie tam faszcerować prochami, zawijają w mokre prześcieradła i zakładają kaftan bezpieczeństwa.

- Ależ nie przesadzaj, cara... Są inne - mniej drastyczne metody.

I tu cię mam, mój kochany mężu, mój namiętny kochanku z głową na karku...

- Mniej drastyczne metody? Czyli myślisz już o mniej drastycznych metodach?

- Cara! Postaraj się opanować emocje.

- Rozmawiasz z wariatką, Mark! Jak można przemówić do rozsądku szaleńcowi? Jak można dogadać się z wariatem? - roześmiała się histerycznie.

- Nie pogarszaj sprawy, proszę.
- Nie waż się na mnie krzyczeć!

To było niesprawiedliwe z jej strony. Wcałe nie podniósł na nią głosu. Siedział w fotelu i spokojnie z nią rozmawiał. Był tylko taki obcy. Taki daleki. W pełni zdrowy na ciele i umyśle.

- Wybacz mi, Mark... sama nie wiem, co mówię... - wyciągnęła do niego rękę. Poddał się i znów był tym, którego kochała...

Wtuliła się w jego ramiona i zaczęła gorzko płakać.

- Zabierz mnie stąd, Mark.
- Ależ oczywiście... Niech będzie przekłete to miejsce... Nie wybaczę sobie, że cię tu zabrałem.
- Powiedz mi... Powiedz, co jeszcze zrobiłam?
- Wszystko już wiesz, cara. Po co do tego wracać?
- Dziękuję, że starałeś się mnie bronić. Chociaż to było głupie... - znów się rozkleiła. - Nie mogę... Nie mogę tu dłużej zostać. Jeszcze jeden dzień i całkiem popadnę w obłąd. Przecież w Moskwie wszystko było dobrze, prawda?

Spojrzała mu błagalnie w oczy.

- Naturalnie - spuścił wzrok. - W Moskwie wszystko wróci do normy. Jeśli cię uspokoi, to zarezerwowałem bilety na pojutrze. Lecimy do domu.

- My?
- No, tak. Ty i ja. Inka zostaje. Spodobało jej się w tym ośrodku.
- Ach tak!? Czyli zdążyłeś już to z nią ustalić? Bez mojej wiedzy?
- No... - na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji - ...ale co w tym złego? Jak by nie patrzeć, należy do rodziny.
- Wcześniej jakoś wołałeś o tym nie pamiętać.
- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. O co ty mnie podejrzewasz?
- A dlaczego dopiero pojutrze? - raptem obudziła się w niej nadzieja. Wyjadą stąd i wszystko będzie jak dawniej. Wymażą z pamięci cały ten przekłety koszmar.

- Ponieważ wcześniej nie było wolnych rejsów, cara. A nie ma sensu sterczeć w jakimś zaniedbanym hotelu i jeść z jednej miski z karaluchami, skoro mamy do dyspozycji taki wspomniały domek.

- Nie rzucisz mnie?
- Oczywiście, że nie...

- Wiesz co? Powinieneś mnie tu zamknąć na cztery spusty. I nie wypuszczać aż do wyjazdu, żebym nie narobiła jakichś głupstw...

- Głupstwa to ty teraz wygadujesz. Trzymać cię pod kluczem? Co to za idiotyczny pomysł?

- Ale może tak będzie lepiej?

- Lepiej będzie, jeśli przestaniesz o tym myśleć - zbliżył do niej twarz, pełną rozpacz i nadziei.

- Trzymaj się, cara! Błagam, trzymaj się! Nie pozwól, żeby to tobą zawładnęło. Walcz! Zrób to przynajmniej dla mnie.

- Postaram się, kochanie.

- Wiem... Jesteś bardzo mądrą dziewczynką. Moją dziewczynką. Tylko moją...

Mój Boże, jak mogłam dopuścić do siebie takie złe myśli o Marku? Nie każdy mężczyzna postąpiłby tak szlachetnie, jak on. No, chyba że jej ojciec, który kilka lat przeżył z niezrównoważoną psychicznie Mananą i nie opuścił jej ani na moment. W chwilach jasności umysłu matka umiała to docenić.

Aż pewnego dnia tak bardzo to doceniła, że postanowiła raz na zawsze uwolnić ojca od cierpienia. Olga zrozumiała to, kiedy już dorosła. A raczej nie rozumiała, lecz instynktownie wyczuła. Jej matka bez względu na to, jaką była wariatką, odebrała sobie życie, będąc przy zdrowych zmysłach.

Zrobiła to wyłącznie dla ojca, który podświadomie na to czekał.

Mała Olga też na to czekała.

A teraz przyszła kolej na Marka. On też będzie czekać.

Przez resztę nocy nie zmrúżyli oka. Leżeli obok siebie, nie dotykając się i oszukując się nawzajem, że śpią. Widziała, jak drgają mu powieki. On również widział lekkie drganie jej rzes. Jeszcze nie boi się spać z nią w jednym łóżku. Dzisiaj się nie boi.

Ale co będzie jutro?

To samo, co było z jej ojcem i Mananą. W ostatnim roku przed jej samobójstwem ojciec przeniósł się do pokoju gościnnego.

Ojciec.

Kiedy pojawił się Mark, Olga niepostrzeżenie wymknęła się spod jego opieki. Tak naprawdę stało się to już nieco wcześniej, kiedy Inka zaczęła być dla Igora Anatoliewicza całym światem. Wyraźnie wygrywała w starciu z

nudną córką. Potrafiła być rozkapryszonym dzieckiem, które stale domaga się lodów, a w chwilę później czarującą kobietą, która stale domaga się seksu.

Jednego tylko nie umiała - być nudna.

To dobrze - myślała Olga.

To bardzo dobrze. Nawet jeśli coś jej się stanie, ojciec będzie miał gotową do reprodukcji Inkę. Urodzi mu zdrowego, nieobciążonego genetycznie syna. Albo dwóch synów. Albo syna i córkę. Dziewczynce na pewno nie dadzą imienia Olga, na cześć starszej siostry, żeby nie daj Boże nie podzieliła jej losu... Dziewczynka będzie podobna do Inki.

A Mark, zanim po raz drugi się ożeni, dokładnie przestudiuje dokumentację medyczną potencjalnej kandydatki...

* * *

Kiedy się obudziła, Marka znów nie było.

Przeszła się po pokoju. Zajrzała do łazienki. Nic. Nie zostawił żadnej wiadomości.

Wprawdzie w jego zachowaniu nie zaszły duże zmiany, ale teraz była na wszystko bardzo wyczulona. Zwykle pisał zabawne, a zarazem wzruszające liściki na małych karteczkach i zostawiał je w najmniej oczekiwanych miejscach: w jej bieliźnie, butach, pralce, czy mikrofalówce. Ich treść zawsze sprowadzała się do tego samego: „kocham, kocham, kocham”. Nawet tu napisał jej taki liścik.

Ale to było jeszcze przed... Przed wszystkimi tymi koszmarnymi halucynacjami.

Teraz musi się stopniowo przyzwyczajać do nowej rzeczywistości, do nowego realnego, lub przeciwnie - nierealnego życia, w którym nie będzie już takich karteczek.

- Mark! Ty świnió! Ty podła świnió! Zdradziłeś mnie! - krzyknęła w poczuciu bezradności, stojąc pośrodku pokoju. Słowa odbiły się echem od ścian i ugodziły ją w samo serce. - W jej wściekle bijące, szalone serce...

Z obawą podeszła do drzwi i rozpaczliwie szarpnęła klamkę. A co, jeśli rzeczywiście zamknął ją, żeby uniknąć kolejnych ekscesów?

Drzwi były jednak otwarte.

Dziękuję Mark. Dajesz mi wolność wyboru.

Siedzenie w domku było nie do zniesienia. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Poszła więc powłóczyć się po „Róży Wiatrów”. Musi tylko przeżyć jeszcze dzisiejszy dzień i opuszczą ten hotel na zawsze. Jonasz, z którym ostatecznie nie zgrzeszyła, odwiezie ich na lotnisko i po upływie kilku godzin będą już w Moskwie. Bezpiecznej, kochanej Moskwie. I wszystko będzie dobrze. Dołoży wszelkich starań, żeby Mark zapomniał o tym przykrym wypadku. Będzie dobrą, rozsądną dziewczynką. Żadnych proszków nasennych na noc. Tylko miłość. Będą się kochać aż do wyczerpania. Do mokrych od potu włosów. Do trzeciego piania koguta, mimo że w Moskwie trudno go znaleźć...

Oby udało jej się wyrwać z tego zakłętego kręgu i podrzucić górą swoją chorobę, jak podrzuca się niechciane dzieci do Domu Małego Dziecka: zawiniętą w kołderkę, z przywieszką na grubiućkiej rączce... Trzeba tylko doczekać jutra.

Dzień był nadzwyczaj słoneczny. Wokół mnóstwo mieniącego się na niebiesko śniegu, mrozu i błękitnych gór. Niepowtarzalna paleta barw, niepozostawiająca cienia wątpliwości: wszystko będzie dobrze. Dziwne, że właśnie teraz ogłoszono stan alarmowy. Wychodząc z domku, słyszała w radiu ostrzeżenie przed śnieżycą. Położone w dole schroniska turystyczne ucierpiały już po zejściu lawin. Kilka przełęczy znalazło się pod śniegiem. Ciekawe, jak Mark zamierza dostać się do miasta? Za parę godzin będą pewnie odcięci od świata. Musi go namówić, by opuścili „Różę Wiatrów” jeszcze dzisiaj. Jeśli oczywiście Jonasz zgodzi się ich odwieźć. On chyba też zaczyna jej nienawidzić. Podobnie jak cała reszta...

Spotykani po drodze beztroscy, pewni siebie narciarze w drogich kombinizonach najwyraźniej nie przejmowali się osobliwościami natury i zbliżającym się żywiołem. Szczęrzyli porcelanowe zęby (minimum pięćset dolarów za sztukę!) i nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

Niczym się spośród nich nie wyróżniała. Była jak wszyscy. To dodawało jej sił i przepęłniało ją uczuciem triumfu.

Jak wszyscy, jak wszyscy, jak wszyscy!

Po kilku minutach dotarła do budynku, w którym mieściły się wszystkie niezbędne służby, włącznie z dobrze wyposażonym punktem medycznym. Nagle stanęła jak wryta. Z gabinetu lekarskiego wychodził Mark. Właściwie

mogła się tego spodziewać, ale mimo wszystko była zaskoczona.

Piękna gama otaczających ją barw momentalnie pokryła się szarością.

Mark jak zwykle chciał przygotować się na każdą ewentualność. Przyszedł zapewne na konsultację na wypadek, gdyby jego najukochańsza żona znów dostała ataku.

Znów poczuła wzbierającą falę złości. Tym razem przesadził! Chyba postanowił ją wykończyć psychicznie.

Poczekala, aż zniknie za zakrętem, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła do punktu medycznego. Wbiegła po schodkach i pchnęła drzwi.

Lekarz nazywał się Artiom Lwowicz.

Poznała go dzień wcześniej. Przyszedł z wizytą po jej nocnej górskiej wyprawie, ponieważ bardzo bolało ją gardło i wyglądało to na początki grypy bądź anginy.

Artiom Lwowicz, mężczyzna około trzydziestki, w okularach, z ogoloną na łyso głową, podobny nieco do Majakowskiego, siedział w fotelu z opartymi o stół nogami. Olga zwróciła uwagę na jego przepiękne buty.

Widząc, że wcale nie zdziwił się na jej widok, momentalnie stała się bardziej czujna.

- Witam panią - powiedział. - Właśnie o pani rozmawialiśmy.

- Wiem. Był tu mój mąż.

- W rzeczy samej - wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- I co pan zaordynował? - uznała, że ironiczny ton będzie najwłaściwszy. Osobom umysłowo chorym ironia jest bowiem całkowicie obca.

- To, co zwykle - nawet nie raczył zdjąć nóg ze stołu. - Aspirynę, leżenie w łóżku, okłady i kompresy na noc. Najlepiej z wódki. Niepotrzebnie wychodziła pani na dwór. Z gardłem nie ma żartów.

- Co tu ma do rzeczy gardło?

- Kiedy panią badałem, jeśli pani pamięta...

- Pamiętam! - podniosła głos. - Wszystko pamiętam!

- Ależ wierzę - uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Po co się tak zaraz unosić? Przecież nie jesteśmy na targu, żeby tak krzyceć.

- Co on panu powiedział?

- Kto?

- Mój mąż. Po co tu przyszedł?

- Po aspirynę.

-

- Kłamie pan. Mamy aspirynę. O czym rozmawialiście?
- Składałem przysięgę Hipokratesa, droga pani - spojrział na nią niewinnym wzrokiem.
- O wszystkim panu opowiedział, tak? - poczuła kolejną falę niepomowanej złości. Złości nie tylko Marka, ale i na tego лыsego chama. Na jej czoło wystąpiły krople potu.
- Co ma pani na myśli? - Jej nieszczególny wygląd chyba jednak na niego podziałał, bo w końcu zdjął nogi ze stołu.
- Doskonale pan wie, co mam na myśli... Zostawił mnie w domku, a sam przybiegł tu, żeby namówić pana na wstrzyknięcie mi jakiegoś świństwa.
- Proszę się uspokoić. Poniosła panią fantazja.
- Niech pan się nie waży poruszać tematu moich fantazji - wprost dusiła się z wściekłości. Gdyby wpadł jej teraz pod rękę jakiś skalpel, posłużyłaby się nim bez wahania.
- Przykro mi, ale, niestety, jestem tylko zwykłym chirurgiem - przyglądał jej się badawczo. - W dodatku mam mało praktyki. A pani, zdaje się, rzeczywiście potrzebny jest psychiatra.

We wszystkim jest zorientowany. A jakżeby inaczej?! Ten troskliwy Mark, od dawna marzący o prywatnym psychoanalityku, podzielił się z tym konowałem swoimi obawami. I słusznie, tak postąpiłby na jego miejscu każdy rozsądny człowiek.

Olga rzuciła lekarzowi nienawistne spojrzenie i wybiegła z gabinetu.

Nawet rześkie górskie powietrze nie przyniosło jej ulgi. Miała mroczki przed oczami, a suchość w ustach, do której zdążyła się już przyzwyczaić przez te kilka dni, jeszcze się nasiliła. Nie mijają również uczucie wściekłości. Ukryte głęboko w sercu raz za razem zalewało ją potężnymi falami.

Ostatkiem sił dotarła do domku. Dopiero na schodkach zorientowała się, że zapomniała kluczy. *Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzało.* Na szczęście obeszło się bez nich.

Drzwi były otwarte. *Tym lepiej.* To znaczy, że Mark najprawdopodobniej jest w domu i wreszcie będzie miała okazję poważnie z nim porozmawiać.

Mark rzeczywiście był w środku. Siedział przy komputerze i w skupieniu pisał jakiś tekst. Ruszał bezgłośnie wargami, a na jego czole pojawiła się głęboka pozioma zmarszczka.

- Uzupełniasz historię choroby, kochanie? - ton jej głosu nie wróżył nic dobrego. - I co ciekawego mamy w naszym wywiadzie lekarskim?

Zespół paranoidalny? Mania prześladowcza? Urojenia? Chora pragnie poznać całą prawdę, zanim zostanie umieszczona w domu dla czubków.

- O czym ty mówisz, cara? - uniosł głowę i spojrzał na nią pytająco.

- Już ty dobrze wiesz, o czym! - uniosła się. - Po kryjomu biegasz do tego doktorzyny, który udaje playboya, i donosisz o moim ciężkim stanie psychicznym. Widziałam cię.

- Faktycznie masz urojenia, cara - powiedział, starając się ukryć złość. - Nie mam już siły cię uspokajać.

- Wcale w to nie wątpię. Nawet wiem, co teraz zrobisz. Skończysz pisać na mnie ten donos i wyślesz e-mailem ojcu. A co tam, niech wie, że ma córkę schizofreniczkę!

Widać było, że Mark stara się opanować. Najwyraźniej obiecał sobie, że nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi. Powtarzał to sobie, gdziekolwiek był - pod prysznicem, na sedesie, w łóżku: nie przejmuj się, jeśli niczym nie możesz jej pomóc, to musisz to po prostu przeczekać.

Jednak widocznie jego cierpliwość już się wyczerpała, bo wyskoczył zza stołu i rzucił jej prosto w twarz:

- Do jasnej cholery, cara! Staralem się... próbowałem... Ale rzeczywiście zachowujesz się jak idiotka. Podejdz tu i zobacz, co piszę!

Usłuchała. Podeszła do biurka i zerknęła na monitor. Na ekranie migotały rzędy cyfr.

- I co, już lepiej?! - udzieliła mu się jej wściekłość i nie zamierzał jej ukrywać. - Pracuję. Na prośbę twojego ojca analizuję jedną z umów. A od samego rana łagodziłem skutki twojego nocnego wyskoku! Chcesz wiedzieć, ile nas to kosztowało?! Nie mówiąc już o stratach moralnych... Ile mnie kosztowała sama wizyta u tej okularnicy?!

- Mark, proszę, nie... - podniosła rękę, jakby broniąc się przed atakiem, ale Mark nie mógł się już powstrzymać.

- A tobie nagle zachciało się uprzykrzać mi życie...

Nie powinien był tego mówić.

Olga momentalnie przygasła i powlokła się do łazienki. Na półeczce przed lustrem wciąż stał nitrazepam. Wzięła do ręki fiolkę ze środkiem nasennym. Przecież to takie łatwe. Zaaplikuje sobie kilka tabletek i uwolni od cierpienia siebie i męża.

Przecież z każdym dniem będzie coraz gorzej.

Pokusa była tak wielka, że aż przymknęła oczy.

Nie, nie mogę tuk postąpić. Musze ne jednak uspokoić. Wysypała na dłoń całą zawartość fiołki, ale wzięła tylko jedną tabletkę, zgodnie z dzienną dawką, do której przez te kilka dni przyzwyczał ją Mark. Do diabła z nim. Pójdzie teraz spać, żeby przynajmniej we śnie odpocząć od samej siebie.

Nagle rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Pewnie Mark wystraszył się, że może popełnić samobójstwo. To byłoby zupełnie w jej stylu, zwłaszcza w stanie, w jakim się obecnie znajduje. Zabawne. Schował przed nią wszystkie ostre przedmioty, a nie pomyślał o stojącym w najbardziej widocznym miejscu środka nasennym. Zastanawiająca niekonsekwencja. A może sam tego chce? Nie ma do niej tyle cierpliwości, co ojciec do Manany. Smutek i konsternacja zamieniły się we wściekłość. Wszystkie te uczucia były jej obce. Przecież nigdy przedtem taka nie była!

- Cara, otwórz!

W zamyśleniu spojrzała na drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca. Mark zaczął w nie walić pięściami.

- Otwórz natychmiast, słyszysz?!

- Przecież nie jest zamknięte - odpowiedziała zbolalym głosem.

Drzwi błyskawicznie się otworzyły i na progu stanął Mark. Na widok garści tabletek zrobił przerażoną minę, przyskoczył do Olgi i wytrącił je z jej ręki. Tabletki rozsypały się po podłodze.

- Niepotrzebnie to zrobiłeś... To był świetny środek nasenny.

Schylili się oboje i prawie zderzając się czołami, zaczęli zbierać te przekłute tabletki. Nie można powiedzieć, że to ich jakoś szczególnie zbliżyło, ale przynajmniej przeszła jej wściekłość.

- Naprawdę myślałeś, że mogę się targnąć na życie?

- Nie, no coś ty... - widać było, że przestraszył się nie na żarty. - Wybacz mi, cara... Możliwe, że byłem nieco oschły i mało taktowny w stosunku do ciebie...

Boże, oczekiwała od niego zupełnie innych słów.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle rozległ się dźwięk telefonu. Oboje drgnęli. Mark z ulgą wyskoczył z łazienki. Tak jej się przynajmniej wydawało. Powrzucała tabletki z powrotem do fiołki i spojrzała na swoje odbicie

w lustrze: *Dzięki Bogu, ciągle jeszcze widzę znajomą twarz. Z wiekiem stają się coraz bardziej podobna do Manany. Wkrótce będziemy nie do odróżnienia.*

Podniesiony głos Marka wyrwał ją z zadumy.

- Co?! Tak, oczywiście, zaraz będziemy.

- Coś się stało, Mark? - zatrzymała się w drzwiach i popatrzyła na niego pytająco.

Stał blady jak płótno, wciąż trzymając słuchawkę.

- Inka... - wymówił z trudem.

- Inka?

- Inka... miała wypadek na trasie.

Pokój zawirował jej przed oczami. Chwyciła się framugi, żeby nie upaść. Jak Inka mogła mieć wypadek, skoro w nocy się jeszcze widziały? Co za brednie?! To chyba jakiś głupi żart. Pewnie Inka jak zwykle robi sobie z nich jaja...

- Jak to miała wypadek? - przestraszyła się własnego głosu. Brzmiał głucho i beznamiętnie.

- Żyje - uspokoił ją szybko. - Żyje, ale doznała chyba poważnego urazu.

- Gdzie jest?

- Przeniesiono ją do punktu medycznego.

- Jest przytomna?

- Nic nie wiem, cara! Musimy tam iść - starał się opanować zdenerwowanie, ale przychodziło mu to z wielkim trudem.

- Oczywiście, kochanie...

* * *

Koło punktu medycznego czekał już na nich Artiom Lwowicz.

Siedział na schodach i palił papierosa. Tuż obok tłoczyła się malownicza grupka nieznanomych młodych osób. Wszyscy mieli podobne, pełne ekscytacji miny.

- Co się stało? - krzyknął Mark, zanim jeszcze podeszli.

Artiom Lwowicz wstał i bez słowa wszedł do gabinetu, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Olga i Mark ruszyli za nim.

- Co się stało? - Mark ponowił pytanie, kiedy Artiom Lwowicz ruchem głowy wskazał im krzesła. Nie przejawiał żadnej poufności. Był absolutnie skupiony.

Przez całą drogę Olgę ścisnęło w dołku. Oczami wyobraźni widziała przerażające sceny: Inkę leżącą na skałach z zakrwawioną głową... Inkę leżącą w wąwozie z połamanymi nartami, z połamanymi nogami, ze zwichniętymi kostkami i trupio bladą twarzą... Inkę skręcającą się z bólu na śniegu ze zmiażdżoną, zmasakrowaną prawą ręką...

Przekłęte góry ściągnęły nieszczęście na całą naszą rodzinę...

Teraz zaś siedziała obok Marka i nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa.

Artiom Lwowicz przeszedł się po pokoju i pogładził łysą głowę.

- Dałem jej środek przeciwbólowy. W tej chwili śpi.

- A co jej się stało? - powtórzył pytanie Mark.

- A co może się stać z narciarzem, który pcha się tam, gdzie nie trzeba, bez odpowiedniego wyszkolenia i umiejętności?! - z niespodziewaną złością wyrzucił z siebie lekarz. - Zleciała z góry i oto mamy rezultat.

- Czy to coś poważnego?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Potrzebne jest zdjęcie rentgenowskie.

- Więc proszę je zrobić! - Olga nie poznała swojego głosu: uwięziony w chorym gardle, w końcu wydostał się na wolność i zabrzmiął nadszperkowanie głosem.

- Żeby je zrobić, należałoby ją przetransportować do miasta. Tu mogę jedynie opatrzyć ewentualne złamania i na jakiś czas ją unieruchomić. Nic więcej nie jestem w stanie zrobić.

- Co to ma, do diabła, znaczyć?! - wybuchnął Mark. - To już przechodzi ludzkie pojęcie! Niby porządny ośrodek, a nie posiadacie odpowiedniego sprzętu?!

- Ma pan na myśli rentgen?

- Sam pan powinien wiedzieć, jak się to nazywa!

- Niestety, zepsuł się nam aparat.

- No, świetnie! A kiedy zdążył nawalić?

- Parę dni temu. Odmówił pracy, i tyle. Zastrajkował. Ale jeśli to pana pocieszy, mogę założyć gips. W miejscach ewentualnych złamań. Jestem w tym naprawdę dobry.

Olga zamknęła oczy i wyobraziła sobie Artioma Lwowicza jako studenta podrzędnej uczelni medycznej: drzemki na wykładach, zbiorowe zwiedzanie kostnicy w towarzystwie pańienek z grupy, picie z sanitariuszami spirytusu przeznaczonego do celów medycznych, „tyły” ze wszystkich podstawowych

przedmiotów, dziekanka pomiędzy trzecim a czwartym rokiem...

- Więc proszę powiadomić kogo trzeba, skoro sam nie jest pan w stanie nic zrobić. Pojedziemy razem z nią - Mark był zdecydowany.

- Jesteście jej rodziną?

- Tak - odpowiedziała zdecydowanie Olga.

Brwi lekarza mocno uniosły się do góry: niezła rodzinka! Same ciężkie przypadki. Wszyscy do leczenia! Dobry materiał na artykuł do czasopisma medycznego.

- Z pewnością wie pan, że... - rozpoczął ostrożnie - pogoda nie jest zbyt sprzyjająca. Droga wyjazdowa została zamknięta. Przykro mi. Dopiero co otrzymałem wiadomość. To po pierwsze... A po drugie, nawet gdyby można było ją przewieźć, to... powiedziała, że do żadnego szpitala nie pojedzie, bo nie ufa tutejszym lekarzom.

- Zapewne miała na myśli pana - rzucił uszczypliwą uwagę Mark.

- Nie sędzę. Chodziło jej raczej o całą resztę.

- A wracając do drogi wyjazdowej, jak może być zamknięta - kiwnął w stronę okna, za którym świeciło słońce - skoro jest taka piękna pogoda?

- Tutaj - tak, ale na dole... - Artiom Lwowicz spojrział na Marka z politowaniem - ...przecież to są góry... Trzeba się było wybrać raczej na Wielką Rafę Koralową, proszę pana. Całą zgodną rodzinką.

- To nie pańska sprawa.

- Oczywiście, że nie moja.

- I co teraz będzie z Inessą? - zapytała z niepokojem w głosie Olga.

- Aha, czyli pacjentka ma na imię Inessa. Dobrze, później zajmiemy się wypełnianiem karty, a tymczasem porozmawiajmy ogólnie o jej stanie. Nie ma żadnych zewnętrznych obrażeń ciała. W każdym razie ja ich nie zauważyłem. Sędzę, że po prostu doznała szoku.

- Krzyczała? - zapytał nagle Mark.

- Jakby ją obdzierali ze skóry - Artiom Lwowicz nie traktował swoich pacjentów ze szczególnym szacunkiem. - Odczuwa ból w okolicach krzyża i w obu kostkach. Tak mi przynajmniej powiedziała.

- I o czym to świadczy?

- Już mówiłem, rentgen wszystko wykaże. Nie można też wykluczyć uszkodzenia kręgosłupa.

- O, nie! - wyrwało się Oldze.

- Nie dramatyzowałbym tak na zapas - zaczął ją uspokajać. - Powtarzam raz jeszcze, nie ma żadnych zewnętrznych obrażeń. Ale ma słabe czucie w dolnych kończynach. Bardzo słabe. Praktycznie zerowe. I to jest niepokojące, bo może mieć jakiś związek z uszkodzeniem kręgosłupa. Dopuszczam poza tym możliwość pęknięcia w stawie skokowym. Co się zaś tyczy kręgosłupa, to bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć. Potrzebny jest rentgen. Jedyne, co mogę zrobić, to ją unieruchomić. Potrzebuje teraz całkowitego spokoju.

- Nienawidzę naszej medycyny - wycedził Mark.

- Ani ja - zgodził się z nim Artiom Lwowicz.

- Możemy ją zobaczyć? - zapytała Olga.

- Teraz śpi. Może trochę później.

- Ale czy istnieje jakiś sposób, żeby ją przewieźć... - Mark próbował znaleźć właściwe określenie - ...w odpowiednie miejsce. Na przykład do przychodni?

- Trzeba będzie z tym poczekać.

- No dobrze, a co w nagłych, wyjątkowych sytuacjach? - racjonalizm Marka znów dał o sobie znać. - W przypadku złamania kręgosłupa?

- Bój się pan Boga! - lekarz machnął ręką, jakby opędzał się od złego ducha. - Dotychczas takie rzeczy omijały nas z daleka. Trasy są doskonale przygotowane i zabezpieczone, a że pani Inessa wypadła... Powtórzę raz jeszcze, nie ma żadnych widocznych obrażeń. A reszty dowiemy się nieco później.

- Nie mniej jednak istnieje chyba jakaś komunikacja drogą powietrzną?

- Wysłałem zgłoszenie, ale niestety - ogłoszono ostrzeżenie przed burzą śnieżną. Ogłoszono stan alarmowy i nikt przy takiej pogodzie nie zaryzykuje lotu.

- Co mi pan tu wyjeżdża ze swoimi ostrzeżeniami przed burzą?!

Olga uporczywie wpatrywała się w Marka. Wygląda na to, że jest naprawdę przejęty. Jeszcze pół godziny temu w życiu nie pomyślałaby, że aż tak może się przejąć losem osoby, która zatruwała mu życie.

- Gdzie ona jest?

- Tutaj obok.

- Nie życzę sobie, żeby tutaj została. *Obok ciebie, ty bezduszny sukiny* - nie musiał wypowiadać tego na głos. Jego wzrok mówił sam za siebie.

- Można ją przenieść do hotelu? Moglibyśmy się nią opiekować, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.
- W sumie nie widzę żadnych przeciwwskazań.
- To świetnie. Załatwmy chociaż tę jedną kwestię.
- Dobrze, wydam stosowne polecenia.

Dziesięć minut później sanie z Inką sunęły już w stronę hotelu. Dwóm krzepkim chłopakom z ochrony przewodniczył Artiom Lwowicz. Inka spała. Patrząc na jej bladą, szczupłą twarz, Olga doznała uczucia smutku. Nie mając zaufania do miejscowego doktora, Mark podszedł do sań i poprawił związającą rękę znieawidzonej młodej teściowej.

Przed drzwiami pokoju hotelowego lekarz wydał Markowi ostatnie zalecenia:

- I proszę pamiętać, całkowity spokój. Jak najmniej ruchu. Założyłem specjalne opaski unieruchamiające. Niemieckie.

Kupione w tym samym podejrzanym second handzie dla rosyjskich murarzy, co i twoje buty - pomyślała Olga.

- Zajrzę tu za dwie godziny, żeby zrobić jeszcze jeden zastrzyk przeciwbólowy.

- Dobrze - odpowiedział łagodnie Mark, chociaż z jego oczu można było wyczytać: *Zabieraj się stąd, do diabła!*

Artiom Lwowicz oddalił się pospiesznie. Mark zamknął drzwi. Zostali w pokoju w trójkę: on, Olga i śpiąca Inka.

Olga przysiadła na łóżku przy nogach Inki. *Jaka ona jest piękna! Spowite snem cierpienie dodaje jej jeszcze wdzięku. Oby to nie było niepoważnego. Ojciec tego nie przeżyje...*

Ojciec.

Ubóstwia swoją młodą żonę. Dla niej jest gotowy na wszystko. Olga była święcie przekonana, że gdyby Inka zażądała od ojca, aby rzucił w cholerę te swoje interesy naftowe i wyjechał do rezerwatu hodować bażanty - przystałby na to bez wahania.

Zgodziłyby się na wszystko: na posadę leśnika, marynarza floty rzecznej, dyrektora wesołego miasteczka - byleby z nim była. Na całe szczęście Ince nie wpadł jeszcze do głowy pomysł wyjazdu z Moskwy. No, chyba żeby miał zostać parem w angielskiej Izbie Lordów. Ojciec kochał Inkę całym sercem. Kochał ją ponad życie, a zarazem z typową dla starzejącego się mężczyzny

powściągliwością. Nigdy jednak jego miłość i okazywanie uczuć nie narażało go na śmieszność, a jego zachowanie na co dzień niwelowało prawie trzydziestoletnią różnicę wieku.

Ojciec.

Co będzie, kiedy się dowie? Olga skuliła się ze strachu. Jeśli chociaż jeden włos spadnie Ince z głowy... jeżeli stanie się jej najmniejsza krzywda, to zrówna ten ośrodek z ziemią... A tego lekkoducha Artioma Lwowicza... Lepiej nawet nie wyobrażać sobie, co mu zrobi.

Niespodziewanie poczuła, że nie ma siły walczyć z ogarniającym ją snem. Niepotrzebnie wzięła ten nitrazepam. Ale któż mógł przypuszczać, że sprawy tak się dziś potoczą?

- Co ci jest, cara? - zapytał Mark.

- Połknęłam te proszki nasenne, kochanie - odparła słabym głosem - i teraz okropnie chce mi się spać... Wyobrażam sobie, jak to musi wyglądać z boku. Zasnąć w takim momencie... Inka nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- Nic nie szkodzi, cara. Połóż się tu obok na sofie i prześpij się. A Ince nic nie powiemy.

- Tak uważasz?

- A ty uważasz inaczej?

Objął ją czule ramieniem i zaprowadził do kanapy. Położyła się i podwinęła nogi. Przykrył ją kocem. Po raz pierwszy od kilku dni niemal całkowicie się wyciszyła. Miała wrażenie, jakby nieszczęśliwy wypadek, któremu uległa Inka, na nowo ich do siebie zbliżył. Jakby podejrzenia o chorobę poszły w niepamięć, a spekulacje na temat jej stanu psychicznego można było wyśmiać.

- Wszystko będzie dobrze, Mark - powiedziała, po czym mocno ścisnęła jego rękę. - A ty? Co zamierzasz robić?

- Chyba skontaktuję się z Igorem - powiedział powoli.

- Z tatą? - uniosła się na łokciu. - Warto? A jeśli to nic poważnego? Przecież lekarz powiedział, że jeszcze nic nie wiadomo...

- Jakoś nie mam zaufania do tego lekarza. A jeśli to coś z kręgosłupem i tracimy tylko czas?

- Może warto to odłożyć chociaż o kilka godzin? Niech się przynajmniej obudzi.

- Sam nie wiem - uchylił się od konkretnej odpowiedzi.

-

Teraz zrozumiała, dlaczego Mark tak się niepokoił. Dlaczego podejmuje takie szybkie działania. Nie chodzi tu wcale o Inkę, tylko o jej męża, ojca Olgi i jego bezpośredniego przełożonego. Mark namówił Olgę na wyjazd w góry. Olga zaś wyciągnęła Inkę. Szczerze mówiąc, nie musiała jej długo przekonywać. Ince od samego początku spodobał się taki pomysł spędzenia urlopu. Próbowала nawet narzucić im termin. Ale czy da się to wytłumaczyć ojcu, jeśli Ince rzeczywiście stało się coś poważnego?

W takim wypadku na pewno zachowa się nieobliczalnie: zrzuci na nich całą winę i jeszcze będzie się chciał odegrać. Olgę chroni immunitet rodziny - bądź co bądź jest jego córką. Ale Mark... Jemu nie ujdzie to na sucho.

Tym bardziej więc nie rozumie, dlaczego jej mąż chce tak szybko poinformować o wszystkim ojca.

- Na twoim miejscu wstrzymałabym się z wykonywaniem telefonu, kochanie. Ojciec jest nieobliczalny jak Otello... - zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim zapadła w głęboki sen.

Kiedy się obudziła, było prawie ciemno, tylko u wezłowania szerokiego łóżka świeciła się lampka nocna. Na nią narzucona była chustka na szyję, przywieziona przez Inkę z Nicei - obiekt marzeń Olgi, która gotowa była oddać za nią swoją wieczorową suknię, założoną tylko raz z okazji pierwszej rocznicy ślubu. Inka jednak nie odstąpiła jej chustki.

Olga z trudem dochodziła do siebie. Jej organizm jak dawniej buntował się przeciwko działaniu środków nasennych: znowu to uczucie suchości w ustach i lekki zawrót głowy. Nie była nawet w stanie od razu podnieść głowy z poduszki.

Z oddali dobiegał ją szmer cichej rozmowy. Że też Mark i Inka potrafią ze sobą tak spokojnie rozmawiać... widocznie z uwagi na sytuację zakopali topór wojenny...

- Wszystko w porządku. Przyleci za kilka godzin - powiedział Mark. - Dzwonił już z lotniska.

- Wspaniale - w jej cichym głosie nie było słyhać, że cierpi. - Warto było przyplacić to zdrowiem, żeby w końcu wyciągnąć go z tego moskiewskiego bunkra. Masz rację...

- O kim mowa? - odezwała się Olga.

Mark siedział na łóżku przy nogach Inki. W tym samym miejscu, w którym Olga siedziała, zanim położyła się spać. Pewnie widzi ją w tym samym

świecie - jako piękną, młodą kobietę, której cierpienie dodaje jedynie uroku. Drgnął zaskoczony dźwiękiem jej głosu.

- Obudziłaś się, cara? - Chwilę później był już przy kanapie, jakby zapominając o cierpiącej Ince.

- O twoim ojcu, Olusza.

Olga aż się zakrztusiła. *Inka, dzięki Bogu! Jak dobrze jest usłyszeć ten jej zachrypnięty głos! Jest cała i zdrowa... a przynajmniej żywa.* Wstała czym prędzej i pośpieszyła w stronę łóżka.

- Jak się czujesz, Inka?

- Koszmarnie. Mam nadzieję, że Igor mnie nie rzuci.

- Chyba na głowę upadłaś! Co z twoimi nogami?

- Nie mam pojęcia. Nic nie czuję.

Ostrożnie przysiadła na krawędzi łóżka i uniosła kołdrę.

- Z zewnątrz wszystko wygląda normalnie.

- A co byś chciała, żeby mi kości sterczały na zewnątrz? To by cię bardziej usatysfakcjonowało?

- Jak widać, wciąż masz ochotę na głupie żarty - wtrącił Mark. - Dobre i to.

- Poruszaj palcami - poleciła Olga, oglądając uważnie nogi przyjaciółki. Tępy doktorzek wpakował je w jakieś pręty. *Trzeba było mieć naprawdę bujną wyobraźnię, żeby nazwać tę konstrukcję unieruchamiającymi opaskami.* Nogawki spodni narciarskich były z obu stron rozerwane. Najwyraźniej przerażeni świadkowie wypadku w pierwszej chwili pomyśleli o strasznych złamaniach.

Na twarzy Inki odmalowało się cierpienie.

- Nie mogę.

Rzeczywiście nie mogła poruszyć palcami, chociaż bardzo się starała. W miarę jak usiłowała odzyskać władzę w nogach, na jej twarzy było widać całą gamę emocji: od złudnej nadziei aż po czarną rozpacz.

- Cholera jasna! - wypuściła głośno powietrze. - Dlaczego to wszystko przytrafiło się właśnie mnie? Nie mogłeś to ty, Marik, być na moim miejscu?

- Zawsze wiedziałem, że się o mnie troszczysz - podszedł do Olgi i objął ją z tyłu - ale muszę ci coś powiedzieć. Moje zdrowie z punktu widzenia gospodarki kraju i funkcjonowania koncernu twojego męża jest o wiele ważniejsze. A poza tym... Wiesz, że jeśli ktoś łamie nogi, to jest to dla niego

-

przestroga? To znaczy, że pcha się nie tam, gdzie trzeba i Bóg daje mu ostrzeżenie.

- To ja mam połamane nogi? - zanim Inka zdążyła się na dobre wystraszyć, spod jej prawej powieki wypłynęła łza.

Prawdziwa Greta Garbo w hollywoodzkim bestsellerze *Dama Kameliowa*. Olga nie mogła się nadziwić, jak przyjaciółka potrafi na swojej lalkowatej buzi tak wspaniale wyrazić wszystkie emocje.

- Tak się czasami dzieje z panienkami grającymi po nocach w kręgle - Mark był aż nadto bezlitosny wobec biednej Inki.

- Nie, no coś ty! - Olga zaczęła ją pocieszać. - Lekarz powiedział, że nie stwierdził żadnych szczególnych obrażeń.

- Lekarz! - Inka pogardliwie się skrzywiła. - Ten twój lekarz nie omieszkął obmacać bezbronnej kobiety w stanie szoku. Gdyby nie było tam innych ludzi, to pewnie by mnie zgwałcił. Chociaż i oni nie byli lepsi... obleśnie się na mnie gapili.

- I w rezultacie nikt cię nie dostał - podsumował Mark.

- Jak do tego doszło, Inka?! Śmiertelnie nas wszystkich wystraszyłaś!

- Jak do tego doszło... jak do tego doszło... Spadłam ze stoku i tyle. Nie zauważyłam jakiegoś cholernego pagórka... Ocknęłam się z przeraźliwym bólem w nogach. A do tego jeszcze plecy...

- Tak, siostry miłosierdzia, z wami człowiek nie może się nudzić. Ale nic nie szkodzi. Wkrótce przyleci wielki wódz i szybko zaprowadzi tu porządek.

- A jednak zadzwoniłeś do ojca? - Olga zwróciła się do męża.

- Tak - Mark przygarbił się - a co miałem robić? Jego żona leży w łóżku bez konkretnej diagnozy, opieka medyczna do chrzanu... Myślisz, że by nam darował, gdybyśmy zataili przed nim ten przykry fakt?

- To ty nalegałaś? - spojrzała na Inkę.

- Nie miałam zielonego pojęcia.

- Sam podjąłem decyzję - powiedział stanowczo Mark.

- Co powiedziałaś ojcu?

- Prawdę. Że Inka spadła ze stoku i prawdopodobnie doznała poważniejszego urazu. Że konieczne jest przetransportowanie jej na dół, ale na razie nie ma takiej możliwości.

- A on?

- Nic. Oddzwonił potem z lotniska...

- Z Moskwy?
- Nie, stąd. Teraz usiłuje kogoś namówić, żeby zabrał go do „Róży Wiatrów”.

Olga westchnęła. Ojciec jest cudownym, godnym podziwu człowiekiem. I równie wspaniała jest jego miłość do Inki. Tymczasem Inka nigdy nie starała się zdobywać jego miłości. Nigdy o niego nie zabiegała. Zawsze pozostawała sobą - luksusową dziewczyną uwielbiającą brylanty. Co innego Olga. Bez reszty oddała się mężowi. I teraz cały jej świat kręcił się wokół Marka... Ciekawe, czy ojciec zdecydowałby się na przyjazd, gdyby chodziło o nią? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, ale jedno wiedziała na pewno: ojciec nigdy nie darzył jej tak ogromnym uczuciem jak Inkę.

Poczuła nawet lekki żal do przyjaciółki. Było to dawno zapomniane uczucie, które towarzyszyło jej na samym początku związku Inki z ojcem.

„Jesteś po prostu zazdrosna, Olusza - powiedziała jej kiedyś przyjaciółka. - Najwyczejajniej w świecie po ludzku zazdrosna!”. Tak, zgadza się, była zazdrosna. Ale to jedynie część prawdy. Długo nie mogła przyzwyczać się do ich małżeństwa. Zbyt dużo wspomnień łączyło ją z Inką: wspólne dzieciństwo, wspólne lalki, wspólni chłopcy z ostatniej ławki i wspólne tajemnice, które sprawiły, że były niemal jak siostry. Czuła się tak, jakby ojciec spał i całował się z jej siostrą, a to zakrawało niemal na kazirodztwo.

Z czasem pogodziła się z tym faktem, ale teraz, kiedy ojciec rzucił wszystko, żeby jak najszybciej zjawić się u boku biednej żony, zazdrość powróciła ze zdwojoną siłą.

- Strasznie za nim tęsknię - powiedziała Inka. - Ale najgorsze jest to, że przyleci i zobaczy mnie w takim stanie...

- Nie martw się. Jeszcze bardziej będzie cię kochać. Jeśli, oczywiście, to nie jest nic poważnego i nie zamierzasz reszty życia spędzić w wózku inwalidzkim.

- Mark, proszę cię... - Olga skrzywiła się. - Jak można być tak okrutnym?

- Ale nic mnie nie boli... Ani trochę...

- No, jasne! Doktor zrobił ci zastrzyk przeciwbólowy.

- Znów tu był? - zapytała Olga.

- Dwa razy.

Dwa razy. Ciekawe. To ile ona spała?

- Czyli przespałam całą wieczność...

- No, nie całą... Ale na sześć godzin się wyłączyłaś, cara...

Wstała z łóżka i podeszła do szerokiego okna. Gór nie było widać. Cały otaczający krajobraz zasnuty był śnieżnym pyłem. Pesymistyczna prognoza pogody zaczęła się sprawdzać. Wyobraziła sobie, jak ojciec szuka samobójców, gotowych wyruszyć w góry przy takich warunkach. I zapewne ich znajdzie. Potrafi być przekonujący, kiedy trzeba.

- Nie mam pojęcia, jak się tu dostanie - powiedziała niepewnie Inka.

- Dostanie się - uspokoił ją Mark. - Z całą pewnością.

Inka podciągnęła się na rękach, próbując usiąść. I natychmiast krzyknęła. Olga rzuciła się w jej stronę.

- Co jest?

- Kompletnie ich nie czuję... Nawet nie mogę spuścić ich z łóżka - zagryzła wargę.

- Nie powinnaś się teraz forsować - Olga próbowała pocieszyć przyjaciółkę. - Pamiętasz, co mówił lekarz?

- Że ma prześliczne oczy i znakomitą cerę - odpowiedział za Inkę Mark.

- I że koniecznie musi mu podać numer „Playboya”, w którym na okładce będą prezentowane jej cudne piersi i pośladki.

- Palant! - rzuciła Inka. I nie wiadomo, do kogo się to miało odnosić: do Artioma Lwowicza, czy może do Marka. - Palant! Ale to nic. Niech tylko przyleci Igor. Już on mu pokaże!

Olga zadrżała. Inka wypowiedziała te słowa z taką samą intonacją, jakiej Olga używała w dzieciństwie: „Ale to nic! Niech tylko przyjdzie tata, już on wam wszystkim pokaże!”

- Tak - stwierdził z przekąsem Mark. - Czuję, że będzie tu niezła corrida. Trzeba tylko zawczasu zająć miejsca na trybunie honorowej.

- Chcesz coś zjeść, Inka? - zapytała z troską w głosie Olga.

- Nie... Powiedzcie mi, proszę, że nic mi nie jest... Że to nic poważnego... Błagam...

- To nic poważnego. Nic ci nie będzie - Olga z lękiem spojrzała jej prosto w oczy. - Tylko się nie rozklejaj.

- No, to sobie odpoczęliśmy, nie ma co... Trzeba było pojechać nad morze - Inka wzięła koleżankę za rękę i mocno ją ścisnęła.

- No wiesz, nie oszukujmy się, nad morzem też czyhają niebezpieczeństwa - Mark jak zwykle musiał dopieć Ince. - Na przykład ratownicy w podartych slipach. Albo boje, za które nie wolno wypływać.

- Marik, gołąbeczku, zawsze byłeś prostym chłopakiem z ludu... Powiedz mi z łaski swojej, skąd żeś wytrzasnął boje w Acapulco? - Inka, którą samotnie wychowała skromna nauczycielka, w ciągu kilku lat wspólnego życia z Igorem Anatoliewiczem zdażyła nauczyć się na pamięć nazw wszystkich najbardziej ekskluzywnych kurortów świata. I nawet wymawiała je z odpowiednim akcentem.

- A to nie ty paliałś się tak do przyjazdu tutaj? - zauważył.

- Ja. Głupia byłam - zgodziła się. - Ale więcej takiego błędu nie popełnię. A wszystko przez ciebie. To ty zapeszyłeś. Wykrakałeś.

- No, jasne. Zawsze ja jestem winien wszystkiemu - Mark uśmiechnął się ironicznie.

Życie bywa jednak czasem dziwne - pomyślała Olga. - *Znowu skaczą sobie do oczu, jakby nic się nie stało. Jakby Inka wcale nie leżała bezwładnie na łóżku. A może po prostu nie minął jeszcze szok po upadku i nie zdaje sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji? Albo sytuacja nie jest na tyle poważna? A jeśli jednak jest, to może Mark specjalnie tak skwapliwie włączył się do dawnej gry - żeby tylko nie myślała o ewentualnych następstwach wypadku. Bo przecież skoro do tej pory nie może wstać... skoro nie czuje nóg... to... - na samą myśl o tym zmartwiała ze strachu.*

- Biedna Inka... - ponownie zbliżyła się do przyjaciółki, ostrożnie ją objęła i powiedziała niespodziewanie dla siebie samej:

- Bardzo cię lubię.

- Czyli musi być naprawdę źle ze mną i nigdy już nie wstanę - Inka zdobyła się na uśmiech. Cała ona! Nic nie jest w stanie jej zmienić.

- Najgorsze mamy już za sobą - wtrącił Mark. - Kostnicę udało ci się szczęśliwie ominąć. A jak wrócisz do zdrowia, przybijemy na drzwiach tabliczkę: „Tu cierpiała biedna Inka”.

Nie zdażyła się odciąć, bo w tym momencie zadzwonił stojący przy łóżku telefon. Instynktownie wyciągnęła rękę i zawyla z bólu. Jedno jest pewne: na razie trzeba zapomnieć o gwałtownych ruchach.

Mark podniósł słuchawkę i przez dłuższy czas słuchał ze skupionym wyrazem twarzy.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Już wychodzimy.

- Co się stało? - zapytała Olga.
- No, moje dziewczyny, szykujcie się! Dopiero co otrzymałem wiadomość z góry. Igor znalazł jakiś helikopter i jest już na pokładzie. Zjawi się tu za jakieś dwadzieścia minut.

Inka obląła się rumieńcem. Widać było, że czeka na przylot męża, a jednocześnie się trochę boi.

- Olusza, podaj mi, proszę, moją kosmetyczkę - poprosiła ze skrucłą w głosie.

- Najwyższy czas - uśmiechnął się Mark.

- Na przyjazd męża powinnam być w pełnym rynsztunku.

- I tak jesteś już w pełnym rynsztunku. Powiedziałbym więcej: uzbroiłaś się od stóp do... krzyża...

Nie, wyraźnie to nie jest jego dzień. Kiepski ma dziś dowcip. Wyjątkowo kiepski.

Olga pocałowała przyjaciółkę. Mark poprzestał na delikatnym kiwnięciu głową i klepinięciu ręką po kołdrze, co miało oznaczać: weź się w garść, lady, skoro nogi odmawiają ci posłuszeństwa! Głos Inki zatrzymał Olgę tuż przy drzwiach:

- Olusza!

- Czekam na ciebie w holu - szepnął jej do ucha Mark, opuszczając pokój.

- Olusza! - zawołała ponownie Inka.

Olga pochyliła się nad nią i nastroszyła jej krótkie, ciemne włosy.

- Jak wyglądam?

- Nieźle.

- Naprawdę? A dlaczego nie świetnie?

- Bo jesteś niepoprawną kokietką, Inka.

- Powiedziałbym nawet - Mark wsunął głowę pomiędzy uchylone drzwi i wtrącił swoje trzy grosze - że będzie kokietować nawet w trumnie! Będzie robić do robaków słodkie oczy. A raczej puste oczodoły!

- Olusza, przekaz mężowi, to znaczy mojemu zięciowi, że jest podły.

- Przekazuję - uśmiechnęła się Olga. - Mark, jesteś bardzo nietaktowny. Zatrzasnął drzwi.

- Olusza - Inka podniosła wzrok - co mam zrobić, żeby mnie nie rzucił?

- Nic nie musisz robić. Zostań sobą, to wystarczy - uśmiechnęła się, wypowiedziawszy ostatnie zdanie. Jak na nią zabrzmiało zbyt górnolotne. - Wszystko będzie dobrze.

- Tak myślisz? - Jestem tego pewna.

W holu Mark rozmawiał ze Zwiagincewem. Od tłuściocha na kilometr zalatywało piwem i śmiertelną powagą. Olga nie miała ochoty się z nim spotykać. Niezależnie od swojej woli był świadkiem jej niedopuszczalnych wyskoków. Jednak Mark przywołał ją ruchem ręki.

Podeszła i chłodno przywitała się z grubasem.

- O, widzę, że nieźle już pani wygląda - powiedział.

- Dziękuję.

- Mąż opowiedział mi o pani przyjaciółce. Współczuję państwu - jego podwójna broda tak się żałośnie zatrzęsła, że do tego rozedrganego patosu bardziej pasowałyby słowa: „Moje kondolencje”.

- Na współczucie jak na razie jeszcze za wcześnie. Na miejscu waszego kierownictwa poważnie zająłbym się jednym z pracowników, a mianowicie doktorem - wypalił Mar.

- Ma pan na myśli Artioma?

- Tak, myślę, że będzie miał ogromne nieprzyjemności. Najwyższy czas przywołać go do porządku.

- A pani jak się czuje? - ochroniarz zignorował uwagę o Artiomie. Jednak samo wspomnienie o lekarzu automatycznie pociągnęło za sobą pytanie o stan zdrowia pacjenta. A ściślej rzecz biorąc - pacjentki. Wygląda na to, że na całkiem serio widzą w niej potencjalną pacjentkę zakładu psychiatrycznego.

To pewnie teraz myśli sobie o niej ten śmierdzący grubas.

- Znakomicie - odpowiedziała chłodno. - Idziemy już, Mark?

I, nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku wyjścia.

- Powodzenia - Mark uścisnął Zwiagincewowi dłoń i poszedł za żoną. Dogonił ją dopiero na dworze.

- Którędy? - zapytała.

- Wzdłuż budynku, a potem ścieżką w prawo. I jeszcze raz w prawo. Po dwustu pięćdziesięciu metrach będziemy mieli placyk, na którym lądują helikoptery.

- No, to chodźmy.

Zdążyli jeszcze wpaść na chwilę do domku, żeby się przebrać. Mark poradził jej, aby założyła swój nowy jasnoniebieski kombinezon z białymi wstawkami:

- Spodobaś się w nim ojcu, cara.

Jasno oświetlone, pomimo zamieci, lądowisko było puste. Olga uniosła twarz do góry w kierunku ciemnego sklepienia nieba.

- Ten mój ojciec to istny wariat - powiedziała i natychmiast urwała. Jeśli ktoś w ich rodzinie zwariował, to...

- Jest po prostu bardzo zakochany - zaproponował delikatnie Mark.

- Ciekawe, ile zapłacił za tę wyprawę?

- Też bym tyle zapłacił - zbliżył się do niej i objął wpiół. Wtulił ostry podbródek w jej włosy.

O Boże, wszystko jest jak dawniej - myślała z zamkniętymi oczami. - Jak gdyby nie było tych kilku potwornych dni.

- Mark!

- Tak, cara?

- Mark... Nie chciałam, żeby ojciec się dowiedział... O tym, co się tutaj wydarzyło. Ze mną...

- Oczywiście. Możesz być o to całkowicie spokojna. Naprawdę dobrze się już czujesz?

- Jeśli nie brać pod uwagę tego, że martwię się o Inkę, to dobrze.

- Bardzo się cieszę. Ale musisz dać mi słowo. Musisz mi coś obiecać...

Kiedy wrócimy do Moskwy...

Wiedziała, co zamierza powiedzieć. Co powinien powiedzieć w takiej sytuacji. „Kiedy wrócimy do Moskwy, cara, będziesz grzeczną dziewczynką i pójdziesz się przebadać do tych wszystkich psychologów, psychiatrów i psychoanalityków. Będziesz regularnie zażywać leki i robić wszystko, co ci każe troskliwy mąż, który pragnie jedynie twego dobra...”

- Dobrze, Mark - przerwała mu. - Obiecuję.

- No widzisz, cara, minęły zaledwie dwa lata, a już rozumiemy się bez słów.

* * *

Ojciec spadł im jak z nieba. W dokładnym tego słowa znaczeniu.

Jak jakiś mitologiczny gigant ukarany za wystąpienie przeciw bogom.

Bo on był gigantem. Przynajmniej tak go sobie wyobrażała w dzieciństwie.

Helikopterem zaczęło rzucać w powietrzu, przez co lot znacznie się wydłużył. Zamiast dwudziestu minut trwał ponad godzinę. Dopiero później poznali wszystkie szczegóły tej szaleńczej nocnej wyprawy. Ojcu udało się namówić jakiegoś zdesperowanego pilota, który przez pół roku siedział bez wypłaty w jakiejś prowincjonalnej firmie. Pięć tysięcy dolarów - na taką kwotę wycenił swoje życie. I życie ojca, który bez zastanowienia wyłożył tę sumę.

A teraz stał już na placu obok córki i zięcia. Pachniało od niego ostrą wodą kolońską, benzyną i tanim tytoniem. Pewnie w czasach świetności rozklekotany helikopter MI-2 służył do przewozu tytoniu.

Ojciec nie palił. Palenie rzucił zaraz po ślubie, ponieważ ubzdurał sobie, że Ince nie będzie się podobać zapach kubańskich cygar bez filtra. Były wyjątkowo cuchnące i zatrwały Oldze dzieciństwo. Nawet wytworna Manana nie zdołała odzwyczaić go od dwóch paczek papierosów dziennie. Ince udała się ta sztuka w przeciągu kilku minut. Wystarczyło, że zmarszczyła swój piękny nosek.

- Co się stało? - krzyknął ojciec, kiedy śmigło było jeszcze w ruchu. - Żyje?!

- Tak, bez obaw - uspokoił go Mark. Żadnych zbędnych powitań ani uścisków. -Gdzie ona jest?!

- Proszę za mną.

Ton Marka był pełen szacunku. Zawsze odczuwał dystans w stosunku do teścia. Ojciec był prezesem koncernu, a on zaledwie jednym z jego wysoko postawionych podwładnych. To naturalne okazywanie szacunku odpowiadało im obu.

- Czy to coś poważnego? - ojciec nadal nie mógł się uspokoić.

- Dzień dobry, tato - Olga postanowiła przypomnieć o swoim istnieniu.

- Dzień dobry, mała - niedbały, przelotny pocałunek w policzek - to wszystko, co udało jej się wywalczyć jako córce. Stłumiona nienawiść do Inki niespodziewanie odżyła i zaczęła przybierać niepokojące kształty.

W życiu nie przyleciałby, gdyby chodziło o nią. Poprzestałby na wykonaniu telefonu z Moskwy, czegoś w stylu: „Kocham cię, mała, wracaj szybko do zdrowia!”. W ostateczności przysłałby posłańców - silnych ochroniarzy z koncernu. A te osiłki przeczekałby na dole fatalne warunki pogodowe i pojawiłyby się w „Róży Wiatrów”, dopiero gdy barometr pokazywałby odpowiednią liczbę.

Spojrzała na niego ze smutkiem i wyrzutem. Kiedyś, dawno temu, ten wysoki, piękny mężczyzna o siwych włosach należał wyłącznie do niej. Zawsze uważała, że jest uosobieniem doskonałości: ostry nos, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i władczy podbródek. W danej chwili ten podbródek drżał, co oznaczało, że ojciec jest mocno zdenerwowany.

- Mark, wyjaśnij mi, co się stało?

- Spadła ze stoku. Ale ogólnie nie ma powodów do niepokoju.

- A co z kręgosłupem? Nie doznał urazu?

- Potrzebny jest rentgen - odpowiedział wymijająco - ale sytuacja nie wydaje mi się na tyle poważna.

- A co na to lekarz?

- Lekarz to oddzielna kwestia.

Biedny Artiom Lwowicz. Ojciec zrobi z niego miazgę - pomyślała. Igor Anatoljewicz szedł tak szybko, że Olga z Markiem ledwie za nim nadążali.

- Można ją przetransportować?

- Chyba tak.

- Cholera, trzeba było wziąć ze sobą Motię... Że też o tym nie pomyślałem, stary dureń!

Matwiej Kułagin, znakomity chirurg, był przyjacielem ojca. Poznali się dwa lata przed śmiercią Manany, kiedy ta złamała rękę. Historia ze złamaniem miała związek z dolegliwościami psychiatrycznymi żony i Szmarinow nie lubił wracać do niej myślami. Olga jak przez mgłę pamiętała, że wtedy Manana po raz pierwszy podniosła na niego rękę. Później robiła to już regularnie. Jedynie w ten sposób była w stanie wyrzucić z siebie całą rozpacz, smutek i strach przed samą sobą.

- Ona... jest przytomna?

- Tak, oczywiście. Czekają na pana.

Szmarinow odetchnął z ulgą, jakby ktoś zdjął z niego wielki ciężar. Widać było, że najbardziej bał się niewiadomego. Gdy sprawa się nieco wyjaśniła, trochę się uspokoił.

Inka rzeczywiście na niego czekała.

Siedziała na łóżku, trzymając kurczowo brzeg kołdry, i z napięciem wpatrywała się w drzwi. W takiej właśnie pozycji ją zastali, kiedy całą trójką weszli do pokoju.

- Moja dziewczynko! - ojciec rzucił się do niej, z miejsca zapominając o pozostałych członkach rodziny. Wyciągnęła do niego ręce i rozplakała się.

Nikt nie potrafi płakać tak pięknie, jak Inka. Dostojnie, niczym królowa na wygnaniu. Nawet rzęsy jej nie drgną...

- Najdroższa moja dziewczynka...

- Igor...

- Tak się wystraszyłem! Jak mogłaś to zrobić tatusiowi...

Olga aż się zdrygnęła na widok tych czułości. Dopiero teraz zrozumiała, jak mocno ojciec kocha jej przyjaciółkę. Tę samą, która wiecznie chodziła z rozbitymi kolanami i ciągle była pobrudzona atramentem. Tę samą, na którą przed laty wcale nie zwracał uwagi. Pewnie przytuleni do siebie po namiętnej miłości, wspominają często tamte czasy: „A pamiętasz tę sukienkę, w której do nas przychodziłaś, taką niebieską w czerwone groszki?” „No, coś ty, Igor, nigdy w czymś takim nie chodziłam...”.

- Boli cię coś?

- Nie, nic - spojrzała na niego pogodnym wzrokiem, nie pokazując żadnego bólu czy strachu. Powinien docenić to, że jest taka dzielna.

- Powiedz mi prawdę...

- Ależ mówię prawdę... Naprawdę nic mnie nie boli. Po prostu nie czuję nóg. Nic więcej.

Szmarinow odrzucił kołdrę, pod którą kryły się drobne, śliczne stopy jego żony. Pochylił się nad nimi i ostrożnie pocałował każdy wypielęgnowany paluszek. Przez krótką chwilę Oldze wydawało się, że jest świadkiem jakiejś nieprzyzwoitej sceny. Nawet Mark poczuł się niezręcznie.

- Chodźmy stąd - szepnął jej do ucha. - Powinni zostać sami.

- Zaraz - odpowiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Nigdy jeszcze ojciec nie wydawał jej się taki smutny. Ogromna, bezgraniczna miłość źle na niego wpływa. Strasznie go postarza. Chociaż nikt by go nie nazwał starszym panem. Ma ponad pięćdziesiąt lat, ale jest w świetnej formie fizycznej. Nie ma najmniejszej fałdki tłuszczu i ma wypielegnowaną, opaloną skórę. Wcześniej nie przywiązywał zbyt dużej wagi do swojego wyglądu. Kiedy był z Mananą, nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Jednak kiedy ożenił się z Inką, stał się prawdziwym elegantem: najlepsze garnitury, najlepsze koszule, najlepsze perfumy... Nawet bieliznę sprowadzał sobie z Anglii.

- Gdy się ma młodą żonę, trzeba o sobie dbać! - mówił często.

Ale zaślepiona niepojętą zazdrością Olga widziała zupełnie co innego: głęboka miłość do Inki wysysa z niego wszystkie soki. Jest wobec niej bezbronny. Co więcej, wcale nie ma zamiaru się bronić.

Ciekawe, na jak długo wystarczy ci siła, tato? - po raz pierwszy zadała sobie to pytanie i natychmiast przestraszyła się swoich myśli.

- Jutro rano stąd odlatujemy - szeptał Ince do ucha. - Motia szybko postawi cię na nogi. Obiecuję.

- Wiem... No, bo przecież mnie nie zostawisz?

- Jak w ogóle możesz coś takiego mówić? - po jego twarzy przebiegł grymas.

- A jeśli nie będę chodzić?

- Nawet tak nie myśl! - Przykrył jej usta dłonią. - Jak się tu dostałeś?

- Złapałem okazję, kochanie.

- Ale tam jest przecież straszna zamieć...

- Tak? Jakoś nie zauważyłem.

- Nie zauważyłeś?

- No, bo przez cały czas myślałem o tobie...

- Chodźmy - Mark pociągnął Olę za rękaw.

I w tym momencie usłyszeli głośne pukanie do drzwi. Kiedy Mark otworzył, ujrzeli stojącego na progu Artioma Lwowicza.

- Witam - powiedział uprzejmym tonem. - Przyszedłem odwiedzić chorą. Jak się czuje?

- W miarę - ośmielił się postawić diagnozę Mark.

- To świetnie. A to kto? - Dopiero teraz zauważył obecność jeszcze jednej, nieznanego mu osoby.

- Pan, jak rozumiem, jest tutejszym lekarzem? - zwrócił się do niego Szmarinow. - Dobrze pan rozumie. A pan, jak przypuszczam, jest zaniepokojonym tatusiem?

- Można to tak ująć - ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.
- To mój mąż! - odezwała się hardo Inka.

Artiom Lwowicz uśmiechnął się ironicznie. *A to ci dopiero! Co ten stary piernik chce od takiej młodej siksy?!*

- Jak mąż, to mąż. Przyszedłem zrobić tylko zastrzyk.
- To na co pan czeka? - rzucił Igor Anatoliewicz.

Podczas gdy Artiom męczył się ze strzykawką, Szmarinow bacznie go obserwował.

- To wszystko. Zajrzę jutro rano - oznajmił lekarz.

- Chciałbym z panem zamienić słowo, doktorze - mówiąc to Igor wypchnął gościa za drzwi.

- Zbije go na kwaśne jabłko - stwierdził Mark, niezłe orientujący się w zwyczajach samców.

- Powiedz mu, że to nie jest konieczne - w głosie Inki zabrzmiała nutka satysfakcji. Uwielbiała pojedynki rycerskie.

- Sama mu to powiedz.

W zdenerwowaniu ojciec zdolny był do wszystkiego. Aby uniknąć awantury, Olga pobiegła za nimi. Jednak jej obawy się nie potwierdziły. Mężczyźni stali przy oknie i prowadzili spokojną rozmowę. - No i co pan powie, panie doktorze? Czy to coś poważnego?

- Nie widzę żadnych złamań.

- Na pewno?

- Być może są pęknięcia albo przemieszczenia kręgów, ale to może wykazać jedynie rentgen. A, niestety, na chwilę obecną nie dysponuję odpowiednim sprzętem. Tłumaczyłem już sytuację... pańskim krewnym. Trzeba żonę dokładnie przebadać. Najlepiej w szpitalu.

- Dlaczego nie może wstać? Dlaczego nie czuje nóg?! - w głosie ojca, który zwykle był bardzo opanowany, słychać było rozpacz.

- Możliwe, że to po prostu szok pourazowy... Ale w tych warunkach nie potrafię powiedzieć nic konkretnego.

- Jak mam to rozumieć?

- Już panu powiedziałem... Nie posiadam odpowiedniego sprzętu.

- Ach, tak... - ojciec zacisnął pięść i natychmiast ją rozwarł. - To po jaką cholerę tu jesteś?!

- Nie trzeba było bez przygotowania wybierać się na trasę o wysokim stopniu trudności - nie wytrzymał. - Teraz nie byłoby problemu.

- Nie twoja zaszracona sprawa, co powinna robić moja żona, a czego nie! Słuchaj no, zmiotę ten twój bajzel z powierzchni ziemi! Już ja się o to zatroszczę! A z tobą osobiście się rozprawię, możesz być tego pewien! Od dzisiaj szczytem twojej kariery będzie lecznica weterynaryjna! I to w najlepszym wypadku.

- Niech mi pan nie grozi - skrzywił się Artiom.

- Wcale ci nie grożę, gnojku!

W tym momencie temperament ojca wziął górę.

Złapał lekarza za kołnierz i z łatwością oderwał go od podłogi. Szpanerskie buty skrobnęły noskami po wypolerowanym parkiecie, a szpanerskie okulary zjechały mu na czubek nosa.

- Wcale ci nie grożę - powtórzył - ale jeśli jeszcze raz ośmielisz się przekroczyć swoje obowiązki służbowe... Jeśli jeszcze raz ośmielisz się patrzeć na moją żonę takim pożądanym wzrokiem, to cię zniszczę! Zrozumiałeś?!

- Zrozumiałem - wyduśił z siebie lekarz, nie spodziewając się tak mocnego chwytu.

- Nie słyszę!

- Zrozumiałem...

- No, to uważaj.

Ojciec z żalem rozluźnił uścisk, postawił lekarza na podłogę i momentalnie się uspokoił.

- Jakie będą dalsze zalecenia, panie doktorze? - zapytał zupełnie neutralnym tonem.

- Słucham?

- Jutro rano wylatujemy, ale na dzisiejszą noc chciałbym otrzymać dokładne instrukcje.

- Nie ma żadnych specjalnych zaleceń. Tylko spokój i brak ruchu.

- Jeszcze jedno... Czy można ją przewozić? To nie pogłębi urazu? Czy jej stan się nie pogorszy?

- Myślę, że można. Zrobiłem jej... pańskiej żonie... zastrzyk przeciwbólowy. Poza tym mam jeszcze środki nasenne. Bardzo dobre.

Na pewno niemieckie - pomyślała Olga.

- Niemieckie - potwierdził jej myśli. - Na bazie kwasu barbiturowego...
Zapewniają zdrowy sen.

- Proszę je przynieść.

- Tak, oczywiście - doktor był potulny jak baranek.

- Nie mam śmiałości dłużej pana zatrzymywać.

Szmarinow podszedł do córki.

- Chodźmy, mała - powiedział, obejmując ją machinalnie. Cóż, dorosła córka jest mu zupełnie obojętna. Najgorsze, że jego dotyk wydał jej się nieprzyjemny, a wręcz odpychający. Nie było w nim ani miłości, ani czułości, ani chociażby troski.

Ach, gdyby tak można było na zawsze pozostać małą dziewczynką!

Przy samych drzwiach Olga odwróciła się i spojrzała na doktora, który nadal stał przy oknie i zmieszany patrzył w ślad za oddalającym się Igorem. Jego spojrzenie pełne było szacunku. Teraz zrozumiała, dlaczego Inka pomimo wielu niezobowiązujących flirtów, nie posuwała się do zdrady. Ojciec jest zbyt silną osobowością, prawdziwym facetem, którego nie można pokonać. Nawet pewny siebie Mark nie dorasta mu do pięt.

* * *

Mark siedział w fotelu i bawił się pilotem. Tu, w górach, telewizor odbierał tylko kilka kanałów satelitarnych.

- Co tak długo robisz? - zapytała z pretensją w głosie Inka.

- Konsultowałem się z lekarzem, skarbie.

- I co powiedział?

- Że to nic poważnego.

- Naprawdę?

- A czy kiedykolwiek cię okłamałem? - usiadł obok niej. - Jutro wieczorem będziemy w domu. Żadnych nart! Konfiskuję je! Likwiduję góry i śnieg! Tylko tego brakowało, żebym cię przez nie stracił.

Znowu to miłosne gruchanie! - Olga skrzywiła się z niesmakiem. - My już idziemy, tato! - powiedziała w końcu.

- Dobrze - jej słowa przyjął obojętnie. - Zadzwoń do waszego apartamentu.

Poczuła złość. Nawet nie zapytał o ich numer telefonu! Powiedział to na odczepne. A może przesadza? Może cały problem tkwi w niej samej? Przecież ojciec może Inkę zapytać o ich numer.

- My nie mamy apartamentu - w jej głosie dał się słyszeć żal. - Mieszkamy w oddzielnym domku.

- Dobrze. Wobec tego zadzwonię do was do domku.

- Będziemy w barze, Igorze Anatoliewiczu. Tutaj obok, więc jeśli się pan namyśli...

Szmarinow nie odpowiedział.

Mark i Olga opuścili pokój, zostawiając szczebioczącą parę.

Po schodach schodzili w milczeniu.

- Widzę, że nastrój ci się pogorszył, cara. Dlaczego? - zapytał wreszcie.

- Niedobrze mi, kiedy na to patrzę! - wybuchła.

Markowi chyba może zdradzić swoje myśli?!

- O czym ty mówisz?

- O ojcu!

- Myślałem, że ucieszysz się na jego widok.

- Też tak myślałam, ale aż mnie skręca, jak on z nią tak ćwierka! W jego wieku!

- Jesteś niesprawiedliwa, cara. Twój ojciec jest wzorem troskliwego męża. Troskliwego i pełnego poświęcenia.

- No jasne, że jest wzorem! Dla starych kretyków, którzy żenią się z młodymi laskami! Żywy przykład przysłowia: „Głowa siwieje, dupa szaleje” - powiedziała szyderczo.

- Nie słyszałem tego - demonstracyjnie zatkał uszy.

- Słyszałeś!

- Dobrze. W takim razie nie będę tego komentował. Jest moim szefem.

- Przede wszystkim jest moim ojcem!

Zatrzymał się i przygarnął ją gwałtownie do siebie.

- Co się z tobą dzieje?!

- Nic. Widziałeś, jak lizał jej stopy? Ojej, te malutkie chore nóżki. Ojej, moja biedna chora dziewczynka... „Zlikwiduję góry” - słyszałeś coś podobnego, Mark?! Nie porozmawiał z nami nawet kilka minut... Na dobrą sprawę ze mną, swoją córką, nie zamienił ani słowa! Traktował mnie, jakbym była powietrzem...

- Ale, gdyby tobie coś takiego się stało...

- Gdyby to mnie się stało, a nie jej, nie kiwnąłby nawet palcem!
- I słusznie. Palcem kiwnąłbym ja. Twój mąż, jeśli jeszcze pamiętasz, że takiego posiadasz.
- Tak. Ale on jest moim ojcem...
- Cara! - Zajrzał jej w oczy. - Nie bądź dzieckiem. Zazdrość to niedobre uczucie. To nie prowadzi do niczego dobrego.
- Do czego ty pijesz, Mark? - popatrzyła na niego badawczo.
- Do niczego. Cieszę się, że jesteś w świetnej formie. Minęło ci, tak? - mimochodem przypomniał jej o wydarzeniach ostatnich dni.
- Tak. Wszystko minęło. Chodźmy wypić za szczęśliwe lądowanie. W końcu to mój ojciec...

* * *

Upiła się.

Siedząc przy stoliku w barze w towarzystwie męża i nieustannie poruszając temat ojca, którego Mark wyraźnie nie chciał podtrzymywać, najwyuczajniej w świecie się upiła.

Upiła się po raz pierwszy od wielu lat. Piła bez opamiętania. Na umór. Przekroczyła zarówno błogi stan podchmielenia, jak i środkowe, radosne stadium rauszu. Z początku Mark próbował ją jeszcze jakoś kontrolować, ale w końcu machnął na to ręką.

Olga, która przez długie lata pozwalała sobie jedynie na znikome dawki koniaku, teraz piła wszystko jak leci. Mark nie nadążał z zamawianiem nowych drinków.

- A dlaczego mi to wszystko przynosisz? - pytała z pijackim chichotem, opróżniając kolejny kieliszek zimnej wódki cytrynowej.
- Ponieważ urządzasz sceny, kiedy ci odmawiam.
- Chcesz mnie upić, tak?
- Nie. Nie chcę cię upić. Sama tego chcesz.
- A ty postanowiłeś mi w tym nie przeszkadzać? Jesteś bardzo troskliwym mężem... Nad podziw. Chcesz zrobić ze mnie wariatkę...
- Cara!
- Tylko pamiętaj - pogroziła mu palcem. - Nie uda ci się! Nigdy w życiu! Jestem zdrowa.

Obróciła się w stronę sąsiedniego stolika, przy którym siedziała para starszych osób o miłym wyglądzie.

- To mój mąż! - wskazała Marka otwartą dłonią. - Mój Kochający mąż-
lek! Chce ze mnie zrobić schizofreniczkę, cierpiącą na rozdwojenie osobo-
wości...

- Cara!

- Nie zatykać mi ust!

Z trudem wydostała się zza stolika i podeszła do starszego małżeństwa.
Przysiadła obok staruszka, położyła łokcie na stół i zajrzała mu prosto w
oczy.

- A pan, czy kiedykolwiek ożeniłby się pan z młodą laską tylko dlatego,
że ma sterzące piersi i aż się pali do seksu?

Mark podjął nieudolną próbę zabrania jej do stolika.

- Spadaj! - gwałtownie go odsunęła. Nagle jej obecny stan zaczął jej
sprawiać przyjemność. Doznała dziwnej, niemal dzikiej rozkoszy, zachowu-
jąc się nieprzyzwoicie. Chyba będzie musiała zacząć pić, żeby przestać się
przejmować swoim stanem psychicznym.

- Proszę odpowiedzieć! - męczyła staruszka.

Żona nachyliła się do niego i coś mu szepnęła na ucho.

- W towarzystwie nie ma tajemnic - oznajmiła radośnie Olga. - Obgadun-
jecie mnie? Wydaliście już na mnie wyrok?

Przezroczyste, bezbarwne oczy staruszka nie wyrażały żadnych emocji.

- Wydaliście! - stwierdziła.

- Cara! - Mark podniósł głos.

- Ich verstehe nicht* - wymamrotał staruszek.

* Ich verstehe nicht - nie rozumiem (niem.).

- O! Też tak myślę - znowu zachichotała i położyła mu rękę na ramie-
niu.

Cierpliwość Marka się wyczerpała. Potrzęsnał Olgą.

- Przestań, cara! Oni nie rozumieją. Są cudzoziemcami.

- Co ty nie powiesz!

- Ich bedauere** - powiedział, przykładając rękę do piersi. - Chodźmy!

Czas iść do domu...

** Ich bedauere - przykro mi (niem.).

Zaczęli przyciągać już uwagę gości z sąsiednich stolików, ale Olga miała
to głęboko gdzieś. O dziwo, dbającemu o dobrą reputację Markowi też było
już chyba wszystko jedno.

- Chodźmy, cara.

- Nie. Nie pójdę do tego grobowca... Przynajmniej nie teraz... Znów nafaszerujesz mnie środkami nasennymi i powiesz, że nie jestem sobą! A ja jestem sobą! Słyszysz?!

- Dobrze - ustąpił nadzwyczaj łatwo. - Jeśli chcesz, to jeszcze posiedziemy.

- Chcę! Słyszysz?! Chcę!

- Tylko siedź spokojnie. Wyjdę na chwilę. Zaraz wracam.

- Do lekarza? - roześmiała się złośliwie. - Na konsultację? Co robić z pacjentką, która postradała zmysły, tak?!

- Nie pleć bzdur...

Wstał i wyszedł z sali. *Dzięki Bogu!* Teraz może chociaż przez kilka minut побыć sama. Omiotła spojrzeniem pomieszczenie. *Hm... samej to raczej nie będzie mi dane tu długo pobyc...* Dlaczego wszyscy tak na nią patrzą? Potępiają ją za wódkę cytrynową? Czy za tequilę? A może za te rzeźby z lodu, które rzekomo rozwaliła? Pewnie wie już o tym cały ośrodek, łącznie z wyciągami, kolejkami i tyczkami na trasach. Tymi samymi, przy których wyróciła się młoda żona tatusia. Śmiesznie będzie, jeśli już nigdy nie wstanie. Ciekawe, z kim będzie wtedy flirtować? Tatus, rzecz jasna, w duchu ucieszy się, że jego najdroższy skarb będzie należeć tylko do niego...

Dlaczego wszyscy tak na mnie patrzą? Może dowiedzieli się o jaskini?

Na samą myśl o tym przejął ją paniczny strach. A już sądziła naiwnie, że zdołała go przezwyciężyć. Widziała... widziała to wszystko... Było to tak samo realne, jak w jej nocnym koszmarze... Tylko co było pierwsze - jajko czy kura? Koszmar czy rzeczywistość? Nie powinna była tyle pić. Dlaczego Mark, zawsze taki troskliwy i stanowczy, pozwolił jej się upić? I dokąd poszedł?

- Niedobrze ci?

Podniosła głowę. Obok stolika stał Jonasz.

- Aaa... Kogóż my tu mamy?! Gdy tylko znika starszy braciszek, błyskawicznie pojawia się młodszy, w nadziei na ochłapy z pańskiego stołu...

- Nieźle się wstawiłaś!

Usiadł i delikatnie pogładził ją po głowie.

- Nie twoja sprawa.

- A dokąd to poniosło twojego małżonka? Wybiegł z baru, jakby się paliło.

- Nie twoja sprawa!

- Wiesz co... Chodź, zaprowadzę cię do domku.
- O! Jeszcze jeden opiekun się znalazł. To u was rodzinne, tak?
- Tak.
- Słuchaj, Jonasz, powiedz mi, dlaczego wciąż siedzisz w tej dziurze? Nie masz na tyle odwagi, żeby zmierzyć się z prawdziwym życiem? Prawdziwym światem, tam na dole?

- Ależ nie, dlaczego? Mam - mimo wszystko próbował rozmawiać z nią jak z trzeźwą.

- Wobec tego, w czym problem? Przenieś się do krewniaków do stolicy. Mogę porozmawiać z ojcem. Załatwi ci pracę na podległej mu stacji benzynowej, gdzie dostaje się gotówkę na lewo i wszyscy są zadowoleni.

- Myślę, że nie warto.

- Ale dlaczego, Jonasz? Będziesz podrywać babki na to swoje imię, trwała opalenizną i blask w oczach... Twoje zdrowie!

Uniosła kieliszek z wódką, ale zręcznie go jej odebrał.

- Myślę, że na dziś ci już wystarczy.

- Nie twoja sprawa.

- Moja - powiedział z przekonaniem. - Nie chcę, żebyś była w takim stanie.

- Jonaszu, mój chłopcze! Jeszcze nie wiesz, w jakim mogę być stanie! Swoją drogą, ja też nie wiem... a raczej nie pamiętam. Podobno w gniewie jestem nieobliczalna i mogę wszystko roztrzaskać w diabły!

- Chodźmy stąd.

- Nie. Chociaż... Wiesz co... Wiem, dokąd pójdziemy. Chcę cię poznać z ojcem. Niedawno tu przyjechał.

- Wiem.

- Przedstawię cię jako brata swojego męża. Dobrze wychowany młody człowiek z romantycznym zawodem w silnych rękach. Jak ci się to podoba?

- Jako brata męża - nie chcę.

- W takim razie, jako kogo? - roześmiała się.

- Nikogo. Chodźmy.

- Chcesz mnie odprowadzić do domku i tam przelecieć?

W jego oczach ujrziała litość. *Jaki on jest teraz podobny do brata... Cóż z tego, że ma zupełnie inną cerę, zupełnie inny charakter... Cały jest zupełnie inny... To dobrze.*

- Nie. Nie chcę się z tobą przespać.

Fiu-fiu! Jaki zasadniczy!

- Dlaczego nie? Nie podobam ci się?

- W takim stanie - nie.

- No, i do diabła z tobą! Poszukam sobie kogoś, komu się spodobam.

Jonasz bez słowa wstał zza stolika i złapał ją za ramię.

- Chodźmy.

- Nie.

- Powiedziałem - chodźmy.

Nie było sensu mu się sprzeciwiać. A zresztą, czy to nie wszystko jedno, dokąd pójdą? I gdzie się obudzi jutro rano? Na śniegu obok domku... w lodowej trumnie... czy może we własnym koszmarze...

W drzwiach wpadli na powracającego Marka. Widząc ich razem, okropnie się wściekł.

- Dokąd ją ciagniesz?

- Do domku. Nie widzisz, jak się zaprawiła?

- Wydaje mi się, że to nie twoja sprawa.

- Może i nie moja, ale ty ją przecież zostawiłeś.

- Nie zostawiłem - Mark zaczął się tłumaczyć młodszemu bratu. - Wyszedłem tylko na chwilę.

- Na chwilę?

- No dobrze, nawet jeśli nie na chwilę, to co? Musiałem wyjść.

- Nie musiałeś. Nie trzeba jej było zostawiać w takim stanie.

- Mniejsza z tym. Już jestem. A ty nie masz tu czego szukać i kręcić się przy mojej żonie. Mojej - zaakcentował mocno to słowo.

Jonasz zacisnął pięści, ale mimo wszystko się poddał. Olga jak przez mgłę widziała jego oddalającą się sylwetkę. Ależ okropnie się upiła! A Jonasz był świadkiem jej moralnego upadku.

- Jak się czujesz? - zapytał Mark.

- Niezbyt dobrze - przyznała uczciwie.

Posadził ją przy stoliku obok wyjścia. Przez otwarte drzwi wpadało mroźne powietrze. Od razu zrobiło jej się trochę lepiej. Zamroczenie alkoholem powoli ustępowało. Zastąpiły je podchodzące do gardła mdłości.

- Muszę... - wyszeptła, z trudem powstrzymując odruch wymiotny.

- Zaprowadzę cię - zrozumiał ją bez zbędnych słów.

- Dlaczego pozwoliłeś mi się tak upić? - zapytała z pretensją w głosie, ale nie czekała już na odpowiedź.

W toalecie zwróciła wszystko, co zjadła. Wymiotowała jak kot. Przyniosło jej to ulgę.

Długo stała przed lustrem, wpatrując się w swoją nabrzmiałą od alkoholu twarz. Najgorsze, że tak się rozkleiła w obecności Jonasza. A na dodatek jeszcze te pijackie, odrażające zaloty! Opuściła głowę do zlewu i mocno odkręciła kurek z zimną wodą...

Po powrocie na salę zamarła. Obok Marka siedział ojciec. Jakby mało jej było problemów. Ojciec jest jeszcze gorszym przeciwnikiem niż Jonasz. Przybrała najbardziej niewinny wyraz twarzy, na jaki było ją stać, i usiadła przy Marku.

- Witaj, tatusiu! Co ty tu robisz?

Zlustrował ją wzrokiem. Jego spojrzenie mówiło wszystko: „Kiedy ona zdążyła się tak zaprawić?”

- Moja mała dziewczynka zasnęła. I, jeśli wierzyć w działanie tego niemieckiego środka nasennego od waszego konowala, będzie spać do rana. Postanowiłem więc, że was odwiedzę. Tym bardziej że Mark opowiedział mi o twoich wyczynach.

- Wyczynach? - zeszytniała. Nawet jeśli wcześniej alkohol uderzył jej do głowy, teraz momentalnie wyparował. - O jakich wyczynach?

Czyżby Mark podzielił się z nim swoimi obawami i w Moskwie czeka już na nią dobrze wyposażony i udekorowany orchideami pojedynczy pokój w zamkniętym zakładzie? Ojciec, który przez wiele lat miał do czynienia z umysłowo chorą, wie, ile znaczy pojedynczy pokój...

- Nie powinnaś tyle pić, dziecino.

Uff... to o to chodzi! Spojrzała na Marka z wdzięcznością.

- Powiedźcie mi, proszę, dlaczego do tego doszło?

- Ale do czego, tato?

- Dlaczego zostawiliście ją samą? - przybrał gniewny wyraz twarzy.

- Co to znaczy - zostawiliście ją samą?

- Chcę wiedzieć, dlaczego znalazła się sama na trasie. Bez instruktora.

Bez pomocy.

- Tato!

- Przecież powinienes być wiedzieć, Mark, że moja mała nigdy nie jeździła na profesjonalnych nartach.

Zaraz zacznie nam wszystko wytykać i nie będzie przy tym przebierał w słowach. Zmyje nam głowy, jak to regularnie robi swoim podwładnym. Nie jestem nikim więcej, niż jego podwładną - pomyślała - ostatnią Z rzędu. Na czole mam wygrawerowane logo koncernu i to są moje wszystkie przywileje.

- Nie trzeba być wcale zawodowcem, żeby zjechać z góry, proszę pana - Mark usiłował odeprzeć atak. - Ale narciarstwo to jednak sport i wszystko może się zdarzyć.

- Powierzyłem ci swoją żonę i ani jeden włos nie powinien być spaść jej z głowy. Uzgodniłem to z tobą przed wyjazdem.

Bardzo ciekawe. Olga wpatrywała się w ojca, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Już sobie wyobraża tę męską rozmowę za zamkniętymi drzwiami, przy filiżance kawy. Obaj siedzą z poluzowanymi krawatami... „Sam rozumiesz, Mark, skoro mojej dziewczynce przyszedł do głowy pomysł, żeby jechać z wami w góry, to nie mogę jej w tym przeszkodzić. Tylko pamiętaj, odpowiadasz za jej bezpieczeństwo. Jeśli, nie daj Bóg, coś jej się stanie...” Olga tak realnie wyobraziła sobie tę scenę, że aż zadrżała. Biedny Mark, wbrew swojej woli wystąpił w roli posłańca przynoszącego złe nowiny. I musi być za to publicznie stracony. Na rynku, w obecności wszystkich członków zarządu koncernu i ich osobistych sekretarek.

- Wygadujesz bzdury, tato - powiedziała głośno.

- Słucham? - powoli odwrócił głowę w jej stronę. - Moja żona leży bez czucia w nogach, a ja, twoim zdaniem, wygaduję bzdury?

- Jeśli chciałeś mieć pewność, że nic się jej nie stanie, to powinienes być wysłać z nią instruktorkę ze złotym medalem olimpijskim w slalomie-gigancie. I dwóch goryli-biatlonistów. Nie najmowaliśmy się za jej niańkę.

Z jego twarzy odpłynęła krew. To nie było już lekkie podenerwowanie. To była prawdziwa wściekłość. Ale Olę już poniosło.

- A może specjalnie nam ją podrzuciłeś, żebyśmy mieli ją na oku? Ją i jej miłosne przygody? Rzuciłeś się z łapami na tego biednego lekarza tylko dlatego, że miałeś podejrzenie, że nie tak popatrzył na twoją żonę! Przyleciałeś tu, wydałeś pięć tysięcy dolarów, ryzykowałeś swoim życiem i życiem

tego biednego pilota, jak małaolat... Jesteś po prostu śmieszny, tato!

W tym momencie puściły mu nerwy. W ostatnim czasie żył w ogromnym stresie. Nachylił się nad stołem i uderzył ją w twarz. Uderzenie było zaskakująco silne. Na tyle silne, że omal się nie przewróciła. Przygryzła wargę. Żeby się tylko nie rozplakać!

- Być może zapomniałeś, ale jak na razie jestem jeszcze twoją córką, tato.

- Moją córką? Moja córka nigdy nie powiedziała by mi czegoś podobnego.

- Masz rację - gorzko się roześmiała. - Nie jestem twoją córką. Jestem córką mamy. Nigdy jej nie kochałam tak jak ciebie. Nawet kiedy umarła i przestała być dla nas ciężarem. Teraz tego żałuję.

- Twojej matki od dawna nie było wśród żywych.

- Nikt tego tak naprawdę nie wie... - znów ogarnęły ją fale wściekłości. - Ale nigdy... Nigdy nie wybaczę ci tego policzka, słyszysz?! Tobie i tej twojej lasce! Tej dziwce, dla której jesteś gotów stracić nas wszystkich! Jeszcze zobaczysz... Jeszcze się przekonasz...

- Cara! - błady i roztrzęsiony Mark w końcu ujął się za teściem.

- Ooo, mój mąż do nas dołączył! Dlaczego nie stajesz w obronie swojej żony? Bardziej interesuje cię ciepła posadka w firmie?! Dla niej jesteś gotowy na wszystko? Nawet na to, żeby cię niesłusznie oskarżali?! Po czyjej jesteś stronie, Mark?! A może też postanowiłeś się ode mnie uwolnić? No, dalej! Na co czekasz?! Masz teraz najlepszą okazję. Nienawidzę... Nienawidzę was wszystkich!

Wyskoczyła zza stolika i wybiegła na dwór.

No i masz, czego chciałaś! Jesteś sama. Zupełnie sama. Twój ojciec gotowy jest zrezygnować z ciebie dla pierwszej lepszej dziwki, a mąż nie stanął nawet w twojej obronie. Najwyraźniej jego szef trzyma go na krótkiej smyczy. To drań! Jak on śmiał mnie uderzyć?! Uderzył mnie pierwszy raz w życiu. I wszystko przez tę dziwkę! Nigdy wcześniej mnie nie bił. Nie bił mnie nawet w dzieciństwie. Nawet wtedy, gdy upuściłam pudełko z drogą porcelaną...

Nawet wtedy, gdy nazwałam Mananę wariatką. Z taką intonacją, z jaką wołali za nią chuligani na podwórku. Wystarczyło, że wyrwała się spod opieki ojca i wyszła na dwór. Na dwór, z którego nigdy nie umiała sama wrócić...

W skroniach czuła świdrujący ból. Kręciło jej się w głowie i uginały się pod nią kolana. Ledwie żywa dotarła do domku i padła w ubraniu na łóżko. Mark, jej wierny Mark nie przyszedł.

Rozbita i wyczerpana płakała tak długo, aż zapadła w sen...

* * *

Żadnych snów. Żadnych koszmarów.

Zamiast tego niewyraźne sylwetki bliskich osób. Zamazany obraz. Rozmyte twarze. Twarz ojca, wykrzywiona w grymasie przerażenia. A może rozpaczy? Zbolały wyraz twarzy Marka, pełna radosnego zdumienia twarz Inki. I nad tym wszystkim antracytowe oczy Jonasza... I otaczający ją lód... lód... lód...

Jednak tym razem jej nie przeraża. Wręcz przeciwnie - wygląda bardzo przyjaźnie. Czuje się w nim, jak w domu po długiej nieobecności. Coś do niej mówią, ale ona nie słyszy. Próbuje dawać im znaki: trzeba poczekać, aż lód stopnieje. A lód podporządkowuje się jej gestom i zaczyna topnieć. Dużymi kroplami spływa po jej piersiach. Dziwne... woda od topniejącego lodu pali ją żywym ogniem.

Niezwykłe zjawisko natury. Coś w rodzaju łuny, jakby poświaty wokół księżyca. *Trzeba będzie koniecznie zapytać o to Jonasza...*

Otworzyła oczy.

Nie wiedziała nawet, jak długo spała. Sądząc po okolicznościach, był późny ranek. Pokój wypełniało łagodnie rozproszone światło. Śnieg sypał przez całą noc. Teraz również prószył za oknem. To dzień, w którym miały zejść kolejne lawiny. Nadal utrzymano więc stan alarmowy.

Uchyliła okno i wpuściła do pokoju ostre, przesiąknięte zapachem sosen powietrze. Zdumiewający kontrast pomiędzy stanem jej ducha a aurą panującą na zewnątrz. Jakże odległa była w tym momencie jej wczorajsza złość i te wszystkie niskie pobudki, przez które urządziła tę okropną scenę. Wszyscy wczoraj ulegli negatywnym emocjom. Ojciec - chorobliwej zazdrości, Mark - tchórzostwu, Inka - skłonności do kapryszania, a Olga - wszystkim grzechom śmiertelnym razem wziętym. Wystraszyła Bogu ducha winnych cudzoziemców, próbowała w głupi sposób uwieść Jonasza, nagadała mu jakichś bzdur. Inka ma rację: jak nie umiesz, to się nie zabieraj. Ubliżyła ojcu - jakim prawem osądzała jego postępowanie i rozliczała go z

wydatków?! Ubliżyła Markowi, z którym przeżyła dwa i pół roku szczęśliwego małżeństwa. Była na tyle podła, że cieszyła się z nieszczęścia Inki, jak gdyby jej obrażenia mogły zrekompensować jej własną chorobę. Do piekła idzie się nawet za mniejsze grzechy...

Spojrzała w stronę łóżka. Mark spał na samym brzeżku z podłożoną pod policzek dłonią. Ciekawe, kiedy wrócił?

Nie słyszała, kiedy przyszedł. Niczego nie słyszała. Zapadła w głęboki sen. Nawet nie zdjęła ubrania. Zdążyła zrzucić z siebie jedynie kurtkę, która leżała teraz na podłodze obok łóżka. Pamiątką po wczorajszym okropnym wieczorze był piekielny ból głowy i suchość w ustach. To stawało się już rutyną.

Mark. Wybacz mi, Mark.

Zgarnęła śnieg z wąskiego gzymsu i przyłożyła go do rozpalonego czoła. Następnie podeszła do łóżka i kucnęła przed śpiącym mężem.

- Wybacz mi, Mark! - powiedziała smutnym, cichym głosem.
- Nie gniewam się - odparł, nie otwierając oczu.
- Długo już nie śpisz?
- Jeszcze śpię i zamierzam spać do dwunastej.

Do dwunastej? A co z helikopterem i obietnicą ojca, że dzisiaj opuścimy to miejsce?"

- A co... nie lecimy?
- Lecimy o czwartej.
- Dlaczego o czwartej? Przecież planował rano.
- Plany się trochę zmieniły. Na popołudnie zapowiadają poprawę pogody i słabszy wiatr.
- A czy ojciec przejmuje się pogodą, jeśli w grę wchodzi dobro jego żony?
- Mogłoby nami zacząć rzucać. Nie chce ryzykować. Ryzykować swoim życiem - to jedno, ale zdrowiem Inki - to zupełnie inna sprawa.
- Bardzo... Bardzo się zdenerwował?
- Dlaczego nie zapytasz, czyja się nie zdenerwowałem? Jeśli mam być szczery, to bardzo. A ojciec był po prostu wściekły. Uważa, że nie miałas prawa tak się zachować.
- Wiem... Zadzwońię do niego i poproszę o wybaczenie.
- Dobrze, tylko troszkę później. Pożegnaliśmy się dopiero o czwartej nad ranem. Pewnie jeszcze śpi.

- Myślisz, że mi wybaczysz?
- A ma inne wyjście? - nadal nie otwierając oczu, przewrócił się na wznak. - Ale na pewno nie będzie ci łatwo go udobruchać.
- Palnęłam coś niewybaczalnego?
- Yhm. Powiedziałaś, że Inka to dziwka.
- Co?! Rzeczywiście tak się wyraziłam? - przestraszyła się.
- Najpierw dałaś mu to do zrozumienia, a potem użyłaś jednoznacznych słów.
- Ale ja wcale tak o niej nie myślę, słowo honoru!
- A ja tak myślę, ale moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy.
- Mark! Wybacz mi.
- Przecież powiedziałem, że się nie gniewam.
- Otwórz oczy, proszę. Nie mogę rozmawiać z twoimi powiekami, mogę je tylko całować.

Zlitował się nad nią i otworzył oczy. Uśmiechnęła się pokornie, wyciągnęła rękę, pogłaskała go, po czym momentalnie ją cofnęła. Na policzku Marka, w miejscu, w którym go dotknęła, widniała czerwona pręga.

- Coś nie tak? - uniósł się łokciu, widząc przestrach w jej oczach.
- Mark... Skaleczyłeś się? Skaleczyłeś się brzytwą? - miał najlepsze, najbardziej wygodne dla potencjalnych kochanek przyzwyczajenie: golił się na noc.
- Skąd ci to przyszło do głowy? - usiadł pośpiesznie, przejechał palcami po twarzy, potem uniósł je do oczu. - Rzeczywiście wygląda na krew.

Wyskoczył z łóżka i pobiegł do łazienki. Przez kilka chwil wpatrywał się w lustro.

- No nie, nie widać, żebym się zaciął, cara... Dziwne.
- Mark! - jej rozpaczliwy krzyk sprawił, że natychmiast wybiegł z łazienki.

Stała pośrodku pokoju i przerażona patrzyła na swoje ręce.

- Mark, spójrz!

Podniosła dłonie do góry i wyciągnęła je w jego stronę. Były całe we krwi.

- Co to? Co to jest, Mark?! To krew, tak?

Jej oczy, utkwione w męża, błagały, prosiły, żądały, zaklinały: powiedz, że to nie tak, Mark! Powiedz, że to nie tak! Powiedz, że to nie jest krew. Podbiegł do niej.

- Zraniłaś się, cara? O Boże, tyle razy cię prosiłem, żebyś ostrożniej obchodziła się z ostrymi przedmiotami.

- Mark - uśmiechnęła się smutno - przecież schowałeś przede mną wszystkie ostre przedmioty. Czegoś się obawiałaś... Nie skaleczyłam się, Mark. Nic mnie nie boli.

Z trudem wydusiła z siebie te słowa.

- Co to jest, Mark? Ja nie wiem, co to jest...

- Uspokój się - nadal stał w tym samym miejscu. - Chodźmy do łazienki. Umyjemy się. Zmyjemy to świństwo. Zmyjemy...

Nie zdążył dokończyć, bo nagle rozległo się głośne i natarczywe pukanie do drzwi.

Drgnął, ale nie poszedł otworzyć.

- Proszę mnie wpuścić!

- Prawdę mówiąc, jeszcze śpimy... A kto tam?

- Zwiagincew.

- Co się znowu stało?

- Mogę z panem porozmawiać?

- Tak, oczywiście.

Mark otworzył w końcu i wyszedł na ganek. Zwiagincew stał przy drzwiach, przestępując z nogi na nogę.

- Obawiam się, że mam dla pana złe wieści - zniżył głos i spojrzał na niego ze współczuciem. - Proszę jakoś przygotować na to żonę.

- Co?! O czym pan mówi? Do czego mam ją przygotować?

- Znaleźliśmy ciało pańskiego teścia. Został zabity.

CZEŚĆ III

Masz ci babo placek!

To idiotyczne zdanie chodziło Zwiagincewowi po głowie przez ostatnie dwie godziny.

Masz ci babo placek!

A przecież już dawno mógł poprosić o urlop i wyjechać, powiedzmy, na Krym, do jakiejś Eupatorii, gdzie jest najdelikatniejsza piaszczysta plaża - delikatny złoty piasek. Tak, właśnie tam mógłby teraz być. Wystarczyłoby przed paroma tygodniami szepnąć słówko dyrektorowi hotelu i teraz zamiast w „Róży Wiatrów”, byłby daleko stąd. Po prostu daleko!

Chodziłby sobie na długie spacery po plaży, karmiłby mewy - a przy okazji siebie - chlebem wyniesionym ze stołówki. Przy jego stoliku siedziałyby same miłe osoby, którym nie przyszłoby nigdy do głowy nazwać go starym, tłustym wieprzem. Całowałyby kobiety po rękach - podobno kobiety to lubią - i rozmawiałyby z mężczyznami o piłce nożnej. To bzdura, że mężczyźni najbardziej lubią rozmawiać o kobietach. Tak naprawdę bardziej interesuje ich udany gol Zidana na ostatnich mistrzostwach Europy.

Dzieliłby dwuosobowy pokój ze zblazowanym Ukraińcem, zagorzałym nacjonalistą, który demonstracyjnie używałby jedynie swojego języka ojczystego i robiłby Zwiagincewowi drobne psikusy. Ale wołałby te wszystkie niewinne psikusy niż to potworne świństwo, jakie na stare lata wycięła mu „Róża Wiatrów”.

Zwłoki w apartamencie. To jest gorsze niż wszyscy złośliwi Ukraińcy!
Zwłoki w hotelu. Masz ci babo placek!

A przy tym nie chodzi o jakieś zwykłe zwłoki, lecz zwłoki szanowanej i bardzo wpływowej osoby, która dopiero wczoraj przyjechała do „Róży Wiatrów”.

Czemu, u licha, nie wziął urlopu?! Teraz w tym głównie babrałby się ktoś inny. On nigdy nie był specjalistą od takich spraw, jak zgodnie twierdzili koledzy z komisariatu. Czemuż nie pojechał w porę na urlop?!

Dzisiaj o wpół do ósmej rano obudził go telefon od portiera. Zacinając się z przejęcia, powiadomił zaspanego Zwiagincewa o strasznych krzykach, dochodzących z jednego z apartamentów. Miał już w tej sprawie kilka telefonów z pretensjami.

- A kto krzyczy? - zadał bezmyślne pytanie na wpół senny ochroniarz.

Portier powiedział, że nie wiadomo, najprawdopodobniej mieszkająca w tym pokoju Inessa Szmarinowa, do której przyleciał wczoraj mąż.

- To ta, która się przewróciła? - dopytywał, chociaż doskonale wiedział, że to o niej mowa.

- Tak, ta sama - potwierdził portier.

- I długo już tak krzyczy?

- Z piętnaście minut. Bez przerwy.

Co za dziwnych mamy ludzi w Rosji! Ktoś drze się przez cały kwadrans, a taktowni sąsiedzi poprzestają jedynie na telefonach do portiera.

- A dlaczego, Iwan, sam nie pójdziesz i nie sprawdzisz?

Na drugim końcu linii zapadło milczenie. To było pytanie retoryczne. Zwiagincew znał na nie odpowiedź. Iwan nigdy nie wchodził do góry po tym, jak w zeszłym roku zareagował na podobne krzyki w apartamencie zajmowanym przez „nowego ruskiego”. Snob regularnie się upijał i tłukł swoją kochankę. Portier, który tej pamiętnej nocy miał akurat dyżur, odebrał kilka telefonów od zdenerwowanych sąsiadów i postanowił sprawdzić, co się tam dzieje. Wszedł na górę, otworzył drzwi zapasowym kluczem i... o mały włos nie zarobił kulki między oczy.

Skatowana kochanka odmówiła wniesienia skargi i kategorycznie zaprzeczyła, jakoby jej książkę z bajki posiadał przy sobie pistolet. Portier musiał więc ograniczyć się do upomnienia, uprzejmego ukłonu i przeprosin. Od tamtej pory wolał nie wtrącać się w cudze sprawy.

- I co mam teraz zrobić? - zapytał Zwiagincew. Nie chciało mu się opuszczać ciepłego łóżka.

- Nie wiem, ale ona naprawdę głośno krzyczy.

- No, dobra - rzekł zrezygnowanym tonem. - Wezwij w międzyczasie ochronę. Zaraz przyjdę.

Zanim się pozbierał, zeszło kilka dobrych minut. Ubieraniu się towarzyszyło głośne stękanie i psioczenie na bogatych gości, którzy wyrabiają Bóg wie co. Pewnie chodzi o jakąś bzdurę, a on musi opuścić ciepłą pierzynkę i tułać się tam, by pogodzić zwaśnione strony.

Kiedy jednak pojawił się w holu i zobaczył bladą twarz portiera, w lot zrozumiał, że stało się coś poważnego.

Sine usta Iwana drżały, a w oczach czaił się strach.

- Co jest? - zapytał podejrzliwie Zwiagincew. Piekielnie nie podobał mu się wyraz jego twarzy.

- Chłopaki już są w środku - mruknął. - Radik i Kola.

Radik i Kola byli najbardziej tępą parą ochroniarzy, jakich znał. Wszędzie chodzili razem. Nawet w preferansa grali w parze i zawsze dawali się wykołować.

- No i? - zachęcił jękającego się portiera.

- Radik już zameldował przez telefon... Mają tam ciało.

- Ciało?

- Zwłoki - wydusił z siebie Iwan.

- Kobiety?

- Mężczyzny.

- A kobieta? Ta, która krzyczała.

- Nadal krzyczy. Z tym, że nieco ciszej niż wcześniej. Już ochrypla. Chłopaki starają się ją uspokoić. Tyle powiedział mi Radik.

- No, dobrze, idę na górę. A ty połącz się z szefostwem. I wezwij naszego doktora. Aha, i postaraj się dozwonić do miasta. Niech sprowadzą tu grupę dochodzeniową.

- A skąd wziąć numer? - zapytał z zakłopotaniem Iwan.

- O, w mordę! Zadzwoń na informację. Z centrali. Niech podadzą minier na komisariat. Wszystko jasne?

- Tak, ale... może by pan sam...

- Nie teraz. Muszę najpierw zorientować się, co tam jest grane na górze

- Zwiagincew przechylił się przez kontuar i spojrzał Iwanowi prosto w jego

przerażone oczy. - Wiesz, że najgorsza zbrodnia została popełniona znacznie wcześniej?

- Jak to? - portier wyrócił oczami.

- Najgorsza zbrodnia polega na tym, że wszystkie etaty w tym cholerym ośrodku okupują idioci.

- Tak pan uważa?

- A ty nie?

Klnąc na czym świat stoi, Zwiagincew ruszył na górę. Do apartamentu numer dwanaście.

Stłumiony szloch słyhać było już na korytarzu. Rzeczywiście kobieta ochrypła. Z jej gardła wydobywało się jakieś dziwne charczenie. Drzwi do apartamentu były uchylone. Zwiagincew, który, nie wiedząc czemu, nie zdecydował się otworzyć ich na oścież, z ledwością przecisnął przez nie swój wielki brzuch. Obraz, który ukazał się jego oczom, potwierdził jego najgorsze obawy.

Pośrodku pokoju leżały zwłoki. Mężczyzna. Wiek - około pięćdziesiątki. Zwiagincew widział go wczoraj przelotnie. To mąż tej wystrzyżonej kocicy, przyjaciółki Olgi Krasińskiej. I równocześnie ojciec Olgi.

Krępy Radik, przewodzący tej dwuosobowej grupie ochroniarzy, kuczał koło zwłok, a tyczkowaty Kola stał bezradnie obok szerokiego łóżka. Na łóżku leżała wspomniana wcześniej wystrzyżona kocica, za którą Zwiagincew nie przepadał. Teraz jednak ogromnie jej współczuł.

Nie miała już siły krzyżeć. Co chwila zanosila się spazmatycznym płaczem. W porządku, trupem zajmie się później. Trup nigdzie nie zginie. Najpierw trzeba pomóc kobiecie.

- I cóż tak stoisz?! - krzyknęła na otepiatego Kole. - Przyniósłbyś przynajmniej wody.

Kola poszedł do łazienki, a Zwiagincew przysiadł na brzegu łóżka.

Kobieta była w szoku. Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Jej wzrok był utkwiony w leżącym na podłodze ciele.

- Pani Inesso! - przypomniał sobie nawet, jak ma na imię. - Słyszysz mnie pani?!

Z jej piersi wyrwał się stłumiony jęk.

Zwiagincew pogrzebał przez chwilę w przepastnych kieszeniach i wyciągnął stary, twardy karmelek, oblepiony paprochami z tytoniu. Taki sam swego czasu dał jej przyjaciółce, Oldze, koło skał z nieistniejącą jaskinią.

- Chce pani cukierka? - bąknął.

Było to idiotyczne pytanie, jednak, o dziwo, przyniosło zamierzony skutek. Inessa przestała szlochać i spojrzała na niego.

- Co?

Zręcznie odwinął karmelek z papierka i podał go jej.

- Proszę, jest naprawdę smaczny.

Dziewczyna odruchowo przyjęła cukierek i wsunęła go do ust.

- Świetnie - westchnął głośno, odwrócił się do Radika i syknął: - Przykryj go czymś na razie. I przykknij drzwi, żeby się gapie nie zleciały. Różnie to bywa...

Z łazienki wyjrzał Kola.

- Tu nie ma szklanki.

- O Boże, co za dureń! - Zwiagincew chwycił się za głowę. - Przetrzyj oczy! Szklanki stoją tutaj na stole.

Na małym stoliku rzeczywiście stała napoczęta butelka koniaku i trzy szklaneczki. W każdej z nich na samym dnie lśnił jasnobrązowy płyn. Kola, który zawsze wyróżniał się wzmożonym pociąganiem do alkoholu, rzucił ukradkowe spojrzenie, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, dopił resztki z jednej szklanki, po czym razem z nią ponownie wszedł do łazienki.

Radik przykrył zwłoki kapą z sofy i teraz z ponurą miną stał w drzwiach, opierając się o futrynę. Przez chwilę w pokoju panowała przytłaczająca cisza. Słychać było jedynie odgłos leżącej z kranu wody. To Kola napełniał szklankę. Po pięciu minutach wrócił i podał ją Zwiagincewowi.

- Nie mnie, durniu! - krzyknął Pał Pałycz. - Dziewczynie.

Inessa chwyciła szklankę w obie dłonie i natychmiast zadzwoniła zębami o cienkie szkło. Aby dać jej trochę czasu zanim się nie uspokoi, Zwiagincew wstał i przeszedł się po pokoju.

Zatrzymał się obok stolika z koniakiem.

Napoleon. Nieźle im się powodzi! Spojrzał łakomie na alkohol. Korciło go, żeby spróbować słynnego napoju, ale... Niewykluczone, że na butelce i szklankach są odciski, które potem przydadzą się w śledztwie. No, dobrze, na to przyjdzie jeszcze czas. Teraz najważniejsza jest dziewczyna.

Wrócił do Inki i przysiadł obok niej.

- Może pani mówić? - zapytał łagodnie.

Gwałtownie pokiwała głową.

- W takim razie proszę mi opowiedzieć, co się tutaj wydarzyło?

- Ja... Nie wiem. Igor... - znów napłynęły jej łzy, ale Zwiagincew zapobiegawczo podniósł rękę.

- No, już dobrze. Niech się pani postara uspokoić.

Łatwo powiedzieć - pomyślał. - Żądasz od niej rzeczy niemożliwych. Jak się ma uspokoić, kiedy dwa metry dalej leży ciało jej męża.

- Tak, tak... spróbuję... - ponownie pokiwała głową.

- Zacznijmy więc od początku. Leżący na podłodze człowiek jest pani mężem, tak?

- Tak.

- Nazwisko, imię i imię ojca.

- Moje?

- Pani też, ale to później. Najpierw jego.

- Szmarinow... Igor Anatoliewicz Szmarinow. Ja też jestem Szmarinowa.

- Rozumiem.

- Wie pan... Przyleciał dopiero wczoraj.

Całą tę romantyczną historię o przylocie mężczyzny słyszał już od męża Olgi. Facet przybył z Moskwy, ryzykując życiem w czasie śnieżycy, tylko dlatego, że jego żona miała wypadek na trasie i nie mogła się ruszyć. Wielkie uczucie. Godne wpisu do Księgi rekordów Guinnessa. A teraz sam leży bez ruchu w kałuży krwi, a jego żona w stanie szoku ssie cukierek, który dał jej Zwiagincew...

- Tak, wiem.

- Przyleciał... przyleciał, a potem... potem, wieczorem przyszedł lekarz. Przyniósł mi środek nasenny. Mówił, że jest bardzo dobry i że będę po nim spała jak dziecko. Że nie będę się martwić swoimi nogami. Że nie będę czuła bólu.

- A teraz?

- Co - teraz? Ja i tak ich nie czuję... Nic nie czuję... Absolutnie nic...

- Proszę się uspokoić. Czyli otrzymała pani środek nasenny?

- Tak. Od Artioma... Chyba tak właśnie ma na imię - Artiom.

- Tak, to nasz lekarz.

- Wzięłam proszki. Igor był tu ze mną... Siedział tam, gdzie pan teraz siedzi... - zaczęła cicho szlochać. - Tak. Mówił, że jutro stąd odlatujemy. To znaczy dziś... Boże, po co on tu przyleciał? Nie chciałam, żeby się tu zjawiał, ale Mark... Mark powiedział, że Igor nigdy nam nie wybaczy, jeśli zataimy

przed nim... że miałam wypadek... Okropnie się złościł, że tu na miejscu nic się nie da zrobić. Że nie chodzę... Mówię teraz o Marku, nie o Igorze. Zadzwoił do Moskwy.

Nieprzerwany potok słów zaczął go męczyć. Dziewczyna wyraźnie zbaczała z tematu. Spróbował skierować jej myśli na odpowiedni tor.

- Czyli zasnęła pani po tych środkach?

- Tak, ale nie pamiętam kiedy. Czulałam, że przez cały czas Igor jest ze mną.

- A potem?

- Nie wiem, co było potem. Ocknęłam się dopiero dzisiaj rano. Nie wiedziałam nawet, która jest godzina. Ale było jeszcze ciemno. Od razu przypomniałam sobie, co się stało... że się przewróciłam... i że przyleciał Igor. Myślałam, że położył się na sofie... ale go tam nie było. Pomyślałam wtedy, że może nie wrócił jeszcze z baru...

- A co, miał iść do baru?

- Nie wiem... To znaczy... nie wiem, czy miał iść, czy nie, ale mógł pójść. Wczoraj wieczorem słyszałam, jak Mark... Mark to mąż mojej przyjaciółki, córki Igora...

- Wiem - przerwał jej zniecierpliwiony.

- Jak Mark powiedział do Igora: „Będziemy w barze, Igorze Anatoliewiczu. Tutaj obok, więc jeśli się pan namyśli...”. Igor został jednak ze mną, ale kiedy się obudziłam, to go nie było... To znaczy był, ale jeszcze o tym nie wiedziałam. Pomyślałam, że to świństwo z jego strony, żeby zostawiać chorą żonę samą. Nawet się na niego rozgniewałam - lzy pociekły jej po policzkach. - Rozgniewałam się, a potem zobaczyłam, że leży na podłodze. Było jeszcze ciemno... Zawołałam go, ale się nie odezwał. Pomyślałam...

- Pomyślała pani, że się upił, wrócił do pokoju i zasnął na dywanie?

- Nie... Nie wiem nawet, co pomyślałam... Igor bardzo mało pije. A ściśle mówiąc, prawie w ogóle nie pije.

- A zatem zobaczyła pani swojego niepijącego męża na podłodze i to panią nie zaniepokoiło?

- No... Wie pan... Wczoraj była ekstremalna sytuacja. Bardzo mnie kocha...

Kocha - to mało powiedziane! Żeby pokonać taki szmat drogi z Moskwy?! Tak, to widać na pierwszy rzut oka.

Od Marka Zwiagincew wiedział, że Szmarinow kierował ogromnym koncernem naftowym. Takiej firmy nie zostawia się ot, tak, bez nadzoru. Trzeba mieć ku temu poważne powody. Po swej wieloletniej pracy na komisariacie i stykaniu się z najróżniejszymi przejawami ludzkich uczuć i namiętności ochroniarz był gotów uwierzyć, że w skład pakietu ważnych powodów może wchodzić również miłość.

- Pomyślałam, że może tak bardzo przeżywa całą sytuację. A poza tym miał ciężki lot. Leciał tu helikopterem, a wczoraj był taki śnieg, taka zamieć... Może więc postanowił się zrelaksować.

- Rozumiem.

- Później, kiedy zaczęło świtać... kiedy go wreszcie zobaczyłam... Leżał w tak nienaturalnej pozycji... I ta ciemna plama pod nim... Nie odzywał się... Wtedy dotarło do mnie, że wydarzyło się coś potwornego... Coś nieodwracalnego...

Znów zaniosła się płaczem. Zwiagincew delikatnie pogłaskał ją po nogach nakrytych kołdrą. Nie zareagowała, jakby wcale tego nie zauważyła. No tak, faktycznie. Całkiem zapomniał o tym, że Inessa nie może ruszać nogami i niczego nie czuje.

- Kiedy dotarła do mnie ta straszna prawda... Rozumie pan, co to znaczy: leżał tuż obok, a ja nie mogłam wstać... nie mogłam mu pomóc... Nie mogłam dosięgnąć telefonu, żeby zadzwonić. Byłam bezradna. Pomyślałam: a co, jeśli jeszcze żyje? Jeśli jest tylko ranny? A ja marnuję drogocenny czas, kiedy można go jeszcze uratować...

- A dlaczego pani pomyślała, że jest tylko ranny?

- Chciałam tak myśleć. A pan... Gdyby się panu coś takiego przytrafiło? Gdyby nie było wiadomo, czy na pewno nie żyje? Zaczęłyby pan sobie wmawiać, że sytuacja nie jest wcale tak tragiczna, jakby się mogło wydawać. Że wszystko da się jeszcze naprawić.

- Tak. Doskonale panią rozumiem.

Naprawdę ją rozumiał. Kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji. Kiedy jego syn leżał na asfalcie, czuł to samo, co ona. Przekonywał sam siebie, że nie jest tak tragicznie i że wszystko da się jeszcze naprawić. I nawet wtedy, kiedy poznał prawdę, nie przyjął jej do wiadomości. Inessa dokładnie wyraziła słowami towarzyszące temu emocje. Trafnie to ujęła.

- Nie mogłam dosięgnąć telefonu. Zaczęłam krzyczeć. Nie pamiętam, ale chyba krzyczałam tak długo, aż przyszli ci dwaj.

- Tak. Tak właśnie było. Czy myśli pani, że byłaby pani w stanie złożyć pisemne zeznanie? To, co pani powiedziała... o ciele. O tym, co było wcześniej i co nastąpiło później.

- Teraz? - popatrzyła na niego przerażonym wzrokiem.

- Hm... To chyba nie jest najlepszy pomysł - postanowił się zrehabilitować. - Trochę później.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, gdyż zadzwonił telefon. Zwiagincew spostrzegł, jak drżą jej wargi. Będzie potrzebować czasu, zanim się z tego otrząśnie, biedactwo.

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Halo! - powiedział, kaszląc.

- Pał Pałycz? To ja, Iwan.

- I jak? Połączyłeś się z miastem?

- Telefon nie działa. Linia się zerwała.

- To jak to możliwe, że teraz rozmawiamy?!

- To jest wewnętrzna linia, proszę pana.

- Cholera jasna! - zaklął, po czym natychmiast zawołał do słuchawki: - Przecież jest radiostacja! I łączność satelitarna! Rusz głową, Iwan!

- Już.

- Co - już?

- Już nią ruszyłem. Dodzwoniłem się.

- Doskonale! Ze stopnia zwykłego durnia awansuję cię na mądralę.

Kiedy mają być?

- Nie wiem.

- Jak to - nie wiesz? Przekazałeś im informację?

- Oczywiście. Powiedziałem o zwłokach, ale mają trudności. Okropna pogoda: zamieć i porywisty wiatr. Na razie nie są w stanie się do nas dostać nawet drogą powietrzną. Kazali przeprowadzić wstępne śledztwo i zebrać zeznania. Zjawią się, gdy tylko polepszą się warunki pogodowe.

- Z kim rozmawiałeś?

- Nie wiem. Moment. Zapisałem sobie... Jakiś major Rachmarullin. Przez dwa „l”.

Zwiagincew odłożył słuchawkę.

Boże, dlaczego nie wziąłem urlopu?

Można się było tego spodziewać. Już wczoraj większość przełęczu była zamknięta. Tylko temu wariatowi udało się przedrzeć przez zamieć

śmigłowcem. A teraz szalony kamikadze nie żyje. Piloci śmigłowców nie przylecą tu za żadne pieniądze. A i nikt w wydziale śledczym nie dysponuje pięcioma tysiącami, na które mogliby się połaścić. Sam więc musi zająć się rutynowymi czynnościami śledczymi. I to w jego wieku, i z zapaleniem korzonków. Pomijając to, że nigdy nie palił się do takich rozrywek...

Ale najpierw musi zdecydować, co począć z dziewczyną. Pozostawienie jej tutaj i przeprowadzenie na jej oczach oględzin zwłok byłoby nieludzkie. Nie można pozwolić na takie barbarzyństwo...

Do czorta! To słowo go prześladowuje! A wszystko przez Zapiesocką i tę nieprzyjemną historię z miasteczkiem rzeźb lodowych. Jednak dzisiejsze morderstwo przebiło wszystkie poprzednie incydenty.

Trzeba ją przenieść w inne miejsce. Pogadać z doktorkiem i przenieść gdzie indziej.

Gdy się nad tym zastanawiał, przy drzwiach powstało lekkie zamieszanie.

- Co się tam dzieje, Radik? - zapytał. - Kto szturmuje drzwi? Przyszli łączyć się w bólu?

- Nie, to lekarz. Wpuścić go?

- Wpuść.

Po chwili w pokoju pojawił się Artiom Lwowicz. Rzucił obojętne spojrzenie na przykryte ciało, po czym podał Zwiagincewowi rękę.

- Nawet o noszach pomyślałeś. Świetnie! - Zwiagincew pochwalił domyślnego doktora.

- Coś u nas musi przecież działać.

- A więc tak, najpierw przeniesiesz gdzieś dziewczynę i dopilnujesz, żeby miała wszelkie wygody, a potem tu wrócisz i dokonamy oględzin zwłok...

- zerknął ukradkiem na Inesę i zniżył głos: - Oględzin... hmm... ciała ofiary i sporządzimy protokół.

- A pan znowu z tymi swoimi protokołami.

- Bez tego ani rusz. To nie jest zwykła kradzież kijka narciarskiego.

- Dokąd mam ją przetransportować?

Zwiagincew w pierwszej chwili pomyślał o krewnych Inesy, którzy mieszkali w domku, ale nie był jeszcze gotowy na spotkanie z córką ofiary.

- Na razie zanieś ją do siebie, a potem się zobaczy.

- Pan... zamierza mnie stąd zabrać? - Do Inki dotarło w końcu, jaki cel ma wizyta lekarza.

- Tak, proszę pani. Nie może pani tutaj dłużej zostać.

- Nie zgadzam się! Nigdzie nie pójdę!

- Oczywiście, że pani nie pójdzie. Dostarczymy panią na noszach jak chińskiego mandaryna.

- Nie...

- Nie ma innego wyjścia. Sama pani rozumie, co tu zaszło.

- Muszę... - zaczęła łkać - ...muszę przynajmniej powiadomić Marka i Olgę...

- Niech się pani nie martwi. Zadzwońię do nich. Wezwę ich w odpowiednim czasie, przesłucham i tak dalej...

- Pan mnie nie zrozumiał. Ich trzeba jak najszybciej powiadomić. Przede wszystkim Olgę. To jej ojciec. Ona mi tego nie wybaczy.

- Czego nie wybaczy?

Podniosła na niego ogromne, pełne łez oczy.

- Że od razu jej nie powiadomiono.

- Dziesięć minut w tę, dziesięć w tamtą - co za różnica? Tym lepiej dla niej. Będzie miała dodatkowe dziesięć minut spokoju... - zawiesił głos.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jaki się stał cyniczny. Cóż za nietakt z jego strony, żeby w ten sposób rozmawiać z wdową. Chociaż z drugiej strony, może to i dobrze? Przecież jest zbyt młoda, żeby trwać w żałobie do końca życia. Im prędzej się z tego otrząśnie, tym lepiej. A poza tym jakoś nie wygląda mu na romantyczną Julię, która będzie długo rozpaczać po stracie ukochanego. Zdradzają ją oczy. Zbyt mocno lśnią, jak na kogoś, kto przeżył taki dramat. Zwiagincew jest gotów się założyć, że za miesiąc, góra - dwa, znajdzie sobie młodego kulturystę i na zawsze zapomni o swoim byłym, nie pierwszej już młodości, mężu. Zwłaszcza że pewnie nie będzie musiała klepać biedy. Bez wątplenia odziedziczy duży majątek...

- Jak pan może?!

Ależ ona piękna! Wołodia momentalnie by się w niej zadurzył. Jest taka pociągająca w swej bezradności, a rozpacz dodaje jej tylko uroku.

- Muszę przeprowadzić rutynowe czynności śledcze - powiedział prosto z mostu - więc proszę udać się z doktorem do gabinetu. Zajrzę do pani. Za jakiś czas.

Radik i Kola umieścili Inkę na noszach i cały orszak ruszył w kierunku wyjścia. Zwiagincew wyjrzał na korytarz. W jego odległym końcu zobaczył grupkę zaciekawionych gości. Tak... złe wieści szybko się rozchodzą, a zwłaszcza wieści o zabójstwie.

Wyjął z kieszeni brudną chustkę do nosa, chwycił przez nią klamkę i ostrożnie zamknął drzwi. Właściwie zdawał sobie sprawę, że te zabiegi nie mają już sensu. Jeśli nawet na klamce były jakieś odciski palców, to te tłumoki już dawno je zamazały. Ale procedury to procedury. Zawsze się ich trzymał.

Zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem, drapiąc się co chwila bezwiednie. *Skup się, towarzyszu kapitanie w stanie spoczynku! Czeką cię niezły wysiłek umysłowy. Musisz wykonać część pracy za grupę dochodzeniową. Ale co możesz zrobić bez ekspertów i tych ich rękawiczek, lup, aparatów fotograficznych i roztworów chemicznych? Niewiele, jednak musisz przynajmniej spróbować przeanalizować całą sytuację, aby później w ogólnych zarysach móc przedstawić wydarzenia minionej nocy.* Zatrzymał się przy drzwiach i omiół spojrzeniem pokój.

Jego uwagę przykuła butelka koniaku. Była opróżniona w trzech czwartych. Niepotrzebnie kazał temu cymbałowi użyć szklanki! Jaki stary, taki głupi! A może właśnie na niej były odciski palców mordercy? Dwie szklanki - w pełni zrozumiałe. Mąż i żona wypili za szczęśliwe połączenie. Jest oczywiście jeszcze jedna para, pozostająca z nimi w rodzinnych stosunkach, ale w takim razie powinny być cztery naczynia, a nie trzy...

Przy pomocy chustki do nosa otworzył drzwiczki szafki nocnej. Na dolnej półce muszą leżeć papierowe torebki z logo „Róży Wiatrów”. Zdaniem kierownictwa takie gadżety, podobnie jak bezpłatna kawa podawana do pokoi, sprzyjają umocnieniu marki i polepszeniu wizerunku hotelu troszczącego się o swoich gości.

W szafce rzeczywiście leżały papierowe torebki. Wyciągnął kilka sztuk i w dwie z nich ostrożnie zapakował szklanki. Została jeszcze butelka. Po chwili również powędrowała do torebki. Nim to jednak nastąpiło, nie wytrzymał i upił z niej kilka łyków. Prosto z butelki.

Walory smakowe jakoś go nie zachwyciły, ale po ciele rozeszło się przynajmniej przyjemne ciepło. Teraz mógł wreszcie zabrać się za oględziny zwłok. Podszedł i ostrożnie odsłonił ciało zamordowanego.

Szmarinow leżał na wznak z obróconą na bok głową. Spod niedomkniętych powiek widać było białka oczu. Na twarzy zastygło zdziwienie- Mężczyzna miał już swoje lata, a śmierć jeszcze go postarzyła. Wyraźniej zarysowały się zmarszczki wokół oczu i ust. Pewnie za życia takie zmarszczki mogłyby popsuć stosunki z młodą żoną. Ochroniarz westchnął. Nie ma co do tego stuprocentowej pewności, ale...

Mimo to wciąż mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę i starzał się z klasą. Nie tak, jak on - Zwiagincew.

Delikatnie odwrócił ciało zmarłego i aż zagwizdał. Cała klatka piersiowa przesiąknięta była krwią. Morderca - bądź mordercy - zadał mnóstwo ciosów nożem. Ciosy zadawane były na oślep i rany w większości były powierzchowne. Tylko jeden cios, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, został zadany precyzyjnie i z dużą siłą, i to on musiał być bezpośrednią przyczyną zgonu.

Po skończonych oględzinach skoncentrował się na pokoju. Z pozoru wszystko wyglądało jak należy. Pomieszczenie nie przypominało pola bitwy. Jednak kiedy się dokładniej rozejrzał, odkrył ślady walki: przewrócone krzesło i zrzucone na podłogę małe poduszki. Jedna z nich leżała niedaleko ciała. Jej poświęcił szczególną uwagę. Była rozpruta ostrym przedmiotem. Być może nożem. Tym samym nożem, którym został zabity Szmarinow. Na tapecie przy drzwiach zauważył krwawy odcisk dłoni. Pewnie morderca, wychodząc z pokoju, bezwiednie oparł się o ścianę. Po chwili, poruszając się na kolanach po dywanie, znalazł narzędzie zbrodni.

Nóż. Nóż myśliwski. Cały we krwi. Był to bardzo drogi nóż z fantazyjnie wygiętym ostrzem. Zwiagincew nigdy nie był myśliwym, ale znalazł się na nożach. Kiedy mieszkał w Petersburgu, jego sąsiad z klatki, motorniczy Mitricz, namiętny miłośnik polowania i biesiadowania na łonie przyrody, usiłował nauczyć go sztuki myśliwskiej. I pewnie Pał uległby jego namowom, gdyby nie protesty Wołodii, który uważał polowanie za zamaskowane morderstwo. Chłopak zawsze miał sentyment do zwierzątek. W tym właśnie czasie zaczęła pisać *Kołyсанkę dla języka*.

Krótko mówiąc, ochroniarz musiał zrezygnować z polowania, ale dzięki Mitriczowi zaczął się jako tako orientować w broni myśliwskiej i miał nie najgorsze pojęcie o nożach.

Tak, to był bardzo drogi nóż z rękojeścią wykonaną z rogu jakiegoś zwierzęcia, która w dodatku była ozdobiona w artystyczny sposób. Przez krew

przebijała się misternie wyrzeźbiona scena safari. Dwóch białych myśliwych i dzikus w opasce z liści na biodrach polowali na lwa. Zwiagincew westchnął i z trudem zwalczył pokusę wsunięcia noża do kieszeni. Na jasnym matowym trzonku wyraźnie widać było czyjeś odciski palców. Jeszcze raz obejrzał nóż ze wszystkich stron i odłożył go na miejsce. Tym samym pierwszy etap zbierania dowodów rzeczowych został zakończony. Zabrał się za przeglądanie ubrań.

Pojemna szafa po brzegi wypełniona była damskimi strojami. Najwyraźniej ptaszek lubił czyścić piórka i uwielbiał się stroić. Ale te wszystkie peniuary, halki, bikini, biustonosze, suknie, bluzki i spodnie nie wnosiły nic do sprawy poza delikatnym zapachem drogich perfum. Widać, że Szmarinow uwielbiał rozpieszczać żonę i umiał to robić.

Zwiagincew w życiu nie widział tylu drogich rzeczy naraz. Jego była żona, pracująca w fabryce wyrobów metalowych, miała tylko dwa komplety ubrań: wersję letnią i zimową. Zimowa składała się z płaszcza z flauszu z kołnierzem z królika, wełnianej sukni i flanelowego szlafroka do noszenia po domu. Letnia z kolei była bardziej zróżnicowana: dżersejowa garsonka do zbiorowych wypadów do kina i uroczystych posiedzeń z okazji Dnia Pracowników Przemysłu Maszynowego, popelinowy kostium na dni powszednie i wspomniany wyżej flanelowy szlafrok...

Pobieżnie przejrzał wszystkie fatalaszki Inessy i zajął się torbą podróżną jej męża. Było w niej jedynie kilka najpotrzebniejszych rzeczy: złote pióro Parker, notatnik elektroniczny, parę wizytówek, kilka kart kredytowych, kilka tysięcy rubli w banknotach stu- i pięciusetrublowych i okazałych rozmiarów plik dolarów. Poza tym jakieś papiery służbowe w skórzanej teczce. Nie było ani bielizny na zmianę, ani maszynki do golenia, ani wody kolońskiej, ani chociażby szczoteczki do zębów.

No tak, wiadomość o wypadku była dla niego zaskoczeniem.

Zwiagincew dokładnie wyobraził sobie wydarzenia, poprzedzające pojawienie się Szmarinowa w hotelu. Mark Krasieński, dowiedziawszy się o tym, że żona szefa rozłożyła się na trasie, wpadł w panikę i wykonał telefon do Moskwy. Miłość Szmarinowa do żony była tak wielka, że bez chwili namysłu postanowił tu przylecieć. Najprawdopodobniej nie zdążył nawet zajechać do domu, żeby się przebrać, dlatego pozostał w spodniach od garnituru. Jedynie marynarkę zmienił na sweter, który miał pewnie schowany w biurowej szafie...

Trzęsącymi się rękami ochroniarz przeliczył gotówkę: równo tysiąc osiemset pięćdziesiąt pięć dolarów. Nigdy dotąd nie trzymał w rękach takiej sumy...

Zawartość skórzanej torby Szmarinowa powędrowała do papierowych torebek. Na każdej z nich napisał nazwę umieszczonych tam przedmiotów. Tylko z plikiem dolarów zdarzył mu się mały wypadek. Wiedziony najgorszym instynktem, któremu co jakiś czas udawało się dojść do głosu, i ukradkiem zerkając na zamknięte drzwi, wsunął do kieszeni płaszcza kilka setek.

...Denatowi na pewno już się nie przydadzą, a wdowa nie odczuje tak znikomej straty...

Ale gdy tylko pieniądze znalazły się w kieszeni, natychmiast pożałował swojego czynu, a nawet mocno się zawstydził. Jego syn na pewno potępiłby go za kradzież.

Z krwawiącym sercem przełożył pieniądze do papierowej torebki i zdecydowanym ruchem napisał: „1855 dolarów”. Wszystkie rzeczy należące do zmarłego Szmarinowa zostały tym samym skrzętnie odnotowane i pogrupowane.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer portiera.

- Iwan?

- Tak.

- Skontaktuj się z ratownikami. Zdaje się, że któryś z nich ma dobry aparat fotograficzny. Powiedz, że ma włożyć świeże baterie i przyjść pod dwunastkę. Skapowałeś?

- Pan chce mnie obrazić?

Odłożył słuchawkę i zaczął krążyć po pokoju, za każdym razem ostrożnie przekraczając ciało. Aż w końcu usiadł na łóżku i się zamyślił. Wstępny etap śledztwa - oględziny miejsca zbrodni - został zakończony. Można zatem pokusić się o wyciągnięcie pierwszych wniosków.

Rozłożył się wygodnie na świeżo wykrochmalonym prześcieradle i zaniknął oczy.

Podsumujmy.

Poważny biznesmen - Igor Anatoliewicz Szmarinow - przyjeżdża do ośrodka do poszkodowanej w wypadku żony. Przyjeżdża zjedną małą torbą, w której znajdują się karty kredytowe, gotówka w rublach i obcej walucie - co razem daje całkiem przyzwoitą jak na dzisiejsze czasy sumę.

Wychodzi po niego córka z zięciem. Całą trójką udają się do poszkodowanej. Szmarinow zostaje z nią tak długo, aż ta zasypia. Po przebudzeniu kobieta spostrzega zwłoki męża, leżące na dywanie. Ze względu na niedowład nóg nie może podejść do telefonu, by wezwać pomoc. Krzyczy więc w nadziei, że w ten sposób przyciągnie czyjąś uwagę. W końcu osiąga zamierzony cel. Liczne rany oraz ich powierzchowny charakter pozwalają zakładać, że nie mamy do czynienia z zawodowcem. Automatycznie odpada więc wersja o płatnym zabójcy. Wersja zabójstwa na tle rabunkowym również wydaje się bezpodstawna. W torbie Szmarinowa leżą bowiem nietknięte pieniądze oraz karty kredytowe.

Jedyny świadek tragedii, która się tu rozegrała, przez cały czas spał. W dodatku ów świadek nie może opuścić łóżka.

Najbardziej niedorzeczne w całej sprawie jest to, że Szmarinow, mimo iż sprawiał wrażenie osoby bardzo silnej fizycznie, praktycznie poddał się bez walki. Pokonanie takiego faceta wymagało nie lada siły.

A co z poduszką?

Została rozpruta jakimś ostrym przedmiotem. Najprawdopodobniej nożem, którym zadano śmiertelny cios.

Zwiagincew wstał i podszedł do leżącej na podłodze poduszki. Zaczął ją uważnie oglądać. Poduszka jak poduszka. Niewielki prostokąt w geometryczne wzory. Tak, z pewnością rozcięto ją nożem. Możliwe, że kiedy morderca zaatakował Szmarinowa, ten usiłował zasłonić się właśnie poduszką. Bardzo dziwny sposób obrony... W kobiecym stylu.

Jednak za wcześnie na wyciąganie konkretnych wniosków.

Gdy tylko Zwiagincew dokonał w myślach ogólnego podsumowania sytuacji, rozległo się pukanie do drzwi. Podszedł do nich i zapytał ostrożnie:

- Kto tam?
- To ja, Artiom.

Ochroniarz uśmiechnął się z satysfakcją. A jednak ten lachmyta nie zawiódł. Zjawił się zgodnie z poleceniem. Pał wpuścił go do środka. - No i jak?

- Wszystko w porządku. Umieściłem wdowę tymczasowo w izolatce i zaaplikowałem jej środki uspokajające. Jednak nie może tam za długo zostać, bo to za daleko od budynku głównego. Zanim się tam dotrze, można się nieźle zasapać.

- I dobrze. To najodpowiedniejsze miejsce. Nikt nie będzie jej nachodził i zameczał wyrazami współczucia. Poza tym ma tam telefon, więc pełna cywilizacja. A tobie nie zaszkodzi trochę ruchu. Powiedziała coś?

- Nic. Ale to w pełni rozumiałe. Pan też by nic nie mówił w podobnej sytuacji. Jest w podwójnym szoku: najpierw wypadek, teraz śmierć męża...

- Oby nic sobie nie zrobiła... - bąknął Zwiagincew.

Artiom popatrzył na niego pobłażliwie.

- Nic sobie nie zrobi. Może pan być spokojny. Zostawiłem z nią Kolę i Radika. Aha, błagała mnie, żebym zawiadomił jej krewnych.

- I co ty na to?

- Odmówiłem. Zgodnie z pana zaleceniami.

- Świetna robota! A tak przy okazji, według ciebie, Artiom, człowiek może spokojnie spać, kiedy tuż obok dochodzi do morderstwa i towarzyszą temu odgłosy o odpowiednio wysokim natężeniu dźwięków?

Lekarz przez jakiś czas milczał, po czym odezwał się, ostrożnie dobierając słowa:

- Powiedzmy, że dopuszczam taką ewentualność. Zwłaszcza jeśli kilka godzin wcześniej ta osoba zażyła środek nasenny.

- A jaki środek zażyła?

- O bardzo silnym działaniu - uśmiechnął się. - Sam jej przyniosłem. Zасыpia się po dwudziestu pięciu minutach i mocny, głęboki sen trwa nawet do ośmiu godzin. W tym czasie każda próba obudzenia nie przynosi rezultatów.

- To taki dobry proszek?

- Najlepszy z możliwych.

Zwiagincew pomyślał, że dobrze byłoby samemu zaopatrzyć się w taki środek i zastosować go jako tajną broń przeciwko korzonkom... - Jak się nazywa? - zapytał obojętnym tonem.

- I tak panu ta nazwa nic nie powie.

- Potrzebne mi to do protokołu.

- Barenium. Łacińska nazwa też panu potrzebna?

- Na razie wystarczy rosyjska. Czyli mówisz, że wzięła lekarstwo i przeżyła całą noc aż do rana?

- Jak niemowlę.

- A skąd wiesz, że rzeczywiście je wzięła?

- Przecież już mówiłem, że sam jej przyniosłem. Zażyła przy mnie.
 - Yhm. I wszystkich swoich pacjentów tym karmisz?
 - Nie. Tylko pacjentki - Artiom spojrzał uważnym wzrokiem na Zwiagincewa - ale panu też mogę załatwić, że tak się wyrażę, po znajomości.
 - Nie, na razie nie potrzebuję - zawstydził się ochroniarz - ale jakby co, będę miał to na uwadze.
 - Zawsze do usług.
 - Świetnie - perspektywa znalezienia sposobu walki z bólem korzonków od razu podniosła go na duchu. - A teraz zajmijmy się ciałem.
 - Tylko uprzedzam - zaprotestował lekarz - jeśli sprawa dotyczy sekcji, ja rezygnuję. Nie jestem patologiem i nie będę tego robić. Zwłaszcza w nieodgodnych warunkach.
 - Nie wymagam od ciebie przeprowadzenia sekcji zwłok - uspokoił go Zwiagincew. - Tym zajmą się specjaliści, kiedy tu dotrą. A my na początek powinniśmy przynajmniej odtworzyć przebieg wydarzeń.
 - Ale... przecież to pan jest naszym Sherlockiem Holmesem. Ma pan teraz pole do popisu.
- Zwiagincew bez słowa podprowadził Artiona do ciała i zapytał:
- No, i co powiesz?
- Lekarz uważnie obejrzał rany. Dotknął ich z głęboką czcią, po czym pochrząknął się po głowie.
- Tak z marszu mogę powiedzieć jedynie, że... zgon nastąpił od rany klutej w okolicach serca. I to był jedyny cios śmiertelny. Wszystkie pozostałe nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia dla życia. Są zbyt powierzchowne. Wygląda na to, że osoba, która je zadawała, znajdowała się w stanie silnego wzburzenia.
 - Tak sądzisz?
 - Tak przypuszczam. W każdym razie zadawano je na oślep, pod różnymi kątami i z różną siłą.
 - Czyli śmiertelny cios mógł zostać zadany kiedykolwiek? Niekoniecznie jako pierwszy albo ostatni?
 - Można tak powiedzieć. Ale żeby stwierdzić to z całą pewnością, potrzebna jest specjalna analiza, sekcja zwłok i temu podobne. Opinia biegłego, wyrażając się językiem naukowym. Chociaż według mnie, ten pana morderca zadał decydujące uderzenie na początku.
 - Dlaczego tak uważasz?

- Jak to panu powiedzieć... Widziałem wczoraj tego gościa. Zanim jeszcze... - przejechał dłonią po gardle. - Stwarzał wrażenie bardzo silnego mężczyzny. Nie poddałby się bez walki. Nic dałby się tak łatwo zwalić z nóg...

Zwiagincew skulił się instynktownie. To, co powiedział teraz lekarz, całkowicie pokrywało się z jego opinią.

- No, dobrze. A kiedy w przybliżeniu nastąpiła śmierć?

Artiom ostrożnie obmacał ciało, w zamyśleniu podrapał się po głowie, po czym powoli powiedział:

- Sądząc po tym, że stężenie pośmiertne nie jest jeszcze całkowite, gdzieś około czwartej - szóstej nad ranem. Dokładniejszą porę podadzą panu biegli.

Jeśli, rzecz jasna, uznają za konieczne, żeby to panu powiedzieć - wyczytał Zwiagincew w jego drwiących oczach, ale postanowił nic sobie z tego nie robić.

Szkoda, że Waśki nie ma - pomyślał nagle. - *Sprawy miałyby się zupełnie inaczej. Tylko on jest moim sojusznikiem i wiernym przyjacielem.*

- Wiesz co, Artiom. Wracaj teraz do siebie i wypełnij parę papierków. Po pierwsze, sprawozdanie z twojej wczorajszej wizyty u pacjentki i ze spotkania z ofiarą. Po drugie, z oględzin zwłok. Czekam na nie dzisiaj koło południa.

- Dokładnie o dwunastej?

- Tak. Dzięki punktualności człowiek jest bardziej zdyscyplinowany.

- Jak pan sobie życzy.

- To wszystko. Możesz odejść. Ludzie już pewnie zwąchali pismo nosem?

- A jakże - przytaknął lekarz - ale jak na razie nie ma wielkiego tłumu ciekawskich. Jeszcze za wcześnie.

- Jakby mało nam było kłopotów. Już sobie wyobrażam, co tu będzie za zbiegowisko w ciągu dnia i jak na to zareagują - powiedział w uniesieniu Zwiagincew. - A jeszcze nie wiadomo, kiedy dotrze tu grupa dochodzeniowa. Sam będę się musiał z nimi użerać. Czym sobie na to zasłużyłem?!

- Tak, ma pan całkowitą rację. A już tym bardziej w pana wieku. Pewnie dokucza panu wątroba i tym się pan bardziej martwi niż jakimiś tam morderstwami...

- Dobra, dobra, nie bądź taki mądry!
Artiom nieznacznie się uśmiechnął.
- No, dobrze, załatwię wszystko do dwunastej, jeśli tak panu na tym zależy.
- Zależy.

W drzwiach Artiom zderzył się z trzema ratownikami: Władem, Jonaszem i Jurikiem Sierianowem. I po raz kolejny Zwiagincew mocno odczuł brak swojego przyjaciela - Waśki.

Cała trójka nie mogła oderwać wzroku od leżącego na podłodze ciała. Tak uporczywie się w nie wpatrywali, że ochroniarz poczuł, iż lepiej byłoby przykryć zwłoki kocem. Reakcja ratowników była co najmniej dziwna. Z uwagi na rodzaj wykonywanego zawodu niejednokrotnie mieli do czynienia ze śmiercią, więc nie było to dla nich nic nowego. Skąd zatem wzięła się ta wyjątkowa ciekawość? Dopiero później przysłała mu do głowy odpowiedź na to pytanie. Ratownicy stykali się z ofiarami gór: zmarłymi na skutek urazów poniesionych na stoku bądź zamarzniętymi na śniegu. Śmierć Szmarinowa była zaś dla nich pozbawiona sensu, gdyż dotknęła go w ciepłe i została zadana przez drugą osobę.

- Wzywał pan fotografa? - zapytał z ponurą miną Jonasz.
- Jednego, a nie trzech - z równie ponurą miną odpowiedział Zwiagincew. - Niepotrzebne mi tu wędrówki ludów. To nie pielgrzymka do Mekki.

Nie zwracając uwagi na jego narzekanie, cała trójka wcisnęła się do środka, po czym zgromadziła się dookoła ciała.

Wysłannicy personelu - pomyślał ze smutkiem. - *Nieco później zlecą się kruki i wrony: ochroniarze i pokojówki.*

- Co trzeba zrobić? - zapytał rzeczowo Jonasz. Z całej trójki jedynie on zachował spokój i przytomność umysłu.
- Na początek sfotografujesz zwłoki. Powiem ci, jakie ujęcia mnie interesują. A później zajmiesz się narzędziem zbrodni.
- Już się znalazło? - zapytał Jurik Sierianow.
- Wcale nie trzeba go było szukać.
- Mamy tylko jednego trupa? - Wład zlustrował pokój.
- A co, chciałeś mieć tu rzeź Ormian z 1915 roku? - odparował Zwiagincew.
- A gdzie dziewczyna?

- Jaka dziewczyna? - zaniepokoił się ochroniarz. - Znacie żonę ofiary?
- Wszyscy ją znają - wtrącił Jonasz. - Co więcej, w pewnym sensie są członkami mojej rodziny. Ona i ofiara.

- Wiem. I co z tego?

- No, ale żyje czy nie? - dopytywał się Wład.

- Żyje.

- Aha...

- Co masz za aparat? - Zwiagincew zwrócił się ponownie do Jonasza.

- Profesjonalny - Jonasz wyciągnął z torby nikoną - więc zdjęcia wyjdą pierwsza klasa...

- O pięknych zdjęciach to chyba nie wypada tutaj mówić - zauważył releksyjnie Jurik. - Ale go podźgali, aż dywan przesiąkł...

- Bez komentarzy, proszę - skrzywił się Zwiagincew. - A zatem, Jonaszu, zrób jak największą ilość zdjęć...

- Jak największą? To znaczy - ile?

- Jak największą, to znaczy - jak największą. Ile masz kadrów na kliszy?

- Do wykorzystania - dziesięć.

- Czyli zrobisz dziesięć zdjęć.

Przez następne piętnaście minut Jonasz zajmował się fotografowaniem zwłok. Wykazał się przy tym rozsądkiem i pomysłowością. Przysunął do ciała lampę stojącą w rogu pokoju i przyniósł z łazienki kinkiet. W końcu nadeszła pora na sfotografowanie noża.

- I to jest to narzędzie zbrodni? - zapytał dociekliwy Jurik z zazdrością w głosie. - Niezła zabawka. A rękojeść jest z kości słoniowej, tak?

- Nie wiem. Później to ustalimy.

- Rzeczywiście niezłe cacko - poparł Jurika Wład. - Rzadki okaz. U nas takie noże bardzo trudno spotkać. Chyba że jest kupiony za granicą. A pewnie tak właśnie jest. Najprawdopodobniej w Kisumu. Tak, na to wygląda.

Jego pewność w głosie zdziwiła Zwiagincewa. Nazwa, którą wymówił - również.

- A co to jest Kisumu?

- Miasto w Kenii - odpowiedział ratownik, z lekką pogardą w głosie. - Tam właśnie wyrabiane są takie noże. Albo podobne do nich. Z rogów oryksów.

- Z czego? - zapytał Zwiagincew.

- Oryksy - to antylopy. Z ich rogów robi się takie rękojeści. Tam w Kisumu specjalizują się w ich produkcji.

- Skąd masz taką wiedzę, Wład?

- Przyjeżdżał tu do nas taki jeden facet. Miał prawie identyczny nóż. Tylko z trochę innym rysunkiem, ale z tego samego materiału i o tym samym kształcie ostrza. To on właśnie opowiedział mi o Kisumu. Jest zawodowym myśliwym i kilkakrotnie był na safari w Kenii.

- Aha, dziękuję za informację, Wład.

- Nie ma za co.

- Kiedy wywołasz zdjęcia? - zwrócił się do Jonasza.

- A na kiedy trzeba?

- Im wcześniej, tym lepiej.

- W takim razie jeszcze dzisiaj.

- Znakomicie. To wszystko, koledzy, możecie odejść...

- A co z dziewczyną? - zapytał Wład. Widać było, że nie dawał mu spokoju los jego partnerki w grze w kręgle.

- Jest w izolatce.

- W areście śledczym? - oburzył się Jurik. - Jest podejrzana? Przecież ona wczoraj...

- Jest w szpitalnej izolatce. Ale nie radzę jej odwiedzać.

- A rodzinę zawiadomiliście? - zapytał Jonasz. - Olgę? Marka? Przecież to jej ojciec...

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy- Zwiagincew nachmurzył się. - Sam im powiem. Póki tam nie pójdę, nie zakłócajcie im spokoju. Jak sami widzicie, sprawa jest bardzo poważna. Im mniej będziecie chlapać jęzorem - tym lepiej! I tak wszystko jest mocno pogmatwane. A teraz jeszcze ten śnieg. Przełęcze są pozamykane. Jak myślicie, spece, długo jeszcze potrwa ta zawierucha?

- Co najmniej dwa dni - powiedział z przekonaniem Jurik.

- No, to nieźle - ochroniarz skrzywił się, jakby rozboleł go ząb. Cóż za perspektywa! Sterceć tu tyle czasu z trupem, wiedząc, że każda godzina działa na ich niekorzyść i zmniejsza prawdopodobieństwo schwywania sprawcy. Jedyne, co go pocieszało, to to, że zamieć, która nadciągnęła w nieodpowiednim momencie, stanowi broń obosieczną. Morderca również nie ma szansy wydostania się z ośrodka. Będzie tu przez cały czas. Teraz też tu jest.

Kiedy to sobie uświadomił, poczuł lekkie mrowienie w palcach.

- Można zadać pytanie, szefie? - zapytał niespodziewanie Wład.
- Pytaj - mruknął pogrążony w myślach Zwiagincew.
- A mogę niedyskretne?
- Dawaj niedyskretne.
- No... obserwuję pana i... dlaczego przez cały czas drapie się pan po jachach?

- Co? - pod dwudniową siwą szczecinę, rosnącą kępkami na tłustych policzkach Zwiagincewa, pojawił się rumieniec.

- No, może nie drapie się pan, tylko... podrapuje... Jakoś to dziwnie wygląda...

Nawet ten jawny cham - Jonasz - nie zdenerwował go nigdy tak, jak wkurzył go teraz skryty cham - Wład.

- Po niczym się nie drapię. Jestem po prostu maksymalnie skoncentrowany na sprawie. A wy lepiej zabierajcie się stąd!

- Aha, czyli to się teraz nazywa „maksymalna koncentracja” - ratownik przypuścił kolejny atak. - Coś jak fajka komisarza Maigret. Teraz wszystko jasne.

- Spadajcie stąd!

Wład wyszczerzył zęby, a Jurik mrugnął porozumiewawczo do Pała Pałyca.

Cała ta bezsensowna rozmowa z trupem w tle zaczęła mu już działać na nerwy. Przepędził ratowników na cztery wiatry. Na pożegnanie raz jeszcze poradził im, żeby trzymali język za zębami, gdyż leży to nie tylko w interesie „Róży Wiatrów”, ale również w ich własnym.

Wład z Jurikiem wyszli z pokoju. Tylko Jonasz zwlekał z opuszczeniem pomieszczenia. Ciągłe jeszcze nie mógł oderwać wzroku od martwej twarzy Szmarinowa. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poirytowało to ochroniarza.

- Co się tak gapisz? Nigdy nie widziałeś trupa?
- Nie o to chodzi. To jej ojciec...
- Tak. Przykra sprawa.
- Obiecała, że mnie z nim zapozna. Przedstawi jako brata męża. Nie zdążyła.

- Tak. Przykra sprawa - powtórzył Zwiagincew.

- Postaram się zrobić te zdjęcia jak najszybciej, szefie.

- Mam taką nadzieję.

Ochroniarz został sam. Postanowił przystąpić do końcowej fazy działań śledczych. Wziął z sali bilardowej kawałek kredy i zakreślił kontury zwłok. Drzwi okleił taśmą, pożyczoną od Iwana, a ciało zmarłego biznesmena kazał przenieść tymczasowo do jednej z pustych komór w restauracyjnej zamrażarce. Zdawał sobie sprawę, że ten krok pociągnie za sobą liczne utrudnienia, jednak nie mógł zostawić go w ciepłym pokoju w środku hotelu, gdyż nie wiadomo było, kiedy przybędzie grupa operacyjna. Wprawdzie Jurik, który znał się na meteorologii i orientował się we właściwościach tutejszego klimatu, dał zamieci dwa dni, ale nie ma żadnej gwarancji, że nie potrwa ona dłużej.

Zwiagincew skończył wreszcie pracę i wrócił do siebie z zebranymi materiałami dowodowymi.

Kiepska sprawa.

Masz ci babo placek.

To całe zamieszanie ze zwłokami bardzo go zmęczyło. Pośpiech i walka z czasem to nie dla jego nadszarpniętych reumatyzmem starych kości. Taka gonitwa jest tylko dla młodych inteligentnych śledczych, siedzących w laboratoriach kryminalistycznych pełnych komputerów i sprzętu elektronicznego. W każdym bądź razie on zrobił wszystko, co leżało w jego mocy. Albo prawie wszystko.

Pozostało jedynie przesłuchanie świadków, odebranie wywołanych zdjęć od Jonasza i sprawozdań od doktora. Rodzina też powinna złożyć zeznania na piśmie.

Rodzina.

Z tą rodziną to istny cyrk! Chyba przysporzyła „Róży Wiatrów” więcej kłopotów i przykrości niż wszystkie ofiary lawin razem wzięte. Przysporzyła i jeszcze przysporzy.

A teraz czeka go najmniej przyjemna rzecz. Musi iść do córki ofiary i powiadomić ją o śmierci ukochanego ojca. Młoda córka to nie to samo, co młoda żona. Drugiego ojca mieć już nie będzie. Tak się tym przejął, że przed złożeniem tej przykrej wizyty postanowił się ogolić.

To był z jego strony bardzo ofiarny czyn.

Stara jak świat maszynka firmy „Berdsk”, niemilosiernie zdzierająca skórę i z pewnością mogła zająć godne miejsce w jakimś prywatnym muzeum na wystawie zatytułowanej „Narzędzia tortur świętej inkwizycji”. Golenie zajmowało mu zwykle dwadzieścia minut, tym razem jednak przeciągnęło się

do pół godziny. Nie mógł się skupić na wykonywanej czynności, gdyż cały czas myślał o popełnionym w nocy morderstwie.

Im dłużej o tym myślał, tym mniej mu się to wszystko podobało. Nie podobała mu się Inka, która przespała to tragiczne wydarzenie. Nie podobał mu się Szmarinow, który zabrał ze sobą do grobu tajemnicę swojej śmierci. Nie podobały mu się trzy szklanki na stoliku. Smak napoleona też się nie spodobał, ale to już kwestia gustu.

Sprawa przedstawiała się naprawdę paskudnie. Nie dało się pójść po świeżym tropie i szybko wykryć sprawcę. Cholerna zamieć pomieszała mu wszystkie szyki! Nic nie mógł na to zaradzić. A morderca będzie sobie w tym czasie spokojnie czekać, aż przestanie padać śnieg i przełęcz zostanie oczyszczona ze zwałów śniegu. Chociaż słowo „spokojnie” mało do niego pasuje. Wszak Szmarinowa posiekał w dzikim szale wściekłości.

Wreszcie udało mu się jakoś dokończyć golenie i zawiązać krawat, kufiony na Newskim Prospekcie piętnaście lat temu. *Osoba przynosząca złe wieści powinna przynajmniej dobrze wyglądać.* Wyszedł z hotelu, na wszelki wypadek zabierając ze sobą torebkę z nożem. *Różnie bywa - może ktoś z rodziny widział już wcześniej ten przedmiot.* Tak przygotowany udał się do domku Krasińskich...

*À propos noża... Inesę Szmarinowa też należałoby o niego zapytać.
Tak, dobra myśl. Trzeba zapytać o to Inesę.*

* * *

Droga do domku zajęła mu więcej czasu, niż przypuszczał.

Po pierwsze, musiał przekopywać się przez zaspy i walczyć z tumanami śniegu, co znacznie spowalniało jego tempo. Po drugie, dźwiganie w takich warunkach stuczterdziestokilogramowej tuszy samo w sobie było już męczące. A po trzecie - na drodze do celu stawała mu nie tylko pogoda, ale i ludzie.

Personel „Róży Wiatrów” gotów był rozszarpać go na strzępy, byleby się czegoś dowiedzieć. Widać było, że obsługa umiera zarówno ze strachu, jaki ciekawości. Zabójstwo w ekskluzywnym hotelu było niecodziennym wydarzeniem, które mogło poważnie nadszarpnąć jego reputację. Zwiagincewa wezwano już w związku z tym na dywanik do dyrektora, który odbył z nim

krótką, lecz stanowczą rozmowę: żadnych przecieków, trzeba w miarę możliwości uspokoić ludzi i poczekać do przybycia grupy dochodzeniowo-śledczej.

Pał Pałycz potakiwał i na wszystko się zgadzał. Żadnych przecieków - to oczywiste. Bez hysterii, całkowite opanowanie - *tak jest!* Ludzi trzeba wybadać (wybadać, a nie przesłuchiwać!) ostrożnie - *zalatwione!* możliwie jak najdelikatniej zrzucić winę na samego denata - proszę się nie martwić. Nie dyskutować na ten temat z gośćmi - *jawohl!*

Po otrzymaniu cennych wskazówek zlany potem wyszedł z biura i po raz kolejny pożałował, że nie wziął urlopu. A teraz zziąjany przedzierał się przez zaspę i czuł coraz większą nienawiść do Szmarinowa za to, że przez niego znalazł się w takich tarapatach.

Zapukał do drzwi. Długo nikt mu nie otwierał.

Pewnie jeszcze śpią - pomyślał. - *To niedobrze. Kto rano wstaje...*

Wreszcie usłyszał za drzwiami podejrzany harmider.

- Proszę otworzyć! - polecił.

- Prawdę mówiąc, jeszcze śpimy - rozległ się za drzwiami głos Marka Krasieńskiego.

Nie wątpię! Oczywiście, że śpicie, biedactwa.

- A kto tam? - zapytał Mark.

- Zwiagincew.

- Co się znowu stało?

- Mogę z panem chwilę porozmawiać?

- Tak, skoro pan musi.

Zgrzytnął zamek, drzwi się otworzyły i na ganek wyszedł Mark Krasieński. Był zaspany, miał rozczochrane włosy i dziwnie mokrą twarz. Ten nieco niechlujny wygląd odmładzał go. Mark robił wrażenie chłopaka przed trzydziestką, choć w rzeczywistości miał już trzydzieści pięć lat. Zwiagincew spojrzał na niego ze współczuciem.

- Obawiam się, że mam dla pana złe wieści. Proszę jakoś przygotować na to żonę...

- Co? O czym pan mówi? Na co mam ją przygotowywać?

- Znaleźliśmy ciało pańskiego teścia. Został zabity...

Mark pobladł. Jego dolna warga bezwiednie opadła.

- Co? Co pan powiedział? Jak to - zabity?

- Zadźgany nożem. W swoim własnym pokoju - *co ja mówię, stary głupiec?! Zero taktu! Mógłbym być bardziej delikatny!*

- Jak to - zabity? - Mark niespodziewanie podniósł głos. - Chyba coś się panu pomyliło! Pożegnałem się z nim o czwartej i wtedy tryskał zdrowiem.

- Możliwe, że był pan ostatnią osobą, która widziała go żywego. Został zamordowany między czwartą a szóstą rano.

- O, nie!

- Niech się pan weźmie w garść, panie Krasiński! - powiedział stanowczo. *Silny facet, więc nie ma co się z nim cackać.*

- O, nie... - powtórzył nieco ciszej.

- Pozwoli mi pan wejść do środka, czy tak będziemy stać na mrozie?

- Oczywiście, proszę wejść.

Poruszony porannymi wieściami Mark wpuścił Zwiagincewa do domku. Nie wyglądało na to, żeby małżonkowie błogo spali. Okno było otwarte prawie na oścież, a na dywanianie widać było ciemne zacieki po stopniałym śniegu.

I, co najważniejsze, Olgi Krasińskiej nie było w pokoju.

- A gdzie jest żona? - zapytał szeptem ochroniarz.

- W łazience... - odpowiedział Mark jakby ze zmieszaniem.

- A mówił pan, że śpicie.

- No... Miałem na myśli siebie. Olga widocznie poszła wziąć prysznic.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, na przemian spoglądając na drzwi. Jednak Olga najwyraźniej nie miała zamiaru wychodzić.

- Jak do tego doszło? - Mark przerwał w końcu ciszę. Pierwsze stadium szoku minęło. Zdołał się już opanować.

Zwiagincew opowiedział mu historię, którą usłyszał od Inesy Szmarinowej.

I w porządku chronologicznym zrelacjonował wszystkie wydarzenia dzisiejszego poranka. A że nigdy nie wyróżniał się talentem narracyjnym i mówił bezbarwnie, używając utartych zwrotów typowych dla sprawozdań milicyjnych, Mark był wyraźnie poirytowany. Ale Zwiagincew nie przejmował się jego reakcją. Spokoju nie dawała mu jednak jakaś niewyraźna, nie do końca jeszcze sformułowana myśl.

Coś w zachowaniu Krasińskiego wydawało mu się dziwne. Coś, co powiedział... A może wręcz przeciwnie? Coś, czego nie powiedział?

Opowiadanie zbliżało się ku końcowi, kiedy wreszcie zrozumiał, co go tak dręczy.

No tak! Krasiński dowiedział się o śmierci Szmarinowa, ale wcale nie zapytał o jego żonę.

Nie wspomniał o niej ani słowem, chociaż byłoby to jak najbardziej naturalne z uwagi na okoliczności śmierci. Obdarzony nieprzeciętną siłą biznesmen został zamordowany w pokoju, gdzie znajdowała się w tym czasie jego przykuta do łóżka żona. Pytanie o stan jej zdrowia i dalsze losy nasuwało się więc samo i byłoby naturalną kontynuacją tematu.

Krasiński doskonale wiedział, że Inessa Szmarinowa leży w pokoju swojego męża i że nigdzie nie może się stamtąd ruszyć, a tym samym staje się najbardziej niewygodnym świadkiem. Skoro jej mąż został zamordowany, to dlaczego sprawca miałby ją oszczędzić? Aż się prosiło, żeby zadać to pytanie. A jednak Krasiński go nie zadał.

Dlaczego go nie zadał?

Zwiagincew przyjrzał się badawczo jego skupionej twarzy. Wygląda na rozsądnie myślącego faceta. Widać, że ma łeb na karku, skoro zajmuje tak poważne stanowisko. I na pewno ciężko na nie zapracował.

Po wysłuchaniu długiej, bogatej w szczegóły relacji ochroniarza, Mark przez dłuższy czas milczał. Następnie podniósł na Zwiagincewa zimny, przenikliwy wzrok i zapytał oschłym tonem:

- Czyli grupa dochodzeniowa nie przybyła jeszcze na miejsce zdarzenia?
- Nie. I w najbliższych dniach raczej się nie pojawi. Widzi pan chyba, co się dzieje na dworze?
- Widzę - Mark wstał, podszedł do okna i przez chwilę przez nie wyglądał. Następnie wychylił się i strząsnął śnieg z wąskiego parapetu, po czym zamknął okno.

Ciekawe, po co to robi - pomyślał z irytacją Zwiagincew. - Cholerny pedant! Pewnie ma niemieckie korzenie i przodków z Północnej Westfalii. W oknach mają tam wypucowane doniczki, a na tyłku codziennie świeże kalesony!

- To fatalnie - Mark odszedł od okna i ponownie usiadł w fotelu.
- Pod jakim względem?

- Pod takim, że przez kilka następnych dni morderca będzie przebywał na wolności, jeśli dobrze rozumiem. Całe szczęście, że nie zdoła w tym czasie opuścić „Róży Wiatrów”, z tych samych powodów, z których nie mogą przybyć tu przedstawiciele prawa - powiedział Krasiński.

No, przynajmniej co do tego jesteśmy zgodni.

- I na chwilę obecną to pan prowadzi śledztwo?

- Tak, ja - Zwiagincew z ironicznym uśmiechem wykonał ruch głową, który miał symbolizować ukłon.

- A jakie mamy przypuszczalne wersje wydarzeń?

- No, właśnie z tym jest największy problem. Jeszcze nie przesłuchiwałem świadków...

- A to byli jacyś świadkowie?

- Ktoś przecież musiał widzieć Szmarinowa w hotelu. A poza tym byliście razem w barze. Ktoś mógł obserwować, jak wchodzić i wychodzić. Byliście tylko we dwóch?

- Początkowo w trójkę.

- Z pańską żoną?

- Tak. Ja, Olga i jej ojciec. Potem Olga wyszła. Za dużo wypila i było jej wstyd przed ojcem.

- A pan? Nie odprowadził pan żony? Tym bardziej że za dużo wypila... Zmieszał się.

- Bo widzi pan... Mam teraz na głowie sporządzenie pewnej umowy dla naszej spółki i musiałem niezwłocznie omówić z Igorem Anatoliewiczem pewne jej fragmenty. Nie chciałem tracić cennego czasu, zwłaszcza że Olga stanowczo poprosiła, żebym jej nie odprowadzał. Chciała pobyć sama.

- Dlaczego?

- A skąd mam to wiedzieć? Czasami nie można być zbyt dociekliwym.

- Dobrze. Czyli Olga Krasińska wyszła... A o której to było godzinie?

- Nie pamiętam. Coś koło drugiej.

- *À propos* pańskiej żony, coś długo się myje... nie sądzi pan?

- Lubi poleżeć sobie w wannie - spojrzął na Zwiagincewa z ukosa. *Jeśli ty, stary śmierdzący capie w brudnym krawacie, myjesz się niezbyt często, to wcale nie znaczy, że wszyscy powinni brać z ciebie przykład.*

- Nie szkodzi. Na pewno będę miał jeszcze okazję, żeby z nią porozmawiać. A o ojcu sam pan jej musi powiedzieć.

- Oczywiście. Zrobię to.

- Wracając do tematu... pożegnaliście się...

- Około czwartej nad ranem. Odprowadziłem go do hotelu. Rozstaliśmy się w holu. Widział nas portier.

- Bez wątplenia - Zwiagincew nie omieszkał odegrać się za wyraźną aluzję do jego higieny osobistej. - Daje mi pan do zrozumienia, że ma pan alibi, panie Krasiński?

- Tak, właśnie to daję do zrozumienia. Nie ma pan przecież jeszcze żadnej hipotezy i może pan sobie zbudować dowolną teorię. Nie chciałbym się znaleźć w jej centrum.

- Rozumiem.

- Pożegnaliśmy się około czwartej, po czym wróciłem do siebie.

- Pańska żona była w domku?

- Oczywiście. Spała. Nie włączałem światła, żeby jej nie obudzić.

- Troska godna pochwały.

- Zasnąłem natychmiast. Ścięło mnie z nóg. Wie pan, trochę przeholowałem z alkoholem. A z reguły niewiele piję.

Twój bezczelny braciszek też nie pije. Widocznie to u was rodzinne.

- A co pan preferuje?

- Koniak. W niewielkich dawkach całkiem nieźle wpływa na przebieg negocjacji z klientem.

- Napoleon? - zapytał i od razu poczuł w ustach okropny posmak. Istna ściierka! Nigdy więcej nie weźmie do ust tego obrzydlistwa! Wódka i piwo są o wiele lepsze. Może nie tak wyszukane, ale przynajmniej nie ma po nich zgagi.

- Dlaczego akurat napoleon? - zdziwił się Mark.

- Na stoliku w pokoju państwa Szmarinowów stał właśnie ten koniak. I trzy szklanki.

- Aaa... - Mark spojrział na niego z wyższością. - Raczyliliśmy się nim wieczorem. Piliśmy za spotkanie: Za jego pomyślny lot. Za to, żeby Inka jak najszybciej stanęła na nogi.

- A żona Szmarinowa?

- Inessa? Nie, ona nie piła. Lekarz cały wczorajszy dzień faszerował ją proszkami przeciwbólowymi i kategorycznie zabronił spożywania alkoholu.

Aha, czyli o szklankach w papierowych torebkach można zapomnieć. Jeden kłopot z głowy.

- To znaczy, że piliście sami?

- Kosztowaliśmy, drogi panie Sherlocku. Delektowaliśmy się. Nikt nas nie nadużywa alkoholu.

- Jak pan myśli... Kto mógł popełnić tę zbrodnię?

- Pan mnie o to pyta?

- No, tak. Przecież dobrze znał pan... ofiarę.

- Proszę mnie posłuchać, panie... Jaki ma pan stopień?

Uwzięli się na mnie! Najpierw Zapiesocka, a teraz ten szczył!

- Jestem w stanie spoczynku - tradycyjnie udzielił wymijającej odpowiedzi.

- Jasne - Mark spojrział na niego z góry. - Spędził pan w tej dziurze całe życie? Pardon, w tym fantastycznym ośrodku?

- Ależ skąd! - Zwiagincew poczuł się urażony do głębi. - Jestem tu od dwóch lat. Od czasu, kiedy odszedłem na emeryturę.

- A skąd pan jest?

- Z Petersburga.

- Ładne miasto. Mamy tam filię... Ale nie o tym chciałem mówić. Skoro mieszkał pan w metropolii, to powinien się pan mniej więcej orientować, co to takiego biznes naftowy.

- A co to takiego biznes naftowy?

- Ciągłe przetasowywania i zmiana stref wpływów. Nieustanne zabójstwa na zlecenie... Jasno się wyrażam?

- Jaśniej się nie da...

- Każdy przedsiębiorca, który ma do czynienia z ropą naftową, jest potencjalnym skazańcem. Każdy ma w przedpokoju płytę nagrobną.

- Pan też ma?

- Proszę pana! To taka przenośnia - odpowiedział zniecierpliwiony Mark.

- Rozumiem. Metafora - Zwiagincew postanowił zatuszować wpadkę.

- Raczej hiperbola. Ale fakt pozostaje faktem. Szmarinow miał wrogów. Obaj mieliśmy wrogów. I to bardzo poważnych...

- I wybraliście się do kurortu górskiego bez ochroniarzy? Czy to nie było zbyt lekkomyślne z waszej strony?

- Ale ja powiedziałem - „mieliśmy”. Mieliśmy wrogów. Teraz pole bitwy jest stosunkowo spokojne. Nie zrealizowaliśmy dużej transakcji, za którą można było otrzymać całkiem przyzwoitą sumę i dzięki temu nie otrzymaliśmy kulki w łeb. A poza tym znacznie łatwiej sprzątnąć konkurenta w Moskwie, niż wlec się za nim do ośrodka górskiego, w dodatku w taką pogodę...

To było bardzo rozsądne rozumowanie. Zwiagincew był pod wrażeniem. Niezły z chłopaka analityk. Na komisariacie na pewno zrobiłby karierę i przenieśliby go najpierw do Komendy Miejskiej, a następnie do Komendy Wojewódzkiej. I nim by się obejrzał, przed czterdziestką zdobyłby stopień pułkownika.

Tylko jedno mu się nie podobało. Pierwszy emocjonalny szok wywołany wiadomością o śmierci teścia minął i Krasiński był spokojny. Całkowicie spokojny. Absolutnie spokojny. Jak gdyby mowa była nie o zamordowaniu kogoś z rodziny, a o śmierci starego psa sąsiadki, który zdechł na nosówkę. Chociaż kto wie, w jakich stosunkach pozostawał teść z zięciem? Być może się nie znosili i po kryjomu pluli sobie do koniaku.

- Zapewne ma pan rację, panie Krasiński. Ale przecież nie twierdzę, że to było morderstwo na zlecenie. To nie wygląda jak morderstwo na zlecenie. Jak już mówiłem, mamy tu dużo ciosów zadanych na oślep. I o ile mi wiadomo, nóż nie jest najbardziej rozpowszechnionym narzędziem wśród kilerów.

- Ma pan rację.

- Tak... Bardzo dziwne morderstwo. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- A pilot? - zapytał niespodziewanie Mark. - Rozmawiał pan z pilotem, który go tu dostarczył?

- Nie. Jeszcze nie. A co ma z tym wspólnego pilot?

- Bo widzi pan... Za to, żeby w taką zamieć dostać się do „Róży Wiatrów”, Igor... Igor Anatoliewicz musiał wyłożyć okrągłą sumę. Gotówką.

- Okrągłą sumę?

- No, dobrze. Zapłacił pięć tysięcy dolarów. Pięć tysięcy dolarów za jeden lot. Może pan sobie wyobrazić taką kwotę?

- Nie za bardzo - przyznał szczerze Zwiagincew.

- A może temu pilotowi odbiło na widok takich pieniędzy? Może pomyślał, że ktoś, kto lekką ręką wydaje taką sumę, wiezie ze sobą znacznie więcej?

- Nic z tych rzeczy - Zwiagincew rozłożył ręce.
- Dlaczego pan tak mówi?
- Przejrzałem rzeczy ofiary. Właściwie nie ma ich zbyt dużo. Tylko niewielka torba podróżna.

- I co?
- Wszystkie pieniądze są na miejscu. Tysiąc osiemset pięćdziesiąt pięć dolarów, trochę w rublach i karty kredytowe. Nietknięte. To nie wygląda na morderstwo na tle rabunkowym.

- No, tak, zgadzam się z panem.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, potem Zwiagincew sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej papierową torebkę z nożem.

- Chcę panu coś pokazać. Proszę zrobić miejsce na stole.

Krasiński bez słowa odsunął notebook i spojrzal na ochroniarza z ciekawością.

- Co pan tam ma?

Zwiagincew przy pomocy swojej chustki wyciągnął z torebki noz i ostrożnie położył go na matową powierzchnię stołu. W tym momencie twarz Marka mocno się ożywiła: brwi zeszyły się u nasady nosa, kąciki ust się opuściły, a na policzkach pojawiły się rumieńce. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w scenę polowania, umazaną ludzką krwią.

Po paru minutach ciszy odwrócił się do Zwiagincewa i zapytał, przełykając głośno ślinę:

- Zabito go tym nożem?

- Tak. Poznaje go pan?

- Ależ oczywiście. Ta rzecz należy do Igora... Należała. Tak. To jego nóż. Z całą pewnością. Bardzo rzadki okaz.

- Jak się u niego znalazł?

- Kilka lat temu był z żoną w Kenii. Dokładnie dwa lata temu na początku marca. Stamtąd go przywiózł.

- A proszę mi powiedzieć, panie Krasiński - Zwiagincew znów poczuł twórcze swędzenie w pachwinie - czy Szmarinow zawsze zabierał ze sobą ten nóż?

- Nie wiem. Myślę, że nie. Widziałem go u niego w domu. Posiadał całą kolekcję noży myśliwskich. Ale ten był jego ulubionym. Nawet, zdaje się, że nadał mu imię.

- Imię? - zdziwił się ochroniarz.

- Chwila, proszę dać mi pomyśleć... Już mam! Ngai.
- A co to za dziwny skrót?
- Igor nam o tym opowiadał. Ngai jest bogiem wojny wśród kenijskich plemion Masajów. Bogiem nieba. I tak właśnie nazwał nóż. Ngai. Przynosi powodzenie w działaniach wojennych.

- Mówi pan „powodzenie”?

Mark spojrzął na zakrwawiony nóż i żałośnie się uśmiechnął: jak tu można mówić o powodzeniu?!

- Kenijscy Masaje, rozumiem - Zwiagincew momentalnie przypomniał sobie, co mówił mu o nożu Wład. Kto by pomyślał, że ponury ratownik okaże się takim znawcą?!

- Czy Szmarinow podczas swoich kenijskich wojaży nie był przypadkiem w Kisumu?

- Tak. Wspominał o tym mieście - po raz pierwszy od początku rozmowy w głosie Marka zabrzmiał szacunek. - I chyba tam właśnie kupił nóż. A skąd pan wie?

- Też nie wyskoczyłem sroce spod ogona - odparł ochroniarz.

- Wygląda na to, że pana nie doceniałem - przyznał się do błędu Mark.

Ambicja Pała Pałycza została mocno podłechtana. Pot lał się z niego teraz strumieniem. Osuszył twarz tą samą brudną chustką, przy pomocy której wyjął nóż z torebki.

- A zatem Szmarinow nazwał swój nóż na cześć boga powodzenia...

- Na cześć boga wojny - poprawił go delikatnie Mark.

- Bez różnicy. Na cześć boga wojny, który przynosi powodzenie. A jemu potrzebne było powodzenie w interesach.

- Też tak sędzę.

- A jak pan uważa, czy ten nóż mógł być dla niego talizmanem? Talizmanem bądź amuletem?

- Trudno mi powiedzieć.

- Rzecz w tym, panie Krasiński... że uważnie przejrzałem jego rzeczy i nie znalazłem niczego prócz pieniędzy i teczek z dokumentami. Ani brzytwy, ani chustki do nosa, ani ręcznika, ani nawet szczoteczki do zębów. Jeśli nie wziął ze sobą tego, co jest niezbędne z punktu widzenia każdego normalnego człowieka, to dlaczego zabrał nóż? Rzecz w danej sytuacji kompletnie nieprzydatną.

- Nie wiem.
- Mógł go wziąć tylko w jednym przypadku - Zwiagincew podniósł do góry gruby palec. - Tylko i wyłącznie w jednym. Jeśli rzeczywiście traktował go jak talizman. A sytuacja była ku temu sprzyjająca. Żył w niepewności. Nie miał pojęcia, co się stało żonie. I ta niepewność była w stanie doprowadzić go do szaleństwa. No, bo przecież uwielbiał swoją żonę, prawda?
- Jeszcze jak! - Mark sposepniał. - Nie mógł bez niej żyć.
- Otóż to! I pewnie wątpliwe, żeby wyjął go z torby od razu po przyjeździe. Jak pan myśli?
- Nie wiem. Ja go w każdym razie nie widziałem.
- Wobec tego, jak to możliwe, że jego własny nóż, który leżał w torbie, posłużył jako narzędzie zbrodni?
- Mnie pan pyta?
- Tak, pana.
- Już panu powiedziałem: nie wiem - po twarzy Marka przemknął cień niepokoju.

Coś się tak zdenerwował, chłopcze - pomyślał niespodziewanie Zwiagincew.

- Żeby się nim posłużyć, trzeba było wyciągnąć go z torby. A przede wszystkim wiedzieć, że się tam znajduje. Atak musiał nastąpić niespodziewanie i do walki użyto przedmiotów, które były pod ręką. - Zwiagincew spostrzegł, że Mark uważnie na niego patrzy i natychmiast przestał się drażnić. - Chciałbym porozmawiać z pana żoną.
- Po co? - padło szybkie pytanie.
- Jak to po co? Jej ojciec został zabity i muszę ją o tym poinformować.
- Sam jej powiem - Mark wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.
- Sam. Kiedy pan wyjdzie. I później przyjdziemy do pana. Obiecuję. Ma pan rację, powinienem ją przygotować na tę wiadomość. Nie wyobraża pan sobie, ile on dla niej znaczył...

Wzrok Marka ponownie powędrował w stronę noża. Powoli przebiegł oczami z góry na dół i zatrzymał się na rękojści.

- To kiedy, pana zdaniem, przyjedzie grupa dochodzeniowa?
- Gdy tylko unormuje się pogoda.
- Wygląda na to, że nóż jest pana jedyną poszlaką.

- Nie jedyną, ale główną.
- Rozumiem. Na pewno zostały na nim odciski palców.
- Nie wiem. To mogą potwierdzić jedynie specjaliści.
- Czyli pan nie jest specjalistą? - jego usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Nie w tak szerokim zakresie - Zwiagincew odwzajemnił ironiczny uśmiech i zmienił temat: - Ojciec Olgi ożenił się z jej przyjaciółką, tak?

- Tak - odparł niechętnie Mark.

- Pytanie może nieco niedyskretne... A w jakich stosunkach pozostawały teraz obie panie?

- Do czego pan pije? Były w doskonałych stosunkach - Mark podniósł głos.

- Nie wątpię - w głowie zaświtała mu nagle dziwna myśl. Rodziło się w nim jakieś niewyraźne podejrzenie, ale nie mógł go do końca sprecyzować.

- Są bliskimi przyjaciółkami, jeszcze ze szkoły. No i tak to jakoś wyszło. Olga czuła się początkowo trochę niezręcznie, ale potem pogodziła się z sytuacją.

- Pogodziła czy stwierdziła, że nic na to nie poradzi?

- A czy to nie wszystko jedno?

- Ma pan rację, wszystko jedno.

Na jakiś czas zamilkli, mierząc się wzrokiem jak bojownicy sumo przed starciem. Naraz w zupełnej ciszy rozległ się odgłos przekręcane go klucza w zamku i po chwili drzwi łazienki się uchylily. Mark, który do tej pory zdążył już wrócić na swoje miejsce w fotelu i siedział w nim spokojnie, zerwał się na równe nogi. Jednym susem znalazł się przy drzwiach prowadzących do łazienki. Już po chwili zniknął w środku. Zwiagincew, przeklinając w duchu, pobiegł za Markiem i przyłożył do drzwi włochate ucho. Że też, do diabła, przyszło mu na stare lata podsłuchiwać pod drzwiami!

Jego wysiłki okazały się jednak daremne. Przezorny Mark, dobrze obeznany z ludzką psychiką (*inaczej nigdy nie otrzymałby posady dyrektora handlowego*), odkręcił w łazience wszystkie kurki i początkowo słychać było jedynie szum wody. Jednak gdy Pał wsłuchał się lepiej, zdołał uchwycić strzępy rozmowy:

- Kto przyszedł, Mark? - głos Olgi był smutny i całkowicie opanowany.

- To do mnie, cara. Krótka poranna wizyta.
- Od taty? W sprawie dzisiejszego lotu?
- Tak.
- Może mam wyjść się przywitać?
- To nie jest konieczne, tym bardziej że ta osoba już wychodzi.
- Lecimy dzisiaj?
- Na razie jeszcze nie wiadomo... Muszę ci coś powiedzieć, cara... Ale nie teraz, później...

- Mark... Mark, nie mogę tego zmyć... Stałam pod prysznicem całą godzinę... Nie wiem... nie wiem, skąd się to wzięło, Mark...

- Nie przejmuj się. Wszystkiemu zaradzimy, cara. Zobaczysz... Wyjdę teraz, a ty tu posiedź...

- Ale dlaczego?

- Tak będzie lepiej. Ufasz mi?

- Oczywiście, kochanie... Tylko nie mogę tego zrozumieć... Te plamy...

Zwiagincew nie usłyszał zdania do końca, gdyż Mark odkręcił kurki do oporu.

Ledwie ochroniarz zdążył zająć ponownie miejsce w fotelu, kiedy drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Krasiński. Natychmiast zamknął za sobą drzwi, jakby zatrzaskiwał pułapkę na myszy.

- Coś się stało żonie? - zapytał ze współczuciem Zwiagincew.

- Kiepsko się czuje. Mówiłem panu, że wczoraj za dużo wypila.

- Powiedział jej pan?

- Nie. Jeszcze nie. Nie mogę tak przy obcych. Powiem, ale bez świadków.

Jego dumnie uniesiony podbródek jednoznacznie dawał mu do zrozumienia: „Fora ze dwora! Krzyż na drogę!”.

- W taki razie pójdę już - zlitował się wreszcie nad Markiem Zwiagincew. - Życzę odwagi.

- Dziękuję. Przyda mi się.

- Kiedy... Kiedy o wszystkim powie pan żonie... bardzo proszę, żebyście zaszli do mnie do hotelu, do części administracyjnej, do pokoju numer trzy-naście. Muszę mieć pańskie zeznania na piśmie. To oczywiście czysta formalność...

- Rozumiem.

- Nie będę zatem nadużywał pańskiej cierpliwości. Aha... jeśli interesuje pana los pańskiej... hmm... teściowej - Inesy Szmarinowej, to żyje i ma się dosyć dobrze. Dziwne, że pan o nią nawet nie zapytał.

Twarz Marka wykrzywił grymas.

Coś za bardzo jej nie lubisz - pomyślał ochroniarz, wstał ociężale i ruszył w kierunku drzwi. Mark nie raczył go nawet odprowadzić.

Znalazłszy się na zewnątrz, Zwiagincew westchnął i naciągnął kapelusz niemal na same oczy. Wizytę u Krasieńskich mógłby zaliczyć do udanych, gdyby nie... Gdyby nie lekkie uczucie niepokoju, którego zaznał. W jego wyczerpującej rozmowie z Markiem mimo wszystko odczuwało się pewne niedomówienie. Jakieś ukryte dno. Sam domek, pokój, w którym siedzieli, a nawet strumień wody za drzwiami łazienki wywoływały ogólną atmosferę lęku i obawy przed wykryciem nieujawnionej prawdy. Jakby rzeczy i mieszkańcy tego domku prowadzili podwójną grę.

Dlaczego sam nie zapytał o Inesę?

Dlaczego?

A gdyby również została zabita? Na dobrą sprawę mowa była o jednym, a nie dwóch trupach, z czego jasno wynikało, że jest żywa. Ale dlaczego nie zapytał o nią na samym początku. Obrzydliwy typ. Intelktualista. Wstrętny analityk z wymuskaną szwabską mordą!

Znowu Szwab... Co mi się tak przypalał ten Szwab? Skojarzenie z Niemcami nasunęło mu się już u nich w domku. Tylko w jakim kontekście? Przymknął oczy i usiłował odtworzyć w pamięci przebieg niedawnej rozmowy z Krasieńskim. Aha, mężczyzna podszedł do okna i strząsnął śnieg z parapetu. Po co to zrobił? Przecież bez sensu jest usuwanie śniegu, skoro i tak wciąż pada. Może zrobił to odruchowo? Z zamięłowania do porządku? Tak, właśnie w tym momencie Zwiagincew pomyślał o niemieckich analogiach.

Wielkie mi co - strząśnięcie śniegu... A jednak...

W prawo zwrot! - rozkazał Zwiagincewowi siedzący w nim generał - major, nie tak dawno zdegradowany do funkcji zwykłego dzielnicowego. - *Biegiem marsz za dom!*

Zwiagincew westchnął, ale się podporządkował.

Zatoczył ogromny łuk, żeby, broń Boże, nie zauważył go Krasieński. Nie chciał się na niego natknąć. Zapadając się po kolana w zaspach i przeklinając generała-majora, dotarł do domku. Zaszedł na tyły i po chwili stał pod

oknem, które niby mimochodem zamknął Mark. Położył się na brzuch i zaczął pełznąć, utyskując na samego siebie: *Co ja wyprawiam, U diabła?! Cały petersburski komisariat by mnie wyśmiał!* Jednak kiedy znalazł się przy ścianie, zrozumiał, że jego wyprawa nie była daremna. Nie spodziewał się takiego sukcesu. Niewielkie blaszane wyźłobienie i daszek nad oknem zrobiły swoje: śnieg zrzucony przez Krasińskiego wpadł do rynienki, do której nie zdołała dotrzeć zamieć. Zobaczył na śniegu wyraźne plamy krwi.

Jak gdyby ktoś wycierał w niego pobrudzone ręce.

To było oszałamiające odkrycie. Przydaliby mu się teraz ci cholerni biegli! Cholerni biegli, którzy bez zbędnych słów zbadaliby zakrwawiony śnieg. Niewyraźne podejrzenia, które zrodziły się w jego głowie w domku, nagle zaczęły przybierać konkretnych kształtów.

Gdzie do Ucha, jesteście, wy cholerni biegli?!

O mało co zakląłby na głos, jednak zdołał się pohamować. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby usłyszał go teraz Krasiński. Przez kilka chwil, siedząc na śniegu i ciężko dysząc, rozmyślał o plamach krwi. Ach, gdyby tak miał pod ręką próbkę... Albo przynajmniej puszkę po piwie... Dlaczego nie wziął piwa? Można byłoby zebrać śnieg i poczekać na specjalistów i wyniki ekspertyzy. Coś mu mówi, że byłyby one bardzo interesujące...

Tak. Bardzo interesujące.

- Co pan tu robi? - Zwiagincew drgnął zaskoczony. Tuż obok rozległ się bowiem głos Krasińskiego. - Zabłądził pan?

- Nie - bąknął w odpowiedzi. - Oddycham świeżym powietrzem. Dookoła waszego domku są nadzwyczajne sosny... Najlepsze na całym terytorium „Róży Wiatrów”. Nie sądzi pan?

- Sądzę. I sądzę również, że to co najmniej dziwne, że tak się pan uwziął na nasz domek - Mark stracił nad sobą panowanie. - Co pan tak węszy?!

Zwiagincew powoli zdjął kapelusz i strzepnął z niego śnieg.

- Nie węszę - odparł po dłuższej chwili. - Po prostu zauważyłem czerwone plamy na śniegu i postanowiłem sprawdzić, co to takiego.

Mark był tylko w kurtce narzuconej na ramiona. Nie zdążył nawet założyć butów. Stał przed nim w kapciach.

Ciekawe, co go wygoniło z domu w takim rynsztunku?

Zwiagincew wiedział - co.

I Mark wiedział, że Pał Pałycz wie.

Jego oczy groźnie błysnęły. *Czyżby był gotowy pójść na całość?* - pomyślał ze strachem ochroniarz. - *Wszystko możliwe. Ustronne miejsce. Wy-sportowany młody człowiek przeciwko starszemu ociężałemu mężczyźnie. Nie będzie w stanie długo się bronić.*

Jednak w ułamku sekundy niespodziewanie go olśniło.

Nóż.

Nóż myśliwski - Ngai, przynoszący powodzenie wojownikom. Pał licho, że to główna poszlaka i jedyny dowód rzeczowy w sprawie. W ostateczności może go użyć. Bliższa ciału koszula...

Mark jednak nie zamierzał go atakować. Być może również przypomniał sobie o nożu leżącym w jego kieszeni. Zacisnął tylko usta. Na czole pojawiła mu się gruba żyła.

- Podobne do krwi, czyż nie? - rozpogodził się Zwiagincew. Mark jest rozsądny. Nie zniży się do mokrej roboty.

- Nie wiem. Jak dla mnie, wcale nie jest podobne.

- Ależ proszę podejść, przekona się pan!

Mark zbliżył się niechętnie i utkwiał wzrok w malutkich grudkach prze-siękniętych krwią.

- Musiał spaść z góry, z parapetu - dręczył go w dalszym ciągu Zwiagin-cew - kiedy zamykał pan okno. Pamięta pan?

- Nie.

- Nie pamięta pan, jak zamykał pan okno?

- Pamiętam - skapitulował Krasiński. - Ale skąd panu przyszło do głó-wy, że ten śnieg spadł akurat z parapetu?

- A skąd miałby niby spaść? Przecież Bóg nie płacze nad tym świętym miejscem krwawymi łzami, prawda?

- Aaa... - Mark zmarszczył czoło, udając intensywny wysiłek umysłowy - ...wczoraj, kiedy zamykałem okno, zahaczyłem ręką o gwóźdź, który wystaje z ramy. Ale niech się pan nie martwi, to tylko niewielkie draśnięcie. Głup-stwo.

- Proszę mi pokazać.

- Co mam pokazać?

- Pańską ranę.

- A może mam, na pana rozkaz, poddać się całkowitej obdukcji?

I tu cię mam! Nie ma mowy o żadnym zdraśnięciu! Chlapnąłeś pierwsze lepsze kłamstwo, a ja cię przyłapałem!

- Wie pan co, kiedy od pana wyszedłem, coś mi się przypomniało. Wróciłem więc i chciałem zadać jedno pytanie, które cały czas nie daje mi spokoju - rzekł przymilnie Pałycz.

- Jakie pytanie?

- O pańską... Nawet nie wiem, jak ją nazwać. Powiedzmy, że o pańską młodą teściową...

- A co z moją młodą teściową?

- Właśnie o to chodzi, że nic. Wcałe pan o nią nie zapytał. A powinien był pan to zrobić.

- Dlaczego powinienem był?

- Jak to, dlaczego?! Przecież doskonale pan wiedział, że Szmarinow został zabity we własnym pokoju, w którym przebywała również jego żona. A żona, jak sam pan dobrze wie, od pewnego czasu nie wstaje z łóżka. Od momentu, kiedy doznała urazu. To co, pańskim zdaniem morderca powinien pozostawić ją przy życiu, skoro jest jedynym świadkiem? A pan się nawet nie zainteresował jej dalszym losem.

- Mam ją gdzieś! - odpowiedział ostro Mark.

- Ma pan do tego prawo, ale powinien się pan przynajmniej zainteresować z czystej ludzkiej ciekawości. Jednak pan tego nie uczynił. I może być tylko jeden powód, dlaczego tak się stało.

- Ciekawe jaki?

- Taki, że musiał mieć pan stuprocentową pewność, że teściowa żyje. Mark otworzył usta i natychmiast je zamknął. Przez chwilę przyglądał się ochroniarzowi, po czym w końcu się odezwał:

- Nieźle pan to sobie wydedukował.

- No pewnie, że nieźle.

- Nie rozumiem tylko... Pan mnie podejrzewa? Mówiłem już panu, że pożegnałem się z Igorem Anatoliewiczem w holu i że widział nas tam portier.

- No i co z tego? O czwartej się rozstaliście, a o wpół do piątej wszedł pan schodami przeciwpożarowymi - Zwiagincew czerpał wyraźną przyjemność z dręczenia Marka. - Wszedł pan na górę. Szmarinow otworzył. Wiedział pan, że jego żona śpi kamiennym snem, gdyż wieczorem dostała silny środek nasenny. Dostała go od lekarza - osoby całkowicie postronnej. A

zatem - mógł mieć pan ze Szmarinowem jakieś zatargi, ale to sprawdzimy w trakcie śledztwa. Wiedział pan, że miał w torbie nóż. Zadał pan jeden precyzyjny cios w samo serce. Kolejne uderzenia miały jedynie sprowadzić śledztwo na fałszywy trop. Wyszedł pan tymi samymi schodami i wrócił do siebie. Szmarinow nie bronił się, ponieważ nie spodziewał się ataku ze strony kogoś bliskiego. Znajomego. Jak pan sądzi, czy taka wersja robocza trzyma się kupy?

Mark zadarł głowę do góry i zaczął klaskać.

I klaskał tak długo, aż Zwiagincew zmarkotniał. To oczywiste, że to co mu przedstawił, było zwykłą zagrywką psychologiczną. Improvizacją. Ale ten nawet przez moment się nie przestraszył. Ani przez ułamek sekundy.

- Rewelacja! - powiedział Krasieński, przestając klaskać. - Znakomicie, mój drogi Sherlocku Holmesie. Jak nic, odchodząc ze służby miał pan stopień pułkownika wydziału kryminalnego. Albo podpułkownika FSB. Z przyjemnością wysłuchałem pańskie wynurzenia. Jest tylko jedno „ale”...

- Jakie „ale”?

- Rzecz w tym, że po odprowadzeniu Igora Anatoliewicza wróciłem do baru. I siedziałem tam aż do samego zamknięcia. Do szóstej rano. A nawet do wpół do siódmej. Było mnóstwo ludzi, więc myślę, że ktoś mnie sobie przypomni. A kiedy, pana zdaniem, nastąpiła śmierć? Między czwartą a szóstą, o ile dobrze zrozumiałem?

- Tak, dobrze pan zrozumiał - odparł ponurym głosem ochroniarz. Jeszcze nigdy nie było mu tak głupio.

- Wobec tego przykro mi, ale mimo że wersja jest naprawdę znakomita, niestety, jest nie do przyjęcia. Chociaż powiem panu w tajemnicy, że nie jest do końca pozbawiona sensu... A jeśli chodzi o Inkę... Inesę. Nie zapytałem o nią właśnie dlatego, że od samego początku byłem pewny, że komu jak komu, ale jej włos z głowy nie spadnie. Tu trafił pan w dziesiątkę. Wiedziałem, że nic nie może jej się stać.

- Ach tak? A to dlaczego?

Mark spojrział na niego posępnym wzrokiem i usiadł na zaspie. Wziął garść śniegu i powoli przetarł nim twarz.

- Dlaczego? A interesuje pana moja wersja?

- Im więcej wersji, tym lepiej. Będzie z czego wybierać.

- No cóż, pozwolę więc sobie ją panu przedstawić. Jestem przekonany, że Szmarinowa zabiła Inessa.

W jego głosie słychać było taką absolutną pewnością, takie całkowite przekonanie, że Zwiagincew aż się zakrztusił z zaskoczenia. Usiadł obok Krasińskiego na śniegu i popatrzył na niego badawczo.

- Słucham zatem.

- Wszystko jest niezmiernie proste. Igor Anatoliewicz jest bardzo, ale to bardzo zamożnym człowiekiem. To znaczy był. Miał nieruchomości w Rosji, za granicą, a o rachunkach w banku już nie wspomnę. Od takiej ilości zer każdemu może uderzyć woda sodowa do głowy. A Inka jest jego jedyną spadkobierczynią...

- Niezbyt ją pan lubi, jak widzę.

- Niezbyt - to mało powiedziane. Nienawidzę dziwki. Żadnemu fiutowi nie przepuści.

- A co, czatował pan pod oknami jej sypialni? - nie podobał mu się demaskatorski zapach Marka.

- We dnie i w nocy. Ale to nieważne. Igor Anatoliewicz był w niej ślepo zakochany. Nigdy przedtem nie spotkałem się z tak głębokim uczuciem. Przytrafia się jedynie podstarzałym facetom - spojrzal na niego wymownie. - Cały swój majątek na nią zapisał. Na każdą rocznicę ślubu dostawała brylantową kolbę. Na każdy Nowy Rok - pierścienek z szafirem. A na każdy Dzień Dziecka - nowe auto. Że nie wspomnę o willi w Nicei, która była dla nich niemal drugim domem.

- Zazdrości jej pan, co? Fajnie byłoby znaleźć się na jej miejscu, nieprawdaż?

- Wystarczają mi moje pieniądze. Nie jestem biedny. A teraz i ona nie będzie należała do biednych. Oj, nie będzie! Wesoła wdówka z przyzwoitą sumką!

- No cóż, pieniądze to dobry motyw. W każdym razie - przekonywający.

- Oczywiście, że dobry. Powiedział pan, że Szmarinow się nie bronił. No pewnie, że się nie bronił, ponieważ nie spodziewał się, że napadnie na niego własna żona. A ona posiada wystarczająco dużo siły i cynizmu, ażeby zadać cios prosto w serce. Bo to przecież było precyzyjne uderzenie, prawda? Bardzo precyzyjne. A wszystkie pozostałe były dla zmyłki. To zupełnie w jej stylu - dla zmyłki...

- Skoro pan tak twierdzi... Nie rozumiem tylko jednego. Jak kobieta, która doznała urazu dolnych kończyn, a być może i kręgosłupa, mogła wstać i zabić męża?

Mark zaczął się śmiać. I śmiał się tak długo, że Zwiagincewa aż zmęczył jego donośny, rubaszny śmiech.

- A kto panu w ogóle powiedział, że doznała urazu? To ona tak twierdzi. Wasz doktorzyna, jeśli oczywiście można wierzyć jego słowom, powiedział, że nie ma żadnych widocznych obrażeń ciała. Mnie przekonałoby jedynie otwarte złamanie nogi, a jeszcze lepiej obu nóg i kręgosłupa naraz. Tylko w tym przypadku byłyby dla mnie poza podejrzeniami. Chyba się pan ze mną zgodzi?

- Ale... Wiele osób widziało, jak się przewróciła.

- Ja też w ciągu tych trzech dni niejednokrotnie zaliczyłem upadek i widziały to dziesiątki osób.

- Ale jej nogi... Nie ma w nich czucia. Badał ją lekarz.

- Co pan mi tu wiecznie z tym doktorem?! A może są w zмовie? Zaciągnięcie faceta do łóżka to dla niej pestka. A w łóżku facet potulnieje jak baranek i można go sobie owinąć wokół palca.

- A skąd pan o tym wie? - Zwiagincew zadał podchwytliwe pytanie.

- No... - Mark zająknął się - ...przecież to widać gołym okiem. Kobiety jej pokroju działają na mężczyzn w demoniczny sposób.

Ochrońiarz zmuszony był przyznać mu rację. Co prawda, to prawda. Jedna z takich wystrzyżonych kocic, do złudzenia podobna do Inessy, zaba-wiła się kosztem jego Wołodii. Boże jedyny, jak on cierpiał, biedak! A dla niej to była jedynie zabawa. Był jednym z wielu. A ta jej miłość sprowadziła się do dwóch randek w nocnym klubie, które pochłonęły dwumiesięczną wy-płatę matki i trzymiesięczne stypendium samego Wołodii...

- Mimo wszystko nie można chyba aż tak się kontrolować i udawać, że się nic nie czuje. A poza tym istnieją przecież odruchy bezwarunkowe... Tak się to nazywa, prawda?

- Wszystko jest możliwe, proszę pana. Zwłaszcza kiedy w grę wchodzą setki tysięcy albo i miliony dolarów. Dociera do pana? Dolarów!

- A środki nasenne? - Zwiagincew wysunął ostatni marny argument. - Doktor mówił, że podał jej proszki...

- Niech mnie pan nie rozśmiesza! Wsunęła tabletkę pod język, a potem ją wypluła. Nic prostszego. Czyli powiada pan, że grupa dochodzeniowa pojawi się dopiero za kilka dni?

- Tak.

- No, to widzi pan. Przed ich przyjazdem będzie miał pan już gotową potencjalną wersję wydarzeń. I mam dla pana dobrą radę - niech się pan uważnie przyjrzy Inessie. Pewnie wcześniej czy później uda się ją zdema-skować. Zło musi zostać ukarane.

„Zło musi zostać ukarane” - tak właśnie powiedziała żona Krasińskiego, kiedy w szale wściekłości rozbijała miasteczko rzeźb lodowych. Wesola rodzinka, nie ma co. Teraz dorobili się jeszcze nieboszczyka...

- Panie Krasiński, chyba pana już opuszczę. Muszę zastanowić się nad tym, co mi pan powiedział. Zbyt dobrze wszystko do siebie pasuje.

- Przykro mi. Chciałbym dorzucić kilka nieścisłości dla zwiększenia prawdopodobieństwa, ale niestety... Proszę mi wierzyć, bardzo dobrze znam Inkę. Znam ją ładnych parę lat... To dokładnie w jej stylu. Posunąć się do morderstwa, żeby pozbyć się uprzykrzonego starego męża i zagarnąć jego bajońskie pieniądze. Ludzie zabijają i dla mniejszej kasy. Znacznie mniejszej.

Zdarza się, że i dla butelki wódki - chciał dodać Zwiagincew, ale w porę ugryzł się w język. Uściśnął Markowi dłoń i z trudem wygramolił się z zaspasy. Mark również wstał, ale nie zamierzał go odprowadzać. Skierował się w stronę domku. Musiał wracać do żony, aby powiedzieć, że jej ojciec został zamordowany...

Musiał

Zwiagincew włókł się po śniegu, usiłując zebrać do kupy wszystko, co od niego usłyszał. Był niemal skłonny uwierzyć w wersję o winie Inki. Wszystko do siebie pasowało: i motyw, i osobowości - zarówno ofiary, jak i mordercy. Zakończony starszy mężczyzna, wyrachowana laska i wielkie pieniądze pomiędzy nimi.

Hm... całkiem możliwe.

Chociaż mimo wszystko jest kilka nieścisłości.

Po pierwsze, sam przyjazd Szmarinowa. A gdyby nie mógł albo nie miał ochoty przyjeżdżać? Nie, z tym brakiem ochoty to już przesada.

No, dobrze, ale gdyby nie mógł? Leżałaby jak głupia ze zdrowymi nogami w oczekiwaniu, aż ktoś zawiezie ją na dół do miasta i tam wyjdzie

na jaw, że nie ma żadnych złamań, pęknięć ani innych obrażeń ciała? A poza tym doktorek jeszcze do niedawna miał sprawny aparat rentgenowski. A zatem rodzaj urazów można byłoby ustalić na miejscu. Rentgen zepsuł się w ostatnim czasie i Inessa nie mogła o tym wiedzieć. Awaria sprzętu to czysty przypadek, który był na rękę hipotetycznej morderczynie. Ale w tak dokładnie zaplanowanej zbrodni nie ma miejsca na przypadki.

Przestępcy nigdy na nie nie liczą.

Chociaż z drugiej strony, Szmarinow faktycznie się nie bronił. A ściślej rzecz biorąc, bronił się w dziwny sposób. Jak kobieta. Zasłaniał się poduszką. Prawdopodobnie nie mógł zrozumieć, co się dzieje i usiłował maksymalnie złagodzić siłę uderzenia, uchylić się przed nim, ale nie odebrał noża i nie skierował go w stronę napastnika.

To świadczy tylko o jednym: nóż miał w ręce ktoś bardzo mu bliski.

Nie, inaczej: nóż trzymała bliska mu kobieta.

Ale cwaniak z tego Krasińskiego! Wszystko do siebie pasuje. Wszystko oprócz jednego. Plamy krwi za domem.

Nie odpowiedział w końcu, skąd się tam wzięły. Sprowadził rozmowę na inny temat. Przedstawił swoją znakomitą i niemal realną wersję. Całkiem możliwe, że jedyną słuszną. Ale nie da się jej wymyślić tak na poczekaniu. Potrzeba czasu, żeby ją dopracować.

Ciekawe, czy Mark miał ten czas?

Należało przynajmniej zabrać ze sobą ten zakrwawiony śnieg. Jak mógł o nim zapomnieć?! Można się oczywiście wrócić po niego, ale Mark na pewno już go sprzątnął.

Stary dureń!

A może rzeczywiście skaleczył się w rękę? Ale w takim razie, co miała oznaczać ta dziwna rozmowa w łazience? Wyraźnie nie chciał, żeby Zwiagincew ją usłyszał. Dlatego odkręcił wodę. Olga mówiła chyba o jakichś plamach. Jak ona to powiedziała? „Te plamy. Nie mogę ich zmyć. Nie wiem, skąd się to wzięło...”.

Nie wiem... Nie wiem... To samo powtarzała Zapiesockiej. Ma widoczne problemy z pamięcią i psychiką.

Ale o jakich plamach była mowa?

- Proszę pana! - ostry, wysoki głos wyrwał go z głębokiej zadumy.

Odwrócił się powoli. A niech to! Na myśliwego zwierzyna sama leci.

W jego stronę biegła zdyszana Natalia Zapiesocka. W rękach trzymała swoje uszkodzone okulary i operowała nimi jak lornetką. Nie wyglądało to zbyt elegancko.

- Wszędzie pana szukam!

Z godziny na godzinę jest coraz trudniej. Wszystko idzie jak po grudzie. Zaraz ta maruda zacznie go zamęczać pytaniami: kto, jak, ile osób i z czego Strzelano. Zdobył się na najbardziej życzliwy uśmiech, na jaki go było stać i poprzysiął sobie w duchu, że nie powie jej ani słowa o morderstwie.

- Będzie pani długo żyła, pani Natalio. Właśnie o pani myślałem.

- Nie daj Boże, bym długo żyła. Mam do pana sprawę. Pilną.

- Słucham.

No, to się teraz zacznie - pomyślał. - Pewnie wystąpi zaraz z ramienia Ligii Starych Panien i Rozwódek, które wykorzystują ośrodki górskie do naładowania się męskimi hormonami. Zapasu testosteronu z pewnością wystarczy im na cały rok. A najbardziej obrotna wywiezie stąd plemnik w przygotowanym dla niego uprzednio jajeczku. Na pewno wszyscy już wiedzą, że obarczono go sprawą tego cholernego morderstwa, a Zapiesocka ostatnio należy do najlepiej poinformowanych.

- Może mnie pan uznać za natrętną babę...

Nie omieszka!

- ...i w dodatku przesadnie podejrzliwą, ale... Chodzi o to, że widziałam tego człowieka!

- Jakiego człowieka?

- Tego, który był wtedy z Kirą na trasie...

- Nie bardzo rozumiem?

- No przecież panu mówiłam...

W świetle ostatnich wydarzeń na śmierć zapomniał o zaginionym Kiryle i o jej bajdurzeniach na temat tajemniczego narciarza. A teraz w momencie, kiedy spadło na niego morderstwo poważnego biznesmena, znów wyskoczyła ze swoją historijką!

- Zapomniał pan?

- Jak mógłbym zapomnieć? Oczywiście, że nie zapomniałem.

- Widziałam go!

- I co?

- Jak to - co? Powinien pan z nim porozmawiać. Musi panu opowiedzieć, co się stało z Kirą.

Spojrzała na niego przez swoją zaimprovizowaną lornetkę.

- A jest pani pewna, że to on? - zapytał, nieufnie spoglądając na jej przymrużone oczy.

- Więcej niż pewna!

- To kiedy go pani widziała?

- Dzisiaj. Jakieś półtorej godziny temu. Cały czas pana szukam. Musi pan to sprawdzić! To przecież pana służbowy obowiązek! Gdzie pan łaził? Co pan robił?

Co? Co? Jajco! - pomyślał rozbawiony jej dziecinną bezpośredniością.

- Sam wiem, jakie mam obowiązki służbowe. Czyli twierdzi pani, że go widziała?

- Tak.

- I rozpoznała go pani przy takiej zamieci?

- Tak.

- Ciekawe, jak się to pani udało?

- Wypraszam sobie takie teksty i insynuacje! - zaperzyła się. - Rzeczywiście mam kiepski wzrok. Ale osoby ze słabszym wzrokiem mają swoje sposoby. Zapamiętują sylwetkę. I to była ta sama sylwetka. Ta sama postać z gołą głową, krótką szyją, w kombinezonie...

- Wyczerpujący opis...

- Proszę mi nie przerywać! Ma bardzo specyficzną postawę ciała.

- A co, stał na nartach?

Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło.

- Co do nart nie mam pewności.

- No, dobrze - musi ją jakoś utemperować. Przecież nie będzie wysłuchiwał tych bredni, w rzeczy samej! - Czyli zdawało się pani, że go widzi...

- Mnie się nie zdawało! To był on.

- I co?

- Poszłam za nim. Chciałam go wypytać... Ale potem pomyślałam, że to pan powinien z nim porozmawiać. Tak będzie poważniej.

- Aha., więc poszła pani za nim...

- Tak. To jeden z ratowników... Nie pamiętam, jak ma na imię. Taki brunet...

- Wszyscy są brunetami.

Oprócz Waśki - pomyślał nagle. - Ten ma najgorszy z możliwych dla przestępców i detektywów kolor włosów: miedziano-rudy...

- Mogę panu pokazać. Rozpoznam go.

Świetny pomysł! Wręczymy każdemu z chłopaków tabliczkę z numerem porządkowym, ustawimy w szeregu, a ona niech zgaduje, który to.

- Proszę mnie posłuchać, pani Natalio... Przecież zna pani wszystkich ratowników i niejednokrotnie ich pani widziała, a nawet z nimi rozmawiała...

- Dla mnie to też jest dziwne, że on ukrywa fakt, że był wtedy z Kiryłem. To wygląda cokolwiek podejrzanie, nie sądzi pan?

- Podejrzanie wygląda to, że wcześniej jakoś go pani nie rozpoznała - zmęczyła go już rozmowa z tą upartą babą, postanowił więc jak najszybciej się jej pozbyć.

- Mówiłam już panu, że teraz po prostu stał w tej samej pozie. Widziałam go z tej samej perspektywy. Zapamiętałam zarys jego ciała. Na sto procent to ta sama osoba.

- Wie pani co, na pewno się tym zajmę, tylko trochę później.

- Kiedy? - zapytała zniecierpliwionym tonem.

Kiedy przyjdą Szwedy, do diabła!

- Jak tylko uporam się z pewną sprawą. Dość skomplikowaną.

- Ma pan na myśli dzisiejsze morderstwo? Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Z wrażenia omal nie usiadł w zaspie. *A więc wiedziała o tym! Co za obojętny ton!* Umyślne zabójstwo nie wywołało u niej żadnych emocji: ani strachu, ani ciekawości, ani zwykłego ludzkiego współczucia. Dla niej liczył się tylko jej gniady ogier - Kirył!

- Proszę mi oczywiście wybaczyć, pani Natalio, ale...

- Proszę pana, a jeśli to, co się stało z Kiryłem - krótki, przerywany oddech wskazywał na to, że brakuje jej powietrza - to też przestępstwo? Jeśli to kolejne morderstwo?

- Pani Natalio, niech się pani opanuje - poradził łagodnie. - Znajdujemy się przecież w rzeczywistym świecie, a nie na planie filmowym jakiegoś thrillera. Dwa morderstwa w tak krótkim czasie to trochę za wiele jak na „Różę Wiatrów”.

- Morderstw nigdy nie bywa za wiele - powiedziała pouczającym tonem.

- A skąd takie myśli u prawej radzieckiej kobiety? - Zwiagincew był szczerze zdumiony.

- Już dawno nie radzieckiej.

- Co za różnica?

- Widzę, że próbuje się pan wymigać.

- Wcale nie próbuję. Razem zajmujemy się tym pani osobnikiem. Ale nie dzisiaj.

- A kiedy?

- Naprawdę nie dociera do pani, co mówię?

- No, dobrze - poddała się. - Poinformowałam pana i teraz będę czekać na pański ruch. Wszystkiego dobrego.

Po tych słowach oddaliła się szybkim krokiem, nie czekając nawet na jego odpowiedź. Na pożegnanie rzuciła mu jedynie dziecięco naiwne, a zarazem przerażające zdanie: „Morderstw nigdy nie bywa za wiele”.

* * *

Siedziała skulona w rogu łóżka i z napięciem wpatrywała się w drzwi.

W takiej właśnie pozycji zastał ją Mark po powrocie do domu.

Spieg, przybyły z krainy mrozu.

- Gdzie byłeś, Mark? - zapytała drżącym głosem.

- Odprowadziłem naszego gościa.

- A kto to był?

- Znasz go. Widziałeś niedawno. Pał Pałycz Zwiagincew.

- Aaa... Taki gruby, zabawny mężczyzna? Od którego nieustannie cuchnie piwem?

- Właśnie.

- Po co tu przyszedł, Mark? Chciał się ze mną widzieć? Odnosnie do tamtej historii? Ale już ci mówiłam. Byłam w jakimś amoku. Chcę o wszystkim zapomnieć. Dzisiaj wylatujemy do Moskwy i wszystko wróci do normy, prawda?

- Nie, dzisiaj nie uda nam się wylecieć.

- Z powodu pogody, tak? Na dworze sypie śnieg... Ciekawe, czy ktoś jeździ na nartach? Jak myślisz, Mark?

Mówiła szybko i chaotycznie, byleby zagłuszyć ciszę.

Zagłuszyć ciszę. Ciszę, czyhającą wśród strumieni wody, przytłaczającą ją w łazience, kiedy Mark z jakiegoś powodu nie pozwolił jej wejść do pokoju. Wprowadził jakieś muzułmańskie zwyczaje. Podział na damską i męską część domu. Ale na dobrą sprawę nic w tym dziwnego. Mieszkał kiedyś przecież w Turkmenii.

Jonasz bardziej przypomina Turkmeńczyka, ale on na pewno nie została jej samej w łazience. Tym bardziej że poszła jej krew z nosa. Tak właśnie Mark wytłumaczył obecność dziwnych plam na jej rękach i kombinezonie. Wysokość, spadek ciśnienia, spadek temperatury - to wszystko, jak widać, źle na nią wpływa. Ma słabe naczynka. Nie miała o tym pojęcia.

Ale dlaczego krwi było tak dużo? I dlaczego Mark patrzy na nią, jakby zamierzał powiedzieć jej coś okropnego?

- To z powodu pogody, Mark? - powtórzyła pytanie.

- Nie. Nie z powodu pogody. Muszę ci coś powiedzieć.

Usiadł obok na łóżku, zbliżył do niej twarz i mocno chwycił ją za rękę.

- Cara! To dotyczy twojego ojca...

Poczuła olbrzymi chłód. W głębi serca pojawił się maleńki kryształ lodu i zaczął się rozprzestrzeniać. Z małego kryształu powstawały wciąż nowe i nowe... Jeszcze chwila, a wypełnią całe jej wnętrze...

- Ale co z ojcem? - zapytała powoli. - Już o tym rozmawialiśmy. Spróbuję poprosić go o wybaczenie.

- Nie musisz go już prosić o wybaczenie... To znaczy trzeba było, ale...

Jeszcze mocniej ścisnął jej rękę i przysunął się do niej blisko.

- Zawsze będę przy tobie, cara. Chcę, żebyś o tym pamiętała. Nigdy cię nie zostawię, cokolwiek by się wydarzyło.

- Ja też nigdy cię nie zostawię. Ale co wspólnego ma z tym mój ojciec? Przecież nie chce nas rozdzielić. To byłoby śmieszne z jego strony.

- Ojca nie ma, cara.

- Nie ma? Bardzo ciekawe... A gdzie się podział? Chyba nie odleciał bez nas?

- Nie ma go. Umarł...

Spojrzała na niego jak na wroga, po czym się uśmiechnęła. W życiu nie widział bardziej przerażającego uśmiechu.

- Jak to umarł?

- Nie ma go już wśród żywych. Umarł. Został zamordowany. Dzisiejszej nocy... zabito go nożem.

- O czym ty mówisz? Jak ktoś mógł go zabić?

Był tuż obok. Napał na nią całym ciałem. Przygarnął ją mocno jak w chwilach namiętności. Nigdy dotąd jego ciało tak jej nie ciążyło.

- Puść mnie... Ciężko mi...

- Zrozumiałas, co powiedziałem? Umarł. Nie żyje.

- Zrozumiałam, tylko mnie tak nie przygniataj.

- Cara! Zrozumiałas, co powiedziałem?!

W jego oczach zobaczyła potworny lęk i wreszcie dotarło do niej, że usiłuje powiedzieć jej coś bardzo ważnego.

Mówił chyba coś o ojcu. Coś strasznego. Musi postarać się skupić i uchwycić sens jego słów.

Ojca nie ma wśród żywych. Umarł. Został zamordowany.

Umarł. Zamordowany. Umarł. Umarł. Umarł.

Umarł- to znaczy, nie żyje. Dlaczego dokuczają mi ten nieznośny ból w skroniach? Umarł.

Zamordowany...

Zamordowany!

- Co? Co ty powiedziałaś?!

- Został zamordowany.

Dopiero teraz zaczął docierać do niej przerażający sens jego słów. Jakby zza lekko uchylonych drzwi powiało grozą. Nie dało się dłużej przed nią bronić. Zaczęła krzyczeć:

- Nie! Nie! To nieprawda!

- To prawda.

- Nie!

Taty już nie ma? Jak to możliwe, że taty już nie ma?! Pięknego, silnego ojca... pełnego życia... pełnego miłości... prawdziwego mężczyzny, zdolnego do namiętności... A wszystko to zagarnęła jedna osoba - Inka... Z nikim nie chciała się nim dzielić, nawet z Olgą, jego córką... Nienawidzi! Nienawidzi! Ale kogo? Inki czy ojca?!

Ale ojciec umarł...

Manana też umarła, ale to było dawno. Po prostu zniknęła z ich domu, a potem zniknęły jej rzeczy. Ale Manana była obłąkana, a ojciec... ojciec był

całkowicie normalnym, zdrowym człowiekiem... wobec tego, jak mógł umrzeć?

Nie, to nie tak. Nie umarł, został zabity.

Zabity.

Morderstwo - potworna sprawa. Zbyt dużo krwi.

Krew.

Dlaczego moje ręce były we krwi? Dlaczego mój kombinezon był we krwi?

- Cara! Słyszysz mnie, cara! Odezwij się, proszę! Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię?!

Kiedy umiera ktoś bliski, powinno się płakać. Dlaczego więc ona nie może tego zrobić? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Ponieważ nie wierzy w to, że umarł. Ale Mark przecież by nie kłamał. Nie mógłby robić sobie takich makabrycznych żartów. Nigdy jej nie oszukał. Chociaż kiedyś może być ten pierwszy raz. Dlaczego tak na nią patrzy? Nie, nie kłamię.

Ojca już nie ma.

Krzyknęła i zaczęła się szarpać w jego ramionach.

- Nie! Nie! Nie! Tato! To niemożliwe! Wygadujesz bzdury, Mark! To nieprawda! Dlaczego kłamiesz?! To niemożliwe! Tato! Mark!

Straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, dotarła do niej brutalna prawda: ojca już nie ma i ona nigdzie nie ucieknie przed okrutną rzeczywistością... ani w omdlenie, ani w sen, ani w obłąd...

Skąd ta krew na moim kombinezonie?

Znów zaczęła krzyczeć. I krzyczała tak dopóty, dopóki nie straciła głosu. Pół godziny... godzinę... półtorej... Przez cały ten czas Mark nie opuszczał jej ani na chwilę. Widziała tuż obok jego poszarzałą, wymizerowaną twarz. Taki właśnie będzie za dwadzieścia lat. Właśnie taki. Podobny do ojca, którego już nie ma.

Który został zamordowany. Kto mógł to zrobić?

- Kto?! Kto to zrobił, Mark?!

- Nie wiem - jego twarz wyrażała setki uczuć naraz: przerażenie, współczucie, litość, miłość... zmieniały się jak w szaleńczym tańcu. Olga czuła, że tuż obok czai się zło. Coś, o czym wiedział, ale nie chciał jej powiedzieć.

Coś, co stopniowo sobie uświadamiała.

Coś okropnego.

Kiedy się obudziła, podeszła do okna, zanurzyła ręce w śniegu... Wróciła do łóżka i dotknęła dłońmi jego śpiącej twarzy...

Skąd tyle krwi? To miał być przecież zwykły krwotok z nosa, a nie otwarta rana z tryskającą fontanną krwi! Otwarta rana... ojca zamordowano. Ugodzono nożem w serce. Na pewno było dużo krwi. W jej głowie kłębiły się przerażające myśli. Nie potrafiła zapanować nad ogarniającym ją chaosem. I nagle zrozumiała: jeśli kiedykolwiek nad nim zapanuje, odkryje całą prawdę o morderstwie.

Morderstwo.

Czuła jak popada w obłąd. Aż w końcu osłabiona uspokoiła się w ramionach męża.

- Mark!
- Jestem tu z tobą, cara...
- Mark, powiedz mi... Skąd wzięła się ta krew na moim kombinezonie?

Do godziny drugiej zostały zebrane wszystkie zeznania, przesłuchani wszyscy świadkowie i wyciągnięte wstępne wnioski. Zwiagincew siedział w swoim zacisznym kącie, w pokoju numer trzystaście.

Rzeczywistość okazała się tak nieprawdopodobna i przerażająca, że ochroniarz nie miał nawet ochoty na piwo. Był bardzo roztrzęsiony. Piwo tu nie pomoże. Litry wódki nie wystarczy. Ale wypicie teraz wódki byłoby przesadą. Nie mógł sobie pozwolić, żeby cuchnęło od niego gorzałą, kiedy będzie przedstawiał aresztowanemu jego prawa.

Ciekawe, czy przyjdą, czy nie?

Krasiński z żoną.

Równie dobrze mogą spakować rzeczy i uciec w góry. Albo wcale się nie pakować i uciec na dół, do miasta.

Guzik prawda. Nigdzie nie pójdą. Pchać się w taką zamieć na stok, w dodatku nie znając terenu - to samobójstwo. Chociaż, kto wie? Być może samobójstwo byłoby najlepszym rozwiązaniem? Może już się na nie zdecydowali... Nie, Krasiński będzie się bronić do końca. Nie pozwoli skrzywdzić żony. To taki twardy facet.

Zwiagincew mógłby wysłać po nich ochroniarzy. Nawet godzinę temu, kiedy uzyskał jasny obraz sytuacji, mógł wysłać chociażby tych przyglupów

- Radika i Kołę. Brak mózgu nadrabiają cierpliwością i silnym ciosem. Mie-
liby ich na oku, a w razie czego, użyliby siły.

Mógł to zrobić, ale nie chciał.

*Tak, panie Krasiński, zaprezentowałeś mi tu naprawdę znakomitą i
pociągającą hipotezę...*

Zwiagincew wiele by oddał, aby wersja Marka okazała się prawdziwa i by
ta wystrzyżona kocica, ta „zrozpaczona” wdowa, została słusznie ukarana.
Kogo jak kogo, ale jej nie byłoby mu żal.

Ale zeznania, które udało mu się zebrać... do diabła! Wszystkie świadczy-
ły przeciwko temu pocziwemu Markowi. Niestety.

Fotel skrzypnął żałośnie pod jego grubym cielskiem. *Muszę poprobować
z tymi nartami i przestać żłopać piwo w takich ilościach* - pomyślał jak
zwykle.

A potem zamknął oczy.

Przyjemnie jest zamknąć oczy, kiedy się wie... Kiedy można sobie wy-
obrazić, co tak naprawdę się wydarzyło. Kiedy jasno widzi się przed sobą
obraz zbrodni...

Zbieranie informacji zaczął od portiera. Głównie dlatego, że nie podobał
mu się Krasiński z jego żelaznym, jakby celowo przygotowanym, alibi.

Tej nocy dyżur pełnił Siergiej (Iwan zmienił go dopiero o wpół do ósmej i
wtedy zalała go lawina telefonów z pretensjami dotyczącymi krzyków do-
chodzących spod dwunastki). W pierwszej kolejności Zwiagincew skierował
się właśnie do niego.

Sierioża z Iwanem zajmowali malutki domek niedaleko głównego bu-
dynku hotelu. Skłonny do nadmiernej przesady Iwan nazywał go na wzór
szwajcarski „chaletem”. Mieli tam dwa oddzielne pokoje, żeby w tym sa-
mym czasie móc zabawiać się z babami (zupełnie niepotrzebnie, gdyż spo-
tykali się jedynie przy kontuarze na portierni: jeden zdaje służbę, drugi ją
obejmuje). Oprócz dwóch wspomnianych pokoi w domku była jeszcze mała
kuchnia i ubikacja. *Pelen luksus. Żyć - nie umierać!*

Ochroniarz musiał dość długo dobijać się do drzwi. Po dyżurze Siergiej
zawsze zapadał w mocny sen. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły i pojawiła
się w nich rozczochrana głowa portiera, Zwiagincew był już lekko poiryto-
wany.

- Co tak długo śpisz? Życie prześpisz i nie wezmą cię do Królestwa Bo-
żego!

- No, i bardzo dobrze, szefie - odpowiedział Sierioża, ziewając. - Nie mam tam czego szukać. Nudziarstwo i tyle. Nawet porządnego pornola się nie obejrzy.

Portier był fanatykiem ostrego porno i miał sporą kolekcję kaset.

- Może byś mnie wpuścił?

- A co się stało?

- No, właśnie chcę wyjaśnić, co się stało.

Zdecydowanie wszedł do środka, popychając Sieriożę grubym brzuchem. Ten stał w drzwiach, przestępując z nogi na nogę i patrząc na ochroniarza z niechęcią. Nienawidził, gdy ktoś przerywał mu zasłużony sen.

- No, gadaj - Zwiagincew usadowił się na krześle i wyciągnął z kieszeni odwieczną paczkę bielomorów.

- Tu się nie pali - zareagował natychmiast portier.

- Co ty nie powiesz?! Pochwalam, pochwalam - wyjął papierosa z paczki i, widząc piorunujące spojrzenie Siergieja, z rozkoszą się zaciągnął, wypuszczając nosem śmierdzący dym.

- Wykorzystuje pan swoje stanowisko, szefie?

- Zgadza się.

- To wie pan co, może lepiej przesiądzie się pan z tego krzesła na kanapę. Ostatnio się rozpadło i Iwan je sklejał. A pan jest słusznych gabarytów...

Zwiagincew posłusznie przesiadł się na kanapę i spróbował zarzucić nogę na nogę, ale zbyt grube uda mu na to nie pozwoliły.

- Napije się pan piwa? - Siergiej wykazał się w końcu gościnnością.

- Chętnie.

Portier poszedł do kuchni i przyniósł dwie puszki.

- Otworzyć panu, szefie?

- Poproszę, jeśli to nie kłopot.

Wziął od niego otwartą puszkę, upił łyk piwa, po czym przystąpił do przesłuchiwania świadka:

- Wczoraj do „Róży Wiatrów” przyjechał pewien człowiek...

- Wiem... Osobiście go przyjmowałem. Do tej ślicznotki spod dwunastki. Potężny facet.

- Wczoraj przyjechał, a dzisiaj w nocy został zabity. Podczas twojego dyżuru.

Zbudzony przez niego portier był chyba jedyną osobą, do której nie dotarły jeszcze smutne wieści. Takiemu to dobrze. Żyje sobie w błogiej nieświadomości. A raczej - żył.

Na twarzy portiera pojawił się grymas. Wyciągnął ręce do przodu, jak gdyby chciał się obronić przed niewidzialnym sprawcą.

- Zabity?! U nas w hotelu? Chyba pan sobie żartuje, szefie?!
- Przykro mi, ale to nie dowcip...
- O żesz ty!!! Zabity...
- Podczas twojego dyżuru - podkreślił.
- Ale co ja mam do tego? Miałem przecież dyżur. To nie ja...
- A to masz do tego - przerwał mu - że musisz mi pomóc odtworzyć mioną noc... ze wszystkimi szczegółami.
- Całą noc?
- Nie. Tak mniej więcej od czwartej.
- Aaa... A co tu jest do odtwarzania? Doskonale ich pamiętam.
- Kogo?
- Tego starego... To znaczy - w podeszłym wieku. I tego młodszego. Przyszli od strony baru. Widziałem, jak z niego wychodzili.

Jakże się teraz przydał rewelacyjny projekt budowy hotelu! Z portierni wejście do „Richarda Bacha” było widoczne jak na dłoni. A wszystko to dzięki ogromnym na całą ścianę oknom w holu. Nikt nie mógł tamtędy wejść ani wyjść niezauważony.

- A więc wyszli, i co dalej?
- Wyglądało na to, że chłopak go odprowadza.
- A ty akurat zwróciłeś na nich uwagę?
- A jak można było nie zwrócić, skoro tak głośno rozmawiali?
- Klócili się ze sobą?
- Właśnie w tym rzecz, że nie klócili się konkretnie ze sobą - na czole młodego portiera pojawiła się głęboka zmarszczka. - Jak by tu panu powiedzieć... Spierali się o kogoś.
- O kogo?
- No, a o kogo może pójść pomiędzy facetami? O kobietę, ma się rozumieć!
- Czyli o kogoś się poprzytkali? A może starszy oskarżał o coś młodszego?
- No tak, przypomniałem sobie! Faktycznie! Ten młodszy nazywa się Krasiński, tak?

- Tak. A więc ten starszy oskarżał o coś Krasińskiego?
- Nie. Przeciwnie. Zachowywał się, jakby go żałował. A Krasiński jakby się usprawiedliwiał i prosił, żeby się na niego nie gniewać i postarać się wczuć w jego sytuację.

- Wczuć się w jego sytuację?

- Przecież już mówiłem! Cały czas rozmawiali o kobiecie.

- Pewnie o żonie starszego?

- Tej ślicznotce? Odlotowa babeczka! Tylko słyszałem, że miała jakiś wypadek... Nawet chciałem ją odwiedzić - powiedział marzycielskim tonem.

- Jak pan myśli, szefie, wypada, żebym ją odwiedził? Piękna kobieta w takim stanie...

- Myślę, że możesz o tym zapomnieć. Jej mąż został zabity i jest teraz pogrążoną w żałobie wdową.

- Nie na długo - stwierdził z przekonaniem Siergiej. - Wie pan, ilu kandydatów ustawi się zaraz w kolejce po taki francuski wdzięk i czar?!

Prognozy Krasińskiego zdają się potwierdzać. Uwielbienie dla tej wystrzyżonej kocicy osiąga kosmiczne rozmiary! Siergiej też ma rację - taka kobieta nie będzie długo sama.

- A zatem rozmawiali o żonie tego starszego?

- Nie. Chodziło o żonę tego młodszego. Nawiasem mówiąc, też niczego sobie... Nawet jeszcze ładniejsza od tamtej. I ma długie włosy. Mężczyznom podobają się długie włosy. A panu jakie się podobają, szefie?

- Nie zastanawiałem się nad tym - do diabła, już z dziesięć albo i piętnaście lat o tym nie myślał!

- Ale jak dla mnie, to czegoś jej brakuje. Mimo, że ma fantastyczną figurę. Prawie jak Inessa. No, i wszystko ma na swoim miejscu, ale jednak... Francuski wdzięk i czar - to jest to!

Nieuchronnie zbaczali z właściwego tematu, więc Zwiagincew postanowił naprowadzić myśli romantycznego portiera na odpowiednie tory.

- A z czego wywnioskowałeś, że rozmawiali akurat o żonie Krasińskiego?

- Z tego, co mówili - Siergiej spojrział na niego jak na idiotę. - Starszy, czyli Szmarinow... jego żona też Szmarinowa... Tak więc starszy mówił, że takie rzeczy bardzo trudno jest wybaczyć. Zwłaszcza mężczyźnie. Zwłaszcza ojcu. Że nie rozumie tej zazdrości córki. Dokładnie tak się wyraził: „Nie rozumiem tej zazdrości córki. To jest nienormalne...”.

Portier przymknął oczy i usiłował przypomnieć sobie całą rozmowę.

- A zaraz potem Krasiński tak jakoś dziwnie na niego popatrzył i powiedział: „Co to znaczy nienormalne? Jest absolutnie zdrowa”. O co mu chodziło - nie mam pojęcia. Ale w sumie to nieważne. Starszy na to: „Olga coraz bardziej upodabnia się do matki i to mnie przeraża... Ta jej dzisiejsza scena...”. A ten do niego: „Po co ją pan uderzył? Przecież pan wie, jak pana szanuje. Jak pana kocha”. A starszy milczał przez chwilę, po czym odparł... Zaraz, zaraz... Co on powiedział? Aha! „Tu nie chodzi o mnie, ale obraziła moją żonę. A tego nikomu nie potrafię wybaczyć. Nawet własnej córce”. To by było na tyle.

Pociągnął nosem i otarł pot ze skroni.

- Coś za dobrze wszystko do siebie pasuje - powiedział z powątpiewaniem Zwiagincew. - I jak ty byłeś w stanie to wszystko zapamiętać? Mam na myśli całą rozmowę.

- Przecież to proste, szefie. Mam fenomenalną pamięć. Zapamiętuję pięć stron maszynopisu po jednym przeczytaniu. A do tego cyfry.

- Jakie cyfry?

- Zwyczajne. Mnożę i dzielę w dowolnych kombinacjach.

- Nie żartuj?! - zdziwił się szczerze ochroniarz. - Nie podejrzewałem, że masz takie zdolności.

Portier rozpląnął się w uśmiechu.

- Chce mnie pan sprawdzić?

- Z miłą chęcią.

Już po chwili na stole leżał kalkulator. Zwiagincew przystąpił do dzieła.

- 45 612 podzielić na 737?

- 61 i trzy ósemki po przecinku - nie trzeba było długo czekać na odpowiedź. - Podaję cyfry do trzeciego znaku po przecinku. Zgadza się?

- Zgadza! - Zwiagincew zerknął na kalkulator. Był zachwycony. Aż go zatkało. - A teraz bardziej skomplikowane. 946 231 podzielić na 98?

- 9655 i 418 po przecinku. I jak?

- Bomba, Sierioża!

- Niech pan jeszcze zapyta.

- Zgodna. 3265 pomnożyć przez 471?

- 1537815.

- Znakomicie! Prawdziwy z siebie Wolf Messing!

- A kto to?
 - Taki jeden... Cudowne dziecko.
 - Hm... A zapamiętywanie tekstu też będziemy sprawdzać? - Sierioża dosiadł już swego konika i nie chciał się z nim tak szybko rozstawać.
 - Na razie dajmy temu spokój. Ale to głupota, mając takie zdolności, tkwić w takim miejscu! Powinieneś zatrudnić się w cyrku i występować z solowym numerem. Albo zwerbować się do wydziału ekspertyz w FSB. Lubią tam takich spryciarzy.
 - A nie, szefie... Wolę tym zabawiać panienki.
 - A co, tak na to lecą?
 - Jeszcze jak! Muszę się kijem od nich opędząć! - obnażył w uśmiechu nierówne zęby - Skaczą za kontuar. Żadna mi się nie oprze.
 - Aha... czyli rozmawiali w holu, a co potem?
 - Kiedy - potem?
 - Po tym, jak skończyli rozmowę.
 - A nic. Starszy poszedł do siebie, a Mark wrócił do baru.
 - Skąd wiesz, że wrócił?
 - Ależ pan jest dziwny, szefie! Widziałem na własne oczy. Odwrócił się i poszedł.
 - Wszystkich tak obserwujesz?
 - Nocą - tak. To całkiem ciekawe zajęcie - obserwowanie ludzi, w jakim stanie wchodzi, a w jakim wychodzi. Jakie kobiety im towarzyszą...
 - No dobrze, Siergiej - przerwał mu Zwiagincew, po czym wolno podniósł się z kanapy - pójdę już. Dziękuję za cenne informacje. Bardzo mi pomogłeś w śledztwie.
 - Służę ojczyźnie! - ponownie się uśmiechnął Siergiej i przyłożył dłoń do skroni. - A co, tego staruszka naprawdę kropnęli?
 - Tak.
 - Kurczę, ale ten Iwan to ma szczęście! Jak zwykle w centrum wszystkich wydarzeń. A ty człowieku siedzisz i siedzisz, a piękne babki przelatują ci koło nosa. Zero romantyzmu, tylko wypełnianie obowiązków służbowych.
 - Nie bój się. Jeszcze zdążysz się w życiu wyszaleć - Zwiagincew poklepał go przyjaźnie po ramieniu i wyszedł z domku.
- No cóż, teraz musi pójść do baru i wyjaśnić wszystko na miejscu. A niech go! Niby taki uczciwy ten Krasieński, a zataił przed nim fakt, że pomiędzy

nim a Szmarinowem doszło do jakiejś scysji. I to dość poważnej, skoro teść nie zamierzał darować urazy. Dobrze, że trafił mu się taki Wolf Messing!

Iwan na pewno położyłby się spokojnie spać, licząc na to, że w nocy nikt obcy nie będzie się pałętał po hotelu.

Należy przyznać, że mam cholerne szczęście. Jeśli wszyscy świadkowie będą tacy spostrzegawczy, to nie powinno być większego problemu z doprowadzeniem śledztwa do końca.

- Szefie! - Siergiej pędził za nim w narzuconej na ramiona kurtce.

- Co się stało?

- Zapomniałem panu powiedzieć... Jakoś wyleciało mi z głowy - spojrzał na niego ze skruchą. - Dopiero teraz sobie przypomniałem. *Á propos* kobiet. Ona się tam później zjawiała.

- Kto?

- Żona Krasieńskiego. No ta, o której rozmawiali...

- Gdzie się zjawiała?

- W hotelu.

Zwiagincewa zatkało. A to ci nowina!

- Przyszła odwiedzić przyjaciółkę?

- A skąd mam wiedzieć? Nie zwierzała mi się. Przemknęła obok i nawet się nie przywitała. Ja do niej: „Dobranoc”, a ona ani be, ani me... W sumie się wcale nie znamy. Widzieliśmy się tylko kilka razy. Mieszkają w domku...

- Wiem.

- Ale zazwyczaj była bardzo uprzejma. A tu - jakby mnie nie zauważyła. Jakbym był powietrzem. Nie twierdzą oczywiście, że jestem tu najważniejszy, ale...

- A może naprawdę cię nie zauważyła?

- Ciekawe, jak można mnie było nie zauważyć?

- Może była pogrążona w swoich myślach?

- No, nie wiem... Leciła jakby się paliło. Nie widziała niczego dookoła siebie.

- A to aby na pewno była ona?

- Niech mnie pan nie obraża, szefie! Nikt tu nie ma takich wspaniałych włosów. Już przy pierwszym spotkaniu rzuciły mi się w oczy. Długie, czarne, piękne... Marzenie!

- I co dalej?
- Przemknęła obok.
- I długo tam siedziała? A może w ogóle nie wyszła?
- Dlaczego miałaby nie wyjść? Wyszła. Po półgodzinie... Plus - minus. A raczej - nie wyszła, tylko wybiegła. Pewnie znów się pokłócili. No, wie pan... Była roztrzęsiona. Przyciskała ręce do piersi.
- A nie zauważyłeś niczego dziwnego?
- Raczej nie... Nie. Niczego dziwnego nie widziałem. Po prostu bardzo szybko biegła, i tyle.
- A potem poszła do baru?
- Nie. Widziałem tylko, jak pędziła drogą.
- Dziękuję raz jeszcze - Zwiaginцев uścisnął mu dłoń. - Na pewno wspomnę o tobie w raporcie.
- To nie jest konieczne, szefie.

Słowa portiera zburzyły jego cudowną teorię jak domek z kart. Ale Pał Pałycz nie był osobą, która dałaby się zapędzić w kozi róg. Nie, natychmiast zaczął budować hipotezę. Czuł się przytłoczony ilością i znaczeniem informacji, które tak niespodziewanie udało mu się zdobyć. Nie zwracał już uwagi ani na śnieg sypiący mu w oczy, ani na szczypiący w palce mróz.

Hm...

Po Krasieńskim, a przed mordercą, Szmarinowa widziała tylko jedna osoba - jego własna córka. Jeśli wierzyć słowom Sierioży, który chcąc nie chcąc był świadkiem rozmowy pomiędzy dwoma mężczyznami, w barze miała miejsce jakaś kłótnia. Doszło nawet do rękoczynów.

Ojciec uderzył córkę. Dorosłą córkę. Co, zważywszy na pozycję społeczną, którą zajmują, i ich poziom kultury osobistej, samo w sobie było już niedopuszczalne. Inaczej niż w rodzinach nałogowych alkoholików, gdzie takie rzeczy są na porządku dziennym. Takie, a nawet jeszcze gorsze. Tam można przyłożyć żonie żelazkiem albo ukatrupić młotkiem.

Ale u Szmarinowów...

Jeśli wierzyć Siergiejowi, to Szmarinow powiedział, że nie wybaczy zniewagi żony. Wszystko zaś wskazuje na to, że ubliżyła jej Olga. Hm... było coś jeszcze na temat zazdrości córki... Może poszła rozmówić się z ojcem?

I co?

Raptem zrobiło mu się gorąco.

Przypomniawszy sobie wszystkie wydarzenia poprzedzające przyjazd Igora Anatoliewicza. Nieskładne opowiadanie Olgi o jaskini z zakutymi w lód ludzkimi zwłokami. Opowiadanie, które było jedynie odbiciem jej nocnego koszmaru. Niedorzeczne zniszczenie lodowego miasteczka. Bezsensowna bójka z Zapiesocką. Olga uderzyła ją w twarz i roztrzaskała jej okulary. Najpierw kogoś spoliczkowała, a potem ojciec spoliczkował ją... Wygląda na to, że bicie po twarzy jest nieodłącznym elementem życia tej zacnej rodzinie. Jednak zaklinała się, że nie uderzyła tej kobiety. A dokładniej rzecz biorąc, że nie pamięta, jak ją uderzyła. Krasieński ewidentnie kręci, starając się chronić żonę. Dopiero od niej Zwiagincew dowiedział się, że nie pamięta niektórych momentów. Zwłaszcza tego, że wpadła w szal wściekłości. Mąż krył ją, mimo iż przedtem powiedział mu, że Olga ma problemy z psychiką. Że jej matka była umyślowo chora. No, i ten ojciec... w podsłuchanej przez Siergieja rozmowie padło zdanie: „Olga coraz bardziej upodabnia się do matki i to mnie przeraża”.

Z godziny na godzinę jest coraz trudniej.

Na wpółobłąkana Olga, cierpiąca na zaniki pamięci; pragmatyk - Mark, potrafiący przekonać kogo tylko zechce do swoich opartych na logicznym rozumowaniu teorii; Inessa z bezwładem dolnych kończyn i wreszcie sam Szmardinow, zamordowany dzisiejszej nocy.

Zbyt wiele jak na jedną rodzinę.

Zbyt wiele.

W barze było tłoczno i gwarno.

Nic w tym dziwnego. Z powodu zamieci pozamykano wszystkie trasy i cały tłum narciarzy znalazł schronienie właśnie tutaj. Bo gdzie indziej mieliby się podziać? Wyjątek stanowili ci, którzy mieli żony lub kochanki i mogli z nimi figlować w łóżku przy wtórze wyjącego za oknami wiatru.

Gdy tylko Zwiagincew pojawił się na sali, większość osób skierowała na niego wzrok. Wiadomość o morderstwie rozprzestrzeniła się jak ogień. Wszyscy wiedzieli, jaką rolę odgrywa on w tej sprawie. Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęła go jakaś niepojęta chłopięca duma. Nieważne, że za jakieś dwa dni, a może i prędzej, zjawi się tu grupa operacyjna i będzie musiał zająć miejsce na ławce rezerwowych, w koszulce z numerem trzynaście. Ale

jutro jeszcze nie nastąpiło i jak na razie on jest panem sytuacji.

Napełniony poczuciem własnej wartości skierował się w stronę baru. Barman, egzotyczny Mulat Ariel, wyszczerzył do niego śnieżnobiałe zęby. *No, proszę, jaki uprzejmy! Co za odmiana!* Zwykle nieszczególnie przepadał za Pałyczem, ze wstrętem patrzył na jego otyłe, nieapetyczne cielsko i z pogardliwą miną rzucał mu piwo jak psu kość.

- Dzień dobry, panu!

- No, nie wiem, czy taki dobry...

- Podać pańską ulubioną sałatkę? - Zwiagincewa speszyła ta przesadna uprzejmość. Nigdy dotąd barman nie zwracał się do niego takim uprzejmym tonem.

- Na razie dziękuję - Chryste, co on mówi?! Odmawiać ukochanych krewetek jedynie z czystej przekory?! Do diabła z tym! Słowo się rzekło! Nie będzie się teraz przecież wycofywać.

- A może piwa?

- Poproszę.

Ariel zręcznym ruchem przetarł kufel i napełnił go po brzegi.

- Piwo na koszt firmy - oświadczył.

- A z jakiej to okazji?

- Akcja dobroczynna.

Zwiagincew dmuchnął na pianę i wypił duszkiem pół litra.

- Powtórka? - zapytał barman z podziwem obserwujący jego poczynania.

- Może później.

- I jak postępy w śledztwie? - barman nie mógł już dłużej powstrzymać się przed zadaniem pytania.

- Pomalutku do przodu. Interesuje mnie wczorajsza noc.

- Wszystkich interesuje wczorajsza noc.

- A dokładnie mówiąc, interesuje mnie Szmarinow.

- A kto to?

- Ofiara. Był tu wczoraj, prawda?-

„Ofiara” - na to właśnie ostre i z założenia okrutne słowo czekał Ariel. I gdy tylko padło, z miejsca się uspokoił. Był wyraźnie zadowolony, że może na jakiś czas znaleźć się w epicentrum wydarzeń związanych z popełnionym morderstwem.

- Był.
- A z kim był?
- No, przecież pan wie, z kim. Z młodym mężczyzną i kobietą. Podobno to jego zięć i córka.

No tak, „Róża Wiatrów” przy całej swojej wytworności była jednak jedną wielką wiochą. Łatwo można tu kogoś poznać i każdy każdego widzi po sto pięćdziesiąt razy na dzień. Tak poważna osobistość jak Szmarinow tym bardziej nie mogła pozostać niezauważona.

- Przyszli razem?

- Nie. Parka siedziała już od wieczora. No, może gdzieś od jedenastej. Dziewczyna strasznie się upiła.

O tym wiedział już od Krasieńskiego - wielkiego specja od przemilczeń i niedomówień.

- A co robiła? Przewracała naczynia? Tańczyła nago na stołach?

- Aż tak źle nie było. Tak ogólnie zachowywała się prowokacyjnie. Wy-skakiwała z jakimiś pretensjami.

- Z jakimi?

- A cholera wie... Po pierwsze, jak zwykle był tu ścisk. Zeszło się mnóstwo osób. Nie da się nad wszystkim zapanować. Głośno jak w ulu. Ludzie piją, naparzają w te swoje kręgle, i tak dalej. Faktem jednak jest, że w pewnym momencie wstała zza stolika, przysiadła do tych faszystów i zaczęła coś tam nadawać. Jej mąż ledwie zdołał ją stamtąd odciągnąć.

„Faszystami” Ariel nazwał małżeństwo z Norymbergi, które nie wiadomo jak trafiło do tego niemal w stu procentach rosyjskiego ośrodka. Herr i Frau Neukirlich. Niemiec pomimo podeszłego wieku całkiem nieźle radził sobie na nartach i uwielbiał trudne trasy. Jego żona nie była taka przebojowa i cały czas jeździła na łagodnie pochylonej „oślej łączce”.

- I co dalej?

- Później rozmawiała o czymś z Jonaszem. Próbował ją wyprowadzić, ale się opierała. Nie udało mu się.

- A gdzie się w tym czasie podziewał jej mąż?

- Nie mam pojęcia... Chyba był z nimi... A może go nie było... W ogóle doszło do małej przepychanki. Przesiedli się bliżej wyjścia.

- Dlaczego?

- Bo tam jest więcej powietrza. Widocznie było z nią już naprawdę kiepsko.

-

- I mąż jej stąd nie zabrał?
- Mnie pan o to pyta? Może lepiej, gdyby zapytał go pan osobiście?
- Na razie jeszcze to ja tu jestem od zadawania pytań! Czyli mówisz, że przeszli bliżej wyjścia. Może na kogoś czekali?

- Nie wiem. Potem pojawiła się ofiara - wypowiedział to słowo ze szczególnym namaszczeniem - i od razu przysiadła się do chłopaka. Olgi Krasieńskiej wtedy nie było.

- A Jonasz?

- Do tego czasu opuścił już bar. Później siedzieli w trójkę. Potem wywiązała się jakaś awantura. Ofiara uderzyła dziewczynę w twarz. Bardzo mocno. Omal nie odpadła jej głowa.

- Widziałeś to na własne oczy?

Na twarzy Ariela pojawił się grymas zawodu. Wszystko jasne. Nie widział. Wie to z czyjegós opowiadania i bardzo przeżywa, że przegapił jeden z najważniejszych momentów w życiu. Ale najbardziej gryzie się tym, że nie został naocznym świadkiem morderstwa.

- Widziałeś to na własne oczy? - powtórzył pytanie Zwiagincew.

- Nie.

- A kto to widział?

- Diucha.

Diucha był kelnerem w „Richardzie Bachu”. Wiedział wszystko o wszystkich. I jakimś cudem zawsze znajdował się w miejscach, w których coś się działo.

- Rozumiem. Czyli wywiązała się kłótnia, która zakończyła się rękoczynami, i co dalej?

- Kobieta wstała i wyszła.

- A jej towarzysze?

- Zostali.

- I żaden z nich nie próbował jej zatrzymywać?

- Hm... Diucha dokładniej to panu opowie. Był naocznym świadkiem. A ja znam sprawę jedynie z jego relacji.

- No dobrze. A co się stało później?

- Posiedzieli gdzieś do czwartej. O czymś rozmawiali - w tym miejscu Ariel wyraźnie się ożywił. Najgorsze było już za nim i znów stawał się wiarygodnym świadkiem. - Potem wyszli.

- I już nie wrócili?

- Dlaczego mieliby nie wrócić? To znaczy ofiara już nie wróciła, a ten drugi, młody, zjawił się po chwili i siedział aż do rana. Do szóstej, a może i wpół do siódmej.

- Sam?

- Tak. To znaczy w pewnym momencie dołączył do miłośników kręgli. Ale to już całkiem nad ranem.

- Nie wyglądał na roztrzęsionego czy przygnębionego?

- Co? - Ariel nie posiadał w swoim zasobie leksykalnym takich słów. Stał zamyślony, potrząsając shakerem.

- No... może był czymś poruszony?

- Chyba nie. Po prostu siedział.

- A co zamawiał?

- Prawie nic. Na początku wziął lampkę koniaku i cały czas go sączył.

- A zatem siedział tu sobie, mało pił i rozglądał się na boki?

- Można tak powiedzieć. Ale później znalazł sobie zajęcie. Całkiem nieźle gra w kręgle. Nawet z kimś wygrał. Nie pamiętam z kim, ale to chyba nie jest aż takie ważne?

- Nie, nie tak bardzo - uspokoił go Zwiagincew. - Ważna jest godzina, kiedy opuścił bar.

- A to, to małe piwo - Ariel znów wyszczerzył zęby. - Wyszedł tuż przed zamknięciem. O wpół do siódmej. Był jednym z ostatnich klientów.

- No, cóż... W takim razie wszystko już wiem. Nalej mi jeszcze piwka na koszt firmy.

Ariel napełnił kufel i ponownie wlepił w niego wzrok. Uniósł brwi i rozchylił usta - całym sobą wyrażał niemą prośbę.

- No, dobra, teraz twoja kolej. Pytaj - zlitował się w końcu ochroniarz.

- Zaszlachtowano go nożem, tak? - wyszeptał drżącym z przejęcia głosem barman.

Zwiagincew przechylił się przez kontuar i szepnął:

- Można tak powiedzieć. I wiesz, co jeszcze?

- Co?

- Tak sobie myślę, że mordercy należy szukać wśród personelu. Znacie przecież wszystkie przejścia, wyjścia... No, na przykład ty - całkiem nieźle nadajesz się na sprawcę.

- Ja? - zdumiał się barman i jeszcze bardziej poszarzał na twarzy. - Żartuje pan sobie?

- Nie jestem bynajmniej w nastroju do żartów.

- Cały czas tutaj siedzę. Na widoku. I nigdzie się nie oddalam...

- No, tu to się troszkę zapędziłeś.... Nigdzie się nie oddalasz? A odlewać się to nie chodzisz? Może skręciłeś gdzieś po drodze, hę?!

Mrugnął porozumiewawczo do barmana, po czym chwycił kolejny kufel piwa i ruszył na dalszą inspekcję terenu. Jako pierwszym zajął się gadatliwym Diuchą, który potwierdził wszystkie zeznania Ariela, a nawet ubarwił je szczegółami: Tak, zgadza się, najpierw mąż z żoną siedzieli przy trzecim, licząc od kręgielni, stoliku. Dziewczyna zbyt dużo wypila i zaczęła mieć jakieś pretensje do faceta. Później przysiadła się do tych z Bundestagu i przykrochmalila się do staruszka. Nie można powiedzieć, żeby to się spodobało jego małżonce. Następnie do dziewczyny przyczepił się Jonasz - kiedy jej mąż wyszedł z sali. Pewnie poszedł się odlać. Normalka. Jonasz namawiał ją do wyjścia, ale z nim również się posprzeczała. Jednak jakoś ją w końcu przekonał. Przy samych drzwiach natknęli się na Marka i wywiązała się kolejna sprzeczka. Zgadza się, Jonasz wyszedł, a oni przesiedli się do stolika tuż przy wyjściu, żeby trochę ochłonęła. I rzeczywiście tak się stało, ale dopiero po tym, kiedy stąd wyszła i po jakimś czasie wróciła. Pewnie poszła wymiotować. Normalka. Zaraz potem pojawił się ten ważny gość. Kolejna kłótnia, której sam był inicjatorem. A potem pałeczkę przejęła dziewczyna. Coś mu nagadała i dostała po głębie. Obrazila się i uciekła. Mąż wyszedł za nią, ale już po chwili wrócił. Pewnie jej nie dogonił. Posiedzieli jeszcze sporo czasu we dwóch, a potem tak samo długo, aż do zamknięcia lokalu, przesiedział tu samotnie młody mąż. Wszystko się zgadza. Tak, tak...

Po Diuszy nastąpiła kolej na mniej wścibskich świadków, którzy w ogólnych zarysach potwierdzili zeznania obu mężczyzn.

* * *

A teraz Zwiagincew siedział w swoim zacisznym kącie, w pokoju numer trzynaście, niczym pająk w środku pajęczyny. Tłusty pająk, czekający na swoje ofiary.

Okolo godziny pierwszej pojawil sie Artiom Lwowicz. Przyniosl ze soba calkiem sensownie sporzadzona notatke, ktora spokojnie mozna bylo dolaczyz do akt. Dosz dokladnie obejrzal zwloki i teraz mogl w miare precyzyjnie opisac charakter ran.

Szmarinow otrzymal trzynastcie ciosow nozem. Tylko jedna rana, ta w okolicach serca, byla glęboka, i to ona stala sie przyczyna zgonu. Osiem powierzchownych ran zadano w klatke piersiowa. Trzy - w okolicę stawu barkowego. I jedna - w prawy obojczyk.

Cios w obojczyk rowniez byl dosz silny. Doszlo do peknięcia kości. Ciosy zadawane byly na oslep. Charakter ran ewidentnie swiadczylo o tym, ze sprawca dzialal w stanie afektu. Doktor wyrazil przypuszczenie, iz jako pierwszy zostal zadany cios w samo serce, a dopiero pozniej nastapily wszystkie pozostale.

Pomiedzy pierwszym ciosem a kolejnymi (albo, mowiac inaczej, pomiedzy jednym a dwunastoma) mozna bylo zauwazyz kolosalna różnicę, jak gdyby zadaly je dwie różne osoby.

Chociaz przy tej koncepcji lekarz sie zbytnio nie upieral. Zwiagincew zapoznal sie z orzeczeniem lekarskim i odlozyl je na bok.

- Artiom, a teraz juz nieoficjalnie...
- Zamieniam sie w sluch - usmiechnal sie doktor.
- Chce porozmawiac z toba o swiadku.
- O swiadku? - zapytal podejrzliwie.
- Tak, o swiadku. O Inessie Szmarinowej. Co o niej sadzisz?
- To znaczy?
- Ładna kobitka, co?
- No, tak patrzac obiektywnie, to rzeczywiscie pierwsza klasa. Powiedzialbym, ze taka to nalezalboby obsypac zlotem i srebrem, owinac jedwabiem i brokatem. Ta kobieta to chodzacy luksus!
- Co za poeta z ciebie!
- Nie poeta, tylko babiarsz. Czwicze na panu. Szlifuje swoje publiczne wystapienie.
- Calkiem niezle ci to wychodzi. Szkoda, ze nie jestem kobieta... Nie moge tego nalezycie ocenicz.
- Calę szczęście, ze nie jest pan kobieta. Który facet by pana zechcial, z takim brzuchem i bakami?
- Moze masz i racje - westchnal Zwiagincew.

- A tak przy okazji powiem panu, że staram się nie używać takich wyrażen jak „kobitka”... Ale do rzeczy. O co chciałby pan jeszcze zapytać?

- Nie podrywałeś jej przypadkiem?

- Wszystkie podrywam - Artiom uchylił się od prostej odpowiedzi. - W celach profilaktycznych.

- A ją?

- A i owszem - westchnął. - Przyjmie pan moje szczere wyrazy skruchy? Bo pewnie, jeśli się sam nie przyznam, naśle pan na mnie psa, żeby wszystko wywęszył?

- No i jak? Z pomyślnym skutkiem?

- Po prostu trochę poflirtowaliśmy i nic więcej. Czy za to będę postawiony pod ścianę?

- Dobierałeś się do niej?

- Nic z tych rzeczy. Najwyraźniej nosi wysokiej klasy pas cnoty. Albo nie przepada za łysymi facetami.

- Nieważne, nie o tym chciałem rozmawiać, tylko o jej upadku.

- Moralnym? - od chwili, gdy wpadło mu w ręce ciało Szmarinowa, nastrój Artiona Lwowicza wyraźniej się poprawił.

- Dowcipniś! - podsumował go Zwiagincew. - Najpierw niech ci włosy odrosną, a dopiero potem będziesz sobie żartował z upadków moralnych. Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób się przewróciła, jakie ma obrażenia i tak dalej?

- Nie wiem.

- A czy jest możliwe... - zawahał się przez chwilę - ...żeby nie miała żadnych? Żeby tak po prostu leżała i udawała?

- Ale po co?

- No, może ma swoje powody. Ukryte.

Artiom zaczął krażyć po pokoju z rękami splecionymi za głową.

- Wykluczone.

- Tak sądzisz? - ochroniarz zmarkotniał. Całkiem spodobała mu się wersja Krasieńskiego.

- Jestem lekarzem. Być może nie najlepszym, ale w pewnych kwestiach się orientuję. Nie można udawać całkowitego paraliżu nóg i przez cały czas się kontrolować.

- Czyli to kompletnie niemożliwe?

- Nie. Chyba że jest się indyjskim joginem. Wie pan, kimś takim, kto potrafi leżeć na łożu z igieł i lubi sobie przed śniadaniem pospacerować po rozżarzonych węglach. Możemy zrobić mały eksperyment.

Lekarz wyjął z kieszeni dużą igłę i podszedł do Zwiagincewa.

- Proszę podać mi rękę.

- Po co? - nieufnie spytał ochroniarz.

- Ależ proszę się nie bać. Taki duży chłopczyk, a się boi? Zwiagincew wyciągnął rękę, ze strachem zerkając na lekarza.

- Niech pan podwinie rękaw. Zwiagincew posłusznie wykonał polecenie.

- A teraz proszę się skoncentrować. Zakładamy, że pańska ręka jest bez uczucia. To znaczy, chce pan, abym tak myślał. Skupił się pan?

- Tak jest!

Pał Pałycz zagryzł zęby, lekarz kiwnął głową i wbił igłę w jego dłoń. Zwiagincew szarpnął nerwowo ręką i o mało nie krzyknął z bólu.

- Przekonał się pan na własnej skórze? - zapytał z uśmiechem lekarz.

- Jeszcze jak.

- No widzi pan. I chce mi pan zasugerować, że taka krucha kobieta nie zareagowałaby na tego typu badanie.

- A... jej też coś takiego robiłeś?

- Coś w tym stylu. Musiałem ustalić, czy pozostało jej jeszcze jakieś uczucie w nogach.

- I co, absolutnie nic?

- Nic. Musiała naprawdę doznać jakiegoś urazu. Możliwe, że przyczyna leży nie w nogach, a w kręgosłupie. Ale może to tylko stan przejściowy. Szkoda, że rentgen się popsuł.

- A dlaczego się popsuł?

- Nie mam pojęcia. Z zewnątrz jest niby wszystko w porządku. Zupełnie jak u naszej pacjentki. Ale ktoś to wie, co się kryje w środku...

- A kiedy to cudo wyzionęło ducha?

- Dopiero ze dwa dni temu. I teraz muszę wysłuchiwać pretensji oburzonych krewnych i aluzji co do braku mojego profesjonalizmu. A co dotyczy Inesy... Na chwilę obecną jest całkowicie pozbawiona zdolności ruchowych - to niezaprzeczalny fakt. Takich rzeczy praktycznie nie da się udawać, jak już wcześniej wspomniałem.

- Praktycznie, czy całkowicie nie można?

- Nie mogę tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością... ale chyba nie w tym wypadku.

- No dobrze, Artiom. Dziękuję za namacalny dowód.

- Coś mi się widzi, że moja opinia nieszczególnie pana ucieszyła. Jestem jeszcze panu potrzebny?

- Nie.

- W takim razie pójdę już. - Lekarz wstał i skierował się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się jednak i zapytał: - Niech mi pan powie, pan ją o coś podejrzewa?

- O nic. Teraz już o nic. Możesz być spokojny. A tak *à propos*, jak ona się czuje?

- A jak można się czuć po czymś takim? Marnie. Daję jej leki uspokajające.

Parę minut po wyjściu lekarza przyszedł Jonasz. Obrzucił Zwiagincewa ponurym spojrzeniem, po czym wyłożył na stół fotografie denata.

Trzeba przyznać, że były bardzo udane. Jak gdyby Jonasz przez całe życie nie robił nic innego, tylko fotografował zwłoki.

- Świetna robota - Zwiagincew pochwalił świeżo upieczonego fotografa.

- Niech pan nie przesadza.

Zwiagincew w milczeniu przyglądał się poszczególnym ujęciom.

Okropnie to wygląda, mój Boże. Zamiast klatki piersiowej wielka krwawa plama. I ten wyraz zdziwienia na twarzy... Nie, nawet nie zdziwienia, ale bezgranicznego zaskoczenia. Co też mogło go tak zaskoczyć na krótko przed śmiercią? Wersja Marka brzmi całkiem logicznie: Szmarinowa zabiła ubóstwiana przez niego żona. To by nikogo nie zdziwiło. Ale wszystko wskazuje na to, że ta hipoteza odpada. A jednak, dlaczego tak zaskoczył go ten atak?

- Ponieważ to nie była żona, ale córka.

Ostatnie słowa wypowiedział na głos i natychmiast sam się ich wystraszył. Brakowało tylko, żeby ktoś go usłyszał... Niestety, tak się stało. I tym „kimś” był Jonasz.

- Mówił pan coś, szefie?

- Nie, nic nie mówiłem.

- No, jak to? - zazwyczaj ustepliwy ratownik, tym razem wykazał stanowczość. - Przecież słyszałem.

- Nic nie słyszałeś.

- Powiedział pan: „Ponieważ to nie była żona, ale córka”.

- No i co z tego? Mogę sobie mówić, co mi się podoba. Nie twoja sprawa. Dziękuję za zdjęcia. Dobra robota. Chętnie jeszcze kiedyś skorzystam z twojej pomocy. Dłużej cię nie zatrzymuję.

- Powiedział pan: „Ponieważ to nie była żona, ale córka”. Co pan miał na myśli?

- Nic. Po prostu myślałem na głos.

- Czy to ma związek z morderstwem? - Jonasz podszedł bliżej. - Miał pan na myśli Olgę?

Zwiagincew uniósł brwi. *Patrzcie no! Twoje zainteresowanie, mój mały, żonę brata dotyczy nie tylko wspólnych zajęć sportowych.*

Po raz pierwszy zobaczył oczy Jonasza z tak bliskiej odległości. Zwykle były spokojne i obojętne, teraz natomiast płonął w nich ogień wściekłości.

- No co ty, co ty... - zaczął się wycofywać Zwiagincew.

- Podejrzewa ją pan?

- A skąd ci to przyszło do głowy?

- Przecież widzę... Dzisiaj w barze wszystkich pan o nią wypytywał.

- Jak widzę, wieści szybko się rozchodzą. Coś ci powiem: na tym polega moja praca. Typowanie podejrzanych, przesłuchiwanie świadków... Myślę, że to rozumiesz. Wybacz, ale teraz muszę cię przeprosić. Za chwilę mam spotkanie i wołałbym je odbyć w cztery oczy.

- W porządku.

Jonasz podejrzanie łatwo złagodniał i grzecznie opuścił pomieszczenie.

Ochroniarz został sam. Rozparł się wygodnie na fotelu i zamknął oczy.

Ponieważ to nie była żona, lecz córka.

Córka.

Obciążona genetycznie córka.

Całym sobą bronił się przed przyjęciem takiej wersji, jednak fakty mówiły same za siebie i bez trudu przełamywały jego opór. Myśl o winie Olgi już od pewnego czasu uwodziła go jak stara, spracowana dziwka. A stare, spracowane dziwki należy traktować poważnie.

Ale po kolei.

Zacznijmy od początku.

Ten cwaniak Krasiński, nie zdając sobie z tego sprawy *{a może jednak?}*, pomógł mu odtworzyć rzeczywisty przebieg wydarzeń. Z tą tylko różnicą, że zdradziecki miecz trzymała córka Szmarinowa, a nie jego żona.

Stosunki obu kobiet zawsze były dość skomplikowane. Były jak syjamskie bliźnięta. Jak woda i ogień. Jak czern i biel. Z tego, co udało mu się ustalić, z drobnych, niekompletnych informacji, które zdołał dziś zebrać, kształtował się całkiem interesujący obraz sytuacji. Interesujący, a jednocześnie przerażający.

Olga była jedynaczką. Ojciec niewątpliwie bardzo ją kochał. Przez długi czas po śmierci obłąkanej matki mieszkali tylko we dwójkę. Jednak pamięć o matce nie cementowała ich stosunków, lecz trawiła je od środka.

Ojciec z córką najwyraźniej bali się wspomnień, bowiem przeszłość mogła powrócić i odrodzić się w Oldze. Nikt jeszcze do końca nie wyjaśnił roli czynników genetycznych. Olga miała przyjaciółkę ze szkolnej ławy - wystrzyżoną kocicę (wtedy pewnie jeszcze nosiła warkocze z kokardami). Ich przyjaźń trwała wiele lat, aż w końcu sytuacja diametralnie się zmieniła, ponieważ kocica wyszła za mąż za jej ojca. I stała się dla niego całym światem - żoną, córką i kochanką.

Tak, córką - Zwiagincew nagle to pojął.

Tak więc stosunki obu przyjaciółek diametralnie się zmieniły. Z pewnością kontakty z ojcem stały się rzadsze. Ojciec był najważniejszą osobą w życiu Olgi i nagle go straciła. To znaczy, niezupełnie straciła, ale nie było już jak dawniej. I to nadszarpnęło jej słabą psychikę. Miała, co prawda, wspańskiego męża, ale mąż nigdy nie jest w stanie zastąpić ojca. Tylko ojciec może być dla córki wszystkim.

Nie to, co dla syna.

Zwiagincew westchnął żałośnie. I on, i żona nigdy nie mieli zbyt bliskich stosunków z Wołodią. Byli prostymi, zacofanymi ludźmi, którzy przyjechali do Petersburga z głuchej prowincji. Wołodia był ulepiony z zupełnie innej gliny. W niczym ich nie przypominał. Delikatny petersburżanin z krwi i kości. Pisał wiersze. Potem bajki. Zawsze wstydził się swojego ojca - milicjanta.

Biedny Wołodia. Biedny Pał Pałycz. Nigdy nie potrafili się do siebie zbliżyć.

A Olga... Olga kochała ojca... A potem przyjechali do „Róży Wiatrów”. Lepiej byłoby dla nich, gdyby tu nie przyjeżdżali.

Olga rzeczywiście ma coś nie tak z głową. Szkoda, to taka miła, dobra dziewczyna. Nawet temu ponuremu Jonaszowi się spodobała. A to już nie lada wyczyn. I nawet Zapiesocka zaczęła jej współczuć. A i jego samego niemalże wodziła za nos tymi swoimi fantastycznymi opowieściami. Najpierw ten przymusowy nocleg pośród skał i nierealna historia o jaskini z ciałami. A potem to miasteczko figur lodowych. Łód ewidentnie ją prześladowuje. Jest dla niej uosobieniem zła, które koniecznie należy zniszczyć. Twierdzi, że nic nie pamięta, ale to jeszcze nie oznacza, że tego nie zrobiła. Być może właśnie teraz odezwały się w niej szalone matczyne geny?

Wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł nią spoconą twarz. Dużo trudu kosztują kapitana w stanie spoczynku te psychologiczne rozważania. Po kiego czorta mówił Waśce, że był majorem FSB?! No tak, kolejna sprawa do wyjaśnienia - zniknięcie chłopaka. *Ech, tysiąc nieszczęść naraz!*

Ale wracając do morderstwa...

Szmarinow przyleciał tu na wieść o wypadku żony. Ciekawe, kto nalegał, żeby go powiadomić? Olga? Mark? A może Inessa? Trzeba zapytać o to Kraśńskiego.

Przyleciał i na pewno od razu urządził krewnym awanturę. „Dlaczego, u diabła, nie zaopiekowaliście się należycie moją żoną?! Dlaczego pozwoliliście, żeby się przewróciła i poturbowała?!”. Córkę w najlepszym wypadku po prostu zignorował. Najbardziej pewnie oberwało się Markowi. Ale Olga nie wytrzymała i wybuchła: „Dlaczego my mamy pilnować twojej żony?! Nikt nam za to nie płaci!”. I pewnie wyzwała Inesę od najgorszych. A ojciec, dla którego żona była całym światem, dał ukochanej córce w twarz.

I to ją ostatecznie wytrąciło z równowagi.

Ostatecznie wytrąciło z równowagi, ale Szmarinow o tym nie wiedział.

Być może nie spodziewał się już żadnych zmian psychicznych u córki. Żadnych odchyłeń od normy. A może po prostu już go to niespecjalnie interesowało... Chociaż Mark mógł mu oczywiście powiedzieć o wszystkich

tych dziwacznych wydarzeniach, które miały miejsce przed jego przyjazdem. Ale ten najwyraźniej się tym nie przejął.

Ojciec wrócił do pokoju, do śpiącej żony. Po jakimś czasie zjawiała się tam Olga. Szalona niewolnica swojej obłąkanej duszy. Przepęniała ją tylko jedno uczucie... uczucie wściekłości. Miała przed sobą tylko jeden cel - zniszczenie zła!

A owym złem był ojciec, który ją zdradził. Który ją uderzył.

Całkowicie straciła panowanie nad sobą. Nie zdawała sobie sprawy ze swoich czynów. Szmarinow pojął, co się z nią dzieje, dopiero wtedy, gdy chwyciła nóż. Dlatego tak słabo odpierał atak. Bronił się tylko poduszką. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie będzie zabijał swojej obłąkanej córki! Tylko dlaczego nie wytrącił jej z ręki tego cholernego noża?! Przecież był o wiele silniejszy. Czyżby wściekłość dodała jej sił i słabą kobietę zamieniła w nieposkromioną furię?

Tak czy inaczej zajmą się nią psychiatrzy.

Nie potrzebowała wiele czasu, by rozprawić się z ojcem. Portier widział, jak wchodziła, a potem wychodziła. Widziało ją również kilku amatorów nocnych przechadzek. Wszyscy byli zgodni co do jednego - nie szła spokojnie, lecz biegła. Biegała w tę i z powrotem. Teraz zrozumiałe jest już pochodzenie krwawych plam na śniegu.

Wróciła do domku i położyła się spać. Żeby następnie obudzić się już jako prawdziwa Olga. Olga, a nie jej niezrównoważona psychicznie matka. I obudziła się z rękami zbroczonymi ojcowską krwią. Nie miała pojęcia, co to takiego i skąd się wzięło, dlatego zapytała męża: „Skąd te plamy na kombinezonie?”

Ale Mark zrozumiał wszystko w lot. I wszystko zrobił, by ją chronić. Dlatego próbował zrzucić winę na Inesę. Szczerze jej nienawidzi. Potwierdzają to wszyscy, którzy się z nimi zetknęli. I właśnie w tak wyszukany sposób postanowił jej zaszkodzić. Zszargać nerwy nieszczęśliwej wdowie. Domyślił się, co zaszło. Przyjął ten sam tok rozumowania, co Zwiagincew i odkrył prawdę, tyle że znacznie wcześniej.

Ciekawe, na co liczy? Na to, że Olga nie poniesie żadnych konsekwencji? Że ujdzie jej to płazem? I tak będzie się musiała leczyć. Ale oczywiście pobyt w prywatnej, drogiej klinice, może nawet za granicą, to zupełnie coś innego niż badania w jakimś państwowym szpitalu psychiatrycznym, by na koniec spędzić resztę życia w więziennej izolatce.

Krasiński kocha swoją żonę. I to zasługuje na szacunek.

Zwiagincew wstał i podszedł do przyprószonego śniegiem okna. Tak, zamieć nie ustaje, ale to może i dobrze. Dopóki utrzymuje się taka pogoda i przełęcze są nieprzejezdne, Olga jest względnie wolna i względnie bezpieczna. Krasiński musi zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później śledczy zainteresują się jego żoną. Pewnie już pozbył się zakrwawionego ubrania. Duży błąd z jego strony. W ten oto sposób stał się współnikiem mordercy. Być może sprawca jest chory psychicznie, ale on jest w pełni władz umysłowych. Ustawił się na przegranej pozycji. Śledczym pozostaje nóż, na którym z pewnością znajdują się odciski palców Olgi.

Ciekawe, czy w ogóle przyjadą?

Zwiagincew podniósł słuchawkę i połączył się z portiernią.

- Iwan?

- Tak.

- Przyślij do mnie, proszę, kilku chłopaków z ochrony. Tylko któregoś z tych bardziej rozgarniętych. Migiem!

Po tych słowach Zwiagincew odłożył słuchawkę na widelki i pomyślał ze smutkiem, że Iwan na pewno wyśle Radika i Kolę. To już jego takie pieskie szczęście...

Po dziesięciu minutach rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - zawołał.

Tak jak przypuszczał, do pokoju wszedł Radik z Kolą. *Z wiekiem robi się z Ciebie prawdziwy jasnowidz, mój drogi.*

- Co mamy robić, szefie? - zapytał przytłumionym basem Radik.

- Na razie nic. Czekać.

* * *

...Byłam gotowa zabić. Zabiłam. Zabiję...

Mark nie spodziewał się, że droga z domku do hotelu może zająć aż tyle czasu. Olga nie mogła iść. Co chwila pochylała się i śniegiem czyściła ręce.

- Mark - zawołała żałośnie. - Mark, spójrz, nie ma już na nich krwi?

- Ależ nie, cara! Są zupełnie czyste... Przestań wymyślać Bóg wie co!

- Mark... A mnie się zdaje, że mam na kurtce jakieś plamy... To krew, tak?

- Nie ma żadnej krwi!

- Jest, Mark... Zmywam ją, a ona znów się pojawia.
- Nie opowiadaj głupot! Zbiję cię na kwaśne jabłko, jeśli jeszcze raz coś takiego powiesz!

- Mark, powiedz, że ojciec jednak żyje, prawda?! To nieprawda, że umarł.

- Cara... Rozumiem, jak ci ciężko...

- Mark! Powiedz mi prawdę, skąd ta krew?

- Już ci mówiłem...

- Jeśli mi jeszcze raz powiesz o krwotoku z nosa, to sama cię uderzę... Ukrywasz coś przede mną. Po co przyszedł do nas Zwiagincew?

- Przyszedł nas o wszystkim powiadomić.

Olga upadła w śnieg i zaczęła płakać. Położył się obok i wtulił twarzą w jej zimny, zmarznięty policzek. Pachniało od niej walerianą. W ciągu ostatnich kilku godzin parę razy podał jej krople na uspokojenie. W niektórych momentach pograżała się w kamiennym milczeniu i to go najbardziej przeżądało. Wolałby, gdyby krzyczała, waliła głową w ścianę, rwała sobie włosy...

Bujne, długie, kruczoczarne włosy, które tak uwielbiał.

W końcu udało mu się ją jakoś uspokoić. Spóźnieni dotarli wreszcie do biura Zwiagincewa. Dobrze chociaż, że grubas nie wręczył im wezwania na piśmie z dokładnie wyznaczoną godziną, jedynie poprosił ich, żeby przyszli.

Z tym ochroniarzem trzeba mieć się na baczności... mieć się na baczności... mieć się na baczności - powtarzał sobie w kółko Mark. - *Ten tłusty, śmierdzący piwskim i zakurzoną starczą samotnością gość nie jest wcale taki głupi, na jakiego wygląda.*

Nie jest taki głupi ani ślepy. Przysporzy nam jeszcze wielu kłopotów.

- Wstawaj, cara! Nie powinnaś leżeć na śniegu, przeziębisz się.

- Mark... Ostatnimi czasy nie robię nic innego, tylko leżę na śniegu, nocuję na śniegu, jem ten durny śnieg, wycieram nim ręce... Wszędzie mnie otacza... ze wszystkich stron...

- Chodźmy już. Jesteśmy umówieni.

- Po co jesteśmy umówieni? Żeby zidentyfikować tatę? Ale przecież to ciało nie jest już moim ojcem... Nie pogodziłam się z nim... Nie poprosiłam o wybaczenie... Pewnie myśli, że jestem zła.

- Cara!

- A przecież byłam zawsze dobra i grzeczna... Tak go kochałam... Był jedyną osobą, którą miałam.

- A ja? Przecież masz mnie! Zawsze byłem i zawsze będę przy tobie.

- Tak, ty zawsze będziesz ze mną.

- Chodźmy już...

Wreszcie udało mu się wyciągnąć ją z kolejnej zaspasy i ruszyli ledwie widoczną ścieżką do hotelu. Jeszcze tylko raz się zatrzymała. Jeden jedyny raz.

- Co się stało, cara? - zaniepokoił się.

- Mark... - podniosła głowę, czując na twarzy silny podmuch wiatru - ...Mark, przecież wiesz... Przecież znasz prawdę.

- Jaką prawdę?

- Przecież wiesz, że to ja go zabiłam.

I wybuchła przeraźliwym, histerycznym śmiechem. Przez moment sądził, że znów będzie miała atak. Przyskoczył do niej i chwycił ją mocno w objęcia.

- Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia! Żadnego! Słyszysz?!

Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Pod trzynastką już na nich czekali. Tłuścioch z dwoma ponurymi chłopakami. Każdy z nich miał wypisane wielkimi literami na czole: „Jeszcze się karta odwróci”.

Zwiagincew wygramolił z fotela swoje cielsko i podszedł do czekającego w napięciu Marka i całkowicie obojętnej, apatycznej Olgi.

- Moje kondolencje - zwrócił się do niej.

Nie odpowiedziała. Dopiero po chwili, kiedy dotarł do niej sens jego słów, z trudem wydusiła z siebie:

- Gdzie on jest? Mogę go zobaczyć?

Ochroniarz rzucił ukradkowe spojrzenie na Marka, a ten zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie teraz, pani Olgo. Trochę później.

- A co z Inką?

- Z Inką?

- Z Inesą? Z żoną... taty...

- Wszystko z nią w porządku - przypomniał sobie leżącą bez ruchu, płaczącą dziewczynę. - Żyje.

- Tak. Żyje - powtórzyła za nim jak echo.
- Siadajcie - zaprosił.

Mark posadził Olgę w fotelu, a sam usiadł obok niej, przez cały czas trzymając ją mocno za rękę.

Ochroniarz, który przez ostatnich kilka godzin przygotowywał się do tej decydującej rozmowy, nagle się zmieszał. Zobaczył bowiem przed sobą nie potwora, a przybitą nieszczęściem piękną, młodą kobietę. Właśnie tak - przybitą nieszczęściem. Była trupiobladą, miała nieobecne, zapadnięte oczy, a jej usta błyszczały jak otwarta rana.

Biedactwo.

Nawet nie wie, jakie siedzą w niej demony. Biedactwo. Nieszczęsna morderczyni. Najbardziej potulna istota, jaką można sobie wyobrazić. Zwiagincew usiłował zapanować nad emocjami i przemówić sobie do rozsądku: uspokój się, bo zaraz weźmiesz ją na kolana i utulisz w ramionach jak małe dziecko, które zgubiło grzechotkę!

- Słuchamy pana - oschły głos Marka wyrwał go z zadumy.
- A więc... to taka przykra sprawa... nieprzyjemna sytuacja... Właściwie to już wszystkich przesłuchałem... wypytałem... Wszystkich ewentualnych świadków. Zostaliście tylko państwo. Bliska rodzina. To oczywiście czysta formalność, ale bez tego ani rusz, jak sami państwo rozumieją.
- Naturalnie - przerwał mu Mark. - Przestępstwa w naszym kraju traktuje się czysto formalnie.
- Chcę zadać państwu kilka pytań, dotyczących wczorajszego dnia i wczorajszej nocy. Jest pani w stanie odpowiadać, pani Olgó?
- Tak - odpowiedziała cicho, nie podnosząc wzroku. - Tak.
- Zaczniemy zatem. Jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, będę zapisywał przebieg rozmowy, a później się państwo podpiszą.
- Nie, nie mamy nic przeciwko temu - odpowiedział za żonę i za siebie Mark.
- To świetnie. Czyli wyszliście wczoraj po ojca?
- Tak.
- Przyleciał helikopterem?
- Tak. Przecież pan to wie.
- Dlaczego przyleciał?
- Robi pan sobie z nas żarty?! - wybuchł Mark. - Doskonale pan wie, dlaczego przyleciał!

- Proszę się uspokoić, panie Krasiński. To jest potrzebne do protokołu. Istnieją pewne procedury.

- Dobrze.

- Czyli przyleciał, ponieważ...

- Ponieważ jego żona, Inessa Eduardowna Szmarinowa, uległa wypadkowi podczas zjazdu z góry. Trudno było sądzić, że zachowa się inaczej. Uwielbiał Inkę - odpowiedział, dokładnie wymawiając każde słowo.

- No, widzi pan, jak nam dobrze idzie - spojrzał na niego z uznaniem Zwiagincew. - Idźmy dalej. Inessa Eduardowna sama poprosiła pana, żeby skontaktował się pan z jej mężem i poinformował o wypadku?

- Nie - odpowiedział po chwili milczenia. - Zrobiłem to z własnej inicjatywy.

- Dlaczego się pan na to zdecydował?

- Igor Anatoljewicz nigdy by mi nie wybaczył, gdybym go nie poinformował. Po drugie, wasz doktor nie miał nawet odpowiedniego sprzętu, żeby postawić diagnozę... Prosiłem go... mówiłem mu, że jeśli sam nie jest w stanie nic zrobić, to powinien wykorzystać inne możliwości. Na pewno istnieje jakaś specjalna służba, udzielająca pomocy w nagłych wypadkach. Jakieś śmigłowce ratunkowe. A ten, za przeproszeniem, konował powiedział, że drogą powietrzną nikt się tu nie dostanie ze względu na ogłoszony stan alarmowy. Nie mogliśmy ustalić, co tak naprawdę dolega Inessie... Igor Anatoljewicz nigdy nie wybaczyłby nam, gdybyśmy zlekceważyli sprawę. W końcu jesteśmy jej najbliższą rodziną...

- I tak też się stało - wyszeptała Olga.

- Co pani powiedziała? - odezwał się Zwiagincew.

- Nic - Mark nie dopuścił żony do głosu. - Nic nie mówiła.

- A więc od początku wiedział pan, że po otrzymaniu wiadomości o stanie zdrowia żony Szmarinow z całą pewnością tu przyleci?

- Wiedziałem - odparł po chwili zastanowienia. - Dla nikogo nie jest tajemnicą, jaki był jego stosunek do żony...

- A pani Inessa to odwzajemniała?

- Inka?! - wybuchł Mark. - Był dla niej zabawką! Robiła go w jajo!

- W co? - zdziwił się Zwiagincew.

- Nieważne. Grunt, że robiła. Gdyby coś jej się stało... Nie mogłem postąpić inaczej. Proszę mnie dobrze zrozumieć.

- I Inessa Szmarinowa wiedziała, że nie może pan inaczej postąpić?

- Tak, wiedziała - rzucił oschle.
 - A zatem wyszliście po niego, kiedy przyleciał do „Róży Wiatrów”?
 - Tak.
 - Co dalej?
 - Zaprowadziliśmy go do pokoju, w którym leżała jego ukochana żona. Igor Anatoliewicz powiedział nam, że następnego dnia ma zamiar zabrać ją z tego hotelu. Tym samym helikopterem, którym przyleciał.
 - A państwo?
 - Zamierzaliśmy się z nimi zabrać. Sam pan wie dlaczego.
 - Tak, wiem - Zwiaginцев rzucił szybkie spojrzenie na Olę. Skuliła się i spuściła wzrok.
 - Co było dalej?
 - Przyszedł ten wasz Doktor Dolittle. Wstrzyknął coś Inessie, a potem rozmawiał na korytarzu z Igozem Anatoliewiczem.
 - Był pan obecny przy tej rozmowie?
 - Nie.
 - Aha.
 - Następnie postanowiliśmy wrócić do siebie. Olga chciała wprawdzie porozmawiać z ojcem, ale sam pan rozumie... Był tak zdenerwowany, tak wstrząśnięty tym, co się stało... Było jasne, że woli zostać sam na sam z żoną.
 - I wyszliście?
 - Tak.
 - Od razu?
 - Tak, od razu, ale Igor Anatoliewicz dogonił nas na korytarzu i zaproponował, żebyśmy się napili. Wypiliśmy po małym koniaczku i wyszliśmy.
 - Poszli państwo prosto do domku?
 - Po co pan pyta? Przecież pan wie. Poszliśmy do baru. Inessa wzięła środek nasenny, który dał jej doktor, tak więc można było przypuszczać, że zaraz zaśnie. Powiedzieliśmy Igorowi Anatoliewiczowi, że będziemy w barze i że może do nas dołączyć, jeśli zechce.
 - I tam czekaliście na niego?
 - No... nie byliśmy pewni, czy przyjdzie. Siedzieliśmy, piliśmy koniak, rozmawialiśmy...
 - Nic się szczególnego nie zdarzyło?
- To pytanie wyraźnie Marka poirytowało.

- Mam nadzieję, że to, o czym rozmawialiśmy dzisiaj rano, nie będzie ujęte w protokole.

- Nie będzie, jeśli to nie dotyczy osób trzecich.

- Osób trzecich?

- Konkretnie - ofiary. Igora Anatoliewicza Szmarinowa.

Olga cicho zaszlochała, przycisnęła ręce do piersi i zaczęła szybko łapać powietrze.

- Bardzo pana proszę... - Mark spojrział wrogo na Zwiagincewa.

Ochroniarz kiwnął głową Radikowi - przynieś wody! Nie widzisz, że kobieta źle się czuje?

Radik zareagował błyskawicznie i już po chwili Olga piła wodę drobnymi łykami. Wyglądała tak bezradnie. Woda rozlewała jej się na sweter. Ochroniarz miał ochotę podejść i pogłaskać ją po głowie.

- Jest pani w stanie dalej tego słuchać, pani Olgo?

- Tak.

- Wobec tego kontynuujemy. Jednak doczekał się pan swojego teścia?

- Jak już mówiłem, nikt specjalnie na niego nie czekał, ale mieliśmy nadzieję, że przyjdzie.

- I przyszedł.

- Tak.

- Co było potem?

- Dokładnie nie pamiętam. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy...

- Nic więcej?

- A co chce pan ode mnie usłyszeć?

To, co się naprawdę wydarzyło. To, co widzieli wszyscy. Chcę usłyszeć o nedorzecznej kłótni pomiędzy twoją żoną i jej ojcem. Kłótni, zakończonej uderzeniem w twarz. No, dalej Mark, mów prawdę! Wiesz dobrze, że nie ma sensu się wypierać. Przecież nie jesteś głupi.

Mark milczał. Zwiagincew postanowił przejąć inicjatywę.

- Słucha mnie pani, pani Olgo?

- Tak...

- Według naocznych świadków pomiędzy panią i pani ojcem doszło do przykrej sceny.

- Olga! - Mark mocniej ścisnął ją za rękę. - Możesz nie odpowiadać. To nie jest oficjalne przesłuchanie. On nie ma upoważnienia, by nas przesłuchiwać. A poza tym nie jest kompetentny!

To był cios poniżej pasa. Rzeczywiście nie miał upoważnienia ani żadnych odpowiednich dokumentów, prócz przeterminowanej legitymacji, którą niezgodnie z prawem pozwolono mu zatrzymać na pamiątkę petersburskich czasów. Miał co prawda jeszcze licencję ochroniarza „Róży Wiatrów”, ale nie miała ona większej wagi.

- A dlaczego nie... - rozpoczęła urywanym szeptem - ...dlaczego nie? Powiem. Odpowiem. Rzeczywiście pokłóciłam się z ojcem. Obarczał nas winą za to, co się stało Ince. Twierdził, że niedostatecznie jej pilnowaliśmy.

- A pani?

- Uniosłam się. Powiedziałam, że wcale nie mamy obowiązku jej niańczyć. Że... - przełknęła ślinę i z trudem z siebie wydusiła: że jest śmieszny. Coś w tym stylu. Że osoba w jego wieku nie powinna się tak zachowywać. Że powinien choć trochę pomyśleć o sobie. Znać swoją wartość.

- I pewnie dodała pani coś ostrego na temat jego żony?

- Tak - podniosła na niego wzrok. - I tym go obraziłam najbardziej.

- I wtedy panią uderzył?

- Tak.

- Co było dalej?

- Niech pan natychmiast przestanie! - wtrącił się znowu Mark. - Jest pan bez serca!

Olga delikatnie dotknęła jego dłoni, aby się uspokoił.

- W porządku, Mark. Nic się nie stało... Po prostu poszłam do domku.

- Poszła pani do domku?

- Pobiełam.

- Która to mogła być godzina?

- O Boże, skąd mam to wiedzieć? Nie patrzyłam na zegarek.

- A pan, panie Krasiński? Potrafi pan udzielić odpowiedzi na to pytanie?

- Dokładnie - nie. Było chyba po północy.

- A nie pobiegł pan za żoną? Przecież z pewnością była bardzo zdenerwowana.

Krasiński zmieszał się. W jego obojętnych, zwykle pewnych siebie oczach mignął strach. Wyglądał niczym zwierzę schwytane w pułapkę.

- Chciałem. Nawet za nią wyszedłem, ale nigdzie jej nie było - odparł ze skruczą w głosie.

- I wrócił pan do Szmarinowa?
 - Tak. Rzecz w tym, że musieliśmy jeszcze skończyć rozmowę na tematy służbowe. Pracuję w jego koncernie i szykuje nam się obecnie spory kontrakt.
 - Więc stwierdził pan, że to jest ważniejsze od żony?
 - Interesy to interesy.
 - Rozumiem. Czyli został pan z teściem w barze. O której godzinie opuściliście lokal?
 - Około czwartej. Odprowadziłem go do holu i umówiliśmy się, że jakoś się zdzwonimy z rana.
 - Po czym udał się pan do domku?
 - Przecież pan wie, że nie! Wróciłem do baru i siedziałem tam aż do zamknięcia.
 - A dlaczego od razu nie wrócił pan do siebie?
 - Dlaczego? Musiałem przemyśleć jeden z punktów umowy, o której rozmawiałem z Igorem.
 - Czyli po zamknięciu lokalu udał się pan do domku?
 - Tak.
 - I co?
 - I nic. Położyłem się spać i obudziło mnie dopiero pańskie pukanie do drzwi.
 - A żona?
 - Co - żona? Spała, kiedy wróciłem.
 - W ubraniu? - Zwiagincew zaskoczył go pytaniem.
- Po twarzy Marka przebiegł cień wahania. Nie umknęło to uwagi Zwiagincewa.
- Tak więc w ubraniu czy nie? Przecież to bardzo proste pytanie, panie Krasiński.
 - Nie wiem - wykrztusił Mark.
 - Jak to - pan nie wie?
 - Nie włączyłem światła. Nie chciałem jej budzić.
 - Aha... nie chciał jej pan budzić - powtórzył w zamyśleniu ochroniarz.
 - Już mówiłem, że nie chciałem jej budzić - odpowiedział zaczepnym tonem Mark. - Mam nadzieję, że to nie jest karalne?
 - Ależ oczywiście, że nie. Wróćmy zatem do pani. Twierdzi pani, że po wyjściu z baru poszła prosto do domku?

- Tak.
- I położyła się pani spać?
- Tak.
- I dopiero rano się pani obudziła?
- Tak.
- Jest pani tego pewna?

Kobieta wyglądała, jakby była na granicy załamania nerwowego. Mark patrzył na Zwiagincewa z nienawiścią.

- Niech pan przestanie! Słyszysz pan?! Proszę jej nie dręczyć! Proszę nie dręczyć mojej żony!

- Niech się pan uspokoi. Nie mam zamiaru dręczyć pana żony. Zależy mi jedynie na ustaleniu prawdy.

Jednak Zwiagincew wiedział, że teraz stoi przed nim najtrudniejsze zadanie. Najchętniej scedowałby je na kogoś innego, ale skoro zaplątał się w to śledztwo, musiał je doprowadzić do końca. Będzie musiał im powiedzieć... Będzie musiał jej powiedzieć... że tej nocy widziano ją w hotelu... Dokładnie w tym samym czasie, kiedy, jak twierdzi, spała w swoim domku. Musi się liczyć z wszelkimi konsekwencjami, wynikającymi z ujawnienia tego faktu. Nie będzie mu łatwo...

- A zatem utrzymuje pani, że po opuszczeniu baru wróciła pani od razu do domku?

Milczała.

- Tak - odpowiedział za nią Mark.

- Niech będzie. Jak pan chce. Ale, niestety, posiadamy inne informacje. Widziano panią, jak wchodziła pani do hotelu i wychodziła stamtąd po godzinie czwartej. Po tym, kiedy Szmarinow, pani ojciec, opuścił już bar i wrócił do siebie.

Podniosła na niego przerażony wzrok.

- Nie! - zawołała. - Nie! Nie!

- Mamy zeznania kilku świadków. W tym portiera, który panią rozpoznał.

- Nie!

- A zatem zaprzecza pani, że jeszcze raz przyszła pani do hotelu?

- Ja...To niemożliwe...To niemożliwe... Prawda, Mark?!

- Oczywiście, że nie, cara.

- No cóż, w takim razie będę zmuszony wezwać świadka.

Zwiagincew chwycił za telefon. Najpierw rozmawiał chwilę z Iwanem, potem słuchawkę przejął Siergiej, który na jego prośbę już od ponad godziny siedział w holu. Po kilku minutach zjawił się w pokoju. Przeszepując z nogi na nogę, omiótł wszystkich obecnych szybkim spojrzeniem i grzecznie się przywitał.

- Proszę, niech pan siada, Siergieju Aleksiejewiczu - rzekł Zwiagincew. Taka uprzejmość z jego strony wyraźnie speszyła chłopaka.

- Nie, nie, postoję.

- Proszę usiąść.

Przysiadł na brzegu krzesła stojącego przy biurku.

- To nasz portier, Siergiej Aleksiejewicz Mulec. Mam nadzieję, że państwo go znacie.

- Widzieliśmy go już - wycedził przez zaciśnięte zęby Mark.

- A teraz, Siergieju Aleksiejewiczu, proszę powtórzyć nam to wszystko, co mi pan opowiadał.

- Ale o czym mam mówić?

- O wydarzeniach zeszłej nocy. Widział pan tę panią?

- Widziałem. Przyszła do hotelu.

- O której godzinie?

- Już mówiłem, po czwartej. Przyszła, weszła po schodach na górę i po dwudziestu minutach... no, może po półgodzinie, zeszła.

- Pytał ją pan, dokąd idzie?

- A po co? Przecież było wiadomo. Pod dwunastką mieszka jej przyjaciółka, ta, co miała wypadek. To po co miałem pytać?

- I nie zdziwiło pana, że o czwartej nad ranem składa wizytę chorej?

- Ale to przecież jej sprawa. Zna pan nasze zasady, szefie. Tu każdy może robić co chce.

Olga nie mogła oderwać od niego wzroku.

- A nic w jej zachowaniu nie wydało się panu dziwne? Może była czymś poruszona bądź zdenerwowana?

- Nie. Nic takiego nie zauważyłem. Przemknęła obok mnie bardzo szybko, a potem równie szybko wybiegła na zewnątrz. To wszystko.

- Jest pan pewien, że to byłam ja? - Olga była tak blada, jakby lada moment miała zemdleć.

- Tak, Siergieju Aleksiejewiczu - poparł ją Zwiagincew - czy jest pan pewien, że to była właśnie ta pani?

- Tak, z całą pewnością. Tylko była inaczej ubrana. Miała na sobie taki biało-niebieski kombinezon i kurtkę. I jeszcze okulary z przyciemnianymi szklami.

- Miała pani wczoraj okulary? Ma pani słaby wzrok?

- Nie - Olga popatrzyła bezradnie na męża. - Z moim wzrokiem jest wszystko w porządku.

- Moja żona rzeczywiście od jakiegoś czasu nosi okulary. Wie pan, mróz, ostre słońce... oczy ją bolały - wyjaśnił podenerwowany mężczyzna. - Mam nadzieję, że nie ma w tym nic złego?

- Wczoraj wieczorem też była pani w okularach?

- A jakie to ma znaczenie? - Mark ponownie się wtrącił.

- Była pani w okularach?

- Tak - odpowiedziała bardzo cicho.

- A dzisiaj?

- Zapomniałam... A Mark mi nie przypomniał. Ale i tak oczy mnie już nie bołą.

- Jasne. No cóż, w takim razie dziękuję, Siergieju Aleksiejewiczu. Jest pan wolny.

Chłopak opuścił pomieszczenie. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, w pokoju zapanowała cisza.

- Może poproszę tu jeszcze kilka osób, które widziały panią tej nocy?

- To nie jest konieczne.

- A zatem przyznaje pani, że złożyła wizytę w hotelu?

- Ale... Nie pamiętam... - Olga ukryła twarz w kolanach i zaczęła szlochać. - Nie pamiętam... nic nie pamiętam...

- Dostyc tego! Niech pan przestanie! - krzyknął Mark.

Rzeczywiście nie było sensu dalej tego ciągnąć. Kolejna luka w pamięci. Ta sama sytuacja, jak wtedy z Zapiesocką. Nic nie pamięta. Nie wie, co wyprawiała. Biedactwo.

- A co pani pamięta?

- Wróciłam do domku... Po kłótni z ojcem. Wróciłam do domku i położyłam się spać. Bolała mnie głowa. Potwornie. Teraz też mnie boli. Nie mogłam tam być... Nie pamiętam, nie pamiętam...

Zwiagincew spojrział na nią w zamyśleniu. Jakże samotna wydawała mu się w tej chwili. Jakby wokół niej nie było nikogo, jakby znajdowała się w próżni.

Z głośnym skrzypnięciem otworzył szufladę i wyciągnął z niej jedyny dowód rzeczowy. Nóż myśliwski - Ngai, który jeszcze wczoraj należał do ofiary. Zakrwawione narzędzie zbrodni. Bezwiednie położył go przed sobą na biurku. Kobieta wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Poznaje pani ten przedmiot?

- Ten nóż?

- Tak, ten nóż.

- Poznają, to jest nóż taty. Nóż z jego kolekcji. Ngai. Bardzo go lubi. Często zabiera go ze sobą w podróż. Ale nie wiem, po co go tutaj przywiózł. Nie wiem...

- Tym nożem dzisiejszej nocy został zabity pani ojciec.

W tym momencie nie wytrzymała. Zsunęła się z fotela na ziemię i zaczęła krzyczeć, wyć, uderzać pięściami o podłogę... A potem nagle zwymiotowała.

- Proszę go zabrać! Proszę go zabrać, słyszy pan?! - wrzasnął Mark, usiłując zasłonić sobą stół. - Schowaj go natychmiast, ty draniu!

Ochroniarz czuł się, jakby uderzył go piorun. Chyba jednak przesadził z tym nożem, ale nie spodziewał się aż tak gwałtownej reakcji. Wsunął nóż z powrotem do szuflady, zupełnie nie wiedząc, jak ma się dalej zachować. Olga wciąż siedziała na podłodze. Cała się trzęsła i co chwilę zanosila się płaczem.

- Odpowiesz mi za to, ty świni! - krzyknął Mark. - Odpowiesz mi za to! Osobiście cię zgnoje!!! Zniszczę!

- Nie - odezwała się nagle Olga. - Nie. Daj spokój, Mark. Przecież znasz prawdę, Mark! To nie ma sensu...

- Cara!

- To już koniec, Mark. Dłużej już nie wytrzymam.

Spojrzała ochroniarzowi prosto w oczy. W głębi jej źrenic czaiła się tak przerażająca, lodowata pustka, że aż włosy zjeżyły mu się na plecach.

- To nie ma sensu, Mark. To już koniec. Chciałam zabić i zabiłam.

- Co ty mówisz, cara...

- Zabiłam własnego ojca. Nie pamiętam, jak to zrobiłam. Powiedziałam mu... wtedy, w barze... kiedy byłam jeszcze świadoma... kiedy byłam jeszcze sobą... że jest gotów wszystkich nas zdradzić dla niej... Strasznie go obraziłam... Chciałam go przeprosić... Ale nic nie mogłam poradzić na tę

straszłą wściekłość, która mnie ogarnęła... Nie pamiętam, jak to zrobiłam... Ale go zabiłam.

- Cara!

- Dosyć, Mark! Wiesz przecież, że to prawda. Kochany jesteś, że chcia-
łem mnie osłaniać. Kiedy rano zobaczyliśmy tę krew, powiedziałeś, że mia-
łam krwotok z nosa. Krwotok z nosa - jakie to niewinne, prawda? Ale to nie
była moja krew. To była krew ojca. Upodabnam się do matki, której się
zawsze bałam... Jeszcze bardziej bałam się, że podzielę jej los. I tak się stało.
Nie możesz mnie kochać, Mark. Nie możesz ze mną dłużej zostać. To już
koniec. Dopóki jeszcze cokolwiek kojarzę i pamiętam. Pamiętam naszą We-
necję. Jednak wtedy, gdy znalazłem mnie na śniegu, kiedy uderzyłam tę ko-
bietę - wtedy niczego nie pamiętałam... I teraz tak już będzie, Mark. Luki w
pamięci będą coraz dłuższe. Aż w końcu zmienią się w jedno ciągłe pasmo.
To już nie będę ja. To będzie zupełnie inna osoba, którą trzeba zakuć w kaj-
danki i wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. Obiecuj, że nigdy nie przyjdiesz
do mnie do szpitala...

- Nie mogę, cara...

- Obiecuj mi, Mark.

- Nie.

- Jak sobie chcesz. To teraz nie znaczenia... Zabiłam go.

Zwiagincew z przerażeniem wpatrywał się w jej twarz, która momental-
nie się postarzała. Nigdy dotąd nie był świadkiem tak wstrząsającej prze-
miany.

- Przepraszam, panie Zwiagincew... Ma pan na imię Pał?

- Tak - drgnął ochroniarz na dźwięk jej słów.

- U nas w domku... W mojej walizce, na samym dnie... leży kombine-
zon, który miałam na sobie dzisiejszej nocy. Mark ukrył go tam, żeby póź-
niej się go pozbyć. Wyrzucić albo zakopać. Albo spalić. Żeby nigdy nie przy-
pominał mi o... Kombinezon też jest cały we krwi. To krew taty. I na rękach
również miałam jego krew. Do tej pory ją mam. Niech pan go weźmie, pro-
szę pana. To kolejny dowód rzeczowy. Bo przecież potrzebuje pan dowo-
dów?

Zwiagincew milczał. Serce pękało mu z żalu.

- Mark... Kocham cię, Mark. Kocham cię. Ale to już koniec...

* * *

Rzeczywiście to był już koniec.

Na pewien czas pozostawili Olgę samą w pokoju numer trzystaście. Na jej własną prośbę. Jej przyznanie się do winy załamało Marka. Ten jeszcze tak niedawno odnoszący sukcesy mężczyzna stracił teraz swój urok i pewność siebie. Ta sytuacja całkiem go przytłoczyła.

Zwiagincew szczerze mu współczuł i nie miał zamiaru go więcej dręczyć.

- Rozumiem pańską sytuację, panie Krasiński.
- Nie, nie rozumie pan.
- Bardzo chciałbym pomóc - panu i pana żonie.
- Za późno.
- Przykro mi.

Mark milczał, wpatrując się w jeden punkt. Wyglądał teraz na bardziej obłąkanego niż Olga.

- Z pewnością postąpiłbym podobnie, chcąc ratować ukochaną kobietę... Kiedy zrozumiał pan, jak to się stało?

- Nie wiem... Chyba kiedy zobaczyłem jej zakrwawione ubranie. I umazane ręce... pomyślałem wtedy, że stało się coś strasznego. A później przyszedł pan i powiedział o morderstwie... Ale ja nie mogłem... Nie mogłem jej wydać. Zaczął pan opowiadać, w jaki sposób został zabity Igor. Zrozumiałem, że to naprawdę ona. Mój Boże, po co on tu przyleciał?! Zarezerwowałem już bilety na samolot. Mówiłem panu. Gdyby Inka nie miała tego wypadku, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. On by nie przyleciał... O Boże, przecież to ja go wezwałem! Własnymi rękami podpisałem na niego wyrok śmierci. A także na nią i na siebie.

- Nie powinien się pan obwiniać, panie Marku. To nie pańska wina. Prędzej czy później choroba i tak by się objawiła. W ten czy inny sposób.

- Ale nie doszłoby do morderstwa. Wynająłbym najlepszych lekarzy. Umieściłbym ją w najlepszej klinice. Zapłaciłbym każdą sumę, byleby była zdrowa. Zrobiłbym wszystko...

- I tak pan zrobił, usiłując zrzucić całą winę na Inesę. Po co to było? Przecież jest pan rozsądnym człowiekiem. Wie pan, że to czysty przypadek, iż do tej pory nie przyjechała grupa operacyjna. Gdyby tylko się tu pojawiła, wszystko wyszłoby na jaw. Jej odciski palców na nożu, krwawy ślad na ścianie w pokoju... Nie zdołałby jej pan uratować.

- Nie wiem, co się ze mną stało. Straciłem głowę.
- Kiedy przedstawiał mi pan wersję wydarzeń z Inesą Szmarinową w roli zbrodniarki, wcale nie wyglądał pan, jakby stracił pan głowę. Pańska argumentacja była bez zarzutu.. Prawie panu uwierzyłem. To wyglądało na jedyne logiczne wyjaśnienie.

- Wiedziałem po prostu, że w łazience siedzi moja żona i w żaden sposób nie może zmyć z siebie krwi. Musiałem ją chronić. Igorowi przecież i tak już nic nie pomoże.

- Obawiam się, że Oldze również nie da się już pomóc.

- Da się. Trzeba ją leczyć. Są przecież lekarze. Istnieją specjalne leki...

- Nawet, gdyby do tego doszło... nawet, gdyby została wyleczona, to do końca życia będzie ciążyło na niej piętno tej zbrodni.

- Ale musi pan zrozumieć, że nie wiedziała, co robi. A kiedy się dowiedziała, sama była tym przerażona. Nie ma pan pojęcia, jak to jest, kiedy każdego dnia z niepokojem czeka się na kolejny atak! Kiedy wierzy się, że pana osobowość w każdej chwili może ulec rozdzieleniu... Ostatnie dni były dla mnie prawdziwym piekłem. Po co tu przyjeżdżaliśmy?! Nie spotkałaby tej Cyganki na lotnisku, która jakby rzuciła na nią urok.

- Panie Krasiński, niech pan nie będzie dzieckiem! Proszę nie wyszukiwać irracjonalnych powodów tego, co się stało. Nikt nie ponosi tu winy. Żona jest po prostu obciążona genetycznie.

Biedna Olga poprosiła, żeby ją zostawić w spokoju. Chciała sama stawić czoło sytuacji. Nie była w stanie oglądać teraz ludzi. Potrzebuje czasu, zanim zdoła z kimkolwiek rozmawiać.

Tymczasem Radik i Kola przygotowali odpowiednio domek Krasińskich. Za zgodą Marka i na swoją prośbę Olga miała w nim pozostać aż do przyjazdu stosownych władz.

Mark nalegał, aby jemu również pozwolono wrócić do domku, lecz Olga kategorycznie się sprzeciwiła. Uważała, że sama musi nieść swój krzyż.

Czując się jak skończony lajdak, Zwiagincew szepnął ochroniarzom, żeby zabezpieczyli okna i zdjęli z nich wszystkie klamki. Ostrożności nigdy za wiele. A nuż Olga znów dostanie ataku?

Ochroniarze mieli pilnować Olgi w jej domku. Zajęli jeden z dwóch pokoi. Mark zgodził się tymczasowo pomieszkać w tak zwanym gabinecie

Zwiagincewa. Nie było tam zbyt wygodnie, ale do swojej dyspozycji miał kanapę i mógł korzystać z ubikacji. Zabrał ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, nie wiadomo było bowiem, jak długo trzeba będzie czekać, nim skończy się zamieć.

Zwiagincew w jednej z walizek rzeczywiście znalazł kombinezon Olgi. Cały przód powalany był krwią. Ani Oldze, ani Markowi nie przyszło nawet do głowy, aby sprać plamy. Olga była w szoku po tym, co zaszło, ale Mark... Kobieta miała chyba rację, że jej mąż zamierzał po prostu zniszczyć dowód rzeczowy.

Zwiagincew pozwolił im się pożegnać, zanim Krasińska udała się do domku - swojego tymczasowego aresztu. Szła jak na zesłanie. Widać było, że obojgu jest bardzo trudno. To było rozstanie na długo, może nawet na zawsze.

Wszyscy taktownie odeszli na bok, aby małżonkowie mogli na osobności zamienić ze sobą parę słów. Po raz ostatni wspólnie pomilczeć. Mark mocno ścisnął jej bezwładne dłonie, ale ona prawie nie czuła jego dotyku.

- Kocham cię, cara... - szeptał stare, wielokrotnie powtarzane słowa. - Nie zostawię cię... Znajdę najlepszych lekarzy. Wrócisz do równowagi. Wyzdrowiejesz i wszystko będzie jak dawniej.

- Mark, dobrze wiesz, że nic nie będzie jak dawniej. Że nic już nie będzie takie samo.

- Nie! Nie wierzę w to!

- Mark! Przecież nawet ja sama uwierzyłam w to, że zabiłam ojca... Nie zaprzeczaj, Mark. Jesteś wolny. Chcę, żebyś był wolny. Zaopiekuj się Inką.

Skrzywił się, ale się opanował:

- Tak, oczywiście.

- Tata tak ją kochał.

- Wiem.

- Zabierzesz ją stąd?

- Oczywiście.

- Mark... Schowałeś gdzieś środki nasenne? Wyniosłeś je z łazienki?

- Dlaczego nagle o nie pytasz? - zapytał z lękiem.

- Potrzebuję ich.

- Po co?

- Pytasz jak dziecko... Po prostu nie będę w stanie zasnąć po tym wszystkim. Potrzebuję czegoś na uspokojenie. Żeby przynajmniej na jakiś czas zapomnieć i trochę się zdrzemnąć.

- Nie powiem ci, gdzie są...

- Zlituj się nade mną, Mark.

- Coś ty znowu wymyśliła, cara?

- A ty co, boisz się, że wezmę całą fiolkę? Że chcę się zabić?

Na jego twarzy odmalowało się cierpienie.

- Nie powiem ci...

- Proszę. Przysięgam, że nic sobie nie zrobię. Nie jestem na to gotowa. Przynajmniej na razie. Muszę po prostu zasnąć. Zlituj się nade mną.

- Dobrze - skapitulował. Ostatni gest rozpaczliwie zakochanego mężczyzny. - Są w torbie ze sprzętem narciarskim, w wewnętrznej kieszonce, tam, gdzie zwykle leżą okulary.

- Dziękuję, Mark. A teraz już idź.

- Nie.

- Idź. Jeszcze się zobaczymy. Na pewno. Przecież wciąż jestem twoją żoną.

- I zawsze nią będziesz - objął ją i mocno przytulił. Robił to tysiące razy w ciągu dwóch i pół roku ich małżeństwa, ale dziś po raz pierwszy nie odwzajemniła czułości. Stała obojętna.

- Do widzenia, cara!

- Żegnaj, Mark.

Wyrwała się z jego objęć i podeszła do ochroniarzy, którzy już na nią czekali. Mark długo na nią patrzył, lecz nawet się nie odwrócił.

Powiedziała Markowi, że nie jest gotowa, tylko po to, żeby go uspokoić.

Jest gotowa.

Nie może dłużej żyć po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Kochany Mark... ciekawe, czy naprawdę uwierzył, że rzeczywiście potrzebuję tych leków, aby chociaż na jakiś czas zapomnieć o morderstwie? Nigdy się już tego nie dowiem.

W sąsiednim pokoju ochroniarze grają w karty. Granie w karty to ich jedyna wada. Poza tym są bardzo sympatyczni i grzeczni, choć trochę

ograniczeni. Nie pastwią się nad nią. Nie traktują jej jak dzikiego zwierza wsadzonego do klatki. Pukają, zanim wejdą do pokoju i trzeba przyznać, że nie robią tego zbyt często. Pytali nawet, czy by czegoś nie zjadła. I słusznie... skazany na śmierć ma prawo do ostatniego posiłku, zanim trafi na krzesło elektryczne, zawiesznie na sznurze lub dostanie kulkę w tył głowy.

Skazany na śmierć.

Skazana na śmierć.

Mark mówił prawdę. Rzeczywiście schował środki nasenne do ich narcyarskiej torby, do wewnętrznej kieszonki na okulary. Na okulary turbo C.A.M., za 134 dolary. Okulary, które leżą tam do tej pory. Tabletek nitrazepamu jest znacznie mniej niż dolarów wydanych na okulary. Znacznie mniej - tylko trzydzieści pięć sztuk.

Patrząc na nie, ma nadzieję, że uratują ją przed nią samą.

Bo jest morderczynią.

Morderczyni rozkłada wokół siebie tabletki. Układa je w rzędy - sześć na sześć (jednej tabletki brakuje do zamknięcia konstrukcji), następnie ustawia w jedną linię, buduje z nich elipsę, kwadrat, piramidę... W oczekiwaniu na śmierć można zająć się geometrią...

Geometrią, w której wszystkie linie schodzą się w jednym punkcie. W punkcie, w którym zabiła ojca.

Najbardziej przerażające jest to, że nie czuje w sobie tej ciemnej, bestialskiej osoby, która była w stanie dokonać zbrodni. Czy to możliwe, że to jej oczy płonęły takim szaleństwem? A jej usta wypowiedziały te idiotyczne słowa? Jej ręce chwyciły nóż i zabiły?

Wciąż czuje na nich krew ojca.

Jest morderczynią. Ojcobójczynią.

Ojcobójstwo podlega najwyższej karze, zarówno według prawa boskiego, jak i ludzkiego. Nie powinna dłużej żyć. Ci młodzi ludzie, grający za ścianą w karty, pewnie myślą tak samo.

Ten gruby ochroniarz okazał się porządnym człowiekiem. Nawet się jej nie bał. Nie okazywał gniewu, który byłby w tej sytuacji zrozumiały. Jedyne uczucie, które nim kierowało, było współczucie. Współczucie dla młodej, pięknej, odnoszącej sukcesy kobiety, która niespodziewanie dla samej siebie okazała się zlepiona z dwóch części. Dobrej i złej...

Ale przecież ta Olga, której nie znam i której nie pamiętam, też chciała zniszczyć zło.

To właśnie powiedziała kobiecie, którą uderzyła i tym figurom z lodu, które zniszczyła: „Zło musi być ukarane!”.

Olga zaczęła jęczeć z poczucia bezsilności. Nie potrafiła pojąć logiki obłąkanej połowy swej duszy. Przecież musi istnieć jakaś logika nawet w szaleństwie. Nawet w akcie morderstwa...

Dlaczego nigdy nie może uchwycić tej płynnej granicy między normalnością a obłądem? Dlaczego tak trudno ją uchwycić? Psychiatrzy pewnie wyjaśniliby jej tę sprawę. Wielka szkoda, że nie usłyszy ich teorii.

Ponownie ułożyła tabletki w kwadrat: różowe, owalne, z odcisniętą literą „F” na odwrocie. Ciekawe, dlaczego „F”, skoro nazywają się „Nitrazepam”? Zresztą, jakie to ma znaczenie? Może to i lepiej? Bardziej pasuje do sytuacji. „F” jak „freedom”, czyli wolność. Tak, wkrótce będzie wolna. Być może Jonasz by ją uratował... Teraz na progu śmierci, kiedy wystarczy tylko pchnąć leciutko drzwi do innego świata i wejść, może się przyznać przed samą sobą...

Jonasz ją pociąga. Pociągają tak, jak nigdy dotąd nie pociągał jej Mark. Nie, nie, to nie w porządku. To nieuczciwe w stosunku do męża. Była zawsze bardzo związana z Markiem i często odczuwała wobec niego prawdziwą czułość. Był dla niej zbyt dobry, zbyt porządny w swojej miłości i zbyt przyzwoity. Jego namiętność była zawsze taka idealna, pozbawiona półtonów. Jedynie racjonalna biel albo pragmatyczna czerń. Standard biurowy. Jego namiętność nie znała humorów. Nie znała skoków temperatury. Nie znała zmęczenia. A przecież czasem tak pięknie jest się zmęczyć namiętnością... Jonasz to zupełnie inna bajka. Jest jak dzikie zwierzę, a zwierzęta czasami dręczą się... liżą rany... Jonasz, z którym chciałaby... Do diabła z tym, czego by chciała! Teraz to już bez znaczenia.

Weźmie tabletki i wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jedynie ochroniarze będą mieli nieprzyjemności. Zniosą jednak trochę połajankę i z pół godziny będą się pocić ze strachu, ale potem wszystko wróci do normy.

Musi poprosić ochroniarzy o szklankę wody, żeby połknąć własną śmierć.

W kącie niespodziewanie piknął notebook. *Dziwne, że Mark go nie wyłączył i nie zabrał ze sobą, jak dyplomatki z dokumentami.* Z bolesnym westchnieniem przyjrzała się temu urządzeniu. Notebook zdawał się

ostatnim wspomnieniem ich wspólnego życia, ich szczęśliwej przeszłości... Jednak natychmiast pozbierała się w sobie. Komputer łączył się ze sprawami zawodowymi Marka. *Nawet tu musi pracować. za dużo pracuje...* Ale teraz to już jej nie obchodzi...

Skarciła się w duchu: teraz Mark będzie żył na własny rachunek. Sam musi sobie radzić. Jednak mimo wszystko powinna odebrać wiadomość. To jest ostatnia rzecz, którą może dla niego zrobić. Odebrać wiadomość z tamtego świata... ze świata, w którym nie zdają sobie jeszcze sprawy, że jej ojciec, prezes ogromnej firmy, nie żyje...

Nie żyje i to ona go zabiła.

Podeszła do komputera i zerknęła na monitor. *Dziwna nazwa. Taka znajoma.* Taka bliska jak jej ulubione lody pistacjowe. Lody pistacjowe i wata cukrowa.

„Paata”.

Zadrżała i ledwie zdołała utrzymać się na nogach. Paatą nazywała swojego ukochanego pluszowego niedźwiadka. Ojciec przywiózł go, kiedy miała pięć lat, a Manana uparła się, żeby nazwali go Paatą. Uważała, że im więcej gruzińskich imion w domu, tym lepiej. Paata przeżył z nią całe dzieciństwo i część młodości. Zaginął dopiero krótko przed tym, jak Olga poznała Marka. Wierny giermek Manany - ostatni Gruzin, który opuścił ich rosyjski dom. Tak bardzo kochała swojego niedźwiadka!

„Paata”.

Dlaczego ta wiadomość została tak dziwnie zatytułowana^. Jakby ktoś przysłał jej pozdrowienia z przeszłości.

Nie potrafiła się oprzeć. Otworzyła e-mail i przeczytała. Stopniowo zaczął docierać do niej jego sens, a kiedy w końcu do niej dotarł, uśmiechnęła się do swoich myśli: wszystko się zgadza, moi drodzy... moi kochani, wszystko się zgadza... Tekst był krótki. I nie ma co się dziwić. Tam, gdzie teraz przebywa nadawca, pozwolono mu na przekazanie zaledwie kilku słów:

„Czekam na ciebie. Nic się nie bój. Chemi patara gogona. Manana”.

„Chemi patara gogona” - moja mała dziewczynka - tak właśnie nazywała ją w dzieciństwie Manana. To była ich wspólna tajemnica. W krąg wtajemniczonych wchodziły tylko trzy osoby: Olga, ojciec i Manana.

Chemi patara gogona. Moja mała dziewczynka.

Znów się uśmiechnęła. Najpierw Cyganka na lotnisku, a później ten koszmarny sen. Manana chciała ją w ten sposób ostrzec: „zostań w domu! W spokojnym, uczciwym życiu! Nie idź w moje ślady”. Ale Olga jej nie posłuchała. Chemi patara gogona rzadko słuchała swojej mamy. I poszła w jej ślady. Po drodze zabierając ze sobą ojca. I Manana się poddała: „skoro podążałaś moim śladem, trzeba cię będzie przygarnąć”.

Wasza mała dziewczynka już się nie cofnie, moi drodzy. Idzie do was. Musi tylko poprosić o wodę.

Podeszła do drzwi i już miała zamiar zapukać, kiedy nagle rozległo się inne ciche pukanie. Ktoś chciał dostać się do ich domku. Żeby to tylko nie był Mark! Przecież z nim rozmawiała i prosiła, aby nie przychodził. Nie powinien jej teraz niepokoić. Nie powinien jej przeszkadzać...

Jeden z ochroniarzy podszedł do drzwi wejściowych i otworzył. Przyłożyła ucho do drzwi. *Boże, kiedy oni przestaną mnie nachodzić?!*

Żeby to tylko nie był Mark, który w lot się zorientuje, co chcę zrobić i będzie próbował mi przeszkodzić.

Wróciła do łóżka, na którym leżał nitrazepam. A w sumie co za różnica, kto tam jest? Może być i Mark. I tak nie jest w stanie temu zapobiec, nawet jeśli odbierze jej tabletki. Tak czy inaczej, ona znajdzie sposób. Co najwyżej będzie on bardziej drastyczny. Nie da się powstrzymać kogoś, kto podjął ostateczną decyzję.

Siedziała na łóżku z opuszczoną głową i przyglądała się tabletkom. Nieznany gość odejdzie i wreszcie będzie mogła dopełnić dzieła. Popadła w stan głębokiego odrętwienia. Nawet odgłosy szamotaniny, dochodzące zza zamkniętych drzwi, nie były w stanie jej z niego wyrwać. Oprzytomniała dopiero, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i na progu stanął mężczyzna w zasłaniających pół twarzy okularach narciarskich. Nie zdążyła się jednak wystraszyć, gdyż jednym ruchem zsunął okulary na czoło i... wtedy go rozpoznała.

To był Jonasz.

Był dokładnie taki, jak w jej fantazjach. Jego śniada twarz była obsypana śniegiem. Śnieg miał wszędzie: na brwiach, we włosach, na policzkach i brodzie. Stał przed nią z poważną miną... *Dlaczego cały czas chodzi bez czapki?*

Jonasz.

Zjawił się tak niespodziewanie... A ona tak bardzo pragnęła, żeby się zjawił, że zapominając o wszystkim, podbiegła do niego. Wtuliła twarz w jego zimną pierś i rozplakała się. Jak chemi patara gogona.

Jonasz!

Objął ją z całych sił i rzucił krótko:

- Zbieraj się. Wychodzimy.

- Nie...

- Zbieraj się, bo inaczej będę musiał cię związać.

- Nie rozumiesz... nie wiesz, dlaczego tutaj jestem... Przyszłam tu z własnej woli.

- Wiem wszystko - odparł, po czym uniósł jej podbródek. - Wiem wszystko. Chodź! Mamy mało czasu.

Odsunął ją delikatnie od siebie i leciutko popchnął w stronę drzwi.

- Nie mogę z tobą iść... Nie mogę obarczać cię moimi problemami, Jonaszu. Jestem chora psychicznie i sama nie wiem, kiedy i jak popadam w obłąd. Jestem obłąkana. Jestem zwykłą wariatką, cierpiącą na rozdwojenie osobowości.

- Nie jesteś obłąkana. Spakuj swoje rzeczy, idziemy.

- Nie rozumiesz...

- Pospiesz się! - był zbyt stanowczy, aby mogła mu się sprzeciwić.

- Nie wiem... Nie wiem, co mam zabrać - powiedziała słabym głosem.

- Nic nie musisz brać. Po prostu ciepło się ubierz. To wystarczy.

Podczas gdy ona posłusznie wykonywała polecenie, Jonasz rozejrzał się po pokoju i zobaczył rozłożone na łóżku tabletki.

- Zamierzałaś ze sobą skończyć? - spojrzał na nią niemal wrogo. - Chciałaś je połknąć tak na sucho?! Fakt, takie rozwiązanie sprawy byłoby im na rękę.

- Czy to teraz ma jakieś znaczenie?

- Teraz już żadnego. Jesteś gotowa?

- Tak. Dokąd mnie zabierasz?

- Na pytania przyjdzie jeszcze czas. A teraz zapamiętaj tylko jedno: nie jesteś obłąkana. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedziała cicho.

- Nie słyszę!

- Tak, tak, tak.

- Doskonale. No, to w drogę!

Wyciągnął do niej rękę. Chwyliła ją jakby była kołem ratunkowym. Przeszli przez sąsiedni pokój. Nieprzytomni ochroniarze leżeli na podłodze. Dla pewności Jonasz ich związał i przykuł do kaloryfera.

- Co im zrobiłeś?

- Nic takiego. Do rana dojdą do siebie.

Wyszli na dwór, starannie zamykając za sobą drzwi. Padający intensywnie śnieg po raz pierwszy wydał się Oldze piękny. Przy domku stał zaparkowany dziwny pojazd, podobny do małego skutera z płozami.

- Co to jest? - zapytała.

- Skuter śnieżny. Bardzo łatwo się go prowadzi. Spodoba ci się.

Usiadł za kierownicą i spojrzał na nią.

- Na co czekasz?

- A co mam robić?

- Siadaj za mną.

Po raz kolejny mu uległa. Wskoczyła na ośnieżone tylne siedzenie i mocno objęła go w pasie.

- Trzymasz się? - zapytał, włączając silnik.

- Tak.

- To jedziemy.

- Ale dokąd? Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz. Byle jak najdalej od tego bagna.

- Nie mogę... - znów zaczęły ogarniać ją wątpliwości.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno! Nie podpisywałaś zakazu opuszczenia tego domku? Nie. Więc nie masz się co martwić.

- Po co to zrobiłeś, Jonasz? Przecież od razu skojarzą fakty i będą wiedzieli, że to twoja sprawka. Ochroniarze im powiedzą, kiedy odzyskają przytomność.

- Gwiżdżę na to! - odparł z beztroską w głosie. - Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Teraz najważniejsza jesteś ty. Nie mogę cię stracić!

- W jakim sensie stracić?

Spojrzał na nią i po raz pierwszy, odkąd się pojawił, obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- No przecież pierwszy raz siedzisz na takim wehikule i możesz mi wypaść na zakręcie. Jednak nie musisz się bać, nie będziemy jechać zbyt szybko.

- Jonasz! Ale przecież jest tyle śniegu. Możemy gdzieś utknąć - powoli wracała do życia. Nigdy dotąd tak bardzo nie pragnęła żyć.

- Załóż kask.

- Kask?

- Jest w bagażniku. Na wszelki wypadek...

- A ty?

- Chyba ci już mówiłem, że nienawidzę nakryć głowy.

Założyła kask narciarski.

- To jak, gotowa?

- Tak.

- W takim razie trzymaj się mocno. W drogę!

Chwilę potem skuter mknął po śnieżnych zaspach.

...Zasnęła. Bez żadnego środka nasennego. Pomimo śniegu, mrozu, ciągłych wstrząsów... Mając przed sobą plecy Jonasza, do których przywarła całym ciałem. Najzwyczajniej w świecie zasnęła. A kiedy skuter śnieżny wreszcie się zatrzymał, Jonasz nie mógł jej prawie dobudzić.

W końcu otworzyła zasypane śniegiem oczy i tuż nad sobą ujrzała jego twarz.

- Ale numer! Niezła jesteś! - był szczerze zdziwiony. - Żeby spać w takim miejscu i w takiej chwili?!

- Wybacz.

- Nie ma co przepraszać.

- Gdzie jesteśmy?

- Tam, gdzie nikt cię nie znajdzie.

Jego słowa momentalnie przywróciły ją do okrutnej rzeczywistości. Znowu poczuła na sobie piętno umysłowo chorej zbrodniarki. Wystawiła wszystkich do wiatru i pojechała nie wiadomo dokąd. To było jak zew krwi... chwilowy poryw serca, za który przyjdzie jej słono zapłacić. Z miejsca pożalowała, że posłuchała Jonasza. Nie może uciec przed samą sobą. Nawet na śnieżnym skuterze, przytulona do mężczyzny, który chce jej pomóc.

Nie, on nie chce mi pomóc. On chce mnie uratować. Uratować dla siebie. Typowo egoistyczne zachowanie.

Uderzyła zaciśniętymi pięściami w jego ramię.

- To wszystko bez sensu!

- Ależ to ma sens - powiedział stanowczym tonem. - Chcesz spędzić resztę życia w szpitalu psychiatrycznym?

- Tak będzie lepiej dla wszystkich.
- Bez wątpienia. Zwłaszcza dla tych, którzy cię wrobili.
- Co masz na myśli?
- Idziemy - uchylił się od odpowiedzi. - Idziemy, bo inaczej zasypie nas śnieg.

Chata wyrosła przed nimi jak spod ziemi, co Olgę niezmiernie zaskoczyło. Niewiarygodne, jak Jonasz zdołał odnaleźć wśród zamieci taki mały budynek, niewidoczny nawet z odległości kilku kroków.

- Co to jest? - zapytała.
- Wcześniej była tu baza dla wspinaczy. Pięćset metrów stąd zaczyna się trasa. Nikt nie używał tej chaty pewnie z dziesięć lat. Natknąłem się na nią zupełnie przypadkowo i trochę ją wyremontowałem. Krótko mówiąc, możemy tu przeczekać.
- Co przeczekać?
- Co będzie trzeba - nie dosłyszała groźby brzmiącej w jego głosie. - Chodźmy.

Gdy tylko znaleźli się w środku, zrozumiała, że porwanie, na które się zdecydował, nie było spontaniczne. To była doskonale zaplanowana akcja. Chata została dobrze przygotowana na to, by udzielić schronienia zbłąkanym wędrowcom. W małym, oklejonym kamieniami kominku tlił się ogień. Obok leżały wysuszone szczapy drewna. Wystroju pomieszczenia dopełniał grubo ciosany niski stół i dwie ławki ustawione wzdłuż ścian. Na podłodze były ułożone gałęzie sosnowe, imitujące prymitywne posłanie, na którym znajdowały się starannie złożone śpiwory.

- Bardzo tu przytulnie - odezwała się.
- Nie bardzo, ale na początek musi nam wystarczyć - krzątający się przy kominku Jonasz odwrócił głowę w jej stronę.
- Na początek? - popatrzyła na niego ze smutkiem. - Planujesz mnie ukrywać w górach do końca świata?
- To zależy od okoliczności. W każdym razie nie powinnaś się nikomu pokazywać, zanim nie wyjaśni się cała sprawa. Zanim nie będzie po wszystkim.
- Nigdy nie będzie po wszystkim. Nie powinnam była z tobą tu przyjeżdżać. Nie rozumiem, co we mnie wstąpiło.

Podeszła do kominka, przysiadła obok Jonasza i zaczęła wpatrywać się w wesoło tańczące w ogniu iskielki. Dlaczego zdecydowała się uciec z domku? Przecież nie zabrałby jej siłą. Mogła zostać. Zaprotestować. Mogła mu powiedzieć, że nigdzie się stamtąd nie ruszy i że będzie czekać na zasłużoną karę. Mogła po prostu zostać.

Zerknęła z ukosa na swego nieoczekiwanego wybawcę, na jego butny wyraz twarzy, na zmarszczkę przy ustach, świadczącą o całkowitej desperacji i nieugiętości. Nie, chyba jednak użyłby wobec niej siły. Związałby ją tak, jak tych ochroniarzy i porwał ze sobą w bezpieczną przyszłość. Wszystko, co się działo wokół, wydawało jej się snem. Jednak, o dziwo, ów sen należał do zupełnie innej kategorii snów niż te, do których ostatnio przywykła. Był spokojny i przyjemnie realny. Nigdzie śladu szaleństwa. Szaleństwem wydawały jej się teraz ułożone w kwadrat tabletki. Wniosła apelację o odroczenie wyroku i czeka na decyzję sądu.

- Po co to zrobiłeś? - ponowiła wcześniejsze pytanie.
 - Bo tak należało zrobić - odpowiedział, nie patrząc w jej stronę, po czym dorzucił polan do kominka.
 - Ale ty nie wiesz... Mój ojciec został zamordowany.
 - Wszyscy o tym wiedzą.
 - A o tym, że to ja zrobiłam, też wszyscy wiedzą? - wypowiedzenie tych słów przyszło jej z wielkim trudem, jednak musiała je wypowiedzieć.
 - Tak. Teraz już wszyscy - nie zamierzał podbudowywać jej kłamstwem. Po co z nim pojechała?!
 - Nie boisz się?
 - Czego? - był naprawdę zdziwiony.
 - Że się obudzisz i ujrzysz nad sobą nóż?
 - Nie mam noża. Jedynie siekierkę do lodu.
 - Jeszcze lepiej.
 - W ogóle nie będę spać, jeśli cię to pocieszy.
 - Przynajmniej będziesz bezpieczny.
- Spojrzał na nią uważnie i się roześmiał.
- Za kogo ty się uważasz? - zapytał, gdy opanował śmiech. - Za maszynę do zabijania?

- Nie chcę dyskutować z tobą na ten temat. Ale skoro już tak wyszło... Skoro popełniłam to głupstwo i przyjechałam tu na tym kretyńskim skute-
rze, to bądź ostrożny, Jonaszu... Uważaj na mnie.

- Grozisz mi?

- Tylko ostrzegam. Chociaż, prawdę mówiąc, może ma to swoją dobrą
stronę. Będziesz mógł zostać świadkiem.

- Świadkiem czego?

- Mojego szaleństwa. Jeśli ci się poszczęści, zobaczysz, jak się rozpoczy-
na. Mnie się ta sztuka jak dotąd nie udała.

- A twojemu mężowi? Ewidentnie unikał imienia „Mark”.

- A co ma do tego mój mąż?

- Powinien być tu przy tobie. On, nie ja.

Ach, więc to tak! Teraz kompletnie załamana i oskarżana o morderstwo
była kością niezgody, przyczyną konfliktu i źródłem skrytej nienawiści obu
braci. Skromnym pionkiem w ich grze. Jonasz nie zrobił tego, by ją ratować.
Nie zrobił tego dla niej. Zrobił to na złość bratu. Skoro ukochany Mark, do
końca usiłujący bronić żony, uznał ją wreszcie za wariatkę, to Jonasz musiał
oczywiście uważać, że jest całkiem normalna. Zamknęła oczy. Lada moment
ogarnie ją fala wściekłości, ale do tego zdążyła się już przyzwyczaić. Traciła
nad sobą kontrolę z bardziej błahych powodów. Jednak, o dziwo, fala nie
nadchodziła.

Całkowity spokój. Tylko lekki żal do Jonasza o to, że znacznie bardziej
interesuje go brat, niż bratowa.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

- Przecież cię zostawił, prawda? Pozwolił im cię zamknąć pod nadzorem
ochroniarzy.

- To nieprawda. Sama się przy tym upierałam. Mark nie chciał... Prosił
mnie...

- Ale kiedy mu odmówiłaś, nie nalegał. A może się myłę?

Była zmuszona przyznać mu rację.

- Ciekawe, co ty byś zrobił na jego miejscu? - to było prowokacyjne py-
tanie.

- Nie uwierzyłbym w ani jedno oskarżenie. Nie uwierzyłbym w twój
obłąd.

- I zlekceważyłbyś fakty?

- Jakie fakty?

Mój biedaku! Pewnie nie do końca rozumiesz powagę sytuacji. Manana, wyciągająca z przeszłości swe kochające ręce, zamordowany ojciec, luki w pamięci... Koszmary, halucynacje, jaskinia lodowa... Lód, który wiecznie ją przesładuje... Jąkając się i co chwila przerywając, opowiedziała mu o wszystkim. O wszystkim od samego początku: od przepowiedni Cyganki na lotnisku, aż do wiadomości otrzymanej na skrzynkę elektroniczną: „Chemi patara gogona”...

Kiedy jej opowiadanie dobiegło końca, podrzucił do ognia kolejną porcję drewna, a następnie odwrócił się do niej i mocno chwycił ją za ręce.

- Myślałem o tym intensywnie. Przez te wszystkie dni zastanawiałem się i doszedłem do wniosku, że w nic nie wierzę. Spójrz na swoje ręce. Nie bój się, spójrz! Naprawdę wierzysz, że mogły zabić ojca? Naprawdę to czujesz? Ciało zawsze przechowuje informację. Można mu zaufać. Być może nie usłyszysz wszystkich słów, ale z pewnością uchwycisz sens. Co mówią ci twoje ręce? „Zamordowałyśmy człowieka?”. Na pewno nie! Wsłuchaj się w to, co mówią...

Zamknęła oczy. Rzeczywiście nic nie czuła. Nawet w najmniejszym stopniu. Jej ręce milczały.

- Bo ty niczego nie rozumiesz, Jonaszu. Próbujesz przemawiać do rąk zdrowej Olgi Krasińskiej. Do rąk, które nie są niczemu winne. Ale przecież istnieje jeszcze ta druga połowa i ręce, które do niej należą.

- Co za bzdury! - rozgniewał się. - Dlaczego cały czas chcą cię przekonać, że istnieje jakieś twoje drugie „ja”? I dlaczego w to wierzysz?!

- Uderzyłam Bogu ducha winną kobietę. Nie pamiętam, ale ona pamięta.

- Czyżby tak dobrze cię znała? Widziałem ją kilkakrotnie. Jest prawie ślepa. Możliwe, że w ogóle wyssała to wszystko z palca...

Teraz to ona się roześmiała.

- Co ty wygadujesz?! Po co miałyby to wymyślać? Uwierz mi, ta historia nie jest aż tak frapująca, żeby oplącało się wysilać wyobraźnię.

- Bez powodu - być może nie. Ale przygotowując przestępczą intrygę, jak najbardziej...

Boże, o czym on mówi?

- Jaka przestępcza intryga? Jaka premedytacja? Nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety. To znaczy widziałam, ale zamieniłyśmy tylko kilka słów w toalecie. To wszystko.

- Nie sugeruję, że to jej intryga.

- W takim razie czyja?

Milczał. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- No widzisz, nawet nie wiesz, co odpowiedzieć.

- Posłuchaj, a przed tym wyjazdem... przed tym wyjazdem w góry zdarzało ci się coś podobnego?

- Nigdy.

- Ale wystarczyło, że tu przyjechałaś i od razu zaczęły się te ataki? Nie wydaje ci się to nieco dziwne?

- Zapominasz o mojej matce - wykrztusiła. - Jeśli to we mnie siedziało, prędzej czy później musiało się jakoś ujawnić.

- No dobrze, ale dlaczego akurat teraz? Nie prędzej i nie później?

- To po prostu zbieg okoliczności... splot przypadkowych zdarzeń...

- Splot przypadkowych zdarzeń? Mogę ewentualnie uwierzyć w jeden oddzielny przypadek. Ale cały splot przypadkowych zdarzeń musiał ktoś uknuć.

- Kto? - zapytała.

Ponownie przemilczał pytanie. Jednak tym razem to było innego rodzaju milczenie. Milczenie osoby, która zna odpowiedź.

- Powiedz mi, a może podoba ci się udawanie obłąkanej? Może sprawia ci to dziką rozkosz?

- Jak możesz tak mówić?!

- Wobec tego, dlaczego tak łatwo się poddałaś? Dlaczego nie próbowałaś walczyć o siebie? Dlaczego nie protestowałaś?

- Jak mogłam zaprzeczyć faktom?

- Czyim faktom? Twojego męża? Żony twojego ojca? Starego capa - Zwiagincewa? Na wpółślepej kobiety? Portiera - idioty?

- A czy to mało? - zapytała ze smutkiem.

- Tak.

- To czego ci jeszcze potrzeba?

- Pamiętasz, od czego się to wszystko zaczęło?

- Od Cyganki na lotnisku...

- Nie. Cyganka nie ma tu nic do rzeczy. Cyganka to po prostu kolejny dowód na to, że na świecie istnieją jasnowidze. I to jest naukowo udowodniony fakt. Mówię o czymś innym. Przypomnij sobie, kiedy przestano wierzyć twoim słowom? Kiedy wszyscy uznali, że cierpisz na halucynacje?

A przede wszystkim, kiedy sama zaczęłaś w to wierzyć? No, kiedy?

- Po jaskini - odparła powoli.

- No właśnie. Po jaskini - wydawał się bardzo zadowolony z jej odpowiedzi. - Chciałaś udowodnić, że rzeczywiście coś widziałaś. Nawet jeśli było to odzwierciedleniem twoich nocnych koszmarów. I pewna osoba... Psia-krew! Nie pewna osoba, tylko twój mąż uchwycił się tej myśli. Myśli, że nie można wierzyć kobiecie, która jest obciążona genetycznie. Która jest chora i nie ma co o tym dyskutować. Gdyby nie było jaskini, trzeba by było ją wymyślić.

- I właśnie ją wymyśliłam...

Zbliżył się do niej i dotknął jej włosów.

- Nie. Nie wymyśliłaś. Jaskinia naprawdę istnieje. I uwięzieni w niej ludzie również istnieją.

- Jak to... O czym ty mówisz?

- O tym, że ci wierzę. A jeśli ktoś komuś wierzy, to znaczy, że ten ktoś nie jest szalony... A teraz pora spać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

* * *

Zwiagincew obudził się w środku nocy.

Zwykle nocną pobudkę i następujące po niej bezmyślne gapienie się w ścianę „zawdzięczał” swoim korzonkom. Teraz jednak korzonki zrobiły sobie wakacje i można było mieć nadzieję, że pośpi do siódmej rano. Właściwa pora dla emerytowanych policjantów.

Ale była dopiero trzecia.

Starzeję się - pomyślał - po prostu się starzeję...

Wkrótce bezsenne noce będą coraz dłuższe i dłuższe... I każdą z nich będę na nowo przeżywać swoje nędzne życie, kawałek za kawałkiem.

A w ogóle, to trzeba po prostu mniej się obżerać na noc. Nerki cielece, ragout z jarzyn i cztery puszki piwa o jedenastej w nocy, to już lekka przesada, nawet jak na mój potężny brzuch. Od jutra tylko kefir i chudy twaróg - pomyślał ze smutkiem.

W akompaniamencie skrzypiącego łóżka obrócił się na drugi bok. Upragniony sen jednak nie nadchodził. Podły generał-major wybrał sobie nie najlepszą porę na służbową naradę, na której obecność była obowiązkowa.

A niech to diabli! Dlaczego nie może zapomnieć o tej dziewczynie?!

Wszystko się już przecież wyklarowało. Grupa specjalna przyjedzie, gdy tylko skończy się zamieć. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby ulżyć jej cierpieniu. A teraz poda na tacy morderczynię jakiegoś ponuremu majorowi, a w zamian dostanie serdeczny uścisk dłoni. Rzecznik zdejmie odciski palców z noża (nie miał najmniejszych wątpliwości, czyje to będą odciski) i Olgę Krasieńską przewiozą do rejonowego aresztu.

Zostanie oskarżona o umyślne spowodowanie śmierci, skierują ją na badania i uznają za niepoczytalną. Trafi do psychiatryka, gdzie na dobre zrujną jej życie. Jej wspaniałe czarne włosy wyblakną, wypłowieją i pokryje je siwizna. Tak jak szron pokrywa sosny wokół jej domku.

Nie wiedzieć czemu, właśnie tych włosów było mu najbardziej żal.

Jej włosy były tym, co jako pierwsze rzuciło się w oczy. Stanowiły najważniejszy element jej urody. Zapewne bardzo o nie dba: wyciągi z rumianku, drogie szampony, odżywki i inne tego typu wynalazki.

Nie, chyba jednak nie uda mu się zasnąć.

Usiadł na łóżku i włączył lampkę nocną. Od razu rzuciło mu się w oczy panaceum na wszystkie jego problemy - *Kołysanka dla języka*.

Żadnych przepowiedni - rozkazał sobie w duchu. Wołodia ani razu mu nie pomógł, a żadne prorocтва się nie sprawdzały. *Żadnych wróżb. Żadnych.*

Strona trzynasta, trzynasta linijka od góry.

Przeklinając w duchu swój brak silnej woli, otworzył książkę na trzynastej stronie.

„Lisek bez większego trudu przebrał się za języka. Czapeczka z sosnowych igiełek, podobnych do kolców, idealnie się do tego nadawała. Teraz można było bezkarnie rozrabiać i całą winę, w razie czego, zrzucić na kolegę”.

Po przeczytaniu tych niewinnych słów, poczuł szybsze bicie serca. *Tylko tego brakowało! Zamknąć!*

Natychmiast trzeba zamknąć tę książkę i przestać traktować ją jak karty tarota, jak wyrocznie, jak wróżenie z fusów... Trzeba zamknąć książkę, ponieważ sprawa jest już zamknięta. Sprawca został zdemaskowany i przyznał się do popełnienia zbrodni, tym samym ułatwiając zadanie wymiarowi sprawiedliwości.

Ale przecież przyznanie się do winy nie stanowi jeszcze dowodu zbrodni.

Dlaczego nie może do końca uwierzyć w jej winę? Czy tylko dlatego, że podoba mu się ta biedna dziewczyna, jej zatroskana twarz i czarne włosy? Włosy, obok których nie da się przejść obojętnie...

I właśnie o tych czarnych włosach, których nie da się nie zauważyć, mówił w swej relacji portier. Czarne włosy, przyciemniane okulary i jasnoniebieski kombinezon z białymi wstawkami. To wszystko od razu rzuca się w oczy... Hm... Nie przebywają tu na tyle długo, żeby wszyscy ich dobrze poznali. Mieszkają w domku. Rzadko pojawiają się w hotelu i Siergiej mógł co najwyżej zapamiętać ogólny wygląd Olgi Krasińskiej. A czarne włosy były cechą wyróżniającą ją spośród otoczenia.

Jego mózg pracował intensywnie, z minuty na minutę zwiększając obroty. W całej tej prostej, czytelnej historii było coś, co nie dawało mu spokoju. I znów ze zdwojoną siłą ogarnęły go wątpliwości, które w obliczu niezaprzeczalnych faktów i dowodów, udało mu się już rozwiązać.

Mark Krasiński.

No tak, Mark.

Trzeba zostawić na chwilę Olgę i wziąć na tapetę Marka - kochającego męża, ofiarnie broniącego swojej żony.

Ale czy aby tak naprawdę ofiarnie?

Czując nadciągające pragnienie, sięgnął po piwo. Wlał w siebie półtorej puszki i ponownie pogrążył się w rozmyślaniach.

Poznał małżeństwo Krasińskich w dość dziwnych okolicznościach. Pewnej nocy Olga zaginęła. Gdy po intensywnych poszukiwaniach nad ranem ją odnaleziono, twierdziła, że natknęła się na jakąś jaskinię z zamrożonymi w niej ludźmi. Od początku wiedział, że to totalna bzdura, jednak z racji zajmowanego stanowiska musiał podjąć jakieś działania. I prowadził je, dopóki nie została dokonana zbrodnia na wpływowym biznesmenie.

Krasiński mógł wciskać Zwiagincewowi wszystko, co mu się tylko podobało: że żona się zdenerwowała, że nie była sobą, że nie wiedziała, co robi. Ale kontekst, w jakim to powiedział, dawał dużo do myślenia. Mark jednoznacznie sugerował, że jego żona może mieć problemy z psychiką, bo jej matka była umyślowo chora i wreszcie popełniła samobójstwo. Powiedział mu to, widząc go po raz pierwszy w życiu, mimo że nikt nie wymagał od

niego takich szczerych wyznań, dotyczących życia osobistego.

Widać, że Krasiński jest z natury dumnym człowiekiem. Wystarczy spojrzeć na jego wyniosły wyraz twarzy. Czy taka osoba rozpowiadałaby wszystkim rodzinne tajemnice? Czyby się z tym afiszowała? Nie zrobiłaby tego, gdyby nie...

Gdyby nie działała z premedytacją!

Krasiński od samego początku przedstawiał Olę jako osobę z problemami psychicznymi, jakby chciał, by w razie czego uznano ją za wariatkę. I teraz nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zwłaszcza że miała miejsce ta historia z miasteczkiem rzeźb lodowych...

Równie dziwna, zważywszy, że jedynymi świadkami były Zapiesocka i Olga... Chociaż na dobrą sprawę ta ostatnia nie może być żadnym świadkiem, bo nic nie pamięta. Pozostają jedynie zeznania niedowidzącej kobiety i zniszczone rzeźby. Nic więcej...

Każdy mógł je zniszczyć. Na przykład, Zapiesocka... A co, jeśli sama roztrzaskała sobie okulary, a potem przyleciała do niego z awanturą... Żądała zadośćuczynienia. Mark mógł jej zaproponować za to jakieś pieniądze... Tak... wtedy, kiedy złożył jej wizytę. Zdaje się, że powiedział coś w stylu: „Nikt się o tym nigdy nie dowie”. To mogło dotyczyć czegokolwiek. Wprawdzie Zapiesocka nie przyjęła tych pieniędzy, ale i nie poszła ze skargą do kierownika. W takim razie, po kiego czorta tamtej nocy wyrwała Zwiagincewa ze snu? Po co w ogóle domagała się jego interwencji, skoro tak nagle postanowiła nie rozdmuchiwać sprawy? Tylko dlatego, że zrobiło jej się żal Olgi?

Dziwna logika. Wszyscy tu kierują się dziwną logiką, którą można by uznać za żelazną, gdyby przypisać jej kryminalny cel. Chyba że akcja z Zapiesocka miała na celu potwierdzenie niepoczytalności dziewczyny... I co w jej pokoju robił Krasiński? Przyszedł wręczyć jej pieniądze? Przecież już raz odmówiła ich przyjęcia... A potem ten nieszczęśliwy wypadek z młodą teściową Krasińskiego. Uraz, którego nie da się z całą pewnością potwierdzić, ponieważ z niewiadomych przyczyn zepsuł się aparat rentgenowski... Pierwsze, co zrobił Mark, to błyskawiczny telefon do teścia i powiadomienie go o przykrym wydarzeniu. Doskonale przewidział jego reakcję: Szmarinow nie mógł postąpić inaczej, jak tylko natychmiast przylecieć do „Róży Wiatrów”.

Bar. Ważny punkt całej tej historii. Najbardziej strategiczne miejsce. Olga i Mark poszli do baru. Dziewczyna się upiła. Co powinien w takim wypadku zrobić kochający mąż? Wyprowadzić awanturującą się żonę, gdyż jej niegrzeczne zachowanie rzuca cień na jego nieposzlakowaną reputację. Ale Krasiński tego nie zrobił. Co więcej, do gry wkroczył Jonasz. Według zeznań kelnera Diuchy, to właśnie on chciał zaprowadzić Olgę do domku.

Jednak Mark mu na to nie pozwolił. Został z żoną w barze. Najwyraźniej koniecznie chciał poczekać na Szmarinowa właśnie w tym składzie.

Ojciec Olgi praktycznie nie pił. Tak twierdzi Inessa. W pokoju wypili tylko odrobinę koniaku. Delektowali się nim, jak się wyraził Mark. A „delektować się”, oznacza wypić maksymalnie po pięćdziesiąt gram. Szmarinow to nie Zwiagincew, dla którego „delektowanie się” to wyłożenie pół litra wódki bez zakąski. „Połówka” to dla niego norma. W pokoju widział jednak butelkę napoleona, która była prawie pusta. Doskonale to pamięta. Ma fenomenalną pamięć do rzeczy związanych z alkoholem. Szmarinow musiał zatem sam wypić coś po ich wyjściu. Jego żona dostawała zastrzyki (potwierdzi to Artiom) i nie mogła spożywać alkoholu.

Na spotkanie w „Richardzie Bachu” biznesmen poszedł więc na rauszu. Może na lekkim, ale jednak... Spotkał się tam ze swoją pijaną i rozdrażnioną córką, więc od samego początku awantura wisiała w powietrzu. I w końcu nastąpiła. Olga wybiegła zdenerwowana, czemu trudno się dziwić.

I co w tej sytuacji zrobił Krasiński? Kochający mąż, który nieustannie zapewnia ją o swojej miłości... I który musiał zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji i stanu, w jakim się znajdowała Olga... Sam dał mu jasno do zrozumienia, że dziewczyna może popełnić jakieś głupstwo. Zamiast pobiec za nią, co byłoby jedynym logicznym posunięciem, najspokojniej w świecie wrócił do baru i przez dwie godziny spokojnie siedział i rozprawiał z teściem o interesach. Następnie odprowadził go do hotelu i kręcił się chwilę koło portierni, chociaż spokojnie mogli się rozstać przy drzwiach.

No, dobrze, czort z nim! To da się jeszcze jakoś wytłumaczyć: wspólna praca, zależności służbowe i rodzinne, zwykła uprzejmość... Tym samym można również po części wytłumaczyć fakt, że po wyjściu żony został w barze z teściem.

Ale co zrobił, gdy pożegnał się z teściem?

Wrócił do baru, siedział tam sam jak palec i rzucał się w oczy personelowi. Absurd! Nie zamawiał prawie żadnego alkoholu, nie licząc odrobiny koniaku. Po prostu siedział i tyle. Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że to może dziwnie wyglądać, więc poszedł do kręgielni.

Jednak od momentu jego powrotu do baru do momentu, aż poszedł grać w kręgle minęła co najmniej godzina. I przez całą tę godzinę jakby specjalnie siedział w miejscu, gdzie był doskonale widoczny.

Źle to wymyśliłeś, Mark! Trzeba było od razu lecieć na kręgle, a nie z inteligentnym wyrazem twarzy sterczeć przy pustym stoliku.

Krasiński mówił, że rzekomo musiał pomyśleć o sprawach służbowych. Kiedy się jednak rozmyśla o pracy, robi się to z ołówkiem i kartką w ręce. W ostateczności - z nosem utkwionym w komputer.

Brawo, Zwiagincew, brawo! - pochwalił jego tok rozumowania generał-major. Mile polechtany ochroniarz otworzył kolejną puszkę piwa.

Krasiński nie rzucił się żonie na pomoc. Siedział w barze aż do zamknięcia. Wszyscy go widzieli. Według słów Ariela, wyszedł jako jeden z ostatnich gości. O wpół do siódmej. Wyszedł, kiedy było już pewne, że Szmarinow nie żyje. Wyszedł ze stuprocentowym alibi w kieszeni.

A co, jeśli w tym wszystkim chodziło właśnie o alibi?

Tylko po co?

Tu Zwiagincew utknął w martwym punkcie, postanowił więc zostawić to pytanie na później. W końcu to osobista sprawa Krasińskiego, że wypiał się na żonę i siedział w barze aż do rana. Nikt nie powinien się do tego mieszać. Nie powinien, gdyby... gdyby Mark tak usilnie nie deklarował swojej bezgranicznej miłości do żony. Gdyby był bardziej powściągliwy. Jednak skoro mówił, że żona jest dla niego najważniejsza na świecie, a potem zostawił ją na tyle godzin... to coś tu nie gra.

No dobra, jedziemy dalej.

Zwiagincew spróbował odtworzyć po kolei wszystko, co zdarzyło się w domku Krasińskich, począwszy od momentu, kiedy poinformował Marka o śmierci teścia i pokazał mu nóż. Krasiński zapytał wtedy o przyjazd grupy dochodzeniowej. To znaczy spytał już o to wcześniej, ale powtórzył pytanie, kiedy zobaczył narzędzie zbrodni. Wyglądało to tak, jakby wyrwało mu się ono przez przypadek. A później wspomniął o odciskach palców na rękojeści.

Ciepło... ciepło...

Zwiagincew wyskoczył z łóżka niczym z katapulty i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

A zatem, jeśli wierzyć Markowi, to podejrzewał on, że doszło do zabójstwa, zanim ochroniarz zjawił się w ich domku. Krew na rękach i ubraniu żony mówiła sama za siebie. Kiedy zaś Zwiagincew poinformował go, co się stało, i pokazał nóż, podejrzewania przerodziły się w pewność.

Kochający mąż, który za wszelką cenę chce ratować żonę, mógłby zapytać o grupę dochodzeniową i odciski na rękojeści. A i owszem. Ale tylko po to, żeby spróbować je stamtąd jakoś usunąć. Istnieje na to masa sposobów. Człowiek obdarzony tak błyskotliwym umysłem na pewno by sobie poradził.

Jednak tego nie zrobił. Nie zamierzał wycierać odcisków, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, do kogo należą...

No dalej, Pałycz, pędź do przodu!

Krasiński spokojnie obserwował, jak we wnętrzu płaszcza ochroniarza znika ważny, jeśli nie powiedziec, jedyny dowód rzeczowy przeciwko Oldze. W tym momencie nie obchodził go Zwiagincew, bo ten przecież nie posiadał odpowiedniego sprzętu i nie mógł przeprowadzić badań daktyloskopijnych.

Jeśli wychodzić z szalonego założenia, które zaczęło kielkować w głowie Zwiagincewa, to problemy z przyjazdem grupy dochodzeniowej były Markowi na rękę. Mogły na jakiś czas odroczyć nieunikniony areszt żony. Tylko rzeczoznawcy mogli zbadać odciski i podpisać na Olgę śmiertelny wyrok. Tylko oni. Zwiagincew zaś był jedynie pionkiem w tej grze. Pionkiem, który miał do dyspozycji jedynie domysły i nieoficjalne zeznania gości „Róży Wiatrów”.

Kolejna sprawa. Pobrudzony krwią śnieg. Krasiński wolno podszedł do okna, żeby w ten sposób zwrócić na siebie uwagę i niby ukradkiem, a tak naprawdę ostentacyjnie, strząsnął śnieg z parapetu. Przecież nie musiał tego robić. Zwiagincewowi nie przysłoby nawet do głowy, żeby podchodzić do okna. Nie był pewien, czy wzbudzi w ochroniarzu podejrzewania, ale dał mu szansę się wykazać.

Dziwne, że ten zarozumiały facet tak go docenił... Liczył na to, że Zwiagincew pójdzie na tyły domku...

A może nie o to mu chodziło?

Pójście za domek w poszukiwaniu ewentualnych plam na śniegu było wyższą szkołą jazdy. Krasiński nie mógł się tego spodziewać po starym, śmierdzącym i ograniczonym ochroniarzu.

W takim razie co spowodowało, że wyskoczył za nim z domku?

Co to było...

Eureka! Przypuszczenie było tak prawdopodobne, że na krótką chwilę Zwiagincewowi zawirowało w głowie. Ależ tak! Wszystko układa się w logiczną całość. Jeśli to przypuszczenie jest słuszne, wypada podziękować Bogu za tę zamieć! Zamieć - wróg Marka, stanie się sprzymierzeńcem Zwiagincewa. Nie wolno zwlekać. To może być sprawa życia i śmierci!

W biegu chwycił płaszcz i kapelusz, po czym ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Zamieć powoli cichła. Przez chmury prześwitywały gwiazdy. Nigdy dotąd nie wydawały mu się tak wyraziste. Zwiagincew biegł na oślep. Nie zwracał uwagi ani na zasy, ani na swój rytmicznie podskakujący brzuch. Nie odczuwał nadmiaru kilogramów. W głowie wciąż huczała mu jedna myśl: nie, nie może się mylić! Nie mieli innej możliwości. Tylko w ten sposób i w tym miejscu mogli pozbyć się głównego dowodu. Musieli podjąć natychmiastowe kroki, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, ponieważ przez tę poszlakę, a raczej dwie poszlaki wpadliby w kretesem.

Okrażył skrzydło z jasno oświetlonym hotelowym holem i szybko wbiegł na wewnętrzne podwórko. Jeszcze parę dni temu ono również było pięknie oświetlone. Teraz jednak, po tym, jak rzeźby z lodu zostały zniszczone, kierownictwo podjęło decyzję, aby odłączyć światło. I słusznie. Pozostałości zniszczonych figur wyglądały naprawdę przerażająco. Tak, na to właśnie liczyli. Na ciemności.

Wpadł na podwórko i od razu rzucił się do ogromnej, dobrze zamaskowanej wnęki z podjazdem dla samochodów dostawczych, gdzie stało kilka kontenerów, do których trafiały wszystkie odpadki z całego ośrodka. Kierownictwo dbało o czystość, porządek i estetyczny wygląd „Róży Wiatrów”. Wszystkie pojemniki były wykonane według specjalnej fińskiej technologii, dzięki czemu zamykały się hermetycznie. Śmieci wywożono co trzy dni. Ostatni raz powinny były zostać wywiezione następnego ranka tuż po

morderstwie. Powinny były, ale nie zostały, gdyż zamieć wszystko skomplikowała. Drogi były nieprzejezdne i śmieci, podobnie jest wszystko inne w „Róży Wiatrów”, czekały, aż poprawi się pogoda.

Zwiagincew spojrział na ogromne kontenery i stracił cały zapach. Czekala go przynajmniej kilkugodzinna praca. A do tego przydaliby się pomocnicy. Ale gdyby kazał im przekopywać śmieci, tylko dlatego, że zaczął wierzyć w nieprawdopodobną, przeczącą zdrowemu rozsądkowi wersję wydarzeń - po prostu by go wyśmiali. Odruchowo podrapał się po pewnej części ciała i zaczął zastanawiać się, jak sam zachowałby się na miejscu podejrzanych. Do którego z kontenerów wrzuciłby dowody rzeczowe?

Do pierwszego z brzegu. Najważniejsze było bowiem pozbycie się ich.

To czego szukał, znalazł po upływie pół godziny. Zmęczył się wyciąganiem i przetrząsaniem reklamówek i worków. Cały cuchnął śmieciami. Stracił aż pół godziny, ale był gotowy stracić o wiele więcej, żeby tylko to znaleźć.

I znalazł.

Podejrzanie lekki jak na śmieci, czarny plastikowy worek. Rozwiązał go drżącymi palcami i ujrzał to, co powinien był ujrzeć.

Okulary z przyciemnianymi szklami, zwinięty kombinezon i perukę.

Długie, czarne włosy - wizytówkę Olgi Krasińskiej...

* * *

Nareszcie jest ze mną.

Kobieta mego życia.

Mogę jej dotknąć, albo i nie, po prostu jak będę chciał. Ona czekała na to przez cały czas.

Prawdopodobnie jest zamieszana w morderstwo. A być może sama go dokonała. Z każdą chwilą wydaje mi się to coraz bardziej prawdopodobne. Sam jestem mordercą i wyczuwam morderców... Straciła najbliższą osobę. Być może. Ale tylko tak Jej się wydaje, ponieważ od dzisiaj Jej najbliższą osobą będę ja! Nawet o tym nie śniła. Po prostu lubiła ze mną przebywać. Przez cały czas pragnęła, abym w Nią wszedł. Ale czy mogę to zrobić, nie niszcząc więzi, która coraz bardziej nas ze sobą łączy? Czy malarz może pożądać swojej modelki?

Dotąd nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie.

Wiem, co Jej się we mnie podoba. Dzikość i pierwotność.

To Ją właśnie ekscytuje. Och, jak ona czeka na to, aż w Nią wejdę.

Mimo że Jej tymczasowy azyl znajdował się na uboczu i do rana nikt raczej nie zauważy Jej nieobecności, nie powinienem był do Niej przychodzić. Ale nie mogłem już dłużej czekać. Nie mogłem już dłużej istnieć bez Kobiety mego życia. Bez głównej postaci kolekcji. Dużo Ją kosztuje obecna sytuacja, ale jest gotowa ją znieść, aby być ze mną. Ciekawe, jak ona się czuje? Jak ma się czuć ktoś, kto przeżył tak silny wstrząs? Zwłaszcza że te urazy tak naprawdę nie istnieją. I ja o tym wiem. Sam wszystko odkryłem. Zdziwiła ją co prawda moja przenikliwość, ale nie do końca w nią uwierzyła. Ale tym bardziej chce być ze mną. Kiedy opowiedziałem jej, że jaskinia istnieje naprawdę, była bardzo zaintrygowana. Obiecałem jej, że ją zobaczymy.

Wiem, że Jej się spodoba.

Była gotowa zostać ze mną i jest ze mną.

Bardzo się zdziwi, kiedy znajdzie się w jaskini. I wystraszy.

Ale teraz nie ma to już większego znaczenia...

* * *

Zwiagincew z trudem usiłował pozbierać myśli.

Miał cichą nadzieję, że znajdzie to, co znalazł, jednak mimo wszystko był oszołomiony odkryciem. Tak czy inaczej wpadli. Teraz najważniejsza jest Olga. Została niesłusznie oskarżona, a co najgorsze, niesłusznie wierzy w swoją winę. I to on, Zwiagincew, do tego się przyczynił.

Ale błąd da się jeszcze naprawić. Musi go jak najszybciej naprawić, zanim... *Zanim ona sobie czegoś nie zrobi.*

Zadrżał na samą myśl o tym. Krucha i delikatna Olga wciąż wierzy, że zabiła własnego ojca. Osobiście zmusił ją do przyznania się do winy. Podtrzymał tę wersję. Co więcej, był jej inicjatorem. Jęknął, kiedy to sobie uświadomił. Nie może z tym czekać do rana. Im wcześniej powiadomi ją, kto jest prawdziwym mordercą, tym szybciej zdejmie z niej ciężar. A swoją drogą nie wiadomo, jak ona zareaguje, kiedy pozna całą prawdę. Wpadnie z deszczu pod rynnę. W tej sytuacji tak okrutnie zraniona kobieta może się całkowicie załamać psychicznie.

A nuż rzeczywiście targnie się na swoje życie?

Musi bezzwłocznie udać się do domku i zwolnić ją z aresztu.

Dlaczego, u licha, tak nienawidzi nart? Na nartach byłoby o wiele szybciej i nie musiałby wkładać aż tyle wysiłku w pokonanie ogromnych hałd śniegu. Jeśli cała ta historia zakończy się pomyślnie, na pewno nauczy się jeździć na nartach - przekonywał sam siebie przez całą drogę do domku.

Olga była taka smutna, pogodzona z losem, wyciszona jak ktoś, kto podjął nieodwołalną decyzję. Jeśli nie zdąży, nigdy sobie tego nie wybaczy...

Na szczęście niepotrzebnie się martwił. Kiedy dotarł do domku, całkowicie opadł z sił. Był niesamowicie zaskoczony tym, co zobaczył. Na podłodze siedzieli dwaj durnie - Radik i Kola. Byli związani i skuci kajdankami. Radik był przykuty do Koli, a Kola do kaloryfera. Znajdowali się bardzo blisko telefonu, ale nie na tyle blisko, żeby móc z niego skorzystać.

Radik, który uchodził w tym duecie za mądrą, czuł z posępną miną, natomiast skończony kretyn - Kola - smacznie sobie spał. Tak właśnie postępują skończeni kretyni w sytuacjach ekstremalnych. Zszokowany tym widokiem Zwiagincew na krótką chwilę zapomniał o Oldze.

- Co to ma znaczyć? - zwrócił się do Radika, ciężko dysząc.

Ten szturchnął kolegę łokciem. Kola wymamrotał coś niewyraźnie przez sen.

- Co to ma znaczyć? Kto was tak załatwił, zakute łby?!

Radik milczał uporczywie.

- Kto, pytam się?!

- Chyba ktoś z naszych - wyraził przypuszczenie Radik.

- A dokładniej?

- Dokładniej nie wiem. Był w okularach. A nie mieliśmy włączonego górnego światła.

- W jakich okularach?

- W jakich... w jakich... Narciarskich. A w jakich mógł być? I cały był obsypany śniegiem.

Znowu te okulary. Zwiagincew uśmiechnął się mimo woli. Jak też zwykle narciarskie gogle potrafią zmienić wygląd człowieka.

Bez słowa odpiął kajdanki i uwolnił nieszczęśników. Po czym omiół spojrzeniem cały pokój. Wyglądało, jakby przeszedł przez niego tajfun:

poprzewracane krzesła, wepchnięty pod ścianę stół, karty porozrzucane po podłodze...

- Nie stawialiście oporu? Daliście się mu podejść jak dzieci?!

- Nie zdążyliśmy - wtrącił się do rozmowy obudzony przed chwilą Kola.

- Zaatakował nas znienacka.

- Znienacka - Zwiagincew podniósł z podłogi dwie karty: damę kier i waleta pik. - W karty się różnęło, co?! Pacany!

- A co, to jest zabronione?

- Nie powierzyłbym wam opieki nawet nad wiewiórką, a co dopiero nad człowiekiem!

- Gdyby nas pan uprzedził, że możliwy jest atak z zewnątrz, to bylibyśmy przygotowani.

- Dobra. Szkoda gadać. Wstawajcie.

Podczas gdy ochroniarze wyplątywali się z resztek sznura, Zwiagincew rozejrzał się po pokojach. *Ciekawe, kto ją uwolnił?*

A jeśli Krasieński?

Ta myśl trochę go otrzeźwiła. Jeśli zrobił to Mark, to nową hipotezę Zwiagincewa można sobie o kant tyłka potłuc. Niemożliwe, żeby po raz pierwszy w życiu aż tak się pomylił co do jakiejś osoby.

Nie! Nie! Nie! Musi opanować emocje. To można bardzo łatwo sprawdzić. Należy jedynie wykonać odpowiedni telefon. Do pokoju numer trzynastie.

Ale na razie musi się tu rozejrzeć. Zadzwoić zawsze zdąży.

Przeszedł się po pokoju i zerknął na monitor stojącego na stole komputera. To dopiero ludzie interesu! Nawet w czasie urlopu nie przestają myśleć o pracy. Na ekranie widniał napis:

„Czekam na ciebie. Nic się nie bój. Chemi patara gogona. Manana”.

Nie rozumiał sensu słów i bardzo go to zdenerwowało. Tak bardzo, że przywołał do siebie obu ochroniarzy.

- Czy któryś z was - zapytał bez szczególnej nadziei Zwiagincew - wie, co to takiego: „Chemi patara gogona”?

Radik spojrział na niego jak na wariata. Ale totalny przygłup... totalny przygłup - Kola - odparł:

- Moja mała dziewczynka.

- Co? - Zwiagincew był z lekka zdezorientowany. - Co powiedziałaś?

- Moja mała dziewczynka. „Chemi patara gogona”, to po gruzińsku „moja mała dziewczynka”.

- Wow! - Radik popatrzył na kumpla z podziwem.

Z zaskoczenia Zwiagincew aż usiadł.

- Skąd wiesz? - zapytał po chwili, patrząc na typowo słowiańską twarz ochroniarza.

- Mam chrzestnego Gruzina. I pierwsza moja kobieta była Gruzinką...

Czy to właśnie miłość do niej pozbawiła cię resztek mózgu? - Zwiagincew spojrział na Kolę z czułością.

- Nigdy o tym nie wspominałeś - Radik nie mógł wyjść z podziwu dla ogromu jego erudycji.

- Bo nigdy nie pytałeś.

- A znasz coś jeszcze?

- No... Me seni makoci...

- Co to?

- Całuję cię - powiedział rozmarzonym głosem.

- A coś jeszcze?

Kola zamyślił się.

- Seni deda moutchan...

- No?

- To coś w stylu kur... - odparł niechętnie.

- Dawaj jeszcze!

- Kargi moutchan.

- A to co?

- Też niecenzuralne. A jest jeszcze - seni nabiczuar...

- A niech mnie! Nieźle cię ta twoja Gruzinka wyedukowała! - ochroniarz nie wytrzymał.

- To akurat chrzestny - sprostował Kola. - Moja Gruzinka była świętą kobietą.

Kto mógłby przypuszczać, że durny Kola okaże się mocny w gruzińskim i w dodatku nie tylko podwórkowym?! Mam szczęście. I to na całej linii! Teraz treść listu była już jasna. „Moja mała dziewczynka” - te słowa musiały być adresowane do Ołgi. Jej matka była przecież Gruzinka. Zrozpaczona dziewczyna, znajdując się u kresu wytrzymałości psychicznej, mogła uznać te słowa za pozdrowienie z zaświatów i potraktować je jako bodziec

do działania. Ale przecież matka nie mogła na nią czekać. Nie mogła wysłać tego listu, gdyż wiele lat temu popełniła samobójstwo. Kto w takim razie maczał w tym palce?

Najwyższy czas zadzwonić do Marka Krasieńskiego.

Zwiagincew podniósł słuchawkę i wybrał numer do pokoju, który tymczasowo zajął Krasieński. Jeśli telefon będzie milczał, to...

Mark odebrał niemal natychmiast. Miał rześki głos.

- Zwiagincew z tej strony - wypalił bez zbędnych wstępów ochroniarz.
- Słucham.
- Nie śpi pan?
- Jak mógłbym teraz zasnąć?

Słusznie, dobra linia obrony. Bezsenność.

- Skąd pan dzwoni? - zapytał Mark. Zwiagincew czekał na to pytanie.
- Z domku.
- Stało się coś? - w jego głosie słychać było napięcie.
- Tak.
- Co?!
- Ołgi już nie ma - odparł zgodnie z prawdą.

Ale Mark zinterpretował jego słowa po swojemu. Tak, jak się Zwiagincew spodziewał. Na krótką chwilę na drugim końcu kabla zapadło milczenie.

- To moja wina... To ja jestem wszystkiemu winny... Otruła się, tak? Zażyła tabletki?

Uuuu... pośpieszyłeś się, ptaszyno, pośpieszyłeś! Daleś się podejść jak dziecko! Doskonale!

- Może - odpowiedział wymijająco.

- No tak... przecież brała nitrazepam... na bezsenność... Ostatnio dokucała jej bezsenność. Wiedziałem, że ma tabletki... Jak mogłem o tym zapomnieć?!

- Fakt. Znalazłem fiolkę - Zwiagincew specjalnie podpuszczał go do dalszych wynurzeń.

- Kiedy? Kiedy to się stało? Może da się ją jeszcze uratować?

Kolejna wpadka. Wcześniej trzeba było o to zapytać.

- Już za późno. Ale pan w niczym tu nie zawinił. Sama podjęła decyzję - co ja plotę, do diabła?! - Uznała to za najlepsze wyjście z sytuacji...

- Zaraz przyjdę.
- Czekam na pana, panie Krasiński. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

Odłożył słuchawkę i poszedł do ochroniarzy.

- Słuchajcie, musimy działać bardzo szybko. Ty, Radik, pójdziesz do mojego gabinetu.

- Tam, gdzie przebywa teraz jej mąż? - upewnił się chłopak.
- Dokładnie tam. Poczekasz, aż wyjdzie. Ale najprawdopodobniej, zanim dotrzesz, już go nie będzie. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy iść prostą drogą, bo możesz się na niego napatoczyć. Idź naokoło.

- A co mam robić w gabinecie?
- Przeszukasz jego rzeczy.
- Czego konkretnie mam szukać?

Zwiagincew czuł na sobie przychyłne spojrzenie generała-majora i wiedziony intuicją, wskazał palcem stojący na biurku notebook.

- Coś podobnego do tego. Zrozumiałeś?
- A co tu jest do rozumienia?! Komputer.
- Trzymaj - Zwiagincew wyciągnął z kieszeni dwa klucze zawieszony na breloczku. Jeden był od pokoju, drugi od gabinetu. Odczepił jeden z nich i podał go Radikowi.

- A ja? - zapytał milcząco do tej pory Kola.
- A ty, poligloto, zostaniesz ze mną. Niewykluczone, że przyda mi się twoja siła fizyczna. Chociaż po tym nocnym incydencie...
- Bez obaw, szefie. Po prostu działał z zaskoczenia.
- No dobra. Ruszaj z Bogiem, Radik. Jak tylko cokolwiek znajdziesz - dzwoń. I lepiej, żebyś się pośpieszył, bo może się tu zrobić gorąco.
- Już się robi! Spadam.

W oczekiwaniu na Marka Zwiagincew postanowił opracować strategię działania. Położył się na łóżku i natychmiast wyczuł pod ręką leżącą na kołdrze pustą fiolkę po środku nasennym. Jak przystało na krótkowidza, zmrużył oczy i podniósł ją nieco wyżej.

Rzeczywiście, nitrazepam.

A co, jeśli...

Nie zdążył się jednak porządnie wystraszyć, ponieważ zauważył poniewierające się tu i ówdzie różowe tabletki. Wyglądało na to, że ktoś cisnął je w złości na podłogę. Wstał i ponownie chwycił za telefon. Tym razem

wybrał numer doktora. Przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał, aż wreszcie usłyszał zaspány głos Artioma:

- Kto tam, do diabła?!

Wypowiedź godna przedstawiciela szanowanego zawodu, nie ma co!

- Artiom? To ja, Zwiagincew.

- Co jest, u licha?!

- Znasz środek nasenny - nitrazepam? Takie różowe, owalne tabletki.

- Znam. I co z tego?

- Dobrze są?

- Zwyczajne. A co, bezsenność pana dopadła? - Artiom powoli budził się do życia.

- Można to tak ująć. No dobra, przepraszam. Śpij dalej.

- Proszę poczekać... Powiedział pan: różowe, owalne?

- No, tak...

- To nie jest nitrazepam - oświadczył zdecydowanie doktor.

- A co w takim razie? - zdziwił się Zwiagincew.

- Niech no pomyślę - Artiom obudził się już na dobre. - A co, ktoś ich używał na sen?

- Tak.

- Zaraz... zaraz... - lekarz odszedł na chwilę od telefonu, po czym wrócił i powiedział: - Mam tu ostatni katalog farmaceutyczny. Proszę posłuchać, jest na nich jakieś oznakowanie?

- Co? - nie zrozumiał Pałycz.

- Oznakowanie... jakaś litera, na przykład. Ochroniarz przysunął tabletkę bliżej oczu.

- Chyba jest... "F".

- Rzadko stosowane - odezwał się po chwili doktor. - Nie sprzedają ich nawet na receptę. Podawane są jedynie w szpitalu pod nadzorem lekarzy. Preparat o bardzo silnym działaniu, z najnowszej generacji leków z grupy trankwilizatorów.

- Nawet na receptę? - zdumiał się Zwiagincew. - A co to? Narkotyki, czy co?

- Podaje się to tylko w szpitalu pod czujnym okiem lekarza i w ściśle przestrzeganych dawkach. A dawki powinny być wyznaczane indywidualnie, bo inaczej w dziewięćdziesięciu pięciu przypadkach na sto lek wywołuje poważne skutki uboczne.

- To znaczy?
- No... Wzmorzona pobudliwość. Napady wściekłości... *Tak, to jest to, o czym mówiła Olga! To, co ją męczyło...*

Tak się zdenerwował, że zapomniał zapytać Artioma o nazwę tego leku.

- A więc to tak?! Inessa Szmarinowa jest jeszcze w izolatce?
- Nie, wyszła pojeździć sobie na nartach... Oczywiście, że jest w izolatce!
- Bardzo ważne jest teraz, żeby ją przypilnować. I najlepiej, żebyś nie

był sam...

- Nie rozumiem.
- Przypilnuj, żeby nic się jej nie stało.
- Co się miało jej stać, to już się stało...
- Różnie bywa... Po prostu ją odwiedź. Aha, mam jeszcze jedno pytanie.

Mówiłeś, że niespodziewanie zepsuł ci się aparat rentgenowski?

- Ale mi pan głowę suszy z tym rentgenem...
- Dwa dni temu, tak?
- Tak.
- A kto przychodził do ciebie tego dnia?
- Hm... prawie nikogo nie było. Tylko ta niedowidząca konsultowała się

w sprawie okularów.

- Zapiesocka?

- No, tak... Przyjaciółka tego zaginionego narciarza. I jeszcze ci starsz-kowie z Niemiec - przyszli obejrzyć sprzęt... i chłopak z poparzoną gębą. Opalaniem się załatwił, głupek. I zdaje się, że Mark Krasiński. Brał dla żony aspirynę.

- Świetnie! Tym razem zasługujesz na pochwałę.
- Dobra, dobra, szanowny panie.
- Ale koniecznie zajrzyj do Inesy Szmarinowej.

* * *

Olga obudziła się z uczuciem niezwyklej lekkości. Nie bolała jej już głowa. Suchość w ustach zniknęła bezpowrotnie. Może reszta kłopotów również kiedyś zniknie? Otworzy teraz oczy i ujrzy obok siebie człowieka, który tej nocy dał jej szaloną nadzieję na ocalenie. Równie szaloną, jak ona

sama. A może otworzy teraz oczy i znów znajdzie się w domku, a na łóżku będą leżały tabletki, których nie zdążyła połknąć...

Leżała tak z zamkniętymi oczami, kiedy nagle czyjeś palce delikatnie dotknęły jej policzka.

A zatem wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Palce prześliznęły się niżej i znalazły się na jej ustach. Nie była w stanie dłużej oprzeć się pokusie. Pocałowała je. Pachniały dymem i żywicą sosnową.

- Nie śpisz? - zapytał szeptem.

- Nie...

- Wobec tego otwórz oczy, proszę.

- Nie. Jeśli otworzę oczy, znów powrócę do tamtego koszmaru...

- Nie będzie żadnego koszmaru, obiecuję... Otwórz oczy.

No dalej, Olga, zdobądź się na to!

Przez parę minut nadal leżała z w półprzymkniętymi powiekami. Wciąż bała się uwierzyć. Ale on był tuż obok... i ten zapach dymu, sosnowych igieł i gorącego namiętnego ciała, które szeptem ją do siebie przywoływało... Nie miała innego wyjścia. Podążyła za jego głosem. Otworzyła oczy.

Więc jednak jej się nie śni, że on jest tuż obok. Ujrzała jego śniadą twarz, na której tak dobrze prezentował się delikatny zarost, zmęczone długim oczekiwaniem usta i antracytowe oczy.

- Jonasz... - wyszeptwała z trudem. Zapragnęła przekroczyć próg tych ust, tak jak przekracza się bramy nieznanego, lecz wspaniałego miasta. Miasta wypełnionego stukotem kanek z mlekiem, szczekaniem psów, kocimi łbami, kwiatami na parapetach, powracającymi ze szkoły dziećmi i kobietami wy patrolującymi ich z okien. Miasta, w którym nigdy nie ma śniegu. W którym wiecznie panuje lato. Sierpień w całej swojej wspaniałości. Cierpki zapach pigwy.

I jego skóra, przesycona sosnowym zapachem.

- Jonasz - powtórzyła.

Pocałował ją czule i delikatnie. Zupełnie czegoś innego spodziewała się po bestii, uwięzionej w jego antracytowych oczach.

- Kocham cię - wyszeptał.

- Nie, proszę, nie... - przestraszyła się nagle. - Nie wolno ci mnie kochać.

- Tylko ciebie wolno mi kochać - przygarnął ją do siebie i mocno przytulił.

Jeśli jeszcze raz zbliży do niej swoją twarz, ona tego nie przeżyje. Jej serce nie wytrzyma cudownego zapachu jego włosów.

Jonasz.

Nie może skazywać go na takie cierpienie.

Usiłowała wyrwać się z jego objęć, ale nie dała rady. Leżeli na śpiworach, w rozpiętych kurtkach, ciasno do siebie przytuleni. Co on z nią takiego robi? Co robi, że jej sutki gotowe są eksplodować... przebić się przez sweter niczym nóż...

Niczym nóż.

Z jej piersi wyrwało się przejmujące westchnienie. Niczym nóż... którym został zabity jej ojciec.

- Co ci jest? - zapytał drżącymi wargami.
- Musimy wrócić. Musisz odwieźć mnie z powrotem.
- Nie - wzburzony jeszcze mocniej ją przytulił.
- Nie ma sensu uciekać przed samą sobą. Zrozum to. Gdybyś nawet wywiózł mnie na koniec świata, to i tak niczego to nie zmieni. Ponieważ to tkwi we mnie... i zawsze we mnie będzie siedzieć... to, co przynosi zło.

Gwałtownie rozwarł ramiona i odsunął się od niej. I znów została sama... Boże, jaka zimna i martwa może być samotność!

- Obejmij mnie, proszę - poprosiła smutnym głosem.
- Olga - znów dotknął palcami jej ust. - Nie zrozumiałaś, co ci powiedziałem dzisiaj w nocy? Ja ci wierzę. Nie możesz być obłąkana, ponieważ jaskinia naprawdę istnieje.
- Skąd wiesz?
- Bo wiem. Pójdziemy tam. Pójdziemy i już nikt nie odważy się nazwać cię wariatką.
- Ale ojciec...
- Zostałaś wrobiona! Zrozum to!
- Ale przez kogo? Kto mógł mnie w to wrobić!?

Milczał. Uniósł się na łokciu i znów czule ją pocałował. Zupełnie inaczej, niż by tego chciała.

- Wstawaj - rzekł nagle. - Pokażę ci ją...

Kiedy opuszczali chatę, zamieć prawie ucichła. Prószył jedynie drobny śnieg.

- Widzisz? - odezwał się. - Zamieć ustaje. To bardzo dobrze. Będzie się nam łatwiej szło.

- To daleko stąd? - zapytała.
- Nie, niezbyt daleko. Na pewno nie zdązysz się zmęczyć. Rzeczywiście nie zdążyła się zmęczyć. Po półgodzinie stosunkowo wolnego marszu znaleźli się wśród skał - tych samych skał, wśród których zabłądziła kilka dni temu. Jonasz przyspieszył kroku i teraz ledwie za nim nadążyła.

- Nie pędź tak, proszę - powiedziała zdyszczanym głosem.
- Przepraszam. Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze kilka metrów.

Obeszli ogromny występ skalny i Jonasz się zatrzymał. Tuż obok, z drugiej strony skały, wystawał przód skutera śnieżnego. Zobaczyli go niemal równocześnie.

- Kiedy zdążyłeś go tu przestawić? - zdziwiła się.
 - Cholera! - zaklął pod nosem, po czym obejrzał się i popatrzył na Olę.
- To tutaj. Poczekaj chwilę.

Podszedł bliżej i od razu znalazł otwór w szczelinie pokrytej śniegiem skały.

- Zostań tu - poprosił.
- Nie. Idę z tobą.
- Zostań. Szybko wrócę...
- Nie. Tyle przesłama, żeby tu dotrzeć...
- Proszę cię...
- Nie.

Nie mówiąc już ani słowa, pochylił się i zniknął w skalnym otworze. Po-
dażyła jego śladem. Przez kilka chwil stali w milczeniu, przyzwyczajając się do ciemności. Przychodziło im to z wielkim trudem. Olga przypominała sobie początek ścieżki w jaskini z najdrobniejszymi szczegółami. Na zawsze utrwaliła w pamięci ten obraz. Jej serce biło jak oszalałe, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Miała rację, jaskinia naprawdę istnieje! I Jonasz też ma rację: nikt już nie odważy się nazywać ją wariatką! Wróć do „Róży Wiatrów” i nie będzie już sama przeciwko wszystkim. Będzie ich dwoje. Zwiagincew musi im uwierzyć.

Tak, doskonale pamięta początek drogi. Tylko, że jej koniec, gdzieś tam, w głębi, wygląda teraz zupełnie inaczej. Bije stamtąd jakiś silny migotliwy blask, jak gdyby jaskinia była oświetlona niejedną, a kilkoma pochodniami naraz. I w dodatku ten szum... równy, przytłumiony, podobny do odgłosu wydawanego przez turbiny w samolocie.

Odniosła wrażenie, że ten dźwięk poruszył Jonasza.

Omam nie zgubiła go w ciemnym tunelu. Dopiero po upływie kilku sekund ujrzała z przodu zarys jego sylwetki. Jeszcze chwila i rozplynie się w tym tajemniczym blasku na końcu drogi..

Nie pozostaje jej nic innego, jak iść za nim.

Iść za nim... tylko tyle...

* * *

Zwiagincew rozłożył na łóżku swoje trofea: okulary, dokładnie opakowane w folię (odciski palców widoczne są gołym okiem), perukę i kombinezon. Identyfikacyjny znalazł w domku, z tym że tamten, Olgi, był pobrudzony krwią. A ten jest zupełnie czysty. Obejrzał go ze wszystkich stron i, sam nie wiedząc dlaczego, zaczął obmacywać kieszenie. Miał prawdziwego farta. Nawet nie marzył, że znajdzie coś takiego.

W górnej kieszeni kombinezonu leżał cukierek. „Berberys”.

Jego własny karmelek z przyklejonymi paprochami z tytoniu i skrawkiem biletu tramwajowego. Tym cukierkiem osobiście poczęstował Olę przy skałach, ale go nie zjadła. Pogardziła nim. I włożyła go do górnej kieszeni swojego kombinezonu. Teraz dokładnie sobie przypomniał tamtą scenę. Co za szczęście, że nie zjadła tego cholernego karmelka!

Nie ma żadnych wątpliwości - to jej kombinezon. Czyli został zamieniony na ten zakrwawiony, w którym się obudziła. Ten drugi był kopią mającą na celu wrobienie Olgi w zbrodnię, której nie popełniła. Z rozmyślań wyrwał go odgłos natarczywego pukania do drzwi.

Na ganku stał Mark Krasieński. Miał rozpiętą kurtkę i cały był obsypany śniegiem. Na jego twarzy malował się ból i rozpacz.

- Proszę wejść.
- Dziękuję.

Krasieński wszedł do środka i Zwiagincew zamknął za nim drzwi na klucz. Przy drzwiach prowadzących do pokoju, który zajmowała Olga, stał Kola.

- Gdzie ona jest? - zapytał niecierpliwie Mark.
- Niech pan usiądzie - Zwiagincew przysunął mu krzesło.
- Gdzie ona jest? - zapytał ponownie Krasieński, tym razem z większym naciskiem.

- Zaraz przyjdzie lekarz. Trzeba przecież stwierdzić zgon - skłamał ochroniarz w przyływie natchnienia.

Mark spojrzał na niego pytająco.

- Mogę ją zobaczyć?
- Oczywiście. Tylko trochę później.

Krasiński miał już zamiar wstać, ale powstrzymało go groźne spojrzenie Koli: siedź na tyłku, dupku, i nie podskakuj! Trzeba przyznać, że ochroniarz miał wzbudzający respekt wygląd.

- Nic nie rozumiem... - rozpoczął niepewnie Mark.

I w tym momencie zadzwonił telefon. Zwiagincew czekał na niego, jak na zbawienie. Jednak zdołał się opanować i podniósł słuchawkę dopiero po trzecim sygnale.

- To ja, szefie - usłyszał radosny bas Radika.
- Słyszę.
- Melduję, że musiałem otworzyć dyplomatkę nożem, więc zamek jest zepsuty.

- Śledztwo ma swoje prawa.
- Jest tam. Takie samo cacko, jak u pana na stole. Poza tym jest jeszcze jakaś fiolka...

- Jaka?
- Już patrzę... Wygląda na tabletki.
- Opisz.
- Yhm... różowe.
- Owalne? - Tak...
- Świetna robota! Przyjdźcie tutaj.
- Ale kto ma jeszcze przyjść oprócz mnie? - zdziwił się Radik.

Co za dureń!- zaklął w duchu Zwiagincew. - Z taką zakutą palą nie powinien grać w preferansa, tylko w palanta. Ale jednak zrobił co trzeba, więc należy mu się medal. Chyba go ucałuję z wdzięczności!

- Przyjdźcie tutaj.
- Dobrze.

Mark spojrzał na niego podejrzliwie.

- Coś się stało?
- Nic, wszystko w porządku. Teraz możemy już wejść.

Kola odszedł od drzwi, wpuszczając ich do pokoju.

Obrzuciwszy spojrzeniem puste pomieszczenie, Mark z konsternacją odwrócił się do Pała Pałyca:

- Ale gdzie ona jest? Gdzie jest Olga?

- Olga - Zwiagincew wykrzywił usta - Olga... Przecież mówiłem, że jej nie ma.

- Jak mam to rozumieć?

- A co pan myślał? Że popełniła samobójstwo? Czekał pan na to? Sam pan ją do tego popychał?

- Oszalał pan? - na czole Krasieńskiego pojawiły się krople potu.

- Niech pan sobie daruje, panie Krasieński - Zwiagincew postanowił zagrać va bank. - Wiem o wszystkim.

- O czym pan mówi? - Mark wlepił w niego zimny, nienawistny wzrok. - Już pan dobrze wie, o czym.

- Nie mam pojęcia.

- Doskonale pan wie - powtórzył z naciskiem. - Z tym mailem to pan przesadził.

- Z jakim mailem?

- Chemi patara gogona. Podpisał się pan imieniem jej matki. Chciał pan ją szybko mieć z głowy? Przykro mi, ale musieliśmy włamać się do pańskiej teczki. Nie dysponowaliśmy szyfrem.

- Odpowie pan za to - wykrztusił z trudem Mark. - Tym bardziej że nie ma pan nakazu rewizji, jak rozumiem...

- To żaden problem.

- To wielki problem. Pański problem.

- Wysyłając tę wiadomość popełnił pan wielki błąd, panie Krasieński. Ale swoją drogą, to nie był pański jedyny błąd. Pierwszy popełnił pan dużo wcześniej. I jak się okazało, był to fatalny błąd.

Mark przeszedł przez pokój, usiadł w fotelu i założył nogę na nogę.

- Niech pan mówi dalej. Ciekawi mnie, jakie fantazje przychodzą do głowy emerytowanemu majorowi. A może jest pan kapitanem? Dzielnicy? Specjalistą od pijackich burd?

- Jestem kapitanem - odpowiedział dumnie Zwiagincew. - Specjalistą od pijackich burd. Zgadza się. Ale wielokrotnie miałem do czynienia z zabójstwami.

- Chyba pan żartuje! - jakby na potwierdzenie swoich słów Mark zaczął się śmiać, po czym starannie akcentując każde słowo, powiedział:

- Że niby to ja zabiłem swojego teścia? Dobrze się pan czuje? Już nie wspomnę o alibi... Przez cały czas byłem w barze... Wszyscy... Wszyscy to panu potwierdzą. Siedziałem tam do wpół do siódmej... Tak więc pańska, wyssana z palca historia, jest niewiarygodna. Zresztą już pan mi ją przedstawiał na wstępnym etapie śledztwa.

- W takim razie może zechce jej pan wysłuchać w całości?

- Niech pan gada - powiedział znudzonym głosem Mark. - Zawsze to jakaś rozrywka posłuchać sobie, co może stworzyć wybujała wyobraźnia nałogowego alkoholika.

- Świetnie. To nie zajmie dużo czasu.

- Mam nadzieję.

- Darujmy sobie szczegóły dotyczące przygotowania planu... Uważam, że to był znakomity pomysł, panie Krasiński. Powiedziałbym, niemal doskonały. Cały czas adorował pan żonę i nieustannie zapewniał ją pan o swojej miłości. A potem przywiózł ją pan tutaj. Genialne posunięcie. Nakierować Olgę na myśl, że jest obłąkana i że podzieli los swej szalonej matki. Sprawić, aby się załamała i popełniła samobójstwo. Przy okazji usunąć jej ojca. A raczej nie przy okazji, bo od samego początku cała akcja była wymierzona przeciwko niemu. Szmarinow był celem, a jego córka - środkiem. Doskonale obmyślone.

Zwiagincew miał wielką ochotę uderzyć łajdaka, ale się powstrzymał. Stał przed Krasińskim i kontynuował opowiadanie:

- Jedyne, co należało zrobić, to postarać się o współniczkę. A może to ona była mózgiem całej operacji? Ale do tego jeszcze dojdziemy.

- No, a gdzie jest początek? - Mark wciąż siedział w fotelu, rozwalony jak basza.

- Wszystko zaczęło się zwyczajnie. Przyjechaliście całą trójką do ośrodka. Niewielka, ale zgodna rodzinka. A ściślej rzecz biorąc, nie do końca zgodna, bowiem młoda teściowa i zięć coś nie za bardzo za sobą przepadają. Ale z boku to nawet zabawnie wygląda. Właściwie wszystko poszło o wiele lepiej, niż tego oczekiwaliście. Ta awersja Olgi do lodu, jej koszmary i halucynacje związane z jaskinią... To przeanalizujemy nieco później... Tak więc wszystko układało się po waszej myśli, jedynie w trakcie wprowadzaliście drobne poprawki i udoskonalenia. Miasteczko figur lodowych było dokładnie tym, czego potrzebowaliście. Na wewnętrzne podwórko, na którym znajduje się to jaskrawo oświetlone miasteczko, wychodzą okna tylko

dwóch pokoi. W dodatku jeden z nich był wolny. Ktoś zburzył posągi z lodu, a pańska żona w tym czasie leżała na śniegu niedaleko waszego domku. Dobrze pan to zorganizował, panie Krasieński. Kiedy odzyskała przytomność, wszyscy dookoła, na czele z pańskim pokornym sługą - Zwiagincew pochylił głowę i sapnął z oburzenia - opowiadali jej o czynach, które rzekomo popełniła. O pobiciu kobiety w napadzie szału, zerwaniu z niej okularów i próbie ich rozdeptania... o zniszczeniu rzeźb... Mówiąc „kobieta”, mam na myśli Zapiesocką, do której polazł pan potem z pieniędzmi. I my wszyscy, łącznie z jej przyjaciółką Inessą i panią Zapiesocką, przekonywaliśmy pana żonę, że to jej sprawka. A ona niczego nie pamiętała. W ten sposób zrodziło się w niej podejrzenie o własnym obłędzie. Podejrzenie, które pan w niej podsycił. Systematycznie, aczkolwiek w bardzo delikatny sposób. Niszcząc rzeźby, osiągnął pan dodatkowy cel - wyłączenie oświetlenia na podwórku, czemu trudno się dziwić. Widok, jaki pozostał po zniszczonym miasteczku, był naprawdę okropny. Pograżone w ciemnościach podwórko było panu potrzebne do decydującej części operacji.

- Po przejściu na emeryturę powinien pan zająć się pisaniem powieści kryminalnych. Albo jeszcze lepiej - science fiction - skomentował jego opowiadanie Mark.

- Może ma pan i rację...To co, mam mówić dalej?

- Jeśli byłby pan taki łaskaw.

- Dalej wszystko poszło zgodnie z planem. Przestraszona sama sobą Olga poprosiła pana, żebyście wyjechali z „Róży Wiatrów”. Sądzę, że decyzję o wyjeździe podjęła od razu. Przystał pan na to, choć doskonale zdawał pan sobie sprawę, że nigdzie stąd nie wyjedziecie, ponieważ czekacie na główną postać tej historii, a mianowicie na Igora Anatoliewicza Szmarinowa. Jednak żona nalegała na wyjazd i pańska odmowa mogła jej się wydać podejrzana. Postanowił więc pan przyspieszyć bieg wydarzeń. Inessa Szmarinowa wyruszyła na stok i uległa wypadkowi. Poinformował pan o tym teścia, wiedząc, że po otrzymaniu takiej wiadomości, dołoży wszelkich starań, aby jak najszybciej dotrzeć do „Róży Wiatrów”. Że przybędzie tu za wszelką cenę. Operację skomplikował nieco stan alarmowy, spowodowany burzą śnieżną, ale nie było już odwrotu. Szmarinow przyleciał, ponieważ żona była dla niego najważniejsza. Kochająca córka już dawno zesłała na plan dalszy. Z

pewnością wielokrotnie rozmawiał pan z nią o jej zazdrości i o tym, jak niesprawiedliwie traktuje ją ojciec. Dzięki temu w końcu nastąpiło to, co powinno nastąpić, a mianowicie - pomiędzy ojcem i córką doszło do kłótni. Pani Olga wróciła do domku i pewnie od razu zasnęła. A pan, kochający męża, zamiast pójść za nią, został, aby zapewnić sobie alibi. Zabezpieczył się pan ze wszystkich stron.

- No, widzi pan - wtrącił Mark - można łatwo udowodnić, że to nie ja zabiłem.

- Tak. Szmarinowa nie zabił mężczyzna, lecz kobieta. Zabiła go pańska współpracowniczka. Od razu po jego powrocie z baru. Jednym precyzyjnym ciosem w serce. Pewnie usiłował się bronić, ale na próżno. Tak więc zabiła go, po czym zadała na oślep kilka słabszych ciosów, żeby stworzyć pozory, że zabójstwo zostało dokonane w stanie silnego wzburzenia. To pan przywiózł ten nóż, prawda? A może ona?

- Brednie.

- No dobrze, pominiemy to. Ale morderstwo nie było najtrudniejszą częścią operacji. Najtrudniejsze było dopiero przed wami. Niezauważona przez nikogo pani współpracowniczka opuściła hotel tylnymi drzwiami. I przez wewnętrzne, pogrążone w ciemnościach podwórko, demonstracyjnie wróciła do hotelu, gdzie portier rozpoznał w niej...

- Tego, kogo powinien był rozpoznać - nie wytrzymał Krasiński. - Moją żonę, która zabiła swojego ojca. Nożem z jego własnej kolekcji. Z jej odciskami palców na rękojeści. Chyba pan temu nie zaprzeczy?

- Oczywiście, że nie. Nóż z odciskami żony jest pańskim głównym atutem. Plus zeznania gości na temat kłótni w barze, a także zeznania portiera... Ale najważniejszy jest nóż. Wystarczy, aby na zawsze wysłać żonę do szpitala psychiatrycznego. Ale panu było tego za mało. Pragnął pan jej śmierci i...

- Dosyć tego! - Mark w końcu stracił panowanie. - Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać pańskich bredni. Gdzie jest moja żona?

- Już panu powiedziałem. Tu jej nie ma. Aha, prosiła, żebym to panu przekazał.

Podszedł do stojącego wciąż przy drzwiach Koli i wziął od niego czarny worek, po czym zręcznym ruchem, wyciągnął z niego perukę, okulary i kombinezon.

- Poznaje je pan, panie Krasiński?

- Gdzie pan to... - wyrwało mu się niechcący, ale natychmiast się zre-flektował. - Co to jest?

- Myślę, że pana współniczka nam to wszystko wyjaśni. Zwłaszcza że na okularach zachowały się jej odciski palców. No, bo przecież nie mogliście wiedzieć, że zamieć pokrzyżuje wam wszystkie plany. Liczyliście na to, że śmieci w porę zostaną wywiezione z „Róży Wiatrów”. Jednak tak się nie stało i główne dowody rzeczowe pozostały w pobliżu miejsca zbrodni. Rozumiem, że było to najprostsze rozwiązanie - wyrzucić rzeczy do kubła ze śmieciami, i po krzyku. Nie trzeba nigdzie chować, nie trzeba palić... Przyjedzie samochód, wywiezie odpadki i sprawa załatwiona. Niestety, nie udało się wam.

W ułamku sekundy Mark utracił całą swoją butę i pewność siebie. Pobladał na twarzy, która jakby w momencie pokryła się dwudniowym zarostem. Otworzył usta, z trudem chwytając powietrze.

- Ja...

- To jest kombinezon pani Olgi. Jej prawdziwy kombinezon. Prawdopodobnie nalegał pan, żeby założyła go przed spotkaniem z ojcem.

- Nie...

- Ale po co się tak denerwować. Przecież to nie pan zabił.

- Nie, to nie ja.

- Zbrodni dokonała pana współniczka i to ona przebrała w swój kombinezon śpiącą w domku przyjaciółkę. Dokładnie taki sam jak ten, tyle że pobrudzony krwią Szmarinowa.

- Sam pan powiedział, że nie ja zabiłem...

Zwiagincew podszedł do skulonego w fotelu mężczyzny i z nienawiścią rzucił mu prosto w twarz:

- Cofam swoje słowa! Zabijał pan. Stopniowo zabijał pan swoją żonę. Pod pozorem podawania jej proszków nasennych faszerował ją pan silnym lekiem psychotropowym oznaczonym bardzo charakterystycznym znaczeniem, literą „F”. I właśnie ten trankwilizator wywoływał u niej stany lękowe i niczym nieuzasadnione napady szału, które odbierała jako objawy choroby psychicznej. Myślę, że to potwierdzi.

- Ja... - Mark wyglądał teraz żałośnie. - Nie...

- Yhm... W pańskiej teczce, w której był jeszcze jeden komputer, ten, z którego wysłał pan żonie list z zaproszeniem na tamten świat... otóż w tej teczce znaleźliśmy identyczne opakowanie tabletek. Różowych, owalnych...

Chciał ją pan doprowadzić do obłądu i popchnąć do samobójstwa.

- Ja... nie chciałem. To ona... Ona.

- Jaka ona? Pana współniczka?

- Tak - poddał się w końcu Krasiński. - Inka... Inessa... Będzie panu wmawiać, że sam to wszystko wymyśliłem, ale proszę jej nie wierzyć... To ona... Ona to wymyśliła. Już rok temu. Chciała pozbyć się męża. Tym bardziej że to jej zapisał wszystko w testamencie... Pragnęła jak najszybciej dorwać się do tych pieniędzy...

- A pan chciał zająć jego miejsce, prawda? Wzruszająca jednomyślność...

- Nie... To wszystko z powodu pieniędzy Igora Szmarinowa. To jest pożądliva suka, którą interesują tylko pieniądze i rozrywki. I oczywiście faceci. Spała ze wszystkimi, jak popadło...

- Z panem również? No tak, taką intrygę mogą uknuć jedynie kochankowie...

Mark skrzywił się z niesmakiem.

- Szantażowała mnie. Dowiedziała się o dwóch zerwanych umowach... o przecieku informacji do konkurencyjnej firmy... To straszna kobieta. Jest nieobliczalna... A Igor tylko jej przeszkadzał, była z nim wyłącznie dla pieniędzy, ale chciała zagarnąć je wszystkie dla siebie.

- I dlatego ukartowaliście całą intrygę?

- Ona to zaplanowała. Mówiłem już, że jest szalona. Zna Olgę od dzieciństwa i wie o wszystkich jej lękach i obawach...

- Peruka, okulary i kombinezon - i gotowe... Rzekomo przewróciła się na nartach. A pan poszedł do lekarza po aspirynę dla żony. Bardzo wzruszające. Zaraz potem psuje się aparat rentgenowski. Dziwny zbieg okoliczności, czyż nie? A może to nie był żaden zbieg okoliczności? Rentgen od razu wykazałby, że Inessa Szmarinowa nie ma żadnych poważnych obrażeń...

- Bardzo pana proszę...

- Kolejna sprawa - scysja w barze. Musiało do niej w końcu dojść, gdyż pani Olga od kilku dni była na prochach. Nic więc dziwnego, że wpadła we wściekłość i obraziła ojca. Są świadkowie tej kłótni. Motyw jak na dłoni. Kiedy Szmarinow wrócił z baru, sparaliżowana rzekomo Inessa z zimną krwią zadała mu cios prosto w serce. Pewnie to długo trenowała, by

udawać taki bezwład... A on słabo się bronił. Nie spodziewał się, że jego ukochana żona... - Zwiaginцев machnął ręką.

- Zgadza się, trenowała... Według specjalnych indyjskich metod. Uczyla się nie odczuwać bólu na poziomie podświadomości - rozpoczął Mark. - To wredna suka, proszę mi wierzyć... Zmusiła mnie... Wymogła to na mnie...

- Nie sędzę, żeby długo musiała pana namawiać.

- To nieprawda...

- Po zabiciu Szmarinowa, założyła perukę, okulary, kurtkę na kombinezon i wyszła tylnymi drzwiami. Po czym ponownie pojawiła się w hotelu, wiedząc doskonale, że portier przede wszystkim zwróci uwagę na jej włosy. Włosy, okulary i jasny kombinezon. A wszystko po to, aby zostać zapamiętaną. I w tym samym przebraniu wyszła po upływie dwudziestu minut. W kurtce miała schowany nóż. Udała się do domku, przebrała śpiącą i otumanioną prochami przyjaciółkę, pobrudziła jej ręce przygotowaną wcześniej krwią Szmarinowa i odbiła na nożu jej odciski palców. Kombinezon Olgi schowała do torby, przebrała się w nierzucające się w oczy ciuchy - pewnie dopilnował pan, żeby miała się w co przebrać... Wróciła okrężną drogą, wyrzuciła worek z dowodami rzeczowymi do śmietnika. Sprzyjały jej wszystkie okoliczności, łącznie z egipskimi ciemnościami panującymi na podwórku. Bo to przecież pan postarał się o wyłączenie oświetlenia po tym, jak Inessa Szmarinowa po raz pierwszy założyła perukę i okulary, a następnie zburzyła miasteczko figur lodowych i wdała się w rozmowę z Zapiesocką. Tak po prostu, jak zapoznają się ze sobą ludzie w ośrodkach wczasowych. Rozmowa z Natalią Zapiesocką była pierwszym sprawdzianem. Na wpółślepa kobieta od razu spostrzegła czarne włosy i to najbardziej utkwilo jej w pamięci. Miała wziąć Inesę za Olgę. I tak też się stało. Wszystko poszło gładko. Wtedy i później. Wszystko potoczyłoby się idealnie, gdyby pan, panie Krasieński, nie popełnił błędu.

- Błędu? Jakiego błędu?

- Pamięta pan, jak przyszedłem do was do domku? Zawiadomić o śmierci Szmarinowa? Nie raczył pan nawet zapytać, co z panią Inesą, ponieważ doskonale pan wiedział, że nic jej nie jest. Musiał pan wiedzieć. I na tym polegała pana wpadka. Była tak oczywista, że nawet ja, kapitan milicji, specjalista od burd pijackich, nie mogłem jej zlekceważyć. Ten

pański brak zainteresowania przeczył wszelkiej logice. Kiedy pan to sobie uświadomił, próbował pan naprawić swój błąd. Dlatego poszedł pan za mną. Z początku myślałem, że zrobił to pan z powodu zakrwawionego śniegu, który uprzednio strząsnął pan z parapetu. Ale... dla pana zawsze byłem zwykłym tępym gliniarzem, nikim więcej, dlatego nie mógł pan przypuszczać, że zwrócę uwagę na pański odruchowy gest. Co wobec tego sprawiło, że poszedł pan za mną? Odpowiedź jest prosta. Musiał pan zatuszować wpadkę. Nie miał pan czasu na wymyślanie nowej wersji, więc poszedł pan na żywioł. To było genialne posunięcie. Przedstawił mi pan swoją wersję wydarzeń, ze wszystkimi szczegółami, odpowiednio je uzasadniając. Pańskie zachowanie wyglądało na wiarygodne: stwarzał pan pozory, jakby chciał odsunąć podejrzenia od swojej żony, a przerzucić je na znenawidzoną teściową. Jest jednak jedno „ale”... Szybkość, z jaką podsunął mi pan swoją cudowną wersję wydarzeń, w dodatku tak pełną szczegółów. A przecież dopiero co dowiedział się pan o morderstwie. To byłoby możliwe tylko pod jednym warunkiem: gdyby sam pan brał w tym udział i gdyby przedstawione przez pana fakty rzeczywiście były prawdziwe...

Wyczerpany przemową Zwiagincew na chwilę zamilkł.

Kompletną ciszę zakłócił dźwięk telefonu.

- Tak, słucham - powiedział.
- To ja, Artiom - doktor był dziwnie poruszony. - Jestem w izolatce...
- No, i?
- Inessa Szmarinowa zniknęła...

Spóźniła się zaledwie kilka sekund. I właśnie tych kilka sekund zabrakło jej, aby wejść do środka jaskini równocześnie z Jonaszem.

Kiedy jednak już się tam znalazła, to, co zobaczyła, wstrząsnęło nią do głębi.

Układ całej kompozycji martwych figur został zmieniony, a znajdująca się wcześniej w środku postać Kiryła, została odsunięta na bok. Teraz centralne miejsce należało do... Inki.

Na jej widok Olga przeraźliwie krzyknęła. Krzyknęła i upadła na kolana. Jej najlepsza przyjaciółka była martwa. Patrzyła na nią szeroko otwartymi

szklanymi oczami. Spieczone wargi, krótkie włosy, lekko uniesione brwi wyglądały jak za życia, ale Inka była martwa. Jej ciało od pasa w dół było oblodzone. Niewielkie urządzenie, które poprzednim razem Olga uznała za zwykły rozpryskiwacz, wyrzucało pod ciśnieniem wąski strumień śniegu i lodu. Strumień był skierowany w bok i nie wiedzieć czemu polewał ściany jaskini.

Widok martwej Inki na piedestale był tak okropny, że Olga na moment straciła poczucie rzeczywistości. Ale już po chwili oprzytomniała. Stłumione charczenie, dochodzące z kąta jaskini, przywróciło jej przytomność umysłu. Na kamiennych płytach walczyło ze sobą dwóch mężczyzn. Jonasz i chłopak, którego gdzieś już kiedyś widziała. No tak! Pierwszego wieczoru, kiedy leżała przed barem na śniegu. Miał kwadratowy, nieogolony podbródek. Był z psem. Ktoś zawołał go wtedy po imieniu.

Jurik.

Tak, Jurik. Ma na imię Jurik i jest jednym z ratowników.

A teraz się szamoczą. Jeden drugiego dusi. Chcą się nawzajem pozabijać. Jurik był znacznie cięższy i silniejszy. Jonasz wyraźnie słabł w oczach, ale wciąż się bronił. Jego zduszony głos przywrócił ją do rzeczywistości.

- Olga! Odejdź stąd! Uciekaj!

Uciekać?! Jak to uciekać, skoro grozi mu niebezpieczeństwo?!

Był na przegraną pozycji. Jurik usiadł na nim okrakiem i dusił go kolanem. Jeszcze moment i... Podjęła decyzję. Już po chwili stała przy śnieżnej armatce i skierowała żelazną rurę, z której wypływał strumień zmrożonej wody, w stronę Jurika. Momentalnie odrzuciło go od Jonasza. Jego czarne włosy pokryły się warstwą lodu. Wyglądało, jakby na moment stracił przytomność. To wystarczyło Jonaszowi. Zwinnym ruchem wysliznął się spod sztywniejącego ciała, rozpiął kurtkę i wyszarpnął pasek ze swoich spodni narciarskich. Następnie oplatał nim ręce Jurika, przyciągnął je do jego nóg i docisnął z całej siły, zawiązując pasek. W chwilę później Jurik leżał już związany na ziemi. Jego ciało było wygięte jak po ataku epilepsji.

Ciężko dysząc, Jonasz odsunął się od niego i oparł się o skałę.

- Wyłącz... Wyłącz to... - poprosił, ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazując Oldze armatkę śnieżną.

- Nie wiem... Nie wiem, jak - Olga upadła obok niego na kolana, nie mogąc oderwać wzroku od Inki.

- Chodźmy stąd... Nie powinniśmy tu dłużej zostawać... Wiemy, że jaskinia istnieje. Wiemy, kto jest jej właścicielem... Trzeba jak najszybciej poinformować o tym Zwiagincewa... Chodźmy!

- Nie... Nie. To jest Inka. Zabił Inkę.

- Nie wiedziałem o tym... Odkryłem jaskinię dopiero wczoraj. Cały czas jej szukałem. Wiedziałem, że mówisz prawdę... Zbyt dużo zaginionych osób. Poza tym Wasia... Wasia pokazał mi, czym ten łajdak zabijał... Ale początkowo nie mogłem w to uwierzyć. Myślałem, że Wasia znów bawi się w detektywa... Żeby wmontować nóż w kijek narciarski...

- I jego też tym zabiłem - rozległ się nagle ochrypy głos. Jego ton był równie lodowaty, jak wszystko dookoła. - Szkoda, że ciebie wtedy nie dorwałem. Leżałbyś teraz pod śniegiem na trasie slalomowej. Jak on. Tam go pochowałem. Pochowałem i wyrównałem powierzchnię ratrakami... i tak trzeba było w końcu poprawić trasę. Po tobie też by jeździli kiepscy narciarze. Codziennie. Co parę minut. Napisanie wiadomości od Waśki było proste. A wy, idioci, uwierzyliście...

- Ja nie uwierzyłem! Cały czas szukałem. Dopiero wczoraj natknąłem się na... na mały właz, na tę jaskinię...

- Nie dałeś mi dokończyć dzieła - w końcu Jurij dał upust drzemiacemu w nim oblędowi. Głos mu się załamał. Zabrzmiały w nim złowieszcze nutki.

- Nie dałeś i poniesiesz za to śmierć... Zabiję cię! Ale nie tak, jak moich modeli... Moich kochanych modeli. To wybrańcy. Tylko oni mogą zostać uwiecznieni przez wielkiego rzeźbiarza... Bo ja jestem wielkim rzeźbiarzem, a ty nie dałeś mi dokończyć dzieła... Nie dałeś skończyć mi kompozycji... nie pozwoliłeś mi uwiecznić kobiety, którą kocham... Tak długo na nią czekałem... Tak długo jej szukałem... Nie była nawet zaskoczona, gdy dosięgła ją śmierć. Jej twarz była pełna miłości, ponieważ nie czuła, że umiera... Ponieważ byłem w niej... Inessa - najlepsze imię dla modela... dla rzeźbiarza... dla wieczności... Tak długo ją oswajałem, a ty mi przeszkodziłeś... Nic nie rozumiecie... To nowa sztuka, gdzie życie jest śmiercią, a śmierć życiem... Ale jeszcze kiedyś to do was dotrze, a wtedy...

- Zamknij się! - krzyknęła Olga.

- Ucisz tę swoją dziwkę, słyszysz?! Nie jesteście jej godni... nie jesteście godni mnie... Jestem wielki... Jestem wielki, ponieważ odkryłem...

Nie byli w stanie dłużej tego słuchać.

- Chodźmy, maleńka - wyszeptał Jonasz. - Chodźmy.
- A Inka?
- Jej nie da się już pomóc.
- A on?
- Będzie tu leżał... Nigdzie się stąd nie ruszy. Chodźmy, musimy o wszystkim opowiedzieć tam, na górze...

Wydostali się z potwornej jaskini i osłabieni padli na śnieg. Leżeli w milczeniu, patrząc w niebo. Ich lodowate, skostniałe palce delikatnie się dotykały.

- Musimy iść, Olgo. Musimy iść - powtarzał w kółko.

Po raz pierwszy od dwóch dni zza chmur wyjrzało słońce, a śnieg przestał tak intensywnie padać. I zamieć w końcu ustała...